

Szaniawski Klemens

OPOWIADANIA

Tom 2

DZIECI PANA RADCY.
(OBRAZEK Z ŻYCIA MIEJSKIEGO).

I.

Na pierwszym piętrze okazałego domu, przy jednej z najbogatszych i najludniejszych ulic Warszawy, we wszystkich prawie oknach zapuszczone były story.

Na bruku ulicznym, przed domem, rozesłano grubą warstwę słomy, w której gubił się turkot przejeżdżających wozów i dorożek.

Po kilka razy na dzień, przed bramą zatrzymywały się karety, należące do najpierwszych znakomitości medycznych w kraju. Zaraz po takiej wizycie, ktoś ze służby biegł do apteki, a po chwili powracał ztamtąd, niosąc świeży transport flaszek i pudełek.

Od czasu do czasu przyjeżdżali lub przychodzili znajomi; bez szelestu, po marmurowych, dywanem wysłanych schodach, wchodzili na piętro, zatrzymywali się tura przez chwilę, szeptali z domownikami i odchodzili kiwając smutnie głowami:

Agenci rywalizujących z sobą przedsiębiorstw pogrzebowych, skradali się przez tylne schody, wyczekiwali w bramie, usiłowali zawiązać znajomości ze służbą w przewidywaniu korzystnej prowizji.

W dużym mieście tak bywa. Cios dla jednych, jest źródłem zarobku dla drugich, a chciwość, lub głód może, nawet łzy i żalobę chętnie wyzyskuje.

W bramach sąsiednich domów i naprzeciwko, kucharki opowiadały sobie bardzo ciekawe szczegóły o bogatym panu, o skarbach, jakie po nim zostaną, o pełnej szafie pieniędzy, workach brylantów, — a wąsaty stróż sparł się na miotle, słuchał, kiwał głową, może nawet zazdrościł przez chwilę „bogaczowi,” ale wnet przyszła refleksja. Machnął ręką, splunął, a mruknąwszy: „ta i cóż mu to pomoże?” znowu zaczął zamiatać ulicę...

Wieść o niebezpiecznej chorobie radcy Lubicza, rozeszła się szybko w kole znajomych i przyjaciół, których liczył bardzo wielu.

Trzeba też wiedzieć, co to był za człowiek ten pan Józef Kalasanty Lubicz i jakiej używał opinii. Zajmując dość wysokie stanowisko społeczne, mając niezwykle rozległe stosunki, niejednemu chętnie przychodził z pomocą.

Dom Lubiczowie prowadzili wystawnie, po pańsku nawet, co tydzień w salonach ich zbierało się liczne a doborowe towarzystwo, w karnawale wyprawiali kilka hucznych balów, co rok niemal wyjeżdżali za granicę, dzieci kształcili bardzo starannie, a ponieważ wystarczało im na to wszystko, przeto mieli opinię ludzi zamożnych, nawet bogatych. Pani Lubiczowa była trochę dumna i wyniosła, przyzwyczajona do wygodnego życia, niewiele sama zajmowała się sprawami domowymi i wychowaniem dzieci.

W pierwszych wyręczała ją uboga kuzynka, stara panna, w drugim guwernantki i nauczyciele.

Do południa zwykle nie była widzialna, zamknięta w swoim buduarze, spała, czytała powieści, a może też pracowała nad podtrzymaniem śladów świetnej niegdyś piękności, śladów, których nawet lata zupełnie zatrzeć nie mogły.

O południu dopiero zjawiała się w sa

łonie, rzuciła okiem, czy nie znajdzie zganić za co lokaja lub pokojówkę, zapytała kuzynki Justysi, co będzie na obiad, chwilkę porozmawiała z dziećmi i, albo wyjeżdżała sama na wizyty, albo też przyjmowała u siebie. Radca inny znowuż tryb życia prowadził; przed dziesiątą wychodził do biura, z kąd dopiero o czwartej wracał na obiad. Po obiedzie spał godzinę lub dwie, po herbacie na partyjkę szedł, a w nocy zawsze jeszcze kilka godzin przy biurku przepędzał, tak, że go świt częstokroć przy pracy zastawał. Dzieci było troje: dwie córki i syn. Najstarsza, panna Janina, zaledwie jej długą sukienkę włożono, zaraz poszła za mąż i opuściła dom rodzicielski. Trafił się młody, świeżo z instytutu wypuszczony inżynier, z wielkimi nadziejami na przyszłość, ładnym wąsikiem, ale bez żadnego stanowiska i funduszu. Ożeniwszy się z panną Janiną, stanowisko wnet znalazł, a funduszu spodziewał się po najdłuższym życiu rodziców żony. Teść wyrobił mu korzystną posadę na kolei i państwo młodzi zamieszkali na prowincyi. Widocznie nieźle im się tam działo, bo

pani Janina z każdym rokiem wyglądała okazalej, on zaś roztył się zupełnie, grywał świetnie w wista i nabrał tej pewności siebie i dumy, jaką, z małemi wyjątkami, odznaczają; się prawie wszyscy dygnitarze prowincjonalni. Zresztą był to człowiek średnich zdolności, rozumienia zaś o sobie wielkiego. Na otaczający go światek patrzył z wysoka, cierpienia i bóle ogólne nie obchodziły go całkiem, zbierał grosz do grosza, kupował listy zastawne i miał to głębokie przeświadczenie, że cały świat o nim tylko myśli i na niego ma oczy zwrócone. Drugim z kolei dzieckiem państwa Lubiczów był pan Czesław. W chwili, w której radca zachorował śmiertelnie, Czesław był na drugim kursie uniwersytetu, gdzie studyował nauki przyrodnicze. Do pracy przykładał się pilnie; wieczorami, chociaż w domu zbierali się goście, on zamykał się w swoim pokoju nad książką. Najmłodsza ośmnastoletnia córka, Stasia, niedawno ukończyła edukacyę i została zainstalowana przez matkę, jako „panna na wydanm”. Pani radczyni zawiozła ją na jeden i drugi bal do resursy, wydała świetny wieczór u siebie, wnet piękna Stasia T. W tom VIII.

otoczona została licznym gronem konkurentów i, nie namyślając się długo, zrobiła wybór. Od dwóch miesięcy, na rączce jej błyszczał brylantowy pierścionek od narzeczonego. Przez trzy, czy przez cztery dni, rozesłana słoma leżała na ulicy, zabłocone kopyta koni i koła powozów poczerńiły ją, pocięły na sieczkę... Pewnego dnia, wieczorem już późnym, gdy gaz zapalono w latarniach, nagle rolety na pierwszym piętrze podniesiono, dwa okna na oścież otwarto i, z ulicy dojrzeć" było można, sześć czy ośm zapalonych świec, których blade płomyki chwiały się pod tchnieniem wiatru wpadającego ze dworu.

Przebieglejszy z rywalizujących agentów, który zdołał zaraz do przedpokoju się dostać, wybiegł po chwili z uśmiechem tryumfu na ustach i, rzuciwszy na współzawodnika pełne sarkazmu spojrzenie, wskoczył w przejeżdżającą dorożkę i popędził do pryncypała. W pół godziny później, na ulicy nie było już ani ździebelka słomy, gwar i turkot rozlegał się jak zwykle, życie miejskie wrzało w całej pełni, a tam, na pierwszym piętrze, głuchy już na to wszyst

ko człowiek, spoczywał snem wiecznym, nieprzespanym.

W sąsiednich pokojach rozlegał się płacz kobiet, a student, blady, to chodził po pokoju w zadumaniu, to zbliżał się do okna i czoło do chłodnej szyby przykładał.

Nie mówił nic do płaczących, nie pocieszał! sam tak był przygnębiony tą ciężką, aczkolwiek od kilku dni przewidzianą katastrofą, że z trudnością łzy cisnące się do oczu powstrzymywał. Może wolałby biedny chłopiec usiąść gdzie w ukryciu i pulcie wodze łzom żalu po ojcu, którego szczerze kochał, ale w obec kobiet, w domu, gdzie wszyscy płaczą i wszyscy głowy potracili, trzeba było kogoś przytomnego koniecznie.

Rozumiał to Czesław i usiłował panować nad sobą. Kobiety zebrały się w jedną grupę.

Matka, od godziny dopiero wdowa, blada, ze śladami cierpień i zmęczenia na twarzy, śladami świadczącym! o nocach spędzonych bezsennością, siedziała w wysokim fotelu z głową o poręcz opartą. Po twarzy jej spływały ciężkie, grube łzy, a z piersi dobywały się głośne jęki i łkania. Obok, klęcząc przy kolanach matki, panna Staniał*

wa zanosila się od płaczu, a dalej nieco stając przerażona kuzynka, usiłując perswadować, pocieszać.

Po jakiejś chwili, Czesław rzeki, matkę w rękę całując:

— Marno kochana, dość płaczu. Cóż to pomoże? Ojciec nie usłyszy już naszych westchnień, nie wstanie.

Nowy, gwałtowniejszy jeszcze wybuch żalu był odpowiedzią na to.

— Matko! matko — powtórzył z odcieniem łagodnego wyrzutu w głosie — naradźmy się, trzeba pomyśleć o oddaniu mu ostatniej usługi.

— Mój Czesławie — odrzekła tłumiąc łkanie z trudnością — czy ja mam głowę do tego? Mężczyzną jesteś, myśl, rządź, rób co za potrzebne uważasz. Tyś silniejszy, tyś młodszy, a mnie... mnie serce pęka...

— Tak, tak braciszku, wtrąciła panna Stanisława, tyś silniejszy. Zajmij się, pan Kazimierz dopomoże ci... — szepnęła!

Czy go tu niema jeszcze? Czy nikt nie dał mu znać o naszym nieszczęściu?

Czesław ramionami wzruszył.

— Twój pan Kazimierz — rzekł — nie pokazywał się tu już od dwóch dni. Zdaje mi się, że on nie znosi smutnych widoków.

— A nie! nie! mylisz się mój Czesiu. Onby nas nie opuścił w takim nieszczęściu. On przyjdzie.
— Jeżeli nie jest w teatrze — szepnął.
— Coś ty powiedział, Czesiu?
— Nic, powiedziałem tylko, że pana Kazimierza tu nie ma, a ponieważ go nie ma, więc się obejdziemy bez niego. Przecież nie sposób, żebym chodził go szukać*. Zresztą,, myślmymy przedewszystkiem o naszym nieszczęściu. To mówiąc, wskazał ręką na pokój, w którym leżały zwłoki ojca.
— Mateczko—zapytał nieśmiało—czy ojciec nie wydał jakich rozporządzeń przed śmiercią, czy nie wyjawił swojej ostatniej woli?
— Ja nie wiem moje dziecko, ja o niczem nie wiem, odpowiedziała z płaczem. Dopóki był zdrow, nie mówiłam z nim nigdy o tego rodzaju kwestyach, a potem, gdy zasnął tak niespodziewanie i nagle, odrazu stracił przytomność i więcej już jej nie odzyskał. Co ja mogę wiedzieć, moje dziecko, jestem jak oszalała, jak ogłuszona tem nieszczęściem... Boże! Boże, czyż będę mogła przeżyć taki cios?

Znowu nastąpiła chwila milczenia, przerywana wybuchami spazmatycznego płaczu.

— Mateczko — odezwał się Czesław— wartoby jednak poszukać*, a przytem trzeba pieniędzy na różne wydatki. Może mateczka da troche, ja się z każdego grosza wyliczę.

— Czesławie — rzekła z wyrzutem — ja myśli zebrać nie mogę, a ty mnie o pieniądze męczysz. Daj mi się wypłakać przynajmniej. Masz tu kluczyki od gabinetu i od biurka ojca. Idź, otwórz i poszukaj,, a potem pochowajcie go! albo nie! pochowajcie i jego i mnie! ja już nie mam po co żyć...

Panna Justyna, uboga kuzynka, pochyliła się do kolan ciotki, pocieszać i perswadować zaczęła.

— Stasiu —rzekł Czesław do siostry— chodź i ty ze mną, Justysia przy matce zostanie. Chodź, chodź, nie ociągaj się, poszukamy.

Panna Stanisława wstała, wzięła ze stołu kandelabr z zapalonymi świecami i w milczeniu udała się za bratem.

Gabinet ojca był w oczach dzieci pewnego rodzaju sanctuarium. Żadne z nich nie wchodziło tam nigdy prawie, chyba wy

jątkowo, gdy radca sam zawezwał. Brat i siostra nie bez pewnej trwogi przestąpili próg gabinetu. Lufcik był otwarty, prąd wiatru poruszył płomień świec w kandelabrach i po ścianach, sztychach, meblach, po kilku pięknych rzeźbach

ozdabiających pokój, zamigotały cienie jakieś, chwiejące się, niepewne. Zdawało się, że w tym gabinecie unosi się jeszcze duch zmarłego, że gniewa się na tych, którzy mu spokój naruszają.

Panna Stanisława blada i drżąca, czuła, że ją siły opuszczają; nie śmiejąc usiąść postawiła kandelabr na biurku i oparła się o ścianę.

Czesław do biurka przystąpił.

Klucz zgrzytnął nieprzyjemnie w zamku, młody człowiek otworzył szufladę.

Było w niej pełno papierów, rozmaitych świstków, notatek. W drugiej, trzeciej, czwartej to samo. Listy, papiery zapisane mnóstwem cyfr, rachunki od kupców, recepty, powinszowania od dzieci z przed lat wielu, cenzurki szkolne, akta urzędowe...

W ostatniej dopiero szufladzie znalazł się pugilares skórzany i kilka sztuk dawnych monet, numizmatów.

Czesław pozamykał szuflady i rzekł do siostry:

— Stasiu, zdaje się, że znaleźliśmy eo potrzeba. Nie otwieram tego pugilaresu, nie patrzę co w nim jest, odniesiemy go matce! Patrz, że pozamykałem szuflady, że wszystko nietknięte zostaje Patrz, Stasiu...

— Dlaczego każesz mi patrzeć? czy jakich posądzeń się lękasz? Któżby śmiał?...

— Albo ja wiem, moja droga, coś mi szepcze, że ta ostrożność jest konieczna.

— Między rodzeństwem! cóż ty mówisz?!

— Nie wiem, nie wiem moja droga — rzekł obejmując ją i całując w czoło—moja ty biedna sieroto.

Dziewczyna wybuchnęła głośnym płaczem.

— Chodźmy do mamy, Stasiu — odezwał się znowu — otrzyj oczy... panuj nad sobą.

Zamknął gabinet i powrócili do matki.

— Oto cośmy znaleźli ze Stasia—rzekł podając pugilares matce.

— Zobacz co tam jest?

— Tu — odpowiedział —jest banknot sturublowy i kilkanaście rubli drobniejszemi.

Spłakana kobieta zdawała się nie słyszeć tej odpowiedzi.

Trzy dni upłynęło, trzy dni bardzo ciężkich i smutnych. Zmarły spoczął w grobie rodzinnym, na Powązkach, w domu przywdziano żałobę.

Starsza córka z mężem przyjechała na pogrzeb, i ona bardzo boleśnie uczyła stratę ojca.

Była dziesiąta rano.

Cała rodzina zgromadziła się w jadalnym pokoju przy herbacie; stół zastawiony był wykwintną porcelaną, przy samowarze krzątała się Justysia, przez otwarte drzwi widać było wnętrze sąsiedniego salonu.

Dzień był piękny, słoneczny, potoki światła wpadały przez okno, a przy tej jasności słonecznej, można było spostrzedz, że meble, które tak świetnie podczas wieczornych przyjęć wyglądały, były już mocno zniszczone, dywany spłowiałe, bronzy poczerniałe bardzo. Błyszcząca nędza patrzyła z kątów wszystkich i zdawała się urągać pozorom.

Wszyscy milczeli. Zięć, prowincjonalny dygnitarz, delectował się cygarem i popijał herbatę. Gdy skończył, odchrząknął kilkakro

tnie i rzekł z wielką powagą, jakby ważąc każdy wyraz.

— Pani matko szanowna, umarli niech spoczywają w spokoju, żywi zaś muszą się sprawami życia zajmować; płakaliśmy przez trzy dni, a teraz pomyślmy o sobie. Ostatecznie, nie licząc matki, jestem tu najstarszy i, jak sędzę, moje zdanie...

Nie dokończył, gdyż w przedpokoju odezwał się dzwonek.

Czesław pobiegł otworzyć i wprowadził jakiegoś jegomościa o wybitnych rysach wschodnich, ubranego dość pretensjonalnie, z grubym złotym łańcuchem u zegarka.

— Ten pan pragnie się z mamą widzieć — rzekł Czesław.

Matka obejrzała się.

— Ah! to pan Fichtencwajg.

— Fichtencwajg! tak, Izydor Fichtencwajg—rzekł kłaniając się. Takie nieszczęście! Pani radczyni nie dałaby wiary, z jaką bolesnością ja się dowiedziałem o tem. Ktoby się spodziewa!?! no, no! Tyle lat znałem pana radoego, tyle lat handlowałem z nim...

— Handlowałeś pan? podchwycił zięć, w jaki sposób, jeżeli wiedzieć wolno?

W jaki sposób? Ha... pan inżynier mnie nie zna, ale ja pana dobrze znam.

— Być może, to wszakże nie objaśnia, jakiego rodzaju handel prowadziłeś pan z moim nieboszczykiem teściem.

— Jakiego rodzaju? Cała Warszawa wie, jakiego rodzaju handel prowadzi Izydor Fichtencwajg. Z nieboszczykiem panem radcą łączyły nas stosunki przyjaźni. On był mój przyjaciel, ja byłem jego przyjaciel, a gdzie w potrzebie pójść, jak nie do przyjaciela?

— Aha, mamy tedy i dłużki— szepnął pan inżynier do żony — dobrze się zaczyna! Panie Pichtenberg! — rzekł głośno.

— Przepraszam, Fichtencwajg! Izydor Fichtencwajg .. moje nazwisko jest tu bardzo znane.

— Tedy, panie Fichtencwajg, z okazji owych przyjacielskich usług, pozostały zapewne jakieś rachuneczki.

— Bagatelka! Myśli pan, że ja po to przyszedłem? Ja przyszedłem odwiedzić państwa, zapytać o zdrowie po takim ciężkim zmartwieniu.

— Dziękujemy za pamięć, ale ponieważ właśnie mieliśmy mówić o interesach

z matką, więc nie od rzeczy będzie wiedzieć, ile ten rachunek wynosi?

— Bagatelka! całkiem mała rzecz.

— Ależ ile?

— Cała prawda... tysiąc dwieście rubelków...

— I to pan nazywasz bagatelką!

— A jak mam inaczej nazywać?...

— Panie Fichtencwajg, za pozwoleniem. Twierdzisz pan, że znałeś dawno mego nieboszczyka teścia?

— Mało dwadzieścia lat... może więcej

— Przypuszczam tedy, że i stan jego interesów nie jest panu obcy. Zresztą, wy, starozakonni, macie doskonałe wiadomości o takich rzeczach.

Fichtencwajg uśmiechnął się.

— Dla czego my mamy nie mieć doskonałych wiadomości?—zapytał — przecież to nasz fach.

— A więc powiedz mi, czy oprócz pana, jeszcze kto posiada rewersy ojca.

— Kto ma posiadać? Pan radca handlował tylko ze mną, a jak mnie brakło czasem pieniędzy, bo czasem może się przytrafić takie zdarzenie, to szwagier mój... Rosenwajn, pan zapewne zna pana Rosen

wajn? więc pan Rosenwajn zastępował ranie niekiedy...

— Naturalnie i jemu także się coś należy.

— Ah! głupstwo... ktoby o takiej bagatelce wspominał. Pan inżynier myśli, że my jesteśmy ludzie bez serca, że my, w takim nieszczęściu, będziemy upominać* się? naprzykrzać? Pfe! kto to słyszał? Kto takie paskudne pomyslenia by miał?... My, to jest ja i pan Rosenwajn, mój szwagier, będziemy czekali choćby rok cały... tylko...

— Co takiego?

— Tylko mała rzecz... pan inżynier niech położy godny swój podpis na wekslu...

Pan inżynier na matkę spojrział.

— Czy mama — zapytał — wiedziała o tych długach?

— Nic a nic.

— Aj, aj, wtrącił Fichtencwajg, co pani miała wiedzieć? Nieboszczyk był taki delikatny, żeby jednym słowem nie chciał

i nie śmiał pani zmartwić.

— Jeszcze jedno pytanie, rzekł inżynier, co się też dzieje z sumą, którą mama dostała po ciotce?

— Nie wiem, podobno ulokowana jest.

— To ja wiem także, wtrącił Fichten

cwajg, jest nie wielka suma, całkiem dziesięć tysięcy.

— Dobrze umieszczona?

— Ja to nie powiem... Ona, mnie się zdaje, spadnie.

Inżynier zaczął bębnić palcami po stole; przez jakiś czas milczenie przykre trwało.

Fichtencwajg rozglądał się po pokoju i, okiem znawcy, każdy najdrobniejszy nawet przedmiot oceniał.

— Panie Fichtencwajg — odezwał się nareszcie inżynier — właśnie dziś chcemy papiery po ojcu rozpatrzeć, zgłoś się pan za parę dni. Ja tu jeszcze będę.

— Ah! z całą przyjemnością... Słowo pana inżyniera warte jest tysiące, a podpis... ha! ha! co ten podpis wart!... Moje uszanowanie państwu, moje uszanowanie, proszę pamiętać, co Fichtencwajg jest najzyczliwszy przyjaciel.

Z temi słowy żyd, kłaniając się nisko(wyszedł.

Otyły pan inżynier wielkimi krokami zaczął po pokoju chodzić, w zamyśleniu targał się za brodę," mówiąc półgłosem:

— Zwaryował żyd! jeszcze podpisywać mi każe! nabrałem tyle majątków! posagów! Zwaryował!

— Marno—rzekł—trzeba jednak zrobić jakiś porządek z tem wszystkim.

— Owszem, mój Adolfie, proszę cię... masz oto klucze, idź, szukaj, przepatruj.

— Mama pójdzie ze mną?

— Nie, idź sam, proszę cię... zresztą może ci Czesio pomoże.

— Nie, mamu, ja na lekcję śpieszę.

— Więc Janinka, Stasia...

Pani Adolfowa poszła powoli za mężem do gabinetu nieboszczyka. Stasia zaś stanęła przy oknie z wyrazem żalu w oczach i nieopisaną tęsknoty. Patrzyła na przejeżdżające powozy i dorożki, na ludzi śpieszących w różne strony, ale tego, którego widzieć pragnęła, nie było między nimi.

Dzwonek w przedpokoju milczał. Z licznych znajomych, z gości, którzy niedawno jeszcze dom ten odwiedzali, nikt nie zajrzał, nie przyszedł... Ten, który potrzebny był ludziom dla protekcji i stosunków, w grobie już spoczął, więc też i przyczyna czułości ustała.

Pan inżynier do samego wieczora przeglądał papiery po teściu. Robił to z wielką skrupulatnością, przeszukiwał, czytał, najmniejszego papierka nie ominął.

Od czasu do czasu robił jakąś sarkastyczną uwagę, która w oczach towarzyszącej mu zony wywoływała łzy.

Skończywszy przeglądanie papierów, pan inżynier przeszedł do salonu, w którym znajdowała się już cała rodzina. Matka do najwyższego stopnia zgnębiona, nieprzytomna prawie, siedziała w fotelu, obok niej na krzeselku Stasia. Czesław stał przy oknie.

— No, moi państwo—odezwał się pan inżynier—przeгляд skończony i bilans na poczekaniu zrobiłem... Stan czynny nie wiele wart.—Oprócz tych gratów, które tu widzimy, a które, prawdę powiedziawszy,, nic nie są warte, oprócz sumy hipotecznej pani matki, sumy, która ściśle biorąc, jest fikcją... niema nic. Stan bierny, przedstawił nam rano... ten pan... jakże go tam?! ten mieniący się przyjacielem rodziny... pan Fichtencwajg. Jesteście ubodzy, w całym znaczeniu tego wyrazu!

— Przecież mamy ciebie, Adolfie — odezwała się matka.

— Zapewne, zapewne... ale przedewszystkiem, mama będzie miała emeryturę... jaką, to nie wiem, ale będzie... Stasia podobno wychodzi za mąż, a pan Czesław...

Czesław, który nigdy nie sympatyzował ze szwagrem, przerwał dość ostro:

— Pan Czesław—rzekł — potrafi myśleć o sobie, a w razie potrzeby i o innych.

— Ślicznie, bardzo ślicznie!... ale jest to, właściwie mówiąc, deklamacja, która chleba nie da i, gdyby pan Czesław nie ufał zbyt znacznie swoim własnym siłom, a wobec starszych zachowywać się umiał z właściwym taktem...

— To co?

— To, przy protekcyi starszych — rzeki z naciskiem—przy poparciu osób mających jakie takie znaczenie, mógłby na początek otrzymać jakąś skromną posiadkę na drodze żelaznej i...

— Dziękuję za łaskę starszym i osobom mającym jakie takie znaczenie... moja droga inna jest.

— Ab, naturalnie—naturalnie! — nikt się nie narzuca—odpowiedział pan inżynier. Ja szedłem przez całe życie przebojem... dorabiałem się krwawą pracą...

— I niekrwawą protekcyą ojca — dorzucił Czesław.

— Czesiu! Czesiu! — zawołała matka z wyrzutem — bądźże uważniejszy.

tom VIII.

— Pozwoli mama, że po tem co usłyszałem, rzekł z godnością, pan Adolf, cedząc każdy wyraz powoli — pozwoli mama, że mówiąc o interesach familijnych, unikać" będę wzmianki o panu Czesławie.

— Ależ bo zawsze między wami coś jest — wtrąciła pani Janina — ja nie pojmuję, doprawdy...

— Ty, moja żono, nie pojmujesz wygolę wielu rzeczy, ale wiedzieć powinnaś, że nie mam potrzeby myśleć o człowieku, który mnie obraża. Mam moje własne dzieci i obowiązki...

Czesław chciał coś odpowiedzieć, a rozmowa przybrałaby jeszcze drażliwszy charakter, gdyby nie wejście służącej, która przyszła oznajmić, że w kuchni czeka posłaniec.

Młody człowiek wyszedł, odebrał list, spojrzął na kopertę i zbladł. Pod wpływem silnego wrażenia, chwycił się oburącz za głowę, ale oprzytomniał szybko i rzekł do służącej:

— Jak się pani zapyta o mnie, to powiedz, że odebrałem bardzo pilny list od kolegi, że muszę zaraz do niego pójść i zapewne dopiero za jakie dwie godziny wrócę.

Skłamał, gdyż list nie był adresowany do niego, i nie pochodził wcale od kolegi...

Wyszedłszy na ulicę, udał się prosto przed siebie, nie patrząc na nikogo, potrącając przechodniów, nie wiedząc dokąd i po co się udaje... Przeszedłszy kilka ulic, znalazł się w Alejach Jerozolimskich i usiadł na ławce.

Wietrzyk nocny chłodził mu skronie, równowagę rozgorączkowanego umysłu przywracał... Czesław wyjął ów list fatalny z kieszeni i przypatrywał mu się uważnie przy bladym świetle latarni. Nie otwierał koperty, nie czytał... Po co miał czytać, gdy samo dotknięcie wskazywało, że w tym liście, do Stasi adresowanym, znajduje się pierścionek.

— Przeczuwałem to... przeczuwałem — szeptał sam do siebie — nie sądziłem jednak, żeby tak nagle... w pierwszej chwili...

Owinął list starannie w papier, schował do kieszeni i, pochodziwszy jeszcze trochę w Alejach, powrócił do domu. Był spokojniejszy już, [z pierwszego wrażenia ochłonął, a może też jakieś postanowienie powziął...

Wszedł do salonu w tej samej chwili,

gdy pan inżynier powiedziawszy matce dobranoc, dodał jeszcze:

— Ostatecznie, moja mamę, nie ma nieszczęścia, którego by człowiek nie zniósł, jeżeli znoś je mosi; a co do biedy, to pamiętajmy o tem, że są ludzie stokroć od nas biedniejsi i żyją. Emeryturka, jaka tam będzie, to będzie, ale zawsze będzie. Ja mając sam dość szczupłe mieszkanie, nie mogę wprawdzie mamę do siebie zapraszać, gdyż byłoby nam ciasno, ale tu, w Warszawie, łatwo będzie znaleźć jakieś dwa pokoiczki w oficynie. Dla mamę to dosyć, zwłaszcza gdy Stasia za mąż wyjdzie. Oszczędność przedewszystkiem, tylko oszczędność. Ja, oto na przykład, oszczędzałem przez całe życie, zbierałem grosz do grosza i dziś mam. Naturalnie nie tyle, żeby się mógł z kim dzielić, albo się bawić w jakieś filantropie, ale nam na czarną godzinę wystarczy, a po mojej śmierci, żona nie będzie potrzebowała niczyjej łaski. Zawsze się trzymam tej zasady, że trzeba przewidywać i oszczędzać. Wziąłem pannę bez posagu, z wyprawką nieosobliwszą, ale tego nikomu nie wymawiam i, choćbym mógł dziesięć tysięcy razy lepszą partję zrobić, jednak godzę się z losem i pracuję

jak moge. Chciałbym — dodał, spoglądając na Czesława — aby pewne, niezupełnie jeszcze dojrzałe umysły, naśladowały ten przykład. No, ale dobranoc marniej jako człowiek czynu, muszę pamiętać o swoim zdrowiu i chodzić na spoczynek wcześniej, jeżeli nazajutrz mam wstać rano. Dobranoc mamie.

Pan inżynier i jego małżonka oddalili się do swego pokoju, matka także spać poszła, w salonie został tylko Czesław i Stasia.

— Moja droga — rzekł Czesław, ujmując siostrę za rękę, ten próżny samolub i blagier, szanowny nasz szwagierek, pomimowoli wypowiedział przed chwilą jedno rozsądne zdanie: a mianowicie: że nie ma nieszczęścia, któregoby człowiek nie zniósł, jeżeli je znieść musi; tylko zapomniał jeszcze dodać (o czym zresztą nie wiedział zapewne) jeżeli człowiek ma silną woję i serce kochające. Ty, Stasiu, masz i jedno i drugie. Ty potrafisz walczyć z nieszczęściem?

— Czy ja wiem? — szepnęła.

— O, wiesz, jestem tego pewny. Znajdziesz w sobie dość siły, gdy wspomnisz

o tej nieszczęśliwej matce, która, prócz nas dwojga, nikogo już nie ma na świecie.

— A Janinka!?

— Ona już oderwana od nas, moja Stasiu. Ma swój dom, swoje dzieci, wreszcie ma męża, do którego woli stosować się; musi, my więc dwoje musimy być podporą dla matki i pomocą nawzajem dla siebie. Czy ufasz mi, siostrze? czy będziesz wraz ze mną odważnie walczyła z nieszczęściem?

Stasia oparła główkę na ramieniu brata, on ucałował ją i uściśnął serdecznie.

Tej nocy w mieszkaniu pana radcy, nikt nie spał. Rozlegało się tylko w ciszy nocnej głośnie chrapanie pana inżyniera,, który słusznie dowodził niedawno, że człowiek szanujący swe zdrowie, powinien sypiać dobrze i wszelkich silnych wzruszeń unikać.

II

W apartamencie zajmowanym niegdyś przez pana radcę Lubicza, uwijał się rzemieślnicy. Malowali sufity, okna, naklejali nowe obicia, gdyż lokal ten wynajął jakiś kapitalista semickiego pochodzenia, lubiący się otaczać zbytkiem i jaskrawym przepychem.

Pani Lubiczowa z Czesławem i Stasia, wyprowadziła się od kwartału i zajęła bardzo skromne mieszkanie na Ogrodowej.

Były tam tylko dwa maleńkie pokoiki i kuchenka, umeblowano je resztkami dawniejszych ruchomości, które w trzech czwartych częściach, w drodze dobrowolnych układow, zabrał za bardzo małe pieniądze pan Fichtencwajg i jego szwagier Kosenwajn.

Pan Fichtencwajg rozczulił się nawet przy transakcji i proponował Stasi, żeby jako osoba muzykalna, dawała jego córce lekcje na fortepianie, po czterdzieści groszy za godzinę.

Pani radczyni na tę propozycję zrobiła wielkie oczy, ale Stasia odrzekła bardzo uprzejmie, że się namyśli i po jakim czasie da odpowiedź.

Mieszkanko na Ogrodowej było bardzo szczupłe, ale czyściutkie i przyjemne, przyzwyczajonej jednak do obszernych apartamentów kobiecie, wydało się ciasną klatką, więzieniem. Uskarżała się na duszność, żaliła, że nie ma kąta spokojnego, któryby wyłącznie tylko do niej należał. Nie mogło jej też dogodzić, przyjęta do posług dziewczyna, niezdolna co prawda do żadnej roboty, ale też zadawalniająca się bardzo małym wynagrodzeniem.

Z funduszami zaś trzeba było się liczyć. Radca nieboszczyk, nie dosłużył całowitej emerytury i wdowie po nim przyznano tylko czterysta kilkadziesiąt rubli rocznie. Wobec drożyzny wielkiego miasta i wobec czasów ciężkich, znaczyło to bardzo niewiele, tem bardziej, że przyzwyczajona do wykwinanego, prawie do zbyt

kownego życia kobieta, nie mogła się odrazu pogodzić z tą oszczędnością groszową bez której życie ludzi biednych byłoby niemożliwym.

Radczyni nawet w biedę swoją wierzyć nie chciała; zdawało się jej, że przez dawne stosunki i przez znajomości liczne, zdoła wyrobić Czesławowi świetną posadę, łudziła się, że Stasia za mąż wyjdzie, że wreszcie zięć, mający się tak dobrze pod materyalnym względem, chętnie z pomocą przyjdzie, a na wypadek braku, natychmiast sam z propozycją pospieszy.

Odwiedzała dawne znajome domy, zapraszała do siebie, tłumacząc naturalnie, że szczupłe mieszkanko wzięła tylko chwilowo, dopóki lepszego i dogodniejszego nie wyszuka; żaliła się na brak lokali w Warszawie, zwłaszcza porządnych, dawała do zrozumienia, że spodziewa się jakichś sukcesy, które pozwolą jej znowu dom otworzyć i na dawną skalę go prowadzić.

Przyjmowano ją wszędzie bardzo grzecznie, ale chłodno, z rewizytami nie spieszono. Na prośby o posadę dla syna odpowiadano wymijająco, tłumacząc, że wszędzie kandydatów pełno, że ludzie skończeni, z kwalifikacyjnii wyszemi, po kilka lat

wyczekiwać muszą, a cóż dopiero studencik, któremu właściwiej byłoby uczyć się i kursą kończyć, aniżeli na swoją rękę, samodzielnie pracować. Ten i ów przyrzekł, że pamiętać będzie i na tem się skończyło.

Do zięcia pisała także, na stan zdrowia się skarżąc; donosiła, że lekarze zalecili jej za granicę do wód wyjechać, lecz chwilowy brak funduszków temu na przeszkodzie stoi. Wyrażała przytem nadzieję, że pan zięć, jako człowiek zamożny, a przywiązany do matki, przeszkodę tę usunie i chwilowy brak zażegna, mając doskonałą ewikcyę w ewentualnej posiadzie Czesława, zamążpójściu Stasi, a wreszcie w jakimś bogatym wuju, mieszkającym za granicą, a bardzo już schorzałym i wiekowym.

Pan inżynier z odpowiedzią nie zwłóczył.—Natychmiast odpisał, że nad zdrowiem matki bardzo ubolewa, lecz nad swoje współczucie nic więcej ofiarować nie może. Dodał przytem, że wskutek nadmiernej pracy, sam cierpi na powiększenie wątroby, że mu zalecono Karlsbad, co pociągnie za sobą znaczne koszty i wydatki... Przytem dorzucił kilka słów o Oszczędności, o potrzebie liczenia się z każdym groszem, o czasach ciężkich i oświadczył wy

rażnie, że na jego pomoc, matka nic liczyć nie może. Zresztą, pisał w końcu, matka ma emeryturę, na opędzenie jej potrzeb wystarczającą aż nadto, a Czesław i Stasia są już w tym wieku, że nie powinni być matce ciężarem.

Pani radczyni list ten odczytała kilkakrotnie, spłakała się, lecz ani Czesławowi, ani Stasi nie wspomniała o nim zupełnie. Przez kilka dni, na migrenę się skarżąc, przeleżała w łóżku i postanowiła więcej korespondencyi z zięciem nie wznawiać.

Na najstarszą córkę też liczyć nie mogła. Janina bowiem bardzo powolnego i łagodnego usposobienia, była zupełnie pod wpływem męża, jego myślami myślała, jego frazesami mówiła; w sprawach zaś pieniężnych, w ważniejszych interesach, żadnego głosu nie miała i nie rozporządzała . niczem. Z tej więc strony, niczego się nie było można spodziewać.

Zatruwała też ciężkie chwile radczyni niepewność co do losu Stasi. Narzeczony nie pokazywał się i żadnego znaku życia o sobie nie dawał, a że w Warszawie staie mieszkał i znajomych wielu nie miał, więc

nie było nawet kogo zapytać, co się z nim dzieje.

Stasia nie wspominała o nim ani słowa, Czesław zapytywany o niego przez matkę, dawał odpowiedzi wymijające i niechętne. Nie chciał biednej kobiecie nowych zmartwień przysparzać.

Pani radczyni widząc, że od dzieci niewiele się dowie, postanowiła zbierać wiadomości na własną rękę. Przez kilka dni z rzędu, wychodziła do miasta, w nadziei, że spotka którą z dawnych znajomych i od niej informacyi zasięgnie.

Los w takich razach bywa szczególniejszy, a niepomyślna wiadomość przychodzi zazwyczaj bardzo szybko.

W głównej alei Saskiego ogrodu, jakoś przed samem południem, spotkała pani radczyni dobrą swoją znajomą, niedawno przyjaciółkę od serca, a niegdyś koleżankę z pensyi.

Panie rzuciły się jedna drugiej w objęcia, wyczuły serdecznie i powiedziały sobie tysiące komplementów na poczekaniu.

— Droga, kochana pani! pomimo tylu zmartwień i żałoby, zawsze prześliczna, zawsze zachwycająca! Niechże pani najdroż

sza siada; właśnie tu jest wolna ławeczka. Jakże synek? a Stasia! ta urocza Stasia! Nigdy nie zapomnę, jak wyglądała wtenczas w resursie! pamięta pani?

— Pamiętam... wybornie pamiętam, ale teraz...

— No, nic naturalniejszego, teraz żałoba.

— Zwinęłam też chwilowo dom, ale po uregulowaniu interesów, po skończeniu żałoby, będę musiała znowu otworzyć salony.

— Zamierza pani?

— Nie chciałabym, ale widzi pani, kto ma córkę dorosłą, musi prowadzić koniecznie dom otwarty; pani najlepiej wiesz o tem.

— Istotnie... dwie już wydałam, a trzecia ma kilku starających się... chociaż ja na to nic nie liczę... jestem pod tym względem niewierny Tomasz.

— Jako?

— Nie wierzę starającym się, nie wierzę konkurentom, nie wierzę narzeczonym. Dopiero, jak ślub się odbędzie, matka może odetchnąć i powiedzieć, że wydała córkę za męża. Od ołtarza się rozchodzą, a ta dzisiejsza młodzież jest tak chciwa grosza, że

uwierzyć trudno! Nieprawdaż, droga pani, nieprawda?

— Hm... zapewne.

— Ale cóż ja robię!? Wszczynam rozmowę, która właśnie dla pani szczególniej może być przykrą.

— Dla czego?

— Nie mogę sobie darować tej nieuwagi i nie pojmuję, jak mogłam nawet popełnić taką nieostrożność. Pani wybaczy, ale zwróćmy rozmowę na inny przedmiot. Czy wie pani, że Alfonsowie kupili powóz?

— Nie słyszałam, ale...

— Ale to czyste szaleństwo, proszę, pani, bo jakże można, mając po same uszy długów, pozwalać sobie na takie zbytki. Założyłabym się, że to jej wymysł. To jej polityka, chce otumanić ludzi, żeby prędzej mogła wydać córki. Mają podobno widoki na pana Kazim... Ah! doprawdy, jakżem dziś roztargniona! popełniam same niedyskrecyje, lepiej będzie chyba gdy pożegnam panią i odejdę.

— Słowa pani robią na mnie wrażenie szarad, logogryfów lub rebusów, do odgadywania których nie miałam i nie mam najmniejszej zdolności. W czym pani wi

dzi swoją niedyskrecję i nieostrożność? bo ja domyśleć się nie mogę.

— Więc to wszystko nieprawda? Nieprawda to co mówią, co od kilku tygodni po całym mieście kursuje... Och! jakże jestem szczęśliwa! a tak mi żal było serdecznie tej biednej Stasi. Taka dobra, taka miła panienka... istna przylepeczka! Nie zapomnę nigdy, jak zachwycająco wyglądała w ten czas w resursie.

Pani radczyni zbladła, niezmordowana przyjaciółka zaś prawiała, niemal jednym tchem.

— Jak dzieci kocham, spadł mi kamień z serca, bo wierz mi pani, że to bardzo, bardzo głęboko odczuła! Jakie to jednak plotkarskie miasto ta Warszawa. Co gadali! co opowiadali, to włosy na głowie stawały! Mnie było to podwójnie przykro. Raz, z powodu sympatii, jaką mam dla pani i dla Stasi, a powtóre, że przed wyjazdem za granicę, pan Kazimierz złożył nam wizytę, z czego znów powstała pplotka, że stara się o rękę naszej Kłoci... Myślałam sobie, co też państwo powiecie, gdy ta bajka dojdzie do waszych uszu, jakie będziecie mieli o mnie wyobrażenie! Na

szczęście pokazało się, że plotkom wierzyć nie można.

Radczyni zrozumiała dobrze, jakie to były plotki i domyśliła się, że jest w nich tyle prawdy, że aż nadto wystarczy do ostatecznego zrujnowania jej zdrowia. Umiała jednak panować nad sobą i, w razie potrzeby, ukrywać wrażenia.

Przywołała na usta kwaśnosłodki, lecz pełu uprzejmości uśmiech i rzekła:

— Więc posądzają pana Kazimierza, że się stara o najmłodszą córeczkę pani?

— No tak, tak... ale zapewniam panią, że to jest plotka szkaradna.

— Mówią, że niema dymu bez ognia.

— Przysłowia nie zawsze mieszczą w sobie mądrość.

— Ostatecznie — rzekła radczyni — cóżby było w tem złego? Kłocia jest zachwycająca panienka i każdemu może się podobać. Co do mnie, nie miałabym nic przeciwko temu.

— Pani?

— Tak jest, ja.

— A Stasia?

— Sądzą, że już zapomniała o tym projekcie...

— Więc to zerwane naprawdę...

Naturalnie... od dość dawna nawet.

— Niepodobieństwo!

— Zapewniam panią.

— Jakież powód? na miłość Boską, jakież powód? Przecież o ile wiem, Stasia była nim bardzo zajęta, a ze względów praktycznych, odrzuciwszy już kwestyę wzajemnych sympatyj, pan Kazimierz... to była partya, proszę pani.

— Jak dla kogo — rzekła radczyni, siłąc się na spokój.

Przyjaciółka spuściła oczy i laseczką od parasolika zaczęła kreślić kółka i figury na piasku... Przez chwilę trwało milczenie.

Przerwała je pierwsza radczyni:

— Moja droga pani, rzekła, jak powiedziałam, stosunek nasz z panem Kazimierzem zerwany; jakie były do tego powody, powiem pani kiedyindziej, przy sposobności, szczegółowo. Nie przewidywałam, żeby Stasia mogła być w tym związku szczęśliwa i zerwałam. Właściwie więc nie ma o czym myśleć, lecz ciekawa jestem niezmiernie, jak ludzie o tem mówią, bo powiadam pani, że mówią. Już ten sam fakt dodała z przekąsem — pochlebia mi bardzo. tom VIII.

— Co pani pochlebia?

— Sądziłam, widzi pani, że świat zupełnie już o mnie zapomniał, a dowiaduję się tymczasem, że o mnie mówi; przyzna pani, że bądź co bądź, jest to dowód pamięci.

— Uprzedza się pani do ludzi. Któżby zapomniał o tak miłej, kochanej osobie?

— A jednak nikt do mnie nie zajrzy, nikt nie przypomni sobie, że żyję.

— Teraz bo taki czas. Całe towarzystwo wyjechało, korzystając z lata, odpoczywają, leczą się.

— Zapewne, ale moja pani, powiedzże mi, co to o nas mówią? W mojem biednym życiu tak mało rozrywek...

Przyjaciółka wzięła się do opowiadania niechętnie.

— Zna mnie kochana pani, że nie lubię powtarzać tego, co słyszę, ale ponieważ pani sobie życzy, otoż powiadają, że państwo obiecali dać panu Kazimierzowi jakiś posąg. Nic dziwnego, że miody człowiek myśli o takich rzeczach, gdyż biorąc pannę przyzwyczajoną do wykwintnego życia... do wygód, musi być przygotowany na znaczne stosunkowo wydatki. Ja sama po

wiedziałam przed chwilą, że dzisiejsza młodzież jest chciwa, ale widzi pani, czasy są takie ciężkie, że wejrzawszy bliżej w tę kwestyę, doprawdy nie należy się nawet bardzo dziwić...

— I cóż więcej mówią?

— Ano, że niby były z tego powodu jakieś wyjaśnienia, że pani obiecywała dać coś w przyszłości; mówiono jednym słowem, i tak i owak... i no... że wreszcie pan Kazimierz, aczkolwiek z bólem serca, zmuszony był odesłać pierścionek... ale co to!? pani błednie! drży... na miłość Boską! co pani jest? Może wody?

— Istotnie — odrzekła radczyni słabym głosem — czuję się niedobrze.

— Ah! to moje opowiadanie fatalne!

- Nie, pani, to słońce... Jestem nad zwyczaj niewytrzymała na gorąco... a taki upał... Zrobi mi pani wielką łaskę, jeżeli raczy mnie odprowadzić do dorożki.
- Ależ odwiozę panią do samego domu. Może doktora zawezwać? może...
- Nie, nie, dziękuję, to przejdzie, która godzina teraz?
- Za kilka minut pierwsza.
- To doskonale, Stasia zawsze o tej

godzinie jest w domu, a to mój najlepszy doktor i opiekunka zarazem.

- Pani powiedziała, że o tej godzinie, czyż więc panna Stanisława nie znajduje się przy pani przez cały dzień?
- Stasia na parę godzin codziennie wychodzi na miasto... Ona jest taka uzdolniona... Daje lekcje... Nie dla chleba, bo tego nie potrzebuje... lecz tak sobie, dla przyjemności... Zdaje mi się, że nawet bez żadnego wynagrodzenia... Ale otoż i brama. Dziękuję serdecznie pani, dziękuję za mite towarzystwo i za odprowadzenie.
- Odwiozę panią...
- Niech się pani nie trzusi... pojedę sama... Już moje osłabienie przeszło... czuję się znacznie lepiej... W istocie biedna kobieta czuła się jeszcze gorzej, lecz nie chciała prezentować' przyjaciółce swego ubożego mieszkania, owych dwóch pokojów małych, ciasnych, umeblowanych biednie. Pojechała więc sama. W dorożce zrobiło jej się tak słabo, że musiała się chwytąć rękami za oparcie, z obawy, żeby na bruk nie wypadła, a kie

dy nareszcie dojechała do domu, nie mogła zejść o własnych siłach.

Stróżka z pomocą dwóch swoich kumoszek, wprowadziła, a raczej wniosła biedną kobietę do mieszkania.

Właśnie przed chwilą Stasia powróciwszy z miasta, włożyła biały fartuszek i zajęła się przygotowaniem jakiejś ulubionej potrawy dla matki.

Gdy zadzwoniono, z uśmiechem na ustach ku drzwiom pobiegła, aby matkę, której powrotu lada chwila się spodziewała, przywitać i popisać się przed nią swoją kucharską zręcznością.

Zobaczywszy matkę zmienioną i bladą, krzyknęła z przerażenia. Przy pomocy stróżki przeniosła ją na łóżko i rozebrała, a uklękawszy przy niej, całowała po rękach, o przyczynę zasłabnięcia pytając.

— Ja po doktora pošlę, mateczko, natychmiast pošlę, tu w drugim domu jakiś mieszka... zaraz przyjdzie...

Radczyńni mówiła, że posyłać nie trzeba, że osłabienie chwilowe zaraz minie, lecz energiczna dziewczyna zrobiła swoje. Wnet przyszedł doktor, lekarstwo na uspokojenie przepisał i przyrzekł chorą naza

jutrz odwiedzić. Odchodząc, szepnął Stasi, że matka jest naprawdę chora i że należałoby o radykalniejszej kuracji pomyśleć.

Stasia postanowiła naradzić się z Czesławem, jak tylko do domu powróci i obmyśleć jakieś środki ratunku.

Uspokoiwszy się nieco, wyplakawszy, radczyni opowiedziała córce całą rozmowę z przyjaciółką.

Nie przerywając ani jednym słowem, Stasia słuchała tej relacji z suchymi oczami, spokojnie.

— Więc to o to — rzekła, gdy matka" opowiadanie skończyła—o to chodzi? Ależ droga marno, ja zaraz po śmierci ojca dowiedziałam się o tem i jak mama widzi, nie umarłam z rozpacz, przeciwnie, kontenta jestem, że się tak stało... o! bo doprawdy mateczko, lepiej być całe życie samą i pracować ciężko na kawałek chleba, aniżeli wegetować przy boku człowieka, którego trudno szanować! Zresztą, mają mamę, cóż mi tak złego? Mam ciebie, mam więc dla kogo żyć, mam brata, dobrego, poczciwego chłopca, który cię marno bardzo kocha i mnie także. We troje tworzymy szczupłe, biedne, ale kochające się gronko ro

łzinne. Będziemy oboje z Czesławem pracowali, aby ci zapewnić wygody i spokojną starość.

— A ja? cóż ja biedna? jakąż wam a"ać moge pomoc? Niedołężna i schorowana, ciężarem tylko jestem wam, moje dzieci.

— O! przepraszam... my darmo mamie pomocy nie damy, targować się będziemy o zapłatę.

— W jakiż sposób wynagrodzić was moge?

— Musisz nas kochać..., mateczko. Radczyni rozplakała się... objęta

córkę za szyję i pocałunkiem okrywała jej czoło...

— Dobrze, poczciwe dziecko!—mówiła, Bóg ci to wynagrodzi, ale gdzież Czesław, dla czegoż nie ma go tutaj? zwykle o tej porze przychodzi.

— Od dziś nie będzie mógł przychodzić na obiady, moja marno, dostał nową lekcyę.

— I znowuż lekcyą! ten chłopiec zapracuje się doprawdy.

— Istotnie, pomizerniał trochę, ale wierzy w swoje siły. . Powiada, że nie czu

je zmęczenia. Zresztą te] lekcyi nie mógł nie przyjąć, mateczko, dom zamożny, zapłata stosunkowo dość duża. Wprawdzie daleko chodzić będzie musiał, aż na Wiejską, ale to nic nie szkodzi...

— Taki kawał!

— Przy ciągłej pracy siedzącej, umysłowej, taka przechadzka wyjdzie rau na zdrowie.

— Czy ja się spodziewałam, że was, biedne moje dzieci, taki ciężki los czeka... Wyobrażałam sobie, że Czesław skończy nauki przy pomocy rodziców, spokojnie, nie wysługując ludziom... Niestety... Bóg zabrał nam ojca, a ja, cóż ja? Wyobrażałam też sobie, że ty, moja Stasiu...

— Powtarzam mamie, że mnie to nic nie martwi... od chwili, w której zdjęłam z palca ten nieszczęśliwy pierścionek, spokojniejszą już, swobodniejszą się czuję.

— Prawda, że nie masz pierścionka... i ja nic zauważyłam tego! kiedy to siś stało, i moja Stasiu, jakto się zrobiło, opowiedz...

— Po co mówić o tem, co już powinno być zapomniane, droga marno... po coporuszać popioły? I dla mamy, byłoby

przykro rozstrząsać te szczegóły. Rozmyślił się pan Kazimierz i dość na tem.

— Nikczemny!—szepnęła radczyni.

— Nie, mateczko, praktyczny tylko... nic więcej.

— I ja nie zauważyłam, że nie masz już tego pierścionka — rzekła matka, ujmując rękę Stasi — ja nie zauważyłam, to szczególne! Ha! przez Izy gorzej się widzi, a ja teraz ciągle lzy mam w oczach, ciągle lzy i tylko lzy... Ale czemu cofasz rękę, Stasiu!

— Muszę odejść do kuchni, mateczko.

— Nie, zaczekajno troche... Co to jest? Tyś miała takie bieluchne, delikatne rączki...

— Ależ są zupełnie takie same jak dawniej, zapewniam mamę.

— Cóż znowu! Przecież widzę! ręce ci zgrubiały i wyglądają, jakby narobione. Od czego?

— Nie wiem, marno — odrzekła zarumieniona Stasia — może od żelazka, czasem się co prasuje...

— Od żelazka powiadasz, to szczególne; jednak trzeba coś na to zrobić! Zaniedbywać na żaden sposób nie można.

— Czyż to nie wszystko jedno?

— Naturalnie, że nie wszystko jedno... przecież nie jesteś panną służącą, ani praezką. Już sama wezmę twoje ręce w opiekę. Mam przepis na przewyborną maść, od której ręce bardzo delikatnieją i nabierają alabastrowej białości.

III.

Była smutna, szara jesień.

Deszcz mżył od tygodnia, ulice i trotuary warszawskie oślizgły, domy wyglądały ponuro i brudno. Nad żywą, ruchomą falą ludzką, która od wczesnego ranku aż do nocy późnej, płynie a pynie po ulicach miasta, unosiły się parasole, przemokli dorożkarze kureczyli się na kozłach, posłańcy kryli się pod ścianami domów i w bramach.

"Wieczór już zapadł, na ulicach płonęły latarnie, a z okien i wystaw sklepowych bito światło.

W lekkim dość paltocie, w czapce studenckiej, przez Krakowskie Przedmieście spieszył Czesław. Szedł bardzo szybko, wymijając zręcznie przechodniów. Doszedłszy do Kopernika, zwrócił na lewo, prze

szedł przez Aleksandryę, a później dołem na Tamkę i zatrzymał się przed jednym z domów, niedaleko Dobrej ulicy. Spojrzał na zegarek, była akurat siódma. Jednocześnie prawie, z bramy wybiegła młoda osoba w okryciu, z pod którego żalobną czarną suknię było widać. Od kapelusza, długi welon czarny spływał po jej ramionach.

— Właśnie w tej chwili przyszedłem — rzekł Czesław, podając rękę siostrze i osłaniając ją parasolem od deszczu...

— Wiedziałam, że przyjdiesz i, sama nie wiem, jak ci mam dziękować... Tego jeszcze tylko brakowało, abyś przy twoich zajęciach, musiał tracić czas na odprowadzenie mnie do domu... ale cóż zrobić? cóż zrobić? powiedz sam, mój drogi. Na dorożkę mnie nie stać. Nie zarabiam jeszcze nic, a porzucać pracy rozpoczętej nie sposób.

— Nie dziękuj, moja Stasiu. Do mnie należy opiekować się tobą, bądź spokojna, codzień przyjdę po ciebie.

— Dotychczas wracałam i zawsze jakoś szczęśliwie., szłam szybko do samego domu, czasem dla pospiechu, w omnibus siadłam, ale od wczorajszego spotkania...

— Biedna! drżysz na samo wspomnienie...

— Wierz mi, że z oburzenia tylko...

— Bezczelny!... już ja z nim zrobię obrachunek, żebym go tylko spotkał..

— Ah, daj pokój, proszę cię na wszystko...

— Bronisz go?

— Nie, ale mojem zdaniem, najlepiej nikać. Mściłby się, szkodziłby ci, a wiesz, że ma stosunki i, jak zechce, może dużo złego zrobić.

— On mnie!? Cóż on mi zrobić może!? Ja się jego stosunków ani wpływów nie lękam; nie popełniłem też nic takiego, czego bym się wstydić potrzebował, że zaś ręka ronie świerzbi, i że pragnąłbym dać mu porządną nauczkę, to nic dziwnego; każda podłość oburza ranie, a uczuć moich ukrywać nie umiem.

— Ty go nigdy nie lubiłeś — szepnęła Stasia, — nie lubiłeś go i wtedy jeszcze, za życia ojca, gdy był u nas, a kiedy się o moją rękę oświadczył i przyjęty został, nie umiałeś ukryć swego niezadowolenia. Pamiętam to bardzo dobrze, jak dziś. Wszyscy wieszali mi, ty jeden tylko milczałeś, a kiedyś się zapytała dla czego,

odrzekłeś, że nie masz najmniejszego powodu do radości. Chyba nie potrzebuję opowiadać, jak mi to było przykro.

— Nie lubiłem go nigdy, masz słusność. Od pierwszego spotkania uczułem dla niego szczególną niechęć.

— Czy miałeś do tego powody?

— Nie, i to mnie najbardziej gniewało. Nieraz wyrzucałem sobie nawet, dla czego żywię nienawiść do człowieka, którego, właściwie mówiąc, nie znam prawie. Rozsądek walczył we mnie z jakimś nieokreślonym, nieujętem przecuciem i zwycięstwo pozostało po stronie przecucia. Niedługo też czas przekonał, że po stronie przecucia była także słusność.

Stasia westchnęła.

— W chwili — mówił dalej Czesław, — w chwili, w której odebrałem ów list pamiętny, chciałem go szukać, wyzwąć, bić się z nim! Szumiało mi w głowie, myśli zebrać nie mogłem. Gdyby wówczas był stanął na mojej drodze, nie wiem co by się stało... Wyszedłem na ulicę, chodziłem, usiłowałem umysł do równowagi przywrócić. Nie przyszło mi to z łatwością, jednak używszy całej woli, zacząłem zastanawiać

się nad owym faktem zimno, krytycznie. Pomyślałem o naszej biednej matce i o tobie. Gdybym się z nim bił, całe miasto dowiedziałoby się o tem, a nie chciałem żeby cię wymieniano jako bohaterkę awantury. Tak zwana opinia nie wchodzi w przyczyny, nie bada po czyjej stronie słusność, lecz dowiaduje się o faktach i tłómaczy je po swojemu, najczęściej fałszywie. Zastanowiwszy się, uznałem, że najwymowniejszą odpowiedzią na jego list będzie milczenie— ty zgodziłaś się na to samo... Biedne dziecko! ileż mnie kosztowało opowiedzenie ci tego co zaszło! Wyrazy więzły mi w gardle... dusiłem się niemi.

— Jednak wysłuchałam relacji twojej spokojnie i potrafiłam przenieść to...

— Istotnie podziwiałem cię, podziwiałem tembardziej, że byłem przygotowany na wybuch płaczu, na sceny rozpacz i żalu. Przekonałem się wszakże, iż wy, kobiety, umiecie znosić cierpienia,

— Może w tem właśnie siła nasza jest... Nie kryję przed tobą, mój drogi, że przeżyła chwile okropne, ale na szczęście, w samym cierpieniu znajdowało się i lekarstwo zarazem.

— Jako?

— Ciężki zawód łączył się z rozczarowaniem, żal z pogardą, dla tego, który stał się jego przyczyną, że więc przeniosłam taki cios, ściśle biorąc, zasługa niewielka. Po kilku miesiącach uspokoiłam się zupełnie, zapomniałam i, gdyby nie spotkanie wczorajsze...

— Czy on co mówił do ciebie? Opowiedz mi szczegółowo, bo dziś rano, kiedyś mnie prosiła, żebym cię odprowadzić przyszedł, nie było czasu na rozmowę. Czego on właściwie chciał od ciebie? Co go ośmieliło do wszczynania rozmowy?

— O! nie przypuszczaj tylko, że ja! Kiedy wyszłam z pracowni, była już godzina siódma, jak dziś. Zasłaniając się parasolem od deszczu, usłyszałam wymówione moje imię: panno Stanisławo! panno Stanisławo! Obejrzałam się, to był on. Doznałam dziwnego wrażenia, zupełnie jak gdybym nastąpiła na węża... Spojrzałam na niego, nie odpowiadając na ukłon i szłam dalej. On dążył za mną wciąż. Mówił, że chce się usprawiedliwić, wytłómaczyć, uzyskać przebaczenie, deklamował, że bez tego przebaczenia żyć nie może, że niejest w stanie walczyć z sobą dłużej.

— Nędzny błagier!

— Naturalnie, milczałam i przyspieszyłam kroku. On wciąż swoje powtarza!, mówił o uczuciu, które nie wygasło w nim dotąd.

Musiał mu ktoś powiedzieć o owej sukcesji spodziewanej, którą się nasza mama tak słodko łudzi.

— Może być*. Nareszcie, nie otrzymawszy odpowiedzi, oświadczył, że codzień będzie mnie spotykał, że będzie się znajdował zawsze na mojej drodze, aż dotąd, dopóki nie otrzyma...

— Czego?

— Przebaczenia.

— Jakimże sposobem pozbyłaś się nareszcie tego nieproszonego towarzysza?

— Widząc, że nie myśli odejść, weszłam do sklepu. Zażądałam igieł i" różnych drobiazgów. Wybierałam dość długo; on oczekiwał przed sklepem. Widziałam to doskonale. Zabawiwszy w sklepie z kwadrans, wyszłam; na szczęście, przejeżdżała próżna dorożka, wskoczyłam w nią i kazałam się zawieść do domu. Pan Kazimierz został na ulicy i, jak się zdaje, zaniechał dalszej pogoni.

— Bardzoby mądrze zrobił—rzekł Cze tom VIII.

slaw — i więcej od niego nie żądam. Pomiędzy nim a nami wszystko skończone.

Stasi zdawało się, że po drugiej stronie ulicy dostrzegła swego byłego narzeczonego.

Istotnie był to on. W naciśniętym na same oczy kapeluszu, z brodą wsuniętą w podniesiony kołnierz od paltota, przechadzał się po trotuarze, widocznie oczekując na kogoś.

Dostrzegłszy Stasię, idącą w towarzystwie brata, skinął na dorożkę, wsiadł w nią i pojechał, zrozumiałwszy, że oczekiwanie jego dzisiejsze będzie bezowocne.

Rozmawiając o swoich smutkach i kłopotach; brat i siostra doszli do domu na Ogrodowej.

W bramie spotkał ich jegomość już nie młody, dosyć otyły, szpakowaty, ubrany trochę pretensjonalnie, z wąsami i bródką uczernioną, w niebieskich okularach na nosie.

Był to właściciel domu.

— Ah! dobry wieczór—zawołał—co za szczególne zdarzenie! Właśnie chciałem wstąpić do państwa, ale nie wiedziałem, czy państwo jesteście w domu i czy moje wej

ście nio zrobi subiekcyi pani radczyni, którą, jak słyszę, jest cierpiąca.

— Zdaje się — rzekła Stasia — że do pierwszego mamy jeszcze dwa dni.

— Mówi pani jak kalendarz, akurat dwa dni. Sądzicie państwo naturalnie, że przychodzę upominać się o komorne.

— Takby się zdawało—rzekł Czesław.

— Istotnie, czegoż by mógł chcieć od lokatora właściciel domu, kamienicznik! Po co by przychodził? a jednak, niekiedy kamienicznicy miewają i inne interesa do lokatorów. Zdarza się naprzykład, że radziby wiedzieć: czy piece nie dymią, czy okna dobrze pasują i czy w ogóle nie potrzeba jakiej reparacyi w lokalu.

— O, dziękujemy stokrotnie, mieszkanko nasze jest prześliczne i zupełnie dobre.

— Nie o to idzie, proszę pani, ja wiem, że kto nie jest bardzo wymagający, temu wszystko dobrem się wydaje.

— Więc o reparacyę chciał pan zapytać?

— Nie, pani, o co innego. Wszak mama pani jest. chora?

— Tak, niestety.

— Chodzić po schodach jej trudno?

— Rzeczywiście.

— Świeższe powietrze jest dla niej pożądane, jak zwykle dla osoby chorej, nieprawdaż?

— Tak, tak, panie.

— Otoż chciałem zaproponowali państwu zmianę lokalu.

— To znaczy—rzekł Czesław—że nam pan mieszkanie wymawia. Szkoda, przyzwyczailiśmy się, ale trudno, jak trzeba, to wyprowadzimy się ztąd, od kiedyż to:

— Co też pan mówi!? Przeciwnie, chcę państwa jak najdłużej zatrzymać, proponuję tylko zmianę lokalu. Mam tu w oficynie, na dole, śliczne trzy pokoiki, suche, ciepłe, widne, okna wychodzą na ogród... dla pani radczyni będzie to idealne mieszkanko.

— Zdaje mi się, że pan sam je teraz zajmuj e.

— Tak jest, ale chciałbym przenieść

się ua drugie piętro.

— Dlaczego?

— Proszę pani, mam w tem swoje widoki. Po prostu oto dla zdrowia. Czuję, że trochę ociężała, a gdy kilkanaście razy dziennie będę musiał wchodzić na drugie piętro i z powrotem, to taka agitacya wybornie mi posłuży. Jestem o tem najmoc

niej przekonany. Jakże więc, przystaniemy na zmianę?

— Jak myślisz, Czesiu? — zapytała Stasia.

— Moznaby przystać, bez żadnego namysłu—odrzekł—ale uważasz, tamto mieszkanie na dole jest znacznie większe niż nasze i, zapewne, o wiele droższe, a my — dodał, zwracając się już wprost do gospodarza—my, panie szanowny, nie kryjemy się z tem, że nie jesteśmy zamożni...

— Czyż to wstyd? kochany panie, czyż to wstyd? Człowiek młody nie może być zresztą, niezamożny, bo przed nim cały świat otwarty, a pani, naprzykład — rzekł patrząc na Stasię — może jeszcze znaleźć nietylko zamożność ale los, szczęście.

— Ah, nie mówmy o tem!

— Jak nie mówmy, to nie mówmy. Ja tylko proponuję... proponuję zmianę lokalu. Płacić państwo będą tyle co i teraz.

— Przecież nie możemy narażać pana na stratę.

— Jakaż strata?!

— No przecie.

— Niech pani obliczy. Ja sam sobie za komorne nie płacę, a od państwa biorę. Mieszkania dla siebie potrzebuję, a czy

mieszkać będę na dole, czy na piętrze, to mi dochodu ani o jeden grosz nie umniejszy. Nieprawdaż?

— Zapewne, ale zawsze...

— Ja proponuję i proponuję ze szczerej życzliwości. Chociaż nie osobiście, ale ze słyszenia, znam państwa oddawna.

— A to zkąd?

— Nieboszczykowi panu radcy mój brat stryjeczny zawdzięcza to, że obecnie ma doskonałą posadę i pewny kawat chleba. Tylokrotnie mi mówił o państwu, a zawsze z uwielbieniem szczerem i wdzięcznością. Chociażbym więc nawet zrobił państwu jakąś dogodność, to byłaby tylko z mej strony słaba oznaka pamięci i wdzięczności za brata.—Niechże się państwo nio skrupulizują i przyjmą moją propozycję.

— Trzebaby z mamą pomówić.

— Słusznie, bardzo słusznie, trzeba pomówić z mamą; niechże państwo pomówią, ja w niedzielę koło południa wstąpię do państwa i dowiem się o rezultacie. Wszak zastanę państwa?

— Owszem, będziemy.

— Doskonale więc. Przyjdę punktualnie o godzinie dwunastej, a teraz nie za

trzymuję, pani radczyni oczekuje zapewne. Moje uszanowanie, do nóżek upadam!

Czesław ze Stasia, wbiegli szybko na górę i opowiedzieli matce scenę z gospodarzem.

— Ależ brać, brać, bez żadnego namysłu — rzekła radczyni. Sami widzicie, że jest nam tutaj ciasno. Czesław cierpi największą niewygodę.

— O to, moja marno, najmniejsza.

— A jak się gość trafi, to nie ma go gdzie przyjąć.

— Zkąd u nas goście? kochana mateczko, od chwili śmierci ojca nikt do nas nie zajrzał.

— Otoż mylicie się, bo dziś miałam wizytę. Właśnie podczas nieobecności waszej, była pani Ewelina z córeczką.

— Ona?!

— A tak. Cóż cię to dziwi? Przyjechała karetą, przysłała służącego dowiedzieć się czy jestem i przysłała tu do mnie, na górę. Dopytywała się bardzo serdecznie o moje zdrowie, o was, a szczególnie o Czesława, pytała kiedy kursą skończysz? Powiedziałam, że na przyszły rok. To ślicznie, zawołała, to bardzo ślicznie! mąż mój będzie mógł dać panu Czesławowi korzy

tną posado w cukrowni; teraz poszukują młodych ludzi z wyższą kwalifikacją naukową.

— Ależ, marno—zawołał Czesław—ludzi z wyższą kwalifikacją są całe setki w "Warszawie; biedacy, muszą dawać lekcye, gdyż inaczej, pomarliby z głodu.

— Ah! moje dziecko, nie sprzeczasz się. Skoro pani Ewelina powiada, że poszukują—wyraźnie mi to powiedziała. Nie myśl, że ona jedna tak mówi. Zaraz po jej odejściu przyjechała pani Szulc, wiesz przecie, ta co bywała u nas tak często.

— Wiem, wiem.

— Jej mąż jest teraz bardzo ważną figurą w zarządzie drogi żelaznej i szczerze żałuje, że jesteś jeszcze na kursach, ponieważ wzięłby cię zaraz na kolej.

— Zkąd taka nagła czułość? Nie rozumiem, doprawdy, jestem, jak na niemieckim kazaniu.

Szczególny z ciebie chłopak, mój Czesiu. Zkąd czułość? Dziwne pytanie. To nie jest żadna czułość, tylko stosunki, stosunki nasze dawne, moje dziecko. Twój ojciec robił ludziom tyle dogodności, więc teraz ludzie nam robią. Cóż się dziwić? kiedy nietylko ludzie z towarzyszy

stwa, ale nawet taki Fichtencwajg czuł się w obowiązku.

— Czyż i on był tutaj?

— A był.

- Czegóż chciał od mamy?
- Przyszedł dowiedzieć się o moje zdrowie i pytał, czy mi nie potrzeba pieniędzy. Ofiarował mi kilkaset rubli na pół roku na bardzo mały procent.
- I mama wzięła od niego?
- Naturalnie, że wzięłam... dlaczegoż nie miałam wziąć?
- A z kąd oddamy?
- O! niech was o to głowa nie boli. Nie ztąd, to zowąd, zawsze się znajdzie. W każdym razie, Fichtencwajg jest bardzo poczciwy. Gadają na żydów, piszą na nich, a jednak...
- Zapewne darmo nie pożyczył mamie tych pieniędzy.
- No, nie.
- A widzi mama!
- Cóż chcecie, przecież to jego chleb. On z tego żyje.
- Co mama myśli zrobić z temi pieniędzmi?—zapytał Czelaw.
- Meble chcę kupić. Cóż patrzycie

ua ranie z takim zdumieniem, wszak nie mówię od rzeczy...

- Dotychczas mama nie miała tego zamiaru — odezwała się panna Stanisława nieśmiało—i to właśnie cokolwiek nas zdziwiło.
- Szczególna rzecz, jak wy nie pojmujecie najpierwszych potrzeb życia! to trudno, proszę was, kto z ludźmi chce żyć, musi po ludzku mieszkać przede wszystkim. Jak cię widzą, tak cię piszą, tembardziej teraz, gdy mamy zając obszerniejsze mieszkanie...
- Kto u nas bywa, moja mammo!
- O! bywają ludzie i bywać będą. Przyjdzie pani Ewelina z córką, pani Szulc, na czymże je posadzę? Czy na tych wypłowiałych stołkach może? Nie, moje dzieci, na żaden sposób... tego mi zabronić nie możecie.
- Ależ, droga marno — odezwała się Stasia—ani ja, ani Czesław nie śmielibyśmy nigdy krępować woli mamy. Tak mama robi, jak jej się podoba.
- Jeszcze jedno, moja Stasiu.
- Co mama każe?
- Ponieważ pani Ewelina z córką be

dzie odwiedzała nas częściej i ponieważ, jak widzę, odnowimy wszystkie dawniejsze stosunki, więc obecność twoja w domu jest konieczna. Prosiłabym cię przeto, żebyś dała za wygrane lekcy om, za które cały dzień się uganiasz. Panna z towarzystwa powinna siedzieć w domu, dopóki za mąż nie pójdzie. Bardzo też proszę cię o to. Teraz idźcie już spać, ja również potrzebuję wypoczynku, głowa mnie rozboleła. Myślałam i myślałam: jaki kolor mebli będzie najodpowiedniejszy i nie mogłam się zdecydować. Może rano lepsze myśli przyniesie. Po odejściu matki, Stasia zapytała brata.

— W c6z si6 obr6c6 teraz nasze usi6lonia i zamiary?

IV.

Pan inżynier miał zwyczaj drzemać po obiedzie całą godzinę.

Wypiwszy czarną kawę, zapalał cygaro, brał gazetę, którą mu akurat o tej porze z poczty przynoszono, i, położywszy się w swym gabinecie na wygodnej, szerokiej otomanie, czytał, dopóki genialny wynalazek Gutenberga nie skleił mu powiek.

Aczkolwiek mieszkanie było obszerne, jednak podczas poobiedniej drzemki pana inżyniera nikt odezwać się nie śmiał. Pani Janina chodziła na paluszkach, dzieciom nie było wolno ust otworzyć, a gdy które przekroczyło ten zakaz, natychmiast wypędzane zostawało bądź na podw6rze, bądź do kuchni, stosownie do pory roku i do pogody.

Pewnego dnia, pan inżynier bardziej potrzebował poobiedniego spoczynku niż kiedyindziej.

Złożyło się na to kilka przyczyn.

Przedewszystkiem był bardzo spracowany. Trzeba zdarzenia, że coś się na linii popsuło i pan inżynier sam, osobiście, musiał pojechać to oglądać, aż na czwartą wiorstę. Przebyć taką drogę, tam i z powrotem na drezynie, to nie są żarty, tembardziej, że przez cały czas pada! drobny deszczyk.

Powróciwszy z tej wycieczki, pan inżynier zabrał się do obiadu, który mu wyjątkowo smakował i bardziej jeszcze usposobił do snu.

Ległszy na sofie, byłby odrazu usnął, ale chciał dokończyć cygara i, z przyzwyczajenia, rzucił okiem na gazetę.

Gdy wziął ją do ręki, stała się rzecz nadzwyczajna. Zamiast przymykać oczy, pan inżynier coraz je szerzej otwierał, zamiast przycisnąć głowę do poduszki, podnosił się zwolna, podnosił, aż wreszcie wstał, przeszedł do okna i tu odczytał gazetę powt6rnie.

Potem zadzwonił.

Zbiegła się cała służba, zaalarmowana

dzwonieniem o tak niezwyklej porze. Przybiegła i sama pani Janina przerażona, przypuszczała albowiem, że drogi jej małżonek nagle zasłabł i potrzebuje pomocy.

— Czegożście zlecieli się tutaj?! — krzyknął opryskliwie.

— Sądziłam, żeś zasłabł, mój kochany, po takim zmęczeniu. Ja ci zawsze powiadam, że ty za wiele pracujesz, Adolfie. Cóż ci potrzeba? dlaczegoś dzwonił?

— Każ mi daci jeszcze czarnej kawy i przyjdź, mam ci parę słów powiedzieć.

— Spać nie będziesz?

— Nie.

— Dla czego? po takim zmęczeniu.

— Nie... nie... nie moze... Proszę cię tylko, żeby kawa była gorąca i każ podać koniak, ten, co niedawno przywieziony z Warszawy.

To powiedziawszy, pan inżynier zaczął się przechadzać po pokoju wielkimi krokami, głaszcząc brodę i poświstując półgłosem motyw z jakiejś opery.

W kilka chwil później, gorąca kawa stała już na stoliku, a pani Janina zatrzymała się na środku pokoju, nie wiedząc, czy wyjść i zostawić małżonka w samotności,

czy też zostać i słuchać zapowiedzianych zwierzeń.

— Może ja ci przeszkadzam? — zapytała.

— Nie, owszem, proszę cię usiądź. Pani Janina zajęła fotelik przy oknie.

— Powiedz mi, proszę cię — rzekł głaszcząc brodę — czy nie miałaś listu od matki?

— Nie.

— Ani od siostry?

— Stasia pisała przed dwoma tygodniami, donosząc, że mama chora.

— To wiem, idzie mi jednak głównie o późniejsze wiadomości, o ostatnie wiadomości od matki. Więc powiadasz, że nie miałaś ani depeszy, ani listu... nic? przeczytajno to...

Pani Janina rzuciła okiem na zakreśloną wiadomość i przeczytała następujace wyrazy: „Uśmiech losu. Niedawno umarł w Paryżu, zamieszkały tam od dość dawna zamożny przemysłowiec i pozostawił po sobie znaczny, podobno kilka milionów franków wynoszący majątek. Z. był kawalerem i umarł bez testamentu, cała jego fortuna przechodzi zatem na państwa L. mieszkańców Warszawy! Reporterowi

naszemu udało się zebrać kilka szczegółów, dotyczących wybrańców fortuny. Rodzina składa się z matki, oraz dwojga dzieci: syna i córki. Niedawno zmarł ich ojciec pozostawiając wdowę i sieroty wopłakanem położeniu materyalnym.

Syn, student uniwersytetu, zarabia na życie lekcyami, córka pracuje podobno igielką, czy też daje lekcyce za bardzo marne wynagrodzenie. Trzeba przyznać, że tym razem, fortuna uśmiechnęła się w samą porę."

— Cóż myślisz o tem? zapytał pan inżynier.

- Nie wiem, doprawdy. Z opisu możnaby mniemać, że istotnie jest mowa o naszej mamie, Czesławie i Stasi, ale zkadźeby taka sukcesya? To musi być co innego, albo podobieństwo sytuacji i początkowych liter nazwiska, albo po prostu plotka nieuzasadniona, wymysł może. W każdym razie, rzecz ciekawa.
- Moja Janinko, każ mi przygotować walizkę. Pojadę do Warszawy.
- Dziś!
- Najbliższy pociąg odchodzi za dwie godziny.
- Dowiesz się więc.
- O! nie sądz znowu, że dla sprawdzę

nia tej pogłoski jadę, także miałbym po co? "Wyjeżdżam, ponieważ miałem od kilku dni ten zamiar.

— Nie wspomniałeś nic.

— Moja kochana, mając tyle interesów co ja, nie sposób wspominać o każdym, tem bardziej, że to do niczego nie prowadzi. Jeżeli chcesz napisać kilka słów do matki lub siostry, to racz się pospieszy*!.

— Owszem, napiszę zaraz. Czy będziesz sam u mamy? — zapytała nieśmiało.

— Naturalnie, że będę. Co prawda, wiem, że nie cieszę się szczególną sympatya u tych państwa na Ogrodowej ulicy, ale przedewszystkiem obowiązek. Ponieważ mara obowiązek odwiedzać matkę mojej żony, odwiedzam ją więc, bez względu na to, czy mnie tam mile, czy niemile przyjmują.

Pani Janina wzięła się do pisania listu, a w dwie godziny później, małżonek jej rozpiął się wygodnie w osobnym przedziale wagonu klasy pierwszej.

Pociąg pośpieszny pędził całą siłą pary, przebiegając pola i lasy, wlokąc za sobą kłęby czarnego, gryzącego dymu.

— Pan inżynier przybywszy do Warszawy i przebrawszy się w hotelu, pospieszy! przedewszystkiem do teatru.

tom VHL

Czyniąc to, miał cel podwójny: zobaczyć sztukę, której nie znalazł jeszcze i dowiedzieć się od znajomych czegoś pewnego o sukcesyi, jaka na rodzinę Lubiczów spaść miała.

Człowiek bardzo wyrachowany i przezorny, lubił działać oględnie, opierając się na pewnych podstawach.

W teatrze ujrzał pełno osób, grano poraz trzeci dopiero nową sztukę rozgłośnego autora, wszystkie miejsca były zajęte.

Podczas antraktu, pan inżynier wyszedł do „foyer”, w przekonaniu, że usłyszy coś o kwestyi, która go tak dalece obchodziła.

Istotnie, zaraz zbliżyło się do niego kilku znajomych.

— Ha! jak się masz! jak się masz, panie inżynierze! — zawołał otyły jegomość, kolega z kursów, — dalibóg, w czepku się urodziłeś, jak to mówią! powinszować!

— O niczem nie wiem — odrzekł pan Adolf, udając zdumienie, — nie mam pojęcia, na czem moje rzekome szczęście polega.

— Nie udawaj! bardzo proszę, nie udawaj. Całe miasto o tem mówi, gazety piszą, a ty nio wiesz! Czy do waszego kąta żaden głos ze świata nie dochodzi?

— Jestem tak dalece zajęty służbą, że nie zwracam uwagi na to, co kto mówi.

— Służbą?! to paradne, doprawdy! Więc oddajesz się służbie tak gorliwie, jakbyś miał zamiar całe życie jej poświęcić?"

— Całe życie?! Nie, ale dopóki nie wysłużę emerytury...

— Słyszycie, słyszycie! To komiczne, dalibóg, ten człowiek opowiada o emeryturze. Wstydzilibyś się doprawdy, panie Adolfie.

— Czego?

— No, no, nie udawaj tylko. Przecież nie sposób, żebyś" mając dziś tak olbrzymi majątek, zajmował posadę, o której marzy dziesięciu przynajmniej bardzo, a bardzo potrzebujących. Dla nas nie ulega wątpliwości, że podasz się do dymisyi. Z ustąpieniem twojem otworzy się cały szereg wakansów. Nawet zobaczywszy cię tu w Warszawie, pomyślałem odrazu, że nie po co innego, tylko po to przyjechałeś.

— Dziwne żądanie, szanowny kolego, bardzo dziwne.

— Owszem, mojem zdaniem naturalne. Powiem ci otwarcie, że ja przynajmniej, tak dalece na to liczyłem, iż wczoraj

chodząc do dyrektora, aby go prosić o twoją posadę.

— Dla siebie?

— Nie, dla jednego z moich kuzynów. Powiedziałem dyrektorowi, że jeżeli zostaniesz na kolej, to tylko chyba w charakterze członka rady zarządzającej, jako akcyonaryusz. Powiedziałem, że nosiłeś się oddawna z zamiarem opuszczenia służby. Kwestya, kto obejmie twoją posadę, rozstrzygnie się na najbliższej sesyi.

Pan inżynier zaczerwienił się po same uszy.

— To jeszcze zobaczymy — rzekł, — dotychczas nie podałem się do dymisyi.

— Czcza formalność, bez której można się obejść. Dyrektor wie, że wychodzisz i dosyć.

— Do diabła! — zawołał pan Adolf, — kto śmie...

Dzwonek przerwał ten wykrzyk.

— Nie irtuj się szanowny kolego... akt się zaczyna. Trzeba zobaczyć. Po skończeniu, możemy jeszcze pomówić.

Czekaj na nas w kontramarkarni, pójdziemy razem na kolację. Przecież można się porozumieć. Tobie po tej posadzie nic, a mój kuzyn, jak tylko dostanie nominację, be

dzie mógł się ożenić, to nie bagatelka!... dwie kamienice, folwark; naturalnie, po najdłuższem życiu matki. Pytałem się lekarzy, co warto jej szacowne zdrowie. Powiedzieli, że maximum dwa lata!...

Kolacya w pierwszorzędnym handlu w bliskości teatru, była wykwinna; dysponował ją, po porozumieniu się z kolegami, sam pan inżynier, wielki znawca spraw gastronomicznych. Każdy punkt programu przedyskutowany był jak należy, z zastanowieniem się i rozmysłem.

— Kto nie umie zadosponować obiadu, lub kolacyi — mówił pan Adolf, — ten, ściśle mówiąc, niewiele jest wart.

Wolno inżynierowi nie wiedzieć jak się stawia most, wolno prawnikowi sprawę przegrać, doktorowi chorego do grobu wpędzić, lecz umieć* jeść musi każdy porządny człowiek, a to nie jest rzecz łatwa.

— O, nie łatwa! — powtórzył kolega z namaszczeniem, zawiązując serwetę pod brodą. — Żyć się, karmić się, opychać, potrafi lada chłop, jestto bowiem akcja właściwa zwierzęcej naturze człowieka, akcja przyrodzona niejako, ale jeść, w szlachetnem znaczeniu tego wyrazu, to sztuka,

w której tylko wysoko inteligentni ludzie celują.

— Naturalnie!

— Mój Boże!—rzeki z uśmiechem pan Adolf, zabierając się do homara, — ledwie kilkanaście lat upływa od czasu, gdy będąc na kursach, jadło się chleb razowy i serdelki, a dziś...

— Tak... tak, a dziś jakaż różnica pojęć! Jużto z czystem sumieniem możemy powiedzieć, że nic traciliśmy czasu napróżno, dziś mamy już pojęcia ustalone.

— Ugruntowane, iż tak powiem, a dlaczego? Bośmy wiele przeszli, wiele przcierpieli. Ja naprzykład, ledwie, ledwie wykręciłem się od kataru żołądka. Doktor twierdził, że za dużo jadam, ale mylił się, to była wina kuchni.

— Ja proszę was, poszedłem jeszcze dalej, bo prosiłem teściowej, żeby zamieszkała przy nas. Wiecie zapewne, co to jest mieć matkę żony w domu!

— Istne piekło!

— O, tak, ale moja teściowa zna się wybornie na kuchni. Jak da obiad, tomożna zjeść go z przyjemnością. Stępkowski niech się schowa ze swoją armią kuchmistrzów. Ja tę kobietę uwielbiam pod

czas obiadu. O innej porze dnia nie jestem nią wcale zachwycony, ale w obiad! Daję wam słowo, że ta kobieta w obiad jest warta milion.

— To się micnij z Adolfem — rzekł któryś z biesadników, — weź jego milion, a daj mu twoją teściowę.

— Propozycja godna rozważenia, nie zdaje mi się jednak, żebym na nią przystał. Miliona jeść" nie będę.

— Jesteś wzorem zięciów!

— Znam się trochę na rzeczy... i nic więcej.

Gdy podano szampana, rozmowa ożywiła się jeszcze bardziej. Wszyscy pana Adolfa ściskali, całowali, winszując sukcesy, on natomiast przyrzekł, że jak tylko miliony odbierze, wnet się poda do dymisy i sam dołoży wielkich starań, żeby kuzyn kochanego kolegi tę posadę objął.

— Ale — mówił, — znacie moje, że lubię porządek, że poniekąd uważany jestem nawet za pedanta.

— Więc cóż! przeliczysz swoje skarby z pedantyczną ścisłością i dosyć.

Nie o to idzie, moi dobrzy; tylko uprzedzam was, że podam się do dymisy

nie jutro, ani nie za tydzień, lecz w dniu, w którym owe miliony odbiorę.

— Formalista jesteś?

— Nie, moi kochani, od tego nie odstąpię. Ja za worek, wy za dworek, taka jest moja zasada. Zresztą, czy wy myślicie, że ja wierzę w jakieś tam zagadkowe sukcesy, albo, że o nie dbam!

— On nie dba! Wybacz, panie Adolfie, ale nie przypuszczam, żeby się znalazł naiwny, któryby ci uwierzył.

— Naturalnie! naturalnie.

— Nie wierzycie? Jak wam się podoba, ja wszakże trwam przy swoim i powiadam, że ani wierzę, ani dbam.

Obchodzi mnie cała ta historia tyle, co przeszłoroczny mróz.

— To się zrzecz na naszą koszyść.

— I tego nie zrobię. Nie dbam, ale za okno nie wyrzucę, taka już moja zasada, a ja przede wszystkim jestem człowiekiem zasad.

Po kolacy, pan inżynier udał się do hotelu na spoczynek. Aczkolwiek o sukcesy nie dbał, jednak myśl o niej spadła mu nie pozwoleń. Do samego rana prawie usnąć nie mógł, rozmyślał, zastanawiał się, dopóki zmęczenie nie wzięło góry nad pod

nieconym i rozgorączkowanym nieco umysłem.

Gdy się przebudził, była godzina jedenasta. Ubrał się pośpiesznie i wyszedł na miasto. Był w kilku redakcjach, w celu zebrania pożądaných informacji, później udał się do jednego ze znakomitszych prawników, a następnie, zjadłszy doskonały obiad, kazał się zawieźć na Ogrodową.

Pani radczyni powitała go okrzykiem radości.

— Czy słyszałeś, Adolfie — zawołała zaraz na wstępie — czy słyszałeś o naszym szczęściu?

Udał, że nie wie o niczym.

— Chyba u loteryi mama wygrała — rzekł.

— Ależ gdzie tam! Niepodobna, żebyś nie wiedział, całe miasto o tem tylko mówi, po gazetach piszą. U nas drzwi nie zamykają się, odbieram ze wszystkich stron powinszowania, a prócz tego, zgłaszają się ciągle różni panowie z propozycjami nabycia domów, dóbr, lub korzystnych bardzo interesów. Poczciwy Fichtencwajg, który mi w

najkrytyczniejszej chwili kilkaset rubli pożyczyl, zgłaszał się także z propozycją założenia olbrzymiego lombardu.
Powia

da, że to jest bardzo a bardzo zyskowny interes, że można w przeciągu kilku lat podwoić kapitał. Fichtencwajg żąda na początek stu tysięcy rubli i chce wszystkie kłopoty prowadzenia lombardu wziąć na siebie, tak, że my, bez żadnego zachodu, zbieralibyśmy tylko zyski. Nie masz wyobrażenia, jakie to poczciwe żydzisko. Jak sądzisz, Adolfie, zdecydować się na ten lombard? czy może lepiej majątek kupić?

Zamiast odpowiedzi, pan Adolf powoli i z wielką powagą, zaczął wypytywać się o szczegóły dotyczące owego spadku, a zebrawszy wszystkie wiadomości, jakie mu były potrzebne, zabierał się do odejścia.

— Zostań, zostań—mówiła radczyni— wieczór, tylko patrzeć jak dzieci nadejdą. Będziesz mi nawet potrzebny, bo nie wyobrażasz sobie, jaki z niemi mam kłopot.

— Cóż takiego?

— Czesław..

— O, przepraszam mamę, ale co się tyczy pana Czesława..

— Posłuchajże przynajmniej o co idzie.

— Słucham, ale z góry zastrzegam, że w nic się wdawać nie będę; naraziłbym się tylko na nieprzyjemność.

— Uprzedzasz się niesłusznie.

— Już ja wiem, co mówię.

— Otoż Czesław zabija się lekcyami, pracuje od rana do nocy; w prawdzie zarabia, stosunkowo zarabia nawet dużo, ale czyż dziś potrzebuje zarobku kosztem zdrowia?

— Upór, wygórowana ambicya! Ja zawsze mówię, że ten chłopak nie zajdzie daleko. Nie ma języka, którymby można do niego przemówić. A propos, jakież wrażenie zrobiła na nim wiadomość o sukcesyi?

— Wzrusza ramionami i śmieje się.

— Śmieje się?

— Tak, powiedział do mnie, że kto ma mniej złudzeń, tem mniej rozczarowań go czeka i—stanowczo w nadspodziewane laski fortuny nie wierzy.

— Czy opiera to na jakich podstawach?

— Jakto?

— No, może ma jakie wiadomości, może zasięgał informacji, pytał się kogo?

— Ale gdzież tam, powiada, że nie wierzy i dość' na tem.

— Rzecz szczególna — mruknął pan inżynier półgłosem, bo ten chłopak, pomimo swoich wad, zdradzał niekiedy wcale poważne usposobienie.

— Zresztą, mniejsza o niego. Jest samodzielny i energiczny. Nieoh sobie

robi co chce, ale dla czego mi Stasię buntuje?

— Stasi ę?

— Tak jest. Co ja już łez wylałam, ile nocy niespanych przepędziłam z tego powodu. Wyobraź to sobie, Adolfie, że Stasia całe dni przepędza po za domem, daje, proszę cię, jakieś lekcye!

— Teraz to już zupełnie zbyteczne.

— I ja mówię, ale Stasia ani chce słuchać. Powiada, że zrobiła zobowiązanie na rok cały i nie może naruszyć umowy.

— To głupstwo! Ktoby się takimi drobnostkami krępował. Kazać Stasi, żeby nie chodziła na lekcye i dosyc. Dziwię się, że mama robi z tem jakieś ceremonie.

— W tej chwili, Czesław z siostrą weszli do pokoju.

— Adolf — zawołała Stasia.—Czy nie przywiozłeś listu od Janinki?

— Owszem, przywiozłem, oddałem mamie.

— Muszę go zaraz przeczytać. Czesław skłonił się i, milcząc, podał rękę panu inżynierowi.

— Niespodziewany gość — rzekła Stasia.

— Istotnie, nie miałem zamiaru byd

w Warszawie—odrzekł pan Adolf—przyjechałem przypadkiem, w interesie służbowym.

— Spadkowym raczej — wtrącił Czesław.

— Nie wiedział nic o żadnym spadku, mama dopiero...

— Szczególne poczty macie na prowincyi. Zapewne gazety z przed tygodnia jeszcze uie nadeszły.

— Czy nadeszły, czy nie, jest to rzecz podrzędna... nie każdy zresztą ma tyle wolnego czasu, żeby mógł czytać wszystkie dzienniki od deski do deski... Przyjechałem odwiedzić matkę mojej żony i rodzeństwo; jest to obowiązek, który ani z gazetami wogóle, ani z tem co się w nich znajdować może, nie ma żadnej styczności.

— Obowiązek, zapewne...

— A naturalnie, każdy człowiek powinien spełniać swoje obowiązki, nic więcej, tylko obowiązki. Wszelkie tak zwane poświęcenia się, ofiary, są zupełnie zbyteczne. Niech tylko każdy pełni co do niego należy, a świat będzie zupełnie inaczej wyglądał niż teraz.

Czesław słuchał tej deklamacyi z ironicznym uśmiechem na ustach. Stasia za

częła się krzątać koło kredensu, jedna tylko radczyni podtrzymywała rozmowę.

— Tak, tak, masz rację, kochany Adolfie—rzekła.

— Ja zawsze mam rację, szkoda tylko, że nie każdy to rozumie; obowiązek, widzi mama, to jest grunt i podstawa wszystkiego, obowiązek to jest...

— Proszę państwa na herbatę—zawołała Stasia,

— Chodźmy—rzekł Czesław—przecież to także obowiązek...

— Mam do ciebie, moja Stasiu, prośbę — rzekł pan inżynier, zajmując miejsce przy stole.

— Prośbę? do mnie?

— Tak jest... prośbę w imieniu Janinki. Kiedym odjeżdżał, Janinka poleciła mi, abym mamę i ciebie zaprosił na parę tygodni do nas. Dobrze byłoby odetchnąć trochę po warszawskim zaduchu. Wprawdzie, nie jest teraz lato, ale bądź co bądź, u nas na prowincyi, czas o każdej porze dość przyjemnie schodzi. Żyjemy z ludźmi, wiele osób bywa u nas...

— O! to mnie najmniej interesuje.

— Dla czego? — wtrąciła matka —

młoda osoba nie powinna unikać towarzystwa.

— Zwłaszcza takiego, jakie u was się zbiera—rzekł pan inżynier. Mogłabyś zrobić doskonałą parfyę.

— Ja o tem myśleć nie chcę.

— Dziecko jesteś — odezwała się radczyni—co do mnie, przyjmuję z całą gotowością zaproszenie Adolfa. Doprawdy, stęskniłam się już do Janinki i do wnuczków. Kiedyż moglibyśmy wyjechać?

— Jak mamie dogodniej, ale im prędzej, tem lepiej. Ja moge zabawić w Warszawie jeszcze dzień jeden, dwa najwyżej, dłużej nie, a chciałbym, żebyśmy pojechali razem.

— Dzień, dwa... no, to będzie dość czasu do pomyślenia o naszych toaletach. Musimy, Stasiu, jutro od samego rana wyjść na miasto... żeby jak najspieszniej pozatwierać sprawunki, nie sposób bo trzymać tu długo Adolfa, on ma tyle zatrudnienia, tyle obowiązków na głowie!

Pani radczyni tak była zajęta projektami wyjazdu, że nie spostrzegła, iż Stasia zmieszała się bardzo i pobladła. Nie uszło to jednak uwagi pana inżyniera.

— Co tobie jest, Stasiu—zapytał.

— To nic—odrzekła—bagatelka. Głowa trochę boli... przepraszam marne, pójdę położę, się na chwilę.

— Może ci zanieść herbatę? — spytał Czesław i, nie czekając na odpowiedź, wyszedł za siostrą.

— Widzi mama — rzekł z uśmiechem pan inżynier — na jaki dobry pomysł wpadłem.

— To jest...

- Mówię, że wpadłem na dobry pomysł, zapraszając do siebie mamę i Stasię. Kwestya owych lekcyj, która tak bardzo mamę niepokoi, zostanie odrazu rozwiązana. Stasia wyjeżdża i lekcye się kończą.
- To prawda! ileż wdzięczności winna ci jestem, Adolfie!
- Mnie się zdaje, że owe lekcye to tylko pozór, że po za niemi kryje się co innego.
- Ah! Adolfie, co też tobie przychodzi do głowy?! — rzekła radczyni z wyrzutem.
- No, już ja mam dobre oko, zapewniam mamę.
- Stasia jest tak pocziwe dziecko...
- Bezwątpienia. Ja jednak trwam przy swoim i jestem moralnie przekonany,

że ona żadnych lekcyj nie daje, że mów o nich tylko dla zamydlenia oczu mamie.

— Więc cóż robi? z czym się kryje? na miłość Roga, Adolfie, powiedz, wyprowadź mnie z niepewności! Wierzyć trudno, a jednak... alboż ja wiem co myśleć?... ja słaba, schorowana kobieta, nie mogę chodzić za nią, krok w krok... Chociaż nie! nie, to niepodobieństwo! ta dziewczyna nie mogłaby popełnić nic niewłaściwego.

— O tem też nie ma mowy, moja mamo.

— Więc cóż przypuszczasz? czego się domyślasz?

— Jasno określić tego nie potrafię, ale przeczuwam w tem wpływ i działanie pana Czesława.

— Czesia!

— Naturalnie; jakiś concept pełen egzaltacyi—tu uśmiechnął się szydyczko — dobijanie się stanowiska własnymi siłami. Ona zawsze była pod jego wpływem. Myślała jego myślami, widziała w nim ideał doskonałości. Czy mama nie zauważyła, jak Stasia zbladła, jak wspomniałem o wyjeździe, jak porozumiała się oczami z Czesławem, jak zaraz na zawołanie znalazł się ból głowy.

T. W tom VIII. i

— Kiedy ona istotnie, w samej rzeczy, ulega często atakom migreny.

— Mnie tem nie zwiedzie. Ja mam dobre oko.

— Zawołam ja, i wnet dowiemy się całej prawdy...

— A nie! nie trzeba. Niech mama tego nie robi, niech mama nie da nawet poznać, że się czegoś domyśla. Udawajmy, że nie wiemy o niczem. Ja zapraszam, mama ją zabiera; jedziecie ze mną i cała historia. Zostać w Warszawie sama nie może, a skoro matka decyduje się na wyjazd i chce ją zabrać z sobą, jechać musi. Tym sposobem cichutko, bez scen, bez płaczów, bez wojowania z panem Czesławem, krzyżują się wszelkie plany, a dziewczyna pójdzie tą drogą, jaką iść powinna... zwłaszcza teraz, gdy nadspodziewanie staje się panną bogatą. Mając znaczny posąg, może doskonale wyjść za mąż...

— Uwielbiam cię, Adolfie. Ja przecież ciągle z nią jestem i niczego się nie domyślałam, ty przyjechałeś na krótko, raz spojrzaleś i wiesz więcej aniżeli ja! Otworzyłeś mi oczy, doprawdy, otworzyłeś mi oczy. Gubię się w domysłach, co oni z Czesławem zamysłali zrobić, nie pojmuję.

— To tem będziemy wiedzieli — rzekł z wielką pewnością siebie pan inżynier, tymczasem niech nam wystarcza to przekonanie, że od chwili wyjazdu z Warszawy, panna Stanisława będzie już wyłącznie pod naszym tylko wpływem i, że nie egzaltowany student, ale my o jej losie radzić będziemy. Jak powiedziałem, u nas w domu bywa wiele osób, pomiędzy nimi kilku ludzi bezzennych, mających stanowiska i wpływy. Nawet pomocnik dyrektora naszej drogi często mnie odwiedza i skoro zobaczy Stasię, to kto wie? Panna z takim posagiem! Trzeba zaś mamie i to wiedzieć, że ów wicedyrektor posiada ogromne stosunki, mieć takiego w rodzinie, to więcej znaczy niż majątek.

— Zapewne... powiedzże mi, Adolfie, czy to młody człowiek?

— Młody!/? to rzecz względna, są różne pojęcia o młodości. Można być dwudziestoletnim starcem i pięćdziesięcioletnim młodzikiem.

— Ale przecież, ile ma lat?

— Wygląda na czterdzieści kilka.

— Przystojny?

— To także rzecz względna. Trochę może za nadto poważny, sztywny, ale nie

kiedy ożywia się. Między nami mówiąc, jest to stary kawaler, więc też ma swoje różne dziwactwa, ale zresztą, proszę, mamy, ściśle biorąc, cóż to jest młodość? Krótka chwila. Co tak zwana uroda?., głupstwo, nic więcej.

— Jednak, gdyby Janinka była brzydka...

— Zapewne... chociaż teraz nie zważałbym na to. Ostatecznie, taki wice dyrektor to wyjątkowa partya.

— Z tego co mówisz, nie sędzę, żeby zrobił wrażenie na Stasi.

— Niech tylko Stasia na nim wrażenie zrobi... reszta do nas należy, od czegoż my jesteśmy? Mama od siebie, Janinka od siebie, ostatecznie i ja także coś powiem. Nie sposób, żeby połączonym naszym usiłowaniam nie udało się przekonać jej, a choćby nawet popłakała z początku, za to, w przyszłości, miałyby czem łzy ocierać.

Pani radczyni milczała.

— Zresztą — ciągnął dalej inżynier — o przymusie tu mowy niema. Ja radzę, bo uważam to sobie za obowiązek, a u mnie obowiązek przedewszystkiem. Gdyby się uparła i nie chciała, to może sobie wybrać

kogo innego, prowadzę dom otwarty i przyjmuję dużo, dużo osób.

— Radziłabym odrazu nie nalegać.

— Naturalnie, tego rodzaju plany należy przeprowadzać powoli. Teraz ja pójdę spocząć!. Niechże mama zachowa naszą rozmowę w tajemnicy i pozwoli mi działać.

Stasiu! Stasiu! —zawołała pani radczyni—chodźże tu, Adolf odchodzi.

Stasia weszła. Oczy miała zaczerwienione, jakby od łez.

— Cóżto, moje dziecko, płakałaś?—zapytała matka.

— Zdaje się mamie.

— Widzę przecież!

— Nie, to z bólu głowy mam może oczy czerwone. Odchodzisz już, Adolfie?

— Idę, spocząć muszę, gdyż jutro mam jeszcze różne rzeczy do załatwienia. Do branoc mamie, dobranoc ci, Stasiu.

Pan inżynier nie myślał wszakże spoczywać. Przyjechał do AVarszawy nie po to przecież, żeby spać. Na spoczynek dość miał czasu w domu.

— Jeszcze przy śniadaniu umówił się ze znajomymi, że się na kolącyę zbiorą, aby przy miłej pogawędce parę godzin przepędzić. Dla tych znajomych, pan Adolf

był o wiele droższym towarzyszem obecnie, aniżeli dawniej.

Otaczał go urok bogactwa, które zawsze przyciągająco działa na ludzi. W wesołym gronie biesiadników, przy kieliszku szampana, była mowa o rozmaitych projektach i wielkich przedsiębiorstwach, budowach nowych kolei żelaznych, antrepryzach, które miały spodziewaną fortunę podwoić".

Każdy niemal człowiek, ujrzawszy się nagle w posiadaniu znaczniejszej sumy, lub też mając nadzieję, że w niedalekiej przyszłości mieć ją będzie, wnet ucuwa w sobie powołanie do odegrania roli wielkiego finansisty. Miliony spodziewane chce wnet podwoić, potroić.

Gdy pan inżynier, w gronie wesołych towarzyszków, rozprawiał szeroko na temat, co znaczą duże pieniądze w ręku człowieka genialnego, w skromnym mieszkaniu na Ogrodowej ulicy było już cicho i tylko w jednym pokoju paliło się światło.

Pani radczyni usnęła, marząc o świetnej przyszłości córki, a brat z siostrą rozmawiali szeptem, aby tego snu i tych marzeń świetnych nie przerwać.

Stasia miała w oczach łzy. Czesław uspakajał ją i pocieszał.

Na trzeci dzień, dwoma dorożkami udano się na dworzec drogi żelaznej.

Pan inżynier skrzywił się, patrząc na mnóstwo tłumoczków, jakie z sobą radczyni zabrała, ale niezadowolenia swego nie śmiał głośno objawiać.

Ulokował się z paniami w przedziale pierwszej klasy i, zapaliwszy cygaro, spogląda! z góry na ów szary tłum, który z gorącym pośpiechem przebiega od wagonu do wagonu, szukając twardej ławki.
Gdy się rozległ głos drugiego dzwonka, do przedziału, zajętego przez naszych znajomych, wskoczył młody człowiek w stroju podróżnym.

Wskoczył, spojrzął na panią Lubiczową, na Stasię i wybąknawszy przepaszam" wyskoczył jeszcze prędzej z wagonu.

— Czy mnie wzrok nie myli—zawołała pani radczyni — Stasiu, kto to był?

— To był, mateczko, pan Kazimierz— odpowiedziała Stasia...

y.

W apartamentach pana inżyniera było gwarno i ludno.

Dzieci uradowane z przyjazdu babci i cioci, które przywiozły ze sobą cnły transport zabawek, pozwalały sobie krzyczeć głośniejsz niż zwykle. Pani Janina uwijała się, aby jak najlepiej przyjąć matkę i siostrę, służba była w nieustanym ruchu.

Prócz tego. zaczęły, się przygotowania do wielkiego przyjęcia, jakie pan inżynier z okazji dnia urodzin żony postanowił wyprawić.

— Dotychczas nie przyjmowaliśmy gości w moje urodziny — ośmieliła się zauważyć pani Janina.

— Istotnie—odrzekł—nie przyjmowaliśmy, ale w tym roku wyjątkowo przyjmujemy.

— Jeżeli sobie życzysz.

— Nietylko życzę sobie, lecz chcę. Są tego rodzaju okoliczności, że muszę wydać" wieczór i to taki, żeby o nim dużo mówiono.

— Jak każesz...

— Bądź więc łaskawa i zajmij się tem. Możesz się poradzić matki, ona w takich razach ma znakomite doświadczenie.

Przejadali przecież wszystkie dochody.

— Adolfie!

— No, no, to nic... tak sobie tylko nawiasowa uwaga. Mówię, że matka ma w tem doświadczenie, które, w danym razie, bardzo się może przydać. Pomów z nią..., naradz się, a ja rozpisuję listy zapraszające.

— Jak każesz...

— Pomyśl także, a raczej zajmij się tem, żeby Stasia była na ten wieczór szczególnie dobrze ubrana.

Ali! więc to dla niej. Jakże ci mam za to dziękować, mój kochany.

— Czy dla niej, czy nie dla niej, trzeba żeby tak było i tak będzie.

— Zawsze tak bywa przecież — odpowiedziała pokornie pani Janina.

— No tak, tak, tak — rzekł łagodniej trochę —ja wiem, że ty, ostatecznie, obowiązki swoje rozumiesz.

Pan inżynier zaniknij! się w swoim gabinecie i pisat listy zapraszające.

Zajęło mu to sporo czasu.

Przedewszystkiem zastanawiał się długo nad kwestya kogo prosić, a wybór nie był łatwy. Spodziewana sukcesya, podniosła skalę wymagań i nie pozwoliła zapraszać tych, dla których obecnie progi domu pana inżyniera były za wysokie.

Wyjątek stanowiła młodzież niezbędna do tańców, la wszakże, zrekrutowana przeważnie ze sfer panu inżynierowi podwładnych, nie wchodziła w rachubę. Tacy tancerze, na każdym większem zebraniu, liczą się do akcesoryów niezbędnych, jak muzyka, kolacya i wino.

Kilka godzin zeszło panu Adolfowi na układaniu listy zaproszonych; jakoż ukori czywszy tę czynność, czuł się niezmiernie spracowanym i pragnął odpocząć.

Nie sądzono było mu wszakże zażyć miłego wywczasu, gdyż wśród kobiet, przeciwko zamierzonemu balowi powstała silna opozycja.

Pani radczyni oświadczyła, że zanim upłynie uświęcony zwyczajem termin żałoby, za nic w świecie na zabawie się nie pokaże. Stasia by!a tego samego zdania,

a nawet pani Janino, zawsze posłuszna i bierna względem męża, tym razem ośmielona obecnością, matki i siostry, postanowiła podnieść głowę i pokazać, że ma swoje zdanie.

W tym celu, udała się z biciem serca do gabinetu swego małżonka i, po dość długim wstępie, powoli, z ostrożnością, wszelka, powiedziała o co idzie, przepraszając, że w pierwszej chwili wyszło jej to jakoś z pamięci.

Pan Adolf oburzył się na hołdowanie staroświeckim przesadom, usiłował dowieść, że żałoba jeszcze ani jednego nieboszczyka nie wskrzesiła, że smutek po stracie drogiej osoby powinien być w sercu i pamięci, nie zaś w czarnym gałganie, gniewał się, zżymał, lecz bezskutecznie opór kobiet był nicprzełamany.

Postanowiono zatem, zamiast zabawy tańczącej, urządzić raut z muzyką, deklamacją, kartami dla panów i wykwińtem przyjęciem.

Ta myśl przez panią radczynię rzucona, w wykonaniu natrafiła jednak na wiele przeszkód.

Niełatwo to na prowincyi urządzić jaki taki koncert, bo chociaż amatorów i dyle

tantów nie braknie, jednak cała miłościna dzieli się na rozmaite kółka i koterye.

Pan Adolf dość musiał się napracować, zanim zebrał komplet amatorów.

Nauczyciel muzyki, stary Niemiec Innemann, ułożył bogaty program i kierował próbami.

Pani Janina z matką tak były zajęte przygotowaniami, że zostawiły Stasi zupełną swobodę, skorzystała też z niej i napisała do brata długi list, w którym spowiadała mu się ze wszystkich wrażeń swoich.

Wreszcie nadszedł dzień urodzin pani Janiny.

Już od południa woźni kolejowi, poubierani we fraki, krzątali się w kredensie, a kucharz, sprowadzony umyślnie z Warszawy, z powagą i namaszczeniem zabierał się do tworzenia arcydzieł.

Pan inżynier przechadzał się po pokojach, przeglądając, czy jeszcze czego nie braknie.

Wieczornym pociągami nadjechali goście z Warszawy, ma się rozumieć, sama śmietanka. Wice dyrektor, dwóch naczelników i jeden akcyonaryusz, tegi, otyły, o wschodnich rysach twarzy.

Pan Adolf wybiegi aż przed dom na spotkanie tak dostojnych gości i, z wielką rewerencyą, wprowadził ich do salonu, który wkrótce zaczął się napełniać.

Bogactwo ma dziwną moc przyciągającą; niby drobne igielki do magnesu, lgną ludzie do niego i czoła przez niego schylają. Stasia, do niedawna jeszcze biedna lokatorka skromnego mieszkanka na Ogrodowej ulicy, dziś stała się gwiazdą, ku której zwracały się wszystkie spojrzenia.

Wicedyrektor jak mógł panował nad reumatyzmem, który go strasznie dręczył i twarz mu dokuczliwym bólem wykrzywił; otyły akcyonaryusz opowiadał cuda o swoim synu, kształcącym się za granicą... Bo też i syn był osobliwy! Piękny jak Apollo, mądry, wykształcony, dowcipny, poszukiwany w towarzystwach, kolosalnie bogaty, mógłby być za granicą zrobić najświetniejszą partyę. Pewien lord angielski koniecznie chciał go mieć swoim zięciem, ale młody człowiek nie mógł przyjąć tego zaszczytu.

A dla czego nie mógł? — mówił akcyonaryusz do Stasi — bo nie chciał! A dlaczego nie chciał? bo postanowił sobie, ożeni się tylko w kraju, tylko z polką

i koniecznie z warszawianką. On ma taką fanaberyę, on ma nawet przekonanie, że na całym świecie, a przecież on już zna cały świat, nie znajdzie tak miłych i pięknych kobiet, jak w Warszawie. I wie pani co? on ma rację! On się zna! to jest prawdziwy, nieodrodny mój syn! Zna się, bo i ja także się znam i gdybym ja był na jego miejscu, to słowo honoru daję! jabyłm zaraz potrafił zrobić taki wybór, żeby mi go cały świat powiszował.

Z radością zauważył pan Adolf, że Stasia i na panu wicedyrektorze zrobiła wrażenie. Dygnitarz ten nadskakiwał jej, bawił opowiadaniem o odbytych podróżach, o swoim osamotnieniu w Warszawie i, bardzo oględnie dawał do zrozumienia, że mu ta samotność jest nieco przykra.

Pani radczyni była w siódmera niebie.

Od śmierci męża, od czasu w którym zwinęła dom i z wykwintnego apartamentu przeniosła się na Ogrodową, nie była jeszcze w tak licznej towarzystwie.

Widok wyfraczonych panów i wystrojonych dam, gwar rozmowy, ożywił ją i rozruszał. Zdawało się, że odmłodziła, na bladą jej twarz wybiegły rumieńce, oczy

ożywiły się dawno niewidzianym w nich blaskiem.

Przypominały jej się dawne czasy. Zdaje się, że powracają znowuż, że chwile rozczarowania, goryczy, zmiany losu pierzchnęły i rozwiały się niby sen przykry, niby mgła za silniejszym wiatru podmuchem.

Znowuż widzi się na dawnym, nawet na świetniejszym niż dawne stanowisku. Córkę jej młodszą otacza rój młodzieży, wszystkie spojrzenia są na nią zwrócone. I jakie spojrzenia!

Wice dyrektor wzdycha; bogaty akcyonaryusz o synu swoim wciąż mówi, kilku obywateli ziemskich z historycznymi nazwiskami, wyraźnie ubiega się o względy Stasi.

Mimowoli przychodzą pani radczyni na myśl owe jakieś lekcye, Warszawa i ubogie mieszkanie na Ogrodowej ulicy.

Co za dzieciństwo! To już przeszło na zawsze, przeszło, bezpowrotnie minęło i nigdy, nigdy nie wróci.

Rozlega się dźwięk fortepianu, ma być śpiew.

Wysmukła, o niezwykle pięknych rysach panienka zaczyna śpiewać. Ma głos silny i dźwięczny, włada nim umiejętnie, stary Innemann nauczyciel muzyki, promie

nieje duma, bo to jego najlepsza uczennica; ale śpiewem nie zachwyca się nikt, oklask dają tylko z grzeczności, bo właściwie czemu się tu zachwycać, wszak to tylko córka zawiadowcy stacyi.

Po niej ma śpiewać panna Stanisława. Wymawiała się wszelkimi sposobami, lecz na prośby matki i siostry, musiała ustąpić. Zaśpiewała jakąś piosnkę ludową, miłym wprawdzie, lecz słabym bardzo głosem. Gdy skończyła, powstała istna burza oklasków. Wszyscy wieszowali talentu, otyły akcyonaryusz wyliczył przy tej sposobności wszystkie sławniejsze śpiewaczki europejskie i przyznał, że równie pięknego głosu jeszcze w swoim życiu nie słyszał. On! taki mecenas sztuki i znawca! Wice dyrektor powiedział pół komplementu, gdyż kaszel drugą połowę mu przerwał, a trzech więcej panowie, nie sadząc się na dobór słów, wyrazili swój zachwyt oklaskami, które jak rotowy ogień rozległy się po sali.

Na ustach Stasi drgał uśmiech pełen goryczy; oburzała ją tak wyraźna niesprawiedliwość. Gdy rozpoczął się trzeci numer programu, popis jakiegoś młodego człowieka na wiolonczeli, Stasia wymknęła się z kółka, które ją otaczało i przysiadła

się do córki zawiadowcy. Rozmawiała z nią dość długo, pragnąc ciepłymi, serdecznymi słowy, wynagrodzić doznana krzywdę.

Prawie nad ranem, goście opuścili dom pana Adolfa; otyły akcyonaryusz, pospieszył na kolej, aby zdążyć do Warszawy na giełdę, dla pana yicedyrektora zaś przygotowany był zawczasu pokój, w którym miał nocować. Pan Adolf posunął nawet uprzejmość gospodarza do tego stopnia, że umyślnie zatrzymał obecnego na raucie doktora, aby nastęczyć szanownemu gościowi sposobność zasięgnięcia porady lekarskiej, bez której mąż ten nigdy się nie obywał przed pójściem na spoczynek.

Pan inżynier znał doskonale obyczaje swoich zwierzchników, stosował się do nich i dobrze na tem wychodził. Doktor, zapisawszy dygnitarzowi jakiś środek na uspokojenie nerwów, ostatni opuścił gościnne progi pana Adolfa... Pani Janina dozorowała służby sprzątającej srebra, w salonie zaś została tylko pani radczyni i jej zięć.

— Winszuję ci, Adolfie — rzekła, — tom VIII.

twój raut był świetny. Towarzystwo bardzo dystyngowane.

— A tak, moja marno, zresztą u nas tak zawsze bywało, teraz, naturalnie, tembardziej. Ale Stasia — dodał po chwili namysłu, — zrobiła furorę. Sam yicedyrektor, to nie bagatela, sam yioedyrektor!

— Czy mówił co?

— No, przecież nie mógł powiedzieć wprost, co myśli. Dał mi jednak do zrozumienia, że czas mu u nas przeszedł bardzo przyjemnie i że, przy pierwszej sposobności, znowu mnie odwiedzi. Uważa mama, przy pierwszej sposobności...

— Istotnie, to jest wyraz znaczący.

— Zwłaszcza, gdy wychodzi z ust człowieka, który w departamencie jest jak u siebie w domu.

— Czy być może?

— Ależ tak... stosunki ogromne, wpływy, znajomości! słowem, co tylko zechce, może zrobić.

— Powierzchowność nie bardzo ujmująca.

— Powierzchowność! jest też o czem mówić! Ma on coś lepszego niż dziesięć najpiękniejszych powierzchowności, bo

przedewszystkiem, wysokie stanowisko, wpływ, znaczenie, a oprócz tego, spory majątek. Dobra ziemskie w płockiem, udziały w kilku cukrowniach, a podobno i gotówka jest.

Pani radczyni zamyśliła się.

- Ciekawa jestem — rzekła, — jaki© wrażenie zrobił na Stasi. Dziś jeszcze zapytam jej o to.
- Nie trzeba; niech mama tego nie robi!
- Dla czego?
- Lepiej powoli. On tu nocuje, naturalnie, niewywczasowany, spad będzie długo, przed obiadem nie puścimy go ztąd.
- Wielki z ciebie dyplomata, mój Adolfie.
- Nie; lecz mam zwyczaj iść do celu powoli i konsekwentnie. Zrazilibyśmy Stasię do niego odrazu, wspominając o naszych zamiarach; lepiej czasowi rzecz tę pozostawić. On zrobi swoje, zwłaszcza teraz, gdy usunęliśmy ją z pod wpływu pana Czesława.
- Powiedz mi, Adolfie, co ty cierpisz do tego chłopca?
- Nie lubię entuzjastów, nie lubię tych, co zamiast iść wygodnym, utartym

- szlakiem, torują sobie jakieś nowe dróżki, na których najczęściej, kark kręcą.
- Uprzedziłeś się, przecież ja prawie ciągle patrzę na tego chłopca i widzę, że jest nad wiek swój stateczny i poważny.
- To właśnie źle.
- Więc wolałbyś, żeby było inaczej? On pracuje, on uczy się, ciągle czyta...
- I to źle!
- No, doprawdy, teraz już sama nie wiem, co podług ciebie jest dobrze.
- Dużo by było o tem mówić, a mama znużona, i ja również potrzebuję cokolwiek chociaż wypocząć. Od rana muszę być na nogach, gdyż wicedyrektor podobno cierpi na bezsenność, może więc wstanie wcześniej, a w takim razie i ja, jako gospodarz, muszę być na nogach.
- Naturalnie, naturalnie, mój Adolfie, nie zatrzymuję cię, idź spać.
- Dobranoc mamie.
- Dobranoc.
- Pan inżynier poszedł do swego pokoju, po chwili jednak wrócił.
- O najważniejszera zapomniałem — rzekł.
- O czym, Adolfie?

- Niech mama powie Stasi, żeby była dla niego bardzo uprzejmą...
- Bądź spokojny, pamiętam o tem dobrze.
- Niezdługo w apartamentach pana inżyniera wszyscy pogrążeni byli w śnie głębokim, oprócz jednej Stasi, która, pomimo niewyspania i zmęczenia, wzięła się do pisania listu do brata.
- Czuła potrzebę podzielenia się wrażeniami swemi, a jedynym jej powiernikiem był Czesław.
- W długim liście opisała mu dzieje pobytu w domu szwagra, ów świetny raut, kaszlącego yicedyrektora, otyłego finansistę, który wciąż o swoim synu opowiadał. Przedstawiła w liście te wszystkie osobistości, jakie się przed jej

oczami przewinęły, a w rezultacie, wyraziła żal za Warszawą, za Ogrodową ulicą i za tym zatrudnieniem, któremu się z takim zamiłowaniem oddawała.

„Drogi Czesiu, brzmiał jeden ustęp listu, ty, jedyny na ziemi powierniku mój i przyjacielu, ty zapewne zrozumiesz, jak mnie ta cała komedia nuży i męczy, jak przykro dotykają te nadszkakiwania i hołdy. Tak niedawno jeszcze, nikt się o mnie

nie troszczył, nikt nie interesował. Szłam spokojnie wytknięta, raz drogą, a przy zajęciu, przy pracy, dni ubiegały szybko. Dziś tu każda godzina tygodniem mi się zdaje; zmiana postępowania Adolfa względem nas, jego szczególna opieka, jaką mnie i mamę otacza, robią na mnie niewypowiedziane przykre wrażenie. Jesteśmy dziś w jego oczach bardzo drogie, ponieważ jakaś sukcesja ma spaść na nas. O! jakże pragnę, żeby nas ominęła! Jeszcze jej nie mamy, a już się daje we znaki! Po dzisiejszym raucie, na którym zbierałam oklaski za śpiew i słuchałam porównań mego głosu z głosami najpierwszych artystek (głosu, którego, jak wiesz, prawie nie mam), przyszła do mnie mama, z miną bardzo poważną i tajemniczą zarazem, i wykladała mi całą teorię, jak się zachowywać powinna pa, nieuka u moim stanowisku. Zdawało mi się, że sama wiem jak mam postępować, ale nie... mama mi dała nowe wskazówki! Przedewszystkiem, mam być wyjątkowa uprzejmą dla jednego z dygnitarzy kolejowych, zwierzchnika Adolfa. Jest to, jak mi się zdaje, człowieczysko Bogu ducha winien, schorowany, myślący tylko wyłącznie o lekarstwach i doktorach. Przepusz

czam, i zapewne nie bez słuszności, że moja wyjątkowa uprzejmość tyle go obchodzić będzie, co zeszłoroczna zima. Ale są widocznie jakieś plany. Kie trzeba być jasnowidzącą, żeby zrozumieć, że taki szwagier dla Adolfa, byłby bardzo, a bardzo na rękę. Mama powiada, że yice dyrektor ma nadzwyczaj liczne stosunki i, że może bardzo wiele. Usłyszałam przytem zdanie, że niema nic prędszej przemijającego, jak młodość, że miłość, o której tyle czytamy w powieściach, iztnieje tylko na papierze. Na dowód, przytoczyła mi mama, moje własne dzieje i postępek pana Kazimierza. Ciekawy jesteś zapewne, co odpowiedziałam na to? Przepuszczasz, że znalazłam mnóstwo argumentów. Nie, do czegożby to doprowadziło? Słuchałam nie przerywając, a mama mówiła dalej, dowodząc, jak szczęśliwy jest ten, kto odrzuciwszy wszelkie złudzenia i mrzonki, zdobywa sobie dobrobyt i komfort, bez którego życie niewiele warto. Patrzyłam mamie w oczy i przysłałam do przekonania, że ona nie podziela tych zdań, jakie wygłasza, że mówi je, jak lekcję, której się wyuczyła na pamięć. Powtórzyła nawet kilka frazesów, jakby wyjętych z ust Adolfa,

a on, jak wiesz przecie, nia swój styl. Nie przerywałam, słuchałam, a gdy mama, odchodząc już, spytała, czy posłucham jej dobrych rad, odrzekłam, że nie widzę powodu, dla którego miałabym być dla pana yicedyrektora niegrzeczną, że wogóle traktuje wszystkich uprzejmie, a cóż dopiero takiego dygnitarza, mającego stosunki, wpływy i znaczenie. Mama wzięła to za dobrą monetę, ale westchnęła przytem, pocałowała mnie w czoło i rzekła pocziwa: biedne dziecko! Roześmiałam się gorzko, gdy wyszła już. Nie z matki, bo wiesz dobrze, jak bardzo ją kocham, ale z tych zabiegów ludzkich, z tej chęci wyzyskania każdej sytuacji, z której można jakąś korzyść wyciągnąć. Rozumierz to dobrze, mój Czesławie."

Dzień już był, gdy Stasia skończyła list. Światło lampy zgasło przy świetle słonecznym. Spuściła roletę i zmęczona usnęła natychmiast.

VI.

Od czasu wyjazdu pani radczyni ze Stasia, upłynęło kilka miesięcy; mieszkancko przy ulicy Ogrodowej zajmował sam Czesław.

Pan inżynier zapraszał go bardzo grzecznie na święta, lecz młody człowiek wymówił się brakiem czasu. Tłumaczył się, że dając codziennie lekcje, zbyt mało zajmuje się własną nauką i, że chwile wolne podczas świąt, na ten cel obrad musi, gdyż inaczej, z egzaminami, rady by sobie nie dał.

Pewnego dnia, gdy wieczorem wracał do domu, stróż doręczył mu list. Zaadresowany on był szerokim, równym charakterem i nosił na sobie stempel poczty miejskiej.

Czesław zaciekawiony, pobiegł co prę

dzej do mieszkania, zapalił światło i rozerwał kopertę.

Na grubym, szarym papierze, skreślone były następujące słowa:

„Kochany panie Czesławie! przyjdź jutro do mnie między piątą a siódmą po południu, to się dowiesz o czym wiedzieć chciałeś.

Seweryn X."

Ów pan Seweryn, był to niegdyś przyjaciel zmarłego radcy, ojca Czesława, z zawodu prawnik, charakteru szorstkiego trochę, dziwak, ale człowiek niezmiernie zacny i niepokalanie uczciwy. W swoim czasie słynny mecenas, później przestał zajmować się interesami. Majętny, miał więc z czego żyć. Przez cały dzień wertował stare sprawy, rozczytywał się w jurisperu dencyi senatu, a wieczorami, albo szedł do znajomych na wista, albo też zapraszał do siebie kilku z dawnych towarzyszków, jak ich nazywał „inwalidów palestry" i, przy kieliszku wina, gawędził z nimi o kodeksie, procedurze, a najwięcej o dawnych, minionych czasach.

Czesław, otrzymawszy od pana Sewe

ryna liścik, nazajutrz, punktualnie o godzinie piątej stawił się w jego mieszkaniu.

Stary jurysta, z nogą okręconą kocem, bo mu pedogra trochę dokuczala, z cygarem w ustach, siedział na fotelu przy ogromnym machoniowera biurku, zawałonem stosami papierów.

Gdy wszedł Czesław, mecenas odwrócił głowę. Twarz miał starannie wygoloną, duże myślące czoło, rysy twarzy bardzo regularne. Fizyognomia jego przedstawiała doskonały typ senatorów rzymskich, jakich się na obrazach spotyka.

Spojrzał na zegar i rzekł:

— Punktualny jesteś, mój chłopcze, takich lubię, siadaj. Cygara palisz?

— Nie, panie mecenasie.

— Tem lepiej, na to zawsze będzie czas.

— Wino pijasz?

— Nie.

— To także dobre... ale czasem kieliszek nie zawadzi. Jakiś ty podobny do ojca! a wieszże kto był twój ojciec?

Czesław spojrział zdumiony.

— Jakże bym mógł nie wiedzieć, naturalnie, że wiem.

— Oj ty, naturalisto! wy wszystko wiocie. i to pewnie wiesz, że się ojciec twój nazywa! Lubicz, że radca był...

— Tak.

— No i cóż więcej? Czesław milczał,

— No, i że był moim przyjacielem, o czym nie wiesz. Dobry człowiek, ale mnie słuchać nie chciał, źle na tem wyszedł. Mówiłem mu sto razy: wszystko rzuć, zostań obrońcą. Nie słuchał, sam sobie winien. Całe życie biedę klepał, po śmierci nic nie zostawił, a ja, widzisz oto, przez całe życie nie piłem złego wina, nie paliłem lichych cygar, no, i uważasz, mój kochanku, gdy umrę, to dwaj moi synowie będą mieli przynajmniej przez lat pięć co tracić.

— Czemu tracić?

— Ty, panie Czesławie, zdaje się naturalistą jesteś? — spytał, patrząc mu w oczy.

— Tak jest, panie mecenasie, chodzę na wydział nauk przyrodniczych.

— I uczysz się podobno dobrze?

— Staram się o to przynajmniej.

— W takim razie, powiedz mi, czego

u dyabła was tam uczą, kiedy nie znasz najnaturalniejszej rzeczy.

— Przecież nie mówiliśmy o naukach przyrodniczych.

— Ale, mój kochany, mówiłem, że synowie moi w pięć lat stracą to, co ja zarobiłem, o tem wątpisz, a jednak to taka naturalna historia.

Czesław uśmiechnął się.

— Może nieprawda? Jak pożyjesz tyle lat co ja, to się przekonasz, a może i nie przekonasz się — dodał po chwili namysłu.

— Dla czego?

— Bo widzisz, mój dobrodzieju, kształcisz się na naturalistę, będziesz więc znał żaby, myszy, szczury, robaki, ale nie ludzi.

— O ludziach uczymy się także.

— Co to znaczy! co wy się tam możecie nauczyć? Ludzi, to proszę cię, zna prawnik. Im starszy, im doświadczeószy, tem lepiej zna te najzarłoczniejsze stworzenia... te robaki... bo wierz mi, że to także robaki.

— Ściśle biorąc...

— Czy ich weźmiesz ściśle, czy luźno, zawsze ta sama historia. Ale pozwól, naleję ci kieliszek wina.

— Dziękuję panu mecenasowi, nie pijam.

— Tym razem pio będziesz, ja cię proszę, a dla czego proszę, to ci powiem później.

Czesław nie oponował, bo wiedział, że stary tego nie lubi. Mecenas nalał kieliszek, podniósł go do góry i, przez chwilę, przypatrywał się złotawemu płynowi pod światło.

— Zapisz że to sobie — rzekł i pamiętaj raz na zawsze, że najlepszy kodeks jest francuzki, a najlepsze wino węgierskie; ja ci to powiadam. Twierdzą doktorzy, a oni także są niby to naturaliści, że mnie wino wchodzi w nogę, nie prawda, oni nie znają się; to nie wino, lecz siedmdziesiąt pięć lat weszło w nogę, siedmdziesiąt pięć, proszę cię. Pijżeno...

Czesław wychyli! kieliszek.

— Krzywisz się?

— Cierpkie troche.

— Bo się nie znasz, ale mniejsza o to, masz czas. Gdzie jest matka twoja i siostra?

— Są u szwagra.

— U pana inżyniera. Aha, znam, znam... dygnitarz!

— Tak, ma niezłą posadę.

— Będzie miał jeszcze lepszą z czasem, bo umie koło swoich interesów chodzić. Głowa dobra, plecy giętkie.

Czesław się roześmiał.

— Czego się śmiejesz, panie naturalisto? Ale pomówmy teraz o interesie. Zapewne pomyślasz się, po com cię fatygował.

— Przepraszam.

— Ponieważ zgłosiłeś się do mnie w interesie owej sukcesyi, o której gazety piszą, a całe miasto mówi, więc obiecałem ci, że się dowiem, jak ta rzecz zblizka wygląda. Otoż...

— Już pan mecenas wie?

i — Czekał, czekał, powoli, do porządku. Powiedziałem, że się dowiem, a że mam zagranicą znajomości i stosunki z prawnikami, przeto napisałem do jednego z nich z prośbą, żeby dobrze tę rzecz zbadał i doniósł mi. Właśnie oto wczoraj...

— Nadeszła odpowiedź? — zapytał z pewnym niepokojem Czesław.

Wczoraj przyniesiono mi z poczty list i natychmiast cię w skutek tego listu wezwałem. Napij no się jeszcze kieliszek wina.

— Kiedy, panie mecenasie, nie moge, doprawdy, nie moge.

— Napij się, bo przy takich interesach spadkowych bywają rozmaite emocje. Czasem wielka radość, a częściej zawiedziona nadzieja; częściej nawet zawód, aniżeli radość.

— Więc zawód, panie mecenasie?

— Nie.

— A zatem, wielka radość?

— I to także nie.

— No, to już sam nie wiem, czego się spodziewać?

Na wygolonej, gładkiej twarzy starego mecenasa, pojawił się uśmiech przelotny.

— Nie wiesz, czego się masz spodziewać? — rzekł — no, jużćić to prawda, że nie wiesz, ale naturalnie, nie pogardziłbyś milionami?

— Kto wie?

— Jestem pewny, że nie. Ostatecznie, milion, to proszę cię, rzecz dobra. To pan, przed którym Indzie czapki zdejmują,

— Nie wszyscy.

— Prawie wszyscy, prawie wszyscy, szanowny naturalisto, widzi się to codzień. Milion to pan, ale i figlarz także. Nie masz

wyobrażenia, jak ludziom w głowach przewraca. Napatrzyłem ja się na to dosyć, mój kochany, podczas długiej praktyki. Bywały zdarzenia... Mógłbym do późnej nocy opowiadać, ale cóż cię to obchodzi? Otoż jak ci wspomniałem, odpowiedź nadeszła. Odpowiedź dokładna, pewna, na której można bezwarunkowo polegać. Dla mnie cała ta sprawa jest teraz jasna jak dzień.

— I jakże pan mecenas uważa?

— Otoż właśnie miałem ci to powiedzieć, ale mi przerywasz, to źle. Trzeba ci wiedzieć, mój młodzieńcze, że gdy ja mówiłem o sprawie, to senat słuchał, senat w komplecie! i nie przerywał mi. Czy ty wiesz, co to znaczy senat?

— Wiem... sąd.

— Nieprawda, najwyższa magistratura.

— Przepraszam najmocniej pana mecenasa.

— No, no, takim laikom wybacza się. Otoż faktem jest: i) że tamten istotnie umarł;) że posiadał bardzo znaczny majątek, złożony z nieruchomości i sum na lokaoyach;) że nie zostawił po sobie testamentu i) że ponieważ jest blizkim kre

tom VIII.

wnym waszej matki, przeto macie niezaprzeczone prawa do spadku.

— Więc prawda...

— Jaka prawda? gdzie prawda? znowu przerywasz.

— Sądziłem, że pan mecenas już skończył.

— Aj, ty naturalisto, nie znający najnaturalniejszych rzeczy. Tobie się zdaje, że dość już umrzeć i zostawić majątek, żeby ktoś krewny mógł przyjść i majątek ten zabrać.

— Zdawałoby się.

— Tak??! No proszę! a gdzie postępowanie spadkowe? gdzie legitymacya? ale co z profanem mówić; siadajże i słuchaj. Historia tego nieboszczyka dobrze mi jest znana; teraz przypominam sobie nawet dokładnie rok, w którym zagranicę wyjechał. Były takie okoliczności, że musiał to zrobić. Z początku szło mu ciężko, biedę klepał, później wziął się do jakiegoś handlu, poszczęściło mu się, zebrał maleńki kapitalik. Bieda jaką przeżył nauczyła go oszczędności, a, że przytem był bardzo sprytny, zabiegły, ruchliwy, więc składał tysiączek do tysiączka i doszedł do znacznej fortuny. Nabył sobie nieruchomości,

porządną nieruchomość', jak mi oto donoszą ale widocznie nieszczęśliwego miał doradcę prawnego.

— Pod jakim względem?

— A no, pod względem lokowania kapitału wr. Co to jest, proszę cię, dawać pieniądze nie na hypotekę?! Na to trzeba być waryatem, półgłówkiem!, a nieboszczyk pożyczał właśnie na weksle. Po śmierci znaleziono ich bardzo dużo, ale jak mi piszą, wszystkie nie wiele warte. Żył w przyjaźni z jakimś bogatym entrepreneurem, podobno uczciwym nawet człowiekiem, ale wielkim ryzykantem. Temu właśnie jegomości, na krótko przed śmiercią, pożyczył bardzo znaczną sumę, tymczasem ryzykant zanadto zaryzykował i stało się to, co zwykle w takich razach się staje—klapnął.

— Jaki kłopot?

— O, naiwne dziecko! nie wiesz co znaczy kłopot,

— Domyślam się, że nie zarobił tyle ile pragnął.

— Stracił na łeb, na szyję i wszystkim pokazał figę. Ogłoszono upadłość i wierzyciele w najlepszym razie dostaną dziesięć za sto. — Z tego powodu, ogromny majątek nieboszczyka redukuje się do bardzo skro

innych rozmiarów. Właściwą wartość całego spadku stanowi właśnie nieruchomości o której wspomniałem. Co się zaś tyczy owych weksli, to byłoby bardzo dobrze, gdyby to co się da z nich osiągnąć, wystarczyło na pokrycie kosztów odebrania sukcesji. Ponieważ rzecz się dzieje zagranicą, więc naturalnie koszty będą znaczne i samo przeprowadzenie interesu zajmie sporo czasu. Co do legitymacyi, trudności nie będzie; o ile znam stosunki rodzinne, to wy jesteście jedyni spadkobiercy, mający do tego majątku prawo. . Oto jest cała rzecz.

— Dziękuję bardzo panu mecenasowi za informację — rzekł Czesław.

— Mie masz za co. Wolałbym ci powiedzieć, że jesteś współwłaścicielem miliona.

— Kto wie, panie mecenasie, może mieć go jeszcze w przyszłości — rzekł z uśmiechem Czesław.

— Filozof łatwo się pociesza, ale masz słuszość. Lichy jest żołnierz, jeżeli nie ma nadziei zostania marszałkiem, a w dzisiejszych marnych, bezbarwnych czasach, gdy ludzie tylko za groszem gonią, gdy jedynie rublami wojują, posiadanie miliona znaczy to samo, co niegdyś marszałkowska buława.

Zawsze to jest wybiecie się po nad szary, zgłodniały tłum, nasycenie próżności, ambicji, żądzy wywyższenia się. Ha! jakie czasy, taka i ambicja, mój kochany.

Rzekłszy to, mecenas zamyślił się.

Wstał, poszedł do szafki, wydobyl z niej cygaro, obejrzał strannie i napowrót schował, potem obejrzał drugie, trzecie i piąte, aż wreszcie znalazłszy takie, które mu się dobrem wydało, obciął je, zapalił i usiadł w fotelu.

Czesław milczał, stary prawnik gonił wzrokiem niebieskawy dymek unoszący się w powietrzu, a ciszę przerywał tylko miarowy chód pięknego brązowego zegaru.

— Marna ambicja! mizerne ideały — mówił półgłosem, jakby sam do siebie mecenas — mizerne... ale ideały... duch czasu. Wszak prawda, mój młody przyjacielu?

— Istotnie marne — odparł Czesław — jeżeli ktoś, tak jak pan mecenas na przykład, środek za ce] uważa.

— Co, co ty kochanie powiadasz?

— Powiadam, że niesłusznie potępia pan czasy i pokolenie dzisiejsze; my także mamy swoje ideały, ale warunki życia są inne, wymagania inne i okoliczności inaczej się składają teraz aniżeli dawniej. Płynie

czas, szanowny panie, płynie jak woda i coraz to nowe fale toczą się starem korytem.

Mecenas badawczo spojrział na twarz Czesława.

Zapewne — rzekł — zapewne, świat idzie... śpieszy się... i w tym pośpiechu gubi co dobre, a lichotę zbiera.

— Bywa też odwrotnie, panie mecenasie—rzekł młody człowiek z uśmiechem.

— Odwrotnie? hm... może.

— Bywa panie, rzeczywiście bywa.

— Być może, iż w niektórych razach tak się dzieje; ja mam swój wyrobiony już sposób widzenia rzeczy.

— Ręczę, że w zasadzie zgodzilibyśmy się na jedno, pomimo różnicy w szczegółach.

— Mojem zdaniem i szczegóły ważne są.

— To zależy.

— Ważne, powtarzam że ważne, bo proszę cię, że szczegółów ogół się składa, ale odeszliśmy od przedmiotu, od tego co cię najbardziej obchodzi.

Czesław bliżej krzeselko swoje przysunął.

— Milionerem, mój kochany, nie będziesz — rzekł stary.

— Niech mi pan wierzy, że osobiście cała ta sprawa obchodzi mnie bardzo mało, Zapewniam pana.

— No?

— Tylko ze względu na matkę i na siostrę, głównie nawet ze względu na matkę, bo siostra moja, to bardzo energiczna, pracowita dziewczyna; ta sobie da rady na świecie.

— Roześmiał się mecenas.

— Ładna panna — rzekł — znajdzie prędko męża.

— Nie myśli o tem.

— A to jakaś osobliwsza dziewczyna, dalibóg. i ty, panie Czesławie, naturalnie wierzysz temu?

— Wierzę.

— Oj ty, naturalisto! No, ale przypuśćmy, że zamaż nie pójdzie, cóż będzie robiła? Lekcyjki na mieście? Mój kochany, teraz w Warszawie więcej nauczycielek niż uczących się. Niedaleko zajdzie na tej drodze.

— Nie ma też podobnego zamiaru.

— Więc igielka? także niewdzięczne zatrudnienie...

— I to nie.

— Zatem?

Czesław opowiedział szczegółowe zamiary swej siostry, których wykonanie przerwała wieść o sukcesy i wyjazd do szwagra.

Wysłuchawszy tej relacji, mecenas wstał i zaczął chodzić po pokoju szerokimi krokami.

— No!—rzekł—szczególnie, doprawdy szczególnie, i to są wasze ideały?

— Tak, panie.

— Ideały, nie ma co mówić!

— Przyzna pan, że uczciwe.

— Tak, tak, ani słowa. Uczciwe, że uczciwe to prawda.

— Ma pan mecenas co przeciwko temu?

— Cóżby? nie mam nic... jak cię kocham nic... ale dziwne mi się to wydaje.

— Czas, panie szanowny, czas.

— Masz słuszność... ktoby temu uwierzył przed laty?

— A jednak...

— Prawda, prawda... tak trzeba... tak dobrze, słuchaj no — rzekł po chwili milczenia, a z sobą co zamierzasz uczynić?

— Kursa chcę skończyć przedewszystkiem.

— To się rozumie, mój drogi, ale później? Gdzież podziejesz zdobytą naukę,

w jaki sposób zużytkujesz swój dyplom? Ciasno wszędzie, dyabelnie ciasno, mój kochany.

— To prawda.

— W dodatku jeszcze wybrałeś też sobie fakultet, niech cię kule biją! Nauki przyrodnicze! Na co ci się to przyda? Że; byś prawnikiem był, to jeszcze pół biedyadwokatura przynajmniej daje kawałek chleba, naturalnie do czasu, bo niedługo będzie więcej adwokatów niż klientów. Ale nauki przyrodnicze? Gdzie się z nimi podziejesz, biedaku? Wszędzie ciasno!

— Ja też, panie mecenasie, pójdę tam, gdzie jeszcze, względnie przynajmniej, nie ma wielkiego natłoku.

— Ciekawym!

— Ogrodnikiem będę.

— Ogrodnikiem?!

— Tak jest.

— Takim, co kapustę na targach sprzedaje?

— W tym rodzaju, z tą może różnicą, że będę tę kapustę trochę umiejętniej uprawiał, aniżeli niewykształcony ogrodnik.

— Ogrodnikiem, ogrodnikiem—powtarza! mecenas. — Ha, zapewne, jest to także zawód, ale czy warto było dla niego koń

czyć szkoły, odbywać studia uniwersyteckie, tracić najpiękniejsze lata młodości nad książką? Jeżeli miałeś taki zamiar, to lepiej było odrazu po ukończeniu kilku klas pójść do jakiego ogrodu na praktykę.

— Ja też to zrobię.

— Co?

— Pójdę na praktykę, bez tego obejść się nie sposób.

— A potem, cóż potem będzie?

— Albo przyjmę obowiązek w jakim dużym zakładzie ogrodniczym, albo może też kiedy własny ogród założę.

— Z sukcesy?

— Ta jest dla matki.

— Hm, hm, — pomrukiwał starowina, puszczając dym z cygara.—Idealny, osobliwe ideały, na honor. A no, trudno, czas taki...

— Pan mecenas nie pochwała tego?

— Co? Nie pochwalam? Dlaczego nie mam pochwałać? Powiadam tylko, że czas taki, a skoro czas tego wymaga, skoro w danej chwili ta praca pożyteczna jest, to niech ci Bóg błogosławi, moje dziecko... Pracuj.

Czesław pocałował staruszkę w ramię.

— Dziękuję za słowo zachęty— rzekł.

— Pracuj, pracuj — powtarza! mece

nas,—a siostrę sprowadź do Warszawy, po co ma tam siedzieć. Powiedz jej jak istotnie rzeczy stoją, niech się nie łudzi.

— Szwagrowi trudno będzie wyperswadować.

— I nie kuś się o to.

— Dlaczego?

— Bo to próżna fatyga. Jemu sukcesya owa zajechała jak fura siana. Zdaje mu się, że weksle są pewne, że wszystko będzie odebrane. Utrzymuje go w tem przekonaniu pewien jegomość, który chce się podjąć przeprowadzenia całego interesu. Łudzi go.

— I mama także się łudzi. Mecenas rozśmiał się.

— Rozczarują się później, ale zawsze będą mieli przyjemne wspomnienia; pan inżynier przynajmniej.

— Tak, on bardzo pragnie być milionerem.

— Słyszę, że już nowe koleje buduje— rzekł śmiejąc się, — fabryki zakłada; no, niech się łudzi, skoro lada bajkom wiarę daje... niech się łudzi, a ty, mój kochany, siostrę sprowadź napowrót.

— Dziś jeszcze do niej napiszę. W przedpokoju dzwonek brzęknął.

— Stara gwardya idzie — rzeki mecenas wstając, — obiecali się na dziś... towarzysze z lat dziecinnych... Hę! hę! młodzież z przed lat pięćdziesięciu, ani podobna do was... Jak się zestarzejesz, jak ci włosy z głowy uciekną, to przekonasz się dopiero, co to za przyjemność o dniach młodości wspominać, z towarzyszami gawędzić.

— Nie będę wiecej przeszkadzał.

— Bywaj zdrow, a od czasu do czasu zajrzyj do mnie. Ja zdaleka będę czuwał nad waszą sprawą.

Po dobrym obiedzie, pan inżynier, swoim zwyczajem, z gazetą świeżo otrzymaną z poczty i z doskonałym cygarem w ustach, udał się na spoczynek do swego gabinetu.

Ułożywszy się wygodnie na miękkiej otomance, odczytywał przegląd polityczny, przymrużając powoli jedno oko. Bez polityki i cygara nie mógł usnąć.

Właśnie gdy cygareto już gasło, a obraz stosunków parlamentarnych w Anglii nikał powoli, jakby we mgle, przed oczami pana inżyniera, gdy w niezakłóconej niczem ciszy gabinetu rozpoczynał swe panowanie Morfeusz, drzwi otworzyły się z trzaskiem i na środek pokoju wpadła radczyni.

Była przerażająco blada i zmieszana. Inżynier zerwał się na równe nogi.

— Adolfie!

— Cóż się stało? co to jest? Doprawdy, już nie pojmuję, jak można tak gwałtownie szarpnąć drzwiami, gdy kto zasypia.

— Adolfie!

— Mama nie ma żadnego względu. Przecież nie pali się chyba?

— Nie.

— No i nikt nie umarł... nikt nie zasnął.

— Nie.

— No, to już nie rozumiem. Głowa mnie rozbolała, jakby w nią kto obuchem uderzył. Cóż jest? niechże się nareszcie dowiem, co to jest?!

— Ah nieszczęście!

— No?

— Wyobraź sobie, Janinka ze Stasia w tej chwili po obiedzie wyszły do sklepu po jakiś sprawunek.

— No, na miłość Boską! toć to jeszcze nio powód go rozpaczy.

— Ja zostałam sama... dzieci były w drugim pokoju z boną, a na stoliku stał koszyczek, w którym Stasia chowa swe robótki...

— Nie rozumiem, dla czego mama opowiada mi to wszystko.

Nieszczęście, nieszczęście, mój

Adolfie.

— Ależ...

— Czekajże, daj mi myśli zebrać. Koszyczek stał... Stasi koszyczek. Naturalnie, chciałam go sprzątnąć, bo w stołowym pokoju nie miejsce dla takiego koszyczka.

— No, więc sprzątnęła mama koszyczek i cóż dalej? Cóż nareszcie dalej?

— Nie, nie sprzątnęłam, bo przykrywka była nieco odchylona i dostrzegłam list.

— Przecie! list był pisany do Stasi.
— Czyś go widział?
— Nie, ale przypuszczam, że list znajdujący się w koszyczku Stasi, był prawdopodobnie do niej pisany.
— Otworzyłam ten list i struchlałam...
— Ponieważ zawiera! wyznanie uczuć młodzieńca, zakochanego w Stasi.
— Ależ ten list był z Warszawy.
— I to nic nadzwyczajnego, gdyż ja odrazu zgadłem, że Stasia jest zajęta kimś w Warszawie.
— Stasia nie jest nikim zajęta—rzekła z gniewem sędzina, — list napisany ręką Czesława.

— Pana Czesława! no proszę, to musi być coś ciekawego.
— Nie ciekawego, ale okropnego! Oto go masz, masz, czytaj! Z temi słowami, radczyni jak bezwładna padła na fotel i zakryła oczy rękami.
Pan inżynier lubił pozować na anglika; wszystkim kazał podziwiać swą, zimną krew i panowanie nad sobą. I tym razem z roli nie wyszedł.
Włożył na nos binokle, zapalił zagasłe cygaro i, zbliżywszy się do okna, czytać zaczął.
W miarę czytania jednak, twarz jego wydłużała się i bladła, a usta kilkakrotnie drgnęły nerwowo.
Przeczytał uważnie cały list raz i drugi, złożył go napowrót starannie i, podając radczyni, rzekł:
— Zwracam mamie ten familijny dokument.
— I cóż! co ty powiadasz, Adolfie? Czytałeś przecię.
— Czytałem.
— I?
— I oddaję mamie list z prośbą, aby mama włożyła go napowrót do tajemniczego koszyka.

— Ależ ten list zawiera przerażające wieści.
— Zapewne... gdyby były prawdziwe.
— Więc. ty im nie wierzysz?—zawołała chwytając go za rękę — ty im nie wierzysz, wszak prawda?
— W ogóle, nie przywiązuję wielkiej wagi do informacji pana Czesława, zawsze hihil on występować w roli puszczyka.
— Nie wierzysz, mój Adolfie, ty naprawdę nie wierzysz. O! powiedz mi to raz jeszcze.
— Naturalnie, że nie wierzę i przyznam się mamie, że nie potrzeba było robić takiego alarmu i przeszkadzać mi wytchnąć trochę po pracy. Wybacz mama, że się położę znowu.
— Więc ty nie wierzysz?!
— Z całym spokojem usnę.
— O! życie mi wracasz, mój drogi. Ta wiadomość ugodziła we mnie jak piorun, sądziłam że...
— A widzi mama, jak to niedobrze czytać cudze listy.

— Przecież to list od syna! Ah! jak to dobrze, że ty nie wierzysz. Masz zasadę nie wierzyć. Ty się lepiej znasz na takich rzeczach, aniżeli Czesław, studencik.

— Spodziewam się.

— Tak... połóż się... odpocznij. Przebacz, że ci sen przerwała, ale to było straszne, przerażające. Czesław pisze o tem z taką obojętnością. No, połóż się nareszcie, mój Adolfie, ja wyjdę...

— Bardzo dobrze. Położę się i usnę jak kamień... gdyż bardzo potrzebuję snu.

Pani radczyni wyszła.

Inżynier skłamał. Nie położył się wcale i nie usnął; nie mógłby usnąć, choćby chciał, bo list Czesława, dawał mu dużo do myślenia, a przeraził go jeszcze bardziej, niż biedną, schorowaną radczynię,

Budowa nowej drogi, kolosalne zyski, skuzynowanie się z wicedyrektorem, mającym tak rozległe stosunki i wielkie wpływy, wszystkie te ponętne obrazy, wypieszczone, wymarzone w ambitnej głowie pana inżyniera, musiały rozwiać się i pierzchnąć. Bez wielkich kapitałów nie sposób podejmować wielkich spekulacji, a kaszlący wicedyrektor, jedynie dla pięknych oczu Stasi, nie zechce pozbawiać się starokawalerskiej wolności.

Mózg pana Adolfa pracował forsownie. Co robić? Czy doniesienie Czesława, opie tom VIII.

ra się na prawdzie? Czy stary, niedowierzający mecenas, nie zapatruje się zbyt pesymistycznie? Takie pytania zadawał sobie pan Adolf, a z tych znowu pytań, wywiązywał się cały szereg następnych. Jeżeli mecenas ma dobre informacje, jeżeli jest tak istotnie, jak Czesław donosi, co robić? Czy nie skorzystać z czasu i nie przyspieszyć małżeństwa Stasi. Dygnitarz jest prawie zdecydowany, dawał to już wyraźnie do zrozumienia. Gdyby przyspieszyć, zanim się ludzie prawdy dowiedzą? Myśl dobra, a po ślubie wszystko jedno. Niech się dowie.

Idzie o Stasię, bo z jej strony może być opór, ale na nią łatwo znaleźć sposób; dziewczyna egzaltowana, matkę bardzo kocha, czemużby nie miała dla niej się poświęcić. Zresztą, czyż to na długo! Wicedyrektor nieszczególnie ma zdrowie, więcej nad kilka lat nie pociągnie.

Pozostaje najważniejszy szkopał: jak zapobiedz, aby fatalnej wieści nie rozgłoszono przedwcześnie? Stary mecenas jest dyskretny, z postronnemi osobami o sprawie cudzej nie mówi z zasady. Znany jest z tego. Co się tyczy Czesława, to odludek zamknięty w sobie i do zwierzeń nie

skłonny. Matka przez samą ambycję mil cześć będzie. Nie przyzna się. Lecz obcy! jakim sposobem zamknąć im usta, jeżeli się dowiedzą?

Na to pytanie, pan inżynier nie znalazł odpowiedzi.

Usiadł przy stoliku, zredagował depeszę i zadzwonił.

— Idź mi natychmiast do telegrafu — rzekł do służącego — i zapłać za odpowiedź. Spiesz się.

Służący pobiegł jak strzała.

Pan Adolf wszedł do salonu, gdzie zastał radczynię zatopioną w smutnych myślach. Podejrzanie trulo ją, pomimo zapewnień zięcia, że wieści są fałszywe.

— Już się wyspałeś, Adolfie? — zapytała.

— Właściwie nie spałem wcale,

— Nie mogłeś?

— Owszem, mogłem, ale przypomniałem sobie, że mam do załatwienia pilny interes służbowy, a wiadomo mamie, że u mnie obowiązek przedewszystkiem. Teraz umyślnie przyszedłem do mamy, aby jeszcze powiedzieć parę słów, z powodu niefortunnego listu pana Czesława.

— Ale ty mu nie wierzysz?

Naturalnie że nie... jednak niech mama będzie łaskawa nie wspominać! Stasi ani słóweczka o tym liście.

_ Nie!

— Ani jednego wyrazu.

— A ja właśnie chciałam napisać do Czesława z wymówką. Zaczynałam już nawet, ale fatalny ból głowy przeszkodził mi.

— To dobrze się stało. Udawajmy, że nie wiemy o niczem. Stasia pierwsza nie odezwie się.

— Zkąd to możesz wiedzieć.

— Bo Czesław w liście prosi ją o sekret, a mama wie, jak Stasia ulega wpływowi brata.

— Bardziej niż naszemu — rzekła radczyni z westchnieniem.

— Tak, to j est niestety fakt. Przeszedł kilka razy wzdłuż salonu,

wreszcie, zatrzymawszy się przed radozynią, rzekł:

— Nic nam nio może bardziej zaszkodzić, jak wszelkie fałszywe pogłoski i plotki, dla tego szczególnie proszę, żeby się mama niczem, a niczem nie zdradziła.

— Wszak ty nie wierzysz, Adolfie?

— Nie wierzę, lecz wcale sobie nie ży

czę, żeby ludzie o tem mówili; każda plotka rozpowszechnia się bardzo prędko a jak w tym razie, mogłaby nam zaszkodzić.

Cóż, gdy się pokaże, że nieprawda? — Choćby nawet, niejeden plan może się nie udać, a później, trudno już będzie naprawiać.

— Co chcesz przez to powiedzieć, Adolfie.

— Idzie mi o los naszej Stasi.

— Ah! o yicedyrektora?

— Właśnie. Plotka może go odstręczyć.

— Radczyni zamyśliła się.

— Dla mnie osobiście — mówił dalej inżynier — to jest absolutnie wszystko jedno. Mama wie, że i cała sukcesya nie obchodzi mnie tak bardzo. Mam niezależne stanowisko i przyszłość. Inna rzecz ze Stasia, taka bowiem świetna partya, może się drugi raz nic trafić. Zapewniam mamę, że tylko o tę dziewczynę mi idzie.

— Jakiś ty dobry, Adolfie.

— Spełniam tylko moralny obowiązek, jako najstarszy w rodzinie Ten właśnie obowiązek każe mi czuwać nad mamą i Stasia. Jak Stasia los swój ustali, wten

czas odetchnę spokojnie. Dla tego też proponowałbym kochanej mamie...

— Mów, proszą, wszystko zrobię co trzeba.

— Trzebaby Stasi ę przygotować, oswoić z tą myślą... Należy działać szybko... ponieważ tamten, lada dzień może się oświadczyć.

— Niepodobna!

— Kiedy ja mamie powiadam, że tak jest, to można wierzyć.

— Ja ci też wierzę, lecz...

— O cóż mamie idzie? — spytał niechętnie.

— Tak nagle, tak prędko. Obawiam się, że Stasia nie da się odrazu przekonać.

— Ha! jak jej się podoba! Wolno jej przyjąć lub odrzucić szczęście... bo przyzna mama, że taka partya, to szczęście.

— Zapewne.

— Stasia, jak Stasia — rzeki pan inżynier — młoda, niedoświadczona, prawie dziecko, zresztą, pod wpływem braciszka; ale mama rozumie o co idzie.

— No tak, zapewne... starać się będę wszelkiemi sposobami, żeby ją przekonać.

— Ja też liczę na to w zupełności

i jestem pewny pomyślnego skutku zabiegów.

— Radczyni westchnęła.

— Właśnie teraz, jak Stasia powóci, znajdzie mama doskonałą sposobność do pomówienia z nią. Ja, żeby nie przeszkadzać, wychodzę.

— Prędko wrócisz?
— Nie wiem, prawdopodobnie jednak wrócę późno. Wstąpię do klubu, gdyż chciałbym się przekonać, czy kursują jakie niepotrzebne plotki.
— Tak, masz słuszość, w klubie najpędzej mogliby coś wiedzieć.
— Jeszcze jedno. Gdyby Stasia nie dała się odrazu przekonać, to niech mama wezwie na pomoc moją żonę.
— Janinkę?
— Tak, ona poprze argumenta mamy.
— Niewiele mam wiary w jej wymowę.
— Zdaje się mamie, potrafi ona być bardzo elokwentną w potrzebie, mówie to z własnego doświadczenia. Naturalnie, na mamę więcej liczę, aniżeli na nią, ale zawsze może panie we dwie, wspólnemi siłami, prędzej dojdziecie do pożądanego rezultatu. Zostawiam więc mamie pieczę boju

i uciekam, w nadziei, że wróciwszy, powinszuję zwycięstwa.

Powiedziawszy to, pan inżynier wyszedł.

Radczyńni zostawszy sama w salonie, zapadła w głęboką zadumę. Oparła głowę na rękach i siedziała nieruchomo.

W przeciągu kilku godzin, doznała tyłu wrażeń, iż nawet jasno sprawy sobie dać z nich nie mogła. Przytem zamierzona stanowcza rozmowa, napelniała ją także niepokojem i trwogą.

Jak Stasi powiedzieć, jakimi słowy przekonać, jeżeli się nie zgodzi?... jaki moralny nacisk wyrzucić, jeżeli opierać się będzie?

Radczyńni, aczkolwiek pragnąca blichtru, do którego całe życie przyzwyczajona była, aczkolwiek lubiąca zbytek, a przynajmniej jego pozory, pojmowała jednak bardzo dobrze, iż niełatwo będzie namówić młode dziewczę, aby zaledwie na progu życia, już się tego życia wyrzec miało; przytem w sercu radczyńni budziło się uczucie macierzyńskie. Ono kładło swoje yeto, ono nie pozwalało, aby młodzieńką, pełną sił, życia i energii istotę łączyć dozgonnym węzłem z człowiekiem schorowanym i cier

piącym, przeżytym i zgorzkniałym przedwcześnie.

Wprawdzie pan inżynier bardzo mądrze tłumaczył, że młodość mija szybko, a dostatki uprzyjemnić mogą całe życie, aż do ostatniej chwili prawie, radczyńni czuła, że ten argument całkiem słuszny z pozoru, do przekonania Stasi trafić nie może.

W ogóle, trudno jest bronić sprawy, niemając przeświadczenia o jej słuszości.

Pani inżynierowa ze Stasia powróciły z miasta. Pierwsza udała się zaraz do dzieci, druga zarumieniona, wesółą, wbiegła do salonu i rzuciła się matce na szyję.

— Powiadam mateczce — rzekła — ubawiłyśmy się wybornie. Dawno już tak serdecznie nie śmiałam się jak dzisiaj!

— Przecież byłyście w sklepie?

— Tak, ale wypadek chciał, że znalazło się tam kilka pań znajomych. Naturalnie, rozmowa, w trakcie tej znowu przyszło kilka osób. Kupiec, kupcowa i wszyscy subiekci, nie mogli wyjść z podziwu...

— No, dla czego?

— Zdawało im się, że całe towarzystwo tutejsze... nie! źle się wyrażam moja marno, że cała śmietanka towarzystwa tu

tejszego, dała sobie rendezvous w tyra sklepie.

— To szczególne...

— Przypadkowo tak się złożyło. Tutejsze panie zwykle po obiedzie, w braku lepszego zajęcia, puszczały się na wędrówki po sklepach. Janinka powiada, że to się oddawna praktykuje. Chodzą, przeglądają, kupią jaką bagatelkę, a najczęściej, nie kupią nic i powracają do domu.

— Także dziwna przyjemność.

— Ależ jest, jest przyjemność, zaraz mateczce powiem. Wędrując po sklepach, nie mija się nigdy wielkiego magazynu Fajngolda. U niego właściwie jest główna stacja.

— Jakto stacją?

— Do tego sklepu zbiegają się nowinki ze wszystkich stron miasta, przefiltrowane odpowiednio, ulepszone i udoskonalone.

— Zkąd ty to wiesz, moja Stasiu?

— Janinka wtajemniczyła mnie dziś w te szczegóły; inaczej nie wiedziałabym wcale, że taka wspañiała instytucja znajduje się w miasteczku.

— Czy Janinka często chodzi do owego sklepu?

— Bardzo rzadko i w tem właśnie jest powód mojej wyjątkowej wesołości.

— Nie rozumiem.

— Zaraz mamie wytłómaczę: Janinka zawsze liczyła się tu do arystokracji, a tembardziej teraz. Ja, jak mamie wiadomo, jestem przecież milionową panną. Cóż dziwnego zatem, że jakeśmy się pokazały na ulicy, przyglądano się ze wszystkich okien. Nie żarty, moja marno, takie dwa słońca jak my!

Radczyni uważnie spójrzała na córkę. Czyżby i ona nie wierzyła temu, co Czesław donosi.

— Więc, proszę mateczki — mówiła dalej Stasia — jak nas zobaczono, zrobił się zaraz wielki ruch. U Fajngolda w sklepie było pełno. Wszystkim paniom wypadło robić sprawunki, a że za paniami zwykle ciągną panowie, na poczekaniu, sklep zamienił się w salon.

— Wyobrażam sobie radość właściciela, musiał sporo zarobić przy tej okazji.

— Sądzę, że przeciwnie, moja marno.

— No?

— Bo tak gorliwie zajmowano się sprawami bliźnich, a zwłaszcza nieobecnych, że każdy mógł zapomnieć po co właś

ciwie przyszedł.—Ale cóż tam, mało mnie obchodzi, czy pan Pajngold zarobił wiele, czy stracił, dono, że ubawiłam się jakby u jakim raucie. Brakowało tylko muzyki i deklinacyi.

— Uważam, moja Stasiu, że jesteś dzisiaj bardzo wesoła — rzekła radczyni z westchnieniem.

— Czy to mamę smuci?

— Co znowu! nie smuci mnie wcale, przeciwnie,, tylko widzisz, moja droga...

— Tylko co, mateczko?

— Twoja wesołość, właśnie dzisiaj, to jest nawet nie dzisiaj, ale w tej mianowicie chwili, nie jest mi na rękę...

— Ah, marno! gotowa jestem zasmucić się, a nawet rozplakać, jeżeli to mamie przyjemność sprawić może.

To rzekłszy, Stasia zarzuciła rączki na szyję radczyni i serdecznie całowała ją zaczęła.

— Zawsze jesteś dziecko—rzekła wpół nadąsana, a wpół rozczulona matka—dziecko! tylko dziecko!

— A czem mam być dla ciebie, droga marno? Całe życie pragnęłabym pozostać tą samą małą Stasia.

— Moja droga, ja właśnie chciała

bym cię widzieć osobą zastanawiającą się, poważną, trzeźwo zapatrującą się na przyszłość.

Stasia zrobiła komicznie poważną minkę. Usiadła na fotelu prosto, sztywnie i, naśladowując ruchy swego szwagra, rzekła:

— Jeżeli idzie o obowiązki, to jestem gotowa; tylokrotnie wspominałam już, że wedle deiniicy największych mędrców starożytnych, obowiązek jest to... panie dobrodzieju, iż się tak wyrażę... przedewszystkiem obowiązek.

— Stasiu! Stasiu! — rzekła z wyrzutem radczyni—ty się śmiejesz, a doprawdy, jest przedmiot, o którym należałoby poważnie pomówić.

— O cóż idzie mateczko?

— O wielkie rzeczy, kochanie, idzie o całą przyszłość twoją.

— Moja marno, przyszłość jest w ręku Uoga.

— Zapewne... ale czy uas to uwalnia od obowiązku myślenia o sobie

Stasia przybrała minkę tym razem na seryo poważną.

— Nie rozumiem, co mama chce przez to powiedzieć — rzekła.

— Posłuchaj więc.

— Jestem zawsze na rozkazy mamy.
— Doszłaś już do tego wieku, w którym należałoby pomyśleć o ustaleniu losu.
— Ja wiem o tem, marno, a co się tyczy losu mego, zawsze zastanawiam się nad nim.
— Cóż ty mogłaś dla siebie obmyśleć?
— Myślałam...
— To rzecz matki, jako opiekunki twojej.
— Jeszcze nigdy nie rozmawialiśmy o tem.
— Uważałam, że czas na to nie przyszedł.
— A dziś, mameczko?
— Dziś co innego: i czas nadszedł i położenie twoje się zmieniło.
— Podług mnie, w niczem.
— O nie, kochanko, zupełnie inne jest położenie biednej dziewczyny, a inne panny mającej i posażnej.
— Posażnej — rzekła z ironią.
— Tak! Biedna czeka aż ją kto wybrać raczy, panna posażna sama wybiera. Ty właśnie jesteś w tem położeniu, że wybierać możesz, i dla tego właśnie chciałam dziś z tobą pomówić.

_ Ale marno, kogóż mam wybierać;, gdy nikt nie stara się o mnie?
_ Chyba widzieć nie chcesz.
— Istotnie, nie widzę, niech mama wymieni, kto się tak o moją rękę dobija.
_ Wymienię, pierwszej jednak chciałabym się zapytać...
— O co, mamo?
— Powiedz mi, ale otwarcie, szczerze, czy serce twoje jest wolne?
— Moge mamę zapewnić, że dziś ten człowiek, o którym mama myśli, jest mi zupełnie obojętny.
— Szczerze to mówisz?
— Najszczerzej, mamo.
— I po nim, nikt ci się nie podobał, nikt cię bardziej nie zajął?
— Nikt a nikt, mamo.
— Więc nie kochasz nikogo?
— Mamę... Janinkę... Czesia...
— A nie przychodzi ci nigdy myśl wyjścia zamąż?
— Nie, mameczko.
— Ciężar mi spada z serca. Wobec tego, coś powiedziała przed chwilą, misya moja znacznie będzie łatwiejszą.
— Nie wiem, co mama chce przez to powiedzieć.

- Moja Stasiu, ponienki w twoim wieku bywają egzaltowane, ty, jak sędzę, wolna od tego jesteś...
- O mamo, nasze pokolenie dzisiejsze, jest bardzo, bardzo trzeźwe...
- Tem lepiej.
- Może tem gorzej, mateczko.
- Dla czegoż gorzej, moja Stasiu? Przeciwnie, zastanowienie się, rozwaga, zawsze przynoszą w życiu dobre rezultaty.
- Stasia rozśmiała się,
- Nie rozumiem, co jest śmiesznego w tem co mówię, i co cię właściwie do wesołości pobudza.
- Nic, już nie, kochana mateczko, mimowoli przypomniało mi się coś zabawnego... ale ja mamy słucham.
- I naturalnie usłuchasz.
- Chciałabym mateczce zrobić tę przyjemność, lecz trudno odpowiedzieć, nie wiedząc o co idzie.
- O twoje szczęście, Stasiu.
- Ah, szczęście — rzekła z westchnieniem — szczęście!...
- Ostatecznie, czas już pomyśleć o przyszłości, czas wyjść zamaż.
- Kiedy mnie nikt nie chce — odpowiedziała ze śmiechem.

- Co też mówisz? Jest człowiek bardzo, a bardzo tobą zajęty, nawet to mało powiedziane: zajęty, zakochany w tobie po uszy, jak młodzik.
- Jak młodzik, mama powiada, a więc nie młodzik.
- Istotnie, człowiek troche już poważniejszy, powierzchowności skromnej ale przy bliższem poznaniu, dużo zyskuje, powiedziałabym, że nawet jest miły. W gruncie rzeczy, moja Stasiu, cóż tam powierzchowność! szczerze mówiąc, głupstwo. Nic nie przemija tak szybko, jak wdzięki młodości i jak wszelkie jej uniesienia. To wszystko, proszę cię, moje dziecko, jest jak kwiatek, ładne zabawne, miłe, lecz krótkotrwałe, a życie natomiast długie, wymagania jego wielkie, coraz większe.
- Słyszałam to przed dwoma dniami od Adolfa, wtrącał do rozmowy słowo w słowo takie zdania.
- Nic dziw się kochanie. Adolf jest człowiek bardzo rozsądny, a przedewszystkiem praktyczny.
- Wiem, wiem o tem, moja marno, Adolf...
- Wierz mi, że on was bardzo kocha, tom VIJJ.

a o tobie szczególnie, moja Stasiu, myśli, jak o rodzonej siostrze.

- Tak, przeczuwam, że i dzisiejsza rozmowa wypłynęła z jego inicjatywy, gotowani się założyć.
- Nie potrzebujesz się zakładać, gdyż nie zaprzeczam. Istotnie, Adolf namówił mnie, abym rozmówiła się z tobą.
- Byłam pewna.
- Masz w tem jeden dowód więcej, jak ten człowiek o tobie myśli, jak gorąco i szczerze pragnie twego szczęścia, jak chce żebyś miała dobry byt, dostatki, żebyś była otoczona komfortem, a nawet przepychem, żebyś zajmowała wybitne stanowisko towarzyskie, żebyś weszła w sfery wyższe i tam jaśniała urodą, inteligencją i dowcipem, żeby twój salon był ogniskiem, przy którym...

— Marno, mameczko, na miłość Boską, przerażona jestem ogromem dobrych życzeń mego szwagra i tą niepomiarłą obfitością zaszczytów, jakie na mnie spaść" mają. Gdzież mnie, najzwyczajniejszej, po domowemu wychowanej dziewczynie, marzyć o takich nadzwyczajnościach. Nie,

droga mameczko, nie czuję w sobie dość sił ani też nie mam odpowiednich warunków, ażeby zostać gwiazdą salonów.

— Skromność mówi przez ciebie, czegoż ci brak moje dziecko. Masz młodość...

— To prawda.

— Urodę.

— To już rzecz gustu.

— Nareszcie, masz majątek, a jeżeli przyszedł twój mąż będzie dygnitarzem, zajmującym wysokie stanowisko...

— Takiego mi więc raczył wybrać szwagier? Któż jest, jeżeli wolno zapytać, ten co z wysokich progów raczył się zniżyć do mnie, jakby jakiś gromowładny Jowisz z Olimpu...

— Nie żartuj sobie, Stasiu, bo się naprawdę rozgniewam. Jeżeli mówisz z tobą na seryo, to przynajmniej racz mnie wysłuchać. Jestem przecież twoją matką i twoją opiekunką. Mogłabym nie robić wielkich ceremonii i powiedzieć po prostu: tak chcę i tak ma być. Mam wszakże tyle wyrozumiałości, że chciałabym usłyszeć także twoje zdanie, uwzględnić je, o ile to

będzie możliwe. Rozmawiam z tobą na seryo, a ty wszystko obracasz w żarty.

W oczach Stasi zakręciły się łzy. Nie odpowiedziała ani słowa, spuściła oczy i starała się opanować wzruszenie.

Radczyńni zdobyła się na krok stanowczy i, dając za wygrane wszelkim wstępom, przystąpiła wprost do rzeczy.

— W tych dniach ma się oświadczyć o twoją rękę pan dyrektor.

Powiedziawszy to, radczyńni patrzyła uważnie na córkę, w nadziei, że słowa jej wywołują wrażenie... okrzyk zadziwienia lub niechęci.

— Stasia milczała.

— W tych dniach pan dyrektor ma się oświadczyć o twoją rękę—powtórzyła z naciskiem—cóż ty na to powiadasz?

— Nic — odrzekła spokojnie.

— Nic!

— A naturalnie.

— Przecież to jest... to jest, moja Stasiu, fakt, który bądź co bądź... przynosi ci zaszczyt!

— Najmniejszego.

— i przyjmujesz to obojętnie, zimno.

— Z czegoż się mam cieszyć?

— Każda inna na twojem miejscu, nie posiadałaby się z radości; bod to partya wyjątkowo znakomita.
— Co do mnie, żałuję tylko pana dyrektora, że się naraża; na odmowę, co mu jako dygnitarzowi, przyzwyczajonemu do rozkazywania, zapewne nie będzie przyjemne.
— Odmówisz?
— Stanowczo. Nawet prosiłabym mamy, żeby można przez Adolfa (ląc mu to do zrozumienia. Na co stawiać człowieka w położeniu przykrom, a poniekąd nawet komuznem.,.
— I to ostatnie twoje słowo?
— Tak, pierwsze i ostatnie.
— A gdybym się odwołała do ciebie, jako do córki... gdybym ci powiedziała, że to małżeństwo potrzebne do mojego szczęścia, do szczęścia twej starej, schowanej matki.
— Stasia zamyśliła się i, po chwili, odrzekła poważnie.
— Jeżeli moje "nieszczęście, ma byd twojem szczęściem, marno, w takim razie... pomyślę.
Powiedziawszy to, wybiegła, aby ukryd Izy, cisnące się do oczu.

Radczyni zostaią sama.

Podniosła się z fotelu i chodzić po salonie zaczęła, powtarzając półgłosem.

— Jeżeli jej nieszczęście ma być mojem szczęściem, jej nieszczęście mojem szczęściem... Nie!

VII.

Przyszła wiosna z całym bogactwem słonecznym jasności, kwiatów i zieleni.

Rozśpiewały się ptaszęta w gajach, rozmodlił się, zawieszony w powietrzu, niby szara plamka, skowronek, powróciły biało bociany do gniazd dawnych i cała ziemia przybrała szatę nową, usianą kwieciami, woniejącą balsamem lasów, obsypaną brylantami rosy.

Ludzie więcej uwijali się po polach a i w miastach także ruch powstał, i z murów zatęchłych wysypał się rój dziatwy, żądnej słońca, powietrza i biegania.

W ogrodach, na spacerach publicznych było gwarno, wszyscy witali pożądane, upragnione uśmiechy wiosny.

Pan inżynier pojechał zagranicę.

Plenipotent, któremu windykację spadku powierzył, zbywa! go niejasnemi, lakonicznemi odpowiedziami co do sprawy samej, a pieniędzy na jej prowadzenie wciąż wymaga!. W kolach znajomych, zaczęły kursować niepożądane pogłoski, które sobie ludzie z wariantami różnemi podawali.

Jedni twierdzili, że się Lubiczowie z praw swoich do spadku wylegitymować nie mogą, inni, że plenipotent sprzeniewierzył się i z sumą podniesioną do Ameryki drapnął; wszyscy śmieli się z zagranicznych wujaszków, a bardziej jeszcze z siostrzeńców, co się już spodziewanemi milionami cieszyli.

Widocznie, na szczęście Stasi, gdyż matka, przez pana Adolfa namawiana, cią głe nalegała, jakieś echo tych pogłosek do uszu pana dyrektora dojść musiało, gdyż wizyty jego były coraz rzadsze i więcej wynikały ze służbowych stosunków, aniżeli z osobistego dla pana Adolfa afektu; dyrektor wprawdzie ilekroć przyjeżdżał, stawa! w jego mieszkaniu, gdzie miał pokój wygodny, obiady doskonale i partyjkę winta wieczorem, ale na Stasię, nawet uwagi nie zwracał. Kłaniał juj się wchodząc,

i wychodząc, przy obiedzie kilka słow potocznej rozmowy zamienił, dziękował, gdy zagrała lub zaśpiewała, był uprzejmy w miarę, jak konwenans światowy nakazuje, ale nadto nic więcej.

Takie postępowanie uspakajająco wpłynęło toż i na Stasię, która, od rozmowy ostatniej z matka, pomizerniała, posmutniała i nie miała innej pociechy nad korespondencyę z bratem, coraz bardziej ożywioną i częstszą.

Miarkując, że ludzie coś mówią, widząc pewną zmianę w postępowaniu niektórych, co się już przed spodziewanemi jego milionami płaszczyli, pan Adolf postanowił poświęcić się dla dobra rodziny i pojechać za granicę, ażeby osobiście rzecz rbać i raz nareszcie niepewnościom koniec położyć.

Interesa rodziny, pan inżynier brał tak dalece do serca, że się to aż na jego zdrowiu odbiło.

Ciągły niepokój, niepewność, jakaś gorączka wewnętrzna, trapiły go, gdyż po mizerniał, pobladł i ciągle był w stanie rozdrażnienia nerwowego.

Zły humor był jego nieodłączonym towarzyszem, co się też dobrze dawało we

znaki podwładnym. Odetchnęli też z głębi piersi, gdy odjechał i cieszyli się szczerze, iż przez miesiąc przynajmniej, bo na taki czas urlop sobie wyjednał, będą mogli pracować spokojnie, nie potrzebując znosić wybryków kwaśnego humoru pana inżyniera.

Pierwszy list otrzymała pani Janina z Wiednia. Donosił w nim, że czuje się bardzo zmęczonym podróżą i nietęgim na zdrowiu, że zasięgał rady jakiegoś znakomitego doktora, który mu spokój i wypoczynek zalecił. Naturalnie, z owej rady pan Adolf korzystać nie mógł, gdyż obowiązek jest pierwszy, niż zdrowie, a obowiązek kazał jechać dalej i poświęcać się dla dobra rodziny.

Wzruszona do głębi serca, małżonka natychmiast wystylizowała odpowiedź, zaklinając go na wszystko, aby o obowiązkach, chociaż na jakiś czas zapomniał i, korzystając ze sposobności, z urlopu, z wolnego od zatrudnień służbowych czasu, przede wszystkim cenne swoje zdrowie, ten najszacowniejszy skarb dla rodziny, społeczeństwa i kraju zachował.

Drugi list przyszedł w tydzień później; datowany był już z Paryża.

Radczyńni spojrzawszy na pieczętkę pocztową, była niezmiernie ciekawa dowiedzieć się, co też zięć o spadku donosi, ale list był lakoniczny.

W kilku wierszach pisał pan Adolf że przyjechał względnie szczęśliwie, że czuje się chorym i osłabionym jak poprzednio, że długa podróż bardzo go nuży.

O interesach nie było w liście ani słowa.

Później, przez całe dwa tygodnie trwało milczenie, które bardzo niepokoiło panią Janinę.

Napisała też do męża kilka listów, te jednak pozostawały bez odpowiedzi; przypuszczano, że albo zasłabł, albo tak jest zajęty interesami, że nie ma czasu na pisanie.

Dopiero po dwóch tygodniach list nadszedł, i zawierał między innymi takie wiadomości:

„Zawsze źle wychodziłem, wdając się w sprawy twojej rodziny, moja żono — i tym razem stało się podobnie.

Otrzymana wasza sukcesja, jest to rzecz bagatelna, jak dla mnie, nie warta zachodu i straconego czasu. I u was w domu tak było: udawaliście wielkich panów, nie mając gro

sza przy duszy, dziś udawaliście milionerki, mając ledwie kilkanaście tysięcy w sperandzie. Stało się już. Teraz potrzebuję myśleć o tem, żebym ja przynajmniej sam, dla waszych pięknych oczu, nie był zmuszony tłumaczyć się przed ludźmi i opowiadać wszystkim i każdemu, historię waszego kuzyna niedołągi, który zgromadziwszy znaczne kapitały, potrafił je tak doskonale umieścić, że ich teraz sam dyabeł nawet nie wydobędzie. Co do mnie, rozpocząłem odpowiednie kroki o tranzlokację na inną linię kolei, mam nawet zamiar wprost z zagranicy udać się na sienną posadę. Bądź więc przygotowaną do wyjazdu, a z chwilą otrzymania następnego listu, poślij do stolarza, by upakował rzeczy. Naturalnie, aczkolwiek zawsze byłem i jestem bardzo uprzejmy i względny dla twojej rodziny, jednak ani matki, ani Stasi, na nowe miejsce zabierać z sobą nie mogę, gdyż ostatecznie sam nie wiem, jak się urządzą i jakie będą miał

mieszkanie. Trzeba więc dyplomatycznie dać tym paniom do zrozumienia, żeby pojechały napowrót do Warszawy. W taki sposób masz to uczynić, pozostawiam twojej domyślności."

Pani Janina przeczytawszy list, zamknęła się w swoim pokoju i zaczęła płakać.

Może nietylko bolał ją doznany zawód pod względem materialnym, gdyż chciwości w charakterze swoim nic miała, a dobrobyt, jakim była zawsze otoczona, nie kierował jej myśli w sferę pragnień i pożądań, opierających się na bogactwie. Żal jej było miejsca, ludzi, do których przewykła, lękała się nowych stosunków i znajomości, straszyla ją myśl przeprowadzki, stracenia tych wszystkich mebli, wśród których kilka lat spokojnie przepędziła.

Nadto, bolała ją myśl rozstania się z matką i siostrą. W ich towarzystwie odżyła, czuła się spokojniejszą, weselszą.

Podczas ich pobytu, dom stał się więcej ożywionym i przyjemniejszym.

Teraz, niespodzianie miała się z nimi rozstać.

Przywykła do biernego wykonywania wszystkich życzeń męża, nie pomyślała nawet o opozycji, o wyjawieniu własnego zdania.

Adolf tak postanowił i tak będzie.

On przecie ma rozum, wie co robi i wie zapewne, dla czego robi tak, me inaczej.

Zalecił, aby matce i siostrze dać do zrozumienia dyplomatycznie.

Jakto dyplomatycznie? przecież to taka prosta rzecz. Wyprowadzamy się lada chwila, tu będzie nieład, rujnacya, zamieszanie, a więc!...

Obmyśliła pani Janina, że najdyplomatyczniej będzie, pokazać matce i Stasi list pana Adolia w oryginale.

Tak ją zajmowała myśl o wyjeździe i przeprowadzeniu się, że zapomniała, iż w liście znajdują się pewne wyrażenia, których byłoby lepiej nie pokazywać.

Ale stało się; zakłopotana kobiecina spostrzegła swój błąd wtedy, gdy było już zapóźno.

Radczyni wybuchnęła głośnym płaczem, a Stasia pogardliwie ruszyła ramionami.

— Moja marno—rzekła—trzeba wyjechać natychmiast.

— Jakto zaraz? dziś? — spytała pani

Janina.

— A naturalnie, ira prędzej, tem lepiej. Niechże już raz skończy się ten szereg bohaterskich poświęceń, jakich szano

wny twój małżonek dla dobra naszej rodziny dokonał.

— Ale, Stasiu kochana, uwzględnij, że on to pisał chory, rozżalony, i może mimowoli...

— Masz, słuszność, mimowoli wypowiedział to, co zawsze myślał. Co do mnie, jestem mu szczerze wdzięczna, ponieważ stokrotnie przekładam jawną i otwartą niechęć, nad wszelkie obłudne czułości.

— Surowo sądzisz, za surowo, on przecie taki dobry dla was...

— Pozostawiam ci go też, biedna moja siostró, ciesz się jego dobrocią, bo ta ci już musi na całe życie wystarczyć.

— Widzę, że ty i dla mnie serca nie masz.

— To się mylisz. Ja zawsze byłam ci siostrą i zawsze szczerze cię kochałam, ule co do pana Adolfa, to rzecz inna.

Teraz poznałam go dobrze. Przedstawił się nam takim, jakim rzeczywiście jest i, dopiero teraz, sam nie wiedząc o tem, wyświadczył mi prawdziwą, istotną przysługę.

— Ja nie rozumiem, co ty mówisz, Stasiu.

— Teraz tuam przynajmniej rozwiązane ręce i moge powrócić do zatrudnienia

swego, do pracy, U lora mi w przyszłości da niezależny kawałek chleba. Wrócę do naszego cichego mieszkanka na Ogrodowej ulicy, gdzie nam było dobrze i spokojnie.

— A czy ci u nas źle było, moja Stasiu?

— Niech to nie obraża twej godności gospodyni domu, i niech nie uraża uczuć siostry; twoją serdeczność i przywiązanie twoje wysoko cenię, ale jeżeli mam szczerze powiedzieć, mnie tu dobrze nie było, tembardziej, że pobyt mój u was, nważalam za chwilowy. Zgodziłam się na przyjazd do was, tylko dla matki, dla tych złudzeń, które były dla niej tak miłe. Teraz jestem swobodna. Biedna nasza mama rozczarowała się już zapewne, pan wicedyrektor pohamuje swoje sercowe zapędy, a ja wrócę na tę dróżkę, którą szłam.

Radczyini płakała ciągle.

— Niech mama nie płacze—pocieszała Stasia radczynię.

— Będziemy razem z Czesławem, przecież już nie jesteście biedni, ja wiem doskonale. To co otrzymamy, wystarczy dla mamy na wygodne życie, a my młodzi, zapracujemy na siebie. Czy mama nie ma mnie,

czy mama nie ma syna, i jakiego syna! Ja mamę otoczę wszelkimi staraniami i troskliwością, a Czesław będzie naszym opiekunem. To przecież już nie dzieciak, bo człowiek z charakterem, człowiek z przyszłością, a kocha nas obie tak serdecznie.

Nie wiele pomogły pocieszenia te i perswazye.

Pani radczyni płakała wciąż, powtarzane ciągle.

— Wszystko przepadło... ostatnia nadzieja. Łudzicie mnie, że są jakieś resztki, ale ja w to nie wierzę, w nic... w nic... wszystko stracone.

Ani pieszczoty Stasi, ani jej słowa serdeczne, nie wywierały żadnego skutku.

Radczyni wpadła w stan jakiejś apatii, zniechęcenia. Nic prawie nie mówiła, nic nie żądała, nie sprzeciwiała się, gdy Stasia na drugi dzień termin wyjazdu postanowiła. Pożegnała się dość obojętnie z córką wnukami, które przecie tak bardzo kochała i dała się zawieść na kolej, jak małe, chore dziecko, spoglądając na świat obojętnie, bezmyślnie. Stasia wysłała depezę. tom VIII.

W Warszawie na dworcu Czesław przybycia matki i siostry oczekiwał; gdy pociąg przybył, pospieszył drzwiami wagonu otworzyć. Stasia z okrzykiem radości rzuciła się bratu na szyję.

Tak dużo oboje mieli sobie do powiedzenia.

Gdy radczyni znalazła się znowu w dawnym mieszkanku na Ogrodowej ulicy, zaczęła płakać i powtarzać, że wszystko przepadło, że ostatnia nadzieja zniknęła.

Próbował ją Czesław przekonać, że jest inaczej, lecz oświadczyła mu wręcz, żeby sobie nie zadawał fatygi.

— Zwodzicie mnie wszyscy — mówiła — teraz już nikomu nie wierzę; nie mówcie mi o sukcesy, ani o majątku, pozwólcie cierpieć spokojnie i modlić się... żeby mi Pan Bóg prędzej śmierć zesłał, bo już nic nie mam ani siły, ani ochoty do życia.

Czesław wszakże nie dał za wygrane, pobiegł w tej chwili do mecenasa i poprosił go, żeby osobiście przybył i matkę uspokoił.

Stary prawnik i stary galant zarazem, z tą uprzejmością szczególną, którą się ludzie dawniejszej generacji odznaczają,

przybył, nie zwłócząc i tyle komplementów, tyle grzeczności dawnej swojej znajomej naprawił, że potrafił ją ożywić i w dobry humor wprowadzić.

Mówił z nią o nieboszczyku radcy,

o dawnych towarzystwach, wspólnych znajomych, o koligacjach i pokrewieństwach Lubiczów, a potem nieznacznie zwrócić uwagę na spadek. Opowiedział radczyni całą niemal biografię owego kuzyna, dzieje jego tułaczki, dorabiania się, wreszcie historię z weksłami, a tak ją umiał zaciekawiać i zająć, że słuchała go, z największą uwagą.

— Zapewne — rzekł, kończąc swoje opowiadanie, — byłoby lepiej, gdyby się wam wszystko dostało, ale trzeba wiedzieć, że i ta resztką nie jest do pogardzenia. Da ona pani spokojny kawałek chleba, aż do najdłuższych dni życia, jeżeli naturalnie ulokowaną zostanie w sposób zapewniający wszelkie bezpieczeństwo.

Radczyni podziękowała staremu przyjacielowi za wiadomość, zapraszała, żeby częściej przychodził, żeby pamiętał o niej,

i żeby lokację dla kapitaliku obmyślił.

Od tego czasu zyskała trochę na

humorze, ale zdrowie nie dopisywało jej ciągle.

Właściwie, nie była to choroba, lecz upadek sił, które jednak troskliwa opieka podtrzymywała.

Pan inżynier doprowadził swój zamiar do skutku i żadaną posadę otrzymał. Wyprowadził się bardzo daleko, w głąb Rosyi, a mając trochę uzbieranych pieniędzy, puścił się na drobne entrepryzy i spekulacyey w nadziei, że dorobi się milionów.

Bez milionów nie wyobrażał już sobie życia i, postanowił dojść do nich, bądź co bądź.

Kto wie? może i dojdzie, gdyż takie postanowienia silne, bywają niekiedy uwieńczone upragnionym skutkiem.

Pani Janina pisywała dość często, a w listach jej, przebija! żal i tęsknota.

Przysłała w jednym liście swoją fotografię, z niej dowiedziała się Stasia, że oddalenie i tęsknota do ukochanych, prędzej jeszcze niż fizyczne cierpienia, mogą się napiętnować na twarzy.

Czesław kończył kursą, a Stasia chodziła jak dawniej, codziennie do pracy.

Białe jej rączki, zrobiły się szorstkie, i jakby zgrubiałe, ale matka nie wymawiała jej tego.

Może ilio dostrzegła, a może też przyszła do przekonania, że czasy się zmieniają, a z niemi i wiele pojęć także.

IX

Upłynęło lat trzy.

W mieszkanku przy ulicy Ogrodowej, niema już naszych dobrych znajomych, nie ma ich też i w Warszawie. i

Wyprowadzili się na prowincyę.

Za fundusze otrzymane ze spadku, nabyli w jednym z większych miast gubernialnych posesyę obszerną, z dużym ogrodem, położoną koło rogatek, nad rzeką.

Pani radczyni ma wygodne mieszkanko, umeblowane według jej gustu i upodobania. Zdrowie staruszki poprawiło się znacznie, poprawił się również i humor. Porobiła nowe znajomości, pozawiażywała stosunki i nie było dnia, żeby ktoś jej nie odwiedził.

Na gawędce, przy doskonałej kawie,

którą namiętnie lubiła, czas jej przechodził wesoło. Szanowano ją, lubiono, miała udział w dobroczynności publicznej, była opiekunką ochrony dla dziewcząt i to jej także sporo czasu zabierało.

Powodów do zmartwień nie miała żadnych. Dzieci mieszkały z nią razem — i jakie to były dzieci!

Czesław zmężniał, wypiękniał, ładny wąsik ozdabiał jego twarz, rozumne oczy patrzyły śmiało, a poważnie.

Skończywszy uniwersytet, poszedł na praktykę ogrodniczą, a teraz na własnym kawałku ziemi pracuje. Stary ogród doprowadza do wzorowego porządku, ciągle go udoskonala i ulepsza.

Skoro świt tylko, już jest przy robocie i do późnego wieczora, pracy nie przerywa.

Dochody ma ładne i kawałek chleba na całe życie pewny; matka namawia go, żeby się żenił, żeby już własną założył rodzinę, ale on się nie spieszy.

Czy mu źle tutaj u siebie?

Stasia kwitnie zdrowiem. Zawsze jest uśmiechnięta, wesoła, czas jej zbiega szybko przy nieustannem zajęciu.

W dwóch pokojach, na doła, ma warsztat, przy którym kilku ludzi pracuje, a w środku miasta, na pryncypalnej ulicy, sklep elegancki.

AV warsztacie robota nie ustaje, w sklepie ruch ciągły.

Stasia, oto, poprostu, szewcem jest, obuwie damskie wyrabia. Wyuczyła się tego w Warszawie, i obecnie sama zakład prowadzi.

To jest jedynym zmartwieniem radczyni, że nad sklepem wisi wielka deska z napisem: Stanisława Lubicz, ale i z tem nieszczęściem trzeba się było pogodzić.

Czasem, gdy się kilka znajomych pań zejdzie, gdy zaczną o czasach dzisiejszych rozmawiać, i nad zmianami różnemi ubolewać, pani radczyni kiwa smutnie głową i mówi, wzdychając:

— Mąż mój nieboszczyk był radcą stanu... a córka...

Stasia się śmieje w takich razach i zapewnia matkę, że jest także radczynią i rzeczywistą nawet, gdyż rzeczywiście radzi Bobie na świecie.

Pan Kazimierz już jej nie prześladowuje prośbami o przebaczenie i afektów swoich

nie oświadcza, bo znalazł inną, która go uszczęśliwiła sercem i pożądaną ilością gotówki.
Jest jesień, piękna złota jesień, pogodna i ciepła.
W ogrodzie drzewa się gną od owoców, ciężkie grona winne wychylają się z pod liści malowniczo z sobą splątanych.
W kółku naszych znajomych gwarno i wesoło.
Państwo inżynierowie z dziećmi przyjechali po kilku latach rozłączenia, aby strony rodzinne zobaczyć.
Radczyńni wnukami nacieszyć się nie może. Szczęśliwe one, wesołe jak ptaszęta, wszystko je bawi i zajmuje.
Babcia obdarza je pieścizotami i zabawkami.
Pani Janina zmizerniała i pobladła. Ciągle jest wzruszona i zapłakana. Pobyt w odległych stronach, a raczej tęsknota za swoimi, podkopała jej zdrowie.
Teraz czuje się, jakby ją nagle .w inny świat przeniesiono; otwiera okno, żeby usłyszyć rozmowę przechodniów, pochwycić nutę jakiej piosenki i śmieje się jak dziecko

do drzew, do kwiatów, do wody, co się w rzece srebrem przelewa.
Tak ją wszystko przejmuje, że co chwila płacze.
Pan inżynier ma ją zawieźć do Warszawy, albo do Wiednia, żeby się jakiego znakomitego neuropaty zaradzić. Stasia twierdzi, że najlepiejby było dla siostry w rodzinnych stronach zamieszkać, ale to niemożliwe, ponieważ pan Adolf, miliona jeszcze nie zrobił.
On sam, przez te kilka lat, odmienił się także. Urosła mu ogromna broda, która z dumą rozkłada się na szerokich piersiach, utył na potęgę, akcent mowy zmienił i jeszcze jest okazalszy, poważniejszy, niż przedtem.
Miliona dotąd nie ma, lecz głowę już tak nosi, jakby go oddawna posiadał.
Proszony przez żonę, aby się do matki i rodzeństwa w owiedziny wybrał, zgodził się na to, ze względu na zdrowie pani Janiny, która coraz bardziej szczupłą i mizerną się stawała.
Ustąpił więc jej prośbom, może nietyle z przywiązania i miłości dla niej, ile z obawy, że może stracić kobietę, nad którą po

korniejszej, potulniejszej i bardziej wszelkim jego grymasom dogadzającej, nie znalazłby na świecie. Pojechali więc. Przybywszy na miejsce, powitał matkę żony i rodzeństwo z powagą i z pewnym protekcyjnym uśmiechem, jakby nigdy nic pomiędzy nimi nie zaszło, a że pomieszczono go wygodnie i obiady miał dosko nate, więc nawet dobry humor i zadowolenie okazywał.
Pewnego dnia, przy święcie, gdy już czas pobytu państwa Adolfów u rodzeństwa do końca dobiegał, podano obiad w grodzie, w altanie obwieszonej splotami dzikiego wina.
Czesław, jako gospodarz, był dla gości uprzedzający i uprzejmy. Stasia ożywiała towarzystwo niezrównanym humorem, na twarzy radczyńni promieniał uśmiech szczęścia.

Nawet pani Janina, choć ją myśl blizkiego już odjazdu przerażała, zapomniała na chwilę o swej trosce, w tem gronie rodzinnem szczęśliwą się czuła.

Po obiedzie Czesław przyniósł koszyk wybornych owoców i butelkę starego wina.

Pan inżynier był bardzo zadowolony; doskonały obiad i wino usposobiły go nawet do wynurzenia czułości.

— Słuchaj, panie Czesławie — rzekł, — bywało to pomiędzy nami rozmaicie...

— Jakto?

— A no, przyznaj, że nigdy do mnie nie miałaś sympatii.

— Ależ co znowu!

— Nie zaprzeczaj. Anity, ani Stasia...

— Ah, już co do mnie...

— Tak jest, nie lubiliście mnie, a jednak ja chciałem zawsze waszego dobra. Jeżeli nie wierzycie, spytajcie Janinki, ile razy zajmowały mnie myśli o waszym lo sie. No czyż nie tak, moja żono?

— Tak, w samej rzeczy—odparła pani Janina, — Adolf was bardzo kocha, a chociaż niekiedy bywa przykry...

— Że też przez tyle lat pożycia naszego, nie nauczyłaś się jeszcze rozróżniać, co to jest być dla kogo przykrym, a co zachowywać odpowiednią do stanowiska swego godność i powagę! Ja nie tylko dla twego rodzeństwa, ale nawet dla moich podwładnych, dla ludzi zależnych odemnie, nigdy przykry nie jestem, zachowuję się tak, jak

tego moja godność' i stanowisko wymagają. Cóż chcesz? Przecież nie mogę wdawać się z nimi w żarciki i dowcipki.

— Słusznie, słusznie—odezwał się Czesław z lekkim odcieniem ironii. Powaga przede wszystkim.

— Tak, powaga i obowiązek. Gdy wszyscy pełnią obowiązki swoje, a raczej, gdyby wszyscy swoje obowiązki pełnili, byłby na świecie idealny ład i porządek.

— Bagatela, gdyby wszyscy...

— To jest właśnie mój ideał ustroju społecznego. Jedna część ludzkości, ma się rozumieć, znacznie mniejsza, powinna zarządzać, druga, w znakomitej większości, stać wyprostowana jak drut, słuchać i ślepo wykonywać to, co się każe. To jest moje marzenie.

— A gdyby cię los postawił wśród większości? — zapytała Stasia — czy miałbyś te same przekonanie?

— Rzecz naturalna, że tak, tylko przez sumienne, ślepe wykonywanie zleceń danych mi przez zwierzchników, starałbym się wydobyć z większości, która słucha i dostać się do szeregów mniejszości, która rozkazuje. Ale odeszliśmy od przedmiotu.

Wszczałem tę rozmowę dla tego, aby przekonać was, że zawsze o was myślałem.

— Któż kiedy wątpił, zawołała radczyni.

— Byli tacy. Czesław naprzykład...

— O, mój panie Adolfie, dajesz pokój. Jesteś mężem naszej siostry, jesteś naszym gościem, pragnąłbym przyjąć cię jak najserdeczniej, a ty wszczynasz kwestye, o których lepiejby nie mówić.

— Ale...

— Ale pozwól. Podoba ci się to wino?

— Doskonałe! Od wielu lat nie miałem w ustach takiego nektaru.

— A więc jeszcze jeden kieliszek!

Zgoda! Pić dobre wino, to jest także do pewnego stopnia obowiązek, ale widzisz, Czesławku kochany...

— Co?

— No, ja wam zawsze mówiłem, to jest tobie i Stasi, że praca jest podstawą bytu człowieka. Czy tak?

— Zdaje się.

— Zawsze wam mówiłem, że nienależy oglądać się na cudzą pomoc. Nie mam pretensyi do wdzięczności, ale musicie przyznać, że dobrobyt i stanowisko,

zawdzięczacie moim życzliwym radom. Zawsze byłem zwolennikiem pracy ręcznej połączonej z wykształceniem pracownika i jestem dziś szczęśliwy, widząc, że moje nauki, moje wskazówki, moje rady, wydały tak błogie owoce.
KONIEC.

PANI Z PIESKIEM.
(OBRAZEK Z BRUKU).
tom VIII.

I.

W najstarszej dzielnicy Warszawy, tam gdzie, jak małe strumyki do jeziora, ciasne i ciemne uliczki wpadają do rynku Starego Miasta, w domu wązkim a wysokim niepomierne, cztero czy nawet pięciopiętrowym, mieszkała i mieszka jeszcze zapewne dotychczas „pani z pieskiem”.

Nie trzeba sądzić, że ta dama nie ma nazwiska,—owszem, miała ich aż trzy. Panięskie, później lo yoto, wreszcie o yoto, które nosi godnie i nosić będzie, oby jaknajdłużej, aż do końca dni swego pocziwego żywota.

Nazywano ją jednak nieinaczej—tylko „pani z pieskiem”. Pod tym pseudonimem znał ją sklepikarz, maglarka, stróż, wymowne straganiarki, zaludniające rynek staro

miejski, tudzież kawalerowie, którzy z nią miewali bliższe relacje.

Tylko proszę tych ostanich stów źle nie rozumieć, bo „pani z pieskiem” jest wyższa nad wszelkie podejrzenia; raz jako dama silnej cnoty i nieposzlakowanych zasad, powi ore jako uczciwa wdowa, potrzecie, ponieważ skończyła, górą sześćdziesiąt lat życia—i doczekała się licznych wnucząt na swoją pociechę...

Wiedziało o tem dobrze „całe Stare Miasto”, a wszyscy prawie jego mieszkańcy znali tę damę i jej pieska, żółtego, spasionego mopsa, który jej zawsze na targ towarzyszył.

Osobiście miałem honor poznać „panią z pieskiem” przed laty siedmioma mniej więcej, mając interes do pewnego artystymalarza, który od niej pokoik odnajmował.

Gdy, wdrapawszy się z trudem po ciemnych, żelaznych schodach na trzecie piętro, zadzwoniłem, z poza drzwi słyszed się dało zawzięte ujadanie psa, oraz piskliwy głos kobiecy:

— Pójdiesz, Miluś! a pójdiesz! leżeć!... Zaraz otwieram. Miluś! powtarzam ci po raz ostatni, że dostaniesz wnyki... Poważna pani w popielatym szlafroc

ku, w wielkim czepcu i w okularach otworzyła mi drzwi.

— Przepraszam panią — rzekłem —czy tu mieszka pan Faustyn?

— Nie słyszę, dobrodzieju, nic a nic nie słyszę, nie dlatego, żebym była głucha, ale przez tego łotrapsa! Niech pan pozwoli dalej, porozumiemy się, mam jeszcze jeden pokoik wolny... Bardzo cichy i ciepły, od podwórza... Będiesz ty raz nareszcie cicho! Niechże szanowny pan siada... Można pomieszania zmysłów dostać przy tym psie...

— Nie chciałbym zajmować pani czasu...

— Ależ, zaraz panie, zaraz... Cóż tak pilnego? Proszę spocząć; a na psa mam sposób. Chce szczekać?... niech gałgan szczeka. Zmęczy się i przestanie. Ja go znam. Nie zaprzeczy pan chyba, że, swoją drogą, jest to śliczny piesek...
— I głos ma bardzo przyjemny. Mops?
— Kajzermops, panie, z czarną mordką. To bardzo szlachetna rasa... Aha! już gardło boli, już się sprzykrzyło szczekanie? Widzi pan, już nie ujada... Od czasu jak ostatnią córkę za mąż wydałam, a jest temu blisko dwanaście lat, trzymam stale pieska. Gdy jeden zginie, staram się o drugiego, a zawsze o mopsa, bo to bardzo mą

dre psy. Niech się pan nie dziwi... gdyby nie Mil u i, nie miałabym się do kogo odezwać. Teraz mogę zapytać, co tu pana dobrodzieja sprowadza, bo jeżeli o pokoik, to mam akurat jeden wolny...

— Nie, pani, chciałbym się dowiedzieć o pana Faustyna...

— Fana Faustyna?... tak, to mój lokator, zacna dusza, szlachetny charakter... mieszka tu on, mieszka, ale już go od tygodnia nie widziałam...

— Czy wyjechał z Warszawy?

— Broń Boże, panie dobrodzieju. Gdzieżby miał wyjeżdżać? Ale nie przychodzi, tuła się biedaczek, nocuje na mieście, u kolegów, bez żadnej wygody...

— Dlaczegoż to?

— Właśnie dlatego, że jest szlachetny... zanadto szlachetny, jak pana dobrodzieja poważam.

— Nie rozumiem...,

— Widzi pan, jak ma pieniądze, to ich nie utrzyma. Koledzy znają jego charakter... Zaprosi do bandelku, na Kępę, ufetuje, ugości... i pieniążki fiu! a potem kryje się przedemną i tuła Bóg wie gdzie, bo jest szlachetny i nie śmie się pokazać bez pieniędzy na stancję. Co pierwszego powta

rza się taka historia, aż muszę przez znajomych spraszać, żeby przyszedł. Toć nie jestem, panie, Herod; głowy mu nie urwę, po co ma się biedaczek tułać?... Nareszcie uda się go ściągnąć, przyjdzie i zaraz z miejsca przeprosza:—Ach, pani Jagodzińska kochana, bo ja się po drugim mężu Jagodzińska nazywam, ach, pani, powiada: ja jestem łotr, łobuz ostatniej próby, niegodzien pani zaufania. Tak sam na siebie! aż go muszę uspokajać i mitygować, i nieraz popłaczę się nad nim. Komorne oddać, to on mi odda, wykąpie po rubelku, po dwa złote—jak może, bo szlachetny, godna osoba! Ja go też żałuję i, choć to do mnie nie należy, obszyję, oblatam... Bo proszę pana łaskawego, kawaler, to nieraz gorzej niż cygan. Znam ja to dobrze, bo od lat trzynastu, od czasu jak ostatnią córkę za mąż wydałam, trzymam kawalerów na stancyi...

— Żałuję mocno, że pana Faustyna nie zastałem — rzekłem, zabierając się do odejścia—przepraszam panią, zem ją niepokoił...

— A niechże pan się nie śpieszy, on może nadejść, mam przecucie, że nadejdzie... Pan dobrodziej pewnie krewny pana Faustyna?

— Daleki...

— I także kawaler?

— Od kilku lat już nie...

— A, to bardzo dobrze, bardzo porządnie z pańskiej strony, bo co warto kawalerskie życie?... Napatrzę ja się na nich dosyć... Powiadam panu, mam trzy córki zamężne, mogłabym przy której osiąść, bo zapraszają, bardzo nawet zapraszają, aleja nie chcę. Nie lubię być ciężarem nikomu i z tego kąta nie myślę się ruszać. Najmłodsza córka bardzo mnie zapraszała do siebie, ale padam do nóg! "Wyobraź pan sobie, mieszka niby to w Warszawie, ale gdzie? na Sosnowej ulicy! Kłaniam uniżenie. Czy to Warszawa? Niech pan sam powie... Tu co innego, tu mam wszystko. Chcę pójść do kościoła, to jest zaraz Katedra, Pijary, św. Duch, św. Marcin, Dominikanie, Sakramentki; chcę co kupić, targ tuż, wszystko tuż... Zresztą tyle lat tu przemieszkałam i było mi dobrze, gdzie więc mam czego szukać na starość?

— Pani dawno tu mieszka?

— O, dawno! Trzeba panu wiedzieć, że ja jestem wdowa i to podwójna. Dwóch mężów miałam... pomarli, wola Boska! Pierwszy był urzędnikiem i to dość zna

cznym, brał tysiąc dwieście złotych rocznie w komisji skarbu, niby po potrąceniu na emeryturę, półczternasta rubla na miesiąc. Ładny grosz! Porządny człowiek był, ale umarł i to, niech pan dobrodziej wyobrazi Bobie, na tyfus! Majątku nie zostawił, bo był młody; zostałam tedy z córeczka, jak to mówią, na bruku...

Wspominała pani o trzech córeczkach.

— A tak, mam trzy, Bogu dziękować, a czwarta umarła dzieckiem, bo widzi pan, poszłam za mąż powtórnie. Byłam jeszcze młoda, zaczęli ludzie swatać, namawiać, no i namówili; wyszłam, i także za urzędnika, ale z poczty.

Nieosobliwy urząd, lakiem pachnie zdaleka, ale człowiek był niezgor szy. Żyłam z nim przez lat pięć i, wyobraź sobie pan dobrodziej: także umarł, z zaziębienia! Została po nim garderoba i trzy córeczki... Musiałam dobrze głową kręcić, żeby wyżyć z czworgiem dzieci... no, ale jakoś...

Zaciekawiony, w jaki sposób poczciwa „pani z pieskiem” rozwiązała tę trudną zagadkę, odezwałem się:

— Musiało pani być jednak ciężko na świecie...

Uśmiechnęła się...

— Zapewne — odrzekła — ale przecież wiadomo, że kogo Pan Bóg stworzył, tego nie umorzył... bo gdyby miał umarzać, to pocóżby stwarzał. Nieprawdaż?

— Zdaje się...

— Radziłam sobie, jak mogłam. Troche ludzie przyszli z pomocą, a trochę też i szczęście sprzyjało...

— A, szczęście!

— Tak... cóż też pan tak dziwnie patrzy, alboż to ludzie nie miewają szczęścia?

— Chce pani mówić o sukcesjach niespodziewanych, wygranej na loteryi...

— Jaki pan domyślny'... Było, panie, i jedno i drugie. Po bracie spadła na mnie sukcesya i ładna, siedmdziesiąt pięć rubli, jak lodu, w trzech papierkach, pamiętam, jak dziś... Na loteryi też wygrałam, nawet dwa razy. Trzymało nas pięć wdów ćwiartkę do wspólki i, jak panu powiadam, dwa razy wyszła nam stawka. Ale ani z sukcesyi, ani z loteryi wyżyć nie mogłam. Zarabiałam głównie igielką, szyciem. Młodość, miałam oczy dobre, ludzie dawali robotę, magazynów tyle nie było co dziś, dzieci się chowały, tylko jedna córeczka, najmłodsza,

zachorowała i umarła... Leży na Powązkach, przy ojcu: trzecia brama, niedaleko muru... W nocybym trafiła...

Westchnęła kobiecina na wspomnienie owej trzeciej bramy Powązek i — mówiła dalej:

— Szycie, proszę pana, to dobra rzecz, ma się rozumieć, jak idzie, a mnie szło, nie moge narzekać, nawet pannę do pomocy trzymałam, póki najstarsza córka nie podrosła. Posyłałam dziewczyny na pensye, tu, na Stare Miasto. Porządna pensya była; utrzymywała ją moja dobra znajoma, dziś już nie żyje, niejaka pani Dziembelińska; zapewne słyszałeś pan kiedy o niej?

— Nie pani.

— To dziwne, cała Warszawa ją znała.

— Ja niejestem warszawiak.

— A, to co innego. Pensya to była, co się zowie, dwie klasy. Na fortepianie i po francuzku uczyli. Kosztowało rubla na miesiąc. Drogo, bo drogo, ale za to dobrze. Mnie nieboszczka pani Dziembelińska opuszczaa cokolwiek, troche po znajomości, a troche

za to, że jej stare suknie przerabiałam... Nie ma co mówić, znała swoją godność, przecież przełożona, panienki mówiły na nią:

„madame" Otoż, panie dobrodzieju, jak tylko najstarsza skończyła pensye, zaraz ja, oddałam do magazynu na praktykę, a gdy się uzdolniła, pannę oddaliłam i szyłyśmy we dwie... O tej pannie miałabym dużo do powiedzenia, ale woję zamilczeć, bo lepiej o kim nic nie mówić niż źle, a to, z przeproszeniem pana dobrodzieja, latawiec był! a próżniak... Zresztą, co mi po pannie, skoro miałam córkę do roboty zdolną. Wszystkie trzy pokierowałam w ten sposób. Ja zajmowałam się gospodarstwem, one szyły, ale jak szyły! jaką miały zdolność! Po całym Starem Mieście rozniosło się, że nigdzie tak porządnie sukni nie zrobią, tak gustownie kapelusza nie ustroją, jak u nas... Czy da pan dobrodziej

wiarę, że miałyśmy robotę z Podwala, z Długiej, z Zakroczymskiej ulicy, a raz nawet jedna pani z Krakowskiego Przedmieścia dała do przerobienia jedwabną suknię. Jak pana dobrodzieja poważem!

— Więc się pani wiodło?

— I jak jeszcze, szanowny panie, i jak! Na komorne miałam; w sklepiku kredyt, żeby nawet na kilkanaście rubli. Wiodło się, ludzie zazdrościli, a najbardziej jedna wdowa, co miała szwalnię na Kanonii. O! ta,

proszę pana, ujadła, co włożyło... ale znalazłam i na nią sposób.

— Ciekawym, jaki?

— Stary ale dobry. Naprzeciwko mieszkał malarz, zdolny artysta, taki co pokoje maluje, więc go poprosiłam i zapłaciłam, ma się rozumieć, żeby mi na deszczulce wymalował Opatrzność i wypisał te słowa „Datos mi, Wszechmocny Panie, z Twojej Opatrzności — daj i tej babie z Kanonii, która mi zazdrości”. Tę deseczkę kazałam przybić naddrzwiami. Panie dobrodzieju, co to było gadania!... Cale Stare Miasto trzęsło się; powiadam, że się trzęsło, jak mnie oto pan żywą widzi. Śmieli się... nie ze mnie, ma się rozumieć, ale z tamtej, bo Pan Bóg nie rychliwy ale sprawiedliwy i złość ludzka musi być zawsze ukarana... Z tamtej się śmieli, a mnie robota szła, nawet zaczęli ludzie bąkać, że i pieniądze mam...

— A w rzeczywistości jakże było? — zapytałem.

— W rzeczywistości?... Cóż mam się zapierać? Było, bo musiało być. Oszczędzałyśmy, pracowały, więc się tam i pieniąż zawiązał.

— Może będę niedyskretny, ale radbym wiedzieć, jak też dużo pani uzbierała?

— O! sporu! Trzy listy zastawne po sto rubli i papierkami kilkaset złotych. Piękny grosz? Nieprawdaż, panie?

— Spodziewani się.

Nie chwaliłam się z tem, bo cóż to za chluba? Lada żydziak potrafi złożyć pieniądze, jak ma z czego; ale ludzie podpatrują, a gdy co zobaczą, to dołożą dziesięć razy tyle i puszczają w kurs. Zaczęli opowiadać: „baba ma pieniądze, siedzi na pieniądzech”. Mówili przez zazdrość, a mnio się to na dobre obróciło, bo jak o pieniądzech słuch poszedł, zaraz się do moich dziewczyn konkurenci znaleźli. Ale niech pan nie myśli, że się dla pieniędzy poženili. Dziewczęta były, nie chwając się, śliczne. Niech pan dobrodziej się przekona..

To mówiąc, babina pobiegła do stolika ka i wydobyła z szufladki fotografie.

— Oto, panie, Michalinka — mówiła, pokazując wypłowiałą już fotografię — naj starsza. Jak malowana, powiadam panu. Ta miała ogromne szczęście, kilku ubiegało się o nią, ale... komornik ją złapał .

— Komornik!

— A tak, tak, jakby pan wriedział, że '

komornik. Zabrał jak swoją i ożenił się z nią. Mieszkają teraz na prowincyi, mają czworo dzieci, bardzo im się dobrze powodzi. Co to, panie, komornik! Śliczna posada, chleba po uszy. Innym bieda, a komornikowi zawsze dobrze. A to znowuż, panie łaskawy, jest Józia, bardzo dobre, bardzo poczciwe dziecko, średnia moja córka. Także mieszka na prowincyi, jest za leśniczym. Byłam raz u nich; mieszkają, proszę pana, w lesie, jak słowiki, dziatczek jest ośmioro. Pieniądze się tam nie przelewają, ale głodu niema; jest troszkę zboża, są trzy krówki, a grzybów! panie dobrodzieju, co tam grzybów! jak życie moje, nic podobnego nie widziałam. Ta znowuż, to najmłodsza, Andzia, dwanaście lat temu, jak wyszła za mąż: Jej mąż był wtedy ślusarzem na kolei, ale teraz pan! Maszynistą go zrobili, węgle wozi. Takiemu dobrze: pensye ma, węgle ma, buty mu dadzą, kozuch dadzą. To też żyją sobie jak państwo, ale ja rzadko ich odwiedzam.

— Dlaczego?

— Mieszkają aż na Sosnowej ulicy. Istne przedpiekle! ktoby chodził taki kawał drogi! Niechże pan sam podług fotografii osądzi, czy takie śliczne dziewczyny miały

koniecznie wyjść za mąż tylko dla pieniędzy? Plotki tyle dobrego zrobiły, że jeden i drugi, usłyszawszy o pieniądzach, starał się zapoznać; a gdy się zapoznał, to, chociaż uczciwie powiedziałam wrzysłko, tak jak jest, już się nie zliścił, tylko upodobał sobie panienkę i marsz do ołtarza! Tak, panie, powydawałam wszystkie za mąż, a choć zięciów mam dobrych i każdy mnie zaprasza, jednak osiadać przy dzieciach nie chcę. Na co mam być komu ciężarem? Póki człowiek może, powinien na siebie pracować. Oczy mi już nie dopisują, okulary noszę, więc też postarałam się o inny sposób zarobku. Najęłam trochę większe mieszkanie i trzymam kawalerów na stancyi. Dla nich są dwa pokoiki, a dla mnie ten oto salonik i kuchenka.

— Czy się to pani opłaca?

— A, proszę pana, dlaczego nie? Żyję Albo to mi dużo potrzeba! komorne płacę, długów nie mam, czasem dla wnuczków prezencik jaki kupię. Czasem są kłopoty z lokatorami, ale cóż jest na świecie bez kłopotów...

— Zapewne późno przychodzą, hałasują po nocy...

— Rozmaicie. Czasem przychodzą

późno, czasem wcześniej, a czasem wcale nie przychodzą, jak któremu wypadnie... Przyzwyczaiłam się już do tego.: „Miluś”, jak usłyszy dzwonek, zaraz zaczyna szczeekać, więc wstaję i otwieram! Różni to już przez te dwanaście lat mieszkali, a najwięcej malarze i aptekarze... Płacą, jak mogą, zdarza się także, że który i nie zapłaci, ale to więcej przez wypadek, albo dlatego, że sam nie ma, albo znów, jak pan Faustyn, przez szlachetność...

— Jakoś go jednak nie widać, a ja pani czas zajmuję.

— Cóż tam czas! mam godosyć... Ot niech pan dobrodziej posiedzi... może pan Faustyn nadejdzie... Czekał już pan tak długo, można jeszcze momencik... Pan Faustyn to piękna dusza! ja mam szczęście do takich. Znają mnie oni dobrze. Malarz bez obstalunków, aptekarz bez koudycyi, czasem urzędnik jaki, spadłszy z etatu, do mnie jak w dym! Wiedzą, że za lokal poczekam, a jak którego bardzo bieda przycisnie, to i pożywię i oblatam...

— To pani musi dużo należności przepadać...

— E, nie; jak który ma, to oddaje.. Jeden malarz mieszkał tu u mnie przez
tom VIII.

sześć miesięcy, rzadko w domu bywał, bo miał zatrudnienie na mieście, malował portret lorda...

— Zkądże on lorda wyrwał?

— Albo ja wiem, zkąd taki co wyrwie? Nie wiem. Dość, że przyjechał do Warszawy lord i to nie byle jaki, podobno, za pozwoleniem pańskim, niby trzodą chlewną handlował.

— Trzodą?

— Tak mi malarz opowiadał... Bywało, mówi do mnie tak: „niech się mama Jagodzińska (bo oni mnie tu wszyscy mamą nazywają) nic nie boi; tylko tę małpę angielską wymaluje, zapłacę zaraz co do grosza... dobrze zapłacę, bo lord bogaty: ma dziesięć mil samych pastwisk w Ameryce, co roku pięćdziesiąt tysięcy wieprzów sprzedaje, a samą szczecinę pełnemi okrętami wysyła.

— Ten lord?

— Ano lord, panie dobrodzieju, jużciż, że lord, skoro taki bogacz...

— Musiał hojnie zapłacić za portret?...

— Byłby zapłacił, ale wyjechał. Miał podobno familijne przykrości... przysła depesza z Ameryki i nawet się nie pożegnał z malarzem...

— Więc pani należność! przepadła?

— Uchowaj Boże! Wyobraź sobie pan łaskawy, nie widziałam mojego malarza z półtora roku, nawet się po manat ki swoje nie zgłaszał. Myślałam, że istotnie moje przepadło, aż jednego dnia wpada jak bomba, wesoły, śmiejący się i woła: „Marno Jagodzińska, błogosław marnotrawnego syna: żenię się... panna, powiada, istna Venus!— słyszał pan dobrodziej? powiada: Venus, wyraźnie tak powiedział; — a papa, mówi stary Wulkan...” — Jaki Wulkan? pytam, czy niemiec, że się tak głupio nazywa? Powiada: „Jeszcze gorzej... ma odlewnię żelaza... —Chryste Jezu! mówię, to pewnie bogacz?! „A, powiada, bogacz, bogacz, ma i swoją kamienicę...” Wyraźnie powiedział: kamienicę... i niech pan dobrodziej sobie wyobrazi, ten pocziwy malarz, bo, że pocziwy to pocziwy, nietylko, że mi zapłacił, ale jeszcze,

nazajutrz, przysłał torcik z cukierni, orzechowy, cukrami ubierany i bilecik z prośbą, żebym była na ślubie... I byłam... Ha, ha, panie szanowny, z jaką wystawą! z jaką pompa!... u Wizytek, kościół cały w kwiatkach... a stroje, karety, aż się w oczach ćmiło... Niech mu Pan Bóg da wszystko dobre... ten pocziwy czło

wiek... zawsze mi się i teraz grzecznie kłania, choć powozem jeździ... Godna dusza! — A teraz dużo pani ma lokatorów? ' Tylko pana Faustyna i dwóch aptekarzy; jeden egzamin zdaje i chodzi do kogoś się uczyć, więc czasem i po trzy dni w domu nie bywa, a drugi znów szuka kondycyi i w dzień i w nocy... szuka, jak może... Chciałby do jakiej wdowy na prowincyi, bo aptekarz skończony... ale przecież, jak panu łaskawemu wiadomo, wdowy na obstalunek nie znajdzie... trzeba czekać okazji, aż się trafi. To znów go namawiają, żeby się żenił z córką materyalisty, wie pan dobrodziej, takiego, co skład apteczny ma; jakoś mu się panna nie bardzo podoba, bo ma na nosie gulkę. Ja mówię: cóż to szkodzi? chociaż z gulką, może być najzaczniejsza kobieta... a on się uparł; powiada: nie, jak już mam, powiada, spaść, to niech spadną z dobrego konia, albo wdowa na prowincyi, albo jak nie: to założę fabrykę kapsulek! Ha, mówię, niech pan założy, kapsułki też ludziom potrzebne.. Tymczasem, tak to wszystko wisi, dopóki się nie wyklaruje... Jabym mu życzyła brać tę z gulką, ale on nie chce słuchać. Ciekawam, coby mu gulka przeszkadzała? Inny nie będzie gryma

sił; weźmie i będzie miat i żonę i skład. A to dobry interes, bardzo dobry... ja się na tem znam...

— Pani?

— Ma się rozumieć... Widzi pan dobrodziej tę szafkę złotą,?

— Widzę.

— No, to w niej też jest skład...

— Jaki?

— Materyałów, panie szanowny, materyałów. Mam dosyć, od czasu do czasu córkom"przesyłam... to pudeleczko troistego proszku, to fijołkowy korzeń, to tego, to owego; wiadomo, że wszystko się przyda przy dzieciach... Pomadę też miewam, trociczki, różne rzeczy...

— Zkądże pani do tego przysłała?

— Ha, proszę pana, tak się jakoś samo złożyło. Taki kawaler nieraz nie ma pieniędzy, ja się, co prawda, nigdy nie upominam, ale on sam poczuwa się, więc powiada: „marno Jagodzińska, nie mam gotówki, ale niech pani przyjmie ton słoiczek, albo tę paczuszkę, to się przyda". Cóż mam robić, biorę... A jak raz zasłabłam na kaszel, to mi, proszę pana, doktora sprowadzili... niby nie takiego, żeby był już całkiem prawdziwy, ale studenta... Taki też leczyć umie,

po szpitalach chodzi... Zupełnie jak doktor, w okularach, pukał, patrzy! na zegarek, receptę pisał... Chciałam płacić, bo mam ten zwyczaj, że zawsze płacę, ale powiedział: — a, przepraszam, od pani Jagodzińskiej nie wezmę — pani Jagodzińska powinna mieć darmo kurację. I tak było: moi lokatorowie przynieśli lekarstwa, sami robili własnymi, rękami i nie kosztowało nic i pomogło... Poczciwe chłopaki! niech im Pan Jezus da zdrowie...

Spojrzałem na zegarek... toż ja u tej „pani z pieskiem” przesiedziałem więcej, niż godzinę!

— Nie doczekam się pana Faustyna— rzekłem, biorąc za kapelusz...

— I mnie się tak zdaje; widocznie jeszcze biedakowi, jak to oni mówią, fioła nie przyplęnęła— i wstydzi się przyjść. Szlachetny człowiek, zacna dusza! chociaż Bóg mi świadkiem, że nie powiedziałabym marnego słowa. Mam jeszcze parę groszy na życie... Może pan dobrodziej jutro przyjdzie., albo niech pan zostawi bilecik... ja oddam, jak go tylko zobaczę...

— Może go na mieście spotkam, a jeżeli nie, to przyjdę pojutrze.

— Owszem, panie dobrodzieju, powiem mu, a o której godzinie?

— O szóstej. Poproszę, żeby czekał...

— Dziękuję pani.

Gdym się podniósł, żeby się z panią Jagodzińską pożegnać i wyjść, mops wyskoczył z pod kanapy i zaczął przeraźliwie ujadać...

— Cicho, Miluś, cicho... a to utrapieni*! Najpoczciwszy w świecie pies, ale krzykliwy strasznie. Każdego musi po swoimu przywitać i pożegnać... Nieraz wypędziłabym go na cztery wiatry, ale muszę go trzymać.

— Dlaczego?

— Bo mam, proszę pana, jedno zmartwienie.

— Zmartwienie? — zapytałem — cóż to pani dolega?

— Niby nic, a przecież ciężko... Moi kawalerowie rzadko kiedy w domu, sługi nie trzymam, tylko stróżka mi rano wodę przynosi... i nie mam do kogo słowa przemówić...

— Więc?

— A no, więc trzymam pieska... Za

wszeć to żywe stworze

BIBLIOT K A t. „GOSPOD* PO.K

cież co nieco rozumie. Czasem go popie* szczę, czasem mu co powiem, czasem krzyknę na niego... i jakoś mi różniej, proszę pana. Więc pojutrze pan szanowny przyjdzie?

— Pojutrze... żegnam panią.

— Padam do nóg, a niech pan uważa, schody spadziste...

Zamknęła za mną drzwi... Na schodach jeszcze słyszałem jej głos:

— A, ty niegodziwcze! ty łotrze! ty obwiesiu! ty psi portrecie! tyle razy ci mówie, żebyś nie czekał, ty zawsze swoje...

Babina krzyczała na mopsa i... było jej różniej.

Koło teatru, pod filarami, spotkałem dobrego znajomego. Był to człowiek lat trzydziestu, mający przyzwoite stanowisko, końskie zdrowie i około sześciu tysięcy rocznego dochodu ua swoją osobę, gdyż obowiązków żadnych nie miał. —Dobry wieczór!

— Dobry wieczór...

f' — Cóż porabiasz? — spytałem.

— Ha, wegetuję—odrzekł — wlokę to marne życie z dnia na dzień... Wróciłem dopiero ze wsi, tam nudy wściekle; przyj echa

lem napowrót do Warszawy, ale i tu nie lepiej, same zmartwienia... Powiadam ci, że tylko sobie w łeb strzelić...

— Cóż ci się stało?

— Pytaj raczej, co mi się nie stało!... Obiad miałem bezecny, wino liche, choć drogie, w resursie porządnej partyi nie zbierze... Jednym słowem, gdzie się obrócisz, gdzie stąpisz, tylko zmartwienia, zmartwienia i zmartwienia!

Odszedł, nasunawszy kapelusz na uszy... W tej chwili przyszła mi na myśl moja nowa znajoma, „pani z pieskiem”, która miała tylko jedno zmartwienie...

KONIEC.

ZŁOTE JABŁKO.

OBRAZEK Z BRUKU.

I,

Nie w ogrodzie Hesperyd, nie w bajce, ale w "Warszawie, na Świętokrzyskiej, czy na Zielnej, a może na Marszałkowskiej, znajdowało się to „Złote jabłko.” Poźniej przeniesiono je, tak jak najpospolitszą ruchomość, na tragach, do innej części miasta; później, po niejakich zatargach z panem komornikiem, znów do innej, tańszej i uboższej, i tak je kilkakrotnie toczono, toczono, aż zatoczono wreszcie na Pociejów, gdzie jest ostateczny wypoczynek wszelkiej „gloria mundi.”

Taki los, ale idźmy porządkiem.

Temu lat dziesięć lub dwanaście, istniał na świecie człowiek, któremu losy dały piękny wzrost, ogromne wąsy i około dwudziestu rwłók ojcowizny, złożonej z pias

czystego gruntu, kawałka lasu, łąki i zarośli. Tendunt, gdy go było dobrze wymęczyć, wyprzewracając wymordować, dawał w rezultacie żyto, jęczmień, owies, kartofle, tatarkę i pozwalał utrzymać jaki taki inwentarz roboczy i dochodowy... bo było przecież ośmnaście krów dojnych, od których mleko dzierżawił niejaki Mendel Marcepan, człowiek poważny, kupiec, finansista, fabrykant chudych serów i znawca hebrajszczyzny. Owóż tedy, żyto, tatarka, krowy i inteligencja Mendla, kombinowały się .w ten sposób, że pan Adam, właściciel piaszczystej ojcowizny, miał kawałek, a nawet "kawał chleba, któryby zwyczajnemu śmiertelnikowi najzupełniej wystarczał, ale pan Adam do zwyczajnych nie należał. Nie lubił ciszy wiejskiej, nie miał zamiłowania do uprawy tataraki, ciasno mu było i duszno we własnym domu, pragnął koniecznie szerszych horyzontów. Nie żenił się, pomimo, że już za trzydziestkę przeszedł, mimo, że ciotki i kuzynki dokładały wszelkich starań, aby to małżeństwo skojarzyć.

Upał się i nie chciał...

Ożenić się, myślał, to związać się ze wsią na całe życie, nie ruszyć się z Wyd

my, aż do śmierci, ciągle tylko orać, siał zbierać i znów orać, bez żadnego urozmaicenia, jednakowo... Jeszcze, żeby panna, z którą mnie swatają, była bogata, to możnaby' coś przedsięwziąć, ale oprócz pięknych oczu, ma niewiele... a cóż oczy!

Nie pomogła wymowa ciotek.

Pan Adam pewnego dnia w świat się puścił, w ten świat nieznaną a ponętną, w świat miejski... do Warszawy, która zdaleka wydaje się taka duża, bogata, szczodra, rozdająca fortuny i posady... Gdzież robić majątek, gdzie szukać złotych jabłek, jeżeli nie w takim dużym mieście... Człowiek, co prawda, wszędzie musi pracować, ale skoro ta konieczność jest powszechnym prawem, to lepiej pracować w mieście z rozrywką, niż na wsi przy wiekuiстых nudach; a przytem, cóż na wsi? Kapitał, utkwiony w ziemi, obraca się powoli, jak koło ciężkiego wozu w piasku; w mieście zaś, przy interesach handlowych, miga się tylko i warczy...

Ruch jest...

Pojechał więc pan Adam, pożegnany przez ciotkę... pojechał rozpatrzeć się, grunt zbadać, stosunki zawiązać... Odrazu mu się powiodło: znalazł kilku nieoszacowa

nych i bardzo inteligentnych ludzi, którzy wielce mu przypadli do serca. Kilka dni zeszło na zwiedzaniu miasta i różnych jego osobliwości, jako to: teatrów, zakładów gastronomicznych i różnych instytucji, mających na celu przyjemność i rozveselenie ludzkie.

Pan Adam nie krył celu swego przybycia, owszem, przyznał się z całą otwartością, że mu na wsi ciasno, że mu gospodarstwo do smaku nie przypada, że wolałby handel, przemysł, słowem coś dającego więcej pola do zużytkowania energii i siły, aniżeli bezmyślne dreptanie po zagonach i oczekiwanie żniwa, które może się udać lub nie udać, stosownie do tego, czy pogoda będzie miała dobre, czy złe kaprysy...

Najsłuszniejsza racja. Przyjaciele przyznali ją mówiącemu, twierdząc chórem, że pan Adam mówi ślicznie i że, gdyby było więcej ludzi podobnie myślących, to Warszawa byłaby pierwszorzędnym miastem w Europie. Tu jest jeszcze 'tyle do zrobienia! Złote jabłka rosną na bruku, tylko trzeba je znaleźć, a kto chce" znaleźć, ten prosta rzecz, musi szukać... Jak?

Nad tem pytaniem, przeprowadzona

zostają długa dyskusja, której ostatecznym rezultatem było zdanie, że przedewszystkiem trzeba Wydmę sprzedać.

Zanim lo się da uskutecznić, upłynie jakieś parę miesięcy, a przez ten czas, złote jabłko się znajdzie...

Sprzedaż nie była trudna. Od kilku lat był na Wydmę amator [ex.oficyalista, exdzierzawca, który ciężką, pracą ubierał sobie trochę pieniędzy i pragnął na starość własny kawałek ziemi posiadać. W kilku słowach interes skończono, exdzierzawca pieniądze swoje z banku podniósł, trochę sobie jeszcze od przyjaciela pożyczył, spisano kontrakt i pan Adam nareszcie stał się wolnym jak ptak, nieskrępowanym, swobodnym. Z ciotką miał awanturę; płakała, spazmowała, nazwała pana Adama utracyszmem i marnotrawcą i bez pożegnania opuściła Wydmę... Nowonabywca zaraz gospodarstwo objął.

— Bywaj zdrów, panie Adamie! rzekł — gdy Już przyszły przemysłowiec na bryczkę miał siadać — bywaj zdrów i niech ci się dobrze dzieje. Słyszę, że handlować masz zamiar... a znasz się też na tem?

— To jest ogólnie, niby mam pojecie...

tom VIII. N

- Ogólnie! hm... niewiele to... pilnujże się, mój bracie, ho w takich geszefcikach rozmaicie bywa...
- Ba — odrzekł pan Adam z uśmiechem — czy dla tego, że wilk jest, nie należy chodzić do lasu?
- Zapewne, ale pamiętaj, ostrożność nie wadzi...
- Głupstwo, kochany panie, nie święci garnki lepia...
- Ano, jak uważasz, życzę ci jak najlepiej...

Pan Adam, przyjechawszy do Warszawy, natychmiast do przyjaciół swoich się udał, przyjęli go serdecznie, z otwartymi rękami, znowu zwiedzali przez kilka dni osobliwości miasta, wreszcie, po dłuższej konferencji, znaleźli złote jabłko.

Miał to być dom komisowy, taki, jakiego jeszcze Warszawa nie widziała; pan Adam dał firmę i stanął na czele, jako szef interesu, a o współpracowników kłopotu nie było. Owi przyjaciele ludzie uprzejmi, pomimo licznych zajęć, poświęcili się i przyjęli posady w nowo utworzonym biurze, zastrzegłszy sobie, niezależnie od pensyi, gratyfikacye na później, a zaliczenia zaraz. Wynajęto lokal bardzo ładny,

sprawiono meble, utensylia biurowe, kasę ogniotrwałą, księgi imponującej wielkości... kasyer zasiadł za kratką, dwaj buchalterowi* i korespondent nad księgami, a pan Adam w oddzielnym gabinecie, przy wspianym biurku, przeglądał kursą giełdy z tem większą ciekawością, że iiii nic a nic nie rozumiał.

Zawsze to zupełnie co innego niż w Wydmie, myślał, tu człowiek czuje, że jest panem, ma do czynienia z porządnymi ludźmi, mało go obchodzi deszcz lub grad, a wieczorem może sobie pójść do teatru, na partyjkę, wogóle przyjemnie czas przepędzić, nie irytując się na Maćka za to, że wóz zламаł, lub że konia okaleczył.

Jedwabne życie, gdyby tylko publiczność...

Otoż z tą publicznością dzieje się coś dziwnego. Przecież powiedziano jej wyraźnie w eyrkularzach firmy, że ma dom komisowy, jakiego jeszcze nie widziała, że za pośrednictwem tej instytucyi, może za bardzo małą prowizyą sprzedawać zboże, wełnę, okowitę, sprowadzać z zagranicy wyborne wina francuzkie, cygara hawanackie, przepyszne likiery z Amsterdamu... obiecano jej to, przyrzeczone, a ona nic...

Baz wszedł jakiś jegomość, aby się dowiedzieć, ile kosztować będzie setka cygar, a gdy mu powiedziano cenę, oświadczył, że za parę dni się zgłosi — i nie widziano go więcej. To znowu wpadł jakiś zadyszany żydek, zamówił się o okowitę, przejrzał kąty i czmychnął... ale publiczności, tej publiczności, która przynosi pieniądze, którą płaci — ani na lekarstwo.

Intrygi współzawodników, konkurencja!
rya!

Nie można powiedzieć, żeby w tym wielkim biurze komisowym było smutno. Przeciwnie, przychodzili goście. Byli to dobrzy znajomi kasyera, buchalterów, korespondenta, weseli i przyjemni ludzie. Opowiadali oni nowinki, znosili plotki z miasta, a taką mieli właściwość szczególną, że gdy ich pan Adam zobaczył, to mu się zaraz pić chciało i zaprasza! cały personel na śniadanie. W początkach, podczas takich wycieczek, jeden z członków biura zostawał na miejscu jako deżurny, na wypadek, gdyby się interesant trafił, praktyka wszakże wykazała, że taka ostrożność była zbyt dużą, tem bardziej, że śniadania urządzono w handlu naprzeciwko. Zostawiano więc w czasie nieobecności personelu

chłopaka, który miał nakaz surowy, ażeby, w razie przybycia interesantów, lotem strzały biegł po panów do sklepu... Że chłopak, pomimo tak wyraźnego zalecenia, nigdy nie przerwał śniadania pracownikom biura, to przypisać trzeba nie innym względom, tylko publiczności, która potrzeby swoje załatwia w innych instytucjach komisowych. Po upływie pół roku, pan Adam stracił humor, spochmurniał, zredukował personel do połowy, a biuro przeniósł na inną ulicę. Zmiana miejsca, według żydowskiego przysłowia, przynosi zmianę szczęścia, a jak w tym razie— nieszczęścia. Ponieważ po zredukowaniu personelu, pan Adam miał do rozporządzenia dwie posady, a czterech przyjaciół, przeto zyskał na czysto dwóch wrogów i dwa procesy o odszkodowanie, które zakończył polubownie, zapłaciwszy swoim byłym współpracownikom trzymiesięczną pensję, jako wynagrodzenie za zawód. Po roku wegetacji, ta sama historia powtórzyła się z trzecim przyjacielem. Pozostał więc tylko jeden, poczciwy kasyer, który do końca umiał zachować uczucia przyjaźni a nawet chciał, aby ten węzeł

zacieśnił się jeszcze silniej, i w tym celu zapoznał pana Adama ze swoją cioteczną siostrą, przystojną wdówką, o której mówiono, że niezależnie od przymiotów serca i duszy, posiada jakąś gotowiznę i sperandę, że gdy kiedyś, ktoś umrze, to jej coś zapisze Konjunktura ponętna.,, a że pan Adam za wygrane interesom komisowym dać nie chciał i bądź co bądź, postanowił biuro swoje prowadzić i rozszerzyć — więc, idąc za radą przyjaciela, zaczął się starać o wdówkę...

Pani Julja straciła pierwszego męża przed pięcioma laty— przez tak długi czas może wyschnąć rzeczka, a cóż dopiero maleńki strumyczek leż niewieścich, a że pan Adam był mężczyzną w sile wieku i przystojnym, więc wdówka nie bronila się jak lwica, ale z przyjemnym uśmiechem na twarzy, dała się zaprowadzić do ołtarza i została panią Adamową.

Gdy po weselu przyszło do obliczenia kapitałów, pokazało się, że poczciwy kasyer, nie będzie miał czego pilnować i że, bez narażenia złodziei na wielką pokusę, można kasę ogniotrwałą, jak mebel zupełnie zbyt dużą, sprzedać—co też niezwłocznie uczyniono...

Tamten ktoś, co to kiedyś miał umrzeć i coś pani Adamowej zapisać, nie tylko, że nie umarł, ale ożenił się i ma syna... Pan Adam widząc taki obrót rzeczy, chciał się gniewać, ale pani Julja posiadała szczególną umiejętność głaskania swego mężulka pod brodę, więc uspokoił się prędko i pogodził z losem. Z żoną dobrze żył, bo była kobiecina poczciwa i przywiązana do niego.

Ona zdołała nareszcie, wyperswadować mu wielkie biuro komisowe — i skłonić, aby się wziął do czegoś, coby było mniejsze, lecz pewniejsze. Próbowano rozmaitych przedsięwzięć, ale jakoś nie szło. Szerokie horyzonty, o jakich marzył swego czasu pan Adam, zwęzły się coraz bardziej, interesa szły kulawo, brał się do coraz mniejszych, aż nareszcie opuścił głowę i przyszedł do przekonania, że odkrył właściwą przyczynę niepowodzeń swoich...

Nie ma szczęścia do handlu... Kto wie, czy do tego wniosku doszedłszy, nie byłby się rozpił z rozpaczy, ale pani Julja i szwagier kasyer, bo nawet po sprzedaniu kasy, ten tytuł zachował, uie dali mu upaść. Pocieszyli, zachęcili do wytrwania, wleli w serce otuchę. Pan Adam się rozczulił,

pocałował żonę w pulchną rączkę, szwagra w chude policzki — i pojechał do WzdmyMiał jeszcze u właściciela parę tysięcy i postanowił je odebrać!

Gdy dojeżdżał do dawnej swej siedziby, poznać jej nie mógł. Domek czyściutki, zabudowania porządne, a zboża na podziw... Co za zboża! na takim lekkim gruncie...

Odebrawszy fundusik swój, powrócił do Warszawy, i po radzie z żoną i szwagrem kupił cztery dorożki. Sam wybrał klekoty, co najmniej zdezelowane, konie co najzdrowsze i pcha biedę. Zna się na koniach, na furazę, nie da się oszukać, pracuje, zabiega od rana do nocy, a czasem dla kontroli, ubiera się w liberyę, siada na kozioł i wozi tę publiczność, która do kantoru komisowego na żaden sposób ściągnąć się nie dała. Nie wstydzi się pracy, nie szuka horyzontów szerokich, na których radzić sobie nie umiał — żyj. Nawet nie źle żyje: mieszka w dwóch pokojach, przyjmuje gości eo sobota. Przychodzi kasyer, jeszcze dwaj znajomi, grają w preferansa, a pani Julja urządza przyjęcie świetne, z herbatą, z wędlinami, z piwem... Podobno mają zamiar jeszcze jedną dryndę i parę koni dokupić pan Adam już od kilku piąt

ków upatruje odpowiednich rumaków na Pradze.

Naprzeciwno także jakiś jegomość utrzymuje dorożki, ale nic z nich nie ma, traci i narzeka.

— Dla czego narzeka?— tłumaczy pan Adam — bo się nie zna... pojęcia nie ma o koniach.

Nie wiem, czy gdy to mówi, przychodzi mu na myśl dom komisowy do eksportu zboża i wełny, oraz importu win i cygar...

Raz wieczorem, w święto, wyprawivszy wszystkie dryndy na miasto, zasiadł do herbaty z żoną i z kasyerem.

Rozgadali się o tem, o owem, jak zwyczajnie w kółku zaufanych.

— Eh! mówił pan Adam — śmiejecie się z moich złotych jabłek, a przecież to nie fikcja, miałem jedno...

— Gdzie, kiedy? — zapytała zona.

— Chyba nie mówisz o naszym byłym domu komisowym? — dorzucił kasyer.

— Niech go tam! Miałem ja coś lepszego...

— No?

— Dwadzieścia włók, jak obszył, w jednym kawale... piaszczysty gruncik... ale ro

dziło się żyto, kartofle, tatarka!... i jaka tatarka!

— Mówisz o Wydmie... — Piękny to był mająteczek. Ten, kto go nabył, nacieszyć się nim nie może...

— A jednak sprzedałeś go?

— Ha, trudno .. stało się... Szukamy złotych jabłek daleko, a nie widzimy ty ob, które mamy w ręku.

Pan Adam westchnął... Zona pogłaskała go po twarzy.

— No, nie martw się — szepnęła — jeszcze nam nienajgorzej na świecie.

— Masz rację, Julciu — odrzekł, całując ją w rękę. — Tyś także złote jabłuszko... ale tego już z rąk nie wypuszczę.

KONIEC

(Z NOTATEK KOMORNIKA SĄDOWEGO).

Dziwnem się to komu wyda, iebj komornik, zwyczajny komornik sądowy, spisywał swoje pamiętniki! Co ciekawego w nich być może? Same tylko nakazy, zajęcia, licytację, intromisyę, a czasem, jakby dla różnaitości, zabawka w „kota i myszkę” z nieszczęśliwym dłużnikiem, ofiarą prawa o przymusie osobistym.

Tak; na pozór to prawda, ale w istocie, nikt chyba nie napatrzy się na tyle dramatów, komedyj i fars życia — ile komornik. Przesunęło się też przed moimi oczami wiele obrazów strasznych, obrazów żywej nędzy i nieszczęścia, rozpacz, żalu, cichej rezygnacyi, albo też przewrotności i szalbierstwa.

Czynność nasza, to rodzaj polowania bezkrwawego—na potulne sarenki lub zające, albo też na chytrego lisa, pełnego wyrafinowanych przebiegów, podejść i wykrę

Szkice i Obrazki.

to w. Zdarzało mi się też trafiać na gruba, i niebezpieczną zwierzynę. Pomnę dotychczas jednego „pacjenta” o herkulesowych kształtach i karku bawolim. Postać jego do dziś dnia tkwi w mojej pamięci. Sapał groźnie, jak dzik w legowisku i, kto wie, czyby nie rzucił się na mnie, jak raniony odyniec, ale, na moje, a naturalnie i na jego szczęście, obecność licznej służby powstrzymała go od tego kroku.

Tkwi również w mojej pamięci postać wesołego młodzieńca, w którego mieszkaniu, oprócz pogruchoatanej sofki i blaszanego lichtarza wartości kilku kopiejek, literalnie nie było nic więcej.

Gdym wszedł ze świadkami i wierzycielem, młodzieniec ów skłonił mi się grzecznie i rzekł ze szczególną powagą. — Panowie! wiem pociście przyszli. Nie sądźcie, że spotkacie tu opór... Nie! Szanuję prawo, czczę sądy i, z bezwzględną pokorą, poddaję się ich mądrym wyrokom. Panie komorniku, pełnij pan swą powinność! Wyłączeń żadnych nie robię, a nad zajętemi ruchomościami gotów jestem przyjąć nadzór, ma się rozumieć, za skromnem wynagrodzeniem... Szanuję prawo i proszę, niech, bez względu na moje smutne położę

nie finansowe, bez względu na interesa familijne, na zamiar wstąpienia w związki małżeńskie—sprawiedliwość z całą surowością wykonana zostanie.

Był to obraz tak komiczny, że nie mogłem się oprzeć wesołości i wybuchnąłem śmiechem, asystujący zaś mojej czynności wierzyciel, zawołał:

— Nu, patrz pan dobrodziej, jak un gada! jak un gada! żeby tak płacił jak gada, toby miał największy kredyt w całym mieście...

Ale wracam do rzeczy — do mego pamiętnika.

Jest w nim kartek wiele, bardzo wiele, gdyż praktyka moja była rozległa, czynności miałem mnóstwo. W wolnych chwilach, w święto zwykle, lubiłem notować swoje wrażenia „Z podróży po kraju dłużników.”

Spisywałem je dla rozrywki, dla przepędzenia czasu, bez pretensji do stawania w szeregach rycerzy pióra... Otoż jedną kartkę z tego pamiętnika wydieram i rzucam ją przed oczy wasze. Chcecie, czytajcie—jeżeli zaś nie macie tego zamiaru, to drugie dobrze. W żadnym razie, z iego tytułu przymus osobisty wam nie zagraża.

Aczkolwiek naturalnem wydaje się mniemanie, że komornik nie posiada serca —ja jednak ośmielałem się teni zaprzeczyć. A mam do tego zasadę, gdyż swego czasu byłem szalenie zakochany... Ideal, do którego wrywała się moja dusza, posiadał prześliczne oczy barwy habru, buzię jak świeże jabłuszko i figurkę zgrabną, wiotką, niby trzcina... Słowem, było to dziewczę fenomenalnie urocze, w mojem przekonaniu przynajmniej... Daremnie siliłbym się na opisanie jej wdzięków; czuję, że pióro komornika jest na to za sztywne, za urzędowe. Powiem więc krótko, że panna Aniela była oślepiająco piękna! Staralem się ojej rękę, jak wielu z młodzieży; tańczyłem z nią przy każdej sposobności, znosiłem jej kwiaty, książki do czytania—ot, zwyczajnie jak zakochany... Niestety, moja miłość była jak kwiat bez woni, jak wyrok bez tymczasowej egzekucyi... Nie zdołałem pozyskać wzajemności... Ojciec był za mną, matka za mną, ale sama panna nie chciała mi sprzyjać. Odmowę jej przyjąłem z rezygnacyą... Cóż robić?... serce nie sługa, rozkazów nie słu

cha, a powtóre, nie mogłem się mierzyć nawet z moim szczęśliwym rywalem. Ja, blade dziecię miasta, o pospolitych rysach twarzy—on, kwitnący zdrowiem wieśniak, przystojny, w całym znaczeniu tego wyrazu; ja, zwyczajny komornik, mól, meblojad, on dzierżawca folwarku, mający wolancik i parę spasłych, okazałych dereszów... Aniela poszła za niego... Nie dziwię się temu, ja sam byłbym za niego poszedł, naturalnie, gdybym był panną. Byłem na ślubie i, ukryty za filarem, w najciemniejszym kąci kościoła, wypłakałem się serdecznie. Nie śmieście się — komornicy także płaczą niekiedy... Nazajutrz młoda para odjechała do Wierzbówki, a ja pozostałem w mieście; robiłem w dalszym ciągu zajęcia, sprzedawałem stare graty, ścigałem dłużników. Upłynęło sześć czy siedm lat. Obraz uroczej Aniela nie zatarł się w mem sercu, chociaż barwy jego pobladły pod wpływem czasu. Bana w mem sercu zablizniła się już trochę, a zresztą i poglądy moje na sprawy romansowej natury, uległy znacznej zmianie. Czy wogóle serce, przy niewesołych czynnościach mego zawodu, stępiejało, czy co,

dość, że straciłem chęć do poznania piękniejszych stron życia i nie uganiałem się więcej za oczami habrowemi. Nawet kumoszki i ciotki, które pragnęły gwałtem okuć ranie w złote więzy hymenu, spotkały z mej strony energiczny opór. Nie pomogła wymowa kilkunastu znakomicie wprawnych języczków i, głuchy na wszystko, pozostałem kawalerem do dzisiejszego dnia i, jak się zdaje, pozostanę nim do końca mego, daj Boże najdłuższego żywota. Pewnego dnia, rankiem, gdy siedziałem w mojej kancelaryi i przeglądałem papiery, wszedł stały mój klient, pan Abraham Fajn, okazałej tuszy mężczyzna i, obcierając spocone czoło czerwoną chustką, rzekł:

— Panie kimorniku, trzeba nam zaraz jechać, zrobić zajęcie.
— Na wsi? zapytałem.
— Trochę na wsi. Mam prawomocnego wyroku na Sakowicza, dzierżawcę z Wierzbówki; winien całkiem głupie rubli i nie chce płacić, niech jemu djabli wezmą.
— Kiedyż mamy jechać.
— Jakto kiedy? dziś na noc, staniemy tam przed świtem. Trzeba spieszyć, bo un schowa gdzie swoje pare konie i wolant,

które dla mnie akurat pasują. Ja już nie mogę trząść moje zdrowie na zwyczajne bryczkę, mnie doktor powiedział, żeby ja sobie koniecznie resorów sprawił. Un powiedział co bez resorów, mogę sobie, broń Boże, zrobić feler na wątrobę. Niech moje wrogi mają taką słabość!!! Niech lepiej im się feler zrobi. Aj... aj... panie kimorniku, ja panu co powiem, że taki feler, broń Boże, to jest bardzo głupi interes.

Uporządkowałem papiery i, tegoż dnia, na noc, puściłem się w drogę.

Samego Sakowicza nie było w domu.

Zrobiłem zajęcie, oddałem ów wolant, konie i uprząż pod dozór i, już miałem odjeżdżać, gdy wyszła do mnie pani domu, mój niegdyś ideał, modrooka Anielcia.

Utyła trochę, zmieniła się, ale jeszcze była piękna.

Na jej widok serce moje uderzyło żywiej, rumieniec na twarzy wystąpił. A gdy spojrzała na mnie zalzawionemi oczami, gdy szepnęła „panie Józefie, nie gub nas pan,” to uczułem, że nogi chwieją się podemną, zem gotów największe głupstwo zrobić. Człowiek zawsze ma słabość do wspomnień.

— Wybacz pani—rzekłem,—ale smutna powinność...

— A tak, —odrzekła—ja do pana nie mogę mieć żalu, nie mogę nawet mieć żalu do pana Fajna, tu nikt nie winien, tylko mój Jaś... mój mąż. Lekkomysłny jest trochę, grosza nie szanuje.

Nie dokończyła, bo płacz przerwał jej mowę, próbowałem pocieszać, Abram także perswadował jej po swojemu.

— Za pozwoleniem, czego pani płacze? Te dwa kobułe, co pan kimornik zajął, to więcej owsa zjedzą niż one same warte, a wolant? Co to jest wolant?! wielgie mecyJe!— Ja pani nastęcę drugi, jeszcze lepszy. Ot dalibóg niema sobie co martwić, w handlu lo różnie się przytrafuje, niech sam pan kimornik poświadczy.

— Pan tego nie zrobisz, panie Józefie, pan nas nie zniszczysz...—szeptała łkając— pięcioro dzieci, Jaś lekkomysłny... W tej chwili przeklinałem i urząd mój i serce; wołałbym był zapaść się pod ziemię, aniżeli widzieć te łzy... ale trudno... służba,..

Odjechałem.

Swoją drogą, starałem się na wszystkie strony o pieniądze. Dawny przyjaciel i ko

lega szkolny obiecał przywieźć mi je osobiście za parę tygodni.

Niestety, nie stawił się na termin. Dzień licytacji był już oznaczony, czego przerobie nie mogłem. Żyd był twardy, gotów zaskarżyć do prezesa, mogłem posadę stracić, jak nic...

— Ha, dziej się woła Boża! — pomyślałem.

Wyjechaliśmy z miasta z Abramem, po południu, na wielkiej bryce, zaprzęgniętej w jakieś wychudzone wy włoki.

— Niech pan kimornik sobie nie lęka — rzekł Abram — z powrotem to my pojedziemy z wolantem. Sakowicza pachciarz jego dla mnie kupi, Obiecałem mu za to trzy procent. Un też potrzebuje żyć, un biedny żydek jest. i moje wątrobę nie będzie miało feler. Na co jej feler? ja też potrzebuję żyć... ja przeszłego roku wozilem ją do ciepłe wode, mnie pięćset dwadzieścia trzy ruble kosztowało... Powiedz pan, panie kimorniku, czy kto ma takie kosztowne wątrobę, z przeproszeniem?

Tak, tak,—odrzekłem—to kapitał, panie Fajn, szkoda tylko, że nie można od niego kuponów odcinać.

— Jakto, kompanów?. Fe! nie mów

pan takie słowo! Jak to można odciąć koinpon od wątrobo? Pfe! pfe!—mówił sapiąc, gdyż przy pełnej tuszy, prędkie mówienie sprawiało mu duszność.

Był już wieczór, gdy przybyliśmy nad brzeg "Wieprza, gdzie była przeprawa promem, ale tu spotkała nas nieprzewidziana przeszkoda; prom zepsuł się, przejechać nie sposób, do najbliższego mostu sześć mil i okładem, a tu licytacja naznaczona na jutro.

Ja byłem bardzo kontent z takiego obrotu rzeczy, — sądziłem, że uda mi się zwłokę uzyskać — ale Fajn nie dał za wygrane.

Najął łódkę i przedostaliśmy się na drugą stronę rzeki, w nadziei, że wynajmiemy konie w poblizkiej wiosce i dostaniemy się do Wierzbówki. Konie Fajna zostały na brzegu, pod opieką Judki, dzierżawcy przewozu.

Wysiedliśmy na ląd, przewoźnik odpłynął—a my udaliśmy się pieszo do Kalinowa, gdzie można było wynająć konie u chłopów.

Droga wypadła nam przez duży i gęsty las. Fajn, sapiąc, szedł z trudnością i niósł moją tekę z papierami—ja zaś dźwi

gałem strzelbę, bez której nigdy się w drogę nie puszczam. Od dzieciństwa mam słabość do myśliwstwa. Uszliśmy może wiorstę drogi, gdy noc zapadła, prześliczna letnia noc — pogodna. Niebo usiane gwiazdami, w lesie cisza, zapach, gałązki łagodnie szemrały.

— Oj, panie kimorniku!—rzekł zasapany Fajn—panie kimorniku, czekaj pan, jedno słowo...

— Co pan chcesz?—spytałem niechętnie.

— Panie kimorniku, powiedz pan, czy od wielgie chodzenie może sze zrobić feler na wątrobę?

— Nie chcę pana straszyć...

— Jaktó nastraszyć? czym pan mnie może straszyć?

— Tak, ale widzisz pan, znałem jedną kupcowę, bardzo wspaniałą damę, dobrej tuszy i... z felerem: Otoż poszła ona raz za miast.o,na spacer, dość nawet daleko; zaskoczyła ją burza, więc biegła prędko do domu, zadyszała się... zmęczyła.

— Nu, i co z tego było?

— I nieszczęście stało się... umarła. Fajn usiadł.

— Panie kimorniku rzekł prawie

z płaczem—panie kimorniku, pan potrzebujesz trochę sobie odpocząć.

— da nie — owszem, ja nawet lubię ruch?

— Daj pan spokój — na co taki ruch? Tamta kupcowa...

— Eh! głupstwo... panie Fajn, prędzej czy później to mała różnica, przecież każdy musi umierać...

— Nie powiedz pan to! panie kimorniku. ja pana proszę, siądź pan sobie. Bogu dzięki, ziemia duża, nie potrzebujesz pan kimorne płacić.

— Nie zdążymy,— szepnąłem.

— Nie bój się pan, może jaka fura nadjedzie, zabierze nas.

Usiadłem.

Przez chwilę milczeliśmy. Fajn położył się nawznak, oczy utkwiał w niebo i patrzył, ja siedziałem oparty o pień drzewa. Świeże, balsamiczne powietrze, urok nocy letniej, zaczęły żyda rozmarzać.

— Wiesz pan co, panie kimorniku,— rzekł — tu dobrze jest, tu bardzo dobrze jest...

— Zapewne—rzekłem,—choć niezupełnie. Co do mnie, wolałbym leżeć teraz w łóżku wygodnie, jak człowiek, aniżeli tu

lac się po lesio, gdzie Bóg wie co może człowieka spotkać...

Fajn podniósł głowę.

— Jaktó? co może w lesie człowieka spotkać? na co ma go spotkać?

— Albo ja wiem? dość że jesteśmy w lesie—rzekłem, biorąc broń do ręki i oglądając się uważnie.

— Myślisz pan co rozbójnik, broń Boże?...

— E, nie! w naszych stronach nie praktykuje się to często, ale wilk...

- Co wilk? po co tu ma przyjść wilk? na co un tu jest potrzebny?
- Czyja wiem na co? Przed dwoma tygodniami w tym samym lesie wilki zjadły chłopa...
- Uni mu zjedli? to nie może być!
- Tak zjadły, że tylko buty i czapka została.
- Fajn zerwał się na równe nogi.
- Panie kimorniku! — rzekł — chodźmy; co mamy tu siedzieć? od żernie to wilgoć jest, może broń Boże zaszkodzić... Mnie jeden doktor mówił, co od żerni jest najgorszy wilgoć!... frybrowy wilgoć!
- Mieliśmy przecię trochę odpocząć.
- Co odpocząć? po co? Czy to my,

nie przymierzając chłopcy, co sobie młóć i potem muszą leżeć jak biki? Nawet na take osobę jak pan kimornik, to nie pasuje leżyć na trawę... to po chłopsku jest... Chodźmy, ja pana bardzo proszę...

- Jeżeli pan chcesz koniecznie, to" trudno, chodźmy—ale miej sio pan na ostrożności: teraz jest noc, z każdego krzaka może co złego wyskoczyć...
- Aj waj! panie kimorniku, powiedz pan, czy od wielkiego strachu może być broń Boże, feler ua wątrobę?
- Nawet ogromny. Dlaczego się pan o to pytasz?
- Co ja się mam pytać? tak sobie... Pan miszli co ja sobie boję?... ja nawet mogę krzyknąć—słuchaj pan, jak ja odważnie krzyczę:—hu! ha!
- Pst! co pan u dyabła wyrabiasz!?...
- Jakto co?... ja sobie hukam.
- Nie wywołuj pan wilka z lasu... Fajn umilkł i po chwili zapytał:
- Przepraszam, panie kimorniku, czy pan widziałeś kiedy wilk?
- Aj, aj, wiele razy.
- I z jakim sposobem un pana ani razu nie zjadł?

- To jest... widzisz pan, znowuż nie chciałym pana martwić*.
- Dlaczego? co to jest martwić? Czy taki gałgan wilk, jest moja ciotka, żebym ja sobie o niego martwił? Ja się tylko pytam, dla czego un pana kimornika nie zjadł?
- Jak pan widzisz, nie jestem otyły, nawet bardzo szczupły jestem... same kości i skóra.
- Pfe! cóż to?... un tak lubi tłuste mięso, ten rozbójnik?!
- On jest taki mądry, że jak wpadnie w stado owiec, to zawsze najtłuściejszą chwyta. Zapytaj się pan chłopów, oni dobrze się na tem znają...
- Panie kimorniku, ja sobie siądę!...
- Kto z panem dojdzie do ładu?—dopiero siadamy, znów idziemy i znów siadamy... trzeba się zdecydować albo tak, albo tak...

— Mój panie kimorniku, mój złoty, panie kimorniku! — ja sobie trochę siądę... Pan wiesz, że ja mam, za pozwoleniem, feler i inną słaboszcz też mam, co jeszcze gorsze niż feler. Bardzo brzydka słabość. Miej pan miłosierność... siądźmy trochę...

— Ha, cóż mam robić? siadajmy.

— Ale trzymaj pan swoje strzelbę w garści... ja pana proszę, trzymaj pan mocno!

— Po co?

— Od wszelkiego wypadku... Powiedz pan, panie kimorniku, czy taki wilk idzie sam, czy, broń Boże, w kupe?

— Zwykle chodzi całym kahałem.

— Wiele ich może być w takiej kompanije?

— Rozmaicie, czasem sześciu, dziesięciu, dwudziestu...

— A pański strzelba wiele może strzelić?

— Dwa razy.

— A co będzie z te ośmnaście?

— Nic nie będzie; zanim broń nabije...

— Panie kimorniku, ja pana proszę, my wstańmy, my chodźmy... co my tu wysiedzimy?... Czy to człowiek jest, za pozwoleniem kogut, żeby siedział jak kura na jaj ki?...

— Dalibóg nie wiem jak panu dogodzić?—to siadamy, to idziemy—do czego to podobne! Przyznam się, że mnie to już nudzi. Ja jestem komornik, moja rzecz zrobić zajęcie, sprzedać — a pan każesz mi to siadać, to iść, trzymasz mnie pan całą noc w lesie, jak dzikie zwierzę. Ja nie potrze

buję takich interesów!... Dawaj pan torbę z papierami—ja powracam do domu. Dla pańskiej satysfakcyę nie będę się włóczył po lesie, jak cygan. Bądź pan zdrow. Mam zdrowe nogi, nic cierpię na żaden feler, trafię gdzie do wsi, najmę sobie konie i pojadę do domu.

— A ja?!—wrzasnął rozpaczliwie Fajn —a ja co mam robić?!

— Albo ja wiem? — nocuj pan sobie w lesie, cóż mi do tego.

Żyd rozpaczliwie uczeplił się mego rękawa.

— Panie kimorniku, panie kimorniku! nie zostaw mnie pan! Co pan chcesz?... ja panu dam... ja panu dam dwadzieścia pięć... dwadzieścia siedm... trzydzieści rubli—gotówką! nie opuść mnie pan, nic zostaw samego w takie paskudne miejsce...

— Cóż ja panu poradzę? Masz pan taki ogromny brzuch!

— Aj, niech moje wrogi dostaną ten brzuch! to głupstwo jest... to właśnie feler jest...

Z pobliskiej wioski ozwalo się wycie psów. Po lesie rozległo się ono echem przeciągiem, smutnem, placzliwem. Fajna dreszcz wstrząsu;]!

— Panie kimorniku, co to jest? — zapyta!
— Panie Fajn — rzekłem uroczyście — czy pan wierzysz w Boga?
— Co nie mam wierzyć?!... czyja pies, żebym w Boga nic wierzył!...
— Więc módl się! — krzyknąłem, przeraźliwym głosem.
— Co? co?! wus y dues?... Rabejnu szel ejlom!! — co pan kimomik mówi?!
— Daj pan pokój tytułom; w tej chwili ja niejestem komornik, pan nie jesteś Fajn...
— Nu — co ja jestem?... co pan jesteś?...
— Ja jestem mięso i pan jesteś mięso... a tam wilki wyją i ostrzą sobie zęby...
— Giewałt! — wrzasnął nieludzkim głosem Fajn — giewałt!... ratuj pan!... dam trzydzieści pięć, trzydzieści siedm, dam pięćdziesiąt rubli! ratuj, panie kimorniku! — ja człowiek i pan człowiek... ja polak i pan polak. Po co mają zginąć dwa polaki?... ratuj pan!
— A licytacja? — zapytałem.
— Niech una idzie w ziemię, z wolantem, z te dwa kobułe i z zaprzęgami!... ratuj pan!
— Zmykajmy więc! — krzyknąłem

i rzuciłem się w las, w stronę przeciwną tej, którąśmy iść mieli.

Fajn biegi za mną jak szalony.

Kie sapał, lecz ryczał, jak wół, który wyrwał się ze szlachuza. Przerazenie dodawało mu sił.

Biegliśmy tak może wiorstę, dwie, i mnie dech już zapierało w piersiach, i ja z gustem położyłbym się pod drzewem, na miękim mchu, aby przespać się kilka godzin, ale zapłakana twarz Anielci stawała przed memi oczami, taka smutna, taka prosząca, że mi się serce krajało...

Żyd padał już ze znużenia, potrzebowałem dodać mu energii, — jeszcze z wiorstę, z półtorej, w głąb lasu, a w takim razie, żeby pękł, na licytację nie zdąży; mój przyjaciel przywiezie pieniądze, termin spadnie, a ja nie będę potrzebował licytować Anielci...

Stałem.

Zdjąłem strzelbę z ramienia, wycelowałem w najbliższą sosnę.

— Aj waj! — wrzasnął Fajn — co pan robi?

— Wilk!... — szepnąłem tajemniczo. Rozległ się wystrzał jeden, potem drugi.

— W nogi! — wrzasnąłem, aż się echo rozległo.

Fajn dobył ostatku sił. Trzeba przyznać, że pod wpływem strachu biegł jak zając, zapomniał o wielkim brzuchu, o felerze swoim, biegł jak szalony, dopóki nie padł ze zmęczenia.

Bohater mój leżał nad brzegiem strumyka, pod krzakiem leszczyny, oddychał ciężko, twarz miał podrapaną, skutkiem przedzierania się przez splątane gałązki i krzaki.

Żal mi się żyda zrobiło.

— Panie Fajn — rzekłem — już tu jesteśmy bezpieczni... Zabiłem dwoma strzałami trzy wilki, pięć uciekło przed nami, a przed resztą myśmy uciekli... teraz leż pan spokojnie i próbuj odpocząć...

— Aj, aj, panie kimorniku, pan ratowałeś moje życie, ja będę wdzięczny, ja się potrafię znać na rzeczy, ja... ja dam panu, co pan zechce, ja panu robotę nastęcę... Oj!... żebyś pan wiedział, jak mnie kole serca pika!

— Uspokój że się pan.

— Jak pan myśli, panie kimorniku?... ja teraz pewnie będę miał cale dwa felery w wątrobo?...

— Nie,—czasem od takiego zmęczenia wątroba się kurczy i feler całkiem ginie.

— Ale ze strachu, to może, nie w złe godzinę powiedzieć, żółć pęknąć?...

— Nie lękaj się pan — i żółci nic nie będzie, ja mam tu lekarstwo...

— Lekarstwo? Aj waj! aby dobre..., ja jego zaraz kupię—ja gotówką płacę...

— Dam panu darmo—rzekłem, dobywając z kieszeni flaszkę podróżną płaską. Była w niej sławna dzięglówka, roboty jednej z moich ciotek, znakomitej gospodyni.

Napiłem się sam trochę, a resztę oddałem Pajnowi.

— Pij pan—rzekłem,—pij do dna, na felery, na przetrach, nic masz nad to lepszego lekarstwa!

Żyd przyłgął do flaszki jak pijawka, łykał gorączkowo; chciwie—i wnet zaczerwieniły mu się policzki, oczy nabrały dziwnego blasku, ciepło rozeszło się mu po żyłach. Upił się.

— Panie kimorniku—rzekł—jak pan myśli, czy taki feler to może się wytrzęść? bo ja sobie bardzo wytrzęśniłem.

— Kto wie? może.

— Aj, żeby to było prawda, to jabym już nie potrzebował wolant na resory—jabym Sakowiczowi prolongował, rozłożył na

raty. Ja mam taką naturę, że nie lubię; komu przykrość zrobić.

— Próbuje pan spać;—odrzekłem.

Nie trzeba było długo namawiać.

Żyd rozmarzony wódką usnął, ja zmęczony wyciągnąłem się z rozkoszą na świeżej murawie.
Kiedyśmy się przebudzili, była już blisko dziesiąta rano.
Błądziliśmy jeszcze kilka godzin po lesie, a przybywszy do najbliższej wioski, nie mogliśmy dostać koni, gdyż wszyscy chłopcy pojechali na odpust.
Licyfacya spelzła na niczem. Anielcia została ocaloną.
Przyjaciel mój przyniósł pieniądze, które oddał Fajnowi. Po żniwach, Sakowicz zwrócił mi je z serdecznym podziękowaniem.
Bywałem częstym gościem w Wierzbówce, trzymałem Anielci szóste dziecko do chrztu, a w upominku dałem mojej chrześniaczce wyrok prawomocny, na rs. , które znów za jej tatusia ze swej kieszeni zapłaciłem.
Po kilku tygodniach, po przygodzie

z wilkami, przyszedł do mnie Fajn z nową czynnością.
— Jakże zdrowie, kochany panie Fajn? —zapytałem.
— Bogu dzięki,—odrzekł—dziękuję.
— Może znów wyprawimy się na wilki?
— Nie powiedz pan brzydkie słowo!— rzekł złośliwie—już ja się dowiedziałem całej prawdy, co te wilki nieśli dla Sakowicza pięćset rubli—a ja, z moim felerem, zostałem przez resorów; pfe! panie kimorniku, trzeba szanować cudzy słabość, z pańskiej łaski, to mnie moje wątrobę będzie kosztowało drugie pięćset rubli!

TAJEMNICZY CZŁOWIEK.
(WSPOMNIENIE.)

Był w Topolinie dom stary, wygodny i obszerny, a ogromom swoim iak dalece imponujący ubogim chatkom wioskowym, że go ludzie pałacem nazywali.

Dom ten, którego ganek tonął w zielonych festonach dzikiego wina, otoczony był drzewami. Na pięknie ogrodzonym dziedzińcu ro sły klomby bzów, berberysów i róż dzikich, z pośród których wznosiły czoła dorodne akacje, obsypane białym świeżym kwieciem, niby wypudrowane głowy zeszlowiecznych piękności. Do dworu prowadziła droga wysadzona na dwoma rzędami balsamicznych topoli, a po za domem, aż do samej wioski, rozciągał się ogród. Dzikie drzewa osłaniały go od burz i wiatrów. Białe brzozy, jesiony, klony i świerki, tworzyły tę naturalną ochronę,

bawiąc oko rozmaitemi odcieniami zieleni, a dokoła ciągnął się szpaler z lip strzyżonych, niskich, które splątawszy swe bujne gałązki, tworzyły aleję chłodną, cienistą, usposabiającą do rozmyślań... Aleja ta podobną była do korytarza starego jakiegoś klasztoru, a kiedy w noc miesięczną, wdarły się do niej promienie księżyca i zarysowały na czarnym tle liści, to mogłeś mniemać, że widzisz przed sobą poważnych mnichów w białych szatach, szepczących jakąś modlitwę smutną... Może „de profundis.” To wiatr tak tajemniczo szumiał w gałęziach. Była w tym ogrodzie oranżerya, trebhauzy, inspekta, drzewa owocowe w najpiękniejszych gatunkach, orzechy włoskie i tureckie, a pod jesień, wino na południowej stronie dworu rozpięte, dźwigało na sobie ciężkie grona, szkliste i czarne, niby z wieńca bachantek. Tu niegdyś, latem, na misternie zarysowanych kwietnikach, biały narcyz i róża patrzyły na wielkie aloesy, ustawione na kamiennych słupach, tulipany podnosiły dumnie głowy, a setki wyniesionych z oran

żeryi kwiatów bawiły oko miłą grą kolorów i upajały balsamicznym zapachem. Było to... niegdyś, było... ale się zinyło, jak wiele rzeczy na świecie... Długi czas mieszkali w tym domu zamożni ludzie; później, kiedy stary hrabia umiał, majątek poszedł na licytację, a potem z rąk do rąk przechodząc, dostał się w posiadanie umiejętnego parcelatora, który, podzieliwszy go na drobne części, zyskownie sprzedał. Olbrzym upadł, a na jego miejscu rozsiadło się drobne lecz pracowite plemię pigmeów, które zapewne kiedyś, dorósłszy miary cywilizowanego człowieka, stanie się poważną siłą. Rozkupili ziemię chłopci i szlachta drobna, podzielili się gruntem, inwentarzem, budowlami, ogrodem, bat nawet ploty rozebrali na działki. Jak się dzielió to już wszystkim,— i, z pięknej pańskiej rezydencji, stała się rudera. Stare, kapitalne zabudowania padły pod ciosami siekier, na miejscu zaś spichrzów, stajen, stodoł i owczarni wały się kupy wiórów i gruzu, sterczały wielkie głazy z fundamentów wyrwane, na dziedzińcu IO

trzoda się pasła, a czarne kudłate owieczki swobodnie ogryzały najpiękniejsze krzewy... Sic transit gloria...
Piękny ogród zniszczony został i upadł. Drzewa poschły, oranżerya w gruzach. Żydzi szklarze zabrali z niej szyby, z cegieł piec w chałupach porobiono. Inspekta zgniły, truskawki skoszono z trawą, szparagarnię szlachcic zaorał i marchwi nasiał w tem miejscu.
Z całej dawnej świetności pozostał tylko dwór zniszczony, obdrapany, że aż żal było patrzeć na niego i niedaleko stojący domek, młodszy nieco, rezydencya dawniejszych dziedziczek.
Tu dawniej była łazienka, apteczka, ztąd drzwi oszklone prowadziły do oranżeryi, a okna zacienione przez drzewa i krzewy, dawały światło mile, łagodne, chociaż przyćmione nieco.
Jeżeli promień słońca chciał się do tych pokoików dostać, to musiał się przedzierać przez gałęzie świerków starych i korzystać z momentu, w którym je wiatr odchyli, aby się prześliznąć po posadzce, lub też przejrzeć się w oczach siedzącej z robótką kobiety.
Domek ten ocalał od ogólnego znisz

czenia, ale postanowiono go sprzedać, gdyż z dwóch aż powodów był dla nowych właścicieli nieużyteczny: raz, że coś w nim przeszkadzało, a powtóre, że stał na wysokiej podmurówce i wchodziło się do niego po schodkach.
Pierwsza okoliczność przejmowała trwogą, druga czyniła dom do użytku niezdatnym, z przyczyny, że nowi dziedzice trzymali się starej metody dawania trzodzie jeść w izbie, schodki więc narażałyby na szwank zdrowie opastych wieprzów, przychodzących się pożywić w mieszkaniu swoich „plewodawców.”
Dwie te okoliczności skłoniły właścicieli do jak najprędszego pozbycia się budowli.
Tam nawet mieszkać było niepodobieństwem...
Jakim sposobem?! kiedy wszystkie baby w Topolinie widziały na własne oczy, jak nieboszczyk hrabia zawsze o północy chodził po pokojach, z woskową świecą w ręku, oglądał wszystkie kąty i wdychał, to znów jak cień ześlizgiwał się do ogrodu, oglądał każde drzewko, każdy krzaczek i znikał.
Potem światło zaraz gasło, a po wssysyl

kich pokojach zaczynało się chodzenie, tupanie, szurganie papierami i brzękanie szkłem.
Coś* chodziło wyraźnie. Czasem znówuż, jakaś „osoba” biała włąziła w komin i zawodziła tam płaczem, takim wielkim i bolesnym, że aż się zimno od niego robiło.

Jak trzeci kur zapiał, ustawało wszystko i po dniu żadnych śladów nie było widać, tylko coraz to cegła z komina upadła, to kawał tynku odleciał ze ściany, to znów, spaczona od wilgoci, rama okienna wykrzywiła się i zgniotła szybę, która się z brzękiem na drobne kawałki rozbiła.

Za okiennicami gnieździły się nietoperze, a co wieczór siadywały na dachu dwa puszczyki i mizdrzyły się do siebie, zawodząc żalony duet, drapiący po nerwach jak nożem.

I na tę pustkę znalazł się amator, podobno aż z Warszawy. Znałem go.

Trudnił się on specjalnie pisaniem wesołych głupstw, aż nagle zachciało mu się sielanki — i uciekł na wieś.

Instalacja odbyła się bez żadnych szczególnych uroczystości, bez mów poWJ

talnych, bez uczty, ot tak sobie poprostu, jak najzwyczajniejsze przeprowadzenie się z domu do domu.

Wydobyto z kilku chłopskich furek lary i penaty nowych mieszkańców, ustawiono je, zamknięto drzwi i przybysze zaczęli mieszkać w opuszczonym domku.

Malo gdzie wyjeżdżali, malo kto u nich bywał, trzymali się na uboczu.

W dzień prawie znać nie było, że w tym domu ktoś mieszka, tylko kiedy zmrok zapadł, blade światło lampy jaśniało w oknach do bardzo późnej nocy, często do dnia białego.

Oświetlało ono stare świerki, które w blasku tym, osobliwie na tle czarnej pochmurnej nocy, podobne były do olbrzymów z jakiej ludowej legendy.

Ktoby jednak chciał spojrzeć przez okno, widziałby sylwetki mężczyzny i kobiety siedzących przy stole. Czasem jedna z sylwetek podnosiła się i przechadzała po stancy, w celu rozprostowania zgarbionego krzyża, to znów jeden cień, ze światłem w ręku, przechodził do drugiego pokoju, lub na górę i powracał, niosąc w ręku papier jaki lub książkę.

Z brzaskiem dnia światło zgasło, a

w domku, w którym „przeszkadzało” było jak zwykle cicho, tylko dym wychodzący z komina świadczył, że tam ludzie ogień palą, więc też prawdopodobnie golują i jedzą, jak wszyscy śmiertelni na świecie.

Wartownicy nocni uzbrojeni w odwagę i w pałki, ale w pałki dużo od odwagi większe, niż sami dzielni wartownicy, którzy zamiast usnąć, tak walecznie wołają: „kto jedzie? nie śmieli się podsuwać blisko domu, w którym płonęło światło, obawiając się zarówno nieboszczyka hrabiego, jak i żyjących tego domu mieszkańców.

Nawet zapóźnieni jarmarkowicze z innych wiosek, przejeżdżając przez Topolin, zwracali uwagę na to nocne światelko, które dawało pole do najrozmaitszych domysłów.

I przed kościółkiem parafialnym w niedzielę, zanim proboszcz rozpoczął kazanie, o tem tylko między ludźmi była gawęda.

— Ej, kumie, kumie, — mówił stary Onufry, częstując Jacentego tabaką, — żeby aby ten człowiek nieszczęścia jakiego na wieś nie sprowadził.

— Wolać w tem Boga miłosiernego — odpowiada! nabożny Jacenty — ytjile lat na

świecie żyjemy i jeszcześmy takiego narodu nie zaznali...

— Pewnie, pewnie—albo to nie grzech i nie obraza boska, nocą świeczkę świecić? a komu w nocy świeczka? juścić nie Panu Bogu!

— Albo jenszyby się nie bojal w takim domostwie mieszkać, gdzie coś chodzi?

— Czekajcie! czekajcie! — ozwał się głos trzeci—ja wam coś powiem. Pisarka z gminy gadała, co on za jeden; wiadoma rzecz, sama praśport jego wójtowi czytała, toć tam musi coś stoić w tym praśporcie i prawdziwie stojało w nim, pisarka gadała, że on je taki... jakoś się po miemiecku nazywa.

— Jak? jak?

— Ale jak? kiedym zabacył, niby to kuźden może takie paskudne przezwisko spamiętać?! Michałku!—rzekł, trącając wyrostka ciągnącego papierosa, nie pamiętasz to, jak pisarka gadała o tym nocnym marku z Topolina?

— Pamiętam—powiedziała, że to taki „luternik.”

— Luternik! a niechże go marności! a cóż to za stworzenie ten luternik?

_ To pewnie będzie od luterskiej wiary starszy poganin...

— Ej, nie bajalibyśta Janie, nie bajali odezwa! się jakiś gospodarz, tac" sam go widziałem, jak w kościele zeszej niedzieli na wotywie był, a potem na cmentarzu, ot tu w tem samem miejscu akuratnie, z księdzem stoją! i tabakę zażywa!...

— To niby on księdzu, czy ksiądz jemu?

— Wedle tabaki?

— A juści...

— Ksiądz jemu! jeszcze jak! w tabakierę puknął, sam poniuchał—a potem jemu mówi: naści dobrodzieju, francuzka!

— I nie bojal się?

— Rychtyk!?! ksiądz by się go bojał? Wiadomo, że jakby było złe, toby się od księżej tabaki we cztery smoły rozlało...

— O, pewnie ale dla tego on sienie rozlał?

— Zkąd zaś? Wsadził se cygar w gębę i poszedł gościńcem do Topolina, jeszcze se gwizdał cudacznie, dyć świadki na to są... ludzie widzieli...

— No, no... może to i tak, jak wy kumie powiedacie, może on i w kościele być" i święconej wody się nie boić, aleć zawdy,

co nie po ludzku jego życie, tonie. Roli nie ma, nie sieje, ni orze i dla tego chleb je. Żeby choć jakie handle prowadził, jak nieprzymierzając żyd...

— Eh, widno że nie żyd, moja kobieta była u nich w izbie, obrazy święte widziała...

— O! prawdziwie powiadają ludzie, że gdzie ciort nie da rady, tam babę posyła — a wasza kobieta tam po co chodziła?

— Jak zwyczajnie baba. Zębska ją zabołeli, aż jej gęba het spuchła, jak ćwierć, a że się dawniej do dworu po różne maście chodziło, bo hrabina ludzi lokowała i miłosierna pani była, tak moja powiada, że pójdzie... a ja mówię: jak masz pójść to se idź, jeno mi tak nie lamentuj w chałupie, bo prawdziwie baba aż się wiała z bólu, niby nieprzymierzając piskorz w błocie.

— I poszła?

— A jakże... w takim bólu, to by człowiek Bóg wie gdzie poszedł! Poszła, przeżegnała się na progu i powiada: „niech będzie pochwalony” a pani była w kuchni, niby znowu jego kobieta, i mówi „na wieki” i pyta się po ludzku: a co to chcecie, moja matko?... Tak moja kobieta skłoniła się jej i powiada: proszę wielmożnej pani, już od

rozumu odchodzę bez te zębska! Tak ta pani, niby znów jego kobieta, poszła do pokoju i przyniosła maleńką buteleczkę wody pachnącej i mówi: weźcie to, kobieto, do gęby... Jak ci moja pociągnie, to jakby jej kto węgli w gębę nasypał — ale od zębów zaraz odeszło. Moja balia dalej dziękować: a niech pani Pan Bóg wynagrodzi — a to, a owo — a ta pani powiada do niej: idźcie z Bogiem, jakby na drugi raz wypadło, to możecie przyjść śmiało. Grzeczna pani, dobre słowo jej rzekła, bólu ulżyła i czegoż wy ich za poganinów macie?

— Nie najgorsi ludzie — odezwał się siary jakiś gospodarz, ale czemu po ludzku nie żyją, czemu po nocy ogień świecą, jakby Bóg miłosierny nie dał nocy do wypoczynku i do spania, a jasnego słońka do ro boty.

Dzwonek, wzywający na sume, przerwał tę rozmowę. Gawędzący chłopci pozdejmowali czapki i, upadając na kolana w progu kościelnym, z ciężkimi i głośnemi westchnieniami modlili się do Boga, może o odwrócenie od nich „luternika,” który jakkolwiek nic im złego nie wyrządził... ale dla kogóż w nocy świeczkę pali?

Rozmaite wieści o tajemniczym człowieku rozeszły się po całym zaścianku.

Wiadomość o osiedleniu się w Topolinie jakiegoś luternika obiegała w prędko cały miejscowy świat, zawarty w dwumilowym promieniu.

Z czasem, gdy nieszczęście jakoś na wieś nie przychodziło, gdy w przeciągu roku całego nie oberwała się chmura, nie zapadła ziemia i deszcz siarczasty nie spadł na Topolin, zaczęto się przyzwyczajać do całonocnego światła we dworku, a nawet nabożne a trwożliwe niewiasty były z tego poniekąd kontente.

— Bogu dzięki, — mówiły — przynajmniej nieboszczyk hrabia odpocznie sobie krzynkę, skoro len warsiawiak za niego po nocach kocoluje...

Pomiędzy dawnymi a nowymi mieszkańcami związał się nawet pewien harmonijny i sympatyczny stosunek. Jedna strona potrzebowała zdrowych rąk do siekiery, do robót w ogródku i do innych zatrudnień; — druga nie gardziła zarobkiem, ani korzystną sprzedażą płodów ziemi. Pieniądze nocnego marka nie obracały się w węgiel, a żydzi w miasteczku brali je z takim samym apetytem, z jakim pochłaniają

wszystko, co jest papierowe, srebrne, lub miedziane.

Przychodzą czasem do nowego sąsiada po poradę, rozmawiano z nim nieraz wieczorem przy świetle, o różnych sprawach bieżących wiejskiego żywota i zbliżono się nawzajem.

Zawsze jednak, pomimo kilkoletniego sąsiedztwa z wieśniakami, rodzaj zatrudnienia mego przyjaciela pozostał dla nich nieodgadnionym.

Słyszano to i owo, domyślano się, że ma on jakieś stosunki z piórem, z książką... a te domysły bywały niejednokrotnie przyczyną *qui pro ouo* i nieporozumień.

Trzeba przyznać, że najprędzej na zatrudnieniu mego kolegi zrozumieli się żydzi.

Ci przynajmniej zapytywali: „co stoi na gazecie?” albo „czy nie wiadomo, jak będzie stoją okowita w styczniu?”; gdy jednak nie mogli otrzymać pożądanego objaśnienia, przyszli do przekonania, że kolega mój jest czemś w rodzaju kabalisty chrześcijańskiego i, że trudni się obliczaniem dnia i godziny, w których ma nastąpić koniec świata. Ponieważ zaś takie obrachunki nie mają związku z przewidywaniem cen oko

y ity przeto zaniechali dalszych interpelacji.

Gorzej było z chłopami.

Nieraz tłumaczył im ten nieszczęśliwy człowiek, że książkę naprzód ktoś „z głowy” pisze na papierze piórem, że następnie już podług tego, jak jest napisane, w drukarni składają metalowe literki, z tych literek tworzą się wiersze i strony, że następnie te strony, ściśnięte w jedną kolumnę, kładą się w prasę i t. d.

Chłopi słuchali, wzdychali, kiwali głowami i nie rozumieli jeszcze bardziej... Naprawdę tłumaczył im jak najprzystępniej — ani rusz.

— No; teraz, już wiecie—pytał — jak się książka robi?

— A jużci wiemy...

— No, to opowiedzcież to, po prostu, swojemi słowami.

— Ha, dyd maszyna taka je...

— No, dobrze że maszyna, ale co się robi, zanim się do maszyny przystąpi?

— Pewnie się ją jakimśoi smarowidłem smaruje, żeby nie pisała i żeby się nie tarło.

— A no naturalnie, ale nie o to idzie, tylko jak się robi od początku.

— Toć pan mówi!, że cMop kręci kolein i ju.

Jak przyszło do „chłopa z kołem,” tak już z tego kola wyjść nie było sposobu.

Z całego obrazu sztuki drukarskiej, tak pracowicie, przystępnie przedstawionego, w pamięci wieśniaka utkwiał tylko ten szczegół, że chłop kołem kręci.

Nie pomogło nawet, naciągnięte co prawda, porównanie maszyny drukarskiej z młocarnią., i praca mego przyjaciela była nadaremna.

Radziłem mu, żeby, jeżeli już tak koniecznie idzie o wytłómaczenie tego wieś niakowi, wziął garść zbitych czcionek i dostał z kąd rysunek maszyny. Czy to uczynił, nie wiem; ale to mi wiadomo, że ów nieszczęsny druk przysparzał mu wiele kłopotów.

Raz, z wielką nieśmiałością i zakłopotaniem, przyszedł do niego wieśniak, a miętosząc w rękę czapkę i przestępując z nogi na nóg, jąkał:

— Chciałem wielmożnego pana prosić, żeby mi pan zrobił książkę psclną...

— Jaka? pszczelną?

— Niby... bo to powiadali, że są na

świecie takie książki, co cały obychód kiele pscołów pokazują.

— To wam prawdę mówili, — takie książki są; a umiecie czytać?

— Toć krzynkę umiem i, według tego chciałem prosić", żeby mi wielmożny pan taką książkę zrobił.

— Kiedy ja, mój bracie, książek nie robię.

Chłop się uśmiechnął złośliwie.

— Czegóż się śmiejesz?

— Ja wiem, że pan książki robi.,, jeno się krzynkę wstyda... Czegój się panie wstydać? tak i to dobra robota—jak i druga, i ludziom na pożytek, i Panu Bogu na chwałę, a zréstom, tera i na panów ścisk duży, jensze się poobierali to za kupców, to za doktorów — a jeden, nawet dużego pana syn, za szewca ostał i nie wstyda się dla tego. Allio to, przez urazy wielmożnego pana, książkę robić, to psy po jarmarku łapać? czego się wstydać?

Znowu długie i mozolne tłómaczenie o tem, jak się książka robi.

Kiedy kolega mój, zasapany, skończył, w tem przekonaniu, że już dobrze rzecz całe wytłómaczył, chłop wraca znów do kwestyi.

_ Wszycko to prawda — rzecz — ale

zawdy jedna książeczka długo panu nie zabawi... Wielu tam, dwa dni pan posiedzi to i zrobi. Albo to, czyja robota? — rzeki wskazując na szafę z książkami — gdzieby pan tyle książków nazbierał, chybaby wszystkie jarmarki wykupił... Protestacye nie pomogły.

— Niech mnie pan poratuje — mówił chłop, już wpół z płaczem bo to widzi pan, ja kupiłem dwa pieńki pszołów po umerlaku...

— Po jakim umerlaku znowuż?

— No, juści po takim umerlaku co pomarł. Gadali, że po takim pszczoły się nie wiodą, tymczasowie, zara mi się w pierwszym roku przyroiło dwoje, obsadziłem— i na bezrok już miałem ośm. Dopiero jak przyszła wiosna, tak wiadomo zkąd nieszczęście się wzieno i troje upadło, a! panie, takie roje—było ci w każdym po jakie trzy garce rauchów! i ot tak zmarniały. Powiadają, że to dla tego, że po umerlaku—ale ja myślę, ie może tam w książce co stoi na to.

— A prawda, stoi tam, stoi nie jedno, zawsze się lepiej dobrej książki poradzić — bo widzisz, książka to najlepszy przyjaciel. Jeść jej dać nie trzeba, gdziebądź poleży —

a radę ci da kiedy chcesz, w dzień czy w nocy, ona ci zawsze powie mądre słowo.

_ To też ja, panie, szukam już dawno takiej książki do pszczołów... ale kiej pan nie chce nijak się podjąć.

Cóż było zrobić? koledze memu żal było chłopu, który chciał w książce rady szukać. Niewielu to takich jest jeszcze u nas, więc nie godzi się gardzić sposobnością do zachęty, poszedł do szafki, wyszukał „Pszczolnictwo” Dolinowskiego i uszczęśliwił nim chłopu na całe życie.

Na pszczoły zagrożone chorobą pochodzącą z nieczystości uia, książka wskazywała prosty a skuteczny środek — przyszło lato, pszczołki się roiły; a chłop co niedziela wczytywał się w książkę i myślał o tem, żeby sobie na próbę chociaż jeden ramowy ulik sporządzić.

— No, z tego przynajmniej — mówił mój kolega — miałem pociechę i mam. Ten już zapoznał się z książką — spróbował na pszczołach i, zaręczam ci, że niedługo zacnie sadzić koło chałupy drzewka owocowe i że pomyśli o pewnych reformach w swoim pigtnastomorgowem gospodarstwie. Co zaś do dzieci, to sam powiada, że chociażby miał krowę sprzedąć, to uczyć

je będzie. Ten da dobry przykład,— ale inni urządzają mi skandale...

I tu, szanowny kolega zaczął mi opowiadać, że pewnego pięknego poranku, powiedziano mu, że przyszedł jakiś gospodarz z bardzo pilnym interesem.

Jakże tu odmówić gospodarzowi, który przychodzi w bardzo pilnym interesie?

Wyszedł więc, zatknąwszy pióro za ucho, na podwórze, gdzie oczekiwał pocziwy wieśniak, trzymając na plecach worek z prosięciem, które, niezadowolone z tej sytuacji, przeraźliwie kwiczało.

— Niecli będzie pochwalony — rzekł pokornie chłop.

— Na wieki. Czegóż to żądacie? mój człowieku.

— O, panie! bieda na mnie — powiada, — jaż z trzeciej wsi przyleciałem i przyniosłem wielmożnemu panu tę prosięcinę na podarunek...

— Za co? Weźcie je sobie napowrót.

— Oj, wielmożny panie, niech pan mnie sierotę wysłucha. Chłopaka mam dobrego, taki śpekulantny, taki ciekawy do kuźdej roboty, aż się dusza śmieje. Czy za broną, czy za sochą, on se tak idzie jak stateczny gospodarz, żadnych kompanijów,

żadnych muzyków, ani papierosów, jak to insze, on nie zna, a kole bydła to już lepiej chodzi niż rodzona matka. I, folguje rodzicielskim uczuciom, chłop łzami się zalał.

— No i cóż temu chłopcu? zachorował, czy co się z nim stało?

— Wojsko na niego idzie — odrzekł chłop łkając — a cóż ja chudzina przez nie go pocznę! a któż ze mną pójdzie łąkę kosie!? a komu ja przed śmiercią pole odpisze,?

— Żal mi was, mój człowieku, ale cóż wam moge poradzić? Ja do tego nic nie mam, a zresztą, wiadomo wam, że teraz wszyscy muszą służyć, — a jak go wezmą, to trudna rada, odsłuży swoje kilka lat i powróci. O wojnie żadnej nie słyhać, więc nie zginie. Pobiedujecie jakie parę lat i przyjdzie do was napowrót.

— Niech się pan ulituje, panie wielmożny.

— Ale mój bracie, ja na to nie doktór.

— Kiej mnie powiadali, że pan je pisorz...

— Masz tobie! Czemże wy mnie niedługo zrobicie?

A nie kto pan, jeno pisorz, a kiej pan za pisorza je, to niech se pisze gdzie

chce i jak chce, byle ja swojego chłopaka nie stracił. A czy pan myśli, dodał znacząco, że na tem biednem prosięciu będzie skutek!? To jeno tak dla smaku; jak będzie potrza, to jeszcze i groszowiny troche człowiek zdybie za pańskie pisanie, żeby tylko tego chłopca jako odratować.

— Czy ty człowieku masz źle w głowie? Powiadam ci wyraźnie, że żal mi cię, ale ja nie mam do tego nic. Nie bałamuć sobie próżno czasu i idź; — niech cię Pan Bóg ma w swej opiece.

Chłop smutny powoli odszedł. Myślałem, że się już odczepi i znowu zasiadłem do przerwanej roboty. Ale gdzież tam. Za godzinę chłop wrócił — ale powrócił rozpromieniony, rezolutny—prosto z karczmy.

Na frasunek musiał sobie biedaczysko kropnąć parę półkwaterków, bo i czapkę na bakier przekręcił, i zataczał się trochę i, takie ewolucję z workiem wyprawiał, że uwieczona w nim ofiara najbardziej przerażającym piskiem napępiała powietrze.

Kazałem drzwi zamknąć, — ale chłop trafił do okna, które było otwarte.

— Panie pisorzu! — bełkotał rezolutnie — pan je kwardy, ale Bóg Najwyższy nad nami miłosierny! On pana wynagrodzi

j mnie wynagrodzi, a zaś skoro nie wynagrodzi, to dziej się wola Jego święta, bo kuźden dnia swojego niepewny, jako ten robak, co se, na to mówiący, dziś łązi... a jutro kokoszą go zdziobie i tyła...

— Idźże ty sobie, mój bracie, kiedyś się upił i idź spad.

— To i co? upiłem się, to za swoje, i jutro się upiję, i babę swoją wypiorę, że jaż Kraków zobaczy, kiej już taka markotność na mnie padła, bo co mam robić z biedy?

Siliłem się na morały.

— Jakżeż to? Skoro masz zmartwienie, to zamiast się poradzić kogo znającego się — to ty się upijasz jak bydlę i jeszcze kobietę chcesz bić?

— Albo ona nie zona?! Cierpię ja, to niech i ona cierpi, bo skoro Bóg Najwyższy złączył, to ju nic nie rozłączy, jeno rydel a motyka.

— Oj, żeby twoja baba miała rozum, wzięła dobrego dębczaka, a sprawiła ci uczciwe smarowanie, możeby ci się po niem wódki odechciało.

Chłop rozrzewniać się zaczął.

— Oj, prawda, panie, prawda! Ino przyjdę do domu, zaraz pleców nadstawię; po

wiem: „Jagós moja, wal! wal, jagodo kochana! pierz co wlezie, a synaczki, sierotki biedne, niech ci pomagają!

— A dużo masz jeszcze tych synaczków?

— Z najstarszym je ćtyrech.

— To nie bec z i nie upijaj się, tylko się wytrzeźwij, idź do wójta, a on cię nauczy, jak masz zrobić wybor; to ci najstarszego do wojska nie wezmą, a jak młodszy który dorośnie, to za niego pójdzie. Jest prawo takie, widzisz.

— A co?! — zawoła! chłop tryumfują co — taki pan wielmożny są pisorz!

— Nie nudź już, mój dobry człowieku. Naprzód się wyśpij, żebyś był przytomny i żebyś nie plótl jak na mękach, a jak się wyśpisz, to idź do gminy i powiedz wójtowi, co chcesz zrobić, a on cię nauczy, gdzie masz iść dalej.

— Niech Bóg wielmożnemu panu za dobrą radę w dubelt nagrodzi Gdzie zaś pan każe tę prosięcinę ostawie?

— Zabierz z sobą i chowaj na swój użytek...

Ale przekonaj pijanego!

— Albo to ja taki, żeby z gęby cholewę robił?! Ho! ho! skoro rzekłem, że dom,

to dom. Szkoda mi prosięcia, ale i dziecięcia szkoda... zreštora, ryzyk fizyk! co ma być, to będzie! albo prosię stracę i dziecko poratuję—a zaś jak nie—jak mam dziecko stracić, to niech i prosioka stracę! wzieni dyabli krowę, niech wezmą i cielę, a kiej mam taki los żeby ginał, to juz niech ginę ze scętem! Niech będzie pochwalony!

i, z temi słowy, porzucił prosiaka z workiem na ziemię i uciekł.

— No i widzisz—mówił mój przyjaciel, jak to z nimi jest. Jak który sobie wbije co w głowę, to nietylko słowem, aio i siekierą trudno z niej wyrąbać. A radzić się lubią. Długom się napracowałem, zanim zdołałem ich przekonać, że nie piszę żadnych skarg do sądu.

Opędzić się nie było można przed różnymi poradami prawnymi, a z drugiej strony, niepodobna było każdemu drzwi przed nosem zamykać, bo zdarzało się tak, że niektórzy przychodzili z prośbą o przeczytanie kontraktu, lub o radę, w jaki sposób nabyć grunt, żeby być pewnym spokojnego posiadania i użytkowania. Powiedz sam, kochany kolego, czy godzi się nawet odmawiać takiej bagatelnej przysługi człowiekowi, którego całkiem nie

szczęściem jest to, że jest ciemny i nieoświecony, no, a przytem trafia się sposobność do wypowiedzenia kilku słów o konieczności i o potrzebie czytania i nauki dla dzieci.

Więc nie odmawiało się. Tak to kilkakrotnie, w cienistym lipowym szpalerze, gawędziliśmy z moim przyjacielem, najczęściej o ludzkiej i różnych jego potrzebach.

Świadkiem tych naszych gawęd był I błądy, pełny księżyc, zawieszony nad ogrodem, jak lampa, świadkiem szumiące lipy i świerki stare.

Ot te, żeby przemówić umiały, możeby już znalazły odrobinę postępu w przeciągu pół wieku, ale nam nie dano żyć tak długo jak lipom i świerkom,—my może nie doczekamy zbierać plonów naszej pracy...

Ale czyż to ma nam przeszkadzać w siewie, nie my zbieramy, to dzieci nasŁe, nie one—to wnuki, ostatecznie zawsze ktoś zbierać będzie.

Przyjaciół mój jednak nie miał mieć tej pociechy, aby jego poczciwi sąsiedzi dowiedzieli się kiedy o prawdziwym jego zatrudnieniu.

Był on już dla nich starszym pogani

nem „od luterskiej wiary” z okazji palenia światła w nocy, był czarownikiem potrosze —był mniemanym kapitalistą, pisarzem jakiegoś niewidzialnego urzędu, miał robić książki, jak szewc buty na warsztacie i, wstydzi! się tego, jak mniemano, więc nocami robotę wykonywał i na jarmarki wysyła!,— nareszcie zrobiono go introligatorem.

Na ten ostatni urząd nominowała go szlachcianka...

A nie myśl sobie, szanowny czytelniku, że z podobną szlachcianką żartować można.

To osoba, względem której należy zachowywać wszelkie rewerencje.

Miałby się z pyszna taki, ktoby się ośmieli! nazwać ją „kobietą.” Rozumie ona to dobrze, że co innego kobieta, a co innego szlachcianka!...

Ona wie, że u niej w chałupie wisi, obok świętych obrazów, „Ostoja” lub „Rogala” namalowany na chropowatym papierze, opisany wierszem, którego już dziś, z przyczyny zupełnego zblednięcia atramentu, nikt nie zdoła przeczytać, że ten „Ostoja” lub „Prawdzie” oprawny w skromne ramki drewniane, droższym jest nad

Ona wie jeszcze więcej.

Wie na przykład, że w suchym dołku, pod podwaliną izby, jest garnek w siedm szmat owinięty, a w tym garnku znajdują się takie papiery, co od szwedów są starsze.

Tradycja rodzinna z pokolenia w pokolenie, nie bez pewnych wariantów przechodząca, nauczyła ją, że zacny jej prapradziad kobyłę bardzo piękną ochwacił, jadąc na elekcyę pod Woię. — Ba! a co procesów było w tej rodzinie! Jest w kufrze zielonym, dobrze okutym, porządna porcja papierów, opiewających spory graniczne takich posiadłości, które już dziś może w dwudzieste ręce przeszły. Są pozwy, manifesta, wyroki zbutwiałe, przechowuje się to jako pamiątka— a do tej pamiątki Coraz to nowe papiery przybywają, bo szlachcic bez procesu, jak ryba bez wody, żyćby nie mógł.

Nie myśl więc, szanowny czytelniku, że z podlaską szlachcianką zartować można... O nie! osoba to, która czuje swą godność, która wie, że szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie — i wierzy w to, że Pan Bóg wszystkich ludzi ulepił z gliny, tylko, ma się rozumieć, szlachcica... z najlepszej.

Rewerencyi wszelkiej i poszanowania

wymaga, bo, jak sama twierdzi, sroce zpod skrzydła nie wypadła, a przytem ta, o której mowa, miała jeszcze wicie osobistych przyczyn, które kazały jej być dumną i wysoko cenić swą osobistą godność.

Nie mówiąc już o wysokiej paranteli i o pochodzeniu ze wspaniałego rodu, wniosła ona mężowi w posagu sześćset rubli... ale jakich rubli! czystem srebrem, sztuka w sztukę okrągłe, białe! brzęczące!

Powtóre, była panią fortuny w trzech działkach, nie nadto szerokich, co prawda, ale strasznie za to długich —potrzebie, miała w izbie kanapę, na której niegdyś siedziała jakaś bardzo wysoko położona osoba.

Nie koniec wszakże na tem. Pani Maoiejowa była nabożną i uczoną niewiastą.

Co niedziela i święto silny jej dyszkant, niby ostry świder, wiercił sklepienie kościelne i uszy wiernych parafian, i to nie wiercił zwyczajnie, po polsku—lecz po łacinie, wtórując basowi organisty.

Nie powiem, żeby pani Madejowa rozumiała własną swoją łacinę — ale za to moge z czystem sumieniem zaręczyć, że nie rozumiałby jej również najuczeńszy starożytnik ilingwista, gdyż tak starannie ipracowicie każdy wyraz psalmu był przekręcony.

Z taką to szanowny, zacną i uczoną matrona miał do czynienia mój kolega.

Weszła ona do jego mieszkania, a raczej wtoczyła się przez drzwi, z pewnym trudem, zaćmiewając światło dzienne przerażającą żółtością wielkiej chustki, która przykrywała jej głowę i spadała na potężne ramiona i barki.

— Dzień dobry panu — rzekła, kładąc na krzeselku duże zawiniątko.

— Dzień dobry, cóż panią Maciej ową sprowadza?

— Ot zwyczajnie interes, bo już nie chwalący się, że ja jestem taka porządna, że nie mogę ścierpieć, jak mam co rozdartego... Niech co chce kosztuje, ale niech będzie jak się należy...

Kolega mój zastanowił się nad ciekawą dla niego zagadką, jaki mają związek rozdarte rzeczy pani Ma ci ej owej z tą niespodzianą wizytą; baba zaś trajkotała dalej:

— Juzem się dawno zbierała raz z tą biedą skutek zrobić, ale jak to panu wiadomo, całe gospodarstwo na mojej głowie! Męża, z przeproszeniem osoby pańskiej i honoru, mam, ale takim mężem, to, Panie odpuść, komin lepiej zatkać... Dość, że ja wszystko, obsiać ja, dobytku dojrzyć ja! do

sądu ja! wszystko na mnie, jak na bura sukę. Dziewek, za pozwoleniem, jest dużo— ale co to, panie, na terajszy czas dziewczka? Dwadzieścia rubli daj — zre, z przeproszeniem osoby i honoru pańskiego, co wlezie — a do roboty ani kijem nie napędzisz. I jeszcze panie, na terajszy czas, co jak na kogo jeno palec zakrzywić, zara kara!! Ot, jakoś przed świętym Janem, mówię do jednej: zrób tak i tak, ona swoje; mówię: zrób, pókim dobra, ona swoje — i tylku, Panie odpuść grzechy, ot tak, jak dusznego zbawienia pragnę, nicem jej nic zrobiła, jeno, co prawda, trzasnęłam ją w gębę może cztery, może pięć razy i to, panie, jak rany boskie kocham, lekko, nawet jej nic zakrwawiłam, i co pan powie? ta szelma, z przeproszeniem osoby pańskiej, zara mnie do sądu... A sędzia powiada: pani Maciejowo, zagodź, bo to paskudny interes... Tak, panie kochany, takie tera czasy, takie sądy—wyprać takiego wałkonia, to paskudny interes! Pięć rubli dałam i musiałam gębę zatkać, panie, musiałam! I to taki sąd! o! przy takim sądzie, od tych sług, gałganów, człowiek dzisiejszego dnia życia niepewny... Odsapnęła trochę.

Więc uważa pan dobrodziej, do

czego (o ja mówię?.' Aha, juścić trudno mi rozedrzeć się, dla tego oto tak schodziło — a już chciałem nawet zanieść do żyda... ale myślę sobie tak: ma ten, z przeproszeniem, niedowiarek zarobić, to lepiej niech zarobi katolik, a po drugie, że takie znów świętości nie godzi się jakoś dawać żydowi... ot widzi pan, mówiła, „Złoty Ołtarz” oblażł całkiem, tu się kartki pozawijały, tu skórka wyrwana — na szczęt zniszczony; — albo o! ..żywoty świętych” tak samo—ze „świętej Genowefy” skóra het się starła, bo już to ją dzieci najwięcej mordują. Takie, panie, do książki ciekawe, że czasem to i kijem nie odpędzi. O, tu, w „kantyczkach” dziura, tu znów w „pieśniach” to samo. To „Pielgrzymka na Jasną Górę” na nic... A widzi pan, choć to powiadają tak: „jak zwał tak zwał, aby co dał,” a znowuż proboszcz gada, że „miła Bogu modlitwa, aby szczerza, choćby i całkiem przez książki,” ale ja powiadam, że z takim obdrapańcem to i wstyd nawet chodzić do kościoła. Pan Jezus miłosierny na serce patrzy, ale zawsze to chyba i Jemu ukrzyżowanemu milej, jak się człowiek do Niego na porządnym statku pomodli.

Kolega mój wysłuchał tej tyrady, sp;j

rzal na podarte książki, potem na panią Madejową i zapytał sucho:

— I cóż pani Maciejowa każe z tem zrobić?

Baba zrobiła wielkie oczy.

— Co ja każę? gdzież ja mam takiemu porządnemu panu co kazać? ja tylko proszę, po somszedzku i przez urazy, żeby mi pan te nabożne książki poładował. Gdzie trzeba skórkę dać, gdzie papierem załatać, jak wiadomo, przecież to panu nie pierwszyczna kolo tego chodzić.

— Kochana pani Maciejowa, kiedyż ja tego nie potrafię...

— Pewnie się pan o zapłatę boi?! Ho, mój panie, chociaż ja prosta szlachcianka, alebym jeszcze inną dziedziczkę kupiła, z całym kramem. Niech się pan nie boi, zapłacę ja co się będzie należało, boć to przecież książki nie na zabawę, tylko dla chwały Bożej.

— Dobrze to jest, ale powiadam pani,

że ja tego nie umiem, nigdy się tem nie trudnił, jak żyję ani jednej książki nie oprowiłem...

Baba powstała z godnością, wyprostowała się z wyrazem obrażonej dumy...

— Cóż to? proszę pana za kpiny złudzi?

ja proszę jak kogo dobrego, grzecznie, przez urazy, po ludzku, a pan kpi ze mnie, jak z jakiego, za pozwoleniem, dzieciaka! Dla czego mi pannie ma naładować książki, kiedy pan od tego majster?! Jak kto umie nowe robić, to powinien i stare ładować!. Toż nowa moda! Jak u szewca kupię ciżmy, to jak się podraż, to on i podzeluje i łatkę przyczepi. Tan tak samo powinien, bo takie jest majsterskie prawo: zrobic), a jak się popsuje naładować! Ja też nie dzisiejsza i po Świecie bywałam. Mnie tu, panie, każdy mały dzieciak zna i wie, co ja za osoba jestem!

— Moja pani, dajże mi święty pokój i odczep sic odemnie...

— Tak... to! odczep sic pani! odczep się pani, ha! skoro tak, to dobrze; ja się odczepię, ale swego nie daruję. Tylko do domu przyjadę, zaraz pchnę swego niedojdę do sądu,..

— Ha, jak sobie imość chce — wolna droga.

— A ma sic rozumieć, że wolna, cóż to mi kto ma zastęp drogi zrobić? Ho! ho! panie, ja prosta szlachcianka, ale mnie byle kto w kaszy nie zje. Choć ja baba, ale prawo znam i do sądu tralię; mój tatko nie

boszczyk nie takie interesa miał Ł wygrywał, panie! jedna sprawa to aż w senacie była! A czy pan myśli, że ja swojego daruję! Po co ja tu darmo jeździłam, konia pędziłam, czas bałamuciałam, osobę swoją fatygowałam... czy to ma darmo być? Będę ja wiedziała co mam sędziemu gadać.

Zaperzona jejmość wytoczyła się nareszcie ze stancyi, wraz ze swoją nieszczęśliwą biblioteką; z wielkim trudem w windowała się na wózek i odjechała, rzucając przeróżne anathemy i, spowiadając się ze swego zawodu, topolom przydrożnym i brzo"zom.

— To wszystkie surdutowe takie — mówiła zaperzona — żeby przyjechała dziedziczka, toby jej, nie wiem co, poprawił i jeszcze by ją w rękę pocałował, a na prostą szlachciankę to i patrzeć nie chce... A ja to co gorszego od jakiej dziedziczki?!

I tak przemawiała do topól na gościńcu, do sosen w lesie, do kamieni na polu, aż zachrypła nieboga, kochana pani Madejowa.

Z rok czasu nie widziałem mego przyjaciela.

Wiosna była.

Pierś dopraszała się o świeże powietrze, oczy o zieloność — czoło pragnęło ochłody i orzeźwienia w powiewie cichego wiatru, biegnącego z ponad łąk i lasów.

Pojechałem na wieś, — a że mi droga przez Topolin wypadła, chciałem wstąpić do kolegi.

Eheu! Nec locus ubi fuit.

Dworek, w którym mieszkał, rozebrany, tylko zwalony komin i stos gruzu świadczy, że tam niegdyś była ludzka siedziba.

Ogródek zielskiem zarósł, tylko świerki stare szumią jak dawniej i cichy szpaler lipowy odział się nową zielenią...

Kilka narcyzów zdołało wydobyć białe główki z pośród zagłuszających je pokrzyw; bez kwitł, a róże niedobitki dźwigały pączki na gałązkach.

Mało mu jeszcze sielanki, powłókł się więc dalej, w jeszcze bardziej zapadły, jeszcze bardziej zabity kąt Podlasia.

Po co?

Wdałem się w gawędę z kilkoma wieśniakami, którzy przyszli, zwabieni widokiem urzędowo zielonej bryki i odgłosem trąbki pocztowej.

— Gdzież się podział? — pytałem.

— Niewiadomo, wielmożny panie—odpowiedział wieśniak z westchnieniem,—jak niewiadomo zkąd przyszedł, tak niewiadomo gdzie poszedł... ot zwyczajnie, jak wiatr, co se po polu chodzi... zkąd przyjdzie? gdzie pójdzie? Bóg wie.

— A gdzież dom?

— Kupili i zabrali. W innej wsi teraz
stoi.
— A na tem miejscu nikt się nie myśli budować? — spytałem.
— Eh! gdzieżby zaś — odpowiedział, machając ręką niechętnie.
— Prawda—rzekłem,—jabym sam bał się tu budować, bo podobno coś przeszkadza w tem miejscu.
— Ah, tak niby gadają. Dawniej to sam hrabia nieboszczyk chodził, tera nie ma już pokojów, to se chodzą we dwóch
po ogrodzie i papierami rzucają.
— We dwóch? a z kimże drugim?
— Juści z nim.
— Z jakim znowuż?
— A z tym, co w onym domku sie dział... pokutują oba, biedaki.

Masz tobie! upiorem został za życia.
Wśród gruzu bielila się jakaś kartka, dobrze już przez deszcz splukana.
Podniosłem ją; było to pismo mego kolegi.
. . . „Biedny ludu, — kiedyż książka przestanie być dla ciebie niezrozumiałą zagadką?...”

(OBRAZEK.)

W eleganckim, gustownie umeblowanym salonie, przy fortepianie otwartym siedziała młoda kobieta. Z pod jej palców drobnych, zręcznie przesuających się po klawiaturze, płynęła dziwna jakaś melodia, fantastyczne potpourri, w którym skoczne dźwięki mazurka mieszały się z minorowymi tonami nokturnów, to znów ustępowały ciężkim akordom pogrzebowego marsza.

Dzień był jasny; przez koronkowe, delikatne firanki wpadały promienie słoneczne, ślizgały się po gładkiej, błyszczącej posadzce, po złożonych ramach zwierciadeł, po szerokich liściach kwiatów egzotycznych, które ustawione w gustownych żardinierach tworzyły miniaturowe kłąby. Niedyskretne promienie światła otaczały także i główkę grającej jakimś nimbem świetlanym i podnosiły, potęgowały urok jej piękności.

Była to główka zarysowana prześlicznie, ozdobiona bogatym zwojem warkoczy jak krucze pióra czarnych i lśniących, misternie i z wdziękiem ułożonych. Rysy twarzy regularne, drobne, przypominały profil starożytnej kamei, drobne usta składały się do uśmiechu, a duże, czarne oczy w prześlicznej oprawie, spoglądały z pod rzęs długich z wyrazem tłumionego smutku. Twarz była alabastrowej białości, figurka zgrabna i wiotka, rączki drobne i szczupłe. Grała dość długo, zapatrzona w jakiś obraz na ścianie wiszący, przechodziła od motywów wesołych do poważnych, smutnych, coraz smutniejszych, aż nareszcie zakończyła tę fantazyę urwanym jakimś akordem, w którym zakłęła żal, jęk i boleść stłumioną.

Wstała od fortepianu szybko i, zdawało się, że ma łzy w oczach, otarła je jednak śpiesznie i zniknęła za ciężką portyera. Tam znajdował się jej własny pokój, najmiłszy dla niej kącik w całym domu. Było w nim jasno, słonecznie, mebelki filigranowe, rzeźbiona szafka z książkami, biureczko małe z wszelkimi przyborami do pisania. Usiadła przy biurku, wydobyła z szu

fadki zapisany do połowy kajet i zaczęła kartki przerzucać w zamyśleniu. Potem wzięła pióro do ręki i, pięknym, wprawnym charakterem, pisać zaczęła.

Zajrzyjmy w te notatki, przysłuchajmy się tej spowiedzi dziewczęcia.

... „Nie wiem dlaczego smutna i zgnębiona jestem. Nie wiem, dlaczego zdaje mi się, że jakiś głaz leży mi na sercu... Czasem, wśród wesołości i pustoty, ogarnia mnie trwoga. Czasem śnię, że biegnę przez pola i łąki samymi kwiatami usłane, przez różane gaje, że pod stopami memi rozciąga się kobierzec aksamitny, miękki, zielony— przerżnięty srebrnymi wstęgami strumyków — śnię, że mi jest tak błogo, dobrze, lekko, gdy naraz tuż przedemną, nagle, otwiera się przepaść bezdenna, szeroka jak morze, a czarna jak noc... Przepaść otwiera czarną swoją gardziel, — a ja nie mam siły cofnąć się; skamieniała, bezwładna jestem. Chcę krzyknąć, ale głos w gardle zamiera, chcę uchwycić za cierń nad otchłanią rosnący, cierń krwawi mi dłonie i łamie się jak słomka...

Opieram nogę o głaz jakiś — ale i ten nie wytrzymuje mego ciężaru i stacza się z przerażającą szybkością... Z krzykiem

rozpaczy' budzę się zmęczona, bezsilna, patrzę z przerażeniem szeroko otwartymi oczami i, nie moge zdać sobie sprawy, gdzie jestem? A jednak, a jednak, ja jestem w moim, tym samym miłym pokoiku, leżę na wygodnych poduszkach, błada lampka oświetla mój kącik, a ze ściany madonna Murilla spogląda na mnie bosko łagodnym wejrzeniem, jak gdyby chciała powiedzieć: nie lękaj się, dziewczyno...

Dlaczego ja miewam sny takie? dlaczego nieokreślona tęsknota, dziwne jakieś przecucie ogarnia mnie tak często? dlaczego nawet wśród zabawy, wśród blasku świateł balowych i przy dźwiękach doborowej orkiestry, nieraz zadumam się, posmutnieję i pytam sama siebie: co jest na dnie owej czarnej, niezgłębionej przepaści? Czy jak człowiek w nią wpadnie, to już spada, spada przez całe wieki, bez końca, i nie zatrzyma się nigdy, i zniknie w niezgłębionym oceanie nicości? Dziwne pytanie, dziwne myśli! Mama gniewa się o nie, poczciwy mój spowiednik tłumaczy mi zasady wiary i uspokaja słowem religijnej pociechy... Ojciec prosi, żebym się bawiła, żebym szukała rozrywek; każdy, każdy z mego otoczenia tak jest dla mnie dobry, uprze

dzający, łagodny, że nie wiem sama, czy mnie uważają za stałą tego domu mieszkankę, czy za drogiego gościa, na którego przyjęcie całą serdeczność wylać trzeba. Mama mnie często całuje i mówi: bądź spokojna i wesoła, dziecino... a ja ściskam jej dłonie pocziwe, pocałunkami je okrywam, poprawę przyrzekam i znowuż smutna jestem jak przedtem.

Powiada mi mama, że są u światła ludzie biedni, ubodzy, nędzarze, którzy chleba dla dzieci zgłodniałych nie mają, którzy mieszkają w wilgotnych piwnicach, na garści słomy przegniłej... Jest to okropna prawda! Raz, kiedy byłam bardzo smutna, kiedy owa czarna przepaść stała mi przed oczami, mama moja pocziwa przyszła do mnie, pocałowała w czoło i rzekła:—pojedź ze mną, dziecko, zobaczysz ludzi smutnych i nieszczęśliwych, zobaczysz na jawie, oczami własnymi czarną otchłań nędzy i rozpaczy.—Pojechaliśmy. Powóz toczył się po jakichś uliczkach fatalnych, znać było, że jesteśmy w dzielnicy ubóstwa. Mama zatrzymać się stanęła przed ja

kimś brudnym domem. Po schodkach zabłoconych, ciemnych, weszliśmy do suteryny dusznej, wilgotnej i tam ujrzałyśmy leżącą na tapczanie kobietę, z dwojgiem dzieci wynędzniałych, półnagich. W drugim kącie, chory jakiś człowiek, z zarośniętą twarzą, wystającymi policzkami, z oczami patrzącymi strasznie, szarpał brudną koszulę na wyschłej piersi i rękoma znaki jakieś dawał. Uczułam, że mi się serce ściska... wybuchnęłam płaczem... Konwulsyjnym ruchem zerwałam z siebie zegarek, broszkę i pierścionki i, rzuciłam je na kolana chorej; mama nie bronila mi tego.

Pocziwa, zawołała stróżkę, dała jej pieniędzy, kazała kupie węgla, chleba i mięsa i posłać po doktora. Odeszliśmy aż wtenczas, gdy się już ogień palił w piecu, gdy małe dwa dzieciaki z chciwością zatopiły zęby w świeżych bułkach. Mama nic nic mówiła do mnie, tylko gdyśmy wróciły już do domu, gdy ja wieczorem w zwykłe zamyślenie wpadłam, zbliżyła się do mnie pocichutku, pocałowała w czoło i rzekła:

— Wszak prawda, duszko, jacy nieszczęśliwi są tamci?...

Więcej nic mama nie rzekła, ale ja zro

zumiałam całą doniosłość tej prostej a wymownej nauki, wiem, co mama chciała powiedzieć.

I rzeczywiście, Bóg dobry dał mi los godzien zazdrości. Od dzieciństwa samego stąpałam po różach. Jedyne dziecko rodziców, wypieszczone, ukochane, miałam i mam wszystko, czego moge zapragnąć. Uie żałują mi niczego, troskliwie rozwijali mój umysł, uczyli mnie, wozili po najpiękniejszych krajach, pokazywali wszystko, co może być godnem widzenia. Ja nie jestem niewdzięczna, ja ich serdecznie kocham, ja bym życie za nich oddała. I A jednak nieraz krwawię im serce moim smutkiem.— Dlaczego? dlaczego?pytam nieraz sama siebie i odpowiedzi znaleźć nie moge. Zresztą, czyż to ja jedna smutna jestem?... Kiedyśmy raz byli na majówce, w lesie, widziałam mnóstwo drobnych ptasząt śpiewających wesoło... jedna tylko jakaś szara ptaszyna, usiadła na zeschłej gałęzi dębu i śpiewała bardzo smutnie... Dlaczego? któż to odgadnąć może?

W kilka miesięcy później, drobna, biała rączka znowuż posuwała się po papierze:

„Gdzieżeście smutki moje, gdzieżeście? A pierzchnęłyście daleko, jak czarne kruki spłoszone, jak nietoperze brzydkie... zniknęłyście, niema was!

Śni mi się czasem owa przepaść czarna, śniła mi się wczoraj nawet, ale jakże inaczej! Już nie pokrwałam sobie ręki o ciernie, nie staczałam się z martwym głazem, bo oto gdy się przepaść rozwarła przedemną, pochwyciły mnie wpół dwie ręce silne i krzepkie i zaniósły napowrót na aksamitne łąki, do gajów różanych. Szłam z nim razem uśmiechnięta, wesoła, szczęśliwa — przyświecało nam słońce, śpiewały ptaszki i zagłuszały głos tej szarej, malutkiej, która zawsze śpiewa żałośnie.

I ja teraz śpiewam, i ja się śmieję. Życie nowe, nieznanne, otwiera się przedemną w rozkosznej, czarującej perspektywie. Ja kocham, kocham duszą całą i jestem kochana, jak nikt na ziemi. Jakie on ma oczy wymowne, jakie myśli szlachetne, kiedy mówi co, to ożywia się, zapala, a ja słucham słów jego jak najpiękniejszej melodyi... Ja kocham go, tak, kocham! On dla mnie życiem, światłem i światem, on mi wszystkim na ziemi. i rodzice moi pocziwi pokochali go także. Za kilka miesięcy urzą

dzą nam cichy dworek wiejski i tam, zdaleka od miasta i od gwaru, żyć będziemy jak para gołębi. Ale ja mateczkę moją zabiorę z sobą także i ojciec odwiedzać nas musi. Nie chcę być egoistką, nie chcę sama tylko cieszyć się z moim Leonem.

Wyjdziemy na wieś, nawet doktor powiada, że to dla mnie będzie daleko lepiej — nasz stary doktor domowy. Ale, a propos doktora, zastanawiają mnie jego częste wizyty. Czyby zakochał się we mnie, że odwiedza mnie codzień i wmawia w mamę, że ja jestem chora?

O znawcy! znawcy! o ludzie niby to uczeni! powiadacie, że jestem chora, a ja w sobie czuję tyle energii, tyle siły, że bym, jak małe dziecko, motyle po całych dniach goniła... dajcie mi skrzydła, a z jaskółkami ścigać się będę, a zajrzyjcie w me serce... przelękniecie się, tyle tam chęci do życia, tyle najpiękniejszych nadziei...

Żem osłabiona trochę — to przejdzie.

Jak oni mnie kochają, rodzice moi najdrożsi, aż do przesady prawie, do śmieszności. Chodzą „a palcach, żeby mnie hałas me drażnił, wyłożyli mój pokój miękkim

dywanem, w oknach poustawiali kwiaty, koniecznie chcą ze mnie zrobić jakąś pustelnice leśną, lecz ponieważ to zima, a w lasach podobno śniegu masa, więc mój pokój zamienili na las. W dużych wazonach stoją młode świerki i sosenki, balsamiczny ich zapach przepęlnia powietrze. Leon przynosi w doniczkach najpiękniejsze fijołki parmeńskie i ustawia je wszędzie...

Obchodzą się ze mną jak z chorem, grymasem dzieckiem. Stary doktor przyprowadza z sobą codzień jakiegoś swego kolegę i obydwa zanudzają mnie pytaniami.

Prosiłam już ojczulka, żeby ich nie przyjmował. Niepotrzebni mi oni, nie znają się na niczem — osłabienie moje i niemoc przeminą same, zresztą zaś nic mi nie dolega, nic nie boli.

Pocziwy Leon, przychodzi codzień po południu, ja oczekuję go jak królowa, w wysokim fotelu, miękkim, wygodnym, ubrana zazwyczaj biało, z bukietem fijołków u gorsu. Warkocze puszcza swobodnie — bo on je tak lubi; czasem, sądząc, że ja tego nie widzę, bierze je do ręki i pocałunkami okrywa. Kryje się z tą pieszczotą, sądząc, że rozniewałabym się może. Dziwny chłopak, on nie wie, że ja naumyślnie oczy przy

mykam. Ja siedzę, jak królowa, w fotelu, on na małym stołeczku jak mój paź — i czytuje mi książki — poezye przeważnie. Słowackiego wiersze brzmią w jego ustach jak najrozkoszniejsza muzyka, jego głos metaliczny, pełny, dodaje im wdzięku i uroku. Gdy Leon mi czyta, ja się upajam harmonią... głos jego mnie czaruje, jak głos syreny.

Czasem płacę mu za Słowackiego Szopenem. Leon podaje mi rękę, prowadzi do fortepianu i słucha gry mej zadumany. Zawsze jednak jestem mu dłużną — bo on kilka godzin czyta bez wytchnienia, a ja dłużej nad kwadrans grad nie mogę. Palce mi wychudły, zeszczuplałam, czuję brak sił.

To ci niegodziwi doktorzy swemi szkaradnymi lekarstwami zrujnowali mi zdrowie.

Znów przykre sny zaczynają powracać, znowuż bywa mi smutno...

Nieraz na mojem czole zbierają się chmurki, jestem niekiedy przykra i niecierpliwa. Raz nawet powiedziałam Leonowi, że jest nieznośny, sądziłam te się obrazi. Ale on, poczciwy, przeprosił mnie jeszcze, po rękach całował. Złote serce ma ten chłopak, a w jego obejmie się ze mną tyle

jest łagodności, tyle dobroci szlachetnej... i ojczulek, i matka także mnie serdecznie kochają, tylko dziwię się dlaczego oni tacy smutni wszyscy? Czy to już takie prawo, żeby zawsze ktoś smutny był w domu? Jak oni byli weseli, to ja się smuciłam — teraz jak mnie weselej, to oni posmutnieli znowuż. Dziwna i nieustanna płątanina łez i uśmiechów...

Powiadają poeci, że życie z tych czynników się składa i, że dla tych kontrastów właśnie, jest takie piękne. Prawda, że roża przy cierniu więcej wdzięku nabiera, pogoda po burzy miłsza...

Ciężko mi jakoś dziś pisać... Gdyby Bóg dobry, który tyle dobrodziejstw zesłał na mnie, tyloma darami obsypał, dał mi jeszcze do tego odrobinę... maleńką odrobinę siły, tak przynajmniej, żebym ze swego fotelu do fortepianu, bez pomocy mateczki lub Leona przejść mogła, tobym podziękowała mu gorącą, serdeczną modlitwą... Zagrałabym „Aye Maria” lub „Stabat Mater” tak pobożnie, tak rzewnie, żeby każdy ton był łzą, każdy akord westchnieniem... Lecz czemuż ja bluźnię?... Czyż szczodroblivość Boża nie zesłała mi tylu darów w tem życiu?...

Śmiałam się z doktorów — ale niestety, oni mieli słuszność — ja istotnie cierpiącą się czuję.

Dziś jest lutego, dziś miałam uroczyscie, przed ołtarzem, zaprzysiądź Leonowi miłość" moją. Poczciwa mateczka kazała mi zrobić prześliczną białą sukienkę, dziś miałam przykryć głowę wiankiem z kwiatów pomarańczowych...

Niestety, nie pozwolono mi do kościoła pojechać, odłożono nasze wesele.

Rozpłakałam się serdecznie, ale dobrzy moi rodzice otarli mi łzy pocałunkami, a mój Leonek kochany uklęknął przedemną, ujął za obie ręce i mówił długo, długo, serdecznie. Upajałam się dźwiękiem jego wyrazów, słuchałam w zachwyceniu, patrząc mu w oczy... Mówił on, że niedługo już, na wiosnę, gdy się drzewa zazielenia, gdy słowik śpiewać zacznie i gdy konwalie białe zakwitną, wiosna przyniesie mi odrobinę zdrowia i siły... młodziutkie słońce przygrzeje i wywoła na bladą twarz moją dawno niewidziane rumieńce — wtenczas pojedziemy do naszego ustronia, na wieś, do cichego dworku, powyrzucamy za okno

wszystkie flaszki apteczne, a bgdziemy wzmacniali piersi świeżem powietrzem pól i lasów, będziemy oddychali aromatem ziół, będziemy chodzili na odległe spacerzy.

Uśmiechnęłam się do niego, objęłam jego piękną głowę rękami i, na szerokiem, myślącem jego czole, złożyłam pierwszy pocałunek. Zdawało mi się, że dwie gorące łzy stoczyły się z powiek Leona.

Czemuż on płakał—przecież gdy konwalie zakwitną...

O kwitnijcież, kwitnijcie prędkiej, drobne, śnieżne kwiateczki! Ukażcie się prędkiej w czarnych borach, wynijdziecie co rychlej z pod topniejącego śniegu i zajaśnijcie białe, niewinne, wonne... jak zwiastuny nowego życia, szczęścia i miłości...

Kwitnijcie drodne kwiatki, kwitnijcie... Tyle z dziennika.

Gdy konwalie zakwitły, mała rączka nie posuwała się już po welinowych kartkach pamiętnika, nie notowała myśli i marzeń biednej chorej.

Zmarła przedwcześnie, jak kwiat kosą podcięty, dziewczyna przestała cierpieć, zamknęła piękne oczy na zawsze.

Na powązkowskim cmentarzu, wśród kasztanów kwitnących, wznosił się bogaty pomnik marmurowy. Anioł śmierci schylał zgaszoną pochodnię, złożony napis uwiecznił boleść rodziców.

Wymowniejszemi jednak nad wszelkie napisy, były gorzkie łzy matki, która prawie codzień przychodziła na grób swej jedynaczki, a ile razy przyszła modlić się i płakać, tyle razy znajdowała na grobie świeży bukietik kwitnących konwali, które kochająca jakaś ręka codziennie składała.

init
(RAMOTKA).

Był pogodny ranek jesienny. Na trawie poczerńiałej, w rowach przydrożnych, na ciemno zielonej runi oziminy, znad było mróz biały: słońce zarumieniło już wschód, zapowiadając dzień jasny i pogodny, jeden z tych pięknych dni, jakimi nas czasem spóźniona jesień obdarza.

Na drodze panował ruch niezwykły. Na furach i pieszo dążyli chłopci ku miasteczku, niektórzy prowadzili krowy lub woły; owdzie kobieta szamotała się z „gadziną, szarpiąc ją umocownym u tylnej nogi postronkiem, tam znów jakaś jejmość z waszecia, dumnie spoglądała z wysokości rozklekotanej bryczki, owdzie przemykał na biedce żydek zaaferowany, okładając biczem wychudzoną szkapinę.

Wszyscy dążyli do jednego celu — a wszystkim było pilno, każdy się śpieszył. Bo też to i dzień niezwykajny. Wto

rek po świętym Marcynie, wielki jarmark w Okpiszewie, sławny na całą okolicę. Na ten dzień Ściągali do Okpiszewa z sąsiednich, a nawet z bardziej odległych miasteczek czapnicy, szewcy, bednarze, blacharze, handlarze sukman i kozuchów. Rozbijali oni swoje kramy i namioty na rynku, ustawiali improwizowane półki, ochrypłym głosem zachwalając i reklamując swój towar.

Wiedzieli oni dobrze, że dzisiejszy dzień to żniwo—a wszyscy chłopci wiedzieli również, że dziś w Okpiszewie, oprócz chyba ptasiego mleka, wszystkiego co dusza zapagnie, dostanie. Szklanych paciorków, wstążek, koralików, gai anty ch kozików, spinek z lusterkami, grzebyków którymby można najtwardszy tynk z murów oskrobywać, obwarzanków, kielbasy, pierników, śledzi i innych wykwinnych łakoci...

Chłop, choćby miał się zupełnie bez obuwia obywać, nie kupił butów gdzieindziej, tylko na święty Marcin w Okpiszewie, dziewczyna tam kupowała czerwono malowaną skrzynkę na wyprawę, gospodyni chustkę, albo obraz święty na ozdobę izby.

Okpiszewscy żydzi na dwa tygodnie naprzód przygotowywali zapasy w szynkach, sklepach, kramach; cieszyli i radowa

li się, żalując zarazem, że ten święty Marcin nie bywa przynajmniej co tydzień.

"Na drodze aż się czerniło od fur, można było słyszeć wesołe rozmowy podróżnych, kwik trzody, lub też przeciągłe ryczenie krów, oglądających się ciągle za wioską, z której je wyprowadzono.

Wśród pieszych szedł także Michał Gil, gospodarz z Zawadówki, z małżonką swoją Magdą, młodą jeszcze, przystojną kobietą.

Michał szedł zamaszysto, kijem się sękatym podpierał, na plecach miał kobiałkę lubianą, u pasa koziki krzesiwko, jak na porządnego gospodarza przystało. Zona dotrzymywała mu kroku o tyle, o ile „gadzina" prowadzona przez nią na jarmark, nie szarpała postronkiem i nie zbaczała do rowu.

— Widzisz, Michale,—mówiła baba— chciało ci się samemu iść na jarmark, ale docekanie twoje! Ja dziewczką byłam jeszcze u ojców, w chałupie, i dlatego żaden jarmark przemnie się nie obył—a tera, ra swoim gospodarstwie, mam w taki dzień siedzieć jak zamurowana.

Chłop ręką machnął.

Zawdy, żekł jeno pretensye masz Chciałem iść sam, bo jenteres mam

taki, co do niego baba tak potrzebna, jak dziura w moście, abo jak nie przykładając, dyabeł w Częstochowie.

— Ot, zamknij lepiej gębę! żebyś wzię godzinę nie wymówił! Jenteres ma! ciekawość jaki to jenteres, co może być przez baby? Chyba kozę pójdiesz odsiadywać.

— Nie będę ja nic odsiadywał — bom nikogo nie zabił, ani jenszej rzeczy nie zrobił—a co do jenteresu... tfy, niech cię marności ogarną!...

— No — a co?

— Musi chyba nie widziałaś? zajac bez drogę przeleciał... i jeszcze pytasz się co? Magda,—dodał ciszej,—mnie się widzi, że zawdy lepiej się wrócić.

— Bez głupiego zajaca?! a żeby on skapiał prędzej. Nie słyszałeś ty, jak ksiądz na jambonie przykazywał, żeby w takie głupie bajdy nie wierzyć?!

— Et, ksiądz księdzem—a zajac zajacem. Przepomniałaś to już, jak łośńskiego roku na wiosnę, jakem to do lasu jechał i baba mi drogę przeszła, to mi się koło złamało?

— To musi baba w tem winna, żeś woza w domu nie opatrzył. Sprawiedliwie to powiadają: że kiepskiej tanecznicy to i obrą

bek zawadza; jenszy niezguła porządku kiele woza nie dojrzy, a jak mu się w drodze szkoda zrobi, to na babę spędza, albo choć i na zajaca.

Chłop zaczął się w głowę drapać.

— Nie,—rzekł,—nie, Magdusiu, chyba się zawróćmy, po co guza szukać, mówię ci, że będzie nieszczęście.

— No—a jakże z tem jenteresem, co przez baby miał być?!

— Obendzie się.

— Niby jak?

— A tak, mam stare buciska, to w nich, siako tako, do godów przechodzę.

— Ehę! toś ty taki jenteres miał, buty chciałeś se kupić.

— A ty zkąd wiesz?

— Zkąd? musi mi ten zajac powiedział, coś go się złąkl jak złego.

Chłop usiadł nad rowem i usiłował przekonać żonę, żeby nie iść.

— Powiadasz,—mówił,—że ksiądz zakazuje—no dobrze, o babie zakazowa! zjambony, bom sam slysział—ale o zajacu nic nie gadał.

— Słuchajno, Michał—odrzekła zona, trącając go potężnie w bok, albo ci ja kiedy krzywa była? albo ja o twoje dobro nie

Stajała? czy ja latawiec? czy ja tobie nie gospodyni, nie zona, twoim dzieciom nie matka? Czy to nie dbam, nie haruję jak wół.

— No jużci, to prawda, po sprawiedliwości, ja tam powiadam, żeś rzetelna kobieta, pocziwa, ale też i ja dla ciebie nie pies, krzywdy odemnie nie masz, choć się przemówimy czasem, to dlatego gnatów ci nie przetrącam, jak insze swoim kobietom, nie skrzywdzę, przyodziewek też masz jak się patrzy głodu nie mrzesz.

— Zgrzeszyłabym też, żebym powiedziała, że nieprawda; przemówienie to swoja rzecz, a choć mnie jeszcze po ostatniem przemówieniu plecy bolą i stara Zagnańska musiała mnie wódką z psiem sadłem smarować, dlatego ja sobie nie krzywduję. Zawdy ty mnie mąż, a ja tobie zona, a co Pan Bóg miłosierny złączył, to nic nie rozłączy, jeno co rydel a motyka. Wstań, wstań, Michałku, pójdziewa, co se tam będziesz brał do serca—chodź.

Chłop namyślał się.

— Oj, oj! — mówiła dalej kobieta — wszystkie wy chłopcy jednakie, a nie przykładając, wszystkie sielmy. Nie bój się, żebym tak temu dziesięć lat, jeszcze kiej

u ojców w chałupie byłam, żebym tak, na to mówiący, rzekła: chodź, Michałku, to byś na stado wilków nie patrzył, jeno leciał. Może nie?

— Ha, albo ja wiem, powiadasz, żebym

leciał i mnie sio widzi, żebym leciał, — dodał śmiejąc się. Zreśtom, i dziś przecie zły dla cię nie jestem, Gadasz iść, ha! rezyk fizyk! co będzie to będzie, idę!

— Ot tak to ale! taki stateczny gospodarz, taki chłop, zeby się głupiego zająca bojał! Chodźmy, prosięcinę sprzedamy, choć biednie za siedm rubli, zara sobie chustkę kupię i dzieciom obwarzanków choć z dziesięć, niech tam i one robaczki mają uciechę.

— i ja im kupię, jeno pierwej buty — to je napierwsza rzecz.

— Napierwsza rzecz — a chciałeś sam kupować, przezemnie!

— A jużci, boja chcę wedle nowej mody, foremnie, a ty może...

— Nie pleć, pleciugo, nie pleć. Toć nieraz sama ci gadałam, żebyś se kupił gaiante buiy nowomodne, jak młode gospodarze noszą, bo patrzeć nie mogg jak się spiesz w takich stęporach, rychtyk jak

kuń po grudzie. Już ja ci sama buty naraję galante, jak się patrzy.

— Ech! albo to ty na rzemień znawczynią?

— Nie — tyło musi chłop to już na wszystko znawca! wielga rzecz rzemień, aby jeno mocny był, to i ju!

Tak rozmawiając, zbliżyli się do Okpiszewa. Już na moście był ścisk okropny. Dzierżawca rogatki klócił się o kopytkowe, faktorki i przekupki przeglądaly wszystkie fury, kilkunastu dziadów śpiewało na całe gardło: jeden o świętym Mikołaju, drugi „kto się w opiekę,” dziesiąty o św. Rochu, obrońcy od morowego powietrza...

Michał dał jednemu dziadowi trzy grosze, na pacierz do Przemienienia Pańskiego, bo mu fatalny zając nie mógł jakoś wyjść z głowy.

Wszakże wbrew owej wróżbie, interesa odrasu wzięły pomyślny obrót. Za prosiaka, wedle obliczeń Michałowej miało być siedm rubli, tymczasem rzeźnik niewiele się targując, dał za niego dziewięć rubli i złotych dwa, przybił Michałowi rękę, aż się po całym rynku rozległo i jeszcze litkup zapłacił.

Co prawdfcw Okpiszewie na św. Marcin, bywali porządni rzeźnicy, aż z pod Węgrowa podobno, czy może z innego końca świata...

Uradowani małżonkowie pragnęli też zaraz załatwić sprawunki.

— Słuchajno, Michał,—rzekła baba,—mnie się widzi,' że pasowałoby ci kaśkiet kupić, takie, masz wielkie czapczysko, jak nic przykładając, wronie gniazdo, kozuch ra nic zrudział, denko wypłowiło i wstąscyna, ze tylko na śmiecie wyrzucić.

Żyd czapnik podsłucha] rozmowę i wnet chwycił Michała za rękę.

— Aj waj, gospodarza, — zawołał, jaką wy macie rozumną kobietę, aj waj, jaką rozumną! Co ona w swojej głowie ma, to prawdziwy majątek. Żeby wy tyle zboża w stodole mieli, co ona ma w swojej głowie rozumu! to rarytna kobieta jest, na moje sumienie!

— Nc scekaj żydzie,—rzekła Michałowa,—jeno daj kaśkiet, rzetelny kaśkiet z daszkiem.

— I to macie reoht, na co jemu staromodno czapkę? taka czapka barania, jak konewka, to ciężkie jest, trzeba zdrowe szyje, żeby mogła udźwignąć głowę z takim

baranem! trzeba bydlęce szyję na taki interes!

— Magduś,—rzeki Michał, a może lepiej zamiast kaśkieta capkę by kupie, tera do zimy idzie, mróz, cy do lasu cy jak, zawdy cieplej.

— Macie recbt,gospodarzu,—rzekł żyd wybierając ogromną czarną czapę baranią, macie recht! Tera do żyme idzie, kto nosi kaszkiet, żeby wiater jego świszczy! po uszach! Ja wam co powiem: letki człowiek, letka czapka! Po czem poznad siłę w koniu? po ogonie—a po czem poznać osobę? po głowie! a że każde głowę jednakowe jest, to trzeba poznad po

czapce! Kto nosi kaszkiet! pisarczyk od wójta, a kto nosi taką czapkę? sam wójt! Aj waj! aj waj, czekajcie—niech no ja wam wybiorę kawałek czapki w dobrym gatunku, coś fajni!

To mówiąc, żyd wsadził Michałowi na głowę olbrzymie czapezysko i, natychmiast zwracając się do Michałowej, zapytał:

— Gospodyni! pani gospodyni! słuchajcie no, gdzie się wasz chłop podział? gdzie un się podział, wasz chłop, co tu stał niedawno, gdzie un się podział?!

— A dyc stoi przed tobą, — rzekła

z gniewem baba—gdzie się miał podziać— toć się w ziemię przecież nie zapadł!

— Na moje sumienie, ja jego nie poznałem w tej nowej czapce, żeby tak nieszczęścia nie widział; tu stał sobie chłop, zwyczajny chłop, jak dużo chłopów jest, a teraz taki gospodarz, taka osoba, że na całą gubernię takiego nie zdybować! Ja, jak żyję na świecie, nie widziałem, żeby który wójt tak wyglądał. Ale też to jest kawałek czapki! aj, waj! jaki to kawałek czapki jest!

— No, Magda! jak?—zapytał Michał— jak ty mi raisz... kaśkiet, czy czapkę?

— Ano, albo ja wiem, może według zimy i czapkę, a na św. Jan kupisz se kaśkiet, jak zechcesz.

— Aj, aj, sprawiedliwie pani gospodyni powiada, bardzo sprawiedliwie, ja nawet nie wiem, gdzie wy na wsi taki rozum zdybali! Na moje sumienie!

Po długim targu, odchodzeniu, zawracaniu kilkakrotnem, Michał został właścicielem wspaniałej czapki, która zdaleka szczególnie, wyglądała rzeczywiście jak wronie gniazdo.

Pani Michałowa sprawiła sobie chustkę bardzo piękną, w której barwy czerwo

na, zielona i żółta klóciły się z sobą zawzięcie i, nareszcie, przed zmrokiem jeszcze, zrobiony został najważniejszy sprawunek... buty.

Szewc z czerwonym nosem, znany na wszystkich jarmarkach handlarz obuwia, zaklął się na wszystkie świętości, na żonę, dzieci, na zbawienie duszy, że rzemień na butach jest mocny jak żelazo, a fason najświeższy warszawski; że podkówki najlepszy kowal obcęgami nawet nie oderwie i, że nareszcie, w tem wspaniałem obuwiu można stać w wodzie przez rok i sześć niedziel i nie przemoczyć się wcale. Zapewnił, że z tego samego towaru robił buty dla dwóch młynarzów i rybaka, przy czem opowiedział bardzo ciekawą historię. Jeden z jego klientów, kupiwszy buty, takie same właśnie jak Michał sobie wybrał, łowiąc ryby na jeziorze utonął i, dopiero w pół roku później, woda wyrzuciła go na brzeg. Cygan, który właśnie tamtędy przechodził, pozazdrościł topielcowi tak pięknych butów i ściągnął je, potem dostał się do sądu i, w tychże samych butach przesiedział dwa lata w kryminale—ale nie dość na tem, bo wyszedłszy z kryminału, sprzedał je żydowi, za cztery złote podobno.

Doprawdy, od takiego majstra jak ów szewc, nie żal przynajmniej kupować, bo to i majster dobry i człowiek wymowny, umie towiar zachwalić i uszanować każdego, nie targuje się jak żyd; jak może co opuścić z ceny, to opuści i da statek porządny, co się zowie i nie obedrze człowieka.

Jarmark powiódł się Michałom. Prosiaka sprzedali dobrze, kupili piękną chustkę, czapkę, buty, obwarzanków dla dzieci, a oprócz tego Michałowa zaopatrzyła się w duży garnek gliniany, polewany, o jakim już od dawna marzyła; kupiła także soli, oraz kilka pierniczków dla swego „raka zatraconego” i najmłodszego Antosia, którego bardzo kochała. Sprawunki zawiązała w chustkę, a Michał przymocował nowe buty u kobiałki, poczem wrstąpili do Lejbusia, napili się na drogę wódki, zjedli śledzia prosto z beczki, parę bułek i poszli do domu.

Pokrzepiwszy siły, zyskali także i na humorze. Szli żwawo. Kiedy już minęli most, baba odezwała się.

— A co, Michałku, musi moja prawda, żetąkjestjak ksiądz przykazuje, a twój głupi zajęc poleciał se w krzaki, jak zwyczajnie zajęc i, przeszkody ci żadnej nie uczynił.

— Et! co ty tam wiesz. Zwyczajnie jak baba, gadasz jeno po próżności — aby gad ad.

— Tak, tera to ci baba—a przepomniałeś, jak to było dziesięć lat temu? Magduś— słonko! Magduś—kwiatek! Magduś kochanie—a tera to baba! Ej, żeby mi tak garka nie szkoda, co go trzymam w garści, tobym cię tak dzbękneła po łbie, aż by ci się babka przyśniła, paskudny chłopie!

— Tobie jeno do dzbękania, to najpierwsze, to nie kobiecka rzecz, moja Magduś.

— Aj, aj, jaki ty mądrała, Michałku! — u ciebie wszycko nie kobiecka rzecz! — a miałbyś ty buty, żeby nie ja? — miałbyś taką capkę galantą?—przedał byś możeprosioka za dziewięć rubli i złotych dwa, żeby nie moja głowa, nie kobiecka głowa?

— No—juści, możebym i sprzedał...

— Ale... przedołbyś! — komedia!— a kupiłeś co dla Jantosia, ty ojcie! cobys to niby za dzieciarni w ogień wskoczył?!

— Ano juści, kupiłem obwarzanków za cały złoty, to i dla Jantosia będzie.

— A ja kupiłam dla niego jeszczecooś...

— Bo u ciebie Jantooś oczko w głowie a mnie kuźde dziecko wraz.

— Toć i ja matka—jeno Jantoś najmniejszy i rychtycek taki na gębie, jak ty, Michałku.

Chłop się rozrzewnił.

— Aj, Magdusiu, jagódko — rzekł — musi ty tylko tak gadasz se bez żarty...

— A juści! Sprawiedliwie to w pieśni śpiewają, co kuźdy chłop to jak pies; choćby jemu duszę oddać, zawdy sceka...

— Cich! cich, kobieto!... ja powiadam po sprawiedliwości, co takiej baby, jak ty, Magduś, w świecie posukać. Ot, wiesz co, jagódko moja, mrok się już robi, chłodno jakoś, możebyśmy do Pohulanki zaszli, odpoczęli krzynkę... Jankiel tam dobrą wódkę ma — a po drugie, ludzie z jarmarku idą, kumów się spotka...

— Ej, już cię coś ciągnie?

— Ciągnie, albo i nie ciągnie, ale zawdy tak, o suchym pysku, z jarmarku wracać, to jakoś, mi się widzi, nie pasuje...

— Paskudny pysk, co zawdy do mokości ciągnie!

— Widzisz ją! jaka ci! A pamiętasz jakieś gadała dawniej: „mój Michałek ma miodową gębę? — a tera to ci paskudny pysk!

— Gęba gębą, to swoja rzecz... a pysk co inszego.

— Dłatego wstąpmy, wstąpmy, Magdusiu... co se będziesz nozyska zrywała na piechotę... na Pohulance swojak się znajdzie, to do samej chałupy podwiezie...

— A swojej kobyły to żałowałeś.

— Bo moje kobyłsko z parobkiem rubla dziś zarobi, a rubla na drodze nie zdybie. Nie bój się, dobrze zerkasz na Wojtkowa łąkę, co ją chce sprzedać; ale radaby dusza do raj, jeno grzechy nie puszczaają, pieniędzy nie będziemy mieli tyła co potrza — to dobry i rubel.

— Oj ty! ty! rubel to ci dobry — a na Pohulance dwa stracisz.

— Co? stracę? choćbym i stracił, to swoje — a z kim? z tobą. Co to, ja kompaniów szukam, czy co? Czy to my źle żyjewa ze sobą? Ot, chciałbym se krzynkę pohulać, to i idę, a z kim idę? z żoną, z Magdusią moją, z mojem kochaniem, psiakość!

— No, to chodź, —jeno ci to przykazuję, nie siedź! — Zara, aby się tylko fura trafiła, pojedziem.

— Pojedziem, jagodo, pojedziem.

— Boć tam i dzieciska Bóg wie jak...

— No — siostra się przy nich ostała...

— Co siostra... zawdy to nie matka... Na progu stal pan Jankiel, szynkarz z Pohulanki i witał swoich gości.

— Aj, waj! — zawołał — co ja widziałem?! Złoto, srebro, perłów widziałem, a Michała z Michałowa nie widziałem!

Aj, takie gość! takie gość! w Pohulanoe to wielki rarytas je! wielgie mecyje! Chodźcie do izby, tam je Mateusz Drozd z waszej wsi i Walko jest, i Michał jest, wszystkie są! — czy to dziś nie święty Marcin? nie zabawa?!

Michałowie weszli do karczmy, w której było już pełno ludzi. Janklowa nie mogła obsłużyć wszystkich gości, taki był popyt na gorzałkę, piwo i miód. Kumowie ściskali się, całowali, zapewniali się nawzajem o swoim przywiązaniu i czułości.

Na dobitkę, ni z tąd ni zowąd, znaleźli się jacyś dwaj wędrowni muzykanci, a widząc, że ludzi jest dość i zarobek być może, zaczęli stroić skrzypce.

Młodzieży tego tylko było trzeba. Zaraz znalazł się jakiś elegant, gospodarski syn, tupnął podkówkami, chwycił w pół zaplonioną dziewczuchę i, krzyknąwszy — hu! ha! puścił się w tany.

Za jego przykładem poszli inni i, wnet obszerna karczma Jankła zamieniła się na

sale balową. Micbalowej usiąs'c' nie dano; była to kobieta przystojna, wesoła, gospodyni porządna; za honor sobie miał każdy kto mógł z nią tańczyć. A i ona sama zabawić się także lubiła.

Zmęczona, wymknęła się do sieni — a ponieważ umówiła się z Mateuszem, że na jego furmance powrócą, więc też wyszła przed karczmę, upakowała w wozie wszystkie sprawunki i okryła je dobrze słomą.

Było już późno; noc pogodna, choć zimno; księżyc płynął po niebie wysoko i rzucał blade promienie na poczerniały dach karczmy, na wioskę, las i rzekę, wijącą się między łąkami.

Przy koniach nie było nikogo, —jeden poszli tańczyć, inni pić, inni wreszcie przypatrywać się zabawie. Szkoda było babinie zostawić sprawunków na łasce losu; wgramoliła się więc na wóz, otuliła się chustką i pilnowała, w nadziei, że wyjdzie ktoś z karczmy i będzie dawał baczenie na wozy.

I dumało się babinie o tym zającu, co im dziś przez drogę przeleciał, o jarmarku, o butach, o chustce, o Michale swoim, który chłop dobry jest, ale czasem lubi się zabawić zanadto, — o dzieciach, a najbardziej

już o tym jasnowłosym Jantosiu, pieszczot chu, który wciąż lubi za nią łązić, jak, nieprzymierzając cielę za krową i, choć ma dopiero dwa lata, już gada: „matulu,” tak jak najstarszy. Okrutnie dobry dzieciak i mądry, — po ławce do komina wylezie i patyczkiem, z ukropu, z garnka, potrafi wyjąć kartofel... taki dowcipny rak...!

Zadumała się kobiecina o tem, że ma tyle lnu do międlenia, że całą zimę prząść będzie na nowym kołowrotku, że z tego przedziwa naszyje koszul dla chłopca, dla starszych dzieci, dla Jantosa... A to płótno będzie śliczne, cienkie, równe, wybielone na słońcu... Jantós pomoże jej rozciągać je na łące, skoro już wiosenne słonko przygrzeje, — ten Jantós, taki ładny, taki mądry, który o wiosnie już pewnie gęsi paść potrafi... Jak kto się urodzi zdolny, to go długo uczyć nie trzeba; dość mu jednego słowa, dość mu raz dobrze pięścią w kark, a reszty sam się domyśli — odgadnie... Chłodno jest na dworze, wiatr jesienny się wzmacza. Babina otuliła się w chustkę, wkopała nogi w słomę i — duma. Zmęczona podróżą, zmęczona tańcem, śni... czuje senność, oczy jej się kleją — marzy... Zdaje jej się, że siedzi w cieplej izbie, przy

kominie, na którym ogień" bucha wesoło; w wielkim garnku kartofle się gotują, w ryneczce skwierczy, jak nieszczęście, słonina... Ona sama siedzi przy kołowrotku i przędzie. Jantosiowi swojemu bajkę opowiada; starsza dziewczyna pierze drze pod piecem, chłopak sobie wiatraczek z gontów robi, a Michał podrywkę na ryby szykuje... Tak dobrze w tej chałupie, spokojnie...

W karczmie tymczasem bawią się, aż szyby brzęczą, wędrownym muzykantom pot oczy zalewa, Jankiel z wielkiej krętaniny chałat z siebie zrzucił.

Mateuszowym konikom przykrzy się stad przed karczmą; zmęczone i głodne chciałyby się dostać do stajenki, zjeść świeżego siana, a później rozciągnąć się na słomie, wypocząć. Schyliły lby ku ziemi, pożywienia węższą, krok za krokiem posuwają się naprzód, aż już karczmę minęły, a ujrawszy się na drodze do Zawradówki, parsknęły rażno i pobiegły wyciągniętym kłusem...

Muzyka brzmiała w karczmie tak głośno, że turkotu wozu nikt nie słyszał, aszkapiny, śpiesząc do domu, pędziły po równym, twardym gościńcu.

Mateusz kiwał się senny za stołem,

Michał ożywiony zabawą i kilkoma kielichami gorzałki, o Bożym świecie zapomniał.

— Graj, muzyka! — wołał, obejmując wpół którąś z licznych swoich kumoszek — graj! — i, zwinawszy poję od sukmany na ięku, przyśpiewywać zaczął:

Oj, w kalinowym lesie, Oj, dyabeł babę niesie!

— Macie też co śpiewać... — odezwała się kuma—jeszcze, cliowaj Boże, w złą godzinę...

— Czekajta dalej—zawołał—

Ale upadł i jęknął

Bo mu zara grzbiet pęknał!

— To ci galanta baba być musiała — odezwał się jakiś chłop — i som dyabeł nie mógł jej podźwignąć!...

— Wiadomo — wtrącił inny — baba to

je ciężar...

— A musi wy to lekkie, jak piórko?... wiatery by was zdmuchnął!...

— Aj, wiatery! wiatery!...—dorzucił Mateusz półsenny — słyszycie jak huczy w kuminie? pewnie się kto obwiesił...

— Ziąb skaradny na świecie!

— Ziąb?—zawołał Michał, podskakując, — co mi ta ziąb! Niech się, psi zimna boją, bo na dworze siedzą, a człowiek, skoro je w chałupie...

Ej, moja Małgorzato, Nie zważaj ty se na to! Bo choć na dworze zima, Ale za piecem lato!

Hu! ha!

— Mateusie! Mateusie!—wrzasnął młody parobczak, wpadając nagle do karczmy.

— A co? półkwaterek ci dać?... Lej, Janklu, nie pytaj! ja rzetelnie zapłacę... do jednego grosa...

— Ale... Mateusie!...

— Co ta będziesz gadał po próżności... pij, kiedy ci dają, i tyło!

— Juści, pij!... Tu nie pij — jeno waszych kuniów nie ma przed karczmą!

— Ukradli! — krzyknął, odrazu wytrzeźwiony Mateusz — nieszczęście moje wielkie!

Michał urwał swą piosnkę w połowie nuty.

— Ludzie, ratuj ta!— zawołał Mateusz; goń, kto w Boga wierzy! ratuj ta moją chu

dobę! Hej Jankiel, psiawiaro! kto tu byt obcy?—to musi twoje współniki!...

— Co to współniki!... jakie współniki?... ja was za potwarz do sądu podam!... widzita go!... ja wam pokażę, co to jest takie kalumnie zrobić!...!...! Co?!... współniki?!... kto tu złodziejski współnik jest?!...

Mateusz nie zważał na te krzyki.

— Chłopcy!—rzekł—kto w Boga wierzy, siadajta na kunie'wierzchem i gonta! Nagrodzę, rzetelnie nagrodzę!... Oj! moje bydłatka kochane, od źrebiąt odchowane!... moja chudoba jedyna!...

Lamentujący Mateusz został przed karczmą, przy wozach, a chłopci, dosiadłszy koni, rozbiegli się na wszystkie strony.

Michał, na koniu swego sąsiada Marka, pognął za złodziejami napowrót ku miastu.

Na drugi dzień pod wieczór, powrócił dopiero do wsi. Smutny, zbiedzony, głodny, nieśmiało wszedł do chałupy.

— Toć Boga pochwa! przynajmniej... — rzekła do niego zona — przecie katolik jesteś...

— Niech będzie pochwalony... — odrzekł. Gadałem ci o zającu, nie chciałaś

śłuchać!, a tera nieszczęście... ni prosioka, ni pieniędzy, ni butów, ni capki — i jeszcze Mateuszowe kunie ukradli...

Będę ja tera wiedział, jak to babskiego gadania słuchać... jak to na zająca nie zważać... Kobieta rozśmiała się.

— Ej... nie śmieję się, babo!—krzyknął groźnie—bo mnie mankulia porwie i jeszcze co złego komu zrobię...! Nie zaczepiaj mnie... pókim dobry!

Baba wstała z ławki i rzekła;

— No, nie pomstuj jeno; co się stało to stało, to się nie wróci — a tera chodźno do kumory, pokażę ci przybytek...

Chłop wszedł i, ze zdumieniem, zobaczył swojo buty nowe i czapkę, — i z niemniejszym zdumieniem, dowiedział się, że Mateuszowe konie od wczorajszej nocy są w domu.

— Pamiętajże se tera—mówiła, śmiejąc się, baba — żebyś sam chodził buty kupować, to przynajmniej złodzieje nie będą boso chodzili.

— Ej, Magduś! Magduś! — jagodo... — dobra ty kobieta, ale... zawdy to je kiepsko, jak człowiekowi zająć bez drogę przeleci!...

W POWODZI KWIATÓW.
(SZKIC MAŁOMIASTECZKOWY).

T W.

II

Icek Kapitan, główny faktor, oraz sprawujący interesa okolicznej szlachty w murach miasteczka X nad X., ogłosił szanownej pani burmistrzowej tego grodu wielką nowość:

— Of mejne munes, mówił kłaniając się nisko, jak przystoi przed gospodynią miasta; of mejne munes, co teraz bedzio w naszym mieście wielkie dogodnościów!! Ten stary powiatowy doktor, to jak wielmożne pani prezydentowe wiadomo, wcale już do chorych nie chce chodzie—na co jemu tego? na co? Un ma pieniądze, un ma swoje domy, un cały obywatel jest, to ma się rozumieć, kto jemu każe chodzić po żydowskich chałupach i oglądać ludziom za pozwoleniem... języków. Un wcale to nie chce zrobić, un wielki purecjest, wielki pan, wielkie osobę!

— Tak, rzekła pani burmistrzowa, masz rację, ja już dawno mówiłam do męża, że potrzebny nam tu jest lekarz młody, wolnopracujący, energiczny... wszak zdaje się, że przy tobie mówiłam, mój Berku...

— Mógłbym tu nawet przez cztery sądy przyświadczyć i przysięgnąć, jak to pani prezydentowa ze sto razy gadała; bo, dodał, zniżając głos i oglądając się na wszystkie strony, przez obrazy wielmożnego prezydenta, to ja wiem, że w całe nasze miasto jest całkiem dwa głowy!! całe paradę dwa głowy: pani prezydentowa i ja! jakby nas nie było, to ja nie wiem nawet w coby się to całe nasze miasto obróciło?

Pani burmistrzowa uśmiechnęła się na ten komplement, Icek zaś perorował dalej..

— Pani prezydentowa pomyślała sobie, co tu potrzebny jest doktor, a Icek zaraz tak zrobił, że tu będzie doktor... taki akurat, jak pani prezydentowa w swoje delikatne pomyślenie miała.

— Niepodobna! kiedy? gadajże, stoję jak na szpilkach...

— Un tu pewnie dziś na wieczór przyjedzie, prosto od samego Warszawy.

— Z Warszawy?! nie może być.

— Akuratnie z Warszawy, ja tam u nie

go byłem. Aj waj! co jest tam tych doktorów w Warszawie! w jedne stancye to ich mieszkało razem siedem!

— Więc to młody? prosto z akademii!

— Aj waj! żeby ja taki młody był do samej śmierci, jaki un młody jest i grzeczny—aj waj! jaki un grzeczny — całkiem delikatny człowiek, choć jego do bólu miejsce przykładać; tylko czy un z akademii jest, to ja nie wiem, un coś wspominał, że jest od Kyczywoła, bo tam gdzieś jego ojciec trzyma sobie dzierżawę.

— A przystojny?

— Bardzo przystojny! pociągłowaty jest na gębie, ma włosy czarne jak smoła, i kawałek takich maluśkich wąsików, co się jemu dopiero niedawno zrobiło kiele nos; a na nos, to un sobie niesie dwa szkiełka, bardzo porządne, w mosiężnej oprawie, z czarną nitką. Cały alegant! Jak jego tutejsze panienków będzie obaczyć—aj waj! to un będzie do nich miał szczęście! Żebym ja takie szczęście do handlu miał, jak un do tych panienków szczęście zdybie... I doktor z niego też bardzo dobry. Jak ja tam byłem u niego, to mnie, z przeproszeniem pani prezydentowej, zrobiło się takie paskudne szczypienie kiele serca; to un kazał

mnie się kłaść na sofe i pukał, pukał, stukał, słuchał, cały brzuch to un mi opukał! ostukał i jak mi dał jedno kilka kroplów, to ja byłem zdrow jak byk, jak... jak pięć byków... Odrazu mnie całkiem dobrze było.

— Więc to dziś, dziś przyjeżdża?

— Dziś, dziś, proszę wielmożnej pani, ja jego najmowałem trzy stancyów u Dawida na górze, z meblami. A jakich meblówjajego dawałem... Zielone kanapę, żółtych krzesłów, czerwone szafę i lustrów, takich wielkich jak okno. Un będzie mieszkał u nas jaknajporządniej. To już moja głowa jest w tym interesie...

Pani prezydentowa zamyśliła się. Doktor młody, przystojny, dla matki mającej trzy córki na wydaniu, jest istotą bardzo sympatyczną. Masa więc myśli, planów i projektów przebiegło przez głowę pani prezydentowej.

Uśmiechnęła się do Icka i rzekła:

— No, kochany lconiu, za taką nowinę, wart jesteś kieliszek wybornej miętówki. Masz,—rzekła nalewając,—wypij to za zdrowie młodego doktora i, trzymaj język za zębami, pamiętaj...

— Ziczam wielkie zdrowie wielmożnej pani,—rzekł żyd i, przykrywszy głowę jar

mułką, spełnił ten toast, —a co się tyczy język,—dodał,—to wielmożnej pani wiadomo, co Icek z języka żyje, to i język potrafi trzymać w gębie, jeszcze lepiej jak pieniędzy w kieszeni.

Pomimo jednak, że pani prezydentowa postanowiła sobie milczeć, a Icek trzymać miał język za zębami, stało się, że za godzinę całe miasteczko było już panem sekretu.

Wieczorem, a był to prześliczny wieczór letni, cała męzka i żeńska inteligencja sławetnego grodu X. nad X. wyległa na drogę prowadzącą do najbliższej stacji drogi żelaznej.

Obsadzony wysokimi topolami gościniec wyglądał świątecznie,—uroczyście prawie... poważne pary małżonków kroczyły majestatycznie i powoli, przed nimi zaś defilowały córeczki, wystrojone jak na wielkie święto, w całej pełni powabów i wdzięków. Zdawałoby się, że całe miasteczko naznaczyło sobie rendezvous tu, pod smukłymi topolami.

Pani burmistrzowa, faktyczna rządczyni miasta, przy której cienki małżonek wyglądał jak szpada przy okazałym boku dygnitarza, przygryzała złośliwie wargi, niezadowolona z całego świata, a najbardziej

z tych matek, które ośmieliły się wyprowadzić także swe ukochane córeczki na pokaz... Trzy bunnistrzówny, przystojne, silnie zbudowane blondynki, defilowały po piaszczystym gościńcu z graeą i wdziękiem, oddając ledwie dostrzeżone ukłony miejscowej młodzieży, której konkurencyjne papiery w dniu przyjazdu doktora najfatalniej spadły...

Panie całowały się serdecznie, wyrażając swą radość z powodu miłego, a niespodziewanego spotkania—i przeklinając w duszy jedna drugą, że przysła tu w tej chwili.

Do właściwego celu wycieczki nikt się nie przyznawał, ale oczy wszystkich zwrócone były w jeden punkt i, lada fura żydowska, Jada chłopski wóz zdążający ku miastu, zwracał na siebie powszechną uwagę.

Biegły ku niemu wejrzenia czarnych i modrych oczu — a mamy, przymrużając źrenice, zapytywały się w duchu: On? czy nie on?

Już słońce zaszło; księżyc wypłynął na pogodne niebo — należało wracać. Zawiedzione w nadziejach towarzystwo opuściło placówkę, a w kilka godzin później, cała populacja sławetnego grodu X. nad X. usnęła snem sprawiedliwego.

Dla ścisłości kronikarskiej dodać należy, że tej nocy wszystkim paniąm śnił się przystojny i młody lekarz, o którego zaletach i zdolnościach Icek Kapitan opowiadał cuda pani prezydentowej. Oczekiwany syn Eskulapa przybył późno w nocy. Przy pomocy furmana i stróża nocnego, odszukał Icka i objął w posiadanie ów wspaniały lokal z eleganckimi meblami i „zieloną kanapą.” Zmęczony całodzienną podróżą, nie miał czasu na podziwianie eleganckiego apartamentu, lecz rzucił się na łóżko i usnął snem sprawiedliwego. Niedługo wszakże dano mu używać miłego wywczasu. Za ledwie słońce weszło, już przedpokój był pełen pacjentów. Znajdowali się tu mężowie cierpiący na serce, oraz niewiasty z choremi bardzo i delikatnymi dziećmi na rękach. Miody lekarz, niepraktyczny jeszcze w swoim zawodzie, nieumiejący spać, gdy pacjent potrzebuje pomocy, zabrał się do oglądania chorych, którzy zachwyceni byli jego troskliwością nadzwyczajną i starannością jaką usiłował zbadać chorobę. Odpowiadał na niezliczone pytania żywcem, powtarzał po dziesięć razy informa

cyje co do czasu używania lekarstw i co do diety; ze świętą cierpliwością słuchał opowiadania o zadawnionych cierpieniach cioci Ruchli, która od czasu owdowienia, zupełnie utraciła delikatne swe zdrowie... Pytanie „co się należy?” żenowało niesłuchanie młodego lekarza, wstydził się brać honorarium od narzekających na straszną biedę i drożyznę żydówek, podsuwających po kilka wytartych miedziaków. — Proszę tam kłaść w puszkę... mówił, wskazując jakieś blaszane pudełko od tytoniu. Pacjenci korzystali z dyskrety i, zamiast dwóch złotych, rzucali po groszy, a owdowiała ciocia Ruchla przez omyłkę położyła dziesiątkę, a wzięła z puszek reszty złotówkę. — Można się domyślić, że zbiór nie był nadto obfity, lecz cóż to stanowi? Pierwszy dzień... Niech no się ruszy inteligencja miasta, okolica, wtenczas dochody popłyną, jak fala wzburzonego potoku... Wypadnie kupić kassę ogniotrwałą, żeby owe skarby przed złymi ludźmi ukryć bezpiecznie. . Inteligencja miasteczka nie dała długo czekać na siebie... Co raz, to jaka służąca z bilecikami zapraszającym wpadła, a wszy

głównym było pilno, wszędzie niebezpieczeństwo zagrażało. Osobliwa epidemia nawiedziła tego dnia wielce sławetne miasteczko X. nad X., epidemia dziwnego rodzaju, jakiej od samego Hipokratesa nie notowały jeszcze roczniki medycyny... Pochorowały się naraz wszystkie panny, wszystkie młode wdówki, a nawet i małżonka weterynarza, osoba szczególnie nerwowa i, przez małżonka swego nigdy nie zrozumiana a skutkiem tego, chronicznie cierpiąca. Mąż twierdził, że to „koler,” ale co on się tam znał! Mając ciągle do czynienia z końmi i bydłem, zatracił możność odczuwania pragnień duszy idealnej i rozanielonej... Co było najosobliwszego w tej epidemii gwałtownej, jaka nagle nawiedziła piękną połowę ludności w X. nad X., to to, że cierpienia nie mogły być określone bliżej. Objawiały się one tylko lekkim bólem głowy, suchym kaszlem, brakiem apetytu i pewnym ogólnym rozstrojeniem nerwo

wem..

W domach, gdzie były dwie panny, tterp.a,a tylko jedna i, ta jedna, w białym b nt" ra',egliŻykU' ygląła jak uoso°ne °ie"; ga zaś, dla kontrastu,

w sukience czarnej, z anielską dobrocią w spojrzeniu, czuwała nad siostrą, niby opiekuńczy anioł stróż...

Wszystkie cierpiące panny, od najstarszej burmistrzówny począwszy, doktor od" wiedził...

Trzeba było widzieć, z jaką elegancją, delikatnością i troskliwością zarazem, opukiwał mniej i więcej dorodne pacjentki, — jak te cierpiące osóbkki rumieniły się mocno, gdy upragniony lekarz wysłuchiwał szmeru ich płuc i tonów serduszek, uderzających pośpiesznie...

Pacjentki były zachwycone i, przyrzekły sobie w duszy, przynajmniej raz na tydzień chorować; mamy zaś zapraszały serdecznie, aby doktor był w ich domu, nietylko jako lekarz, lecz jako gość zawsze pożądany i widziany mile. Gdy odbywszy już wszystkie wizyty, wszedł do mieszkania pani weterynarzowej, pan weterynarz właśnie do domu wrócił. Kwas karbolowy zdaleka od niego czuć było; napracował się przez cały dzień wjakiejś zarażonej oborze, wytrząsł na bryczce, więc zmęczony, głodny, wpadł do pokoju, wołając:

— Jeść dawajcie! bo ginę z głodu!

Właśnie w tej chwili młody lekarz badał puls nerwowej pani.

— Co to?—zapytał małżonek. Lekarz przedstawił się.

— Daj pokój, kolego,—rzekł weterynarz,—nie fatyguj się próżno, ja jej organizm znam doskonale... Właśnie chciałem jej zrobić zawłokę na lewym ramieniu, to doskonale humory odciąga...

— Mężu!—krzyknęła z oburzeniem pani domu.

— No, no,—odrzekł,—nie masz czego gwałtować, moja duszko; lepiej każ nam podać tu wódki i przekąski—a jeżeli już koniecznie chcesz się leczyć, to ci kolega zapisze aloesu, albo jalapy, będziesz zdrowa duszyczko jak... tego... jakże się to zowie...

— Niepotrzebuję twoich porównań!! — krzyknęła pani i, trzasnąwszy drzwiami, zniknęła w drugim pokoju...

— Oto masz, kolego, widowisko;—rzekł mąż,—obiad przydymiony codzień, w domu nieporządek, a narowów pełno... Żeń się, żeń,bracie, to użyjesz jak pies w studni; ale ostrzeżenie moje zbyteczne, nie sądzę, żebyś kolega ożenił się, tu u nas przynajmniej.

— A to dłaczego?

— Szkaradny ką, powiadam ci kolego, obrzydliwy, zakazany, jeżeli nie będziesz się targował z pacjentami, jak żyd, to z głodu zginiesz, powiadam ci, że z głodu, jak ruda mysz, braciszku.

Lekarz nie chciał jakoś wierzyć w ten prognostyk.

Tymczasem wszystkie mamy, których córki potrzebowały pomocy lekarskiej, z rozczulającą jednomyślnością przysły do przekonania, że byłoby ubliżeniem w wysokim stopniu, ofiarować tak uprzejmemu lekarzowi honoraria pieniężne za jego wizyty. Czyż taka staranność, troskliwość, taka uprzejmość da się opłacić jakimś marnym banknotem zatłuszczonym, zmiętym w rękach tysiąca najprozaiczniejszych w świecie przekupek i handlarzy?!

Dobre to może w zmateryalizowanej Ameryce, dobre, zresztą, w Warszawie, gdzie jeden drugiego nie zna — ale nie w poetycznym, sentymentalnym X. nad X.! Przenigdy! W tej cichej miłościnie, rozrzuconej nad brzegiem leniwej rzeczulki, istnieją jeszcze cnoty patryarchalne, a uczucie wdzięczności lubi być udrapowane w sentymentalną togę, lubi przybierać na się wdzięczne, estetyczne formy. Zresztą, któż

zaręczy, że ten młody lekarz, który dziś uważa piękną Mańcie, lub Brygisic. za pacjentkę tylko, nie zmieni charakteru i, padłszy na kolana, nie przyjmie tytułu narzeczonego.

Ta ewentualność to także jedna racja

więcej, aby mu nie płacić. Na co? Czyż nie lepiej, że otrzyma honorarium wraz z sowitym procentem w naturze, w niezrównanych wdziękach pacjentki, i że to honorarium zostanie w rodzinie?

Inteligencja cichego X. nad X. umie być wdzięczna, lecz w sposób wykwintny, miły i estetyczny. Ztąd też mieszkanie sympatycznego doktora zarzucone jest bukietami. Pachną tam róże, bzy, jaśminy ułożone rączkami „wdzięcznych,” zjawiają się równianki z modrych niezabudek i bławatków, ale nie dość na tem. W X. nad X. uczucia są pojmowane szeroko, a umiejętność produkowania tak zwanych „robótek kobiecych,” doprowadzona jest do możliwej perfekcji. Jakie też przepyszne kwiaty ma doktor na poduszkach, pantoflach, czapeczce! nawet wykałaczką do zębów ozdobioną jest jakąś mikroskopijną lijką, która zdaje się, że przemówić pragnie, że radaby powiedzieć szczęśliwemu

jej posiadaczowi: „słuchaj, niewdzięczniku, miej ty serce, patrzaj w serce.”

A kto uwil te wszystkie bukiety i równianki z kwiatów żywych? Kto wyszył kwiaty martwe na pantoflach i poduszkach filozelą i kordonkiem? Kto zgromadził w mieszkaniu szczęśliwego doktora tę różnobarwną dziatwę flory, jeżeli nie piękne pacjentki w X. nad X. Nie darmo pani Baj la, poważna kupcowa, utrzymująca w X. nad X. skład szuwaksu, cukru, bawełny i innych towarów galanteryjnych, dowodziła, że jak jej pamięć daleko sięgnąć może, nigdy jeszcze kordonki, pele i włóczki nie miały takiego odbytu.

Taki stan rzeczy trwał przez cały kwartał, doktor gorliwie pełnił swe obowiązki, a im więcej mu kwiatów przybywało w mieszkaniu, tem mniej dziesiątek delikatne żydówki rzucały do puszek od tytoniu. Tymczasem mamy i ciocie rozrywały uprzejmego lekarza, musiał bywać na herbatkach cichych i proszonych, siedzących i tańczących, nazywano go kochanym doktorkiem, doktoreczkiem, przezacnym, zacnym, nieoszacowanym,— panienki wzdychały do niego, amamy obliczały fundusze na wyprawę.
Pewnego pięknego wieczoru, wśród in

teligentnej ludności cichego X. nad X. zaczęły krążyć jakieś głuche wieści. Szeptano sobie na ucho, opowiadano to i owo, lecz nikt baśniom wierzyć nie chciał. Panny szczególnie, jako młode i idealne, a więc do złudzeń skłonne istoty, słuchać nawet nie chciały tego, co miasteczkowa fama głosiła — i zajęły stanowisko wyczekujące; mamy zwiesiły nosy na kwintę, a ojcowie machnęli ręką z rezygnacyi, właściwą mężom, których lada wiatr przeciwny nie łamie. Jedną tylko pani burmistrzowa nie poprzestała na głuchych wieściach; trzeba jej było dowodu. Pomimo spóźnionej pory, posłała policyanta po Icka, z rozkazem, żeby go natychmiast żywego lub umarłego dostawić. Icek Kapitan, wyciągnięty gwałtem prawie z betów, stawił się przed „gospodynią miasta," cichy, pokorny, podobny raczej do zmokłej kury, niż do sprytnego faktora. Delikatnym rozumem Icek przeczuwał burzę.
— Gdzie doktor? krzyknęła pani burmistrzowa.
— Przepraszam, wielmożne pani pre lli

zydentowe, że un tu był, to ja wiem; że mu tu już nie ma, to też wiem; a gdzie on teraz jest, to ja wcale nie wiem....
— Wiec wyjechał! wyjechał niegodziwiec, niewdzięcznik! wyjechał...
— Nu, a co un miał zrobić?
— Jakto co? to mi zabawne pytanie! siedzieć z nami, czy mu tu źle było... kwiatami był obsypany!... jak męża kocham, kwiatami!
— Właśnie, un bez te kwiatów ocieknał.
— Dlaczego?
— Jak pani prezydentowe chce? Nasze żydki choć po parę groszy jemu dawali; kiepsko dawali, ale zawdy to było pieniędzy, a państwo to jemu dawali kwiatów; czy, z przeproszeniem wielmożne panie, un krowa był, żeby miał ziele jeść? Un wahał tych kwiatów, a jak się dowąchał, co tam więcej nic niema, to ucieknął napowrót do Warszawy. Wyrecytowawszy tę tyradę, kek skłonił się i wyszedł, pani prezydentowa zaś zamyśliła się smutnie, a później długo, długo rozmawiała z córkami.
Nazajutrz, we wszystkich ogródkach w X. nad X. powyrywano kwiaty i powy

rzucano je za płoty, zaś do dziś dnia jeszcze pani Bajła płacze, że na paciorki i włóczki niema żadnego popytu. Młody lekarz osiedlił się w sąsiedniej gubernii, nauczył się upominać o swą należność i, kwiatów nie przyjmuje zupełnie. Ożenił się z panną, dość brzydką i jeszcze więcej złośliwą, wziął za nią ładny posag i dziś Uczy się do najzamożniej szych ludzi w okolicy. Dobrze jada, dobrze sypia, do chorych po nocach nie biega, waży funtów, a jak gra w preferansa i wista, niech poświadczą ci, co pół życia przy zielonym stoliku spędzili.

MIÓD KASZTELAŃSKI,
(OBEAZEK.)

Jaśnie Wielmożny Pan Abraham Jojne Kuropatwa, najlegalniejszym sposobem, po spaleniu ostatniej świeczki na licytacji i, po załatwieniu formalności prawnych, został właścicielem dóbr „Wydma Żółta,” ze wszystkimi przyległościami. Komornik wprowadził go w posiadanie majątku; stary ekonom w milczeniu przyniósł klucze, złożył je uroczyście na stole, a sam zabrawszy manatki, poszedł do miasteczka, szukać służby gdzieindziej. Dodajemy tu nawiasem, że Jaśnie Wielmożny Abraham Jojnenie odrazu został posesyonatem i, co prawda, nigdy tego nie miał w swoich planach. Urodzony i wychowany w mieście, zaczął karierę od bardzo drobnych geszefcików, a kiedy już zebrał kapitalik, wszedł z nim do spółki handlujących zbożem, gdzie posiadał jedną siedmnastą część udziału. Interesa spółki rozwijały się świetnie,—

przystąpiono następnie do handlowania lasami, poczem Abraham Jojne wycofał swój kapitał i, pojmując jak ważne ma znaczenie dla kraju rolnictwo, postanowił kredytem wspomagać tę potężną dźwignię narodowego bogactwa. Dzięki tej okoliczności, w niedługim czasie widzimy go posiadaczem różnych wierzytelności, sum hipotecznych, a nareszcie, przy uroczystym obrzędzie licytacji, pasowano go na rycerza ziemiaństwo.

Przybywszy do „Wydmy,” Abraham Jojne objął w posiadanie dwór obszerny, w którego licznych komnatach ciasno jednak było jego rozmnożonej rodzinie. I nie dziw. Sprowadziły tu się bowiem dorosłe córki z mężami, synowie z żonami i wielka moc wnuków. Stryjaszek Pinkus z liczną rodziną, w charakterze współnika i dzierżawcy, objął w posiadanie ogród owocowy; zaś ciocia Ruchla, wdowa po doświadczonym w fachu szynkarzu, podjęła się delikatnej misji sprzedaży trunków i jednania chłopów do roboty. Trzy siostry dziedzica i brat cioteczny, z linii Orleańskiej (brat się nazywał Mejer Lejb Orlean) założyli w czworaku wielki sklep korzennogalanteryjny, w którym było pół głowy cukru, pud soli, kopa śledzi i cztery funty świec łojo

wych, nie licząc papierosów własnego wyrobu i zapalek siarczanych. Należy jednak przyznać, że pan Abraham Jojne, objawszy w posiadanie ziemię, znalazł się jak prawdziwy ziemiani i pomyślał przedewszystkiem o duchownych potrzebach mieszkańców. W tym celu, urządził natychmiast dom modlitwy i szkółkę, wiejską, do której sprowadził nauczyciela, jednego z najlepszych melamedów, ze słynnego miasta Łysoyki nad Wieprzem. Mistrz był wysoki, jak wiór wyschły, ale w sztuce swej biegły; a kiedy w sadzawce pobliskiej żaby rechotać poczęły, w altance zaś, obecnie letnim chederku, dzieci oddały się nauce, to siedzący na stodole bocian niemógł się zorientować, gdzie właściwie jest jego królestwo.

Co do włościan, zgodna rodzina podzieliła się nimi. Dziedzic wybrał sobie pięciu najlepszych gospodarzy, nad którymi rozciągnął opiekę — inni dostali po dwóch, po jednym — jak tam komu z wieku i urzędu przypadło.

Później, przeprowadzoną została gruntowna reforma agronomiczna, a mianowicie: odprawiono wszystkich parobków, fernali i dziewczki — gdyż według obliczenia znakomitego finansisty, ludzie ci jedli tak dużo,

że żaden na świecie majątek nie mógł tego ciężaru wytrzymać. W dalszym ciągu, dla oszczędzenia owsa, siana i słomy, sprzedano co lepsze konie i woły; sprzedano też zaprzęgi, żelazne brony, wozy i pługi—jako przedstawiające martwy, a zatem zupełnie nie produkcyjny kapitał. Jaśnie wielmożny dziedzic pozostawił tylko sobie czwórkę koni do wyjazdu, szykowną wprawdzie, ale niezupełnie dobraną, gdyż cała czwórka posiadała jedno tylko zdrowe oko —no! ale za to było w niej szesnaście nóg... kulawych. Czwórką tą powoził daleki krewny dziedzica, Fiszel, chłopak tak dalece sprawny i zręczny do koni, że raz o mało za to do kryminału go nie wsadzono.

Urządziwszy tedy administrację „Wydmy” i zaprowadziwszy nieuniknione reformy w gospodarstwie, pan Abraham Jojne Kuropatwa postanowił zawiązać stosunki sąsiedzkie i poskładać obywatelom okolicznym wizyty. Pewnego więc dnia, Fiszel, przy pomocy czerwonowłosej Łai, wyczyścił dziedzicowi buty, oskrobawszy je jako tako z błota,

wytrzepał paradną racinomorową szatę, oraz bardzo piękną pluszową czapkę i zaprzągnął wszystkie cztery rumaki do bryczki.

Z wielkim trzaskiem i gwałtem zajechał pan Kuropatwa przed ganek sąsiedzkiego dworku, lecz nie śmiał zsiąść, gdyż psy przywitały go bardzo złośliwym ujadaniem. Nareszcie, szlachcic usłyszawszy hałas, przybiegł ze stodoły i pana sąsiada do pokoju poprosił.

— Niech mnie krowa zdechnie, — mówił gość — jeśli ja mam do pana jaki interes, tylko ponieważ tak blisko mieszkam, więc chciałem, po sąsiedzku, zrobić panu moje uszanowanie.

— Dziękuję, bardzo dziękuję panu — odrzekł szlachcic — bardzo rai jest przyjemnie, ale pan z drogi, wartoby się czemś posilić.

— Ny, czem pan mnie może posilić? wiadomo panu, że u nas, w starym, zakonie sa różne takie zabobony, co jednak trzeba ich zachować, bo jakby tego nie było, toby i żydów nie było—a powiedz pan dobrodziej, coby to za nieszczęście było, żeby żydów nie było!?

— No, może to i prawda, jak pan sobie jednak chcesz, ale kiedyś do mnie przyjechał w odwiedziny, to przecież głodny odjechać nie mozesz... Wódeczki pan pozwoli?

— No, to można...

— A co się tyczy przekąski, zdaje mi się, że mój pachciarz ryby łapał dzisiaj, pošlę zaraz do niego, żeby kazał swej żonie przyrządzić szczupaka, mozesz pan jeść bez obawy, ona tam już po waszemu wszystko zrobi.

Chociaż pan Abraham oponował, że głodny nie jest i że sobie kochany sąsiad robi niepotrzebny koszt, jednak po chwili dano już znać, że pachciarz przyszedł, a że jak na szczęście szczupak był gotów, więc też niebawem stanął na stole talerz peleu tego przysmaku, dymiącego zapachem włoszczyzny i pieprzu.

— Przygotuj no grunt dobry, panie sąsiedzie—mówił szlachcic—i spróbuj jeszcze kieliszeczek tej chlebówki; prawda, że warta buzi...

— Dalibóg, ona warta przynajmniej dziesięć rubli garniec — rzekł pan Kuropatwa, wychylając porządny kielich doskonałej starki.

— A teraz, czekaj no jegomość „post jdsces yinum mwces,” ale że ja nic mam koszernego wina, więc każę dać miodu, a trzeba ci, panie Abramie, wiedzieć, że mam miód jeszcze po ojcu. Jak wasz rabin w Kocku

był chory, to mu posłał tego miodu, no, i co powiesz? od razu wyzdrowiał!

Pan Abraham nabierał coraz więcej serca do szlachcica, który miał tak obszerne relacje. Niebawem znalazła się na stole pękata butelka i lampki, w których stary miód rumienił się barwą rubinów. Gość smakował, wąsy czerwoną chustką obcierał, na twarz wystąpiły mu silne rumieńce.

— Sy git, — zawołał — ja pana co powiem: nie ma lepszy trunek na świecie, niech ja nie znam nasze wódki pejsaczne, nasze wino z rodzyneków, niech ja nie widzę butelkę bawarskie piwo, żeby miał takiego miodu! To jest git interes, ja teraz rozumiem, dla czego nasze szlachtę są takie zdrowe jak biki — to bez to, co oni takiego miodu mają, a teraz, powiedz mi pan dobrodziej, czy to prawda, że jest taka mucha, co tego miód robi?

— A jakże, jest pszczoła...

— Tak, tak, ja wiem, nawet u nas w piśmie stoi, co jak żydy było wielka szlachta i zrobili wojnę z filistyjany i z insze grubijarskie ludzie, to nasz król powiedział, co żeby nikt nie jadł póki słońce nie zajdzie. Tymczasem zdybał się jeden taki pułkownik żydowski, nawet bardzo godna

osoba i jadł, to jemu król kazał zabić. A wiesz pan dobrodziej co un jadł?.., un właśnie miodu jadł!...

— Widzisz pan, jaka to już stara rzecz,

— Ny, lo un jadł, ale żeby un miał takiego miodu w butelce, to un byłby wszystkie filistyjany zabił — ale powiedz mi pan dobrodziej, zkad można złapać tego pszczole i kazać jej zrobić miodu?

— Zaraz to panu wytłumaczę. Pszczoły zazwyczaj obierają sobie siedlisko w lasach i mieszczą się w dziuplach drzew, w wypróchniałych sosnach najczęściej; ale ludzie, widząc jakie to są pożyteczne owady, potrafiłi je sobie przyswoić i osadzić w tak zwanych ulach, to jest kłodach, wydłubanych ręką ludzką. Tak przyswojone pszczoły pracują na pożytek człowieka, a zbiór uli nazywamy pasieką. Jako gospodarz, powinienes pan o tem wiedzieć. Oto patrz pan przez okno. Widzisz te domeczki czerwone na słupach i te kloce grube, leżące na ziemi?...

— Ny, ja widzę.

— To jest pasieka, tu właśnie pszczoły miód robią.

— Kochany panie sąsiedzie, gdzie to

można kupić taki... jak się nazywa... taki sikawka?

— Pasieka, nazywa się pasieka.

— Niech mu będzie pasieka! a gdzie to się kupuje?

— Zwykle nabywa się jeden lub dwa ule i potem rozmnaża się corocznie; ale, jesl tu jeden gospodarz co ma do sprzedania pasiczkę — to go przysię do pana.

— Bardzo proszę, niech pan jemu to każe.

— A teraz, szanowny sąsiedzie, za pomyślność pańskiej pasieki!

Nalano znowu lampki. Abraham Jojne Kuropatwa uczuł, że mu w żyłach krew raźniej krąży — zrobił się niezwykle sentymentalny i czuły.

— Wielmożny panie—mówił, puszczając wodze sercu — dużo jest na świecie różne ludzkie, ale takie ludzkie jak nasza polska szlachta — to jest sy git, tein gatunek osobę! Nasze żydki to im zawsze bardzo kochali, aj wa! jak oni im kochali! Żebym ja miał w całym majątku dwa procent, od jeden procent, od pół procent, z tych pieińdzów, co uni szlachcie pożyczili — to ja bym się zapytał, wiele kosztuje pół całego świata!

— To masz pan słuszność — rzekł z westchnieniem szlachcic.

— Prawda panie co uni brali za to procentu, ale też jak uni ich kochali! Uni zawsze prosili Pana Boga, żeby było jak najwięcej żydów, dla tego, coby szlachcie miał kto pieniędzy pożyczyć. Pan Bóg się nas posłuchał—to też czy dziś szlachcic potrzebuje sobie o co zakłopotać?... Czy ma jakie bolenie głowy z pachtem, z propinacym, z młynem, smolarnią, gorzelnią, wełną, lasem, zbożem, olejem?... Un nie potrzebuje palcem kiwnąć, nasze żydki wszystko za niego zrobią. A bez co uni tak zrobią?.., bez to, co jego kochają!

Szlachcic uśmiechał się, milcząc.

— Aj! pan nie wierzy, co my was kochamy!— to ja panu co powiem.— Wiele pan potrzebuje na żniwo?... ja panu pożyczę!

— Dziękuję sąsiadowi uprzejmie, mam teraz dosyć gotówki,' ale a propos żniwa, ja muszę na momencik wpaść w pole, a ponieważ uważam, że pan jesteś cokolwiek znużony, więc zaproponuję panu coś... Jest tu w ogrodzie bardzo cieniasta altanka, może pan w niej z godzinkę spocznie, a ja tymczasem z pola powrócę.

— Sy git! wiwajt nasza kochana szlachta! u siebie w domu, to człowieka da jeść i pić i jeszcze jemu wyspać się każe. Panie dobrodzieju, pan mnie przyjmowałeś z wielkiem delikatnościami, zrobił mi pan prawdziwy szabas—ja też nie jestem taki i zapraszam pana do siebie, na herbatę, obaczy pan, jaką mam łajn herbatę!

Szlachcic, któremu pilno było w pole, zaprowadził gościa do altanki, gdzie zaniósł także lampkę, resztę miodu w butelce i cygaro.

Abraham Jojne pozostawszy sam, rozkoszował się zapachem kwiatów, 'ciągnął resztę miodu i palił dobre cygaro. Potem głowa zaczęła mu opadać na piersi, powieki ciężły i czuł, że mu się robi dobrze, ciepło i błogo.".. Niebawem też przewrócił się na ławkę szeroką i zasnął.

We śnie przedstawiały mu się najpiękniejsze obrazy. Zdawało mu się, że jest miody i piękny jak Absalon, a silny jak Samson, że w mądrości i bogactwach przeszedł Salomona króla, a w interesach Rotszylda, że kupił sobie pasiekę, pasiekę ogromną, jak kraj cały... Każdy ul był tak duży, jak dwór wiejski, a pszczoły brzęczały rozgłośnie. Zaczął się przyglądać tym tom" V.

pracowitym owadom i, ze zdumieniem dojrzał, że każda pszczoła ma wąsy, twarz opaloną, że brzęczy głośno i buńczucznie, ale miód robi zawzięcie. To jego pasieka, jego pszczoły, a on sam, dziedzic tego wszystkiego, jaśnie wielmożny Abraham Jojne Kuropatwa, przelewa doskonały miód w beczki i obdziela nim swe potomstwo i potomstwo swych dzieci, a pszczoły brzęczą od świtu aż do zmroku późnego... Śliczny sen, szkoda tylko, że złośliwe muchy przerwały go zbyt prędko. Abraham oczy przetarł, przeciągnął się. Rzeźkim się począł. Wychylił głowę z altanki, puścił wzrok po zielonych klombach, po widniejących w dali zagonach warzywa, nareszcie spojrzął na domki pszczołe, które z daleka wyglądały jakby jakie czyściutkie, miniaturowe miasteczko. Na ten widok miód mu się przypomniał, ten dobry, słodki miód, który niegdyś kockiego rabina z ciężkiej niemocy podźwignął.

— A gdyby też jeszcze obaczyc i spróbować?

Śmiało zbliżył się do pierwszego uia i zaczął koło otworu majstrować. Wtem brzęk się zrobił. Pszczoły wartownice, stojące na straży wylotu, rzuciły się na nie

proszonemu gościowi i kilka żądał utkwili w nosie i obliczu ciekawego agronoma.

— Gwałt! gwałt! — zaczął wrze* szczyć pan Abraham, uciekając z całej mocy.

Stangret Fiszel, który w tymże czasie, nie mając innego zajęcia, zabawiał się kradzieżą gruszek w ogrodzie, przybiegł na ratunek, ale pokąsany również, dopomagał tylko swemu panu krzycząc i lamentować.

Usłyszał krzyki powracający z pola szlachcic i pośpieszył gościowi swemu z pomocą. Wyjęto żądła, zastosowano jakiś środek domowy i, w pół godziny później, spuchnięty Fiszel zajechał po swego bardziej jeszcze spuchniętego pana.

Szlachcic galant, wyprowadził gościa swego naganek, poczęstował na drogę cygarem i, gdy ten już siedział na bryce, zapytał:

— Kiedyż więc pan życzy sobie pomówić z tym gospodarzem, co ma pasiekę ua zbycie?

Jaśnie Wielmożny Abraham Jojne Kuropatwa skrzywił się, i rzekł z wymuszonym uśmiechem:

— Ja panu co powiem. To nie jest dobry interes, ja woię kupić sam miód, przez te paskudne muchy!

(SZKIC Z NATURY).

Wśród piasków podlaskich i bagien, w zapadłej, lesistej okolicy, znajdowała się mała i nędzna miejscina... Może było w niej sto domów, a może i nie—któż tam spamięta? tembardziej, że co lat kilkanaście, ni ztąd ni zowąd wybuchał pożar i całą miejscinę w kupę węgla i gruzów zamieniał, tak, że tylko okopcone kominy świadczyły o tem, że niegdyś w tem miejscu ludzkie siedziby istniały.

Zwykle po pożarze żydkowie podnosili wielki płacz i lament, darli na sobie szaty, rwali włosy z głów i bród, płakali jak ongi po zburzeniu świątyni—zbierali po okolicy wsparcia i składki... ale po kilku miesiącach łyż pogorzalców obsychały, jęki cichnęły— a natomiast rozlegał się zgrzyt pił i stuk toporów, i, jak grzyb po deszczu, wyrastała miejscina, nibyto nowa, a taka sama nędzna i może jeszcze brudniejsza niż przedtem.

Ladajako sklecone chałupki stały w czterech rzędach dokoła rynku. W otwartych drzwiach kramików kupcy stali, zapraszając, bardzo rzadkich zresztą, klientów... bachory tarzały się w piasku, a melancholicznie zadumane kozy rozmyślały nad tem, czemu się pożywić.

Zdaje się, że ten sam temat zajmował nieustannie i całą, przeważnie żydowską, ludność miejsciny.

Sześć razy do roku bywały tu jarmarki, których całe miasteczko oczekiwało z upragnieniem.

Sześć razy do roku otwierał się tu pożądany zbyt na liche czapki, chłopskie buty, łatane kozuchy i tym podobną nie wykwinną garderobę. Przed każdym jarmarkiem wrzało życie i ruch. Żydówki nagwałt piekły obwarzanki, pierniki, makagigi i tym podobne przysmaki, żydzi zaś sprowadzali liche towary i fabrykowali piwo, wódkę i wszelkie inne trunki, żeby były smaczne i parzyły chłopskie gęby jak się należy—jak ogień...

.Jak się to tam robiło, rzecz nie moja, dość, że w wigilię jarmarku wszystko było gotowe. Radość jaśniała na każdym obliczu, a nawet przeraźliwe kwiki nieczystych

stworzeń, na targowicę pędzonych, zdawały się napełniać rozkoszą serca tej wygłodniałej, wiecznie grosza spragnionej rzeszy kupczącej...

Gdy już zmrok zapadał, fury się rozjechały i ostatniego pijaka wywleczono z szynku, miłośnica zapadała znowuż w sen letargiczny, jak przedtem.

Kramarze drzymali w swych kletkach, żydówki, rozsiadłszy się na progach swych domostw, robiły pończochy... a uczeni ludzie kiwali się nad księgami od rana do nocy... Chyba, że ktoś obcy przejeżdżał przez mięscinę—wtenczas budzono się z apaty i, cała populacja, zbierając się gromadnie, szła oglądać bryczkę lub powóz, dopytywać podróżnego, albo stangreta: kto? dokąd? na co? i jaki ma interes?

Kury i kozy przychodziły zbierać resztki obroku, a jeden i drugi uczony, porzuciwszy księgi, chętnie zamieniał się w faktora, żeby kilka groszy zarobić.

Na samym środku rynku stał budynek stary, czerwony, odrapany, imponujący rozmiarami swemi drobnym drewnianym chałupkom. Była to duża austerya ze sklepikiem, izbą szynkwasową, brudnym „numerem” dla jaśnie wielmożnych podróżnych i,

wielką stajnią, w której, co najmniej pluton kawaleryi mógłby się rozlokować swobodnie.

Ta austerya przetrwała wszystkie pożary i unikała zagłady w ogniowym morzu płomieni, — unikała, chociaż dokoła rynku ze wszystkich stron buchał ogień, chociaż waliły się z trzaskiem dachy domostw, sypiąc miliony iskier, — chociaż wiatr rozrzucał płonące głownie.

Głupi ludzie mówili, że austeryi dlatego ogień się nie ima, iż stoi ona na osobności, jest murowana i pokryta holenderską dachówką, ale kto miał chociaż trochę nauki, kto poczuł smak, jaki się w mądrych księgach znajduje, ten wiedział, że przyczyna leży w czem innem. Austerya nie spaliła się, bo się spalić nie mogła... i żeby ją kto zapalkami od fundamentu do komina obłożył, smołą oblał i pierzami obsypał, to przecież ogień by jej nie tknął; bo było już takie założenie, oddawna było wymówione takie słowo, którego moc silniejsza jest nad siarkę, nad smołę i nad wszystkie potęgi czarnych dyabłów. Na co lepszego dowodu nad to, (o czem jeszcze dziś starzy żydkowie opowiadają, a co nawet dla wiecznej rzeczy pamięci zapisane, stoi w księgach

kahałnych), że kiedy, pięćdziesiąt lat temu, a może i więcej, byt na świecie wielki harmider, gwałt i zamieszanie, kiedy połowa ludności z miasta uciekła, a druga połowa skryła się w piwnicach, kiedy huczało jak podczas burzy i kule ogniste latały, wówczas całe miasteczko poszło z dymem, a austerya została i, co więcej, ci, którzy strzelali, weszli do niej, aby się napić wódki. Historia twierdzi, że nie zapłacili za wódkę, bo mogli nie zapłacić, ale też nie zniszczyli austeryi, bo jej zniszczyć nie mogli, dla tego, że już takie założenie jest, żeby ona stała niewzruszona na wieki...

Komu chce się śmiać, niech się śmieje, ale w miasteczku nawet lada bachur wie o tem, że przed laty stoma, a może nawet

i dawniej, przejazdem zatrzyma! się w tej karczmie mąż wielki, nabożny, sprawiedliwy, uczony, który miał wielką moc od Pana Boga, słowem—rabin; ale nie taki rabin, jak zwyczajny rabin, tylko wielki, bardzo wielki rabin, na cały świat

znany; taki, do którego zjeżdżali się żydzi z różnych miast, opiętnaście, dwadzieścia, może nawet o dwadzieścia pięć mil drogi! Na wielkie szczęście dla miasta, z powodu popsucia się furi i zmęczenia koni, tu owego rabina szabas

zaskoczył... Tu więc był w łaźni, tu się modlił, awausteryi całą dobę przemieszkał. Jadł szczupaka z szafranem, kugel, cymes z marchwi i pił doskonałe wino koszerne, takie, jakie w całym miasteczku było najlepsze. Jak go zaś przyjmowano, dość powiedzieć, że przez wdzięczność takie wielkie słowo wymówił, żeby ogień zawsze austeryę omijał...

Żałowali ludzie, że tego świętego słowa nie rozciągnął na całe miasto, ale przekonali się później, że mądry rabi wiedział dobrze co robił. Pożar albowiem, jest to taki interes, na którym w gruncie rzeczy wiele się nie traci — a odbudowanie miasta — to znów taki interes, na którym można coś zarobić w ciężkich czasach. Człowiek prosty i głupi narzeka nieraz na to co jest, bo człowiek prosty jest ślepy i nie może wiedzieć, co będzie, —uczony zaś, wielki i sprawiedliwy człowiek wie co było, co jest i co będzie i, dlatego, każde jego słowo jest mądre.

Wielkie pieniądze dawali żydzi z innych miast, żeby austeryę kupić, bo taki dom mieć — znaczy to samo, co wielkie szczęście mieć — ale ani ówczesny właściciel, ani jego późniejsi sukcesorowie, nawet słuchać o takiej propozycji nie chcieli.

Spluwali z oburzeniem, gdy ktoś o czemś podobnym wspomniał i—mieli za głupiego i bezbożnego człowieka każdego takiego amatora...

Bo i rzeczywiście, jak można pomyśleć, żeby kto za marny grosz chciał się pozbyć takiej szacownej, takiej drogiej pamiątki i wielkiego honoru, jaki z jej posiadania wynika...

Tak więc austerya, od owego pamiętnego w dziejach miasteczka szabasu, aż po dzień dzisiejszy, jest w posiadaniu jednej i tej samej rodziny.

Obecnym jej właścicielem jest (bo żyje jeszcze dotychczas we czci i w spokoju) stary Froim.

Poznaliśmy go wypadkowo, przejeżdżając... Koniska spracowały się, dźwigając ciężką bryczkę po żółtych piaskach podlaskich, należał im się więc słusznie wypoczynek...

Wjechaliśmy w obszerno wrota austeryi. Towarzystwo składało się z kilku młodych ludzi, skłonnych do wesołości i żartów.

— Hej! hej! — zawołał jeden — mości panie oberżysto, pokażno się pan tutaj!

Oberżysta nie wyskoczył na to wezwanie, ale wybiegła natomiast dziewczyna,

o czarnych rozczochranych włosach pełnych pierzy, i oznajmiła, że tu zawsze dostanie wszystkiego, tak jak w Warszawie, a nawet jeszcze więcej niż w Warszawie; tylko... stał się taki wypadek, że przed tygodniem właśnie był jarmark i chłopci zjedli wszystko co się tylko znajdowało, tak, że w tej chwili niema już nic. Co prawda, nie bardzo nas to oświadczenie zmartwiło, jechaliśmy albowiem z wakacyj ze wsi, a gościnną gospodyni nakładła nam w bryczkę tyle prowizyi, że moglibyśmy o niej Bóg wie jak daleko zajechać. Kazaliśmy dać koniom owsa, Maćkowi rozczochrana Żydóweczka wyniosła kielich gorzałki, a my, wzięwszy z sobą koszyk z pożywieniem, rozsiadliśmy się w izbie gościnnej.

W sąsiednim pokoju siedział żyd stary z długą brodą, białą jak śnieg, w aksamitnej czapce na głowie i, nie zważając wcale na nasze przybycie, czytał coś z wielkiej księgi, rozłożonej przed nim na stole.

— Panie Abrahamie! panie gospodarzu! — zawołał któryś z kolegów — ehoďte pan do nas, powiedzno nam co masz? co tu można doBtać?

Żyd podniósł się, wyprostował i, gładząc brodę, wszedł do izby.

— Niejestem Abraham — rzekł z ukłonem — moje imię jest Froim; widzę, że panowie nie tutejsi, skoro nie znają starego Froima.

— Froim, Froim — powtarzał jeden z'kolegów, to imię często wspominał mój dziadek nieboszczyk, który przed laty mieszkał w tych stronach.

— A przepraszam, jak godność pańskiego dziadka?...

— Nosił to samo nazwisko co ja — odrzekł zapytany — Brzozowski... miał niegdyś w tych stronach majątek Czarnybród.

W oczach żyda zajaśniał blask szczególny.

— Pan Brzozowski — zawołał — pan Brzozowski, wnuk pana Walentego... wnuczek rodzony! Pozwól pan, niech się panu przypatrzę!... Tak, tak, pan podobny jesteś do dziadka... tylko tamten nie lubił się śmiać, tak jak pan...

Kolega mój zawstydził się trochę.

— No, nic nie szkodzi, nie szkodzi; — rzekł Froim — młodzi panicze lubią czasem śmiać się ze starego żyda, bo na to są mło

dzi panicze... a na to jest stary żyd, żeby się z niego śmieli.

— Ale, pozwól pan...

— Nieboszczyk dziadek pański rozumiał to inaczej, i ja rozumiałem inaczej... ale, co prawda, i na świecie także było inaczej; dziś jest niedobrze, bardzo niedobrze... ale może to lepiej, Pan Bóg wie, co robi...

— Jakto, co pan mówisz? więc to lepiej, że jest teraz niedobrze na świecie?

— Ja panom wytłumaczę: Ze mnie śmieją się, że czytam książki, a czytam czasem cały dzień i całą noc... Panowie, jak przejeżdżają, to mówią że Froim myśli przez całe życie o małej bagatelce, o głupstwie... wiecie panowie o czym?

Panowie powiadają, że jak się wbije gwóźdź w ścianę i potem jak się go wyjmie, to w ścianie jest dziurka... więc niby Froim całe życie myśli, gdzie się podziało drzewo z tego miejsca, w którym zrobiła się dziurka?

Rozśmieliśmy się.

— Ale to nieprawda jest. Froim myśli co innego; on myśli o tem, co w piśmie stoi, że na świecie będzie ciągle gorzej, coraz gorzej..., ludziom zaczną się robić przewrócenie w głowie, serce u nich będzie

. twardsze niż kamień i Pan Bóg da ludziom

karę... a potem po karze, to oni poprawia się i znowu będzie na świecie dobrze. Wilk będzie jadał trawę razem z kożą i krzywdy jej nie zrobi. Ja miarkuję, że niedługo Pan Bóg da już karę, bo na świecie jest gorzej, coraz gorzej i będzie jeszcze gorzej. Krzywda, fałsz, oszukaństwo nastanie gorsze jeszcze niż teraz; jak jeden zobaczy u drugiego chleb, to mu zechce wydrzeć... jak jeden będzie mocniejszy, to zabierze drugiemu majątek, szczęście... życie mu zabierze... a dlaczego zabierze? czy dla tego, że jemu się należy? czy dla tego, że jakie prawo ma? Nie, tylko przez to, że jest mocniejszy. Nastanie taki czas, jaki jeszcze nie był, i taki ścisk na ludzi, jaki jeszcze nie był, i takie płkanie nieszczęśliwych, jakie jeszcze nie było, i taka bieda, i taka krzywda i taka niesprawiedliwość, jaka jeszcze nie była. To się już zaczyna... to już zaczyna się... Ja, stary, nie doczekam obaczyć co dalej będzie; ale panowie jesteście młodzi, przed wami długie życie, przekonacie się, że wszystko obróci się na gorsze...

rl fu! do licha, panie Froim — zawołał Brzozowski — czy po to przyjechaliśmy tutaj, żebyś nas pan takimi obrazami przerażał... Ot, lepiej bądź pan uprzejmym go

spodarzem i przynieś nam wina, jeżeli notabene masz jakie wino w swojej piwnicy. Froim uśmiechnął się gorzko.

— Dlaczego ja nie mam mieć wina? — zapytał.

— Pewnie lura, jakiej świat jeszcze nie widział?

— Co panu szkodzi skosztować trochę tej lury? jak się nie będzie podobać, nie przymuszę... próba frei.

Zawołał na służącą, która też niebawem przyniosła wino i kieliszki.

Po otwarciu butelki prześliczny aromat napełnił całą stancję; aczkolwiek nie doskonalni znawcy, spostrzeżliśmy, że mamy przed sobą nielada okaz archeologii piwnicznej.

— To stare jakieś wino — rzekł Brzozowski.

— Niebardzo ono stare—odpowiedział Froim. — Mój ojciec sprowadził je wtenczas, kiedy w naszym miasteczku stojeli francuzi. Było ich tu dosyć tych francuzów, pamiętam doskonale... to już więcej niż kilka lat—dodał z uśmiechem. — Panie Brzozowski, pij pan zdrow... Dziadek pański bardzo to wino lubił. Pij na zdrowie, nie policzę panu drożej jak dziadkowi,

a dziadkowi liczyłem je tak, jak mój ojciec francuzom... jeden dukat butelka... nie więcej...

Wstał, obejrzał, czy niema kogo w sąsiedniej stancyi i, przymknąwszy drzwi, usiadł przy nas i mówił ciszej:

— Jak ja kontent jestem, że pana widzę, panie Brzozowski; jak ja kontent, że zobaczył pana!... Zaraz mi się przypomniał dziadek pański, pan Brzozowski z Czarnego brodu, mój najlepszy przyjaciel... Tonie wstyd dla pańskiego dziadka, że on był mój przyjaciel, że miał przyjacielstwo z żydem, bo Pan Bóg stworzył wszystkich ludzi z ziemi i nawet pierwszego człowieka kazał nazywać „syn ziemi,” i od Pana Boga pochodzi każdy zakon i każda religia, i od Pana Boga jest przykazanie, żeby człowiek żył uczciwie w takim zakonie, jaki jemu Pan Bóg dał... Od jednego Pana Boga mamy życie i śmierć, szczęście i nieszczęście, bogactwo i głód... wszystko od jednego Boga mamy, bo niema dwóch Bogów, ani dużo Bogów, tylko jest jeden Bóg dla wszystkich zakonów i dla wszystkich ludzi... Pański dziadek to samo powiadał i nigdy nif pogardził żydem... On pogardził tylko oszustem, szachrajcm, złodziejem, rozbójnikiem,

ale kiedy miał za co pogardzić, to nie pytał czy on żyd, czy on nie żyd, tylko gardził tym człowiekiem, łajdakiem gardził... Pański dziadek miał wielki rozum i wielkie serce... On nawet śmierci to tak patrzył w oczy spokojnie, jak ja na tę butelkę patrzę.

— Zkąd pan to możesz wiedzieć?—zapytałem.

— Widziałem to — odpo. wiedział spokojnie — mojerai oczami widziałem. No, ale pijcie no, panowie, bo takie wino warto pić, już jego niewiele jest na świecie... My z nieboszczykiem panem Brzozowskim mieliśmy taką starą znajomość, jak to wino jest stare. Byliśmy z nim razem i na wozie i pod wozem... On mnie raz obronił w wielkim nieszczęściu, i że jeszcze żyję na świecie, i że chwałę Pana Boga, to jemu tylko mam podziękować. To już dawno było, panowie, dawno, ale ja pamiętam. Już, już miałem ginąć, za co? to ja sam nie wiem, ale śmierć miałem przed oczami... przybiegł pański dziadek, obronił mnie... ja zemdlałem... Nie dziwota, ja nie byłem wojak... nie żydowski to interes i nie żydowska natura... mój ojciec, mój dziadek nie był wojak... ale pański dziadek, panie Brzozowski, pański dziadek to odważny czło

wiek był... Długo czekałem na to, żeby mu się odwdzińczyć i—doczekałem się... przyszedł znów taki czas, że dziadkowi pańskiemu groziło nieszczęście... Pan Bóg, który czasem daje moc słabemu, pozwolił mi go także uratować. Ja się wtenczas, co prawda, bardzo bałem, ja strasznie się lękałem, ale ja to zrobiłem...

— Panie Froim — rzekł Brzozowski— więc to pan jesteś tym żydem, o którym dziadek mój tak wiele dobrego opowiadał?

— Pewnie, że ja jestem tym żydem, i to pewnie, że ja tak szanowałem pańskiego dziadka, jak on mnie... Ja handlowałem z nim uczciwie, ja zarobiłem przy nim, ale ja go nie obdarłenij nie skrzywdziłem, jak to się praktykuje na świecie... On żył i ja żyłem, on się dorabiał i ja się dorabiałem, nawet, chwalić Pana Boga, ładnie się dorobiłem... ale jak przyszło nieszczęście, to i on stracił i ja straciłem... Nie płakaliśmy... Bóg dał, Bóg wziął... taka Jego wola... Bóg nawet czasem chce zrobić taką probe, nad człowiekiem, czy, jeżeli on jest nabożny i sprawiedliwy w szczęściu, będzie taki sam i w nieszczęściu... A wiesz pan, panie Brzozowski, dlaczego pański dziadek majątek stracił? dlaczego ja majątek stracił?

ciłem?... przez nieszczęście. A nieszczęście bywa różnego gatunku: jedno takie, jak kamyk, co jak spadnie z góry, to może człowiekowi głowę skaleczyć... drugie znów będzie jak cała góra kamieni, co jak się zwali, to wszystkich ludzi gniecie... Na nas zwała się cała góra!!

Nie przerywaliśmy, a stary żyd westchnął głęboko i tak ciągnął dalej:

— Oj... oj... to było dawno, bardzo dawno; panowie młodzi nie żyliście jeszcze na świecie, ale ja żyłem, pana Brzozowskiego dziadek żył wtenczas... Na nasze plecy zwała się cała góra, bo taka była wola od Pana Boga... Myśmy nie płakali, myśmy nie wyrzekali, bo wiadomo, że czasem Pan Bóg daje nieszczęście dlatego, żeby z tego nieszczęścia zrobiło się szczęście. Więc myśmy cierpieli i chwaliliśmy Pana Boga: pan Brzozowski nieboszczyk po swojemu, a ja po swojemu, i prosiliśmy Go, żeby dał nam wytrzymać nieszczęście, a z tego nieszczęścia żeby zrobił szczęście. No, Pan Bóg nie wysłuchał, miał inszą woję, insze swoje pomyślenie i, z nieszczęścia nie dał szczęścia, ale chciał próbować ludzi i dał jeszcze gorsze nieszczęście. On tak chciał i to trzeba też przyjąć... Jak rosa pada na

ziemię, to z tego lepiej zboże rośnie; jak pada płkanie z ludzkich oczów, to także nie darmo. Od tego pan Bóg trzyma tysiące aniołów, żeby oni to płkanie zapisali, zważyli, zmierzyl i zrobili całą sumę, co kiedyś będzie Jemu do rachunku potrzebna. Nie wiem ja, czy panowie mnie dobrze zrozumieli, ale to wiem, że mówię sprawiedliwie, jak prawda jest, jak się należy. Świat nie jest teraz porządny, bo ludzie pana Boga zapomnieli, wyrzucili z swego serca dobrod, a w to miejsce włożyli złość, zawziętość, zawiść, chciwość, że jeden drugiemu toby, jak nieprzykładając pies, z gardła wszystko chciał wydrzeć, jeden drugiego chciałby ze wszystkim zniszczyć, zgubić... ?le, źle, bardzo jest... a ja się spodziewam jeszcze gorzej...

— Dlaczego pan jesteś takim pesymistą, panie Froim?—zapytałem.

— Ja nie rozumiem, co to słowo znaczy—odpowiedział—i nawet nie chcę rozumieć, ja nie jestem ani taki, jak pan powiada, ani taki, jakby kto mógł myśleć... ja jestem stary żyd... z dawnych żydów.

— Stary?

— Stary, panie, stary żyd, nie dzisiejszy. to jest różnica... I to wino, które pa

nowie pijecie, jest inne niż dzisiejsze... i wszystko dzisiejsze jest inne niż dawne... tylko moc od Pana Boga zawsze jednakowa, tylko Jego słowo się nie odmieni...

Powiedziawszy to, zamyślił się smutnie.

Już noc zapadła, w stancyi zrobiło się ciemno, rozczochrana Żydóweczka przyniosła cienką szabasówkę w wysokim lichtarzu mosiężnym i postawiła ją przed nami. Czerwony płomyk tej świeczki rzucał na ścianę i podłogę fantastyczne cienie. Mosiężny żyrandol szabasowy, uczepiony u pułapu, wydawał mi się niby pajak potworny, niby owa góra nieszczęścia, która wali się, jak mówił Froim, na ojców, na dzieci i na dzieci tych dzieci, — a sam Froim, poważny siwobrody starzec, w owym oświetleniu niepewnym, migotliwym, zdawał się być prorokiem, wołającym: biada wam, biada! boście zatwardzili serca wasze, jak kamienie!

Konie już były napasione i wypoczęte. Maciek też zaprzągł je, z łoskotem, zajechał przed karczmę. Pożegnaliśmy się z Froimem, który odprowadził uas do drzwi i rzekł w progę:

— Nic omijajcie, panowie, nie omijaj

pan., panie Brzozowski, naszego miasteczka i starego Froima,...

Znajdziecie tu jeszcze trochę tego wina, co Francuzów pamięta... ale wstąpcie niedługo, bo czas ucieka, oj, oj, jak on ucieka! on tak ucieka, jak ptak na skrzydłach, on tak ucieka, jak wiatr, który wieje po polach... a co trochę dmuchnie, to trochę z sobą zabierze... Śpieszcie więc, panowie, bo już niedługo powiecie, że i takich ludzi, jak nieboszczyk pan Brzozowski, niema, i takiego wina, co Francuzów pamięta, też niema... i starego Froima także niema...

— Żyj pan jeszcze sto lat — rzekłem, wsiadając na bryczkę.

— Dziękuję za dobre słowo — odrzekł, ale cobym ja tu robił?

— Jakto?

— Z kim miałbym żyć? kiedy powiadam panu, że już z dawnych czasów nic niema, nawet... i wstyd, i smutno takie słowo powiedzieć... dziś nawet żydów jak się należy, także już niema...

Odjechaliśmy.

Wypoczęte konie, parszając wesoło,

ciągnęły raźnie bryczkę po piaszczystym gościńcu; towarzysze moi, rozmarzeni starem winem, drzemali, a ja spoglądałem dokoła, o ile cienie nocy letniej pozwalały na to... Nad smutną, lesistą okolicą Podlasia świeciły gwiazdy, z nad moczarów i łąk mgła w fantastycznych kształtach unosiła się ku górze. Zdawało mi się, że w tej mgle niewyraźnej, białawej, widzę poważną postać* Froima, widzę jego siwą brodę rozwiewającą się szeroko, jego wychudłą rękę wzniesioną do góry i, że w tchnieniu wiatru, dolatuje mnie suchy głos starca...

WLS&KKh
(OBRAZEK.)

W siedmiu ogromnych pokojach, w lokalu parterowym, mieściła się restauracja, w której już o zmroku we wszystkich oknach płonął gaz w dużych kulach mlecznych—a po nad drzwiami jaśniała latarnia o szklach kolorowych, jaskrawych. Czerwone, zielone i niebieskie pasy światła padały z owej latarni na chodnik, aby zwracać uwagę przechodniów i zapraszać ich niejako do tego przybytku kuflowobillardowych rozkoszy. W pierwszej stancyi, za ogromnym bufetem, zastawionym niewykwiłtmemi przekąskami i baterią butelek, zasiadała sama właścicielka zakładu, pulchna blondynka, o wydatnym biuście i wspaniale zaokrąglonych ramionach.— Uśmiechała się ona do jakiegoś „stangasta” siedzącego przy najbliższym stoliku i obdarzała go melancholicznym wejrzeniem, oraz uśmiechem słod

kim, obiecującym. „StamgasŁ" patrzył w twarz gospodyni jak w obraz, a jeżeli odrywa! wzrok swój od jej milej osoby, to dlatego tylko—aby spojrzeć w kufel i przekonać się, czy rychło na nowo napełni go wypadnie. Kilka dziewczyn, pretensjonalnie ubranych, biegało pomiędzy gośćmi roznosząc kufle, talerze i uśmiechy—w ostatnim zaś salonie rozlegał się łoskot kul bilardowych i gwarna rozmowa grających.

Restauracja cieszyła się wielką popularnością, gości było pełno—wszystkie stoliki zajęte. Gwar i hałas panował w niej nieznośny, gęste obłoki dymu z papierosów i cygar napełniały powietrze.

Był to dzień sobotni; wielu rzemieślników z rękami od pracy czarnymi, przyszło tu na kufel piwa, niektórzy przyprowadzili z sobą żony—toczyły się tu spory i sprzeczki—rozmowy o najrozmaitszych przedmiotach, a gwar tych rozmów, w połączeniu z brzękiem kufli i noży, głoścem wołaniem na usługujące dziewczyny, zmuszał biesiadników do coraz silniejszego podnoszenia głosu—do powiększania ogólnej wrzawy. Tu nawet zakochany musiał swej ulubionej wykrzyknąć wyznanie, gdyż inaczej nie byłaby go mogła usłyszeć.

W największym salonie, gdzie stało najwięcej stolików, gdzie zgiełk do kulminacyjnego punktu dochodził, na estradzie z desek skleconej i wypłowiałym dreliszkiem pokrytej, stał stary, wysłużony fortepian. Los równie dla fortepianów jak i dla ludzi złośliwy, wyrzucił go z salonu i, przeniósłszy do knajpy, kazał mu jęczeć co wieczór nadszarpniętymi strunami i napełniać melodią izby pełne dymu i gwaru.

Godzina siódma wydzwoniła na zegarze umieszczonym na wierzchu bufetowej szafy i, akurat w tejże samej chwili, do fortepianu zbliżyła się kobieta niemłoda, której włosy dobrze już szron siwizny przypruszyły. Zdjęła z siebie wypłowiałą mantylkę, uwolniła palce z rękawiczek, otworzywszy fortepian i usiadłszy przy nim, uderzyła kilka akordów. Potem z pod palców jej popłynęły łagodne dźwięki jakiegoś starego, sentymentalnego walczyka, o rytmie spokojnym, miarowym jak chód zegara.

Szewcowa jakaś, czerwona i do wrzuseń skłonna, trąciła silnie swego małżonka w łokieć i rzekła z rozrzewnieniem: to? |JaCf słuchał "a naszym wesielu efdeIkICZy gra,i Pami,aSZ Ja?si. seideńko, pamiętasz?

— Pa...pa...miętam, pamiętam jagódko — odrzekł z trudnością pan majster. Gra bo gra! niech ją nie znam.

— Tak, tak Jacusiu, biedactwo jakieś, na starość grajkowac musi... naści dwie dziesiątki, bęcni jej tam na fortepian, niech ma za swoją pracę, kiedy mi młode lata przypomniła.

On wsiał i, chwiejnym krokiem ale z miną buńczuczną, do fortepianu się zbliżył. — W ręce wyciągniętej dwadzieścia groszy trzymał, już usta otwierał aby coś powiedzieć, gdy wzrok jego spotkał się ze spojrzeniem grającej.

Musiało być coś magicznego w tem spojrzeniu, bo poczciwy majster oczy spuścił, przeproszenie jakieś wybąkał i delikatnie, nieśmiało, datek swój podsunął pod nuty na fortepianie leżące, odszedł do swego stolika.

Ta bawaryowa artystka umiała poszanowanie dla siebie obudzić. Zachowywała się z godnością, nie zbierała datków na nuty, nie obchodziła stolików — szanowali ją też goście knajpowi — a nawet pijany rzemieślnik, jeżeli bliżej fortepianu siedział, miarkował swe wyrażenia i gesta żeby nie urazić... radczyni.

Bo ją „radczynią” nazywano w tej knajpie. Nikt nie znał jej bliżej, nie wiedział z kąd się tu wzięła; przed kilkoma miesiącami zaczęła tu grywać i, od tego czasu, stawiała się codziennie o siódmej i, z małymi przerwami, do dwunastej grywała. Dostawała za to od pulchnej gospodyni dwa złote, a że kolacy w zakładzie jadać nie chciała, więc zawijano jej w starą gazetę kawałek mięsa i chleba, i to podobno za obiad na drugi dzień jej służyło. Stali goście bawaryi opowiadali sobie, że radczyni była niegdyś bogatą i że grywa z biedy — ale bieda to w mieście takie powszednie zjawisko, że już nie robi wrażenia. Zresztą, radczyni była milcząca, nie odzywała się do nikogo, przychodziła o swojej godzinie, grała do samej północy, nie robiła sobie długich pauz i wypoczynków, a dzięki jej, fortepian nieustannie brzęczał i rozweselał gości. Przyzwyczajono się do tej staruszki, jak do jakiego mebla, lub obrazu, słuchano jej muzyki codziennie.

Dziś radczyni, wbrew swemu zwyczajowi, nie zachowywała się normalnie. Skończywszy walczyka, wstrząsnęła się nerwowo, zarzuciła na plecy chusteczkę i odpoczywała dość długo — potem wstała, po”

szła do bufetu i poprosiła o szklanekę wody.

Kiedy powróciwszy, zaczęła grać jakiegoś starego, odwiecznego lansiera, oczy jej błysnęły dziwnym blaskiem, a na wychudłe policzki wystąpił mocny rumieniec. Grała z takim ożywieniem i ogniem, że wszyscy goście oglądali się na nią, a jeden nawet szepnął sąsiadowi.

— Niema co gadać, panie Wicenty, dziś babina jest w sztosie.

Naprawdę, babina była w sztosie wspomnień. I dla niej przecież świeciło niegdyś słońce, i dla niej kwitnęły kwiaty... Przypomniała jej się wiosna życia, przypomniał niewykwinny salonik jej rodziców, ongi dzierzawców niewielkiego folwarku; był tam także fortepian i tańczono lansiera...

Lansier też szczególnie utkwiał w jej pamięci, bo w chwili reweransów i ukłonów dyganych, ongi... ongi... nieboszczyk mąż wyznał jej swoją miłość*, oświadczył się...

Pamięta ona dobrze tę chwilę, pamięta przez całe życie — i nie zapomni nigdy*. On był młody, przystojny, a przytem się przed nim otwierał... był urzę

miał tysiąc złotych pensyi. Na owe czasy, to już pozycya.

I tak dobrze im było... Mieszkali w małym miasteczku, mieli własny domeczek z ogródkiem — on chodził do biura, awansował dość szybko, ona zaś pilnowała domeczku, chowała dzieci...

Dwoje im tylko Pan Bóg dał, syna i córkę—ale jakież to były te dzieci... mądre, ładne, dowcipne, chowały się dobrze i uczyły nieźle.

Nie obejrżeli się szczęśliwi małżonkowie, jak im blisko dwadzieścia lat życia ubiegło, szybko jak jedna chwila, słodko, spokojnie.

Mąż był już dygnitarzem—adjunktem przy naczelniku powiatu, szanowali go wszyscy, kłaniali mu się nisko — ona należała do najwyższych sfer miasteczka, sam naczelnik bywał u nich... raz nawet gubernator, przejeżdżając, do nich na śniadanie wstąpił — do nich, choć były przecież inne domy! Naumyślnie nieboszczyka wyróżnił, jako urzędnika sumiennego, prawego; awans mu wtenczas obiecał.

Przeszło to wszystko, przeminęło, jak ostatnie dźwięki lansiera, który ukończyła właśnie.

Znowuż ją jakieś dreszcze wstrząsnęły, chciałaby poprosić o herbatę. Podanoby jej natychmiast, ale to jakoś w bawaryi nie wypada... Zresztą powróci za parę godzin do domu—wie, że jest tam w maszynie troszkę nafty, to zagrzeje wody i będzie herbata. Herbata, a może lepiej ziółka jakie, bo zimno dziś szczególnie...

Ale grać trzeba, fortepian długo już milczy.

Radczyńni przypomina sobie ze swoich nut jakąś odwieczną, romantyczną „przechadzkę przy świetle księżycy," To jej się nadaje do wspomnień — bo w „promenadzie" owej są westchnienia, szmery wód tajemniczych, daleki odgłos dzwonów.

Tak, dzwonów... dzwonów... nasłuchiwała się ich w swoim życiu niemało, czuła ich uderzenia w sercu, jak pchnięcia zimnego noża, wtórowała im jękami...

Dobry, pocziwy jej mąż nie dostał przyrzeczonego awansu, nie dostał, gdyż przeziębił się i umarł, umarł naprzekór przepowiedniom powiatowego lekarza, który tak ją uspokajał, tak zapewniał, że wszystko dobrze się skończy. — Ha, skończyło się — długotrwała choroba pochłonęła zapasy, trzeba było domek obdłużyć nawet. Umarł

mąż, umarł biedaczysko i emerytury nawet wysłużyć nie zdążył... Czy widzi teraz z wysokiego nieba swą towarzyszkę życia, czy słyszy, że ona gra tu w brudnej, zadymionej knajpie, ona, pani adjunktowa, szanowana tak niegdyś w miasteczku!!

Gra w bawaryi: „Promenadę au clair de lune"—przechadzka przy świetle księżycy, ale dusza jej jest gdzieindziej. — Dusza jej błądzi właśnie przy świetle księżycy na cmentarzu, wśród ukochanych grobów. Tuż przy kaplicy, pod brzożami dwoma, mąż spoczywa snem wiecznym... już się i mogiła jego zapadła, i krzyż na niej pochylił... nawet blacha z napisem na ścianie kaplicy przybita już zbladła, deszcze z niej pozmywały litery, tylko smutku z serca zmyć nie mogły, boleści ukońc nie zdołały... Zapadła się mogiła męża... zapadła jak pierś osieroconej wdowy... jak jej oczy, które tyle łez wyplakały... Ro jakże nie miały wypłakać?! Jeszcze nad grobem męża trawa dobrze nie porosła, a już

grabarz dla syna grób kopał. To jeszcze cięższa strata, jeszcze boleśniejsza rana. Matka, grzebiąc dziecko, grzebie część własnej istoty, grzebie swą dumę, szczęście, nadzieję. Jej syn, ten dzielny chłopak, który się

uczył tak dobrzej który miał być pociechą i opieką matki na starość, zginął nieszczęśliwie, niespodziewanie, nagle. Padł ofiarą swej własnej szlachetności i poświęcenia się dla drugich... Nieszczęście!

Poco chodził nad brzeg rzeki, poco ujrzał jakąś kobietę tonącą? Bez namysłu rzucił się w bystre nurty wody i, byłby wyratował ofiarę nieostrożności — lecz ta objęła go konwulsyjnie za szyję, skrępowała ruchy w żelaznym, rozpaczliwym uścisku i, poszli na dno oboje—oboje już martwych wydobyto.

Był to grom dla matki okropny — ale i ten przeżyła, gdyż ją jeszcze nowe krzyże czekały, gdyż jeszcze nie wypłakała łez wszystkich.—Córka, po roku pożycia z mężem, umarła także i leży na Powązkach, a biedna matka, osierocona już zupełnie, niema nikogo, nikogo na świecie... Dopóki mogła pracować, dopóki była silniejsza, trudniła się szyciem, lekcye dawała, lecz, dziś do szycia oczy nie służą, rodzice żądają dla dzieci nowej metody uczenia, skromny kawałek chleba wymyka się z ręki spracowanej i drżącej.

Skończyła się „Promenada,” i radczyni

obciera chustką krople potu z czoła i czuje że jej słabo, gorąco i zimno naprzemian.

Patrzy na zegar, wpół do jedenastej dopiero. Jeszcze półtorej godziny tylko... to niedługo, całe lata przeszły takie ciężkie, takie bolesne—a jednak przeszły, minęły— półtorej godziny cóż znaczy?!

Tyle przemyślała o grobach, o cieniach swoich ukochanych... Tak jej smutno i boleśnie na duszy, cóż więc dziwnego, że zamiast skocznych tańców, „Aye Marya” zaczyna.

Ten i ów zatrzymuje kufel do ust niesiony—i słucha, oglądając się w stronę fortepianu—w gwarnej sali chwilowo cisza zalega...

Nareszcie, pijany jakiś gość uderza kuflem w stół z całej siły i krzyczy:

— Panno! serka, do kroć stu tysięcy, czy panna nie słyszysz, że tu jak na pogrzebie grają!

Muzyka tymczasem nie ustaje, gdyż grająca tego wykrzyknika nie słyszy, gra dalej, z coraz większą mocą, przyciska z całej siły pedały, uderza z dziwną energią w klawisze. Goście powstali z swych miejsc i spoglądają w zdumieniu; twarz grającej jest blada jak kreda, usta zaciśnięte kur

czowo, oczy szeroko rozwarte. Tylko palce nerwowo uderzają w klawisze, jak gdyby chciały wszystkie struny w fortepianie pozrywać.

Pulchna pani wytoczyła się z za bufetu, przyszła do grającej i ujęła za rękę.

— Pani! pani! co pani wyrabia? Muzyka ucichła. Ręce radeżni opadły bezwładnie.

— Pani coś jest, pani chora jesteś — zawołała z przerażeniem gospodyni. — Józiu! Manili! ruszcie się, wody tu dajcie natychmiast!

Biedna kobieta westchnęła ciężko, spojrzała na gospodynię, na gości, na liczne kufle rozstawione po stołach i, wnet przypomniała sobie gdzie jest.

— Przepraszam panią— rzekła —troche mi było niedobrze... sama nie wiem, co grałam...

— Ach, co pani grała! i ja nie wiem copani tam grała — takie granie to w kościołach grywają.

— Niech mi pani wybaczy... poprawię się—rzekła cicho—zagram co innego...

W gronie gości znalazł się jakiś felczer.

— Ej, co pani zagra—rzekł—kiedy pani ledwie siedzi na krześle. Pani gospody

ni, kieliszek wina dać — a jak nie — to ja funduję i basta!

— Nie zawracaj pan głowy z swoją fundą... cóż to, ja pożałuję dla chorej? za pieniądze będę dawać—jak jaka aptekarka, widzisz go, jaki mi fundator!

Pobiegła do bufetu, nalała kieliszek wina i przyniosła cierpiącej. Ta wypila do dna, wszystko, chciwie; rumieńce wystąpiły jej na policzki.

— Może jeszcze—rzekła gospodyni — proszę, niech sobie pani nie żałuje, ja mam tego dobrego dosyć—bardzo proszę.

— Nie—nic, dziękuję pani—już mi dobrze, już mi zupełnie dobrze... moge już grać...

— No, Bogu dzięki, myślałam, że się pani rozchoruje—ale kiedy pani grać może —to już dobrze.

— Moge, moge... zagram w tej chwili.

— Tylko proszę pani, nie takjak przedtem—coś wesołego koniecznie — to goście najlepiej lubią.

— Wesołego... ha! dobrze — postaram się, zagram coś bardzo wesołego, skoczniego...

Zamyśliła się nieco — sięgnęła w przeszłość pamięcią. Wesołego dica... kiedyż

była wesołą? O, dawno to już, dawno... ale prawda, ostatni raz na weselu córki. Pamięta doskonale. Wtedy miała na sobie suknię jedwabną, popielatą.

Mieszkały właśnie z córką na Kanonii, już po śmierci ojca i syna, po wyprowadzeniu się z miasteczka. Miały ładne dwa pokoiki, fortepian, bo wtedy były jeszcze jakieś resztki i siły do pracy. To była jesień jej życia, a wesele córki najpiękniejszym dniem tej jesieni... Gości było niewiele, coś dziesięć, czy dwanaście osób wszystkiego; panna młoda i druchny chciały trochę potańczyć, fortepianik był w domu, panienki grały naprzemian. Zabawa szła tak rażno i ochoczo — że już świt w okna zagląda! — a młodzież jeszcze tańczyła. — Mamuniu, droga, mateczko — mówiła panna młoda, zagraj nam białego mazura! zagraj, najdroższa, niech się córka twoja chociaż na weselu własnym zabawi. Wtenczas matka usiadła do fortepianu i grała; grała przez dwie godziny, a może dłużej, — ale jak, z jakim ogniem, z jakim życiem... i teraz zagra tak samo. Chcą wesołe

go... dobrze! odda im to co miała najweselszego w swoim życiu... odda im, bo choć jej w oczach krwawo, choć sił braknie, grać musi — aby ostatniego środka do życia nie stracić...

Uderza w klawisze.

Skoczny rytm mazura rozlega się po sali — rozbrzmiewa tempem coraz żywszem, prędszem, goście wybijają takt kufkami, kilku wtóruje półgłosem.

— O, tak to lubię! to ci ogień dopiero! — woła jakiś gość gruby, przytupując krótkimi nogami — brawo! pani radcowa, jak Boga kocham — brawo! To ci mazur — i w tyjtrze nie usłyszysz! hu! ha!

Biedna kobieta nie widzi tego zachwyty, nie słyszy pochlebnych okrzyków gości, ona gra i gra! a przed oczami jej wyobraźni, podbudzonej dziś wyjątkowo, przesuwają się dorodne pary, a wśród nich miga biała sukienka — Zosi ukochanej.

Och wesele, wesele!... droga córka, tak kochała swego męża, tak się rwała do życia... Mazur rozbrzmiewał w małym saloniku na Kanonii, a Zosia oparta na ramieniu męża, zdawała się płynąć w powietrzu.

Śliczny mazur! biały mazur... na weselu córki palce z błyskawiczną szybkością

biegały po klawiaturze, tancerze byli w zachwycie.

Coraz silniej, coraz donośniej brzmiał mazur... w zadymionej knajpie gwarno było. Ten i ów zachwycony przyspiewywał półgłosem.

Naraz, w połowie najsilniejszego akordu, fortepian zgrzytnął fałszywie — a głowa grającej bezwładnie pochyliła się w tył.

Stojący blisko fortepianu felczer, przyskoczył natychmiast, suknię na piersiach omdlałej rozrywać zaczął. Goście powstawali z miejs.

Z za bufetu wysunęła się pulchna gospodyni.

— Co to jest? czy struna pękła w fortepianie?

— Pal dyabli wszystkie struny i cały fortepian — rzekł felczer — tu gorszy jest interes — bo jej serce pękło!

PO BURZY.

Cicho, spokojnie toczy swoje fale Wisła szeroka, nad jej brzegiem wierzby szemrzą smutnie... Coraz to wiatr chłodny dmuchnie silniej i wtedy z giętkich gałązek pożółkłe, wyschłe listki spadają. I jedne kładą się u stóp macierzystej drzewiny, niby w grobie ogólnym, inne zaś, porwane tchnieniem wiatru, unoszą się przez chwilę w powietrzu i padają na toczące się fale.

Dokąd że was los zanieś biedne listki? Czy woda wyrzuci was przy pierwszym zakręcie na brzeg piaszczysty, czy też poniesie na falach daleko, bet, aż na morza bezbrzeżne...

Na polach smutno, w lasach smutno. Przyszła jesień szara, posępna i ze strachu przed nią pomarły różnobarwne motyle, poczerniały kwiaty, poucie

kały w dalekie kraje ptaszki śpiewające. Nad polami nie dzwonią już skowronki, nie uwijają siły jaskółki—po łąkach nic kroczy bocian poważny. Jesień!

Poła poczerniałe, łąki poczerniałe, lasy jakby uśpione. Nic rozbrzmiewają piosnki ptasząt, nie słychać ludzkich pieśni—tylko na drzewach przydrożnych wrony kraczą żalobnie.

Szare i ciężkie chmury zasłoniły jasną twarz słoneczną, deszczuk mży drobniutki, jak mgła. Niby to deszcz i niby nie deszcz, bo, kropelki jego tak małe, że okiem ich dojrzeć trudno, niby mgła a nie mgła, bo drogi już dobrze rozmoczyła... ot zwyczajny kapuśniaczek jesienny. Trzy dni pada a jeszcze ze sześć pewnie padać będzie, to już natura jego taka, że jak się zawężmie, to będzie przez dziewięć dni i dziewięć nocy całemu światu psotę czynił, a już najbardziej tym, którym droga daleka w taki czas utrapiony wypadnie.

I na człowieka wtedy bieda i na bydłatko bieda, bo kapuśniaczek do kości przejmuję, a droga ciężka, oślizgła, że i pośpieszyć nie sposób. Jednak kto musi, to musi... Na drodze, jak okiem dojrzeć, pusto — tylko chłop jeden na

piechoto wędruje. Zawinął poły od sukmany, za pas je zatknął i telepie się po gliniastej ścieżce po nad rowem, podpierając się grubym kijem sękatym.

Pod sukmaną ma kozuch, a i sukmana tęga, z samodziału grubego, co mocny jak rzemień—ale co to znaczy? Taki deszczyk to i przez samodział przeniknie, a w oczy kole niby tysiącami igieł. . Do domu jeszcze kawał drogi okrutny, mało nic trzy mile drogi, wedle chłopskiego rachunku, wiadomo zaś jaki to rachunek chłopski — zawsze z dokładkiem. I ciężko chłopu iść, przykrzy mu się i zagadnąć do kogo nie ma — a jeszcze, jak na biedę, worka ze sobą nie wziął, żeby głowę przykryć i wiatr go szczypie po uszach kaducznie...

Idzie, to pacierze odmawia, to po polach patrzy. Pszenica, żyto zielenieje trochę i nawet pokazuj na niezgorszy urodzaj, po łąkach stogi stoją wielkie, czarne, chłop je liczy, dla zabicia czasu, ale oto już policzył stogi, już je minął, nie ma co rachować— więc дума sobie idąc.

Dziwno mu że dużo pola odłogiem leży—ale pomyślawszy trochę, powiada do siebie półgłosem:

— Juści niby to dziw, a poprawdzie, nic dziw, kto ma orać kiedy i ludzi trochę przybrakło i pieniędzy jeszcze bardziej.

Odzie gospodarstwo duże, gdziefortuny przódy były, także pustka i zniszczenie. Dopust Boga miłosiernego! i tyło.

Wzdrygnął może od zimna, a może od przypomnienia smutnego, przystanął na ścieżce i z całej siły ręce zabijać zaczął, żeby się rozgrzać cokół

wiek. Potem obejrzał się po za siebie, w nadziei, że może furtkę jaka dostrzeże na drodze.

Chłopskie jego ucho dosłyszało jakiś głos z oddalenia.

Wyraźnie jedzie ktoś, ho pokrzykuje na konie, i nic kto inny jedzie tylko chłop gospodarz, bo woła po gospodarstwu nie jak pański stangret, ani nie jak żyd.

Staął zmoczony chłopisko i oczy wytrzeszczy! — i po chwili dostrzegł zbliżający się wóz w parę koni zaprzężony.

Umyślił sobie czekać, jeżeli swojak to się z nim zabierze, jeżeli obcy, to choć pójdzie z nim razem kolo fury, bo zawsze to w kompani człowiekowi weselej.

Koniki szły powoli, po rozmięklej glinie wół się toczył z trudnością, bo się glina tłusta oblepiała na kołach—nawozie ktoś, wyraźnie także chłop, skalony siedział, z głową workiem przykrytą, że go i poznać było trudno.

Gdy już blisko nadjechał, ozwał się ten z woza.

— Niech będzie pochwalony! — a wy co tu robicie Michale?

— Na wieki wieków — a to wy Franciszko! Witajcie... a to dziw, że ja odrazu waszych koni nie poznałem!

— Ale dziw! na taką słotę to rodzona matka bydlęcica nie pozna.

— Juści prawda, poszerszeniało biedactwo całkiem.
— Siadajcie Michale, pojedziem, zawdy raźniej jakoś przy kupie, zkąd że wy tak oto na piechotę idziecie?...
— Ot—odrzekł Michał, gramoląc się powoli na turę, chodziłem do powiatu z podatkiem.
— A nie mogliście to jechać?
— Szkodowałem bydłęcia, mój Franciszku, ale widzę, że wy z dużej drogi jedziecie, bo i szkapiny tego obchudzone i wóz jak pod ciężar.
— Ot jeździło się za Wisłę sześć mil.
Patrzcie, a ja w drugiej wsi siedzący, nie wiedziałem nic.
— Ja to do drogi zwyczajny, mój Michale, dość się nawłóczyłem po świecie, Byłem ci ja w Lublinie i w Radomiu i w Kielcach, raz to nawet i do samego Krakowa jeździłem.
Wiadomo, że drugiego takiego wędrownika szukać, ale kto was teraz na taki psi czas wypędził?
Franciszek westchnął ciężko.
— Prawdziwie rzekliście Michale, zem pojechał jak wypędzony, ale musiałem.
— Według zarobku niby?
— Udzie zaś, mój Michale, według biedy ludzkiej, moi złoci, według frasunku, sieroctwa ciężkiego, co i opowiedzieć nawet trudno.

Dopust Boży powiadani wam, sprawiedliwie dopust Boży.

— I myślę i myślę i zmiarkować sobie nie mogo, do czego wy to powiadacie.
— Aleście naszego dziedzica znali?
— Oto! co nie miałem znać, albo to się raz w waszej wsi bywało?
— Ano, skoroście znali, to musicie wiedzieć, że on sam już we świętej ziemi spoczywa; synek jego Bóg wić gdzie się obraca i tylko sama pani z panienkami we dworze zostaią, a teraz oto i jej i tym sierotkom na zły koniec przyszło.
— O!
— A juści, folwark się obniszczył, komornik! przyjechali, co jeno było we dworze posprzedawali, a teraz oto i cała fortunę żyd na licytacji kupił; trzeba było pójść na bruk im sierotom. Oj Michale, Michale, bywa i chłopu kiepsko na świecie, jak mu Bóg miłosierny zły los da, ale jak na państwo bieda przyjdzie, to jeszcze im gorzej niż najbiedniejszym chłopom.
— To jest prawda—odezwał się Michał—bo czy tak czy siak, choćby się, na to mówiący, chłopu na najgorszy koniec obróciło, choćby mu i rolę i chałupę i dobytek sprzedali, toć mu dwie zdrowe ręce ostaną i niemi się będzie przed biedą oganiał. Wiadomo, moi złoci, bo już takie z mocy Boskiej założenie jest, żeby w chłopie twardość była

jak w krzemieniu, i bez to w nim grzbiet twardy i gnaty twarde i pięść twarda.

— Jużci to tak, sprawiedliwie powiadacie, ale przecie chłop, choć twardizna sama, czasem na sercu miękkość ma taką, że się omal nie rozplacze jak baba... a powiadam wam, moi złoci, że oni całym domeno, a całym rodem rzecz można dobre byli.

— Niby państwo.

— A jeno. Nikt u nas w Rudce krzydy od nich nie zaznał, nikt im krzywy nie był. Żyli sobie, oni przy nas, a my przy nich w cichości, spokoje, jak to powiadają bez wody zamacenia. I tak było siła lat, a teraz oto... Pan Bóg taką zgubę dopuścił.

— Moc Boska!

— Wiadomo, ale zawdy człowiekowi żal, zawdy smutno, bo choć niby ona twardość w nas je, ale musi tylko po wierzchu, albo w gnatach, a dusza zawdy duszą...

Zadumali się chlōpi, może nad niedolą ludzką, może nad burzą, co niedawno ciche wioski nawiedziła, a może wreszcie nad kombinacją twardości gnatów i miękkością serca w chłopskiej piersi.

Michał czapkę na oczy nasunął. Franciszek coraz batem śmignął nad końmi, ale te pośpieszać z powodu ciężkiej drogi nie mogły i wóz toczył się powoli jak przedtem.

Pierwszy przerwał milczenie Franciszek.

— Dziwno — rzekł — że wy tam w Żabieńcu, choć o miedzę prawie od Rudki jesteście, nie wiecie nic, co się u nas dzieje.

— Pod lasem siedzimy, na uboczu.

— Ale zawdy po sąsiedzku.

— Prawda, ale mamy też swojego zatrudnienia dość i mało kiedy na świat wyglądamy, je o tem, że Rudka sprzedana, pierwsze słyszę.

— Oj sprzedana i nie wiadomo kto w niej teraz będzie, może lichy jakie.

— A cóż, jaki będzie, to będzie, toć tera gospodarze mogą sobie żyć z dworem, albo bez dworu, jak do gospodarza.

— Niby to tak, a przecie zawdy milej z dobrymi ludźmi, co się ich od maleńkości zna, anizeli z obieżyświatem jakim do czynienia mieć, ho i to sobie uważcie Michale, że to tylko o miedzę, że i tak i siak wypadnie... Ot, co to gadać, szkoda ich i tyło! Pani przysłała po mnie i powiada; tak i tak, mój Franciszku kochany, pożegnamy się już na zawsze... folwark sprzedany, my wynosimy się do miasta... Zaprzęgajcie, powiada, swoje koniki i odwieźcie nas za Wisłę ku Lublinowi, bo my już swoich koni nie mamy... I poczęła płakać, a ja stoję, czapkę w garści obracam i sam nie wiem co mam rzec, bo mi język w gębie poprostu kołkiem stanął i właśnie jakby mnie kto za grzdykę ścisnął... Swoich koni, powiada, Franciszku nie

mamy, tedy zawieźcie nas... I prawdziwie, żeby po stajni i z latarnią szukać toby ogona kawałka nie znalazł, wszystko wyprowadzone, wyprzedane, zniszczone, jeno że wiatr po budynkach chodzi i wróble latają... Niech Bóg broni!

— Los!

— Oj, los... los! mój Michale — mówił dalej Franciszek — ale czekajcie... Tedy jak pani rzekła, żeby jechać, myślę sobie, trudna rada, juści trzeba, i oto zaprząłem swoje szkapiny i pojechałem, a prawdziwie powiadam wam, i po sprawiedliwości świętej, że żebym nawet, nie przykładając, nieboszczyka na cmentarz wywoził, to jeszcze bym tyle markotności nie miał, jak z onemi biednymi kobietami jadący... Bo jak one sobie radę dadzą na świecie? same jedne, w mieście, między taką mocą narodu. Sama pani chuderława, słabizna, jeno ciągle dycha i, nie daj Boże w złą godzinę wymówić, ale na księżą oborę patrzy! Panienska starsza także nie siłaczka, delikatna, cienka, zdaje się, że wiatr ją zdmuchnie — a młodszą to prosto powiedziawszy, dziecko, dopiero jej się na dwunasty rok obróciło. I z czym tu wojować mój Michale.

— Pewno, że im nie będzie na tym świecie lekko...

— Jakaśmy już parę mil odjechali, jak się owe niebożęta trochę utuliły w swoim wielkim lamencie.

tedy rzekłem do pani, żeby mi powiedziała jakie swoje zamyślenie i gdzie się obróci? A, mój Franciszku, po, wiada, Bóg nad sierotami... do miasta pojedziemy — robotasię jaka zdybie. Tedy ja znowu rzekłem, że do robotny zdrowia trza—a ona powiada, Bóg da. Ano, powiadam, juści prawda, że da, jak będzie wida Jego— ale, powiadam, że na mój głupi rozum, to podobniej byłoby pani z panienkami na wsi pozostać. Tu po niemcu kolonia jest nieduża, możnaby w arendę za małe pieniądze wziąć, parobka sobie przy nając i żyć siako tako. Tak powiedziałem po szczerości serca, a pani mówi: wy się na tem nie znacie, mój Franciszku. Może ja się nie znam, powiadam, ale zawdy to wiem, że jak jest ziemi kawałek, to i chleb jest i kartofel i mleka kapeczka i okrasa, przynajmniej choć biednie, to co nieco w gębę można włożyć — a w mieście, na onych twardych kamieniach żyć ciężko. Miałem ja krewniaka co do miasta poszedł, to on mi powiada! jaki tam smak. Tymczasem pani powiedziała, że tak już ma być, że sobie taki los obrała i na tem skutek. Gadaliśmy o nieboszczyku panu starszym, co życie stracił niedawno i o paniczu, co znowu jak kamień w wodę przepadł, i o tym kawalerze, co do starszej panienki niby w zaloty zajeżdżał... One popłakiwały, mnie też markotno było... i tak na owem przypominaniu droga nam zesła.

— Dalckoście je zawieźli?

— Za Puławy dwie mile ku Lublinowi, do jakiegoś dworu, gdzie krewniaków swoich mają i tamte znowu krewniaki mają je odesłać dalej. Ot, rzemiennym dyszlem, jak zwyczajnie w błędności. Jak jeno tam zajechaliśmy, pani znów zaczęła lamentować, a ja już na to nie miałem mocy patrzeć, i pożegnawszy one biedactwa, zara wyjechałem z dziedzina. I tak oto włokę się po tej drodze ciężkiej, na onym deszczu, i rozmyślam siak i tak i kuczy mi się i markotno mi i żal, że się mało nie skręcę — aż. oto was ujrzałem Michale...

— Zawdy w kompanii przyjemniej.

— Pewnie, i jak się człowiek wygada, to mu i na duszy krzynekę lżej i tak mu się wydaje, jakby na to mówiący, komu połowę żalu oddał.

Długo gwarzyli jeszcze ci dwaj chłopci, a gwarzyć mieli o czym, bo przedmiotów do rozmowy nie brakło. Tu pole nieorane, tam folwark spalony, tu znów las po obu stronach wycięty... Każde prawie drzewo, każdy krzyż przydrożny, był świadkiem różnych wypadków, które głęboko w pamięci wieśniaków utkwiły. Gwarzyli tedy chłopiska, jękami i westchnieniami przerywając gawędę; w kompanii było im jakoś rażniej i droga prędej schodziła. A kapuśniaczek ciął w same oczy bez przerwy, bo na dziewięć dni i dziewięć nocy się zabrał... w oddali szumiała szeroka Wisła coraz gniewniej i groźniej, ponure mroki nocy jesiennej ogarniały świat,

zacierając kontury wzgórz, lasów, drzew i chalup chłopskich — coraz stawały się gęstsze, coraz ciemniejsze, aż pokryły wszystko prawie czarnym, żalobnym całunem.

Wiatr zerwał się niewiadomo z kąd i zaczął szarpać smukłe topole nadwiślańskie i przysadziste wierzby nad wodą, rwał z nich listki i na skrzydłach swych lotnych niósł je w przestrzeń nieprzeniknioną okiem, czarną, nieskończoną... Biedne listki!

I.

Za onych czasów (a będzie temu lat dwadzieścia z górą) kraj nie był pokryty tak jak dziś siecią dróg żelaznych i ludzie odbywali podróże końmi. Kto nie miał własnego ekwipażu, puszczał się w drogę ekstrapocztą, dylizansem pocztowym, albo też lokował się jak mógł w wielkiej bryce żydowskiej, pokrytej płótnem.

Na przebycie drogi z Lublina do Warszawy potrzeba było, przy najlepszej drodze, dwudziestu czterech godzin czasu, a jak przyszły śnieżyce wielkie albo roztopy wiosenne, to nieraz i półtorej doby zeszło zanim omnibus pocztowy, wyprawiony z Lublina, wtoczył się na dziedziniec Starej poczty od strony Nowo Senatorskiej ulicy.

Jesienny wieczór był, brzydki, szary, wietrzny. Na ulicy, przed gmachem pocztowym w Lublinie

przy czerwonym świetle naftowych latarni widać było olbrzymi dylizans, zaprzężony w pięć rosłych, wychudłych koni. Do dylizansu przystawiona była drabina, po której posługacze stajenni wnosili kufry i walizki podróżnych, aby je na wierzchu wehikułu ulokować.

Pasażerowie zebrani byli w tak zwanym „pokoju dla podróżnych” i oczekiwali sygnału do odjazdu.

Gdy na zegarze pocztowym uderzyła godzina szósta, krępy pocztylion ledwie mogący się ruszać w kożuchu ciężkim i w płaszczu, wgramolił się na wysoki kozioł omnibusu i przyłożywszy trąbkę do ust, zaczął z niej wydobywać chrapliwe dźwięki sygnału.

Zaraz też ruszyli się pasażerowie. Dwaj żydzi, otyli kupcy od zboża, ubrani w ogromne szopy, mający pełno tłumoków i tłumoczków, wcisnęli się w sam kąt, aby najwygodniejsze miejsce zająć, za nimi weszła jakaś dama, cierpiąca na ból zębów i jakiś jegomość, wieśniak widocznie — i o ile przy świetle latarki można było dojrzeć, niemłody.

Na samym końcu, gdy już wszyscy zajęli swoje miejsca, gdy poroziadali się wygodnie, aby mózdz korzystać z dobrodziejstwa snu w nocy, wsunęła się do omnibusu osoba młoda, szczupła, wysmukła, o bladej twarzyczce i dużych czarnych oczach.

Jakby zmieszana, zażenowana towarzystwem

osób obcych, nieznanych, usiadła tuż przy samych drzwiczkach, starając się zająć jak najmniej miejsca i nie zwracać na siebie uwagi.

Obok niej siedziała dama z podwiązaną twarzą, naprzeciw zaś ów pan niemłody, z pozoru wyglądający na wieśniaka. Czerwono światło latarki rozjaśniało nieco ciemność panującą w dylizansie.

Pocztylion zatrząbił drugi sygnał, śmignął biczem i chude koniska pociągnęły za sobą wysoki, nąptętrzouy tłumokami dylizans. Ciężkie koła zadudniły po bruku, latarnie miejskie coraz rzadziej migały przed oczami podróżnych, aż wreszcie zuiknęły zupełnie.

Żydzi rozmawiali z sobą o interesach, lecz po niejkiej chwili zasnęli, cierpiąca pani zakryła sobie twarz chustką, tylko ów szlachcic spoglądał na młodą osobę, jakby z zamiarem zawiązania rozmowy.

Dziewczyna jednak unikała jego spojrzeń, wsunęła się w sam kącik omnibusu i udawała, że drzemie. Tak przejechali pierwszą stację. Zaprzęgnięto inne konie i omnibus potoczył się dalej.

Naraz podróżni wydali głośny okrzyk. Żydzi zerwali się ze swoich miejsc, szlachcic siedzący z brzegu, otworzył drzwiczki i w jednej chwili wyskoczył!.

— Niech pani wysiada! zawołał do swojej sąsiadki — stoimy nad samym rowem i omnibus przewróci się lada chwila. Młoda osoba wyskoczyła pośpiesznie i wyskoczyła w samą porę, bo w tej chwili pocztylionu, chcąc naprawić syruacy, ruszył końmi, ciężar tłumoków przeważał i ogromny dylizans przewrócił się do rowu.

Krzyków było bez końca.

Konduktor klął pocztyliona, pocztylion klął konie i ciemność, żydzi grozili skargą, a cierpiąca na zęby dama jęczała w niebogłoso.

— Cóż robić?... — zapytał szlachcic. — Sami takiego ciężaru nie podniesiemy, trzeba do wsi po ludzi posiać.

Wieś daleko odezwał się konduktor — bliżej będzie do stacyi. Ja zaraz poszlę pocztyliona konno, a państwo muszą tu trochę zaczekać.

— Jakie czekać? co to jest czekać? — wołali żydzi. — Ładny interes czekać na środku szosy, gdzie broń Boże nieszczęście może być!

Wielka rzecz! — odezwał się szlachcic.— Nic nam się nie stanie, a zresztą musimy poczekać. Na szczęście deszcz ustał.

— My nie chcemy czekać! Kto ma czas niech czeka, my nic mamy czas!

— W takim razie nic czekajcie panowie — odrzekł obojętnie.

— Na. . a jakim sposobem pojedziemy?

— To już wasza rzecz!

Konduktor zapalił zgaszoną latarnię, cierpiąca pani wydobyła się ze środka landary.

Światło latarni padło na twarz młodej osoby. Wtedy ów siwiejący szlachcic przystąpił do niej i rzeki:

— Wybacz paui moją śmiałość, ale uderzające podobieństwo skłania mnie do niedyskrecyi. Czy pani nie jesteś córką nieboszczyka pana Komana z Rudki?

— Znal pan mego ojca?—zapytała z żywuścią.

— Byłem jego przyjacielem serdecznym i panią znam również, ale przypuszczam, że nie pamięta mnie paui.

— Istotnie, nie przypominam sobie

— Nic dziwnego, kiedy po raz ostatni odwiedziłem pani rodziców, pani byłaś dziesięcioletnią... Zosią. Wszak dobrze pamiętam?

— Doskonale!—odpowiedziała z uśmiechem.

— I miałaś pani siostrzyczkę, wówczas jeszcze bardzo małą, Helcią ją nazywano.

— I po latach tyłu jeszcze pamięta pan imiona takich dzieciaków?

— Jak pani widzi, To nie tak dawno, będzie temu lat. ośm. Nieboszczyk taki z was był dumny, tyle rui o was naopowiadał, tak się wami cieszył.

Dobry, poczciwy ojczulek? Czemuż go już nie ma?

— Ha, nieszczęście! W każdej rodzinie sit szczyby, każdy prawie oplakuje kogoś, ale przepraszam, poważam się rozmawiać z panią, a nie powiedziałem kto jestem. Otoż przedstawiam się: Józef Kamiński z Zabłocia, na Podlasia.

Ach! tyle razy o panu słyszałam. A mama pani?

— Bied na mama? Cierpiąca od czasu tych przejść okropnych, zuajduje się teraz z młodszą siostrą u krewnych... czasowo naturalnie.

— Jaktó czasowo?

Przecież nie może być im zawsze ciężarem, tembardziej, że teraz wszystkim tak ciężko. Gdzie spój rzyć źle, gdzie się obrócić klęski, niedostatek, żałoba...

Doprawdy, chciałbym jeszcze o coś spytać, ale już nie mam śmiałości...

— Dlaczego?

Z każdego słowa pani wieje taki smutek, że boje się, czy zapytaniem nie rozżalę pani bardziej jęczy, a przytem... przytem obawiam się, czy niedyskrecya człowieka obcego...

— Odpowiem panu szczerze. Hozżalić się już bardziej nie moze, bo w nieszczęściach, które przeszłam, serce moje stwardniało jak kamień. Wyplakałam wszystkie lzy i teraz spoglądam w przyszłość

suchymi oczami — a co się tyczy niedyskrecyi pańskiej, to rzecz inna...

Obawiam się, żeby nie była poczytana za złe

— Nie, panie. Mienisz się przyjacielem mego ojca.

— Serdecznym.

— Nazwisko pańskie słyszałam tylokrotnie... więc tytuł przyjaciela ojca nadaje mu prawo do interesowania się losem wdowy i dzieci. Gdyby mnie kto zapytywał z ciekawości pustej, odpowiedziałabym mu milczeniem, ale ja wierzę w to, że pytasz pan z przyjaźni. Przytem jestem prawie pewna, że łączy nas powinowactwo nieszczęścia, bo ono takie teraz powszechne.

— O tak! pani, łączy nas ono. I ja poniosłem ciężką stratę. Sam ocalałem, ale w pożarze domu, w pożarze, podczas którego na nieszczęście nie byłem obecny, straciłem żonę. Dwoje dzieci chłop z narażeniem własnego życia prawie cudem uratował z płomieni.

Boże! Hoże! cóż za straszne przejęcia! Zamilkli oboje i pogrążyli się w smutnych dumaniach. Wiatr szumił żałośnie i szeleścił gałęzi rai drzew przydrożnych. W cieniach nocnych przewrócony omnibus wyglądał niby cielsko jakiegoś potwora o dziwacznym kształtach. Żydzi otuliwszy się w futra, usiedli na kamieniach przydrożnych, oczekując sukursu, a cierpiąca pani obwiała gło

wc szalem i wsunęła się do wnętrza przewróconej budy, aby tam znaleźć ochronę od wiatru.

Przy migotliwej świetle latarki, Zosia spójrzała na towarzysza podróży, który ojca jej przyjacielem się mienił i zdawało jej się, że dostrzeżga na jego skroniach siwiznę.

Starcem jej się wydał.

Milczenie jakiś czas trwało, on przerwał je pierwszy.

— Wszak pani miała brata?— zapytał.

— Tak, panie, najstarszy z nas trojga.

— Gdzież jest obecnie?

— O tem wie chyba Bóg jeden odrzekła—bomy nie. Jak wyszedł z domu przed rokiem, już go od tój pory nikt z nas nie widział.

— I żadnej wiadomości, żadnego listu, nic?...

— Ani słóweczka.

— Boże! Boże... ileż nieszczęść znosić każesz. A któż gospodaruje w Rudce? — spytał po chwili.

— Właściciel.

— Właściciel? przecież ojciec pani nie żyje.
— To pan nie wie? Rudka sprzedana niedawno. Żyd ją nabył.
— Sprzedaliście państwo?
My nie... sprzedał ją sąd, towarzystwo, wierzyciele, albo ja wiem ktu. Ja się na tem nie znam, panie. Wiem, że zarzucano nas jakimiś papierami, że inania jeździła do różnych adwokatów, starała

się o pieniądze... Sąsiad jeden poczciwy dopomagał w tych staraniach, ale widocznie na nic się to nie zdało, ho Radkę sprzedali, i my musiałyśmy się wynieść z rodzinnego gniazda... Oto i cała historia naszej niedoli. Jak pan widzi niedługa.

— I nie uratowałyście nic panie z całego majątku?

Podobno nic!

Mama zapewne mówiła pani...

Mówiła, że jej kilkaset rubli zostało i nadzieja sprzedaży kilku pamiątkowych klejnotów, które udało się ocalić przed argnsowemi oczami komorników.

— I nic nadto?

— Powiedziałam panu...

— Okropne... okropne położenie! Cóż panie za myślenie robić?

— Mama ciągle płacze, Helcia nie zdaje sobie dokładnej sprawy z położenia...

A pani?

— A ja, jak pan widzisz, jestem na drodze do Warszawy... jadę, szukać pracy i chleba.

— Ma pani przynajmniej jaką nadzieję?

— W Boga tylko...

— Czemże się pani zamierza trudnić? Jakiemu zawodowi poświęcić?

— Wzięłabym się chętnie do każdej roboty, pracowałabym w kantorze, w sklepie — słowem

wszędzie, gdzieby się moja praca raogła na co przydać.

— Trudno o posadę W tym rodzaju, zwłaszcza dla kobiety.

— Wiem o tem, ale szukać będę. Coprawda wołałabym zatrudnienie fachowe, wołałabym rzemiosła, ale nie znam żadnego, a na nauczanie się już zapóźno.

— Dla czego? w wieku pani...

— Tak! ale ponieważ moja praca ma zapewnić byt chorej matce i siostrze młodszej, to uczyć się już nie pora. Trzeba szukać zajęcia innego. Jeżeli dostanę się do jakiego sklepu, to dobrze, jeżeli nie, będę musiała zostać nauczycielką, chociaż ten rodzaj pracy wydaje mi się najtrudniejszym.

Turkot nadjeżdżającego wozu przerwał tę rozmowę. Oczekiwana pomoc ze stacyi przybyła. Kilku ludzi za pomocaj drągów i lewaru podniosło przewróconą budę, pozbierano walizy i tłumoki, konduktor umieścił nową świecę w latarni, podróżni zajęli miejsca i dyliżans potoczył się dalej.

Przez chwilę mówiono tylko o doznanej przygodzie. Kupcy ostro krytykowali urządzenia pocztowe i nic mogli zrozumieć jakim sposobem, wzięwszy od pasażera blisko pięć rubli za bilet, można robić takie przykre niespodzianki. Cierpiąca dania ruchem głowy dawała do zrozumienia, że podziela przekonania kupców i że jedynie dokuczliwy ból

zębów wstrzymuje ją od wygłoszenia kilku zdań, dotyczących trzeźwości pocztyliona i oryginalnego sposobu wykonywania obowiązków, do stanowiska jego przywiązanych.

Wkrótce oburzenie ustąpiło miejsca senności, nawet ów szlachcic siwiejący, czy siwy, otulił się futrem i przymknął powieki; może drzemał, a może też rozmyślał o ciężkiej sierocej doli, o świeżo przebytych cierpieniach i nieszczęściach.

Panna Zofia drzemać nie mogła. Zawiele myśli cisnęło się do jej pięknej główki. Po raz pierwszy w życiu znalazła się sama jedna wśród obcych. Dotychczas otaczała ją miłość rodzicielska, tkliwość i opieka serdeczna teraz zmieniło się wszystko, teraz sama stać się musi opiekunką, sama iść w świat szeroki. Los niesie ją niewiadomo dokąd, w przyszłość niepewną, nieokreśloną, a może pełną zawodów i goryczy.

Tak wiatr jesienny igra z listkiem, oderwanym od macierzyńskiego drzewa.

Myśli biednej dziewczyny płaczą się chaotycznie, tysiące pytań cisnęło się do główki, a serce bije trwóżnie.

Przed nią świat, ale jaki świat! nie ten cichy, który przecież niedawno uśmiechał się do niej, ale jakiś inny zupełnie, wielki, zimny, obojętny a nieznanym...

Czy zechce ją przyjąć, czy da jej kącik w swojej wielkiej pracowni, czy pozwoli jej żyć ols chorć ma tki, dla siostry? Wychyla główkę przez okno i patrzy... dokoła ciemność zupełna, ani jednej gwiazdeczki na niebie, zdaje się, że ów wielki wóz pocztowy stacza się w przepaść niezgłębioną, bezdenną.

Nareszcie miga jakieś światelko... jedno... drogie... dziesiąte... To zapewne we wsi., we wsi! w chłopskich chatkach.

Tam ognie płoną na kominach, ludzie na spoczynek się zeszli, są u siebie, w dnmach swoich i nie opuszcza ich ani dziś, ani jutro, nie pójda samotni między obcych na tułaczkę. Tam, gdzie światelka płoną, musi być dobrze i cicho, a jeżeli nie dobrze, to spokojnie przynajmniej... a tam w owym świecie szerokim, nieznanym, pełnym ludzi obcych, cóż jest?...

Cofnęła się, żeby nie patrzeć w ciemność. Oparła główkę o ścianę dylizansu i przymknęła oczy. Myśl jej cofnęła się w przeszłość aż do lat dziecinnych. Upłynęły one szczęśliwie, spokojnie, w pieszczotach rodzicielskich, w zabawkach. Potem przyszły lata nauki, także szczęśliwe lata. Ubiegły szybko w gronie rówieśnic, wesołych, hoźych dziewczeczek. Powróciła do domu już jako dorastająca, prawie dorosła panienka i wnet serduszko jej uderzyło żywiej. Pokochała młodego chłopca o czarnych wy

mownych oczach. Był jej kuzyn daleki, znali się od dziecka, bawili razem.

Towarzysz zabawy został narzeczoną i zaczęły się dla niej najszczęśliwsze chwile. Kochająca i kochana, uśmiechała się do życia, do słońca, do kwiatów, ale to szczęście bardzo krótko trwało. Zaczęły się zbierać chmury czarne, potem nastąpiła ciemna złowroga, a dalej burza straszna, długotrwała.

I w tej zawierusze, w tych dniach ciężkich, które krwią i pożogą zapisały się w pamięci, ojciec utracił życie, brat przepadł bez śladu, a ten, który miał być jej towarzyszem dogonnym, rzucony został w świat daleki...

Oto i cała przeszłość dziewczęcia. Sama jedna, z żalobą w sercu i tęsknotą, idzie w świat, między obcych ludzi, aby z bijącym sercem, z nieśmiałością do ich drzwi kołatać i prosić o zatrudnienie, zarobek.

Straszną i długą wydaje jej się ta noc w dyliżansie. Dokoła ciemność zupełna, co jakiś czas dyliżans zatrzymuje się, słychać tupot przyprawdzanych koni, głos pocztymistrzów, chrapliwy odgłos trąbki i znowu pocztowy wóz toczy się dalej..., w ciemność. Gdyby chociaż się uspokoił choć na chwilę, ale nie, sen ucieka od nieszczęśliwych i cierpiących.

Nareszcie zaczyna szarzeć... Po przez chmury ciężkie przebija cokolwiek błady, bardzo błady pas

światła na wschodzie, wynurzają się z ciemności kontury drzew, stojących dwoma rzędami przy trakcie. Wnika światła z ciemnością trwa dalej, coraz żywsza, zawziętsza. Światło zwycięża a pokonana ciemność ucieka i odsłania smukłą wieżyczkę wiejskiego kościółka, szeregi chat chłopskich, krzyż przydrożny.

Z wieżyczki dolatuje słaby odgłos dzwonka, ludzie budzą się, żurawie studzienne skrzypią, bydło idzie skubać resztki poczerńiałej trawy na pastwiskach.

Zosia otwarła przymknięte powieki, siedzący naprzeciw niej szlachcic witają przyjaznym:

— Dzień dobry!

— Nie spałam wcale—odrzekła.

— Dlaczego?

— Balam się, otwarcie to przyznaję. Noc taka straszna i ciemna...

— Szkoda, że nie wiedział, że pani nie śpi, rozmawialibyśmy, byłoby pani rzuć.

— Pan także czuwał?

— Ja przyzwyczajony jestem do nocnych podróży, ale sypiać w drodze nie mogę. Rozmyślałem o swoich własnych troskach, a także i o pani. Po raz pierwszy zapewne znajduje się pani w podróży?

— W takich warunkach po raz pierwszy...

— Cóż więc dziwnego, że doznawała pani uczu

eia pewnej trwogi!... to całkiem naturalne, lecz. trzeba pauować nad sobą, dodawać sobie odwagi, a co najważniejsze, nadziei nie tracić. Zosia westchnęła.

— Ma pani kogo z blizkich w Warszawie?—zapytał.

— Jest tam jedna nasza kuzynka, staruszka, emerytka. Niedawno pisała do mamy i zapraszała mnie bardzo gościnnie. Ma na Starem mieście dwa pokoiki. U niej chwilowo zamieszkać, dopóki sobie obowiązku nic znajdę.

— Pytałem dla tego, że ja w Warszawie mam siostrę, któraby panią z całą serdecznością przyjęła, a może nawet i dopomogła w wynalezieniu miejsca. Zna ona wybornie Warszawę, gdyż mieszka tam od lat kilkunastu, przytem jest bardzo energiczna i obrotna, więc mogłaby być dla pauli doskonałą przewodniczką.

— Serdecznie panu dziękuję, ale planu zmienić nie mogę. Tak już umówiliśmy się z mamą i muszę tego się trzymać. Ciocia wie, że ja dziś przyjadę i zapewne oczekiwać mnie będzie na poczcie.

— Nie narzucam mojej rady, ale sądzę, że nie zaszkodzi gdy się pani z moją siostrą pozna. Dobra to bardzo i poczciwa kobieta. Znajomość z nią wyszłaby pani tem bardziej na dobre, że siostra moja sama na siebie pracuje.

— Niezameżna?

— Wdowa od lat dziesięciu. Krótko żyła i mężem, bo coś dwa fara niecałe. Pinarii zostawiła B dzieckiem. Chłopczyk ten do szkół już chodzi. Gdy siostra owdowiała, chciałem ją wziąć na wieś do siebie. Oparła się jednak stanowczo i powiedziała, że zamierza istnieć o własnych siłach.

— Były nawet z tego powodu nieporozumienia między nami — ciągnął dalej szlachcic — lecz siostra postawiła na swoim i nie żałuje dziś tego. Ma niezależny kawałek chleba, dochody niewielkie, lecz wystarczające, wychowuje syna bardzo dobrze, kształci go, czegoż żądać więcej?

— Istotnie! niech mi pan powie jaką drogą doszła do tego, jaki sobie zawód obrała?

— Bardzo pospolity, proszę pani. Nauczyła się kroju, szycia, a że miała niewielki kapitalik, więc założyła magazyn, z początku bardzo mały, ale z czasem rozwinęła go i dziś zatrudnia, jeżeli się nic mylę, dziesięć czy dwanaście panien. Otoż powiadam, że rada takiej kobiety praktycznej i doświadczonej mogłaby się pani bardzo przydać.

— Najzupełniej podzielam pana zdanie i niezawodnie zgłoszę się do siostry pańskiej, jeżeli...

— Jeżeli?

— Obawiam się, że osoba tak zatrudniona może...

— Zaręczam, że przyjmie panią z otwartymi rękami. Siostra moja ma bardzo dobre serce, zacne

go charakteru kobieta. Jak tylko przyjadę do Warszawy, opowiem jej o pani i uprzedzę, że paui ją odwiedzi.

— Dziękuję serdecznie—odrzekła, podając mu rękę.

Omnibus zatrzymał się przed stacją.

— Tu — rzekł — postoiemy z pół godziny, a może nawet i dłużej. Poczta jest wspaniałomyślną dla swych ofiar, pozwala im rozprostować zmęczone kości i rozgrzać się herbatą, łfiec pani wysiądzie. Znam wszystkie austerye na tym trakcie, moge więc być przewodnikiem. W tej, do której wejdziemy zaraz, jest nawet oddzielny pokoik dla dam, gdzie pani będzie mogła spocząć i poprawić toaletę... Otoż jesteśmy na progu. Niech paui wejdzie na sale, w te drzwi na prawo, a ja każe tymczasem przygotować herbatę.

W dużej izbie wyklejonej żółtem obiciem, był już ruch. Na bufecie stał ogromny, dymiący samowar, z poza którego wychylała się pulchna twarz gospodyni. Rozespany chłopak oczekiwał na rozkazy gości.

W stancyi znajdowało się kilka osób, gdyż lada chwila miał nadejść omnibus z. Warszawy; jedui spodziewali się znaleźć w nim miejsce, drudzy oczekiwali na gazety, na listy.

Rudy żydek w wypłowiałym chałacie, ma się rozumieć faktor, związał się między gośćmi w nadziei zarobku.

Ściany owej sali przyozdobione były starami

sztychami i litografiami, pokrytymi kurzem, ponątrancwi przez muchy. Jeden sztych przedstawiał wielkiego Napoleona, w historycznym szarym surducie, z lunetą połową u oka, drugi wyobrażał śmierć księcia Józela w nurtach Klsiry, na innych były Muzy, Gracyę i różne postacie mitologiczne. Nad wypłowiałą ze starości zieloną kanapą wisiało lustro duże, w ramach niegdyś zapewne złoconych, pokryte również warstwą kurzu. Żółte stoły jesionowe, czerwonymi serwetami przykryte, dopełniały całości umeblowania tego przybytku, w którym codziennie kilka partyj podróżnych zatrzymywało się, dla wypoczynku i pokrzepienia sił.

Po kilku chwilach panna Zofia, uporządkowawszy swoją toaletę, wyszła do owej żółtemi obiciami wyklejonej stancyi i zajęła miejsce przy oddzielnym stoliku obok swego towarzysza podróży.

Dzień już się zrobił na dobre, w stancyi było jasno, więc tóż nasi podróżni mogli się sobie nawzajem dobrze przypatrzeć.

Oboje czynili ten przegląd w milczeniu. On podziwiał drobne rysy jej twarzy, nacechowane wyrazem niezwyklej łagodności, ona zaś ze zdumieniem spostrzegła, że towarzyszy podróży, który jej się starszkiem wydawał, wcale na starego człowieka nic wyglądał.

Twarz jego była gładka i liiepoorana zmarszczkami, oczy czarne błyszczące, włosy bujne i gente niegdyś czarne jak heban, lecz teraz tak przypru

szone siwizna, że sir prawie białemi wydawały. Gdy miał na sobie iutro, którego duży kołnierz zasłaniał mu pół twarzy, to istotnie owe siwe włosy, wychylające się z pod czapki, nadawały mu pozór człowieka wiekowego. Światło latarki w omnibusie dopełniało złudzenia.

Panna Zofia spójrzała na niego z niedowierzaniem.

Pan mieni się przyjacielem mego ojca?—spjtała.

— Istotnie pani! łączył nas stosunek serdecznej przyjaźni.

Dziwna rzecz—rzekła, jakby w zamyśleniu—mój ojciec musiał być znacznie starszym od pana.

— O całe dziesięć lat, może i więcej nawet, przytem on się ożenił bardzo młodo, a ja zaledwie przed sześcioma laty. Ztąd wynika pozornie duża różnica wieku, bo on biedak umarł i zostawił po sobie dzieci prawie dorosłe — a ja utraciwszy żonę, zostałem z dwojgiem małych dzieci.

— Gdzież są te biedne sierotki?

— Są u mnie, na wsi, pod opieką drugiej mojej siostry. Pocziwa kobieta, ale... matki nikt podobno dobrze nie zastąpi.

— Zona pańska młodo umarła?

— Zginęła w płomieniach... jak męczennica. Straszne to wspomnienia—odrzekł smutnie—lepiej o nich nie mówić. Więc paui do swojej kuzynki się uda?—dodał, chcąc zmienić przedmiot rozmowy.

— Tak panie, trzymać się będę instrukcyj, jakie od manty dostałam. Zajadę wprost do babci, bo my tę kuzynkę babcią nazywamy i zaraz rozpocznę starania.

Rozległ się dźwięk trąbki pocztowej. Podróżni ruszyli się z miejsc i po kilku minutach omnibus potoczył się dalej ku Warszawie. Podróż w dzień nie wydawała się już Zosi tak przykrą i straszną. Zajmowała ją rozmowa podróżnych, zajmowały widoki okolic i czas uchodził szybko, niepostrzeżenie prawie.

Już było dobrze szaro, kiedy omnibus zaczął się toczyć po nierównym bruku Grochowa.

W oknach licznych domków płonęły światła, z kominów fabrycznych wylały iskry. Im dalej, tём dymy gęstsze, światel więcej. Omnibus przejechał przez Pragę, przez most pontonowy i powoli wtaczał się pod górę.

Otoż i Warszawa, pierwszy etap wędrówki sieroczej!

Zosia patrzyła z trwogą na to miasto wielkie, na ludzi biegnących szybko po ślizkich, kamiennych chodnikach. Czy wśród tego tłumu znajdzie się kto, co jej niedole odczuje i możność do pracowania na kawałek chleba poda?... A prawda, przecież jest babcia!...

Omnibus wjeżdża w dziedziniec pocztowy, gromada dorożkarzy ofiaruje przyjezdnym swe usługi,

faktorzy rekomendują tanie zajazdy. Gwar i krzyk. Zosia nie miała by się ruszyć w tym zgiełku, ani rzeczy swoich odnaleść, ale na szczęście zajął się nią towarzysz podróży. Rzeczy odebrał, do dorożki zanieść kazał; byłby nawet chętnie odwiózł Zoię do babki, ale narzucać się nie śmiał.

Ucisnął jej tylko rękę na pożegnanie i powodzenia życzył.

Dorożka stanęła wkrótce na Starem mieście, Zosia zeskoczyła, wzięła swoją walizkę i weszła do sieni wąskiej, długiej, o nierównej posadzce kamiennej. Kopcząca lampka naftowa oświetlała wnętrze tego sklepionego korytarza.

Usłyszawszy, że ktoś chodzi po sieni, stróż wysunął się ze swej kryjówki.

— A do kogo to?—zapytał gburowato.

— Mój człowieku, ja tu przyjechałam do mojej krewnej, pani Burhardt; czy nie moglibyście mi powiedzieć, gdzie ona mieszka?

— E...bc! moja panienko, ona daleko tera mieszka.

— Nie w tym domu? czy się wyprowadziła?

— A juści! wyprowadziła się na Powązki.

— Umarła—zawołała z przerażeniem Zosia.

— A dyć zmarło jej się temu tydzień. Doctory przychodzili, ale co to pomoże! na śmierć doktora nic ma.

— Gdzież ja się teraz podzieję? dokąd pójdę nieszczęśliwa?

— Toć Warszawa niemała...

— Aleja tu nieznam uikogol Stróż się poskrobał po głowie.

— Ja na to nie dochtór — rzekł —jak se pani przyjechała tak niech se paui odjedzie, ho tu nie ma co robić; pani Burnartowa pomarła, rzeczy już krewne zabrali, a w pokojach jutro malowanie będzie i zaraz się karta wywiesi... Nie ma tu pani co robić i tyło...

Zosia załamała ręce z rozpaczy.

n.

W magazynie strojów damskich pod firma „Władysława”, robota dzienna była skończona. Pracownice porzuciły się do domu, została tylko starsza panna, główna pomocnica właścicielki. Ta krzątała się jeszcze, to porządkując porzrzućane materyały, to znów zaglądała do dużej książki, w której zapisane były zamówienia i miary klientek. Magazyn do którego wchodziło się wprost z bramy, łączył się ze skromnem, ale bardzo gustownie urządzenem mieszkaniem właścicielki. Znać było w najmniejszym nawet drobiazgu rękę kobiety pracowitej i dbałej o porządek. Mieszkanko składało się z trzech pokoiów; w pierwszym z nich chłopczyk w granatowym mundurku siedział nad książką i powtarzał półgłosem

deklinarye łacińskie; w drugim jego matka nakrywała stół do herbaty.

Była to osoba w średnim wieku, ale jeszcze bardzo przystojna. Brunetka o dość regularnych rysach, wysoka, w ruchach i wyrazie twarzy, w spojrzeniu zdradzała stanowczość i energię. Tej właśnie energii i stanowczości zawdzięczała swoje obecne, niezależne położenie materyalne,

— Leoś! — zawołała na chłopczyka — poproś panny Felioyi da herbatę i sam złóż książki i chodź.
Chłopczyk pobiegł, a jednocześnie ktoś zadzwonił. Sama gospodyni pospieszyła otworzyć. Gościem jej był brat, a towarzyszył podróży panny Zofii.
— Przepraszam cię, moja Władziu — rzekł, podając jej rękę — żem się spóźnił, ale tyle mam różrych interesów do załatwienia. Trzy dni jestem w Warszawie i jeszcze nie koniec. Elżbietka mi wypisała cała litanię sprawunków.
— Ach! Elżbietka... ona zawsze ma tysiące poleceń, ale nic nudź, chodź, samowar już gotów.
— Wujcio! — zawołał chłopczyk radośnie, rzucając się szlachcicowi na szyję.
— Mam tu coś dla ciebie.
— O! niech wujcio pokażeł
— Później, później, jest tu coś bardzo ładnego.
— Psujez mi chłopca, mój bracie — rzekła pani Władysława — nic jest on przyzwyczajony do zabawek.

— To nie zabawka, to książka.
— Czy panna Felicya idzie?
— W tej chwili, marno, tylko jeszcze ma pozamykać szafy.
— No, chodźciez już raz.
Po chwili brat, siostra i Leoś siedzieli przy stole. Niebawem nadeszła panna Felicya, osóbką sucha, zawiędła, milcząca. Nie wtrącała się tez prawie do rozmowy.
Pan Józef opowiadał o dzieciach swoich, które na wsi pod opieką drugiej siostry zostawił, o kłopotach różnych, sprawunkach. Nagle gospodyni rzuciła mu pytanie:
— Powiedz mi, mój Józiu, czy nic sputkałeś gdzie Zosi?
— Córki pana Romana?
— No, tak! tej, o której opowiadałeś mi po przyjeździe. Powiedziałeś, że się do mnie zgłosi.
— Nie była jeszcze?
— Nie!
Pan Józef w czoło cię uderzył.
— Naturalnie! — zawołał jakże mogła być tu, kiedy zapomniałem powiedzieć jej gdzie mieszkasz,
— A to szkoda, to wielka szkoda. Ja zainteresowałam się bardzo tą panienką, tem bardziej, że wiem z jak dobrej i zacnej rodziny pochodzi i chciałam się zająć jej losem.
— Zawsze masz złote serce, moja Władziu!

— Żal rui dziewczyny: Młoda, niedoświadczona, jakąż solue radę da wśród o by eli łudzi?
— Miała zamiar nauczycicką zostać. Pani Władysława ruszyła ramionami.
— Nauczycielką — rzekła — i cóż będzie mogła mieć i tego? Chce być podporą rodziny, pracować dla matki i siostry młodszej... dużo im pomoże! Widzisz, Józiu, ja dobrze zastanowiłam się nad tem i zdecydowana jestem wziąć ją do siebie. Straci jakiś czas na naukę, to prawda, ale będzie miała za to dobry kawałek chleba w rękę. Czy tu, czy na

provincyi, założy magazynik, boć zapewne został im jakiś kapitalik, a w najgorszym razie możnaby się postarać, pożyczyć, czy jak. Przy niej wyuczyłaby się i ndodsza siostra.

— Istotnie, masz słuszość. Co za szkoda, że jej nie dałem twego adresu.

— No, to nic straconego, przecież powiedziała ci gdzie stanie.

— U jakiejś swojej kuzynki, na Starem Mieście, ale pod którym numerem, także nic wiem.

— Czemuż się nie spytałeś?

— Proszę cię, nie wypadalo, tem bardziej, że, jak uważałem, chciała unikać pytań.

— Wiesz co, Józiu, a gdybyśmy poszukali jej sami?

— Jakim sposobem?

— Stare Miasto nie wielkie, choćby przejść od domu do domu i pytać. Ja jak sobie co postanowię, lubię zaraz wykonać, a do tej młodej dziewczyny nabrałam szczególnej sympatyi. Takie nieszczęśliwe biedactwo!—godzi się przecież podać rękę, tembardziej, że nasze rodziny żyły niegdyś w dobrych stosunkach. Już ja prędzej coś poradzę, aniżeli jakaś babcia emerytka, może najzacniejsza staruszka... ale staruszka.

— Masz słuszość, Władziu, wyświadczyłabyś jej prawdziwe dobrodziejstwo.

— Pragnęłabym przynajmniej.

— A no, więc jutro możemy się wybrać na poszukiwania; jeżeli chcesz, będę ci chętnie towarzyszył.

— Jutro?! Mój drogi, jutro od samego rana mamy bardzo dużą robotę, a zresztą ja nie lubię odkładać, co robić, to zrobić zaraz.

— Dziś?

— A tak, w tej chwili jest godzina ósma — jeszcze zatem dość wcześnie. Za pięć minut moge być gotowa do wyjścia, a z powrotem odprowadzisz mnie.

— Ależ najchętniej!

— Wiec wybornie. Panno Feficyo, niech mi pani da kapelus. Otoż, widzisz Józiu, jak to prędko idzie, bierz palto na siebie i chodźmy, a raczej jedźmy.

— Mamo? i ja bym pojechał — prosił nieśmiało chłopczyk.

— Dobrze, pojedziesz.

Po chwili dorożka wiozła wszystko troje ku Staremu Miastu.

Nielatwo było natrafić na ślad Zosi, bo w którym dom a na Starem Mieście nie mieszka jaka emerytka? Rozpytywali stróżów, aż nareszcie po długim poszukiwaniu znaleźli jednego, który mógł coś o przyjezdnej pauience powiedzieć.

— Taka eieniuchna? — pytał — chuderława na gębie.

— Tak! szczupła...—potwierdził pan Józef.

— Przyjechała deruską z poczty i miała ze sobą skórzany kuferek?

— Istotnie miała walizkę skórzaną.

— Ano, to rychtyk będzie ta!

— Pokażcież nam, proszę, gdzie mieszka, potrzebujemy się z nią widzieć.
— Albo ja wiem gdzie ona mieszka... jak sobie przyjechała, tak i odjechała.
— Przecież miała stanąć w tym domu u swojej krewnej.
— A juści, właśnie, jeno że się stała taka przygoda, ona krewna pomaria i pochowali ją, a ta panienka wybrała się do niej w gościnę.
Pani Władysławw spojrziała na brata.

— Jaka to szkoda — rzekła — że nic dałeś jej mego adresu. Wyobrażam sobie kłopot tej biedaczki. Cóż zrobiła, do kogo się udała? Musimy się dowiedzieć przecię.
Do sieni wbiegła jakaś otyła jejmość, usłyszawszy kilka słów rozmowy, zatrzymała się.
— A co! — zawołała tryumfująco — ja wiedziałam, że ktoś będzie tej panienki szukał. Co porządne, to zaraz można poznać z pierwszego wejrzenia. Ja wiem to dobrze, ja się znam, bo ja nie dzisiejsza przecie!
— Pani może powiedzieć nam co o tej osobie? — spytała pani Władysława.
— Ma się rozumieć, że mogę, ale przecież nie w sieni. Proszę państwa do stancyi, wszystko rozpowiem — juściz nie będę państwa tu trzymała. Jaka stancya jest, taka jest, ale zawsze stancya. To tu, proszę państwa, obok, w drugim domu. Drogo, drogo, proszę państwa, gospodarz drze, że uiech Matka Boska broni, ale co robić, juści trudno na bruku siedzieć, jeszcze z magłami! Bo, proszę pani, ja magle mam, dwa porządne magle, zaraz państwo zobaczą. Na dole moja stancya, bo według magli wysoko mieszkać nie można, a po drugie tera, proszę państwa, sługi to wielkie panie! którejby się chciało z tobołem bielizuy po schodaeb chodźć? Oto tu! — rzekła, otwierając drzwi—proszę, proszę,

wszyscyutko opowiem, boć tu panienka, to zapewne krewna państwa.

— Tak! — odrzekła pani Władysława, aby coś odpowiedzieć.

Gadatliwa jejmość wprowadziła gości swych do mieszkania. Składało się ono z dużej izby, w której stało dwa staroświeckie magle i małego pokoiku, będącego widocznie buduaem ich właścicielki. W tym pokoiku było bardzo czysto i porządnie. W oknie kwiaty, na ściauach obrazy, przytem szafa, komoda, parę krzesel i ogromne łózko, przykryte białem prześcieradłem.

— Nicheże państwo spoczna, proszę bardzo! — mówiła uprzejmie gospodyni — a i ja też siadę, bo jestem podupađła na nogi. W takiej wilgoci, żeby człowiek żelazny był nawet, to by zardzewiał — a cóż dopiero biedna wdowa. Bo juściz wdową jestem, już od siedmiu lat, tak się oto kołaczę... ala cóż ja gadam. Miałam o tej paniece...

— Właśnie, jeśli pani łaskawa, eiekawiśmy bardzo.

— Wierzę, wierzę, drogiej pani, ja sama też dzieci mam i odchowane już Bogu dzięki... tedy, właśnie szlam sobie... po cóż ja to szłam? Boże miłosierny! cóż to za kurza pamięć... po naftę, a tu obok przed kamienicą kupa ludzi. Ciekawość mnie zdjęła, przystanęłam. Patrę panienka jakaś stoi i płacze. .Stróż pijany plecie lióg wie co, stróżka

jeszcze gorzej pijana... gadają, krzyczą, machają rękami—a to biedactwo płacze. Ale, że ja nie dzisiejsza i nic w ciemną bita, tak przepchałam się aż do tej pani i pytam: a co? a jak? a z kąd? Ona powiedziała parę słów i podług tego zaraz zmiarkowałam co jest. Już się myślę sobie: niedobrze. Nieboszczkę panią Burchartową znalazłam ja, godna była pani, zawsze przysyłała do mnie do magła, słyszę tedy, co się święci, i już chcę gębę otworzyć, żeby coś powiedzieć, aż tu Jankłowa, nie wiem czy ja pani na?

— Z kądże?

— Szelma z pod ciemnej gwiazdy, żeby ona z piekłą nie wyjrzała, powiada: niech się panienka nic martwi, ja panience dam śliczny pokoik i tak będzie panience dobrze! —jak wiadomo, taka to już wie, co ma mówić, a tu zuowuż, nie wiedzieć z kąd, wyrwał się jakiś wypłosz, taki fanfaron, w cylindrze, ze szkiełkiem na nosie i także się nastęcza z pokojem. Tedy, proszę paui, już nie mogłam ścierpieć! .Iak przyskoczę do owego eleganta, jak zacznę po swojemu! Pani kochająca, sam nie wiedział którędy nia uciekać, a potem do Jankłowej: A ty, powiadam, taka i owaka, to ty tak?! Zaraz rewirowego zawołam!.. Odszczekiwała mi, bo odszczekiwała, ale się zlekła, bo wie, że ja w gniewie nio pytam i że sprawiedliwość za mną będzie. Dość że przepędziłam żydówkę i zaraz obces biorę tę panienkę za

ręki; i powiadam: Nic patrz, panienko, ie ja biedna i prosta kobieta, ale jestem stateczna, matka dzieciom, i sierocie krzywdy nic zrobię. A ona popatrzyła na innie, popatrzyła, nareszcie powiada: „Pójdę z pauią!r i poszła.

— ŚJicznieś pani zrobiła, bardzo uczciwie, bardzo godnie.'—rzekła pani Władysława.

— A! Boże miłosierny, czy to nie moje psie prawo? A toż chybabym ostatnia już była, żeby takiej sierotki nie poratować w kłopotcie. Przyprowadziłam ją tu, do tej samej stancyi, jaka i państwa teraz, i powiadam: niech się panienka nic nie boi, ja magle utrzymuję... jeszcze tylko parę wałków przekręcą i będzie całkiem cicho. Ona sobie usiadła na krzeselko, płacze i drży, ale to, powiadani państwu, tak drży, jakby ją frybra trzęsła. O! myślę sobie, źle! rozchoruje się biedactwo i będzie... ale że ja też wypraktykowana, więc powiadam: moja panienczko kochana, nic pytając rozebrać się i kłaść, a ja duchem samowarek nastawię, herbaty gorącej dam i bez to wszysfek mróz z panienki wylezie i do jutru będzie panienka zdrowa. Proszę, ma się rozumieć, grzecznie, a ona nie, „dziękuję i dziękuję". Już mie też i złość wzięła, bo, proszę państwa, poprawdzie mówiąc, trochę prędką jestem...

Pani Władysława uśmiechnęła się. — Niech się pani nie śmieje, prędkie ludzie złe nie są. Powiadam: co panienka sobie myśli, ja

mam zamężną córkę i ta moje musi słuchać, a panienka jest, za pozwoleniem, dzieciak—a skórom panienkę tu wzięła, to moje psie prawo uczciwie panienki dopilnować. A może, powiadam, panienka się tego łóżka brzydzi, proszę zobaczyć, jak czyściutko powleczone. Zaraz posłałam porządnie i powiadam: nie stroić grymasów, tylko się kłaść! Nawet przy tupnęłam nogą... No, jakoś posłuchała. Ja też zaraz duchem samowarek nastawiłam i trzy pacierze nio wyszło, jak dałam jej herbaty i nawet kapeńkę araku dolałam, bo to do zimna wypędzenia jedyne... Ona nic już nic odzywała się, afe uważałam, że spogląda na mnie dobrze. Zaraz też usnęła. Ja też jeszcze kręciłam się po stancyi, patrzę, a moja panna takich kolorów dostała aż miło. No, myślę sobie, Bogu dzięki, nie będzie jej nic.

— Wierzę, że usnęła dobrze—wtrącił pan Józef—po takiej długiej i utrudzającej podróży.

— A tak! panie, a przytem takie młode stworzenie to śpi, jak na urząd, ja też zrobiłam sobie w kącie posłanie i układałam się. Raniutko, jak tylko zadzwonili u Fary, wstałam, zaświeciłam lampkę, patrzę, moja sierotka otwiera oczy, przebudziła się zdrowa, śmiejąca nawet i dopicroż: a „Bóg zazapłać! —powiada—a „czem ja pani odpłacę...” — przysiadłam koło łóżka i pytam dopiero: jak? eo? zkąd panienka jest? gdzie się chce udać? Oj Boże, Boże, wypowiedziała mi nieboga wszystko, o swojej nie

doli, o ojcu, o oracie, jak jej teraz w świat potrzeba iść. Ona się popłakała i ja się popłakałam i tak płakałyśmy obie nad tą niedolą, nad tym losem, nad temi śmierciami. Jak roi zaczęła opowiadać o wsi, jeszczem się bardziej rozżaliła, boja też nie warszawska rodem...

— Ze wsi?

— A ze wsi, panie, ac mnie los do Warszawy zagnał, tu za mąż poszłam, za woźnego... dobry człowiek był, niech mu Pan Kog da niebo. Tyle łat tu mieszkam, a przecie zawsze mnie do wsi ciągnie... ale co tam, już mi poła kawałka nic oglądać, chyba raz do roku na świętego Bonifacego w Czeruiakowic Oj, popłakałyśmy się, popłakały obie, ja znownż samowarek nastawiłam i powiadam tak: moja panienczko kochana, moja panno Zofio, bo powiedziała mi jak jej na imię, rychtyk jak i mojej córce—Bóg nad sierotami, niech się panienka ogarnie, pójdziemy do Fary do Pana Jezusa, wysłuchamy obie mszy świętej, pomodlimy się. Ona z wielką chęcią. Poszłyśmy, akuratnie zaraz się msza zaczęła... Ona tedy panienka wyszła jakoś raźniejsza i zaraz się rwie obowiązku szukać. Ja mówię, niech sobie panienka odpocznie, rozpatrzy się... „Nie, zaraz”, powiada. Pilno jej było, sierotce, do obowiązku iść. „Moja pani, powiada, musimy się przewiedzieć gdzie taki kantor jest, co dla gubernantków obowiązki stręczy”. Ja sama nie wiedzia

lam, aio mam znajomą sklepikarkę na Zapiecku, bardzo przebiegła kobieta, spekulantna i codzień „Kuryera” czyta. Poszłam zaraz do niej, powiadam co jest, a ona mi z miejsca powiada: tu kantor, tu kantor, ale każe iść na Krakowskie Przedmieście, bo tam podobno największy. Mnie sług do magła nalazło dość, nie mogłam z panienką sama iść, ale kazałam trózwemu chłopcu, żeby zaprowadził i przyprowadzi), bo w Warszawie gorzej niż w lesie, dla takiego, co

miasta nic zna. Poszła. Może za godzinę wraca wesoła, cieszy się, powiada: „moja złota pani Pętlicka, bo mnie Petlicka na przezwisko, a po mężu Winecztowa, moja pani Pętlicka, Pan Bóg nas wysłuchał, mam miejsce!

— Odrazu?

— Odrazu, powiadam państwu, godzinki nie zabawiło. Powiada: „mam miejsce za gubernantkę do dwojga dzieci, na wieś. W kantorze mówili, że państwo bardzo bogate i znaczne”.

— Tu w Warszawie?...

— Żeby w AYarszawic, tobym choć kiedy niekiedy zobaczyła tę panienkę, bo przyznam się państwu tak mi oto do niej serce przylgnęło, jak do rodzzonego dziecka, o tęsknić się nic mogę. Chciałam namawiać, żeby pozostała, że może się jeszcze co trafi, ale nie wypadało nastawać, możeby później żal miała. Podrugie i nic posłuchałaby pewnie, bo zaraz tego samego dnia pojechała, choć bardzo pro

silan, żeby została na noc, żeby choć odpoczęła trochę.

— Nie wie pani dokąd pojechała? — spytał pan

— A no, pocztą pojechała, sztankieJerką, czy jak się tam zonie, niby tą co do Brześcia odjeżdża.

— Do Brześcia?!

— Nie do samego Brześcia, ale w tamtą stronę, podobno w Łukowie, czy w Białej miała wysiąść, a potem jeszcze w bok parę mil. Dość, że odjechała wieczorem, sama ją odprowadziłam na pocztę. Dobra, kochana panienka, pokochałam ją jak rodzone dziecko! I oto pamiątkę po niej mam. Dziękowała mi za nocleg, jakby Bóg wie za co... i powiada tak: „Moja pani Pętlicka, za tę przysługę, coś mi wyświadczyła, za twoje dobre serce nie śmiałybym ci ofiarować pieniędzy.” Małom nie wybuchnęła, bo jakże, proszę pani! ale ona nio dała mi przemówić i powiada, że „serce można tylko sercem odpłacić,” jak mi Bóg miły tak powiedziała — a zaś mówi: na pamiątkę naszej znajomości przyjmijcie — powiada — książeczkę do nabożeństwa” i położyła paczuszkę na komodzie. Ja nie patrzyłam, bo to i żal mnie zdjął i już naprawdę był czas — dopiero za powrotem spoglądam, a tu książka uowiusieńka, śliczuości! i jakby dla mnie zrobiona, bo litery wielkie, a ja na oczy nie bardzo. Będę się codzień modliła, żeby Pan Bóg nad tą dobrą panienczką...

— Więc paui uie wiadomo dokładnie dokąd po. jechała?

— Mówiła jak się owa wieś zowie, ale co prawda już p rzepom ni al am.

— Szkoda...

— E nie, poczekawszy z tydzień będę wiedziała.

— Zkąd?

— Obiecała, że do mnie napisze.

— Czy by paui uie była tak grzeczna po otrzymaniu listu...

— Dać państwo znać? Dlaczego nie!

— Do tej pani, do mojej siostry — rzekł Kamiński i wymienił adres.

— Owszem, proszę pana z największą chęcią, zaraz, abym tylko odebrała.

— Dziękujemy pani bardzo za objaśnienie, bar. dzo dziękujemy!

— Nie ma za co... Niech Pan Bóg prowadzi... poświęcę państwu, bo tu u was w sieni ciemno, jak w piwnicy. Niby się to tli jakiś knotek, ale Boże zmiłuj się, nasz gospodarz to tylko do komornego podnoszenia pierwszy, ale żeby choć pice wylepić, goździk w ścianę wbić!... Dobranoc państwu!... Ostrożnie po schodkach. Ja powiadam zawsze, że dopiero jak on sam nogę złamie, to każe te schodki zrcperować... Dobranoc!

Pani Władysława z bratem wsiadła w dorożkę i po upływie kwadransa oboje siedzieli przy stole

w pokoju przyległym do magazynu. Rozmawiali z sobą to o tein, to o owem, nareszcie odezwał się pau Józef.

— Szczególna rzecz jednak, jakie ta Zosia ma szczęście do ludzi, ta magłarka na przykład...

— O! w tej sferze bardzo często znać można serca bardzo dobre.

— Przecież ty nie należysz do tej sfery, a jednak zainteresowałaś się Zosią także, chciałaś ją zabrać do siebie.

Po ładnie zarysowanych ustach pani Władysławy przemknął uśmiech przelotny.

— Ja mój Józiu — rzekła — jestem przedewszystkiem kobieta praktyczna.

— A cóż ma wspólnego praktyczność z losem Zosi?

Hin!... zobaczylibyśmy to później.

— Nie rozumiem cię, Władziu!

— Tyłeś mi o tej Zosi naopowiadał, że przyszedł bardzo łatwo do wniosku, że jesteś nią zajęty...

— Ja!?

— Ty, mój bracie.

— Co mówisz?

— Dla mnie nie ma w tem nic a nic dziwnego.

— Czyż ja się mogę kim zająć? Czy mógłbym się ożenić?

— Mojem zdaniem powinieneś koniecznie.

— A dlaczegóż ty za mąż wyjść nie chcesz?

— Bo mi samej lepiej. Mam pracę, niezależność,

syna odchowanego i dam snbic rade na świecie, ty zaś z dwojgiem małych dzieci nie możesz się obejść bez pomocy kobiecej.

— Przecież Elżbietka!...

— Czyż tobie się zdaje, że ona potrafi dzieci wychować? Nie mój kochany, pod tym względem mylisz się. Nie zapieraj, że owa Zosia ci się podobała, bo ja to widzę. Nie mów mi również

o tem, że nic ożeniłbyś się przez pamięć o pierwszej żonie. Wiem o tem, żeś ją kochał, to prawda, ale nie ma jej już. Czas zaciera holesue rany w sercu, a ty przecież jesteś jeszcze miody.

— I siwy!

— Do twarzy ci z tą siwizną, mój Józiu... Zresztą, o co się spierać. Nie ożenisz się dziś, to się ożenisz za rok. To nie uchybi pamięci zmarłej. Bardziej uchybiałoby gdybyś żył Bóg wie jak i może wszedł na złe drogi, zaniedbał dzieci. Takie jest przynajmniej moje przekonanie. Mógłby kto zarzucić Zosi, że jest biedna, ale ty biedny nie jesteś i możesz pracować. Panienka z zacnej rodziny, z dobrymi zasadami, mogłaby być dla ciebie bardzo odpowiednią towarzyszką życia—naturalnie gdybyś ją, poznawszy bliżej, pokochał.

Pan Józef nie przerywał, siostra mówiła dalej:

— Otoż dla tego chciałam wziąć Zosię do siebie. Przez jakiś rok, lub dłużej, nauczyłaby się pożytecznego zatrudnienia, a ta umiejętność kobiecie

zawsze się przyda. Towarzystwo moje nie wyszło by jej na złe, a ty, Józiu, znalazłbyś sposobność do bliższego jej poznania i zawiązania lej nitki serdecznej, któraby was połączyła na zawsze. Takie były moje plany... niestety, nie udały się.

— Nie udały się...—powtórzył pan Józef obojętnie na pozór, lecz pani Władysławie zdawało się, że słowom brata towarzyszyło ciche, bardzo ciche westchnienie.

III.

Pannie Zofii sprzyjało osobliwsze szczęście.

Orazu, przyszedłszy do kantoru, znalazła posadę i to stosunkowo dość korzystną. Przyjęła ją leż bez wahania i, jak wiemy, pomimo próśb i perswazyi gadatliwej, ale bardzo zacnej Pętlickiej, pojechała zaraz, ażeby objąć obowiązki. Los rzucił ją na Podlasie, do ludzi uchodzących za bardzo zamożnych, prowadzących dom wystawnie, co nawet wyglądało dość rażąco na tle ogólnej biedy i przygnębienia.

Państwo Kramarzewscy niedawno mieszkali w Lipowie. Nabyli majątek ten przed pięcioma laty i mieli się zaraz sprowadzić, ale odnowienie i wy porządzenie rezydencji zajęło sporo czasu, a potem przyszły chwile burzliwe, niebezpieczne, uznali więc, że lepiej przepędzić je spokojnie wśród murów miej

kich. Dopiero gdy burza przeszła, gdy uciszyło się wszystko i powoli do urojącego trybu powracać zaczęło, zjechali do Lipowa z całym dworem, z dziećmi, kuzynką, liczną służbą — i wystawnym życiem, elegancją powozów i strojów wprawiali w podziw sąsiadów, którym każdy grosz z nieopisaną trudnością przychodził. Każdy dzień pozostawania pod własnym dachem wydawał się jakby darowanym.

Dokoła, w lasach, które naówczas jedyną deską ocalańia stanowiły, rozlegał się łoskot siekier... stare dęby i sosny padały pod toporami spekulantów; dokoła coraz widzieć było można szeregi kolonistówniemców dążących do objęcia siedzib za bezcen kupionych. Dokoła było tęskno i smutno — a Lipów wygląda! niby oaza na pustyni.

Tam, jeżeli narzekano, to chyba tylko na nudy, jeżeli martwiono się, to z powodu zabawy do skutku niedoszłej, jeżeli kłopotano się, to tylko z przyczyny obiadu, który mógł się kucharzowi nie udać.

Bo o cóżby innego? Żaden z sąsiadów stu rubli wówczas nie mógłby dostać, bo nawet żydzi lichwiarze zamknęli swoje kasy a do Lipowa grubsi „kupcy” zjeżdżali się, jak na jarmark, z propozycjami interesów różnych, z gotowością udzielania szerokiego kredytu.

Pan Kramarzewski gospodarzem z zawodu nie był. Kupił Lipów dla rezydencya dla stanowiska,

może dla ambicyi poniekąd, gdyż. się o mandat radcy do Towarzystwa kredytowego ubiegał.

Historya tego pana da się opowiedzieć w kilku słowach.

Ojciec jego był urzędnikiem, podobno na komorze, przez cale życie skąpił, oszczędzał i zebrał spory kapitalik, syna kierować chciał na drogę handlową, gdyż, jak twierdził, jest to jedyny sposób dojścia do majątku.

Śmierć pokrzyżowała te plany. Stary Kramarzewski, powróciwszy pewnego wieczoru z resursy, gdzie mu karta szła świetnie, zmarł na auewryzm i spoczął w rodzinnym grobie na Powązkach, a uzbierane przez niego kapitały w całości przeszły na własność jedynego syna, Leona.

Młody człowiek stratę ojca oplakał, ale że miał się czem pocieszyć, więc łzy mu oschły prędko i rozpoczął życie wygodne, spokojne, bez troski. Używał go też, nie żałując sobie na przyjemności wszelkie, mieszkał elegancko, jadał wykwitnie, ubierał się u pierwszych krawców, protegował niezmiernie balet; ale trzeba mu oddać tę sprawiedliwość, że czynił wszystko z kredką w rękę i chociaż wyczerpywał procenta, kapitału jednak ani o jeden grosz nie uszczuplił. Nie śpieszył się też z ożenieniem, twierdząc, że mu samemu jest bardzo dobrze na świecie i że złotą

wolność poświęci jedynie tylko dla osoby, któraby łączyła w sobie zalety majątkowe z wielką dystynkcją i arystokratycznym pochodzeniem.

Na jednym balu w resursie spotkał taki właśnie ideał. Pochodzenie i dystynkcya nie ulegały żadnej wątpliwości, co do stanu majątkowego informacje były mniej jasne, lecz powierzchowność przeważała, szalę wahania. Na owym balu pan Leon zrobił znajomość z panią baronową Lutz, mającą dwie córki. Obie odznaczały się oryginalną pięknnością, przy matowo białej cerze posiadały pyszuc rude warkoczki i oczy koloru fali morskich.

Pan Leon uganiał się za oryginalnością, więc te niezwykle piękności, a raczej jedna z nich, młodszą, zrobiła na nim wrażenie. Po kilku wizytach oświadczył się o rękę młodszej, Anny. Starsza baronówna, Franciszka, skrzywiła się na to,

ale małżeństwo przyszło do skutku i odbyło się według wszelkich form, z wykwiutnem śniadaniem na sto osób, z podróżą poślubną na południe...

Po kilku miesiącach pan Leon powrócił do kraju, zupełnie podbity przez piękną i dystygowaną małżonkę, myślący jej myślami, słuchający rozkazów z całą uległością. O posagu nic było już mowy, zastąpiła go nadzieja jakiejś wielkiej sukcesyi, która, po czyjemś najdłuższem życiu, spaść miała na marne Entz.

Pani Anna zauważyła, że nie przystoi, aby jej

mąż prowadzi! życie beczynne, że powinien kupie majątek ziemski z piękną rezydencyą i postarać się o jakiś urząd honorowy. Należało to według jej zdania, zrobić dla dobra dzieci i dla ich przyszłości, która rzecz naturalna, powinna być przecież wyjątkowo świetna.

Dzieci tych było dwoje, obie dziewczynki, starsza Leonia (na cześć ojca otrzymała to imię), młodsza Wilhelmina, nazwana tak dla uczczenia pamięci jakiegoś znakomitego przodka Lntzów, który jak tradycya niesie, chadzał ongi z Krzyżakami pogańską Litwę nawracać.

Zaczął tedy pan Leon poszukiwać majątku, aż nareszcie, po długim jeźdzeniu i szukaniu, zdecydował się na Lipów. Zaraz po nabyciu tej fortuny przysłano z Warszawy partyę robotników, w celu odrestaurowania i odświeżenia starego pałacu, uporządkowania i upiększenia parku.

Ku wielkiemu niezadowoleniu pani Anny, a zwłaszcza jej mamy, zaszły w kraju wypadki, wobec których przezorność nie kazała porzucać murów Warszawy. Stan taki trwał blisko przez dwa lata. W tym czasie, pani baronowa mama przeniosła się do lepszego życia, pozostawiwszy zięciowi, zamiast sukcesyi, starszą swoją córkę, Franciszkę, która oprócz siostry nic miała już nikogo na świecie.

Pani Leonowa, wybierając się na wieś, postanowiła dom otworzyć, gości przyjmować i uszczęśliwić

którego z młodych sąsiadów biała, rączką swej ukochanej siostrzyczki.

Niedługo po przyjeździe i zainstalowaniu się w pałacu, upatrzyła odpowiedniego kandydata i postanowiła zarzucić na niego siatkę, z dystynkcyą, wdziękiem i dyplomacyą. Naturalnie panna Franciszka musiała być wtajemniczona w te plany i zręcznie zaczęła grać rolę zakochanej, że jednak tego rodzaju eksperymenta nie zawsze uchodzą bezkarnie, więc ani się spostrzegła jak uczucie już nieudawane, ale prawdziwe, wkradło się w jej serce, jak ją pochłonęło całą, pozbawiło snu i spokoju.

Tak stały rzeczy w Lipowie w chwili przybycia Zosi.

Pani Anna, ujrzawszy przed sobą młodziutką ładną i sympatyczną dziewczeczkę, nie nkrzyła swego zadowolenia.

Wyznała przed mężem, że guwernantka jest zupełnie dobra i że dziewczynki mogą od niej skorzystać wiele.

— Bo proszę cię Leonie — mówiła — wszystko za nią przemawia. Nie wiem, gdzie ją uczono po francuzku, ale akcent ma wyborny, Leż zarzutu — gra, słyszałeś jak wczoraj grała?

— Słyszałem. I cóż?
— A no, nie źle... wcale nio źle — odrzekł wahając się — nie wiem jak ty uważasz...
— Ja uważam, że gra świetnie. To, proszę, cię, artystka! Hyla onieśmielona, ale jakie dotknięcie, jaka biegłość.
— Istotnie masz słuszość Andziu, zem tóż tego odrazu nie zauważył... to szczególne!
— Dziś po obiedzie poproszę ją, żeby co zagrała, przekonasz się.
— Skoro tak powiadasz, to już jestem przekonany, ale posłuchani, posłucham z przyjemnością.
— Dzieci bardzo ją pokochały.
— I to dobrze.
— Powiadam ci, że odrazu przyłgnęły do niej jak przylepki, jakoś umiała się im podobać.
— Z tego uważani, że jesteś zadowolona z panny Zofii, Andziu, a skoro ty jesteś zadowolona...
— No tak, dla mnie ma ona jeszcze dwie ważne zalety, przede wszystkim jest dopiero w pierwszym obowiązku.
— A cóż to znaczy?
— Bardzo wiele. Grymasów nie ma, poprzestanie na tem, co jej dadzą i jest zadowolona.

— Może być!...
— Powtóre, a co w moich oczach znaczy najwięcej, pochodzi z rodziny obywatelskiej.
— No...
— Mój Leonie, przeczuwam, że chcesz się wyrwać z jakąś uwagą, a ja tego nie lubię... twoje demagogiczne przekonania schowaj gdzie pod ziemię i w mojej obecności nio popisuj się! niemi. Obecnie zwłaszcza, mógłbyś ich nie pokazywać nikomu.
— Przecież nic nio mówie...
— Ale myślisz... to na jedno wychodzi!
— Nie, Andziu!
Nic protestuj, proszę, znam cię dobrze. Wiem, że udajesz białego, ale w gruncie rzeczy jesteś czerwony, a ja nic chcę, żebyś takim był.
— Przecież gdybym był taki, jak mówisz, nic ożeniłbym się z tobą.. jesteś arystokratka.
— O, to nie dowód, mój panie. Wszyscy jesteście jednakowi, boście wszyscy mężczyźni. Potomek Bayarda zajrzy w oczy lada chłopce, byle tylko była piękna — a najczerniejszy demagog padnie do nóg księżniczce... żeby go tylko chciała...
— Ależ, droga Andziu...
— Oh! nie przerywaj, o to nie ma sporu, pod tym względem nie może być dwóch zdań.
Gdy tak państwo Leonowie rozmawiali ze sobą. Zosia ukończywszy lekcye, zamknęła się w swym pokoiku, aby odpocząć trochę i zanim poproszą do

stola, chociaż część korespondencji załatwić. Niewiele miała do pisania, tylko trzy listy, a właściwie dwa, gdyż trzeci do poczciwej Petyckiej w rachuchunek nie wchodził i był już napisany. Zosia, wywiązując się z przyrzeczenia, danego swej przygodnej opiekunce, doniosła jej, że zajechała na miejsce zdrowo i że jest z posady zadowolona. Doniosła poczciwej babinie, że ją ma zawsze w pamięci, i że przy pierwszej bytności w Warszawie, nie omieszka jej odwiedzić. I była rzecz z listem do matki, do tej dobrej, strapionej i cierpiącej...

W tem piśmie chciałaby Zosia wypowiedzieć wszystko, zdać sprawę z każdego dnia, z każdej godziny niemal.

Wyspowiadać się ze swej tęsknoty do najbliższych i najdroższych sercu, ze wszystkich myśli swoich, rojeń i marzeń. Pragnęłaby opisać najbardziej szczegółowo ludzi, wśród których się znajduje, dzieci, które uczy, zwyczaj domowy, w którym przebywa.

Wie ona, że gdyby mogła jakim cudem znaleźć się na chwilę przynajmniej z matką, to pytaniom nic byłoby końca, najmniejszy szczegół pobytu wśród obcych musiałby być opowiedziany.

Siadła przy stoliku i puściła drobną rączkę po papierze. Szeregi małych, zgrabnych literek, niby dwa sznureczki równe, snują się z podjej paluszków.

Już zapisała kartkę jedną, drugą i trzecią, już arkusik się skończył, a tu jeszcze tyle do powiedze

nia zostało! Bierze drugi arkusik i ten nie wystarczy, robi więc przypisek i jeszcze odsyłacz. Boć nietylko o solne donieść, ale i o kochanyc zapytać w liście potrzeba: Co robi mama? co siostra, jak dzień przepędzają, czy zdrowe są, czy myślą kiedy o swojej Zosi, czy rozmawiają o niej?

Dziwią się (udzie długim, drobiazgowym listom kobiecym, wyśmiewają obfitość przypisków i dodatków, ale naprawdę nic w tem śmiesznego nie masz. Córka przed matką chciałaby duszę otworzyć, więc też pisze i pisze, bo wie, że dla matki najdrobniejsze szczegóły obojętne nie będą i że zostaną z rozrzewnieniem przyjęte.

Do pisania trzeciego listu zabrała się Zosia dopiero, gdy już w całym pałacu lipowskim światła zagasły, a noc rozpostarła nad okolicą swój wielki płaszcz gwiazdzisty.

Cicho jest, śpią wszyscy, tylko chwilami szczebanie psów we wsi, lub ostrzejszy poświst wiatru, przerywa spokój i milczenie nocy.

Do ułożenia takiego listu, jak Zosia ma skreślić, potrzeba wyjątkowego spokoju, ho list to niezwykły i do napisania nie łatwy. Zosia pragnęłaby wyrazić w nim uczucia swoje, określić tęsknotę, ale się musi w wyrażeniach miarkować...

wyrazy najogólniej dobierać, gdyż każdy silniejszy okrzyk żalu albo smutku mógłby przyczynić cierpień temu, do kogo list jest pisany.

Czyż on tam, zdala od swoich, nie rozzala się i nie tęskni? Czyż można rozjątrzać ranę, jaką ma w sercu... przeciwnie, raczej odwagi, otuchy i wytrwałości dodać mu należy. Powinien list przyjąć do niego, niby duch pocieszyciel z promienną gwiazdą u czoła, niby dobra wróżka z gojącym balsamem na rany, niby zwiastun lepszej doli... Nie łatwe to zadanie pocieszać, gdy we własnym sercu żal i smutek nurtuje, koić tęsknotę, będąc samej stęsknioną, mówić o nadziei, gdy jej się w duszy własnej nie ma. I jeszcze w jaki sposób mówić? jakich wyrazów używać? Czy list dojdzie do niego bezpośrednio, czy też pierwszej obce oczy na nim spoczują?

Te względy utrudniały Zosi zadanie, to też litery i wyrazy nie wybiegały z pod jej paluszków tak szybko, jak w liście do matki, lecz kreślone były powoli, z rozważą. Same półsłówka, domyślniki, przenośnie... A jakżeby pragnęła zerwać te pęta, puścić myśli swobodnie; niechby pofrunęły jak ptaszęta przez pola szerokie, przez rzeki, jeziora i stępy, niechby na skrzydłach swoich tam do krainy lodów zaniósły ciepłe tchnienie miłości.

Jakżeż daleko, daleko pójdziesz kartko biała, posłanniczko kochającej i stęsknionej! Jak on cię serdecznie do ust będzie przyciskał!

Już było bardzo późno, gdy Zosia skończyła pisanie. Z położonych niedaleko pałacu zabudowań

gospodarskich, słychać było pianie kogutów, a w niektórych chatkach we wsi ogień palono.

Zosia spojrzała na zegarek, była już blisko czwarta rano. Za ledwie kilka godzin zostało na sen, gdyż o dziewiątej rozpoczynały się zwykle lekcje z Leonką i Wiłą.

Powiedzieliśmy, że pan Leon głównie dla pięknej rezydencji kupił Lipów i istotnie pod tym względem zadowolnił uawet dość wybredną w gustach swoją małżonkę.

Dąży, murowany dwór, który w okolicy powszechnie pałacem nazywano, miał kilkanaście pokoi, a w ich liczbie ładną salę o czterech oknach, z drzwiami, wychodzącymi na taras, z którego po kilkunastu niskich, szerokich stopniach schodziło się do parku.

Od frontu przed pałacem ciągnął się obszerny dziedziniec, otoczony małowniczymi grapami drzew. Z po za lip rozłożystych strzelały wysokie, włoskie topole, a biała kora brzoź ładnie odbijała od ciemnej, prawie czarnej zieleni świerków.

Piękny był też i park w Lipowie. Przerzynała go wązka i kręta rzeczulka, po przez którą zrucono kilka mostków, w grupach starych drzew chowały się altanki, nęcące chłodem i ciszą podczas skwarnej dui letnich.

Folwark znajdował się niedaleko pałacu, nie tak wszakże znów blisko, żeby prozą swój powszednio

sci miał razić estetyczne gusta właścicielki. Lipy i topole zasłaniały widok obór i stodół, domagających się gwałtem podpór i reperacji.

Dopominał się o to rządcą, niemiec, podobno znakomity agronom, sprowadzony z Prus za drogie pieniądze, lecz pan Leon z nakładami nie śpieszył i nawet mówić o tych kwestiach nie lubił.

Upłynęło już kilka tygodni od przybycia Zosi do Lipowa, a stosunek pomiędzy nią a stałymi mieszkańcami pałacu ułożył się jaknajlepiej. Małomówna, cicha, z gorliwością obowiązkom swoim oddana nauczycielka, całe dnie przepędzała z dziećmi, nie narzucając „państwu” swego towarzystwa. Przeciwnie, trzymała się zawsze z daleka, wchodziła do salonu wtenczas tylko gdy ją proszono, mówiła, jeśli ją pytano.

Takiem postępowaniem zjednała sobie sympatyę całego domu, prócz panny baronówny, która traktowała ją wprawdzie bardzo grzecznie, lecz ze źle ukrywaną niechęcią.

Pewnego dnia, a było to w jakieś święto, panna Franciszka wstała później niż zwykle i bardzo długo, zamknięta w swoim pokoju, siedziała przed toaletą.

Nie było to bez przyczyny. Tego dnia w Lipowie spodziewano się gości, a w ich liczbie miał się znajdować i ten, którego baronówna pragnęła uszczęśliwić swoją rączką i sercem. Udając z początku

zajęcie się, kokietując go trochę dla zabawki, a więcej z wyrachowania, panna Botz ani się spostrzegła, kiedy serce jej zaczęło się dopominać o swoje prawa, a zaimprovizowana komedyjka zamieniła się w istotne, nieklamane uczucie, tem silniejsze, że już i spóźnione trochę.

Panna Franciszka, chociaż wyglądała znacznie młodziej, liczyła już jednak trzydzieści wiosen z górą, a nieubłagane, bezczelne w prawdomówności swojej lustro, szeptało ciągle, że na liliowych jej skroniach rysują się już drobniutkie ledwie, ledwie dostrzegalne zmarszczki. To odkrycie uderzyło baronównę jak piorun. Przyznała zupełną słuszość młodszej siostrze, która dowodziła, że czas już o ołtarzu pomyśleć i zaczęła kokietować upatrzonemu kandydata.

Ów kandydat, którego pierwsza bytność w domu państwa Leonów, wywołana była zręcznie koniecznością jakiejś agronomicznej narady, do której pan Leon kilku sąsiadów zawezwał, później zaproszony przez panią Anne, złożył wizytę już jako gość i od czasu do czasu bywał w Lipowie, ani się domyślając, że piękne oczy panny Franciszki pragną mu dużo, dużo mową palących źrenic powiedzieć.

Dotychczas baronówna nie była nikim na serio zajęta, Kiedy bywała w towarzystwach, na balach, nie zdarzyło jej się spotkać człowieka, któryby zrobił na niej wrażenie.

Stało się to dopiero w Lipowie.

Baronównę zajął bardzo kandydat przez panią Ikonową wynaleziony. W oczach tej damy miał on poważne kwalifikacje, jako właściciel dużej fortuny, a choć majątek jego wskutek wiadomych przejść był zniszczony, chociaż ciężary znaczne spadły na niego, było jednak do przewidzenia, że energiczny gospodarz przetrwa złe czasy i wyjdzie z nich cało.

To wszystko wyjaśniła siostrze pani Leonowa, a zarazem usiłowała ją przekonać, że wdowcy bywają zazwyczaj lepszymi mężami aniżeli kawalerowie, a dzieci po pierwszej żonie mogą się przywiązać do macochy tak dobrze, jak do rodzonej matki.

Panna Franciszka wysłuchiwała bardzo uważnie tych racyj i zaczęła obserwować kandydata z iunego stanowiska.

Po pierwszej wizycie uczuła do niego żywą sympatyę, po trzeciej już za nim tęskniła, po szóstej spostrzegła, że go kocha i że życie bez niego nie ma dla niej żadnej wartości.

Młoda jego twarz przy zbielałych przedwcześnie włosach wydawała jej się ideałem roźkiej urody, a opowiadania, jakie o nim krążyły, jego czyny, pełne poświęceń i tragiczne wypadki, które przeżył, otaczały go w oczach baronówny jakąś świetlaną, pełną uroku aureolą.

Dziś miał on właśnie przyjechać. Cdzi więc dziwnego, że baronówna tak długo siedziała przy toalecie? Układała najmisterniej swoje grube, ognistej barwy warkocze, podkreślała oczy, posypywała twarz leniuchną warstwą pudru. Chciała być piękną i celi ten osiągnęła—a gdy weszła do salonu w czarnej sukni, uwytatniającej jej kształtną figurę, pani Leonowa spojrzawszy na nią, zawołała:

— Jakaś ty dziś ładna, moja Frau! Nieprawdaż mężu?

Fan mąż spojrział, pomyślał chwilkę i rzekł: — Siostra zawsze jest piękna, dziś wszakże... przewyższyła samą siebie. Na twarzy baronówny ukazał się lekki rumieniec zadowolenia.

Goście zaczęli się zjeżdżać wieczorem. Przy oświetleniu sztucznym panna Franciszka wyglądała jeszcze lepić. Była też wesoła i ożywiona. Rozmawiała z nim prawie ciągle, niewiele zważając na resztę towarzystwa.

Zosi nie było w salonie. Wołała siedzieć w swoim pokoiku i nie widzieć obcych twarzy, zupełnie obojętnych dla niej. Jecz pani Anna, której szło o popisanie się muzykalnością nauczycielki swych córek, poprosiła ją, aby przyszła do towarzystwa.

Gdy ukazała się w salonie, ze spuszczonej oczyma, onieśmiewiona nieco na widok liczniejszego

Ubrania, ten, z którym panna Franciszka rozmawiała o takim ożywieniu, zerwał się nagle z krzesła:

— Czy mnie wzrok myli?... proszę pani, kto jest ta młoda osoba?—zapytał.

— Która? Ach ta panienska co weszła w tej chwili?

— Tak!

— Jest to nauczycielka dzieci Leonów. Mówiono mi jej nazwisko, lecz wyszło mi już z pamięci... imię jej podobno Zofia.

Pan Józef Kamiński, gdyż on to właśnie był, nie słuchał dalszych objaśnień. Szybkim krokiem zbliżył się do Zosi, ujął jej drobne rączki i z niezmiernym zajęciem zarzucał ją gradem pytań.

— Państwo się znacie? —zapytała zdumiona pani Leonowa.

— Ależ znamy się doskonale, od czasu kiedy panna Zofia była jeszcze dzieckiem.

Prawie przez cały wieczór pan Józef z Zosią rozmawiał i bardzo wymownie opowiedział towarzystwu nieszczęścia, jakie jedne po drugich rodzinę jej dotykały, mówił o ojcu, o bracie jej, tak, że nwaaga wszystkich gości zwróconą zostają na skromną, cichą nauczycielkę, której obecności w innym razie możeby nawet nie zauważono w salonie.

Panna Franciszka zbladła. Przeczuwając w Zosi niebezpieczną rywalkę, rzucała na nią coraz wej

rzenia, z których nic dobrego nie było można wróżyć. W oczach baronówny migotały płomienie,— Zosia nie przeczuwała, że od tej chwili ma śmiertelnego wroga. Biedna dziewczyna, sądziła, że w tyra domu spędzi przynajmniej kilka lat w cichój, uczciwej pracy, że zbierze trochę pieniędzy dla starej matki i dla siostry. Nie przeczuwała, że te mirzenia bardzo pędko zostaną rozwiane—że znowtż będzie musiała znaleźć się na rozdrożu, bez dachu, bez nadziei lepszego jutra...

IV.

Od onego wieczoru zaczęły się dla Zosi dni smutne. Rozmaite drobne udręczenia i przykrości spotykały ją coraz częściej... Złośliwe uwagi, kolące słówka spadały na nią niewiadomo z jakiego powodu... Dziewczyna gubiła się w domysłach, czem się narazić mogła, pilnowała się na każdym kroku. Lekcyje odbywała jeszcze gorliwiej niż przedtem, I dziećmi, powierzonymi jej pieczy, przebywała ciągle, nic odstępując ani na chwilę, do salonu nie weszła nigdy, jeśli jej wyraźnie nie zaproszono. Stała się bardziej jeszcze małomówną i cichą.

Pomimo tych starań i podwojonej gorliwości w wykonywaniu obowiązków, pani Leonowa stała się dla Zosi bardzo chłodną, a siostra jej nieznośną.

Na domiar nieszczęścia, pan Kamiński coraz cze

ściej przyjeżdża! i zawsze się o Zosię ze szczególną troskliwością dopytywać. Panie potrafiły ją w takich razach zręcznie usnwać i zwykle podczas obecności Kamińskiego w Lipowie wysyłano ją dziećmi na przejażdżkę, albo też kazano odbywać jakieś nadprogramowe lekcyc.

Zosia poddawała się woli pan bel opera, przyjmując z łagodnym uśmiechem na ostach wszystkie zlecenia, jakie jej dawano. Przyczyny oziębienia się stosunków nie inogła odgadnąć odrazu. Nie wiedziała o tem, że baronówna na młodego wdowca ma oko, nio wiedziała i tego, że ów wdowiec na nią samą, biedną nauczycielkę, spogląda. Zmiana postępowania, której przykrych skutków nieustannie doznawała, była dla niej czémś nierozumiałem, niewytlómaczonym zupełnie.

Postanowiła znosić przykrości cierpliwie, dopóki będzie można; nic chciała bowiem porzucić posady względnie korzystnej. Zosia rozumowała sobie, io w Lipowie ma chleb, gorzki coprawda, ale chleb. Gdy obowiązek w Lipowie porzuci, gdzież pójdzie? dokąd się uda?

Do małych swoich uczennic przywiązała się szczerze i potrafiła wzbudzić dla siebie sympatyę w ich serduszkach. Dziewczątka pokochały swoją cichą, dobrą, łagodną nauczycielkę, co bardziej jeszcze rozdrażniało baronównę. Panna Franciszka pragnęła, aby uczynić Zosię

nienawistną dla całego tłumu, tymczasem działo się wprost przeciwnie; nawet pani Leonowa, chociaż na ptośby i żądanie siostry, okazywała Zosi niechęć, w gruncie rzeczy jednak była przekonana, że nie ma do tego zasady. Pan Leon nie rozumiał dobrze o co chodzi. Słyszał od panny Franciszki, że Zosia dzieci zaniedbuje, a wszyscy znajomi nie mogli się nachwaleć, jak szybko dziewczynki postępują w naukach. Rad by prosić Zosię, żeby mu wyjaśniła tę sprzeczność, ale odkładał to z dnia na dzień, obawiając się czy nie wzbudzi jakich podejrzeń, lub nie wywoła niezadowolenia—wolał wice czekać dopóki kwestya nie wyjaśni się sama przez się.

Panna Franciszka zauważyła, że Zosia za często, jak na guwernantkę, pisuje listy i za często korespondencyi odbiera. — Szczególna rzecz!—mówiła raz do siostry— my przecież mamy tak rozległe stosunki, a nic prowadzimy takiej korespondencyi jak ta twoja... panna od dzieci. Ile razy posyła się na pocztę, zawsze są jakieś listy i bileciki do panny Zofii i od panny Zofii. Będąc na twojem miejscu nie pozwoliłabym na to.

— Nie mam racji i, ani prawa zabronić jej tego.

— Dziwię się bardzo! Jesteś przecież panią w tym domu, a ona jest w obowiązku, tak dobrze jak młodsza, szatarka i tym podobne istoty...

— Franiu!

— Dziwisz się? Co do mojej nie widzę najmniejszej różnicy... woię nawet młodsza, niż tak zwaną guwernantkę, z młodszą albowiem nie potrzebuję jadać przy jednym stole, ani wdawać się z nią w konwersację.

— Panna Zofia jest tak małowówna...

— To jeszcze gorzej... to dowodzi, że jest fałszywa i obłudna, ale wracam do listów. Mogłabyś zwrócić jej uwagę, że za dużo czasu traci na przelewianie swych uczuć na papier.

— Robi to w godzinach wolnych.

— A wiem, wiem, nieraz po całych nocach bazgrze i niepotrzebnie światło wypala.

— Czyż jej mogę zabronić?

— Naturalnie, że możesz, bo na tem cierpi nauka twoich dzieci.

— A to jakim sposobem!

— Bardzo prostym... przesiaduje uoce z piórem w ręku, więc do łekcyi przychodzi niewyspaua! zamiast uważać pilnie, drzemie...

— Bywam często podczas lekcyi i, ale nie zauważyłam.

— To ja już spostrzegłam z dziesięć razy, spostrzegłam mimochodem, wypadkiem, bo przecież nie asystuje przy nauce. Zechciej tylko obserwować sama, moja Andziu, a przekonasz się jak o wszystkim sądzisz z pozorów! Biedne dziecko tęskni do mamy! Komedia! Najprzód panna Zofia nie jest dzie

kiem i niezawodnie liczy już dwadzieścia kilka wiosen, jeśli nie znacznie więcej...

— Ale zkad?!

— Powiadam ci... jej naiwność, skromność, to tylko gra, coprawda, doskonale wystndyowana... a co się tyczy owych listów, to przysięgnę, że nie są pisane do mamy.

— Do kogóż by więc?

— Jestem przekouana, że kryje się w nieb jakiś romausik.

— To być nic może!

— Jak ci się podoba, moja kochana, chcesz wierz—nio chcesz nie wierz! Ostatecznie nic mnie nie obchodzą jej romanse. Nie odezwałabym się wcale, gdyby mi nie szło o twoje dzieci. Łatwowierność twoja może wyjść na złe. Osądź sama, bezstronnie... jaki masz powód do ufania osobie, której przeszłości nic znasz, dziewczynie szukającej kary ery nie w zawodzie nauczycielskim lecz...

— Ależ!...

— Przepraszam cię, moja siostró, pozwól mi dokończyć. Zkadże dowiedziałaś się o istnieniu tej panny? jaką drogą znalazłaś ją?... przez kantor, prawda?

— No, tak.

— Otoż muszę ci powiedzieć, że panienka rzeczywiście uzdolniona, nieposzlakowanej opinii, pochodząca z dobrej rodziny, jeżeli chce znaleźć pra

cę, nie potrzebuje szukać pośrednictwa kantorów, gdyż z chęcią wezmą ją do swoich dzieci znajomi w najbliższej okolicy, nawet ubiegać się o nią beda. Dlaczegoż jej nikt nie wtią? Widocznie musiała być jakaś przyczyna.

Paui Leonowa zrobiła gest przeczący i chciała coś powiedzieć, ule siostra nie dała jej przyjść do słowa.

— Czekajno, czekaj!—rzekła—niedługo skończę tę, przyznam ci się, bardzo niemiłą dla mnie rozmowę, otworzę ci oczy, gdyż uważam to za swój obowiązek, a ty postąpisz znów tak, jak ci twój obowiązek dyktuje. Mieszkałyśmy dość długo w Warszawie, miałyśmy liczne znajomości, no i ostatecznie wierny przecież, co się na świecie dzieje. Nie sekret, że każda z tych panicu, które przez różne kantory ofiarują swoje usługi w charakterze nauczycielek domowych, najmniej myśli o uczeniu dzieci... Zwłaszcza, jeżeli która ma gładką buzię, a twoja panna Zofia posiada poniekąd ten przymiot, to głównym celem jej jest zamążpójście, lub poprostu zrobienie karycry. Szukają też miejsc przeważnie w domach zamożnych i, rozwinąwszy zasób kokieteryi, łowią w sidła ludzi bogatych. Ileż razy zdarza się, że taka osoba, przybyła niewiadomo zkad, robi los i zostaje panią w całym znaczeniu tego wyrazu... albo też, ho nie powiedziałam ci jeszcze wszystkiego, wchodzi do domu jak zły duch, wnosi niezgodę

miedzy małżeństwo, zrywa związki rodzinne, rujnuje majątek...

— Dość już, proszę cię, dość! moja Franiu wszystko, eo powiedziałaś, nie może się stosować do naszej nauczycielki.

— Chciałabym, żeby mogła słyszeć twoje słowa... służyłyby one jej za wielki komplement, nie w tem znaczeniu, w jakim sądzisz... nic! ale przekonałaby się, że jest skończoną artystką w sztuce udawania.

— Franiu!

— Owszem, moja Andziu, wierz jej, ufaj, łudź się skromnem jej spojrzeniem i minką pensyoraiki, która tylko opuściła mury klasztorne... łudź się, łudź, a może prędzej, niż sądzisz ujrzysz u jej stóp kogoś, co...

— Kogo? mów, proszę cię, otwarcie, bez zagadek i bez domyslników!... Czyś co widziała, dostrzegła?

— Cóżbym mogła dostrzedz?—odrzekła, naśladowując głos siostry przecież to jeszcze dziecko niewinne, aniołek, jeżeli zaś mąż twój...

— Co! co!?

— Nic... alboż nie można patrzeć na aniołki? patrzeć i zachwycać się niemi? Co piękne, to piękne, a mężczyźni miewają podobuo szczególne zamiłowanie do estetyki... Wszak prawda, kochana

siostro? Każdy z nich jest poniekąd artystą i zachwyca się pięknymi pannami.

Kzekłszy lo panna Franciszka, pewna, że słowa jej zrobiły pożądany efekt, wyszła.

— Franiu! Franiu, wróć się!—wolała pani Leonowa.

Frانيا wszakże udała, że nie słyszy. Fania Anna była niezmiernie wzburzona; zaczęła szybko chodzić po pokoju, stukając energicznie małemi obcasami, do głowy jej cisnęły się najrozmaitsze myśli i uczucia.

— Jakto? myślała—Leon! ten Leon, który dotychczas był tak posłuszny i pokorny, który jej myślami myślał, jej życzenia spełniał, do jej woli we wszystkim się stosował... ten Leon—nie to nicpodobua, nie sposób... Wiary daó trudno... a przecież...

i'odejrzeuia zaczęły niepokoić panią Anne i przypominała sobie każdy gest, spojrzenie, każde słowo meza, wyrzeczone do Zosi i rozważała i rozpamiętywała.

Czyżby i on grał tak zręcznie komedję przywiązania i uległości bez granic?

Spójrzała przez okno. Właśnie w tej chwili pan Leon powracał z folwarku. Szedł spokojnie, powoli, z powagą, właściwą ojcu rodziny, obywatelowi kraju i człowiekowi o solidnym majątku... Palił cygaro z takim spokojem, jakby w myśli nie

miał nic złego, jakby nie knuł czarnej, szkaradnej zdrady względem żony, względem kobiety, która wypełniać powinna dla niego cały świat.

Patrząc na niego, pani Anna pomyślała z oburzeniem, że nie masz na kuli ziemskiej istoty bardziej fałszywej, niż mężczyzna.

Pan Leon, ujrawszy żonę w oknie, uśmiechnął się do niej. Wydało jej się to ostatnim stopniem przewrotności i cynizmu. Podobnym obludnikiem może być tylko skończony łotr. Miała wielką ochotę powiedzieć co myśli i zrobić um awanturę, ale wstrzymała się do czasu.

Postanowiła koniecznie zdobyć jakiś dowód i dopiero na podstawie taktu rozpocząć atak.

Powstrzymała wybuch gniewu, uśmiechnęła się nawet, gdy wszedłszy, ucałował jej białą, wypieszczoną rękę.

— Poczekaj! rzekła w myśli—ty udajesz i ja też udawać potrafię.

— Moja Andziu—odezwał się pan Kramarzewski—przyszedłem cię uprzedzić, że za dwie godziny posyłam na pocztę, jeżeli więc będziesz miała jaką korespondencyi lub przesyłkę, to człowiek może zabrać.

— Dziękuję ci za twoją uprzejmość, nie mam żadnych listów do wysłania... ale it propos, ty jakoś bardzo często posyłasz na pocztę... przynajmniej od jakiegoś czasu.

— Posyłam jak zwykle, cztery razy na tydzień.

— Chyba ośm, albo dziesięć.

— Kiedy poczta tylko cztery razy przychodzi.

— Być może, ale od niejakiego czasu...

— Zmienili rozkład poczt na naszym trakcie? nie słyszałem o tem.

— Nie, tylko w naszym domu korespondencyi zwiększyła się niepomierne. Piszemy masę listów i liścików.

— Czy tak?

— Udajesz, że nie wiesz.

— Istotnie pierwsze słyszę... Wprawdzie moja korespondencja jest nieco większa niż dawniej.

— Wierzę bardzo, ale przecież nie załatwiasz jej wyłącznie przez pocztę...

— Tak, czasem koresponduję przez posłańców umyślnych.

Pani roześmiała się gorzko.

— A czasem oczami!—rzekła.

Pan Leon wziął to za objaw dobrego humoru małżonki.

— Prawda—rzekł śmiejąc się—i to się praktykuje, zwłaszcza, gdy wypadnie siedzieć naprzeciw mojej, zawsze pięknej pani.

Pani Leonowa przeszła swego małżonka groźnym spojrzeniem; on zaś zmiesza) się, nic wiedząc o co chodzi, lecz przewidując burzę.

— Uprzedzam pana—rzekła—że widzę wszystko, w pole się wyprowadzić nie dam i bynajmniej nie mam zamiaru służyć za parawan do osłaniania pańskich awanturek.

Kramarczewski wielkie oczy zrobił,

— Wiesz co, droga Andziu...

— O, przepraszam... zdaje się, że już minęły czasy, w których byłam dla pana drogą Andzią. Wobec taktów, które spostrzegam, możemy się obchodzić bez słodkich przymiotników, stanowią one albowiem rażący kontrast z goryczą, jaką przepelnione bywa serce kobiety uczciwej i nieposzlakowanej,, zranione śmiertelnie w swojej dumie...

— Jak dzieci kocham, nic a nic nie rozumiem! widocznie zaszła jakaś pomyłka.

— O, zapewne! jeżeli ci się podoba, nazwij to pomyłką, gotów pan jesteś nawet twierdzić, że pomyłka niewinna... Tak! tak! po waszemu to pomyłka, a wiesz pan, że takie pomyłki religia nazywa grzechem, prawo występkiem, a opinia publiczna... nikiemnością.

Pan Leon z krzesła się zerwał, na twarz wybiegły mu rumieńce i pomimo zimnej krwi swojej i całej uległości dla żony, blizkim był gwałtownego wybuchu gniewa. Nawet w najbardziej zawojowanym mężu budzi się czasem energia.

— Tego już zawiele!—zawołał. —Tyle lat byłem dla ciebie uniżonym służką, ale od chwili, w któ

rej zaczyasz mnie krzywdzić bez najmniejszego powodu, zrywani te pęta! Proszę pamiętać, że jestem panem w domu i ubliżać .sobie nic pozwolę.

Zdobywszy się na taką energię, Kramarczewski drzwiami trasnął i wyszedł, pani zaś padła na fotel i wybuchęła spazmatycznym płaczem. Panna Franciszka, która całą tę scenę z drugiego pokoju obserwowana, przybiegła do siostry, zadzwoniła na służbę, kazała podać wody, trzeźwiła i całowała nieszczęśliwą ofiarę wiarołomnego męża...

Zosia, przechodząc w tej chwili przez pokój, z przerażeniem i z całym współczuciem zbliżyła się do paui Leonowej.

Chciała zapytać co jest i ozy nie może być w czym pomocną, usłńczyć.

— Kacz się pani nie troszczyć o to—rzekła panna Franciszka szyderczo—to sprawa czysto domowej natury, najlepiej więc jak załatwioną zostanie w rodzinie, bez udziału obcej ioterwencyi i bez nie* potrzebuej ciekawości.

Zosia spojrziała na swoją antagonistkę oczami pełnymi żalu, nic odrzekłszy ani słowa, odeszła do obowiązku swego, do dzieci.

— Tak!—pomyślała w duchu—ta dumna panna ma słuszność... jestem w tym domu obcą zupełnie, płatną najemnicą do uczenia dzieci... nie mam prawa narzucać się z życzliwością, ani z przywiązaniem... tak, nie mam.

Pan Leon zdobywszy się raz na energię, tak się

rozpedził, że kazał zaprządz do powozu i bez obiadu i bez pożegnania, bez opowiedzenia dokąd się udaje, odjechał. W drodze zmiękł już znacznie i gotów był kazać zawrócić, ale ponieważ do Warszawy interes miał pilny, rozmyślił więc, że lepiej zrobi jak zaraz pojedzie; liczył też na to, że przez kilka dni zona udobrucha się i wszystko wróci do dawnego stanu, do miłego spokoju, który flegmatyczny pan Leon nad wszystko przekładał.

Kazał zawieźć się na najbliższą stację, z kąd konie do domu odesłał, a sam własnym powozem, ekstrapocztą do Warszawy się udał. Przez całą drogę nad swoją pierwszą awanturą małżeńską rozmyślał i dociec nie mógł, o co żonie

chodziło i czym mianowicie gniew jej ściągnął na siebie. Liczył na to, że powróciwszy do domu, zostanie panią w usposobieniu lepszym, że ją w ostatecznym razie przeprosi.

Diu ułatwienia sobie tego zadania kupił bardzo kosztowną bransoletę, brylantami suto wysadzaną. Wiedział, że pani Anna błyskotki takie lubi i spodziewał się, że podarek ułatwi mu zgodę; kupił także i dla panny Franciszki ładny garniturek, bo przy wszelkich układach dobrze mieć zjednanego sprzymierzeńca.

Z najlepszą tedy myślą do domu powracał, ale się przerachował nieborak. Gdyby był dalej w gniewie trwał, a przynajmniej zagniewanego udawał,

pienrszego kruku do pojednania Die robił, to ostatecznie piękua pani, widząc, że góra do Mahometa przyjść nie chce, musiałaby tak postąpić jak turecki prorok i sama przyjść do góry; lecz że zobaczyła uległość i pokorę wielką, więc drożyć się zaczęła.

Na czule powitania odpowiadała bardzo sztywnym ukłonem a prezentu przyjmując wcale nie chciała.

— Możesz go pan ofiarować komu chcesz, byle nie mnie... — rzekła. — Ja świecideł nie potrzebuję.

Panna Franciszka, choć jej się garniturek bardzo podobał, również ofiary szwagra nie przyjęła, mówiąc, że prezent to za kosztowny dla niej i że nie umiała by go nosić.

Widząc, że fimo zrobił i w dyplomatycznych wyrachowaniach się zawiódł, pan Leon poddał się losowi i zastosował z pokorą do nowego w domu porządku.

Dom w Lipowie stał się nieznośny. Pan trzymał się oddzielnie w swoich apartamentach, pani cierpiała w swoich, do południa grała rolę ofiary w batystach, z rozpuszczonymi włosami, od południa w sukni nieodmiennie czarnej, bez żadnych ozdób i błyskotek. Z mężem widywała się tylko podczas obiadu i to nic codziennie, gdyż migrena nie zawsze pozwalała jej ukazywać się przy stole. Tana Fran

Ciszka miała nieustannie czoło zmarszczone, spojrzenie pochmurne i rozjaśniała je wówczas tylko, gdy przyszła wlewać w serce siostry balsam współczucia i pocieszenia.

Do Zosi prawie nikt się nie odzywał. Była zupełnie odosobniona, samotna, owiewał ją chłód szczególny. Jedyne jej pociechą były dwie, jasnowłose dziewczynki, serdecznie do niej przywiązane; aczkolwiek dzieci jeszcze, dostrzegły jednak, że Zosia ani przez marne, ani przez ciocie lubioua nie jest—starły się wynagradzać to pieśzcotami, garnięciem się do nauki, posłuszeństwem. Uczyły się nad podziw dobrze, korzystały bardzo wiele i jedna przez drugą chciały się Zosi przypodobać. One też stanowiły cały światek biednej nauczycielki. Przesiadywały po całych dniach w jej pokoju rozmawiały z nią ciągle, kształcąc nietylko główki, ale i serduszka, w które Zosia umiała rzucać najszlachetniejsze ziarna.

Wy dziwić się pani Anna nie niogła z kąd córeczki jej nabrały tyle wiadomości z historii, z kąd wyuczyły się tylu wierszy z najlepszych naszych poetów.

— Czy panna Zofia tak dużo wam zadaje?— pytała.

— Nie, marno, panna Zofia na lekcyc zadaje bardzo niewiele. Ona taka dobra! powiada, że nie chce nas męczyć zauadto, że jeszcze jesteśmy małe, aby

godzinami całymi przesiadywać und lekryą. Ona uas bardzo korba.

— Zkądże więc tyle utniecie?

— O mamusiu! panna Zona nam opowiada. Ach! jak ona ślicznie opowiada, żeby mamusia choć raz chciała posłuchać!... Gdy jesteśmy na spacerze, albo podczas niepogody, to w pokoju, o szarej godzinie, usiądziemy sobie i ona mówi. Mówi o różnych królach, wielkich ludziach, wojnach, a tak zajmująco, Iak ślicznie, jakby kto z książki czytał. Potem każe nam powtarzać, pyta czy spamiętałyśmy dobrze, ale ktoby takiego opowiadania nie pamięta! My bardzo lubimy te opowiadania, ale jeszcze bardziej wiersze. Czasem czyta z książki, a więcej mówi z pamięci, jak śliczna Zosia kurki karmiła, jak Telimena zbierała grzyby, jak regent ciągle się kłócił z asesorem o psy! tacy śmieszni!

i jak pan Wojski trąbił na wielkim rogu i przestał trąbić, a w lesie jeszcze echo grało... jak stary żyd Jankiel z siwą brodą grał na cymbałach i w tem graniu była cała historia. Ach! mamusiu kochana, jeszcze nigdy a nigdy w życiu nie słyszałyśmy takich pięknych wierszy. Jest ich cała książka, a panna Zofia prawie wszystko umie na pamięć, ale zobaczy mamusia, że nie długo i my także będziemy umiały. Dla ojca na imieniny przygotujemy wielką niespodziankę.

— Moje dzieci — spytała pani Leonowa —

i to uczenie się wierszy nie przychodzi wara z trudnością?

— O nie! — panna Zofia powiada, że nie nia takiej nauki, która byłaby trudna... ja wiem, że to prawda... Pamięta mamusia, ja nieraz płakałam nad artymetyką, ieszcze kiedy panny Zofii nie było?... mówiłam, że nie ma nic szkaradniejszego nad rachunki.

— A teraz?

— Teraz śmieję się z tego. Artymetyką jest bardzo łatwa i każde zadanie można zrobić. Panna Zofia tak dobrze umie wytłómaczyć. Kiedy nie mogłam z początku zrozumieć, to ora przyniosła grochu, poukładała ziarnka w szeregi i kazała mi liczyć i wie mamusia, zrozumiałam bardzo łatwo, odrazu, teraz już nic boję się rachunków i nie powiadam, że są szkaradne. Owszem, lubię je nawet. Panna Zofia powiada, że każdy, choćby nawet najbogatszy człowiek, powinien umieć dobrze rachować, gdyż...

— Moje dzieci—rzekła panna Franciszka, spoglądając na zegarek — zdaje mi się, że czas na lekcye.

— Ach! prawda ciociu! — zawołały dziewczynki—panna Zofia czeka na nas, biegnijmy, żeby się nic spóźnić!

Po wyjściu dzieci, panna Franciszka przybrała minę bardzo poważną i rzekła:

— Kochana Andzn, naumyślnie wyprawiłam dzieci, bo już nie mogłam słuchać tych pochwał, z których każda szczególnie wzięta, wystarcza za najgorsze świadectwo dla twojej mądrej nauczycielki i potępia ją ostatecznie.

— Ja ciebie nie rozumiem, Franiu!

— Posłuchaj, a zrozumiesz. Wiesz zapewne, że dawniej, jeszcze przed kilkoma Jaty, za życia nieboszczki mamy, chciałam sama poświęcić się zawodowi nauczycielskiemu.

— Ach! przypominam sobie ten kaprys, bo przyznasz Franiu, że by! to tylko kaprys chwilowy. Gdzieżbyś ty mogła tak nam zakrwawić serca i zostać nauczycielką w cudzym domu!

— Nazwij to jak ci się podoba... kaprys czy nie kaprys, dość, że starałam się zbadać gruntownie przedmiot, któremu się chciałam poświęcić i mań o nauczycielstwie niejaki wyobrażenie. Otoż na tej zasadzie mogę ci powiedzieć, że ta twoja panna Zofia uczy fatalnie.

— Ach! Franiu droga, takie rezultaty! na miłość Boską, mów co chcesz, mów na nią co ci się podoba, ale nawet największy nieprzyjaciel przyzna to dziewczynie, że uczyć umie i że jest...

— Skończona, komezydentka! Ha, ha, ha! wiesz! że gdyby tu nic szło o twoje rodzone dzieci, to możnaby się ubawić jak w teatrze. To skończona aktorka, doprawdy, na scenie zrobiłaby karierę!

Nawet, wiesz co, przysięgłabym, że ona musiała już nieraz występować, ma się rozumieć na jakiejś scenie prowincjonalnej siedemnastego rzędu... Rutynowana komezydentka, na pierwszy rzut oka można to poznać. — Moja Franiu!

— Żądasz dowodu?... ależ zaraz go będziesz miała, słyszałaś przecie co dzieci mówiły!

— Słyszałam.

— Gdybyś słuchała uważnie, to przekonałabyś się, że te wszystkie wierszyki i historię, które twoje córeczki jak papużki powtarzają, a z czego ty zdajesz się być dumna, wpakowane im zostały w główki zapoioocą oszukaustwa, obłudy, podstęp. Ona powiada: „moje drogie dziateczki, ja was niechcę przeciążać pracą, bo jesteście jeszcze malutkie, ale będę was zabawiała, opowiadać wam będę! No i opowiada. zakuwa dzieciom głowy, napychaje jak torby rozmaitemi wiadomościami, datami, taktami i przytępia im umysł.

— Sądziłabym, że rozwija raczej. Ten sposób uczenia jest najnowszy, postępowy, czytałam sama w jakimś piśmie.

— Wierzysz pismom? Dajż pokój! Zagranicą, o ile mi wiadomo, dawno już ta metoda uznana została za najszkodliwszą, a zresztą dość się uważnie zastanowić, ażeby poznać jej ohydę. Jakto? wiec do duszy dziecka, do tej jasnej, niewinnej du

szczyki trzeba przystępować z fałszem, podstępem i obłudą, odrazu działać na nią kłamstwem? Jakto, czy godzi się pod pozorem zabawki osłabiać młodzieuchną, zaledwie rozwijającą się inteligencję, i opychać ją różnymi wiadomościami, po to, aby w samym zarodku zabić w niej wszelkie zdolności Anie, Andziu! w zaślepieniu miłości macierzyńskiej idziesz za daleko i dla próżności, dla popisu przed gośćmi, zabijasz całą intelektualną przyszłość twoich córek.

Pani Anna patrzyła na siostrę wytrzeszczonemu oczami. Grad brzmiących frazesów ogłuszał ją, argumentacja siostry przerażała. Pani Kramarzewska w życiu swoim nie wiele zgrzeszyła myśleniem, nie lubiła się głębiej zastanawiać, a kto mówił głośno i gestykułował, mógł ją o wszystkim przekonać. Budziła się w niej pewna obawa, przypuszczenie, że siostra może być w błędzie, ale umotywić tej wątpliwości pani Anna nie mogła.

Panna Franciszka starała się spotęgować wrażenie, jakie na siostrze zrobiła.

— A czy ty nic widzisz, biedna Andziu, co się z twe mi dziećmi dzieje?

— No, co?

— Czyż to są dzieci? To sawantki przecież! Czyż kiedy widzisz, żeby się goniły po całych dniach, krzyczały, żeby darty sukienki? a wszakże

to są dzieci .. Ale dzięki fałszywej i podstępnej metodzie panny Zofii, przekształciły się na jakieś karykatury. Zobacysz, że za pół roku zaczną się już wybierać do Zurychu lub Paryża na uniwersytet... winszuję!

— Moja Franiu, pozwól...

— A cóż mam pozwalać?! — rzekła ramionami wzruszając — ty jesteś od tego, żebyś pozwalała na wszystko... niewidzisz co się koło ciebie dzieje! Czasem dziecko samo się wygada, ale i na to uwagi nie zwracasz.

— Co, cóż takiego?

— Ha! ha! a ta niespodzianka na imieniny „ojczulka!” Cóż to jest? to już przechodzi wszelkie granice... Widocznie szwagierek ma u panny Zofii wyjątkowe łaski. Biedna Andziu, jakżeż cię bardzo żałuję...

v.

Dzień był lipcowy i upalny, promienie słoneczne sypały żar na ziemię. Listki na drzewach opuściły się, jakby przywiędłe, ptaszęta kryły się po krzakach, szukając cienia. Ludzie, korzystając z niedzieli, odpoczywali po pracy, szukając chłodu w ogrodach, pod konarami drzew, albo też w pustych stodołach, gdzie przewiew wiatru przez uchylone wrota chłodził nieco straszne gorąco dnia.

Pan Kamiński popołudniu do Lipowa się wybrał. Spienione konie z trudnością oddychały, ciągnąc lekki wolant po gościńcu, z karków ich, I szyi, z piersi spadały kłęby białej piany; stangret eo chwila spocone czoło ocierał, bo istotnie wytrzymać było ciężko w skwarze słonecznym. Na zachodniej Stronie horyzontu zaczęły się ukazywać chmurki.

Pan Kamiński nie zważał na gorąco, nie myślał

o niem, tak się w dumaniach zagłębił. Piękna i łagodna twarzyczka Zosi stała mu ciągle przed oczami. On wiedział, że tej dziewczynie u Kramarzewskich źle, ciężko, wiedział ile znosić musi, jak jest traktowana niepoczcziwie; kilkakrotnie rozmówić się z nią chciał, ale ile razy do Lipowa przyjechał, zawsze ją tak schowano, że nie tylko pomówić, ale zobaczyć się z nią nie mógł. Bolało go to tem więcej, że pokochał szczerze ową smutną, bladą dziewczeczkę, że pragnął, za radą siostry iść, wziąć ją za dozgonną towarzyszkę życia, za przybraną matkę dla swoich sierotek. Przeczuwał, że byłaby dla nich prawdziwym aniołem opiekuńczym, a dla niego... szczęściem na ziemi. Wszakże jeszcze miał prawo dożycia i szczęścia, mógł o niem marzyć. Zdawało się, że cóż łatwiejszego jak wyznać Zosi swe uczucia i o wzajemność poprosić. Bądź co bądź, dla biednej dziewczyny takie zainążpójście to los, ale Kamiński skromny był, o sobie niewiele rozumiał i uważałby za uchybienie Zosi tak obcesowo miłości od niej żądać. On widywać ją pragnął, mówić z nią, myśli wymieniać i wierzył, że gdyby go bliżej poznała, to... to wtenczas pokochałaby może. Ale jakże tu mówić, jak myśli wymieniać, gdy biedna nauczycielka trzymana jest jak w więzieniu, gdy jej nigdy zobaczyć nie można! Zaprzątnięty smutnemi myślami, spojrzął przed

siebie i zobaczy! pyszny park lipowski, ogromny, nawpół dziki, nęcący chłodem alei z lip, szpalerów orzechowych, tworzących nad drózkami sklepienia zielone, przez które promień słońca przecisnąć się nie mógł.
— Stójno Marcinie! — odezwał się do stangreta, który też natychmiast spienione kasztany osadził.—Gorąco straszne; ja przez park pieszo pójdę, a ty pomaleńku ku dworowi jedź... niech konie wytchną, trochę nawet w lipową drogę skręć, to cień znajdziesz.
Stangret odjechał, a Kamiński do parku wszedł. Zaraz na wstępie owiał go chłód przyjemny, rzeczka wiała się pomiędzy drzewami. Przeszedł przez mostek i skierował się w długi, kręty szpaler. Zdjął kapelusz, chciał usiąść na pierwszej napotkanej ławce, odpocząć. Nic spodziewał się spotkać nikogo ze dworu w tej oddalonej części parku, bo istotnie rzadko tu kto przychodził. Gustowne altanki, kwietniki i gazony skupione były w części ogrodu, bliżej pałacu leżącej. Już miał usiąść, gdy zdało mu się, że przez gęstwinę liści za pierwszym zakrętem szpaleru dostrzega jakąś postać. Zaciekawiony wstał i powoli poszedł w tamtą stronę; na piasku pokrywającym drózkę gęstą warstwą, nic było słycać odgłosu kroków. Zbliżał się też widząc, a sam nie będąc widzianym, ani zauważonym i poznał... Zosię.

Siedziała na ławce zamyślona, trzymając książkę w ręku, ale nie czytała, bo i nie mogła, mając oczy łez pełne.

— Pani! — zawołał — panno Zofio! Przeżona niczpodziwauem spotkaniem, zerwała się z ławki... On ją ujął za rękę.

— O! siądź pani, proszę — rzekł głosem, w którym wzruszenie znać było. — Siądź pani!... Ja już tak dawno pomówić z panią pragnę.

— I cóż panu przyjdzie z tego? — rzekła nie wstrzymując, a może wstrzymać nie mogąc, leż dużych, ciężkich, które staczały się po jej czarnej sukience.

— Co mi przyjdzie? dziwne pytanie doprawdy! Czyż w tych stronach obcych, gdzie pani jesteś zupełnie sarna, gdzie pani źle... nie przyda się choć jedna dusza życzliwa?

— Alboż mi źle? Obowiązek, jak obowiązek, ma swoje przykre strony, ale nie trzeba na to zważać.

— Nie mów pani tak, widzę ją dobrze, co się tu święci i chciałbym przyjść pani z pomocą.

— Mnie jej nie trzeba, panie...

— Harda dusza w pani, ale proszę pomyśleć, że jest pomoc i pomoc... a ja przemawiam do pani jak przyjaciel jej rodziny, jak brat... Pani tu nie może pozostać, na zaden sposób nic może...

— Muszę!

— A jednak, jeżeli pani mego zdania słuchać

nie chce, to odwołam się do wyższej instancji. W przyszłym tygodniu udaję się w lubelskie...

— Zobacz pan moją mamę! siostrę! — zawołała z ożywieniem.

— Zobaczę i opowiem wszystko!

— O! nie krwaw jej pan serca, proszę pana! Nio mów jej nic, bo ona cierpiałaby bardzo, a właśnie nie ma do tego przyczyny.

— Więc trwasz pani przy swoim, utrzymujesz, że ci zupełnie dobrze w Lipowie?

Zosia schyliła głowę i odpowiedziała po namyśle:

— Naturalnie!... Rozczarowań doznać nio mogłam, bom szłam w świat bez złudzeń i, do pewnego stopnia, wiedziałam, a może raczej przeczuwałam, co mnie czeka. Nie mam prawa wymagać od ludzi obcych tej życzliwości i tego ciepła, jakie miałam w domu. Nie mam prawa, aczkolwiek starałam się i staram na życzliwość zasłużyć.

— Wychodzi na to, że pośrednio przynajmniej przyznaje mi pani słuszność i że nie omyliłem się przypuszczając, że masz pani tutaj ciężkie życie.

— Ja tego nie powiedziałam przecież. Kamiński uśmiechnął się.

— Trzeba widzieć—rzekł —szukać innego punktu wyjścia. Nie będę już wspominał o przykrościach i zmartwieniach. Przypuśćmy na chwilę, że pani tu jest znośnie, a nawet... dobrze, ale w takim

razie czyż jet zabronionem szukać innego otoczenia, otoczenia takiego, w którym byłoby pani nietylko znośnie, ale bardzo dobrze, otoczenia, w którym znalazłabyś pani życzliwość serdeczną, sympatya i najszerszą przyjaźń...

— Co pan chce przez to powiedzieć? — spytała Zosia zdumiona.

— Chcę powiedzieć to, o czym już oddawna powiedzieć pani chciałem. Szkoda paui młodości i sił na marnowanie w gorzkim, przykrym, a tak bardzo zależnym, zawodzie nauczycielskim, bo i co panią w nim czeka? Wyszędłszy ztąd, gdzie według pani zdania tak dobrze! — dodał z odcieniem ironii — dostanie się pani do inuego domu, gdzie może pani być jeszcze lepiej, gdzie dozna pani jeszcze większych przyjemności. Wieczna tułaczka z domu do domu, nieustanne przykrości, niepewność, brak własnego kąta, w którymby można spokojnie odetchnąć, po pracy wypocząć...

— Dla czego mi pan to mówi? Czyż sama nie wiem, że tak jest, czyż mało łez nad tem wylałam, ale cóż zrobię? cóż zrobię? do czego wezmę się? Ponieważ nie mam uzdolnienia do innego rodzaju pracy, muszę żyć z tego, co umiem i z rezygnacją, z poddaniem się, znościć los istotnie ciężki.

— Nie, nie, panno Zofio! poddanie się, rezygnacja, to smutna konieczność dla tych, co wyczerpali wszystkie siły w życiowych zapasach, co złamani,

zgnębieni zupełnie, nie mają dość mocy, aby zrzucić z ramion ciężar, który ich gniecie. Starość i niemoc poddaje się losowi, młodość z nim walczyć powinna.

Powtarzam, że pani nie powinnaś się marnować w tułaczce, w pogoni za marnym a niewdzięcznym zarobkiem...

— Wie pan dlaczego to czynię, wiadomo panu dobrze, jakie obowiązki mam.

— Wiem, wiem i właśnie skorzystałem z pierwszej sposobności, aby przemówić do pani w imię tych obowiązków, jakie pani ma. Racz innie posłuchać panno Zofio. Zapewne od czasu przybycia do Lipowa nie słyszałaś jeszcze szczerze przyjaznego, życzliwego głosu... Wspominałem już pani o mojej siostrze Władysławie. Po śmierci męża była ona mniej więcej w takim położeniu, w jakim pani jesteś teraz, po stracie ojca, po wyzuciu was z majątku. Dziś ma ona stanowisko niezależne, kawałek chleba pewny, spokój, zadowolenie wewnętrzne, spełnia swój obowiązek wychowując dziecko, jednym słowem, stworzyła sobie mały światek własny, w którym panią jest i pierwszą robotnicą zarazem.

— Szczęśliwa! — rzekła Zosia z westchnieniem.

— I pani może znaleźć to szczęście z łatwością. Opuść pani Lipów, przyjedź do Warszawy. Siostra moja przyjmie panią z otwartymi rękami, będzie

pani nauczycielką i przyjaciółką zarazem. Po roku lub dwóch, uzdolniona w zawodzie, znając już wszelkie jego tajemnice, założysz pani pracownic na własną rękę, weźmiesz pani do siebie mamę i siostrę i będziecie razem. Cóż, panno Zofio, czy zechcesz usłuchać rady szczerzego przyjaciela? Zosia miała Izy w oczach.

— O panie! — rzekła, podając mu rękę — rozwijasz przedemną bardzo ładne, bardzo ponętne obrazy. Czegóż więcej pragnąc, o czym lepszem marzyć bym mogła? Mieć swoje własne mieszkanie, własną pracownię, nie tęsknić do

biednej, schorowanej matki, nie drzeć w niepewności o jej zdrowie, aie pielęgnować ją osobiście, otoczyć wszelkimi wygodami, to... to doprawdy szczęście, o jakim nawet marzyć nie mogłam! Sama bym się zajęła moją młodszą siostrą, jej wykształceniem. O! doprawdy jakby to było dobrze, jak szczęśliwie, ale...

— Ale co, panno Zofio?

— Marzenie takie nigdy się nic spełni, bo niemożliwe jest do wykonania.

— A to z jakiego powodu? — zapytał ze zdumieniem Kamiński.

— Bo, proszę pana, na naukę czasu trzeba, a ja go nie mam, bo kto się uczy, teu nie zarabia, a ja zarobku potrzebuję dla matki, dla siostry... dla...

— Więc tylko o to idzie?

Zosia spojrzała na Kamińskiego z podziwieniem.

Co chce przez to powiedzieć? Dlaczego wyraża się jakby z lekceważeniem "tylko o to idzie?" a przecież to "tylko" to jedyny cel jej życia i zabiegów, dlatego "tylko" ona pracuje, przebywa w obcym domu, znosi wszelkie przykrości i upokorzenia.

— Ja nie rozumiem — rzekła — znaczenia pańskiego wykrzyknika, Śmieje się pan, że mi „tylko o to idzie”, alei upewniam pana, że tylko i wyłącznie. Innego celu nie ma w mojem smutnem życiu.

— Panno Zofio — rzekł — porozumiejmy się; pozwól mi pani wytłómaczyć tę rzecz bliżej. W mojem odezwaniu się nie było myśli lekceważenia pani najszlachetniejszych intencji, broń Boże! Ja chciałem tylko powiedzieć, że przeszkoda, o jakiej pani mówi, da się z łatwością usunąć, że na czas pewien może pani być zupełnie zwolniona od swoich obowiązków i spokojna o dach nad głową i kawałek chleba dla swoich najdroższych.

— Jakim cudem?

— Bardzo prostym, najzwyczajniejszym sposobem. Dwór w Zabłociu jest duży, a chleba w nim nie braknie. Przez rok, dwa, czy ile będzie potrzeba, mama i siostrunia pani mogą w nim dysponować. Druga siostra, która u mnie mieszka, przyjmie je z otwartymi rękami.

— Serdecznie, serdecznie dziękuję za tę propozycję, za ten dowód dobroci i życzliwości, ale my byśmy nie mogli przyjąć...

— Za pozwoleniem! to już rzecz pomiędzy mamą pani a mną. Ja to biorę na siebie. Jak nadmienilem przed chwilą, jadę w lubelskie, mamę pani odwiedzę i porozumiem się z nią. Jako przyjaciel ojca pani, jako dawny znajomy, sądzę, że mam prawo niejakię podać wam rękę pomocną. Przypuszczam że potrafię znaleźć dość argumetów, które będą mogły przekonać mamę pani, że plan mój dobry jest dla przyszłości waszej, a jeżeli mamę przekonam, to czy pani zaakceptuje myśl moją? Czy pani zechce zostać uczennicą i przyjaciółką mej siostry?

Zosia myślała przez chwile. Kamiński wpatrywał się w jej wdzięczną, sympatyczną postać i z niepokojem oczekiwał odpowiedzi.

Po chwili namysłu Zosia podała mu rękę:

— Dobrze panie! — rzekła — jeżeli się mama zgodzi, to i ja pójdę za pańską radą i rozpocznę nowe życie. W każdym razie tak, czy owak wypadnie, przyjmij pan serdeczną podziękę sieroty za pańską dobroć, życzliwość i za pocziwe chęci, jakie względem nas, biednych rozbitków, okazujesz.

Kamiński pochwycił podaną mu rączkę i do ust przycisnął.

Jednocześnie w gęstwinie parkowej coś zaszeleściło i zdawało się, że jakiś cień przesunął się pomiędzy krzakami leszczyny.

Zosia mimowolnie drgnęła.

— Co pani jest? — zapytał Kamiński.

— Nic!... przestraszyłam się, zdawało mi się, że jakiś cień.

— Cienia pani się lękaasz?

— Czy ja wiem, czego się lękać, a czego nie. Tutaj w Lipowie, przyznam się panu otwarcie, ja się głosu własnego boję.

— Ach! więc nareszcie przyznajesz mi pani słusność! więc nie omyliłem się, przypuszczając, że pani tn dobrze nie jest, że cierpisz...

— Nie mówmy o tem panie. Jak mi jest tutaj Bóg widzi, ale znoszę mój los z poddaniem się, bez szemrania i bez narzekań. Jeżeli stanic się wszystko tak, jak pan mówi, jeżeli mama moja przyjmie pańską życzliwą ofiarę, w takim razie opuszczę ten dom bez żalu i bez żalu też wyrzeknę się nauczycielskiego zawodu. Tymczasem pełnić będę obowiązek jak dotąd, o ile siły pozwolą uczciwie i sumiennie. A teraz godzina mojej rekreacji kończy się, muszę wracać do moich elewek. Jeszcze raz dziękuję panu za życzliwość, za słowo pociechy, za promyk nadziei, jaki mi pan wskazujesz. Gdy pan zobaczy mamę moją i siostrę, niech im pan powie, że kocham je obie stale i niezmiennie, że moja myśl nic odbiega od nich ani na jedną chwilę, a niech pan nie opowiada mamie, że mam tu życie... nic bardzo słodkie, bo ona by się zmartwiła. Niech pan lepiej

nic mówi prawdy. Na co zasmucać biedną, schorowaną kobietę?

Zanim Kamiński zdążył odpowiedzieć, Zosia oddaliła się szybko. Znając doskonale park lipowski, pobiegła dróżką najbliższą i zniknęła w gęstwinie.

Kamiński odetchnął głęboko, jakby mu wielki ciężar spadł z serca. Więc nareszcie Zosia wyjedzie ztąd, zamieszka w domu jego siostry, on będzie mógł ją widywać, będzie mógł starać się o jej przywiązanie.

Posiedział jeszcze czas jakiś na ławce, potem powstał i ku dworowi się udał. Nie znając dobrze lipowskiego parku, dość długo szukał głównej alei, tak, że ubiegł z kwadrans czasu, zanim znalazł się w salonie państwa Kramarzewskich. Sam gospodarz go przywitał, a miał minę dziwnie zakłopotaną. Stracił kontenans zupełnie, przestępował z nogi na nogę, nic wiedząc jak zacząć rozmowę, która widocznie sprawiała mu kłopot.

— Co panu jest, panie Leonie? — pytał gość — co się stało tutaj?... Widzę, że jesteś pan zakłopotany, że zjawiłem się nie w porę...

— A jakżeż można! przecież stare przysłowie mówi: „gość w dom, Bóg w dom”, a jeszcze taki gość jak kochany sąsiad dobrodziej!

— Nie politykuj pan—odrzekł i uśmiechem Ka

miński—bo to panu nie zbyt zręcznie idzie... oto lepiej powiedzieć szczerze, może wybieracie się państwo gdzie! Niech was moja obecność nie krępuje, znamy się już od dość dawna i miałbym uzasadnioną pretensją, gdybyście państwo robili sobie ze mną ceremonie. No, szanowny sąsiedzie, proszę bardzo po sąsiedzku, otwarcie...

— Ależ, bo widzi sąsiad, właściwie...

— No, przecież!

— Albo ja wiem co się tutaj dzieje?! Kobiety coś tam mają między sobą... niby moja żona i siostra żony. Jedna zadysponowała konie dla siebie, druga dla siebie, jedna odwołała dyspozycję, druga posłała do stajni z poleceniem, żeby powóz natychmiast był gotów... Przyznam się kochanemu sąsiadowi, że wolałbym trzech wilków w lesie spotkać, aniżeli grymasy kobiece widzieć. Okropnie tego nie lubię, bardzo nie lubię!

— W takich razach najlepiej jest uciekać, gdzie pieprz rośnie — rzekł z uśmiechem Kamiński — zwłaszcza jeżeli się coś przeskrobało, bo już ci nie ulega wątpliwości, że musiałeś sąsiad grubo względem pań przeskrobać, skoro się tak gniewają.

— Ja! cóż ja mogłem im zawinić?

— No, jak jest, to jest, ja sąsiada ocale... Siadaj pan ze mną i pojedziemy.

— Na żaden sposób, nie mogę przecież zostawić samych kobiet w takim rozdrażnieniu.

— Ale o cóż poszło tym paniom?

— Alboż ja wiem? powiadam sąsiadowi, że pod tym względem jestem jak tabaka w roga... a tak pięknie zapowiadał się dzień — dodał z westchnieniem—miał być na obiad chłodnik... wyśmienity chłodnik. ..Sara dałem kucharzowi informację, uważa sąsiad, sam dałem! a teraz cóż z tego chłodnika? co z całego obiadu? Wszelki niepokój odbiera apetyt, zawsze tego na sobie doświadczam i o ile możliwości unikam niepokojów...

— No szanowny sąsiedzie — odezwał się Kamiński — skoro nie chcesz korzystać z dobrej sposobności i uciekać ze mną przed burzą, to zostawiam pana własnemu losowi...

— Doprawdy! wypowiedzieć nie zdołam jak mi to przykro, ale szczerze mówiąc, ja tu sam jestem winien, nikt więcej.

— Ja też to zaraz powiedziałem.

— A! nie! nie w tem znaczeniu jak sąsiad rozumię, nie! tylko przez niedbalstwo.

— Niedbalstwo?

— Tak! tak! Już oddawna doktorzy mówią, że Andzia jest chora, że ma w wysokim stopniu rozdrażnione nerwy, że potrzebuje wzmocnienia, kuracji; ja co prawda w nerwy nie bardzo wierzę, więc też jednym uchem słuchałem, drugim wypuszczałem... teraz przekonywam się, że źle zrobiłem... ata

ki są coraz częstsze i coraz gwałtowniejsze, widzę, że doktorzy mieli słuszość.

— No, panie Leonie szanowny, bądź dobrej myśli. Jeszcze nie ma nic straconego, wypraw żonę zagranicę.

— Kiedy i Frania...

— To i pannę Franciszkę. Sam z niemi pojedź, rozerwiesz się trochę, odpoczniesz, a teraz pożegnam sąsiada dobrodzieja.

— Jak mi przykro, nie uwierzysz pan, jak mi niezmiernie przykro. Taki chłodnik! Sądzę wszakże, że ten wypadek nie wpłynie na zakłócenie naszej harmonii.

— Cóż znown?! Kamiński odjechał.

Zaledwie wolant jego zniknął za bramą, wbiegła do salonu pani Anna.

— Wyprawiłeś go już? — spytała.

— Jak widzisz.

— Spodziewam się jednak, że zrobiłeś to dość zręcznie, żeby go nie obrazić.

— Użyłem całej dyplomacya., mogę się nawet pochwalić, że wynalazł pozór bardzo zręczny godzien Metternicha.

— Ciekawam!

— Powiedziałem... powiedziałem, że ty, moja duszko, masz szalony atak rozdrażnienia nerwów.

Pani Anna wzruszyła ramionami:

— Jeżeli to miało być zręczne, to ciekawam bardzo cobyś nazwał niezręcznćiu, lecz mniejsza o to, racz się teraz pofatygować do mego buduaru.

— Dobrze, ale moja Andziu, jakże będzie z tym chłodnikiem? Sam dawałem informacye kucharzowi.

— Chłodnik ci nie ucieknie, a tu idzie o ważniejsze sprawy; proszę cię, bądź łaskaw przyjść zaraz i pamiętaj, raz w życiu przynajmniej okaż jakąś energię, bądź mężczyzną.

— Ależ!... o ilu mi się zdaje, droga Andziu...

— Ach, niestety, wiem o tem, tobie się zawsze zdaje i przez to właśnie my z siostrą jesteśmy najnieszczęśliwsze istoty pod słońcem.

Wszedłszy do buduaru swej małżonki, powolny i spokojny pan Leon uczył, że dreszcz przebiega mu po skórze i że zanosi się na coś nadzwyczajnego.

Panna Franciszka, blada jak ściana, siedziała przy oknie; skrzyżowała ręce na piersiach, jakby pragnąc przytłumić gwałtowne bicie serca. Pani Anna stanęła na środku pokoju i spoglądała poważnie i surowo.

— Proszę cię Leonie, zechciej usiąść — rzekła. Pan Leon spełnił ten rozkaz, oczekując dalszych.

— Mój panie, pomimo różnych a różnych kwestyi, których w tej chwili wszczynać nie chcę, jednak, jako mego męża i ojca moich dzieci, uważać pana muszę za głowę rodziny i pragnęłabym, abyś pan w tym właśnie charakterze, przynajmniej raz

w życiu, wystąpił z całą energią, na jaką się zdobyć możesz; jeżeli w ogóle energia jaka jest w panu...

— Moja duszko, o cóż chodzi? ..

— Przedewszystkiem zwracam uwagę, że oddawna minęły czasy, w których byłem dla pana duszką.

— Ależ aniołku!...

— Tytuł żony będzie, jak sądzę, najwłaściwszy.

— Zatem co rozkażesz, żono?

— Idzie o nauczycielkę naszych dzieci.

— O pannę Zofię?

— Tak jest; o tę pannę Zofię, dla której panowie w ogóle macie szczególne względy... idzie o tę właśnie pannę Zofię. Życzeniem mojem jest, aby ta osoba natychmiast opuściła nasz dom. Ja widzieć jej nie chcę, ty więc, jako pan domo i głowa rodziny, racz się z nią rozmówić, oblicz co jej się należy i każ jej zabierać rzeczy i wyjeżdżać.

— Jakto? dziś!... zaraz? w tej godzinie?

— Jeżeli można, to nawet w tej minucie. Nie życzę sobie przebywać dłużej pod jednym dachem z osobą, która...

— Cóż się stało? co zrobiła panna Zofia? Przecież byłaś z niej zadowolona, mówiłaś, że dzieci dużo z niej korzystają, że się ślicznie uczą,

Byłam wprowadzona w błąd. Frania sluszoie powiada, że taka komcedyantka każdego potrafi oszukać; nie chciałam wierzyć, ale wobec jawnych

dowodów niegodziwości i przewrotności, otworzyły mi się wreszcie oczy i zostałam przekonana.

— Nic nie rozumiem! Kąpcie mnie w kawałki, siekajcie, zarzynajcie, kolcie szpilkami, jeżeli wiem o co chodzi.'

— Racz pan posłuchać co się dziś stało w parku. Sądzę, że ten jeden drobny falcik wystarczy. Naturalnie pomijam mnóstwo innych, ten ostatni albowiem jak sądzę, przekona nawet ciebie. Moja Franiu, bądź łaskawą opowiedzieć szwagrowi to, co widziałas własnymi oczami.

Panna Franciszka zaczęła mówić głosem cichym i z pozorną obojętnością.

— Wysłałam do parku przejść się. Chodziłam w bocznej alei tam i napowrót, wyszukując miejsc najbardziej zacienionych, gdyż nieznośny upał tamował oddech. Myślałam o tem i o owem, co zresztą do rzeczy nie należy. W tem zdawało mi się, że słyszę jakieś szepty. Spojrzę, aż tu niedaleko na ławeczce kamiennej siedzi ta panna... gnwernanta, a

obok niej nasz dobry znajomy... pan Kamiński. Niech szwagier nie przerywa, albowiem opowiadanie moje skończy się zaraz. Ci państwo siedzieli obok siebie tak blisko i tak byli zachwyceni słodkim "tete a tete," że nie zauważyli nawet mojej obecności. Nie chcąc im przeszkadzać, cofnęłam się dyskretnie.

— No! i cóż pan na to? — spytała pani Anna.

— Ja? ja, proszę cię, nic... Cóż wielkiego!., spotkali się w parku, usiedli na ławce i rozmawiali. Przecież Kamiński znają od dziecka.

— Więc pan w tem nie widzisz nic złego?

— Daję słowo honoru, nic a nic. Juźcić nie podobna zabronić pannie Zofii rozmawiać ze znajomymi.

— Przewidywałam odpowiedź szwagra — rzekła panna Franciszka — i dla tego jeszcze raz proszę cię Andziu o konie. Wyjadę dziś, zaraz, pójdę w świat gdzie mnie oczy poniosą, ale tu, pod waszym dachem, nie pozostanę ani jednej chwili.

— Nie, droga Franiu — odezwała się pani Leonowa, obejmując szyję siostry — wyjedziemy ztąd obydwie, naturalnie i z dziećmi. Zawsze tak bywa, że porządne kobiety muszą ustępować miejsca awanturnikom i kokietkom...

— I dokąd że panie zamierzacie pojechać, jeżeli wolno zapytać?

— Świat szeroki.... Spodziewam się, że jako matka pańskich dzieci, mam niejakię prawo do alimentów.

Pan Leon ramionami ruszył.

— Doprawdy! — rzekł — nie widzę powodu do ucieczki z domu. Zresztą, bez względu na to, czy panna Zofia zawiniła, czy nie, możesz się z nią rozstać.

— Ach! według pańskiego zdauia nie zawiniła... Szczególna pobłażliwość!

— Kie wchodzę w to, powtarzam... możesz ją uwolnić.

— Ja! ja? miałabym z nią rozmawiać, po tém co zaszło? Nigdy. Możesz pan być przekonany, że na iret widzieć jej nie chcę.

— Więc może cię siostrzyczka wyręczy.

— Nie rozmawiam z tego rodzaju kobietami — odrzekła panna Franciszka z grymasem — zresztą niejestem jej pracodawczynią i w ogóle żaden mnie stosunek z tą panną nie łączy.

— Dziwne żądania — wtrąciła pani Anna — bardzo dziwne. Jak możesz wymagać od Frani, żeby załatwiała tak drażliwe sprawy. Najlepiej pójdź sam, zapłać co się tej pani należy i odeślij ją.

— Ha, skoro sobie tak życzysz.

— Albo nie, czekaj! Trzeba zrobić inaczej. Przypuszczam, że będzie żądała objaśnień, że zechce tu przyjść. Gotowa zrobić jaką scenę i płakać, spazmować — a ja wcale nie życzę sobie być na takim widowisku.

— Więc cóż?

— Każ zaprządz konie do powozu. Weźmiemy dzieci i pojedziemy z Franią w sąsiedztwo, zabawimy tam do późnego wieczoru, a może i do nocy. Przez ten czas zdążysz załatwić rachunki z panną

Zofią i wyprawić ją z domu, tak, żebyśmy jej Die zastały już za powrotem.

— Drażliwa to sprawa, ale kiedy żądasz tego koniecznie...

— Bezwarunkowo!

— Dobrze, ale cóż jej powiem, gdy mnie zapyta o powód oddalenia?

— Powód oddalenia? Przecież mówiłam ci: romans z panem Kamińskim! romans skandaliczny, który w przyzwoitym i szanującym się domu tolerowany być nie może.

Pan Kramarzewski stuknął się palcem w czoło. Zrozumiał teraz co się święci... Przecież panna Franciszka miała na Kamińskiego widoki. Wobec tego faktu, wiedział, że nic nie poradzi, że nie uratuje biednej dziewczyny, o której niewinności miał głębokie przekonanie. Postanowił zatem zrobić co mu zona zaleciła, ale zrobić w formie możliwie delikatnej, najmniej przykrej.

Powziąwszy to postanowienie, kazał zaprządz konie do powozu, a w pół godziny później, gdy już panie odjechały, zapukał lekko do pokoju Zosi.

Zastał ją bardzo zmienioną. Twarz jej była blada jak kreda, oczy zalane łzami, pochylona nad walizką układała w niej swe rzeczy. Czyżby dowiedziała się co ją czeka?

Pan Leon w pierwszej chwili nie wiedział co ma mówić. Zosia odezwała się pierwsza.

— Wiem po co pan przyszedł—rzekła — i, jak pan widzi, ustępuje.

— Ależ pani! panno Zofio... pozwól mi pani wytłómaczyć się, zapewniam panią na honor, że ja... to jest, ie w całym tem zajściu nie widzę nic oprócz nieporozumienia...

— Nie ma tu żadnych nieporozumień — rzekła, podając mu ćwiarteczkę papieru. — Wszak to wyraźne, panie, a czy sprawiedliwe, niech Bóg osądzi!

Pan Leon spojrział na kartkę. Drobnem pismem były na niej nakreślone te słowa:

„Mam nadzieję, że kochanka pana K. znajdzie sobie inną rezydencję. Atmosfera Lipowa nie sprzyja skandalom”.

F. E.

— Gadzina! — szepnął Kramarzewski i krew nabiegła mu do skroni — w jaki sposób ja panią zdołam przeprosić za to, co ja pod moim dachem spotkało?

Zosia zwróciła ku niemu swe duże, załzawione oczy.

— Przeprosić?! — rzekła z westchnieniem — alboż...

— Pani, ja mam moralne przekonanie, ie lo wszystko fałsz i niegodziwość. Mnie całe to zajście do głębi duszy oburza!

— Więc pan wierzy w moją uczciwość?

— Wierzę, wierzę! . . i słów nie mam na potępienie. .
— Dość, panie... Dziękuję za słowo współczucia. Czy wolno mi posiać służącego na wieś, żeby mi wyuajał chłopską furkę do najbliższej stacji pocztowej?
— Ależ co znowu! Czy w Lipowie koni brak? Nie pozwolę na to, abyś pani miała odjeżdżać ztąd wynajętą furmanką.
— Nie mogę przyjmować grzeczności od...
— Odemnie? ależ na Boga żywego! panao Zofio! ja przecież nie obraziłem pani ani jednym słowem, a całe to zajście odczuwam boleśniej, niż się pani zdaje. Niechże mi pani nie robi tego wstydu, żeby miała odjeżdżać na chłopskiej furce.
— Dobrze, ale w takim razie proszę zaraz o konie, dłużej tu ani chwili pozostawać nie mogę.
— Natychmiast wydam dyspozycję, lecz mamy jeszcze do załatwienia rachunek.
— Bardzo niewielki.
— Zapewne... Oto w tej kopercie — rzekł podając Zosi pakiet — znajduje się pani pensya roczna.
— Nie należy mi się tyle.
— Pozwól mi paui mieć swoje zdanie pod tym względem. Nie powoduje mną nic więcej nad poczucie obowiązku i słuszności; traci pani posadę nie z własnej winy, takie jest moje moralne przekonanie

nie i każdy sąd przyznałby pani całoroczną pensye. Mając obowiązki względem matki, nie masz pani prawa powodować się fałszywą ambicyą i odrzucać tego, co się pani najszlachetniej należy.
Kramarzewski, nie czując nad sobą argusowego oka swej małżonki, był szczery i mówił to co myślał. Bolała go krzywda wyrządzona biednej dziewczynie i chciałby ją, o ile możliwości, naprawić. To też wręczywszy jej kopertę, rzekł z uczuciem;
— Ja panią stokrotnie przepraszam za wszystko zię, jakiegoś pani doznała, twojej dobrej sławy bronić będę wszędzie i zawsze, i pamiętaj pani, że w przykrym ci Lipowie pozostaje człowiek, który cię szanuje i współczuje twojemu nieszczęściu.
Zosia rozplakała się, a pan Leon, nie mogąc nad wzruszeniem panować, uściskał jej rękę i wyszedł.
Stangret zaprzęgał konie do leciutkiej bryczki, już miał zajeżdżać, gdy nagle wiatr się zerwał i miotać zaczął tumany kurzawy, a odległe gromoty zapowiadały burzę, która się przez cały ten dzień upalny zbierała. Wicher szalał, na horyzoncie gromadziły się chmury ciężkie, czarne prawie; piętrzyły się, zachodziły jedna na drugą. Naraz zrobiło się prawie ciemno, błyskawice ślizgały się po niebie, niby ogniste węże, ryk gromów nie ustawał, piorun z przerażającym łoskotem uderzył w jedno i drzew parkowych i rozdarł je na dwoje. Zdawało się, że

przyroda chciała odrazu wyrzucić z siebie cały zapas strasznej, nieobliczonej siły, że niebo chciało ziemię zmiażdżyć i zdruzgotać. Deszcz ulewny spadł z siłą uraganu, tworząc w oka mgnieniu kałuże, zalewając drogi i ścieżki.

Zosia przerażona padła na kolana przed obrazem i gorąco modlić się poczęła. Pan Leon uchylił drzwi, ale ujrawszy ją na klęczkach, zatopioną w modlitwie, cofnął się...

Ze trzy kwadranse trwał wybuch rozszalałych żywiołów, potem błyskawice stawały się rzadsze, groźny ryk z grzmiotem oddalał się coraz bardziej, aż wreszcie z poza chmur zaczęło się pokazywać lazuruwe niebo i od zachodniej strony złocista głowa słońca wychyliła się, rzucając jasne promienie.

Deszcz ustal... a na horyzoncie położyła się tęcza, obejmująca świetnym, siedmiobarwnym łukiem połowę widnokręgu.

Na żądanie Zosi stangret zajechał. Wyniesiono na bryczkę jej niewielki tłomoczek, w progu pożegnał ją pan Leon pełnym uszanowania ukłonem i rękę jej uściśnął, jeszcze raz przepraszając, sumitując się, tłómacząc.

Po chwili dwór lipowski zniknął z przed jej oczu. Znalazła się znowuż sama, sama jedna na świecie, bez dachu nad głową, bez jutra.

Chłodny wietrzyk muskał jej skronie i nabrzmia

Ie od leż powieki, odświeżona przez burzę atmosfera uspokajała ją cokolwiek. Dokąd iść, dokąd się udać? Do stacji pocztowej przedewszystkiem, a ztamtąd gdzie oczy poniosą, aby dalej, aby jak najdalej od tych stron, w których upłynęło tyle chwil bolesnych, ciężkich...

Pan Leon po odjeździe Zosi, zaduma) się, był jak nie swój; niesprawiedliwość, wyrządzona biednej dziewczynie, bolała go tembardziej, że nie mógł złemu zapobiedz. Do walki z żoną i siostrą jej silnie miał, a zresztą do czego by go ta walka doprowadziła? Bezsilnym się czuł zupełnie.' — Jaśnie panie!—rzekł służący, wchodząc.

— Co chcesz?

— Kucharz zapytuje co będzie z obiadem?

— Ach, kucharz — odrzekł pan Leon bezmyślnie—kucharz.

— Tak jest, jaśnie panie, pyta czy podawać chłodnik...

— Chłodnik?

— Tak jest, jaśnie panie panie, chłodnik!

— Hm!... niech poda... albo lepiej! zaczekaj...

— Słucham jaśnie panie!

— Nie będę jadł, każ mi zrobić szklankę mocnej herbaty, gdyż mam szalony ból głowy.

Z jakim uczuciem w sercu Zosia opuszczała Lipów, łatwo się domyśleć. Rozczarowanie, za

wód, boi, poczucie krzywdy ciężkiej przygniały jej serce jak głazem, a wśród tego żalu i boleści przychodziło jeszcze na myśl pytanie: co zrobić? dokąd się udać, w którą stronę się obrócić?

Tak niedawno jeszcze jedyny dio wiek życzliwy, jakiego na drodze życia spotkała, ofiarowywał jej życzliwą pomoc swej siostry, a schorowaną matkę chciał przyjąć pod swój dach gościnny. Była to ofiara szlachetna i podyktowana przez szczerą życzliwość i sympatyę. Zosia rozumiała to dobrze, ale dziś już nie może z niej korzystać. Bez wątpienia panna Franciszka nie zostawi całego zajścia w tajemnicy przeciwnie, rozgłosi je, rozkrzyczy, że by biedną dziewczynę na zawsze zgubić w opinii i potępić. Czyż wobec tego możliwym jest udawać się pod opiekę pani Władysławy? czy sam takt pobytu pod jej dachem nie da powodu do nowych plotek i potwarzy? Może kobieta doświadczeńsza, więcej praktyczna i z życiem obyta rozumowała by inaczej, może właśnie przyszła by do wniosków wprost przeciwnych, ale Zosia inaczej zapatrywała się na tę sprawę. Kie chciała, by na jedyny jej majątek, na poczciwe, niczem nie skalane imię, nie padał cień najmniejszy i sądziła, że gdy odjedzie daleko, jak najdalej z tych stron, to cel swój osiągnie. — Zniknę—myślała sobie —zagrzebię się w najodleglejszej części kraju, jednej tylko matce donio

są gdzie jestem, matce i jeszcze komuś! a gdy zejść ludziom z oczu, to mówić o mnie przestana, zapomną, że istniała kiedy na świecie. Niczego też więcej nie pragnę; pracować, zarabiać dla matki, cierpieć i czekać dni lepszych... oto wszystko co mam do zrobienia*

Tak też uczyniła. Przyjechała do Warszawy i udawszy się do kantorów, znalazła posadę nauczycielki w bogatym, żydowskim domu w Kaliszu. Ponieważ sama pani osobiście przyjechała w celu wyszukania przewodniczki dla swych córeczek, a Zosia wymagań wielkich nie miała, przeto porozumienie nastąpiło zaraz.

Zosia napisała serdeczny list do matki, posłała jej prawie wszystkie pieniądze, zapracowane w Lipowie, ale o powodach opuszczenia posady przemilczała dyskretnie, nie chcąc ranić serca schorowanej kobiety. Po załatwieniu tej korespondencji, wsiadła do wagonu wraz z swoją nową pracodawczynią i udała się do objęcia obowiązków.

Wypadkowym sposobem dowiedział się pan Kamiński o odjeździe Zosi z Lipowa. Powracają

wiła gości wesołą, dowcipną rozmową. Kamiński wszakże coraz na drzwi spoglądał, jakby spodziewając się, że wnet nadejść powinna ta, którą tak gorąco widzieć pragnął.

Nie mogąc się przyjścia Zosi doczekać, zwrócił się z zapytaniem wprost do baronównę).

— Proszę pani — rzekł — czy panna Zosia nie będzie dziś widzialna?

Ruda piękność zmarszczyła brwi.

— Przepraszam—rzekła—o kogo panu idzie?... kto jest panna Zosia?

— Dziwne pytanie! nauczycielka pani siostrzyczek, wszak nie ma innej panny Zofii w Lipowie.

— Wybacz pan, ale ta osoba nic zajmowała i nie zajmuje mnie wcale. Jeżeli jcdnak zależy panu co na tej wiadomości, to mogę panu powiedzieć, że owa panna opuściła już Lipów i wyjechała.

— Dokąd? — zawołał zdumiony Kamiński.

— Nie umiem pana objaśnić. Nie byłam w stosunkach przyjaźni z tą damą; nie pytałam jej z kąd przybyła, ani też nie byłam ciekawa wiedzieć dokąd ma zamiar się udać.

Kamiński wargi przygryzł ze złości.

— Ale —rzekł — może pani wiadomy jest powód nagłego wyjazdu panuny Zofii?

— Nic wiem, doprawdy... podobno jakiś skandalik, romans, czy coś podobnego.

— To nieprawda! — zawołał z oburzeniem.

Baronówna podniosła się z krzesła.

— Samo oburzenie pańskie — rzekła — dowodzi że to prawda. Te panie mają zawsze swoich rycerzy...

Z temi słowy panna Franciszka opuściła salon. Kamiński udał się z zapytaniem do pani Anny. ale ta ogólnikami go zbyła i właściwie nic się od niej dowiedzieć nie mógł.

Pozostał jeszcze pan Leon. Wyszedłszy z nim do ogrodu, Kamiński indagację rozpoczął:

— Bo to widzi sąsiad kochany — tłumaczył się Kramarzewski — kto z kobietami dojdzie do ładu? Najmniejsza bagatelka, pozór... coś takiego i o to awantura gotowa! Przywidzenia, halunacye, histerye, a rezultat zawsze niedobry... Przekonany jestem, że to nerwy, daję słowo, nerwy... nic więcej! Nieraz zastanawiam się nad tem, dlaczego właściwie człowiek nerwy posiada? bo rozumiem, że płuca, mózg, serce są to organa ważne, niezbędne do utrzymania życia, ale nerwy!...

To objaśnienie nie wystarczyło Kamińskiemu. — Proszę pana — rzekł poważnie — nerwy nie mają żadnego związku z przedmiotem, o którym pragne miwie i ostatecznie nie widzę powodu, dla którego byś pan mógł odmówić wyjaśnienia, o jakie proszę. Wolno paniom mieć swoje, jak pan nazywa, halunacye i histerye, ale my mężczyźni powin

niśmy mówić spokojnie i trzeźwo. Powiadam pana, że była nauczycielka pańskich dzieci obchodzi mnie bardzo, że znalazłem blisko jej rodziców, że wreszcie jest to osoba nieszczęśliwa, której należy dać pomoc i opiekę... dlatego też proszę pana i zaklinam na honor, zechciej mi powiedzieć co się z nią staie i gdzie ona jest obecnie?

— Na drugie pytanie odpowiedzi dać nic mogę, gdyż nie wiem dokąd się panna Zofia udała. Odesłałem ją do najbliższej stacyi pocztowej, to jest fakt... Prawdopodobnie pojechała karetką do Warszawy. Przy odjeździe o dalsze zamiary nie śmiałem jej pytać, zanadto była zmartwiona i znębiona. Na pierwsze pytanie odpowiem szczerze i całą prawdę. Zechciej pan usiąść tu na ławce i słuchaj. Dodać winienem, że co się stało, to się stało wbrew mojej woli, że samo wspomnienie tego przejścia przejmuję mnie żalem, ale zechciej pan wejść w moje położenie... musiałem ustąpić, nie mogłem podejmować walki nierównej i nieprowadzącej do celu, bo gdybym nawet użył swojej powagi i postawił stanowcze otio, to, przynasz pan sam, w niczem a w niczem nie ulżyłoby ciężkiego losu panny Zofii. Nie mogłaby wytrzymać w tym domu. Słuchajże pan...

Tu Kramarzewski powoli, ze szczegółami wszystkimi, opowiedział historię owego upalnego dnia, burzy domowej, naturalnej burzy i zmarnowanego chłodnika.

Kamiński, wysłuchawszy relacji, potrzebował użyć całej siły woli, aby nic dać poznać tego, co się w jego sercu dzieje. Pożegnał państwa Kramarzewskich z mocnym postanowieniem, że więcej noga jego w Lipowie nie postanie i udał się do domu.

Tam, zaraz drugie konie zaprządź kazał i na całą noc ku Warszawie podążył.

Gmach jego marzeń i nadziei odrazu w gruzy się rozpadał, plan ułożony tracił wartość, cel oddał! się coraz bardziej.

Zajście w Lipowie stawiało pomiędzy nim a Zosią trudną do zwalczania przeszkodę.

Kamińskiemu w głowie buczało jak we młynie, ciągle miał przed oczami bladą twarzyczkę Zosi— Postanowił gonić ją, szukać i znaleźć, choćby na końcu świata... wyznać jej swoje uczucia i wprowadzić ją do swego domu, jako żonę swoją, przybraną matkę dla dzieci... Zakończyć raz jej tułactwo i cierpienia.

Przez całą noc oka nie zmrużył, pomimo, że droga była przykra i nużąca. Dkladał plany poszukiwań, które pragnął natychmiast rozpocząć; droga wydawała mu się nieskończenie długą.

Sądząc, że karetą pocztową nic dojedzie dość prędko, wysiadł na jednej stacyi i wziął extrapocztę. Przeplacał pocztylionów, aby śpieszyli i nareszcie po kilkunastu godzinach forsownej jazdy, ujrzał

wieżycę Warszawy, nad którymi unosi, się, jak zwykle, obłok dymu.

— Tują znajdę!—myślał —tu ona być musi... przez tak krótki czas nie zdążyłaby dostać posady.

Przypuszczał, że Zosia zatrzymała się u Petyckiej, tej poczciwej kobieciny, u której przed niedawnym czasem schronienie znalazła.

Kazał pocztylionowi wprost na Stare Miasto zajechać.

Na domu, który doskonale pamiętał, nie było już owego szyldziku, wyobrażającego „magiel wiedeński”, a z zebranych naprędce infonnacyj dowiedział się Kamiński, że Pętlicka magle sprzedała, wyniosła się całkiem z Warszawy i przy dzieciach na prowincyi osiadła.

Trzeba było szukać innej drogi. Naturalnie, nie trudno się było domyśleć, że Zosia nie inaczej jak za pośrednictwem kantorów posady szukała, natychmiast więc, nie posiliwszy się, nie spocząwszy po drodze, puścił się Kamiński na poszukiwania. Chodził od kantoru do kantoru, dopytywał, badał, aż nareszcie znalazł upragnioną wiadomość.

Postanowił jechać natychmiast.

Pobiegł do hotelu i przebrał się. Głód mu dokuczał; istotnie człowiek ten od dwudziestu czterech godzin nie miał nic w ustach. Zeszedł na dół do restauracyi hotelowej i kazał sobie obiad podać.

Siedział sam przy osobnym stoliku i rozmyślał o świeżo zaszłych wypadkach, o celu poszukiwań, o tej ślicznej, bladej dziewczeczce, której obraz nieustannie niiał przed oczami.

Nareszcie wie już gdzie jest... Pojedzie do niej zaraz, natychmiast, wyzna jej swoje uczucia, rozpocznie nowe, szczęśliwe życie.

W tej chwili jednak w duszy jego rodzić się zaczęły pewne wątpliwości... Zkąd pewność, że Zosia wyznanie dobrze przyjmie, że na uczucie uczuciem odpowie, że zgodzi się pójść z nim ręką w rękę, przez całe życie na złą i dobrą dolę. Któż za to zaręczy?... a może sama jego bytność u niej, sama rozmowa z nią stanie się, jak w Lipowie, przyczyną utraty posady, powodem do nowych zmartwień, może tak jak poprzednio, pozbawi ją kawałka chleba i dachu nad głową — Nie! na to jej narażać nie można. Kamiński wybrał inną drogę. Postanowił poprosić siostrę swoją, panią Władysławę, aby pojechała do Zosi, wybadala ją, rozmówiła się szczerze i otwarcie. Pani Władysławie, jako kobiecie, łatwiej to będzie, przytem i wizyta jej żadnych podejrzeń nie wzbudzi. Pobiegł natychmiast do siostry, rozmawiał z nią długo i szczerze, a znać trafił jej do przekonania, gdyż jeszcze tego wieczora energiczna kobieta wybrała się w podróż.

Brat odprowadził ją na dworzec kolejowy, usadził w wagonie, a gdy pociąg ruszył, powrócił do miasta i w największym niepokoju oczekiwał wieści z Kalisza. Siostra przyrzekła mu najsolennie, zaraz po zobaczeniu się z Zosią, wysłać telegram—tymczasem minęło już dwie doby, a upragnionej depeszy nie było. _

VIII.

Utica była pierwszorzędną, dom okazały, państwo Steinhaus zajmowali apartament na pierwszym piętrze, na dole znajdował się tak zwany kantor, w którym załatwiano rozmaite interesa finansowe, mniej lub więcej ryzykowne, ale zawsze korzystne, bo szef, domu „Steinhaus et Comp.” miał nos i lubił się chwalić z tem przed ludźmi. Wiedział co kiedy kupić, co sprzedać, prowadzi! dom okazały, a chociaż parokrotnie mówiono o nim, że się chwieje, jednak pogłoski nie sprawdziły się i firma istniała.

Pani Władysława wchodziła powoli po wygodnych schodach na pierwsze piętro.

Była godzina pierwsza w południe.

Na odgłos dzwonka otworzył drzwi służący w dość zakurzonym fraku i zapytał.

— Do kogo pani ma interes?

— Chciałabym się widzieć % guwernantką państwa Steinhaus.

Służący spojrział na nią uważnie.

— Zdaje mi się, że wyszła — rzekł — ale pójdę zobaczyć...

Po chwili powrócił.

— Guwernantka wyszła z panienkami, ale zaraz wróci. Niech pani pozwoli do salonu, sama pani Steinhaus o to prosi i także zaraz przyjdzie.

— Nie chciałabym samej pani trudzić, bo mara tylko do guwernantki interes.

— Ale proszę! proszę! — odezwał się głos z sali — dlaczego pani nie ina spocząć? Panna Zotia zaraz przyjdzie. A może pani ma jakie sekreta dla panny Zofii?

j— Nic mam jej do powiedzenia nic takiego, czegobym wobec pani powtórzyć nie mogła — rzekła z powagą pani Władysława. — Osobiście prawie jej nic znam i proszona jestem tylko, aby zakomunikować jej niektóre wiadomości od krewnych.

— Acu! więc pani nie tutejsza?

— Mieszkam w Warszawie.

— Przepraszam, że ją panią tak wypytuję, ale rozmaicie bywa, a mając dobrą nauczycielkę, nie chciałabym jej utracić.

— Nie rozumiem pani; nie mam ani kantora stręczeń guwernantek, ani nie potrzebuję nauczy

cielki do własnych dzieci, gdyż mam tylko jednego chłopczyka.

Pani Steinhaus zmierzyła mówiącą od stóp do głów i przegląd ten widocznie wypadł dla pani Władysławy dość korzystnie.

Małżonka finansisty dopytywała o nowinki warszawskie, o teatr, opowiadała przytem o swoim nadnatłonóm zdrowiu, zamiarze wycieczki za granice ilo wód, co wprawdzie bardzo drogo kosztuje, ale przy jej bogactwach nie sprawi wielkiego kłopotu.

Upłynęło z półgodziny na takiej pogadance, a tymczasem Zosia z dziećmi wróciła ze spaceru.

— Teraz — rzekła pani Steinhaus — może pani zobaczyć naszą nauczycielkę... Jan! — zawołała na służącego — zaprowadź panią do guwernantki.

Pokoik Zosia zajmowała maleńki, pokoik ponury, z jednym oknem, wychodzącym na podwórze.

Wizytę przyjęła z pewnem niedowierzaniem, a nawet jakby z niechęcią, ale szczere, serdeczne odezwanie się pani Władysławy wnet rozbroiło dziewczynę. Pierwsze lody zostały przełamane, znajomość zawarta.

— Tani przejeżdża zapewne przez Kalisz? — zapytała Zosia.

— Nie! przybyłam tu naumyślnie i jedynie do pani.

— Jedynie do mnie?

— Tak jest, naumyślnie i jedynie do pani... Zosia zrobiła wielkie oczy.

— Panno Zofio, mam ci dużo, a dużo do powiedzenia! Przychodzę z dobrem słowem, z sercem, z pociechą, której w twojem położeniu tak bardzo potrzebujesz. Brat mój stał się mimowoli powodem wielu przykrości dla ciebie...

— Istotnie, przecierpiałam bardzo wiele, ale pana Kamińskiego o to nie obwiniam. On chciał jak najlepiej dla mnie... dla mojej biednej matki. Okazał mi tyle życzliwości, tyle dobrego serca, że mu do śmierci wdzięczną pozostanę. Nie jego wina, że źli ludzie...

— To, co pani mówi, dodaje mi otuchy.

— Otuchy?

— Tak!! Mam dużo do powiedzenia i, jak powiedziałam, przychodzę z życzliwością i z sercem. Może przeprowadzenie misji, dla której tu przybyłam, wymagałoby pewnej dyplomacji, ale wybacz... niejestem na dyplomatkę stworzona, lubię iść prostą drogą, mówić co myślę i jak myślę.

— Doprawdy, zrozumieć nie mogę, co pani chce powiedzieć,

— Zrozumiesz, zrozumiesz pani, tylko poświęć mi chwile czasu i wysłuchaj. Wszak to do niczego nie obowiązuje. O jedno tylko proszę: szczerłość za szczerłość. Czy zgoda?

Zosia skinęła głową w milczeniu i patrzyła na mówiącą szeroko otwartymi oczami.

— Przedewszystkiem pani, Zosiu, jeżeli pozwolisz się tak nazwać, weź to na uwagę, że ja niejestem ci tak obca, jak sądzisz. Niegdyś rodziny nasze były z sobą w bardzo dobrych stosunkach, a brat mój, pomimo znacznej różnicy wieku, był serdecznym przyjacielem twego ojca... Gdyby nie nieszczęśliwe wypadki, które wszystkimi i wszystkim tak silnie wstrząsnęły, może spotykałybyśmy się dziś w zupełnie innych warunkach, możeby nas tylko miedza rozdzielała. Stało się. Dziś, ty biedaczko, z żalem wspominasz dawne swoje kąty i tułać się musisz po świecie z nieustanną myślą o chorej matce, o siostrze...

W oczach Zosi błysnęły łzy, pani Władysława mówiła dalej:

— Dziś łączy nas pokrewieństwo niedoli i nieszczęścia, a takie węzły powinny być silne, silniejsze może od innych. Czy znasz dzieje naszej rodziny, historię mojego brata?

— Wspominał mi w kilku słowach.

— Wierzę, bo on dużo mówić nie lubi, a zwłaszcza o sobie. I ja nie będę ci opowiadała szczegółowo tego ciężkiego dramatu. Utracił żonę w sposób okropny, w płomieniach. Utracił kobietę, do której był szczerze przywiązany i został z dwojgiem dzieci sam jeden. Nie mówię już o stratach

majątkowych, nie mówię o osobistych różnych przejściach, jakie znieść musiał. Nic oszczędzało go życie. Biedny człowiek! tyle musiał przeżyć, tyle przeboleć, przecierpieć — i wierz mi, moja droga, że z tej twardej szkoły nieszczęść, w której niejeden padłby zupełnie złamany, albo puścił się z rozpacz na bezdroża, brat mój wyszedł czysty i pełen mocy ducha...

Powiedziawszy to, pani Władysława umilkła i po dłuższej pauzie ciszej mówić zaczęła:

— Wielkie to były nieszczęścia, ciężkie ciosy, ale, jak ci powiadam, brat mój zniósł je jak na mężczyznę i człowieka z charakterem przystało. W pracy szukał zapomnienia i ulgi i, do pewnego stopnia przynajmniej, znalazł je. Czas jest lekarzem, który goi najboleśniejsze rany... Mówiłam też zawsze bratu memu, że jest jeszcze młody, że ma prawo do szczęścia, że wreszcie nowy związek nic ubliży pamięci tamtej... nieszczęśliwej, że przeciwnie, da jej sierotom opiekunkę. Brat z początku słuchać o tem nie chciał, ale od niedawnego czasu zmienił zdanie. Znalazł osobę, dla której serce jego żywiej uderzyło.

— Więc żeni się pan Kamiński? — zapytała Zosia z ciekawością.

— Przynajmniej marzy o tem... Zmiana, jaka w usposobieniu jego zaszła, zmiana, z której ja, jako

jego siostra, ucieszyłam się szczerze, datuje się od chwili owej, kiedy, jeżeli przypominasz sobie pani, jechaliście razem do Warszawy omnibusem pocztowym. Odrazu wzbudziłaś w nim sympatyę, która z czasem zamieniła się w trwale i poważne uczucie.

— Ja? co też pani mówi?

— Panno Zofio! obiecałaś słuchać cierpliwie zatem wysłuchaj do końca. Nie będę przedłużała tej rozmowy, powiem krótko... brat mój kocha cię, a ja przybyłam umyślnie, aby ci to w jego imieniu oświadczyć i prosić o twoją rękę.

Zostań jego żoną, to człowiek uczciwy i godzien szacunku. Będziesz w nim miała wiernego przyjaciela i towarzysza życia. Twoja tułaczka się skończy, będziesz miała przy sobie matkę, którą on kochać będzie jak własną, siostrę, dla której zostanie bratem... Milczysz pani, nie chcesz mi odpowiedzieć...

Zosia miała oczy pełne łez.

— Pani! — odrzekła po chwili namysłu — cóż tu odpowiedzieć?! Dla biednej nauczycielki, sieroty, jest to los, który można przyjąć z wdzięcznością, tembardziej, że brat pani umie wzbudzić sympatyę i szacunek.

— Więc przyjmujesz? — zawołała pani Władysława z radością i rzucając się na szyję Zosi—więc przyjmujesz, moja śliczna, kochana siostrzyczko?

— Nie nazywaj mnie pani tem imieniem. Ja wam, to jest i tobie pani i jej szlachetnemu bratu,

z całego serca, z całej duszy dziękuję, ja wam będę do końca życia wdzięczna, ale... pozwólcie mi pójść własną drogą, pozostawcie mnie własnemu losowi.

— Dlaczego? na miłość Bożką! dlaczego?

— Szczerłość za szczerłość... wszak o to prosiłaś pani Gdybym była wolną, nie odrzuciłabym pocziwych serc waszych. Mówią, że miłość na zawołanie nie przychodzi, a to ponieważ żywię dla brata pani głęboki szacunek, więc z caleni zaufaniem dałabym mu rękę, gdybym była wolną, jak powiadam.

— Alboż jest inaczej?

— Tak, pani. Ten, który miał być moim mężem, znajduje się ztąd daleko, bardzo daleko, burza porwała go jak liść z drzewa i uniosła w inne strony. Niewiadomo kiedy powróci ztamtąd, niewiadomo nawet czy powróci, ale sumienie nakazuje dotrzymać mu słowa. Patrz pani, ten maleńki pierścionek, z którym nio rozstają się nigdy, od niego pochodzi. Sądzę, że nic będziesz pani starała się przekonać mnie, że moje słowo złamać.

— Biedne dziecko — rzekła pani Władysława z westchnieniem biedne dziecko! a jeżeli on zapomni, już zapomniał, jeżeli znalazł szczęście w innym związku?

— Zdaje mi się, że nie. Wprawdzie, dawno już listu od niego nie miałam...

— A widzisz!

— Jeżeli zapomniał, to jego rzecz — moja zaś dotrzymać.

Tu Zosia opowiedziała pani Władysławie króciuchną sielankę swej bardzo wczesnej młodości, miłość kilku dni słonecznych, które przerwała burza i po której rozpoczęło się jednostajne pasmo dni szarych, posępnych, smutnych.

— Więc z uiczem odjadę, droga Zosiu — spytała siostra Kamińskiego — nie będę zwiastunką szczęścia dla niego...

— Zawieź mu pani odemnie serdeczny uścisk dłoni, podziękowanie za dobre serce, jakie okazał sierocie, zawieź mu szacunek mój i przyjaźń, ale sama widzisz, że nic więcej nad to dać mu nie mogę.

Z ciężkim sercem, a podwójną życzliwością i szacunkiem dla Zosi, opuściła pani Władysława Kalisz i podążyła ku Warszawie, aby zwiastować smutną nowinę bratu.

Zastała go na dworcu kolejowym, gdzie z niecierpliwością oczekiwał na pociąg. Odrazu z wyrazu twarzy siostry poznał, że nic dobrego nie przywozi, przez drogę do domu wysłuchał relacji spokojnie, nie zdradziwszy nawet jednym westchnieniem ile cierpi.

— Ha, trudno — rzekł! całując rękę siostry — widać nie przeznaczono mi szczęścia na tej ziemi.

Dziękuję ci Władziu za trudy twoje i bądź zdrowa...

— Odjeżdżasz już? — zapytała.

— Tak! jadę. Czegóż tu mam siedzieć, moja droga, trzeba do domu. Zagrzebać się w gospodarstwie w książkach, wegetować, aby dalej, aby dalej, aby z dnia na dzień, z roku na rok. O jedną łaskę cię proszę tylko siostrze... utrzymuj stosunek listowny z Zosią. Wiedzmy przynajmniej gdzie jest i w razie potrzeby przyjdziemy jej w delikatny sposób z pomocą.

Pani Władysława przyrzekła, że to uczyni, a on pojechał.

Przybywszy do domu, zamknął się, przestał bywać w sąsiedztwie, a Kramarzewskiego, którego panna Franciszka z nadzwyczajną misją wysłała, przyjął tak kwaśno i chłodno, że dziedzic Lipowa postanowił dalszych prób zaniechać.

W okolicy zaczęły krążyć pogłoski, mówiono, że Kamiński zdziecinniał, inni twierdzili, że melancholji dostał, ale ani jedno, ani drugie przypuszczenie nie było blizkie prawdy; on tylko zamknął się w sobie, pracą starał się przezwyciężyć smutek, pracował dużo, dużo czytał i z domu nie oddalał się wcale. Zawiązał też korespondencyjnie w celu dowiedzenia się o swym rywalu; nie było to wprawdzie trudne, gdyż w owych stronach odległych miał

wielu znajomych i przyjaciół a nawet i krewniaków, ale list w tamtą stronę szedł kilka miesięcy, w najlepszym nawet razie zaledwie za pół roku można się było odpowiedzi doczekać.

Pobył Zosi w Kaliszu długo nie trwał. Pan bankier, którego dzieci kształciła, zrobił kilka mniej fortunnych operacyj, a czując, że mu się chwieje grunt pod nogami, wolał się zawczasu z interesów wycofać. Jakoż wycofał się tak zgrabnie, że wierzyciele nie spostrzegli się nawet, jak zniknął pewnej nocy, wraz ze swoją rodziną, zabrawszy wszystkie kapitały i pozostawiwszy jedynie ruchomości.

Zosia naraz znalazła się znowu bez miejsca, ale to trwało niedługo. Zapoznała się zjedną rodziną, wyprowadzającą się za chlebem bardzo daleko w głąb Cesarstwa i przyjęła u niej obowiązek nauczycielki.

Na krótko pojechała do matki, pożegnała ją, oddała jej wszystkie swoje oszczędności, ucałowała jej ręce stokrotnie i ze ściśniętym sercem, tłómaczącą że bardzo niedaleko wyjeżdża, opuściła rodzinne strony.

Do pani Władysławy napisała kilka słów serdecznych i potem już nie dawała o sobie znaku życia. Tak przeszły trzy lata.

IX.

Pani "Władysława kończyła swoją pracę dzienną. Panny porozchodziły się, służąca sprzątała porozrzucane skrawki i galgauki.

Był wieczór zimowy, mroźny, na ulicach już ruch ustawał, bogatsi siedzieli w teatrach, lub wybierali się na zabawy, ubożsi tulili się w izbach przy piecach, sklepy już zamykano.

Pani Władysława wzięła się do swojej książki rachunkowej, lecz gdy zaledwie zaczęła cyfry podsumowywać, brzęk dzwonka w przedpokoju przerwał jej tę robotę.

— Pójdźno! — rzekła niecierpliwie do służącej — zobacz kto tam dzwoni i czego chce o tak późnej porze?

Służąca wróciła za chwilę.

— To, proszę pani, siostra przysła i koniecznie chce się z panią widzieć.

— Jakto? panna Elżbieta przyjechała?

— Ale nie! siostra, proszę pani, prawdziwa siostra... powiada, że ze Świętego Ducha.

Pani Władysława zerwała się z krzesła i wprowadziła przybyłą do pokoju.

Była to siostra miłosierdzia, w szarej grubej sukni, w czepcu w wielkich skrzydłami.

— Wybacz pani — rzekła, spuszczać oczy ku ziemi — że niepokoję, a może pracę przerywam, ale przysłała mnie osoba, której chwile może są już policzone.

— Na Boga! o kim pani mówisz?

— Od tygodnia leży u nas w szpitalu młoda osoba, bardzo nieszczęśliwa, nic pod względem materiałem, gdyż złożyła tundusik na opłatę za oddzielny pokoik, lecz nieszczęśliwa pod innymi względami. Z małymi przerwami jest prawie ciągle nieprzytomna, a z tego, co bredziła w gorączce, możnaby sądzić, że ją jakieś wielkie nieszczęście spotkało, mówiła o pogrzebie matki...

— Jak się nazywa? — spytała pani Władysława.

— Nic pamiętam doprawdy, wiem, że ma imię Zofia, miła blondyneczka z niebieskimi oczami.

— Ach! to już wiem kto! Natychmiast śpieszmy do niej siostró, nie tracąc ani chwili.

— O! niech pani pośpieszy. Właśnie przed godziną biedaczka odzyskała przytomność, przyzwała mnie do siebie i rzekła: Jedną mam tylko ży

czliwą istotę w Warszawie ("tu wymieniła nazwisko pani i adres), jedź, powiada, siostró, poproś ją do mnie... kto wie, co mnie czeka, może już jutro skończą się moje cierpiecia".

— Czy istotnie tak groźna choroba?

— Zapewne, doktorzy z powątpiewaniem kiwają głowami, ale Pan Bóg może poratować.

— Masz słuszność, siostró, w Nim tylko nadzieja.

— Modłę się też codzień o zdrowie dla tej biedaczki... W drugim dniu choroby, gdy miała przytomność, wypytywała mnie o warunki przyjęcia do naszego zgromadzenia, mówiła, że pragnie siostrą miłosierdzia zostać. Tłómaczyłam jej, że ma zbyt wątłe zdrowie i siły do tego obowiązku... Poźniej gorączka się wzmogła i już nie mówiłyśmy o tem.

Ta rozmowa prowadzoną już była w dorożce, która niebawem zatoczyła się przed gmach szpitalny.

Ze ściśniętym sercem, ze łzami w oczach szła pani Władysława przez długie korytarze szpitalne, poprzedzana przez siostrę miłosierdzia.

Pierwszy raz znajdowała się w takim przybytku boleści i niemocy, zdawało jej się, że blade widmo śmierci przechadza się po tym wielkim gmachu i czycha na swe ofiary. Zdawało jej się, że przez drzwi, koło których przechodziła, słyszy westchnienia i jęki.

Spotkała kilka zakonnice, jak przesuwaly się cicho po korytarzu, w swoich białych czepcach skrzydlatych, oraz młodego studenta, który biegł rażno nucąc półgłosem aryę z najnowszej operetki... Widziała także posługaczów apatycznych, sennych, przyzwyczajonych do widoku cierpień i śmierci.

Zdawało się, że długie korytarze nie mają końca, że ten przybytek jęków, to niby olbrzymi labirynt, z którego wyjścia nie ma.

Nareszcie doszły do celu.

Zakonnica otworzyła drzwi bez szelestu i skinęła na swą towarzyszkę. Weszły.

Zosia leżała na łóżku z przy mknie tem i oczami, tylko miarowe wznoszenie się i opadanie piersi świadczyło, że życie z niej jeszcze nic uciekło. Piękna jej twarzyczka o delikatnych rysach wyglądała jakby wyrzeźbiona z kararyjskiego marmuru. Nad białym czołem wiły się sploty jasnych włosów, rozrzucone w nieładzie. Ręce jak u dziecka drobne i wychudłe skrzyżowała na piersiach.

Pani Władysławie lzy zakręciły się w oczach.

— Zosiu! droga Zosiu! — szepnęła. Odpowiedzi nie było.

— Usnęła... — rzekła zakonnica szeptem — ale się zaraz przebudzi; sen ma przerywany, krótki. Niech pani siądzie tu przy niej... Ot tak, do światła, żeby panią lepiej widzieć mogła.

Istotnie chora westchnęła i otworzyła oczy.

Na widok przybyłej błysnął w nich promyk radości. Wzięła rękę pani Władysławy i przycisnęła ją do ust.

— Byłam pewną, że pani przyjdzie — rzekła — byłam pewną, chociaż nie zasłużyłam na tyle dobroci.

— O, moje dziecko, czemuś nie dałaś znać wcześniej?... Byłabym cię wzięła do domu, pielęgnowała i cała troskliwością... Nie moge pozwolić, żebyś leżała tu. Jutro, jeżeli doktorzy pozwolą, zabiorę cię do siebie.

— O nie! nie trzeba!... mnie tu dobrze. Siostra Zofia jest dla mnie prawdziwym aniołem opiekuńczym, bo ona także Zofia... ma takie imię jak ja i taka sierota jak ja... i matkę straciła niedawno... także jak ja. Nic bierz mnie paui ztąd, tu dobrze, spokojnie, cicho...

— Nic mów tak dużo, Zosiu, to cię męczy.

— Masz pani słusność, doktor to samo powiada, ja też długo pani nudzić nie będę Tu pod poduszką są papiery, weź je pani do siebie. Jeżeli powrócę do zdrowia, oddasz mi je... jeżeli zaś umrę, spalisz...

— Ależ ty żyć będziesz, drogie dziecko, na szczęście własne i drugich.

— Bóg to wie jeden., weź paui te papiery,

przeczytaj je, one ci powiedzą i wytłomaczą wszystko, powiedzą więcej niż ja sama, bo nawet i mówić mi trudno.

— Nie wysilaj się też, nie mów, próbuj usnąć, może cię sen pokrzepi. Biedne dziecko, potrzebujesz nabrać sił.

— Sił! — rzekła ze smutnym uśmiechem Zosia — tak, sił! Zdawało mi się, że mam ich wiele, bardzo wiele, a jednak, gdy mi serce zakrwawiono, życie złamano, gdym w jednym prawie dniu utraciła wszystko, co miałam najdroższego na ziemi, pokazało się, że moje siły były tylko złudzeniem, że wątpa i słaba zламаłam się odrazu pod tym ciętatem... Sił fizycznych zabrakło... a dusza!

— Bóg dodaje mocy cierpiącym i pomaga nieść krzyże, które na nich zsyła — odezwała się, siostra miłosierdzia — błogosławieni którzy cierpią...

— O tak! — odrzekła Zosia, wznosząc śliczne swe oczy ku górze — błogosławieni, którzy cierpią, masz słusność siostro, prawda, prawda... Cierpię, nie ma swoją poezję i swoje uroki; ale ja bym welała nic cierpieć... Wolałabym być przy matce mojej oprzeć głowę na jej ramieniu, wyzalić i wypłakać się... wolałabym łudzić się do końca życia, czekać do końca życia i wierzyć.

Mówiąc to, chora przymknęła powieki; na twarzy jej wykwitły silne rumieńce, usta były suche, wychudłe białe paluszki poruszały się nerwowo.

— Znow gorączka — szepnęła zakonnica, po

chylając się nad chorą. — Niestety, znowu gorączka.

— Powiedźcie mi wy... — szeptała Zosia — powiedźcie ludzi mądrzy..., uczeni tego świata, powiedźcie czy to prawda, że są takie mrozy, które mogą serce wyziębic, pamięć odebrać, serce wystudzić i w bryłę lodu je zamienić? Czy są?... Ja wiem że są... Gdzieżes matko moja? Tam wysoko, wysoko... prawda, że tam nie ma ani leż, ani zawodów... ani boleści? Weź mnie do siebie, weź mateczko, zabierz dziecko twoje. Tyś mnie porzuciła, ou zapomniał, nie ma już dla mnie nic na tej ziemi, weź mnie matko do siebie...

— Zawsze tak, rzekła zakonnica — leży cicho, bez jęku i skargi; gdy zaś w gorączkę zapadnie, wnet o matce, lodach i mrozach opowiada. Musiała biedna wiele przecierpieć.

— Co doktorzy mówią? — spytała pani Władysława — co mówią? Proszę o szczerą odpowiedź.

— Robią, co mogą; młodość chorej, jej siły, oto cała nadzieja,

Pani Władysława przypatrywała się bacznie chorej, której usta poruszały się ciągle. Był to jednak szepot tak cichy, że najbystrzejszy słuch nie mógł pochwycić pojedynczych wyrazów.

— Niech pani jedzie do domu — rzekła zakonnica — ja tu będę czuwała przez noc całą. Jutro pani może zajrzy.

— Ależ i jutro i pojutrze i codzień... Nawet mara szczerą ochotę zabrać ztąd tą biedaczkę do siebie.

— Nic radzę pani, przynajmniej dopóki polepszenie nie nastąpi. My czuwać nad nią będziemy, w domu samej jednej pani byłoby trudno.

— Droga siostró, szczególnej opiece twojej ją polecam. Na wszelkie wydatki fundusz dam, co tylko będzie potrzeba. Ratujcie ją tylko, ratujcie. O gdybyś wiedziała... jak komuś drogiem jest to życie zagrożone, o gdybyś wiedziała...

— Wierzę pani, ale zapewniam zarazem, że bez prośby pani będziemy jej strzegły jak oka w głowie — to obowiązek nasz i jedyny cel życia.

— Szlachetny, piękny obowiązek! Siostró, wszak chora nic obudzi się, jeżeli pocałuję ją w czoło? powiedz jej jutro, jak przytomna będzie, żem ją pożegnała jak siostra... jak siostra, proszę pamiętać.

— Wszakże to zapewne krewna pani?

— Tak — rzekła po chwili wahania się — tak! ona jest blizkamemu sercu, bardzo blizka.

Siostra miłosierdzia przeprowadziła panią Władysławę napowrót przez długie kurytarze szpitalne, aż do przedsionka.

Tej nocy pani Władysława nic spała zupełnie, Rozwinęła papiery, dane jej przez Zosię i pograżyła się w czytaniu.

Wszak była upoważniona do tego, a owe papiery miały zastąpić właśnie opowiadanie chorej.

Była to paczka listów, ułożonych kolejno, podług dat. Widocznie były one odczytywane niejednokrotnie i niejednokrotnie wywoływały Izę, bo w kilku miejscach atrament był jakby zmyty.

Listy te pisane były jednakowym charakterem i widocznie wszystkie wyszły z pod pióra jednego i tego samego autora. Sądząc według dat, korespondencja ciągnęła się przez lat cztery z górą—i urwała się nagle... tak nagle... z takim dysonansem niemiłym, że pani Władysława zerwała się z krzesła... i nie mogła mimowolnego okrzyku powstrzymać. W pierwszych listach, kreślonych widocznie zaraz po rozstaniu się, widać było żal, tęsknotę i szczere, głębokie uczucie.

„Każdy twój list, moja Zosiu—pisał—to promyczek słońca, wpadający do ciemnicy i rozpraszający mroki. Łatwiej się znosi cierpienie, łatwiej pokonywa tęsknotę, gdy się ma takiego anioła pocieszyciela, jak ty! Czem zasłużyłem na to przywiązanie, czem zdobyłem je sobie.”

„Dziękuję Ci za drobny, polny kwiatek, który mi w liście przysłałaś! Biedna, mała roślinka tyle drogi przebyła, aby mi przynieść pozdrowienie od Ciebie i od tych pól szerokich, na których wyrosła. Kto Ci podszeptał myśl, żebyś mi kwiatek przysłała? Ani się domyślasz, jaki to drogi dar dla mnie... Ucałowałem go tysiąc razy... ach! czemuż nie mogę ucałować twych białych rączek”.

„Ty, droga Zosiu — pisał w innym liście — robisz dla mnie więcej niż możesz. Wyrzucona z pod rodzinnej strzechy, poszłaś do obcych ludzi na najniewdzięczniejszy z niewdzięcznych chleb nauczycielki. Ja wiem, że masz cato dni zajęte, a jednak znajdujesz jeszcze czas na pisanie długich, serdecznych listów. Domyślam się, że czynisz to nocami z krzywdą własnego zdrowia. Nieraz chce Ci powiedzieć: nie rób tego, oszczędzaj siły, nie psuj tych ślicznych oczu, którym może jeszcze danęra będzie szczęście oglądać; nieraz chce Ci to powiedzieć, ale jednocześnie budzi się we mnie egoizm i myślę I trwogą, co by moje biedne życie było warte bez wymiany myśli z tobą, bez tej pociechy, którą mi prawie każda poczta przynosi”.

„Znowuż kwiatek! kwiatek i listek. Fijołek! Zkąd tam u was biorą się kwiaty tak wcześnie? Ucierpiał w drodze bardzo, zwiądl i prawie szczytniał, aie zachował swój zapach przedziwny. Czem Ci odpłacę ten dar?”

„Piszesz, ażebym był cierpliwy, wlewasz mi w serce otuchę, że złe czasy przejdą, że zajaśnieją jeszcze dni spokoju i szczęścia. Każesz mi być silnym i wytrwałym. Ciężko to! Gdyby przynajmniej wiedzieć, ilo czasu potrwa rozłączenie? Niepewność nad wszystko gorsza. Dręczy ona strasznie, jak robak toczy serce i odbiera spokój. Po co ja to piszę? Na co zatruwam Ci życie gorzkie

i ciężkie? Alboż ja wiem? Zdaje mi się, że jak wypowiem co mam na sercu, wypowiadam się przed Tobą, wypłaczę, to mi lżej jakoś. Samolubstwo to, egoizm!"

„Donoszę Ci — pisał znów w innym liście—że znalazłem zajęcie. Cieszę się z tego niewymownie, bo pręcej będzie czas schodził, tem bardziej, że owo zajęcie miało dla mnie zawsze pewien urok... w domn uważałem je za rozrywkę, tu oddam mu się dla zarobku. Zamierzamy w kilku czynić wyprawy myśliwskie. Zmęczenie fizyczne i trudy podobno dobrze działają na cierpienia duszy... Zobaczymy!"

Dalsze listy były coraz krótsze i coraz mniej podobne do poprzednich. Różnica uwydatniała się stopniowo, nietylko w treści samej, ale i w formie, w sposobie wyrażania się, w zwrotach mowy. Pisane były one pośpiesznie, jakby autor ich nic miał czasu, lub chęci, na dłuższą pogadankę.

„Powiadam ci Aniele, że nie masz się o co gniewać. Mówisz że m zapomniał o Tobie—nie, mezapomniałem. Tylko, że dawniej siadywałem więcej w domu, a dziś to tu, to tam, ciągle w podróży! Czasem to i dwa tygodnie atramentu nie widzę, a Ty się Zosiu gniewasz, że nie pisuję do Ciebie. Nie otrzymałaś listu dziś, to otrzymasz go jutro, nie jutro to pojutrze, ale zawsze otrzymasz. Ty tęsknisz i ja tęsknię".

„Dziwię się kochanic co ty widzisz w mych listach nienaturalnego. Pisuję je zwykle z pośpiechem, ho mi brak czasu, a przytem i ręka odwykła od pisania. Przysłałaś mi książki do czytania dziękuję ci za nie, będę je czytywał w wolnych chwilach od pracy. Kiedyż my się zobaczymy? Bóg wie... lecz cóż robie, czekaliśmy tyle, przeczekamy resztę".

„Mam nowe mieszkanie, wprowadziłem się do niego przed trzema tygodniami; pokoik ciepły, wygodny—gospodyni dobra kobiecina, podobno wdowa po majorze — młoda jeszcze, ma dwoje małych dzieci i trochę pieniędzy; mieszka w własnym domu, a i w miasteczku ma drugi dom. Pokoik mój jest przy jej mieszkaniu. Ona pochodzi ze stanu kupieckiego i ma bogatych krewnych".

Pani Władysława z uwagą i zajęciem wielkiem odczytywała te lisy.

Lampa dopalała się już, płomyk jej bladł coraz bardziej, gasł już prawie. Czytająca nie zważała na to i z gorączkowym pośpiechem wzięła do ręki list ostatni.

Ten był najkrótszy ze wszystkich.

„Nie gniewaj się na mnie za to, o czem ci tu donoszę. Czas już było zakończyć troski i ustalić życie. Myśmy się kochali to prawda, ja i dziś jeszcze Kocham Ciebie—lecz cóż robić, tysiąc wiorst między nami! Głową muru nie przebijesz, a człowiek się

starzeje. Ożeniłem się więc z moją gospodynią, to bardzo dobra kobietka i z grosiwem. Kadzę więc i tobie wyjść zamaż, bo im później tem będzie trudniej. Życzę ci szczęścia i wszystkiego dobrego, a i zona moja zasyła ci ukłony".

Na tym liście kończyła się korespondencya. Był jeszcze w papierach jeden dokument — depesza o śmierci matki. Data listu zbiegła się z datą depeszy.

Biedna dziewczyna śpieszyła na pogrzeb, ale nie mogła przenieść tylu wrażeń i złamana, bezprzytomna walczyła między życiem a śmiercią.

x.

Kilka tygodni upłynęło od chwili, w której siostra miłosierdzia wezwała panią Władysławę do Zosi, kilka tygodni niepewności, walki młodych sił życia z niszczącą siłą śmierci.

Młodość zwyciężyła, przemogła chorobę, a na bladej twarzyczce Zosi zaczęły się ukazywać ledwie dostrzegalne rumieńce.

Pani Władysława była codziennym gościem chorej, otaczała ją najtroskliwszą opieką, czuwała nad nią, jak matka nad dzieckiem rodzonem.

Gdy już lekarze pozwolili Zosi opuścić łóżko, pani Władysława rzekła do niej:

— Droga moja, teraz zabieram cię do siebie. Nie protestuj! Chcesz, czy nic chcesz, aio wezmę cię ztąd.

— Pani...

— O! dajże pokój... Tylem się namartwiła przez czas twojej choroby a teraz, już jesteś hlizką wyzdrowienia, miałabym cię opuścić? Nie, Zosiu, tego nie będzie.

— Ja mam przed sobą drogę wytkniętą...

— Istotnie masz ją, moje dziecko. Jak na teraz twoja droga to cisza, wino i wzmacniająca dyeta. Słyszałaś przed chwilą co powiedzieli lekarze.

— Prawda, ale...

— Nie ma ale, żadnego ale nie ma.

— Jabyłm pragnęła.

— Ciekawam co...

— Jabyłm pragnęła wstąpić do zgromadzenia. Nio mam już nikogo z bliskich...

— A siostra?

— Przygarną ją krewni... ja zaś będę służyła nieszczęśliwym!

— Siostrą miłosierdzia chcesz zostać?

— O tak! to moje jedyne pragnienie! Pani Władysława roześmiała się.

— Śliczna myśl i trzeba ją wykonać jak najprędzej. Taka kolosalna kobieta jak ty, taka silna, będzie mogła czuwać po całych nocach, dźwigać chorych..., Wszak prawda? Pokaż no ręce! A widzisz, takimi rękami głazy mogłabyś podnosić.

— Siły wróć! — szepnęła Zosia:

— Ano, nareszcie przyszedłmy do punktu, na którym możemy się porozumieć. Siły wróć, dobrze,

niech wróć, ale tymczasem, póki ich nie ma, nie możesz być ani nauczycielką, ani siostrą miłosierdzia, musisz zatem pozostać moją pupilką i jechać do mnie. Później rozporządzisz sobą, jak sama zechcesz.

— Czem ja się pani odwdzięczę?

— W tym razie tylko pośpiechem. Pomogę ci się ubrać. Kareta oczekuje na dole.

— Kareta? po co takie zbytki?

— Moje dziecko, takiego Herkulesa jak ty, inaczej przewieźć nie można, powiew wiatru może ci zaszkodzić.

— Ja pani będę ciężarem.

— Jeżeli go biorę dobrowolnie... Zresztą, pozwól mi mieć swoje fantazyę... ja cię kocham, moja droga, i mam nadzieję, że i ty mnie z czasem...

— Ja panią już bardzo pokochałam...

— Więc jedźmy!

— W tej chwili...

— Uprzedzić cię jednak muszę, moja Zosiu, że przygotowałam dla ciebie niespodziane.

— Dla mnie?

— Tak jest! Szczególna to niespodzianka, o której się uprzedza, ale z choremi trzeba ostrożnie.

— Czy niespodzianka przykra? — spytała Zosia z uśmiechem.

— O nie! Będziesz nią zachwycona, tylko

przrzecz mi naprzód, że będziesz panowała nad wzruszeniem,

— Tyle już wzruszeń przesłam!

— To, o którym mówię, będzie wzruszenie radosne.

Kareta zatrzymała się, pani Władysława ujęła Zosię za rękę i wprowadziła do mieszkania.

— Oto, moja Zosiu, jest twój pokoik — rzekła. Urządziłam go jak dla rekonwalescentki. Jest sporo kwiatów i dość powietrza, a przytem zupełna cisza, żaden zgiełk nie dochodzi tutaj, chyba szmer maszyn do szycia z pracowni, ale do tego można się przyzwyczaić. W szafie znajdziesz książki, jeżeli czytać zechcesz. Jest ich tam sporo... Przebędziesz w tym pokoju dotąd, dopóki do zdrowia nic przyjdiesz. Siły ci powrócą, myśli swobodniejsze a wtedy postanowisz, co dalej uczynić.

— O, moja pani, czemże ci się odwdzięczę?...

— Sercem się płaci za serce! Inż mówiłyśmy o tem... Kochaj mnie, a będziemy skwitowane zupełnie. Jeszcze słowo!

Wraz ze zdrowiem wróci twoja wolność, ale ponieważ przypuszczałam, że samej będzie ci sinutno, przeto postarałam się o towarzyszkę dla ciebie.

— Ah!...

— Tak i to jest właśnie niespodzianka, o której ci mówiłam. Twoja towarzyszka jest młoda

i bardzo miła dziewczeczka... Pokochacie się od pierwszego wejrzenia... Jestem nawet pewna, że się już kochacie.

— Czy ja zuam?

— Zdaje się... ale już ukrywać nie będę. Istotnie miałam zamiar, nic nic mówiąc, nie uprzedzając cię wcale, przyprowadzić ją tutaj, lecz obawiałam się, że nagle wzruszenie mogłoby ei zaszkodzić, lepiej więc będzie, gdy powiem... Zosiu, twoja siostra jest tutaj i ona będzie twoją towarzyszką.

— Helenka! Helenka! Ona tu? nie! to niepodobna!... prowadź mnie pani do niej.

— Jestem, jestem! — zawołała, wbiegając do pokoju młodziutka osoba w czarnej sukni, obszytej szerokim szlakiem krepowym — Zosiu! Zosiu moja!

Obie siostry z płaczem rzuciły się sobie w objęcia, pani Władysława wyszła dyskretnie.

— Zkąd się tu wzięłaś, moja serdeczna — zapytała Zosia, patrząc w oczy siostrze — zkąd się wzięłaś Helenko?

— Wezwana zostałam listownie... Ta poczciwa kobieta w najogólniejszych wyrazach doniosła mi, żeś chora i prosiła o rychłe przybycie. Czy mam ci opowiadać, jak spieszyłam, jak pragnęłam w jednej chwili być przy tobie, Zosiu. Ty biedaczko, tyś moja opiekunka... teraz jesteśmy same tylko, dwie nas z całej rodziny...

— Biedna mama!

— Zgasła bez cierpień... Ostatnia jej myśl była o tobie, ostatnie wyrazy zawierały błogosławieństwo dla ciebie. Umarła na mojem ręku. Mówiła, że jedynym jej cierpieniem jest to, że ciebie niema, że cię nie może ucałować, pożegnać. Były to ciężkie chwile, moja siostrze. Gdy matka umarła, wysłałam natychmiast depeszę. Opóźniliśmy pogrzeb, czekaliśmy. Sądziłam, że depesza nie doszła, wysłałam drugą do twoich pracodawców z zapytaniem. Nadeszła odpowiedź, że już wyjechałaś... Możesz sobie wyobrazić moją rozpacz, gdy upłynęły trzy, cztery dni, tydzień, a ciebie widać nie było. Pochowaliśmy marne na cmentarzu, w miejscu, które sobie sama za życia obrała. Jeszcze nie mogłam przyjść do siebie po takiej ciężkiej stracie, po takim ciosie bolesnym, a już ugodził w moje Berce drugi... Zaczęłam ciebie oplakiwać, Zosiu,

— O! i miałabyś słuszny powód do tego, gdyby nie Opatrzność Boża, która mi tę zacną kobietę zesłała.

— Tyś w drodze zachorowała, Zosiu?

— Tak! Zaraz po otrzymaniu depeszy byłam jak oszołomiona, jechałam do Warszawy prawie nieprzytomna. Jak rozmawiałam, sama nie wiem. Majaczył mi się świst lokomotywy, brzęk dzwonków pocztowych, jakieś miasta, wsie, ludzie, drogi... wreszcie w Warszawie utraciłam zupełnie siły, przytomność. Któs się mną zajął, przypuszczam, że chyba

rządca hotelu, w którym stanęłam. Dość, że zawieźli mnie do szpitala. Życie moje wisiało podobno na włosku... ale już przeszło złe... Widzę ciebie moja najdroższa i jestem szczęśliwa... Jakaś ty wyrosła, wypiękniała, Helenko!

— I ty się zmieniłaś, moja Zosia.

— Po takich przejściach...

— Po przejściach została ci tylko bladeść twarzy, ale w oczach zmieniłaś się bardzo!

— W oczach?

— O tak! ja pamiętam przecież dobrze twoje oczy z przed laty, takie zawsze jasne, pogodne... a teraz...

— Znajdujesz w nich zmianę?

— Smutek w nich widzę i żal, a oczy są obrazem duszy... ztąd wniosek, że dusza twoja cierpi.

— Cierpi, moje dziecko, bardzo cierpi.

— Pociesz się, cierpienie to przeminie, przejdzie, nastaną jeszcze dni szczęścia.

— Szczęście... — powtórzyła Zosia z bolesnym uśmiechem na ustach — szczęście... moja droga, gdzież ono? gdzie go szukać... Dla mnie przynajmniej wszelkie nadzieje zniknęły...

Pani Władysława przerwała tę rozmowę.

— O czym siostrzyczki mówią? — zapytała, wchodząc.

— Ciągłe mówimy... — odezwała się młodsza.

— I jeszcze nie powiedziały sobie setnej części tego, co powiedzieć pragniecie. Wszak prawda, Zosiu?

— Pokazuje się, że nas pani zna wybornie. Pani Władysława rozśmiała się.

— Czy was znam!? Boże drogi! Przecież i ja byłam kiedyś młoda i miałam swoje marzenia, pragnienia, miałam przyjaciółki serdeczne, przed którymi spowiadałam się ze wszystkich myśli swoich... Nieraz, gdyśmy się zeszły, to końca gawędce nie było... a cóż dopiero mówić o was, o dwóch siostrach, które spotkały się po długim niewidzeniu, po takich ciężkich przejściach. Zdaje się, że przez rok cały miałybyście przedmiot do rozmowy.

— Istotnie! — odezwała się Helenka — to prawda.

— Jaby wam ide przeszkadzała, ale obowiązek gospodyni każe mi prosić was do stołu i poetyczny urok waszej rozmowy przerwać zwyczajną, powszednią prozą życia. Chodźcież się posilić panienki.

Gdy już wszystkie trzy zasiadły przy stole, Zosia odezwała się nieśmiało:

— Jaka ja jednak jestem niedobra i niewdzięczna...

— Dlaczego się tak oskarżasz ?

— Doznałam od pani tyle dobrego, tyle poświęcenia a dotychczas zajmowałam panią tylko wyłącznie swoją osobą — nie zapytałam nawet jak się miewa brat pani?

— Mój brat? Dużoby o tem można powiedzieć. Dziś miał odjechać i zapewne, że odjechał. Może przed półgodziną opuścił Warszawę — dodała, na zegarek spojrzawszy.

— I nie przyszedł pożegnać się z panią?

— Owszem, pożegnaliśmy się na ulicy, w domu n mnie nie był.
— Dlaczego?
— Wiedział, że mam gości i nie chciał im przeszkadzać.
— Ah! doprawdy — zawołała Helenka — to już zbyt duża delikatność. Jaki? więc dlatego, że my tu jesteśmy brat pani nie może odwiedzić?
Zosia spuściła oczy.
— Mój brat — rzekła z westchnieniem pani Władysława — jest dziwny człowiek, od niejakiego czasu zwłaszcza, unika ludzi i pędzi życie samotne.
— Dlaczego? — spytała Helenka — cóż mu ludzie złego wyrządzili?
— Złego? nic! ale takie usposobienie, zawsze smutny, zamyślony...
— Przecież pani saina mówiła, że od niejakiego

czasu. Musiała być więc jakaś przyczyna niezbyt dawno,
— Nie wiem...
— Czy bywa brat pani w Lipowie? — zapytała Zosia.
— Od czasu twego wyjazdu, o ile mi wiadomo, nie był ani razu, ale ja wiem co się tam dzieje.
— Dziewczynki zapewne podrosły, były to bardzo miłutkie i sympatyczne dzieci. Kochałam je bardzo.
— I miałaś wzajemność... "W Lipowie wogóle zmiany niewielkie. Państwo Kramarzewscy wyjeżdżali zagranicę z całym dworem i powrócili niedawno. On doskonale wygląda, ona utyla, a panna Franciszka...
— Ach! panna Franciszka!
— Żali się na losy i dokucza całemu otoczeniu... Wiesz sama jaki to słodki cukierek...
— Niech jej Bóg przebaczy!... ja staram się zapomni ćć.
— Cóż ona ci zrobiła Zosiu? — zapytała Helenka.
— Nie ma o czym mówić... Wyrządziła mi przykrość.
— Czy tylko przykrość! — zawołała pani Władysława — ona ci wyrządziła krzywdę... Taką krzywdę, jakiej nie zapomina się nigdy.
— Powtarzam pani, że już zapomniała.

It*

— Złote masz serce. Ale ona została ukarana za swoją złośliwość.
— Ukarana? jakim sposobem?
— Choćby tym, że nie osiągnęła celu do którego dążyła, że niegodny postępek nie przyniósł jej żadnej korzyści.

XI.

Przez kilka tygodni, podczas których Zosia znajdowała się ciągle w domu pani Władysławy, Kamiński nic zajrzał do siostry ani razu. Nie chciał się narzucać, wolał pozostać zdaleka i cieszyć się nadzieją, że z czasem, gdy wrażenia bolesne pod wpływem czasu złagodzone zostaną, gdy Zosia uspokoi się cokolwiek — będzie mógł podjąć na nowo starania...

Wolał oczekiwać, aniżeli przyjść w porze niewłaściwej i stracić nadzieje na zawsze... Była ona zbyt drogą dla niego, ażeby ją mógł na jedną kartę postawić.

Zdaleka się więc trzymał i czekał, ufając, że czas najlepszym i najwierniejszym sprzymierzeńcem mu będzie.

W Warszawie bywał często i o ukochanej swojej najbardziej szczegółowo miał relacje. Wiedział, że zdrowie jej z każdym dniem powraca, że na twa

rzy zaczyna się pokazywać delikatny rumieniec, biała rączka coraz mniej szczupłą, mniej przezroczystą się staje...

J o tem wiedział także, że Zosia już nie płacze tak często, nic zamyśla się jak dawniej godzinami caleno, i że o listach, które pani Władysławie do schowania powierzyła, nio wspomina wcale. Były to wiadomości pocieszające, a siostra utrzymywała go ciągle w nadziei, że z czasem cel jego marzeń zostanie spełniony.

On ją tak kochał, tę wątłą, bladą dziewczeczkę, która w samćm zaraniu życia wyrzucona z rodzinnego gniazdka, na tułaczkę pomiędzy obcych pójść musiała, która przecierpiała i przeboleła tak wiele. Dotychczas była związana słowem, była naręczoną innego — dziś zmieniły się rzeczy, tamten stosunki zerwał, porzucił ją na zawsze, cóż więc na przeszkodzie stać może? a jednak Kamiński miał pewne obawy. O sobie niewiele rozumiał, wątpił, czy potrafi wzbudzić przywiązanie i uczucie.

W miarę jak Zosi przybywało zdrowia, budziła się w niej dawna energia. — Nie taka energia, jak ją zwykli ludzie rozumieją, hałaśliwa, głośna, rzucająca się, lecz przeciwnie, cicha i zrezygnowana, łagodna a wytrwała.

— Dość już spoczynku! — mówiła sama do siebie — nie moge być dłużej ciężarem tej zacnej,

szlachetnej kobiecie, nie moge jeść jej chleba zapracowanego ciężko... nie!

Upatrzwszy chwilę, kiedy paui Władysława sama się w swoim pokoju znajdowała, Zusia weszła pocichn, ujęła rękę swej chwilowej opiekunki i ucałowała ją.

— Zosiu! a to co?
— Podziękować ci przyszłam, droga pani, za twoją dobroć, za wszystko, co uczyniłaś dla mnie, za opiekę... prawie że za życie, bo gdyby nie twoja pani opieka, kto wie, czy nio znajdowałabym się teraz na cmentarzu, pod ciężką mogiłą.
— Nie bądźże dziwną, moje dziecko, życie Bóg daje, a nic ludzka opieka...
— Bóg daje wszystko, i takie serca dobre, jak twoje, pani, jest Jego najpiękniejszym darem.
— Po co ty to mówisz, moje dziecko?
— Aby ci podziękować pani i aby cię pożegnać zarazem...
— Ach! co za duch niespokojny! — zawołała pani Władysława z uśmiechem — dokądże cię znów ciągnie jakiś chochlik? Czy znów na cygańską włóczęgę między obcych...
— A cóż mam robić? Pójdę, postaram się o miejsce, dzieci znów uczyć będę...
— I znów zachoruje, znów utracę zdrowie, które cudem prawie wróciło i zmarnuję życie zdaleka

od swoich, w otoczeniu ładzi obojętnych, nieznanym...

— Jeżeli taki jest mój los!
— Moje dziecko, najgorszy bywa ten los, jak sobie sami przeznaczamy. Zkąd ty" możesz wiedzieć, że taki jest twój los?
— Tak mi się zdaje przynajmniej.
— A mnie zupełnie zdaje się inaczej. Czy możesz poświęcić mi chwilę czasu? Czy będziesz mogła mówić spokojnie, chociażbym nawet poruszała jakieś zagrzebane popioły...
— Starać się będę...
— Usiądź więc i posłuchaj. Kiedy przed laty młodziutka, prawie jeszcze dziecko, oddałaś komuś swoje uczucie, zdawało ci się wówczas, że przeznaczeniem twojem jest być najszczęśliwszą istotą na ziemi. Kochać, być kochaną, spędzić życie wśród pól, łąk i lasów, w ukochanej wiosce rodzinnej, w tym malutkim świątku, któryby ci jednak był za cały świat wystarczył. Przypomnij sobie, moje dziecko, czy nie takim wydawało ci się wówczas twoje przeznaczenie. Zosia westchnęła zamiast odpowiedzi.
— A później, później, gdy grom bił za gromem, cios uderzał za ciosem, kieska za klęską, gdy utraciłaś ojca, brata i jeszcze kogoś... gdy przed oczami krwawiły ci się luny pożarne, gdy dom wasz przestał być waszym domem, a schorowana matka

z młodszą twą siostrą nie miała dachu nad głową, gdy musiałaś pójść w świat, na przykrości, na niedolę — wtenczas zdawało ci się, że twojem przeznaczeniem jest tylko cierpieć, płakać i czekać.

— Czyż nic miałam słusności?

— Wcale nie... Przeznaczeniem twojem nie było cierpieć i dręczyć się, gdyż ja sama osobiście przynosiłam ci, jeżeli nie szczęście, to przynajmniej spokój i wytchnienie po latach ciężko przeżytych. Odrzuciłaś jednak.

— Pani, pani! wszak odkryłam wtedy przed tobą największą tajemnicę mego serca, wszak powołałam się na twój sąd... Czyż mogłam postąpić inaczej?

— Bynajmniej, nie ganię twego postąpienia, przeciwnie, byłam i jestem z całym uznaniem dla twojej szlachetności i stałości. Odmowa, którą otrzymałam wtedy, zabolala mnie bardzo ze względu, że zraniła zacne, a tak blizkie mi serce, ale też sama odmowa, droga Zosiu, postawiła cię w moich oczach bardzo wysoko. Ja cię pokochałam już wtenczas, kiedy mi brat opowiadał o tobie, pokochałam ujrawszy cię, ale po rozmowie w Kaliszu, oprócz miłości zjednałaś sobie mój szacunek. Przedstawiłaś mi się jako kobieta o silnym duchu i szlachetnym sercu... i cierpiałam bardzo na myśl, że cię muszę utracić. Nic przerywaj, droga Zosieczko, słuchaj dalej, dosłuchaj się wszystkiego do końca. Od chwili, kiedy wyjechałaś daleko i zniknęłaś nam

z oczu, oboje z bratem moim cierpieliśmy bardzo. Co się działo w jego sercu, tego ei opowiadać nie będę, bo nie potrafię. Zmienił się do niepoznania... ja jedna wiedziałam tylko, jak mu ciężko i gorzko na świecie. Nareszcie nadszedł ów wieczór, którego nigdy nic zapomnę, ów wieczór, w którym siostra miłosierdzia przyniosła mi wiadomość, że ty tu jesteś w Warszawie... ciężko chora, zawieszona między życiem i śmiercią. Czy pamiętasz?

— Mogłabym zapomnieć?

— Wtedy, gdy siedziałam pochylona nad twoim łóżkiem i z biciem serca wpatrywałam się w twarz twoją, nacechowaną ciężkim cierpieniem, wtenczas, przypomnij sobie, otworzyłaś oczy i w chwili krótkotrwałej, przelotnej przytomności, dałaś mi do przechowania zwitek papierów.

— Tak! Do przechowania i do przejrzania zarazem.

— Powiedziałaś, że z nich dowiem się o wiele więcej, aniżeli z opowiadania twego.

— Czytałaś je paui?

— Cóż za pytanie? Przeczytałam wszystkie jednym tchem... od początku do końca i oblałam je łzami. Tak! tak, moja droga Zosiu, popłakałam się nad cichym dramatem twego życia... Powiedziałaś, że po przeczytaniu mam te papiery zachować

i jeżeli wyzdrowiejesz, zwrócić ci je, jeżeli zaś Bóg zrzędzi inaczej, to spalić. Nie upominałaś się o nie dotychczas, są u mnie... ale, droga Zosiu, popełniłam niedyskrecję, którą mi musisz wybaczyć.

— Niedyskrecyje?

— Tak jest! Z treścią tych papierów zapoznałam mego brata.

— O! na co?

— Sama nie wiem na co... Zdawało mi się, że to przyniesie mu przynajmniej jakiś cień nadziei. Pokazało się wszakże, że treść owych listów nie była mu obca.

— Oo pani powiedziała?

— Brat mój znalazł doskonale twoją historię. Przeprowadził ze znajomymi korespondencyc o nim... wiedział o każdym jego kroku... a wiesz jaki miał w tem cel? Oto, chciał poruszyć wszelkie sprężyny, aby go powrócić i tobie oddać, aby cię uszczęśliwić. On tak cię kocha, ten mój brat... Wiadomości jednak, jakie z tamtąd otrzymał, sparaliżowały najszlachetniejsze zamiary. Pokazało się, że przedmiot ukochania twego zmienił się zupełnie, że znalazł szczęście tam daleko, a o tobie zapomniał.

— To prawda! — rzekła Zosia z westchnieniem. O mnie zapomniał, o wszystkim [zapomniał... ba! niech mu Bóg przebaczy!

Pani Władysława objęła Zosie z czułością.

— Słuchaj — szeptała do niej — ciebie już dziś nic nie wiąże... jesteś wolna, niezależna, możesz rozporządzać sercem swoim, jak zechcesz. Zostań więc tu u mnie i pozwól, aby mój brat rozpoczął starania o twoją rękę.

— Pani! — rzekła Zosia poważnie — to niepodobieństwo.

— Dlaczego? dlaczego? Na miłość Boską dlaczego?!

— Wytlómaczę się pani. Ja wysoko cenię pani brata, uwielbiam jego zacny i szlachetny charakter, ale... — tu przerwała i zamyśliła się smutnie.

— Ale co? co za przeszkoda? — nagliła pani Władysława.

— Przeszkoda i duża przeszkoda, droga pani, Cóżbym mu w zamian przynieść mogła za jego przywiązanie i szlachetność? co? Złamane życie, duszę zbolałą!... Brat pani wart lepszego losu i znajdzie go niezawodnie.

— A jeżeli on właśnie ten najlepszy los widzi w związku z tobą?...

— To mi go żal... Ja nio jestem, stworzona do szczęścia i nie potrafiłabym uszczęśliwić nikogo.

— Ty dziecko jeszcze jesteś, moja droga Zosiu.

— Masz pani słuszność, istotnie jestem dziecko niedoli i smutku.

— A czy on nie jest dzieckiem niedoli? Czy nie przeszedł chrztu nieszczęść, czy nie szedł w życiu przez ciernie kolące. Jego dotknął los bardziej, aniżeli innych?

— To prawda! — szepnęła Zosia — to prawda...

— I tobie i jemu... obojgu wam należy się jaśniejsza chwila od losu... Dlaczegoż własnymi rękami ją odpychać?

— Pani! — odezwała się Zosia, mając oczy leż pełne — w związku, który projektuje pani, są szanse nierówne. Brat pani chce mi dać nazwisko swoje, majątek, zapewnić mi życie wygodne i spokojne... a ja cóż mu ze swój strony ofiarować moge... Co? powiedz pani sama... Jestem biedna, sierota, życie moje złamane...

— Ach! złamane... złamane! w twoim wieku ludzie się nie lamią, a zresztą, moja Zosiu, zastanówże się, czego ja od ciebie żądam, o co cię proszę? Czy zmuszam cię, abyś wbrew przekonaniu własnemu i uczuciom została żoną mego brata? Czy każę ci udawać przywiązanie, którego nie czujesz? Nie, moja Zosicczko, tego nie wymagam od ciebie.

Jedynie tylko o to cię proszę, nie opuszczaj mego domu, nie odjeżdżaj... pozwól memu bratu, żeby tu przychodził, żeby się o twoją rękę starał. Poznacie

się bliżej, a jeżeli pomiędzy wami zawiąże się nie sympatyi wzajemnej, jeżeli uznasz, że mój brat godny jest twej ręki... to uszczęśliwisz go. Jeżeli nie, uczynisz co ci się podoba.., Cóż mi odpowiesz na to, Zosiu?
— Zostanę...

XII.

Nadeszła wiosna. W Lipowie Indzie krzątali się na folwarku i na wsi. Z pługami, z bronami wyjeżdżali na pole, bydło rozproszyło się po pastwiskach, zrobił się ruch wiosenny, Bocian przywędrował ze stron dalekich, jaskółki uwijały się nad wodami, a wieczorem można było słyszeć odgłosy fujarek pastuszych i rechotanie żab.

Pan Leon od niejakiego czasu więcej się gospodarstwem domowym zajmował, niż dawniej. Wstawał raniej i kazawszy sobie konia podać, w pole albo do lasu wyjeżdżał. Po obiedzie wypoczywał w swoim gabinecie, wieczorem zaś dzienniki czytywał, listy pisał, albo rachunki załatwiał i tak był ciągle zatrudniony, że z żoną i panną Franciszką zaledwie podczas obiadu widywał się i kilka słów

obojętnych z niemi zamieniał. Te obiady lipowskie były bardzo monotonne i odbywały się prawie w milczeniu. Służący podawał i sprzątał potrawy, pani Anna czasem rzuciła jakieś słówko do dzieci, a pan Leon zwykle nic nie mówił.

Po skończonym obiedzie wstawał, całował żonę w rękę, pogłaskał jasne główki dzieci i ukłoniwszy się zdaleka pannie Franciszce, odchodził. Taka scena powtarzała się codzień, chyba że czasem gość się jaki trafił i monotonność tych uroczystych obiadów urozmaicił.

Właśnie p. Leon wstawał od stołu i ujął rękę swej małżonki, aby złożyć na niej pocałunek, gdy pani Anna swym słodkim, omdlewającym głosem rzekła:

— Mam z tobą do pomówienia.

— Ze mną?

— Acu, dziwi cię to? Zapewne! mówimy z sobą tak rzadko...

— Ależ przeciwnie, zawsze jestem na twoje rozkazy.

— W takim razie, proszę cię, chciej przejść do salonu, rozmowa potrwa może dłużej, niż byś pan sobie życzył.

— Ale owszem, owszem...

— Wiem, że wolałbyś spać swoim zwyczajem, lecz kwestya jest ważna, proszę cię...

- Czy przynajmniej pozwolisz, że każę sobie przynieść czarnej kawy?
- I zapewne zapalisz pan cygaro?!
- Jeżeli nie masz nic przeciwko temu.
- O! teraz możesz pan palić. Obojętne mi to jest, czy nasz salon zamieni się na kordegardę, czy nie...
- Dla czego?
- Chciej pan usiąść i posłuchać...

Pan Leon usiadł na fotelu, panni Anna zaczęła się przechadzać po salonie, pragnąc myśli zebrać. Wreszcie zatrzymała się przed mężem.

- Nie wiem, czy raczyłeś zauważyć, że dzieci nasze rosną...
- A istotnie! — odrzekł tłumiąc ziewanie — w samej rzeczy...
- Szczególna rzecz... a ja sądziłam, że pan tego nie widzisz, lub widzieć nie chcesz...
- Widzę codzień...
- I Dic cię to nic obchodzi?
- Ależ przeciwnie! bardzo...
- O, gdyby cię obchodziło, myślałbyś o tem, zastanawiał się...
- A któż pani powiedział, że nic myślę?...
- Zapewne, może zastanawiasz się, żeby im dać wysoką edukację, rozwinąć w nich talenta, jednym słowem, wychować je tak, jak przystoi panienkom ich urodzenia i majątku.

- Naturalnie...
 - I sądzisz, że taką edukację dasz im tu w Lipowie...?
 - Sama przecież wybierasz guwernantki, płacę im ile tylko każesz.
- Pani zrobiła grymas.
- To wszystko na nic się zdało — rzekła — córkom naszym czego innego potrzeba.
 - Hm, jak uważasz...
 - Uważam, że trzeba ztąd wyjechać.
 - Więc wyjedź!
 - Nie wątpię, żeby to zrobiło panu przyjemność, ale my musimy wyjechać ztąd z całym domem.
 - Wszyscy?
 - Naturalnie, jeżeli mówię, że z całym domem, to łatwo się pan domyślisz, że idzie mi o cały dom. Tu stanowczo nie mamy co robić.
 - Ależ w takim razie cóż się stanie z majątkiem?
 - To już jest kwestya pańskich osobistych poglądów. Wszakże nie żeniłeś się z Lipowem i w każdej chwili możesz się z nim rozstać.
 - To niepodobna! nic sposób! — wymawiał się pan Leon, przerażony nagłym postanowieniem swej małżonki — powtarzam, że nie sposób! Po

czyniłem znaczne nakłady, podniosłem wartość majątku, powznosiłem budowlę, w tem przekonaniu, że będę tu siedział do śmierci... marzyłem o tem. Nie jestem już taki młodziak, żebym miał na nowo karierę zaczynać, zmieniać przyzwyyczajenia swoje, tryb życia...

— Doprawdy, każdy wyraz pański technicznie szkaradnym egoizmem.

— Egoizmem? z kądże znów?

— A tak! marzenia pańskie nie wychodzą po za granice wygodnego gabinetu, dobrego obiadu i ciepłego szlafroka... w Li powie masz pan to wszystko, a przytem umiarkowaną agitację, która pomaga panu do dobrego trawienia. Bez kwestyi, są to bardzo piękne i wzniosłe cele życia, a wystarczyłyby w zupełności, gdybyś pan był kawalerem, ale nie zapominaj pan, że masz córki, a co za tem idzie i obowiązki.

— Pamiętam o tem.

— O, jeżeli pamięć zasadza się na obdarzeniu dzieci zabawką lub cukierkami, to tak... ale...

— Nie rozumiem, moja żono, czego właściwie żądasz.

— Szczęścia córek a przedewszystkiem edukacji dla nich, domu otwartego, w którym poznałyby życie towarzyskie i same kiedyś dały się poznać, a przecież na tem pustkowiu...

— Wiec wyjedź, zamieszkaż z dziećmi w War

i"

szawie, w Wiedniu, gdzie zechcesz. Jesteśmy dość zamożni i możemy sobie na taki zbytek pozwolić.

— Nie mam zamiaru grać roli separatki i nie wyobrażam sobie domu bez męża. Pojmujesz zapewne, że nie chodzi mi o widok twojej zaokrąglonej twarzy i kilku podbródków.

— Zdaje się, że nasza rozmowa zaczyna przybierać ton cokolwiek, że się tak wyrażę...

— Zmienię go, skoro się panu nie podoba, a na poparcie moich słusznych żądań użyję jeszcze jednego argumentu.

Sądzę, że będzie miał także pewne znaczenie.

— Ciekawym,

— Wiesz pan, że prócz dzieci mamy także siostrę.

— Więc cóż ztąd?

— Jest to sierota i, bądź co bądź, pozostaje na naszej opiece. Dla niej musimy prowadzić dom otwarty, gdyż sam przyznasz, że czas wydać ją za mąż.

— O istotnie! był czas... Coś pan powiedział?

— No, powiedziałem, że według mego zdania, panna Franciszka mogłaby zrezygnować i wyperswadować sobie aspiracje do stanu małżeńskiego.

— A to z jakiego powodu?

— Hm!... co tu w bawełnę owijać... panna już nie młoda...

Jesteś pan grubijanin! Frania niemłoda! a więc ja jestem stara, niedługo babą mnie nazwiesz?!

— Zmiłujże się, duszko, przecież czas w miejscu nie stoi, nie mogę cię nazywać szesnastoletnią panienką, skoro masz teraz lat...

— Powstrzymaj się pan z rachunkiem i odpowiedz mi na moje pytanie, a raczej na moje żądanie stanowcze... kiedy wyjeżdżamy?

— Cóż tak pilnego? Przecież nie mogę zabrać was tak od razu, bez żadnego przygotowania i wywieźć, że już nie powiem o interesach majątkowych, na uregulowanie których potrzeba i rozmysłu i czasu.

— A jednak ja bym chciała wyjechać jak najprędzej.

— To też wyjedziesz... wyjedziesz... dajmy na to, za pół roku; prędzej na żaden sposób nie można.

— W takim razie zostań pan tu sam, do czasu, a ja z Franią i dziećmi pojadę do Warszawy jeszcze w tym tygodniu.

— Nie rozumiem przyczyny tego pośpiechu.

— Nie rozumiesz pan, bo nie chcesz rozumieć, ale zastanów się, przecież skazane tu jesteśmy na zupełne odosobnienie się, nawet do kościoła nie możemy pojechać.

— Dla czego? przez Boga, raczże powiedzieć dlaczego?

— Pan się pytasz! Żądasz więc, abyśmy obie

z Franią siadały aa Jednej ławce obok tej awanturnicy i intrygantki.

— O kim mówisz?

— Wiesz dobrze o kim ja mówię... o pani Kamińskiej.

— Ah! wiec ta przyczyna?... to jest edukacja dzieci... potrzeba prowadzenia otwartego domu? A więc to tak, że się też nie domyśliłem tego odrazu.

— Nie grzeszyłeś nigdy domyślnością, ale dość już tego. Ta przyczyna, czy inna, dość, że wyjechać musimy. Nie mogę pozostawać w tak bliskim sąsiedztwie z tą, tą... panią!

Pan Leon oburzył się.

— Więc jeszcze znęcacie się nad nią? Nie dość, żeście jej w własnym domu u siebie wyrządziły krzywdę, jeszcze i teraz chcecie ją prześladować. Wstydz się, żonol! Wiesz dobrze, że to była dziewczyna zacna i uczciwa.

— O porzuć pan rolę obrońcy!

— Paui Kamińska nie potrzebuje obrońców, ma męża, który w razie potrzeby osłoni ją od napaści... a ja pani oświadczam, że dla kaprysów panny Franciszki Lipowa nie sprzedam. Nie podoba jej się sąsiedztwo, to niech sobie wyjeżdża, choćby na koniec świata... wolno jej! a pani, jako żona będziesz mieszkającą, tam gdzie i twój mąż, to jest oto... w Lipowie. To jest moje ostatnie słowo!

To rzekłszy, pan Leon wyszedł z salonu i drzwi za sobą zatrzasnął.

Z powodu tak nad wszelkie spodziewanie energicznego wystąpienia p. Leona, stał się w Lipowie płacz i zgrzytanie zębów, panna Franciszka szczególnie była w rozpacz. Obie siostry zamknęły się w domu, jak w klasztorze, nie wyjeżdżały nigdzie, nie pokazywały się wcale w okolicy. Nawet w kościele na niedzielne nabożeństwo, ławka, którą te panie zwykle zajmowały, była pusta ku wielkiemu zdumieniu proboszcza.

Pocziwy księżysko, sądząc, że panie chore, posyła po nieszpórach dziada, aby się o ich zdrowie dowiedział i coniedziela dziad przynosi odpowiedź, że w Lipowie źle, bo tak w dziedzicze, jako i w jej siostrze duch się ledwie kołacze.

Ale kobiety łatwo za wygrane nie dają, a pani Anna zanadto dobrze znała swego małżonka, aby nie wiedzieć, że upór jego da się wreszcie przełamać. Po niejakiem więc czasie znowuż wystąpiła kwestya edukacyi panienek i ostatecznie panie przeniosły się na mieszkanie do Warszawy — a pan Leon został na gospodarstwie do czasu, dopóki nie znajdzie na majątek kupca, lub dzierżawcy.

Został na gospodarstwie i co gorsza, złożył państwu Kamińskim wizytę... Nie pochwalił się z tem jednak przed żoną, gdyż przewidywał co by go za

to spotkało, a... każdej istocie na świecie spokój jest miły...

Niedaleko od Lipowa, przed dworkiem białym, schludnym, otoczonym drzewami i zielenią — igrają na trawniku dwie dziewczynki.

Złote, bujne kędziory w puklach spadają im na ramiona, na uśmiechniętych twarzyczkach błyszczą rumieńce zdrowia... Igrają, przeplatając zabawę wybuchami wesołego, pustego, dziecięcego śmiechu.

Są to dwie sierotki, które przestały już być sierotami, albowiem znalazły matkę. Przez cały czas dzieciństwa nigdy nie wymówiły tego imienia, gdyż w chwili, kiedy prawdziwa matka ich, jak męczennica zginęła w płomieniach, w chwili tej strasznej tragedyi, były jeszcze zbyt małe, aby jakkolwiek, choćby najstraszniejszy obraz mógł się utrwalić w ich pamięci. Opiekunkę swoją nazywały ciocią, kochały ją nawet, ale zarazem i bały się jej, bo ta ciocia, chociaż bardzo i bardzo dobra... nie umiała jakoś przygarnąć ich do siebie. Teraz ciocia odjechała do Warszawy, a na jej miejsce przybyła mama... taka serdeczna, dobra, kochająca, że opowiedzieć trudno. Odrazu polubiła swoje córeczki, sama je uczy, pieści, sukienki im szyje... Oprócz mamy jest jeszcze w tym domu druga ciocia, wcale niepodobna do cioci Elżbiety, ma na imię Helenka. Jest śliczna, młodziutka, wesoła... czasem Inbi się

z dziećmi gonić po ogrodzie, a jak potrafi lalki ubierać!...

Gdy ją dzieci bardzo proszą, gdy cały dzień są grzeczne, to ciocia Helenka idzie z niemi do ogrodu, opowiada im jakieś bajeczki, potem urządza gry różne i zabawy. Nie chce się wracać do domu, tak miło, tak szybko czas schodzi...

Siedziałyby tam do nocy, ale oto przychodzi Weronika, ta uprzykrzona Weronika i powiada, że mama prosi do domu, bo już chłodno, już rosa i Bóg wie co tam jeszcze...

Teraz dziewczynki igrają na dziedzińcu.

Wieczór nadchodzi, słońce czerwienieje, chyli się ku zachodowi, chowa za drzewa, za lasy, pozłociło wodę w rzece, pozłociło listki na drzewach, na krzakach, ślizga się jeszcze po kwiatach róż napełniających ogród zapachem — niczemu nie daruje, ze wszystkim igra... swawoli, dopóki nie upieści i do snu nie ułoży.

Na ganek wychodzi młoda dziewczeczka, w jasnej sukience, z grubym warkoczem, związanym wstążką. Nakrywa stół, krząta się.

Dzieci przybiegają do niej.

— Co cioteczka robi?

— Dziś tu będziemy pili herbatę.

— Ach! jak to dobrze... ojczulek tu najlepiej lubi...

— Dlatego też mama tu kazała nakryć...

Za chwilę ukazuje się mama, ale jakże niepo

dobna do owej Zosi, którąśmy na początku opowiadania poznali.

Zmężniała, zdaje się, że urosła, białe rączki już nie takie szczupłe, nie takie przezroczyście jak dawniej, na twarzy kwitnie rumieniec.

Zapomniała już o doznanych przejściach, jest spokojna, szczęśliwa.

Patrzy ku bramie, jakby oczekiwała na kogoś... I ten ktoś ukazuje się wreszcie. Zeskoczył z konia, rzucił chłopcu cugle, a sam spieszy na ganek. Zosia pocałunkami go wita, dzieci się rąk jego czepiają.

Zasiedli przy stole, rozmowa ożywiona się toczy. O powszednich sprawach dnia, o gospodarstwie mowa. Niby jak zwykle, ale przecież nie zwykle, bo tu króluje miłość, praca, spokój; bo to złoty, pogodny dzień, który nastał nareszcie... po burzy...

koniec.

POKÓJ PEZY FAMILJI,
(z PAMIĘTNIKÓW STAREGO KAWALERA),

„...Pytano mnie częstokroć, dlaczego zostałem starym kawalerem? ale nie mam zwyczaju odpowiadać na takie interpelacje i rozwiązanie zagadki (o ile to może kogo obchodzić) zostawiam domyślności pytających, która, jak wiadomo, granic nie ma.

Przypuszczają, że musiałem mieć w życiu jakiś dramat mieszczański, ma się rozumieć, przynajmniej w siedmiu obrazach, z dwoma inżynierami... Inna wersja twierdzi, że jestem dotknięty wadą wzroku i skutkiem tego nie znam się na piękności warszawianek, a niektóre ciocie są pewne, że uczyniłem ślub dozgonnego celibatu.

Nie potrzebuję dodawać, że we wszystkich tych wersjach nie ma ani cienia prawdy, a właściwy powód mego celibatu da się opowiedzieć w kilku słowach. Jestem urzędnikiem kolei — oto cały sekret. Znakomity matematyk, który układał etaty dla urzędników naszej instytucji, nie pomylił się. Pen sya wystarcza na opędzenie niezbędnych potrzeb życia jednostki—a zatem, według prostego rachunku,

nie sposób z niej utrzymać dwójki, a ewentualnie trójki, czwórki i dalszych liczb owego rosnącego postępu, którego wykładnikiem jest pocziwe pożycie małżeńskie, a ostatnim wyrazem licytacja ruchomości, zrobiona przez komisarza sądowego, z zachowaniem wszelkich formalności prawnych.

Kie bylcem, nie jestem i nie spodziewam się, żebym kiedykolwiek mógł być obojętnym na tak zwane wdzięki piękniejszej połowy rodzaju ludzkiego— przeciwnie, powiedziałbym nawet, że ide zadaleko w tym kierunku. Zachwycała mnie zawsze i zachwyca doskonałość form, blaski źrenic, uśmiechy ust różanych. Posiadam piękne album, pełne fotografii, i wpatruję się w nie w wolnych chwilach całymi godzinami. Lubię również towarzystwo damskie, a zwłaszcza kobiet inteligentnych i dowcipnych...

Ślubu dozgonnego celibatu nie miałem potrzeby czynić, gdyż faktycznie zrobił to w moim imieniu zarząd naszej kolei, wyznaczwszy mi pensje ściśle celibatową..

Mieszkam w hotelu, jadam w restauracji, chorować zaś i umierać będę w szpitalu, gdyż tak sobie przed laty piętnastoma postanowiłem.

Bracia w celibacie! koledzy! starzy kawalerowie, jeżeli czytać będziecie kiedy te kartki, zastanówcie się głęboko nad kwestyą, która...

O mało nie palnąłem mówki... ale ponieważ nie

odznaczam się talentem krasomówczym, przeto daje za wygrane i powracam do mego pamiętnika, do suchego rejestrowania faktów.

Było to przed laty piętnastoma. Uboższy w dochody stale, a bogatszy w czuprynę (która nie jest stałą własnością), tęskniłem w kawalerskiej stancyjce i było mi smutno i zimno.

Szarpałem się jak ptak, w klatce zamknięty, doznawałem wrażeń Robinsona, rzuconego na bezludną wyspę. A przecież mieszkalem w Warszawie!

Zdarzyło się w tym czasie, że się przeziębili i musiałem przeleżeć trzy dni, bez żadnej pomocy i opieki, gdyż stróżka, która mi usługiwała, była akurat w tym czasie także cierpiącą, a jej małżonek, z powodu zmartwień rodzinnych, oraz licznych zajęć przy utrzymywaniu czystości w kamienicy upijał się codziennie, aż do utraty przytomności.

Młoda moja natura oparła się chorobie i po trzech dniach chodziłem już do biura.

Po południu udałem się do ogrodu Botanicznego. Była najcudowniejsza wiosna, zapach kwiatów napełniał powietrze, mnóstwo osób używało spaceru.

Obserwowałem publiczność i czułem dziwną gorycz w sercu. Nikt nic był samotny, jak ja. To szła matka z dwiema córkami, którym asystował jakiś elegant; to ojciec otoczony dziećmi, to jakaś szczęśliwa para, gruchająca wesoło... a ja sam! sam jak kulek w płocie!

Dlaczego nie mam nikogo? Dlaczego nie mam rodziny? Dlaczego nikt nie przemówi do mnie, nikt się nie uśmiechnie, nie odezwie.

Co to musi być za niewypowiedziane szczęście mieszkać z młodą żoneczką, blondynką (do tych miałem bo szczególną predylekcję, jadać obiady przyrządzone jej rączką, opowiadać jej różne kłopoty biurowe, chodzić z nią na spacer pod rękę!

Wyobraźnia unosiła mnie coraz dalej, widziałem wokoło siebie cherubinków z jasnymi włosami, skaczących, uśmiechniętych, nazywających mnie „papa” Zerwałem się z ławki jak szalony i pobiegłem do miasta. Szedłem bez celu, potrącając przechodniów, narażając się na szturchańce. Jakiś tragarz uderzył mnie w bok, ale co tam bok! dusza bardziej boli, gdy samotność dokucza. Niechby mi dziesięciu tragarzy dało po dziesięć szturchańców, bylebym miał ciepło rodzinnego ogniska, sambym im boki nadstawił!

Nie wiem kiedy znalazłem się na ulicy Wspólnej; dwie służące z wielkim koszem bielizny zagroziły mi drogę — musiałem się zatrzymać... Machinalnie rzuciłem okiem na bramę i spostrzegłem kartkę papieru, na której skreślono następujące słowa: "Jest do wynajęcia przy zacnej familii ze wspólnan wejściem pokój kawalerski, wiadomość v. stróża Onufrego, który moje hyc z samowarem, usługą, a na tądanie i z całodziennym życiem."

Nie zastanawiałem się nad stylem ogłoszenia, albowiem chodziło mi głównie o rzecz. Pokój ze wspólne ra wejściem, przy zacnej rodzinie, z samowarem i I życiem — toż to marzenie! Nie mogłem mieć własnej rodziny, przygarne się do cudzej — a może, może znajdę — owo ciepło, którego tak gorąco pragnę.

W jednej chwili znalazłem się u stróża.

— Mój przyjaciela — rzekłem — wciskając mu w rękę wielką miedzianą dziesiątkę (żeby przecię poczuł, że coś dostał) — mój przyjacielu, gdzie mieszka zacna rodzina, mająca do odnajęcia pokój ze wspólnem wejściem?
— Nijakiej ja tu rodziny nic znam — odrzekł zbieracz dziesiątek z namysłem — jeno na drugim piętrze mieszka paui Szwalbergowa i chce jeden pokój odnająć.
— Prowadźciez mnie do niej.
— Po co? dyc pan i sam dobrze trafi, prawa oficyna, osiemnasty numer, nawet widzi mi się, że tam je napisane coś na drzwiach.
Pobiegłem, o ile na to pozwalały wążkie i brudne schody. Na drugim piętrze, na drzwiach oznaczonych nrem, była przybita blaszka z napisem "Evelina v. Szwalberg."
Zadzwońłem nieśmiało.
— Zaraz—odezwał się jakiś opryskliwy głos — proszę poczekać!

Jednocześnie usłyszałem szurgot przesuwanych stołków, czy też innych gratów. Po kilku minutach oczekiwania, zamorusaua służąca otworzyła mi drzwi. Przedpokój był ciemny; przez półotwarte drzwi na prawo widać było wnętrze kuchni, z ogromną balją na środku. Wprost wchodziło się do saloniku, a drzwi z lewej strony były zamknięte. Na progu saloniku powitała mnie dama okazalej tuszy, w stroju, który był pół szlafrokiem, pół suknią.
— Co pan sobie życzy? — spytała.
— Pani szanowni ma do wynajęcia pokoik? Dama zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów i rzekła:
— Proszę pana dać, niech pan usiądzie. Zanim pomówimy o pokoiku, muszę wpierv pana o niejedno zapytać, Nie weźmie rai pan zapewne za złe tej ciekawości, bo... widzisz pan, przecież pokoju przy famiiii, ze wspólnem wejściem, nie można pierwszemu lepszemu wynająć. Warszawa jest miasto duże, a młodzież dzisiejsza, niech to pana nic obraża, niewiele warta...
Przyznałem słusność szanownej damie i opowiedziałem jej najdokładniej: jak się nazywam, gdzie pracuję, ile pobieram pensyi i jakie mam widoki na przyszłość. Opowiedziawszy całe cuiriculum vitae, objaśniłem, jakie pobudki skłaniają mnie do starania się o pokoik przy famiili,..

— Boże wielki! — zawołała załamując ręce, jakież to okropne położenie! Chorować przez trzy dni, bez rosółu z kurczęcia, bez kataplazmów, bez serdecznej opieki kobiecej... to rozpacz! Al panie, ja bo mam takie serce, że, gdyby już nie powiem człowiek, ale kot u mnie w domu zachorował, tobvm mu duszę oddała... a moja Pelcia! moja Pelcia jest jeszcze tkliwsza, ale pan nie wiesz zapewne, kto jest Pelcia?
— Istotnie, nie miałem szczęścia...
— Prawda, co ja też mówię? przecież widzę paua pierwszy raz w życiu... Ja jestem Szwalbergowa, mój mąż nazywa się von Szwalberg, pochodzi z baronów, chociaż nie lubię o tem wspominać. "Wszyscy ludzie nibyto są sobie równi...

ale co tam! Mam dwie córki, poznasz je pan. Olimpcia jest mężatką, ale nie żyje z mężem... proszę pana, tak pójść za mąż! a zdawało się...

— Pani Olimpia nic jest szczęśliwa...

— Ktoby był szczęśliwy z takim, za pozwoleniem, łotrem!!! Wyobraź pan sobie skąpstwo, zazdrość i nadużycie trunków, zapakowane razem w jeden wielki tlomok — a będziesz miał obraz, mego zięcia... Olimpcia nie mogła wytrzymać i uciekła do mnie z czworgiem dzieci. Są teraz na spacerze aniołki... Złote dzieci, poznasz je pan... Olimpcia robi teraz kroki...

— Jakto?

— Kroki, wyraźnie powiadam przecię, że robi kroki rozwodowe. Jakież ma robić, biedaczka? Pomaga jej w tem jeden pan, który jest adwokatem. Poznasz go pan, bardzo przyjemny miody człowiek, nazywa się Klekotowicz... Wiem nawet z kądinąd, że ma widoki na Olimpię, ale naturalnie przed rozwodem nic nie mówi... Boi się mnie i ma rację. Niechby spróbował! A proszę pana, Pelcia, to jest moja druga córka. Poznasz ją pan... Anioł dobroci! Chodzi na naukę muzyki, artystka skończona... Miała mnóstwo konkurentów, trudno się było opędzić... Ja sama namawiałam... mówiłam, proszę pana: idź Pelciu, idź już raz duszko, bo byli ludzie z pozycją, ale ona nie chciała. Czekać będę, powiada, aż moje serce uderzy... Istny anioł! i otowyobraź sobie pan, czeka dotąd. Poznasz ją pan... Zawsze mówi, że jak kogo pokocha, to powiadam panu strasznie i nie będzie zważała na nic! Duża pensya, mała peusya, to jej wszystko jedno. Zupełnie tak samo jak ja. Ja mego męża wzięłam poprostu w jednym, za pozwoleniem, tuzurku, ale jak go kochałam; Boże, jak ja go kochałam !!!

— Dawno pan von Szwalberg umarł? — zapytałem.

— Ha, ha! — roześmiała się z goryczą, alboż taki łotr kiedy umrze?! Żyje dotąd i mieszka w Odes

się. Poznasz go pan... ale, co ja mówię, me poznasz go pan... bo on tu dic przyjdzie. On wie, że mamy z sobą pewne rachuneczki. Majątek mu oddałam, młodość, niewinność — a on!... To panie taka wdzięczność! Dziś żyje z małego kanitaliku i z pracy. Dopomaga mi trochę mój kuzyn, który jest maszynistą na kolei. Mężczyzna jak lew, podkowy łamie w rękę, poznasz go pan... trochę szorstki, bo naturalnie, przy takim zajęciu... ale jedyny chłopak... Niech pan zobaczy pokoik...

Poszliśmy do owego pokoiku. Był on trochę ciemny i okropnie brudny, ale że mi chodziło głównie o ciepło rodzinne, więc nie zważałem na ściany... Serca było mi trzeba, a nie murów,

— Tu będzie panu jak w niebie — mówiła zacna dama. Cisza i spokój, bo proszę pana, któż tu mieszka właściwie? Ja jedna, zawsze sama. Pełci nio rachuję, takie to łagodne i cichutkie stworzenie. Grywa czasem, ale trzeba wiedzieć, że artystycznie grywa, nio, jak ta z pierwszego piętra. Poznasz ją pan... Kokietka jakiej świat nie widział! Ciągłe siedzi u oknie i mizdrzy się... Cisza, spokój u mnie jest zawsze. Olimpcia także u mnie mieszka, ale rozumiesz pan przecię, ciągle zajęta. Robi kroki i mało kiedy w domu jest, a tych czworga dziatka niema co rachować. To sa aniołki milutkie, cichutkie i w ogóle rzadko kiedy płaczą. Pan zapewne życzy sobie mieć samowar i usługę?

— Wprawdzie niani własny samowar, ale welałbym...

— Domyślałam się tego, dobrze więc. Usługiwać panu będzie Katarzyna, moja służąca. Bardzo dobra kobieta. Lubi się czasem upić, ale nic codziennie. Wybaczam jej to, ponieważ wybornie gotuje.

— Jabym też, proszę pani, najął chętnie pokoik z całkowilem utrzymaniem...

— Jeżeli pan sobie życzy... obawiam się tylko czy pann dogodzę...

— Nie jestem wymagający. Byłe nie truć się w restauracyi, będę zadowolony ze wszystkiego.

— Bo, widzisz pan, u nas po gospodarsku. Zupa jedna, sztuka mięsa jedna, pieczeń jedna! Wszystkiego po jednym, ale zdrowo i smacznie; przekonasz się pan, że zbytków nie robimy, jak jest na obiad indyk, to już nie ma zajęcia.

Czasem mamy kuropatwy, cietrzewie. Pocziwy Jaś, przysyła je nam. Wiesz pan przecie, Jaś maszynista. Niekiedy znajomy konduktor przywozi nam drób z prowincyi. Zwyczajnie, staramy się jak możemy. Czasem sama Pelcia robi leguminę, pysznie robi! Zobaczysz pan! Wogóle po gospodarsku, a pan może przyzwyczajony...

— Nie szanowna pani, nic jestem przyzwyczajony do zbytków... Idzie mi tylko o to, czy będę mógł wywzajemnić się za te wszystkie wygody...

— To najmniejsza rzecz. Da pan dwadzieścia pięć rubli miesięcznie, ma się rozumieć z góry, gdyż właśnie chciałam sprawić Pelci okrycie—bo to, które ma (zobaczysz je pan) jest już niemodne. Obecnie noszą zupełnie inny fason, a Pelcia, chociaż nic elegantka, ale o takie rzeczy dba. Naturalnie, taka młodą panienka nie może mieć nic wspólnego ze starym fasonem!

Zgodziłem się na wszystko, zapłaciłem z góry, w przystępie rozrzewnienia ucałowałem nawet rączki godnej damy — i wybiegłem uszczęśliwiony na ulicę...

Za dwadzieścia pięć rubli na miesiąc mieć pokój ze wspólnym wejściem, usługę, herbatę rano i wieczorem, obiad, towarzystwo i opiekę w chorobie—to szczyt marzeń i szczyt taniaści zarazem! Samo ciepło rodzinne i troskliwość kobieca więcej są warte.

Nazajutrz zainstalowałem się w moim pokoiku. Poznałem Olimpię, Pelcie, adwokata, czworo miłych dzieci i Katarzynę. W niedzielę przyszedł maszynista, i po obiedzie wszyscy poszliśmy na spacer do Łazienek.

Śliczny to był dzień, prawdziwa rozkosz dla mnie. Byłem w gronie rodzinnem, wprawdzie w eudzem, ale zawsze w gronie. Maszynista prowadzi! panią Szwalberg, adwokat Olimpię, dzieci szły przodem — a ja... zdobyłem się na odwagę i poda

leui ramię Pelci. Przyjęła je z wdzięcznym uśmiechem. Byłem szczęśliwy i dumny. Pelcia rozmawiała ze mną o kwiatach. Postanowiłem w duchu, że codzień będzie miała na swoim stoliku świeży bukiet. Opierała się na moim ramieniu lekko, ale dotknięcie jej ręki sprawiało mi nieopisaną rozkosz. Chodziliśmy w cieniu starych kasztanów, muzyka grała... Chodziliśmy tak do wieczora, wracając, wstąpiliśmy do ogródka w alejach. Maszynista kupił piwa, a ja cukierków dla pań. Były to chwile pełne niewysłowionego uroku.

Nazajutrz, gdy przyszedłem na obiad, zastałem panią Szwalbergową bardzo wzburzoną i musiałem jej przyznać słusność.

Pocziwa Katarzyna, z powodu nieprzewidzianego spotkania się na targu z jakąś kumoszką, nie była trzeźwą, w kuchni narobiła pełno dymu, obiad się zepsuł.

Ktoby tam dbał o takie rzeczy! Połcia przyrządziła kawę i zaspokoiliśmy głód... Wróciwszy do mego pokoiku, zastałem w nim wielki nieład. Wszystko było poprzewracane, fotografie, powyciągane z albumów, walały się na podłodze, a ładny wazonik porcelanowy, który miałem ofiarować Połci, rozbity na kawałki.

Niewiedzialem czemu ten nieład przypisać, ale uprzejma gospodyni sama wyprowadziła mnie, I błędu.

leui ramię Pelci. Przyjęła je z wdzięcznym uśmiechem. Byłem szczęśliwy i dumny. Pelcia rozmawiała ze mną o kwiatach. Postanowiłem w duchu, że codzień będzie miała na swoim stoliku świeży bukiet. Opierała się na moim ramieniu lekko, ale dotknięcie jej ręki sprawiało mi nieopisaną rozkosz. Chodziliśmy w cieniu starych kasztanów, muzyka grała... Chodziliśmy tak do wieczora, wracając, wstąpiliśmy do ogródka w alejach. Maszynista kupił piwa, a ja cukierków dla pań. Były to chwile pełne niewysłowionego uroku.

Nazajutrz, gdy przyszedłem na obiad, zastałem panią Szwalbergową bardzo wzburzoną i musiałem jej przyznać słusność.

Pocziwa Katarzyna, z powodu nieprzewidzianego spotkania się na targu z jakąś kumoszką, nie była trzeźwą, w kuchni narobiła pełno dymu, obiad się zepsuł.

Ktoby tam dbał o takie rzeczy! Połcia przyrządziła kawę i zaspokoiliśmy głód... Wróciwszy do mego pokoiku, zastałem w nim wielki nieład. Wszystko było poprzewracane, fotografie, powyciągane z albumów, walały się na podłodze, a ładny wazonik porcelanowy, który miałem ofiarować Połci, rozbity na kawałki.

Niewiedzialem czemu ten nieład przypisać, ale uprzejma gospodyni sama wyprowadziła mnie, I błędu.

— Panic Stanisławie—rzekła wchodząc—jestem w rozpacz!... Obiadu dziś nie było...

— To bagatelka.

— Pan jesteś bardzo wyrozumiały, zawstydzasz mnie swoją dobrocią.

— Niema o czym wspominać...
— Ale oprócz tego, poniosłeś pan stratę—odezwała się płaczliwie usiłując zebrać potłuczone skorupki.—Taki wazon!
— Nic miał wielkiej wartości.
— Ale zawsze, bo widzi pan, ja muszę się wytłómaczyć... Lol us bawił się albumem, a miał paluszki powalane masłem, chciałam mu zabronić, ale rozplakał się; za Lolusiem przyszła Micia, Sabcia i mały Broniś — i oto zrobiło się nieszczęście. Widzi pan, Olimpcia teraz robiąc kroki, nie ma czasu zajmować się dziećmi, ja jestem rozerwana, Pelcia ma przed południem lekcye, a w sali jest lustro. Bojąc się o nie, pozwałam dzieciom bawić się w tym pokoiku, przecież to panu nic nie szkodzi...
— No, zapewne...
— A! jesteś pan nie szczery...
— Co pani mówi?..
— Ja wiem, ie pan lubi dzieci, pan bardzo lubi dzieci, widać to panu z oczów. Nawet Pelcia zauważyła, że pan lubi— ale ta szkoda, niepowetowana szkoda, czym ją panu wynagrodzę?... Pelcia chce panu zrobić pantofelek do zegarka, poczciwa du

szka! Powiedziała, że nic zazna spokoju dopóki go nie skończy..

— Zbytek dobroci..

Ułagodziło się jakoś. Nazajutrz, był obiad kompletny.

Z czasem na horyzoncie mego szczęścia zaczęły się pokazywać chmurki. Biedne moje album z fotogratiamij poplamione, zniszczone, nosiło coraz więcej śladów paluszków Lolusia i Mici, wszystkie figurki porcelanowe miały już poutraćane nosy i ręce, a kilka dość drogich książek, które mi jeden z kolegów dal do przeczytania, pani Olimpcia pożyczała adwokatowi, a ten zuów komuś—tak, że juzem się z niemi nigdy w życiu nie zobaczył.

Uspობienie paui Szwalbergowej dla mnie uległo także pewnej zmianie. Dość często żaliła się w mojej obocności na niewdzięczność ludzką, na brak stanowczości ze strony młodzieży, jej egoizm i karygodne zamiłowanie w knajpiarskiem życiu...

Pelcia pomizerniała, unikała rozmowy ze mną... i miała ciągle na ustach jakiś kwaśny grymasik, najwyraźniej do mnie adresowany.

Nadomiar nieszczęścia, przyjechali moi krewni z prowincyi, którym musiałem ciągle asystować i chodzić z nimi do teatru.

Naturalnie, przychodziłem do domu dość późno, starając się jednak robić jak najmniej hałasu... Przeplącałem Katarzynę, żeby mi otwierała jak najciszej,

ale to niewiele pomagało; moja gospodyni miała dziwnie lekki seo... Trzeciego dnia, a raczej trzeciej nocy, Katarzyna spała bardzo twardo i z konieczności musiałem mocniej zadzwonić...

Otworzyła mi sama pani Hszwalbergowa.

Nigdy w życiu nie zapomnę tej chwili...

Na twarzy zacnej damy, malowała się szczególna powaga. Było coś uroczystego w jej postaci. Ubrana w czerwoną flanelową spódnicę, w olbrzymim, białym czepcu na głowie, na ramionach miała zarzuconą wielką kapę zieloną w złote palmy, a w reku trzymała ogromną lampę. W tym kostymie wyglądała ona istotnie, jak Dalaj Lama Tybetu w stroju najbardziej uroczystym.

Bąknąłem dobry wieczór i kilka wyrazów przeproszenia, gdyż onieśmielony byłem jej wspaniałością.

Odpowiedziała mi na to, że kto trzyma w domu ludzi podejrzanego konduity, musi się narażać na najgorsze następstwa.

Dodała przytem, że nie mogła dotąd zmrużyć oka, gdyż obowiązek matki nakazywał jej czuwać przy dziecku, cierpiącemu wskutek rozczarowań, zawodów i zmartwień...

Dzieckiem tem nieszczęśliwym była ma się rozumieć — Pelcia.

Od tego czasu, pomimo że wracałem bardzo wcześnie do domu, pomimo że się wyrzekł koncertów, teatru i wszelkich stosunków towarzyskich,

żem zerwał zupełnie z kolegami — nie mogłem rozżalonej damy przejednać. Nawet Olimpia i jej dziatki dawały mi do zrozumienia, że nie jestem „persona grata” w tym domu,...

Co prawda, to już mi owo ciepło rodzinne, z fatalnymi obiadami, z czworgiem niezdolnych dzieci i nieustannymi pretensjami pań, zaczęło się przykrzyć... Zateśniłem do mojej samotnej stancjki, w której nikt mi nie przeszkadzał, nie plamił albumów, nie lustrował drobiazgów, nie dziwił się i nie oburzał, jeżeli przyszedłem późno do domu.

Zacząłem przemyśliwać, jakby w przyzwoity sposób rozstać się z rodziną Szwalbergów i poszukać sobie nowego mieszkania...

Niestety, nieprzewidziana okoliczność stanęła temu na przeszkodzie... Zachorowałem.

Niezdolny ból głowy i ogólna niemoc zmusiły mnie do pozostania w łóżku. Prosiłem Katarzyny, żeby poszła po lekarza, ta jednak uznała za właściwsze zameldować pani domu, że mam dreszcze, cięgoty i głowę rozpaloną jak żelazko do prasowania. Godna dama weszła do mego pokoju z uroczystą powagą. Dotknęła ręką mego czoła i rzekła a:

— Stanowczo nie pozwolę posyłać po doktora...

Pokaż no pan język,.. Nie żenuj się pan, jestem kobietą nie pierwszej młodości i matką dzieciom... Już wiem, co panu jest. Wdaj się pan tylko z do

ktorami, a nie obejrzyj się, kiedy pójdziesz na mary,.. Wprawdzie nie zasługujesz pan na naszą sympatyę, wprawdzie prowadzenie się pańskie pozostawia wiele do życzenia — ale na widok nieszczęścia, w każdej uczciwej kobiecie budzi się serce; to serce, z którym każdy z was chciałby igrać jak kot z myszą — ale my jesteśmy o cale niebo wyższe, wobec cudzych cierpień, nasze osobiste urazy milkną...

Chciałem zapytać, czem mianowicie mogłem urazić panią Szwalbergową, ale nie pozwoliła mi przyjść do słowa.

— To później, to później — rzekła, będzie jeszcze dość czasu... przedewszystkiem trzeba się wyleczyć.

Słyszałem przez drzwi, jak moja opiekunka odbywała konsylium z Katarzyną. Niestety, konsylium było dość burzliwe, a w samej dyaguozie ujawniły się zdania sprzeczne. Pani twierdziła, że się przejadłem, i że należy mi dać porządną

porcję emetyku, Katarzy na zaś była zdania, że się we mnie coś oberwało, i że trzeba mnie przedewszystkiem natrząsnąć. Oświadczyła zarazem gotowość wykonania tej operacji, przy pomocy Onufrego, stróża, który się na takich rzeczach zna i niejednego już w podobnym wypadku skutecznie poratował. Ponieważ w sporze z Katarzyną zdanie pani było rozstrzygające, przeto o natrząsaniu nie mogło

już być mowy; wszelako poczciwa kucharka postanowiła, niezależnie od środków leczniczych przedsięwziętych przez panią, wysmarować mnie okowitą z octem, co we wszelkich cierpieniach przynosi niezawodną ulgę. Ze swej strony, Pelcia przysłała mi sześć kawałków cytryny, z zaleceniem, abym je przyłożył na skronie i czoło, a Olimpia ofiarowała mi plasterk gorczycowy Rigollot, wprawdzie już nieco używany, ale jeszcze mogący skutecznie odciągać humory. Koło południa przyszedł adwokat Klekotowicz i w sposób przyjacielski doradził paniom, ażeby, jeżeli nic chcą mite w domu tyfusu, zarazy, a ewentualnie śmierci, kazały mi przystawić przynajmniej sześć pijawek za uszami... Odciągnięcie krwi w danej chwili, miało zapobiedz groźnym następstwom i ocalić życie człowiekowi, który wprawdzie nie zasługiwał na sympatyę, ale, bądź co bądź, godzien był przynajmniej litości. Rada pana „mecenasa” przyjętą zostaią z uznaniem — i to tak dalece, że do pijawek dołączono jeszcze wizykatoryę na karku...

Nie potrzebuję dodawać, że po zaaplikowaniu tych wszystkich środków, zrobiło mi się o tyle lepiej, że prawienie wiedziałem, co się ze mną dzieje.

Leżałem jak bezwładny, poddając się biernie wszystki systemom kuracyi, na jakie zdobyć się

mogła zacna rodzina, odnajmująca przyzwoitemu młodzieńcowi pokój ze wspólném wejściem...

Przypominam sobie, że dawano mi okłady zimne i gorące, stawiano bańki, katapłazmowano, smarowano różnemi spirytusami i maściami. Grube i twarde palce Katarzyny szorowały ranie po żebrach, sprawiając ból nieznośny...

Nareszcie Bóg zmiłował się nademną i straciłem przytomność zupełnie.

Gdym po kilku dniach przyszedł do siebie, ujrzałem w moim pokoiku dwóch kolegów z biura, i lekarza kolejowego, który mi zalecił spokój i zapewnił, że jestem na drodze do wyzdrowienia. Rodzina Szwalbergów jaśniała radością, na widok, że troskliwość jej i kuracya wzięły tak doskonały obrót...

Przez następny tydzień myśl moja pracowała usilnie nad rozwiązaniem areyeiekawej zagadki: co jest znośniejsze: czy choroba, czy rekonwalescencya?

Mama Szwalbergowa postanowiła mnie odżywiać, a wszyscy w całym domu starali się o to, żeby było cicho...

Co chwila musiałem połykać jakieś rosoly, befsztyki, najrozmaitsze potrawy, które pchano we mnie na gwałt, pomimo że opierałem się wszelkiemi siłami.

Adwokat Klekotowicz kupił, ma się rozumieć za moje pieniądze, funt kawioru, a poczciwy maszynista przydzwigał butelkę koniaku, przeszwarco

wanego z Katowic... Dzielny ten człowiek, silny jak Samson i ważący około trzystu funtów, żywił pogardę dla wszelkiej wiedzy medycznej i dowodził, że jednym i jedynym lekarstwem na wszelkie słabości i cierpienia ludzkie jest koniak, zwłaszcza pruski, notabene, jeżeli się go przyjmuje w imponujących dozach.

Według twierdzenia zacnego mechanika, gdyby ludzie pili tylko koniak i używali dwa razy na tydzień łaźni parowej, mogliby się zupełnie a zupełnie obchodzić bez lekarzy i żyliby po sto pięćdziesiąt lat przynajmniej.

Wszyscy członkowie rodziny starali się o to, żebym miał spokój, przy rekonwalescencji niezbędny — to też co pięć minut rozlegały się po całym mieszkaniu straszne krzyki na niesforne dzieci.

— Cicho! bębny nieznośne! — wołała na cały głos pani Szwalbergowa, czy nie wiecie, że pan Stanisław jest chory i potrzebuje spokoju?...

— Będziesz ty cicho! raku jeden! — wrzeszczała Katarzyna na Lolusia, który bardzo lubił przychodzić do kuchni i czynić tam różne psoty — a to pędrak strapiony! Tam panisko chore, ledwie że się wygrzebało z ciężkiej niemocy... a on wrzaski wyprawia...

Dzięki tej dbałości o spokojność i ciszę, nie słyszałem istotnie głosu dzieci, gdyż krzyki ich

głoszyły ciągle sopran Pelci, kontralt Oliinuci i potężne głosy pani Szwalbergowej, oraz Katarzyny.

Głowa moja była bliska pęknięcia, pomimo, że Pelcia po kilka razy na dzień przysyłała mi świeże plasterki cytryny...

Pewnego dnia, gdy już byłem znacznie zdrowszy, pani Szwalbergowa oświadczyła mi, że Pelcia chce mnie zobaczyć...

— Biedne dziecko — mówiła zacna dama, co ono przez ten czas wycierpiało! Nieznam dziewczyny z tak dobrom sercem... Siusiałeś w czepku przyjąć na świat, panie Stanisławie. Pozwolisz pan, że ją tu wprowadzę..."

Ubrałem się naprędce. Po chwili weszła pani Szwalbergowa z Pelcia, która wyglądała jak wcielone pocieszenie rekonwalescentów.

Włosy miała cokolwiek w nieładzie, oczy jakby dopiero z łez otarte. Podała mi białą rączkę, którą uściśnąłem lekko, dziękując za troskliwość, jaką byłem otoczony podczas choroby.

— No, moje dzieci — rzekła mama — muszę ją pójść do kuchni. Porozmawiajcie ze sobą... pan Stanisław nudzi się sam, może więc w twoim towarzystwie, droga Polciu, odzyska humor...

Przypuszczenie to nic było zbyt trafne. Trudno było mi odzyskać humor w towarzystwie Pelci, która była milcząca i jakby zawstydzona...

Zaczyznałem rozmowę to o tem, to o owem, ale

jakoś nie szło. Panna Pelagia albo nie odpowiadała wcale, albo odpowiadała półsłówkami. Mówiłem o kwiatach, literaturze i teatrze. Dala mi do zrozumienia, że w obecnym nastroju jej ducha, o kwiatach nie myśli, literatury nienawidzi, a teatrowi życzy, żeby się zawalił co prędzej. Zapytana o przyczynę takich czarnych myśli, odpowiedziała, że życie jej zbrzydło i utraciło w jej oczach powaby.

— Dawniej — mówiła — byłem wesoła, ożywiona, lubiłam towarzystwo i muzykę, dziś już mnie nic nie zajmuje i nic nie obchodzi. Podobno słońce świeci, kwiaty pachną, słowiki śpiewają, przecież to właśnie pora... Co do innej, nie słyszałam ich śpiewu i słyszeć go nie chcę. Smutno mi. Fortepianu nie dotknęłam już od dwóch tygodni... Dla kogo mam grać?

— Choćby dla siebie samej, dla własnej przyjemności.

— Egoistką nie jestem... Nio, panie, nie... Życie moje już złamane, pragnę tylko ciszy, spokoju i zapomnienia. Cdyby mnie jaki dobry geniusz zaniósł na bezludną wyspę porzucił samotną, w cieniu wielkich drzew, w grocie wykutej w skale... byłabym najszczęśliwszą...

Umilkła. Czuję, że wypada mi paść na kolana i przykładając rękę do serca zawołać:

— Pelciu! Aniele, duszo mej duszy! gwiazdo moich gwiazd!... pozwól, że ja będę tym dobrym

geniuszem i zaniosę cię na odludną wyspę. Tam, zdala od świata, zdaleka od ludzi, pić będziemy z czystego źródła zachwyty i uniesień... Zgodne bicie dwojga naszych serc słyszeć będą rajskie ptaki, kołyszące się na gałęziach, świadkiem naszych rozkoszy będzie antylopa o ślicznych wilgotnych oczach...

Nie mogę powiedzieć, że bym Pelcie kochał — ale w tej sytuacji, może byłbym się oświadczył, choćby tylko przez grzeczność... lecz z czego bym żonę utrzymał? Bądź co bądź, za najmniejsze dwie pieczary i kuchnię na odludnej wyspie, trzeba oddać blisko połowę pensji — kilka funtów antylopy na rosół, korzonki i zioła niezbędne do pożywienia, pochłoną resztę — a w cóż odzieję moją piękną pustelnicę? czym okryję alabastrowe jej ramiona... za co umebluję wnętrze grotty, w której dwoje serc naszych ma uderzać zgodnie, do czasu pierwszej sprzeczki przynajmniej... Wobec takich poważnych zagadnień, na które nic mogłem znaleźć odpowiedzi, nie pozostawało mi nic innego, jak tylko westchnąć nad losem nieszczęśliwej Pelci, i zapewnić ją o mojej wdzięczności i niekłamanym sympatyk. Starłem się dowiedzieć, że obecny stan jej psychiczny jest prawdopodobnie wynikiem nadwątlonego zdrowia i chorobliwego rozstroju nerwów. Kadziłem jej, żeby spróbowała hydropatii...

Podniosła się z krzesła i spójrzała na mnie wzrokiem obrażonej królowej, poczem westchnęła cicho i wyszła.

Gdy zamknęła drzwi do uszu moich doleciałokilka wyrazów rozmowy.

— I cóż? i cóż? — pytała z gorączkową ciekawością mama, którą poznałem po głosie,...

— Nic, była cicha odpowiedź.

— Jako? pomimo wszystkiego, nic.

— Nic, moja marno...

— A to osioł!! — zawołała już głośno, nie kryjąc swego oburzenia pani Szwalbergowa. A trzeba wiedzieć, z jakim akcentem wymówiła ten brzydki wyraz., słycać w nim było najmniej siedmdziesiąt cztery S., co sprawiało efekt syku wężów, świstu wiatru, szmeru wody, przedzierającej się zdradziecko przez tamę.

Domyśliłem się łatwo, że niepoehlebny wyraz wysłany został pod moim adresem i że od tej chwili będę znany w rodzinie Szwalbergów pod nowym pseudonimem...

Westchnąłem. Do wygod pokoju przy zacnej rodzinie ze wspólnem wejściem, przybył mi jeszcze i tytuł.

Słyszałem, jak pani Szwalbergowa mówiła, że to się tak skończyć nie może, że trzeba, aby adwokat Klekotowicz i maszynista pan Jan rozmówili się ze mną na seryo i energicznie. Klekotowicza

nie bardzo się lękałem. Byłem pewny, że ten kauzyperda, nawet na prośby Oimpei nie wyjdzie z roli pokutnego doradcy i co najwyżej wytoczy mi proces o jakie niebywale straty i szkody — ale maszynista budził we mnie niejakie obawy...

Chłop jak lew, gburowaty i trochę awanturnik, miał pięście wielkie, zylaste, twarde, które w danym razie mogłyby wyrzucić ciśnienie co najmniej pięciu atmosfer na grzbiet bliźniego. Jeżeli takimi argumentami zechce wzbudzać we mnie gwałtowną miłość dla Pelci, to będę pięknie wyglądał! TV najlepszym razie, Pelcia mogłaby dostać mnie pod dożywotnią władzę z nadłamanymi zębami.

Ostatecznie, gdyby mnie wyzwali na pojedynek — stanąłbym... Cóż robić! raz kozie śmierć, ale narażać się na awantury, człowiekowi spokojnemu... to nie arcyprzyjemna perspektywa!!

Długo zastanawiałem się nad położeniem, które zaczynało być tragiczne i szukałem drogi wyjścia..Pu dojrzałym namyśle postauowiłem zdobyć się na odwagę i odrazu przeciąć wszelkie kwestye...

Na trzeci dzień potem, ubrawszy się jak mogłem najstaranniej; wszedłem śmiało do salonu pani Szwalbergowej.

Zacna dama zmierzyła mnie wzrokiem, który zdawał się zapowiadać, że mnie zmiażdży na proszok, Olimpcia siedziała na kozetce, obok niej Kle

kotowicz z zacisniętymi ustami i bardzo złośliwym wyrazem twarzy.

Pelcia w pół leżąc, w pół siedząc na dużym fotelu, trzymała w ręku robótkę...

— Szanowna paui — rzekłem kłaniając się mojej gosposi — przychodzę dopełnić obowiązku, który mi leży na sercu...

Pani Szwalbergowa spojrzała znacząco na Pelcie...

— Należało to dawno zrobić — rzekła z godnością — dziś może być już zapóźno... ale słucham pana... owszem słucham, nawet bardzo uważnie słucham... Istotnie, przekonywam się sama, że wyrozumiałość moja nie ma granic... Jest bezbrzeżna jak ocean. Olimpcia mi to codzień powtarza...

— Naprzód winienem panią dobrodziejkę przeprosić, że przez czas mego mieszkania tutaj mogłem jej mimowoli wyrządzić przykrość.

— Ach panie! któryż to z was, mężczyzn, żyje moralnie, nie włóczy się po nocach .. to przecież swoja rzecz...

— Przepraszam stokrotnie... Zarazem pragnę podziękować za troskliwość i opiekę, jaką byłem otoczony podczas choroby, i uregulować zaległy rachunek.
— Takich rzeczy panie nie płaci się pie

niędzmi — rzekła z godnością — a zresztą nie ma nic pilnego... przecież nie upominam się...

— Istotnie, delikatność paui zawstydza mnie, lecz ponieważ od dziś to mieszkanie opuszczam...

— Co?! — zawołała pani Szwalbergowa podnosząc się z krzesła.

— Wyjeżdżam dziś, proszę pani. Lekarze zalecili mi pobyt na wsi, a że otrzymałem urlop...

Pelcia pochyliła głowę na poręcz fotelu...

— Proszę paui rzekłem — oto jest należność.

— Za pozwoleniem — wtrącił Klekotowicz — to wcale nie jest należność. Trzeba panu wiedzieć, że należnością w danym razie nie nazywa się to, co się należy, lecz to, co ewentualnie z kosztami należyć się może... Czy sądzisz pan, że wyprowadzając się nagle, bez uprzedniego wypowiedzenia, nie narażasz pani Mzwalbergowej na straty? Czy wyobrażasz sobie, że istnieje na świecie sąd, który nie skáže pana na zapłacenie straconych korzyści i kosztów procesu? Czy nareszcie zdaje się panu, że wolno jest zmieniać mieszkanie, tak jak krawaty, albo rękawiczki? bez uprzedniego wypowiedzenia, bez dania stronie interesowanej czasu i możliwości wyszukania nowego lokatora. Tak pan sądzisz? Otoż zmuszony jestem uprzedzić pana, że jesteś w błędzie. Na szczęście, prawo przewiduje podobne wypadki, a ja postaram się zatrzymać pańskie

ruchomości na pewno... Nie wolno krzywdzić biednych kobiet, mój panie...

— O tak! patrz pan na Pelcie. Biedne dziecko!

— Zdaje mi się — rzekłem — że pan adwokat myli się; ja nie krzywdzę pani Szwalbergowej, aibowiem porozumiałem się już z kolegą, który weźmie ten pokoik na takich samych warunkach.

— To jeszcze kwestya czy go pani przyjąć zechce?

— O nie! nie! — zawołała w najwyższym oburzeniu dama — dość już mam tego, dość! Niepokój po nocach, otwieranie drzwi nad ranem, grymasów co niemiara...

— Pani — rzekłem z wyrzutem — czy kiedy chociaż jednym słowem zganiłem obiady, czy dałem poznać...

— Tak, nic mówiłeś pan nic, bo jesteś skrytego charakteru i milczek, ale myślałeś... O ja wiem, że pan myślałeś... a to dość. Ja jestem nieprzy zwyczajona do znoszenia tego, co sobie tam jakiś ktoś myśli! Chciej pan o tóć pamiętać, że kobieta, która czuje swoją godność, jest kobietą czującą swą godność... W takich zasadach byłam wychowana i w takich zapewne umrę. Wolę wszystko stracić, byle tylko swoją godność zachować swego hanoru ni e dać na poniewierkę.

Główka Pelci opuszczała się coraz niżej...

— Morderco, tygrysie! — zawoła pani Szwal

bergowa biegnąc ku córce... — Morderco coś zrobił! zabiłeś mi dziecko! Rozdarłeś niewinne serduszko. Podejściem, intrygami, zawracaniem głowy, wzbudziłeś uczucie w dziewczątce, które dotychczas kochało tylko matkę! Czy nie widzisz, że ona mdleje, że bez ciebie żyć nie może! Olimpciu! Ona zemdląca, pomóż mi ją ratować... Ach! co za niegodzi wość szkaradna! Co za zbrodnia wołająca o pomstę do nieba i do wszystkich piekieł!

Nie mogłem znieść naraz tylu wzruszeń i korzystając z zamieszania, uciekłem, pozostawiając na pastwę Josu i adwokata, moje biedne ruchomości...

Ciepło rodzinne, którego tak pragnąłem, oparzyło mnie fatalnie.

Opuściłem piaszki boju. Z całą serdecznością, pokorą i skruchą przyznaję się do braku odwagi. Trudno, niejestem rycerzem, lecz zwykłym pracownikiem kolejowym, w wydziale tłumoków o umiarkowanej szybkości.

Może właśnie ten rodzaj zatrudnienia rozwinął we mnie zdolność do odwrotu. Nigdy w życiu, żadnego transportu nie wyeksperymentowałem tak szybko, jak siebie samego z mieszkania pani Szwalbergowej.

Nająłem sobie pokój, aż na Elektoralnej ulicy u jakiejś emerytki, staruszki.

Ta przynajmniej, myślałem sobie, nie będzie

ujawniała aspiracji matrymonialnych — i nie ujawniała ich istotnie... aJe za to znów miała tyle różnych dziwactw i grymasów, że zaledwie dwa miesiące mogłem z nią pod jednym dachem wytrzymać.

Później istotnie wyjechałem do krewnych na wieś, gdzie zabawiłem przez czas dłuższy. Urlop mój skończył się, powróciłem do Warszawy. Chciałem powrócić do pierwszej mojej stancyjki, byłem już nawet w sieni tego domu, aby rozmówić się z gospodarzem, lecz po chwili namysłu cofnąłem się...

Bądź co bądź, myślałem sobie, samemu jest źle. O własnej rodzinie marzyć mi nie wolno, ale dlaczegoż nie miałbym zbliżyć się do cudzej. Lubię towarzystwo, lubię dzieci,.. Wprawdzie u pani Szwalbergowej towarzystwo doprowadziło mnie do smutnych rezultatów, a dzieci... dzieci stanęły mi kością w gardle. Zniszczyły moje album, poplamyły pamiątkowe fotografie, potłukły drobne graciki, do których przyzwyczaiłem się — ale przecież cały świat nie składa się z takich rodzin, jak ta przy której mieszkałem.

Postanowiłem spróbować jeszcze szczęścia. Będę ostrożniejszym, będę się trzymał zdaleka, dopóki doskonale nie poznam z kim mam do czynienia...

Próbowałem, szukałem... przez rok zmieniałem mieszkanie pięć czy sześć razy i, niestety, nigdy nie mogłem dobrze trafić.

Miałem pokoje z wejściem oddzielne"m, lub

wspólnym, a najczęściej ze wspólnym dymem, wspólnym śwędem, wspólną wilgocią i krzykiem. Miałem różne gosposie i różne opieki i przyszedłem do wniosku, że najlepiej jest żyć swoim dworem.

Przeniosłem się też ostatecznie do hotelu, jadam w restauracji, a jeżeli zapadnę na zdrowiu, to udaję się wprost do szpitala, gdzie mam ciszę, spokój, kurację jak się należy i poczciwą opiekę siostry miłosierdzia... bez pretensyj do dozgonnej wdzięczności, bez wymagań, abym za poświęcenie płacił osobistą wolnością.

Kto jest tyle szczęśliwy, że ma własną rodzinę, niech się nią cieszy, my zaś samotnicy, my biedne bociany bez pary, musimy korzystać z instytucyj publicznych, gdyż w tych jesteśmy obsłużeni najlepiej i mamy wszelką swobodę. Bracia w celibacie, zapiszcie sobie te słowa.

Co do mnie, pragnąłem szczerze mieć własną rodzinę, było to mojem marzeniem od czasu, w którym mi wąsy rosnać zaczęły — ale jak powiedziałem na początku, etaty naszej drogi nie są obliczone na ludzi familijnych...

W początkach mojej kariery, gdy miałem jeszcze młodość, siły, energię, nie mogłem się żenić dla braku odpowiedniego utrzymania; dziś, gdy dobiłem się już jakiejś takiej pensyjki gdy od biedy miałbym czem rodzinę wyżywić, młodość przeszła, siły

się wyczerpały, a energia ujawnia się tylko przy szachach.

Stało się... Jest jak jest, bo inaczej być nie może... lecz spieszę dokończyć ten fragment starokawalerskiego pamiętnika...

W trzy lata od owej obwili, w której pani Szwalbergowa nazwała mnie tygrysem i mordercą Pelci, szedłem zamyślony przez Aleje Ujazdowskie.

Dążyłem do ogrodu botanicznego, albowiem miłe to ustronie ma dla mnie niewypowiedziany urok i w niem najchętniej letnie wieczory przepędzam... Z rozkoszą oddycham wonią kwiatów, z rozkoszą wciągam w płuca miłe balsamiczne powietrze.

Właśnie mijalem Dolinę Szwajcarską, gdy nagle na ramieniu uczułem ciężar, jakby kto na niem cegłę położył...

Obejrzałem się.

Był to kuzyn pani Szwalbergowej maszynista...

Utył trochę, brodę zapuścił i, przynajmniej w moich oczach, miał minę świętokrzyżskiego zbójcy.

Drgnąłem.

No, myślę sobie, będzie mi ciepło... ciekawym co ten bandyta ze mną zamierza uczynić?

— A jest nareszcie zguba! — zawołał tryumfująco — jest zguba!

— Panie...

— Może pan nie przypominasz sobie?
— Ależ owszem pamiętam, doskonale pamiętam. Czyż mógłbym zapomnieć?
Bandyta wyszczerzył białe zęby i śmiał się...
— Figlarz % jegomości — rzeki — figlarz, panienkom głowy zawracać, to podobno pański fach,, pańska specjalność!...
— Ja., to jest właściwie...
— Nie udawaj pan niewiniątka. Jużci nie zaprzeczysz, że umizgales się go Pelci.
— Nawet przez myśl mi to nigdy nie przeszło.
— Ktooy panu wierzył?...
— Moge pana zapewnić.
— Gadanie! ale nie o to idzie... Co się mamy kłócić; ja jestem kolejarz, pan kolejarz, ostatecznie łączy nas koleżeństwo... Co się stało, to stało. Oto lepiej weźmy dorożkę i pojedziemy na koiacyę...
— Ale...
— Nie ma mowy, siadać i jechać! Co kolega fanaberye stroisz i gardzisz mojem zaproszeniem. Poczciwy Jaś, był już trochę pod dobrą data, uważałem więc, że lepiej go nie drażnić...
— Dobrze — rzekłem — pojedę, nawet z przyjemnością pojedę.
— Tak to rozumiem. Zawsze miałem do ciebie słabość, panie Stanisławie, a chociaż nie chciałeś się ubrać w Pelcie, to dla mnie ostatecznie jest ganz pomadę,..

— Ubrać w Pelcie?!
— A ma się rozumieć... Możesz już zapomniał, "u było przed trzema laty?
— Owszem, pamiętam...
— I ja to pamiętam... Przywlekłem się towarówką i ogarnąwszy się trochę, poszedłem na Wspólna, to jest do Szwalbergowej. Niby to moja kuzynka... co prawda, dziesiąta woda po kisielu... Żeby ten gałgan Szwalberg chciał nmrzcć, a ona żeby była młodsza, to mógłbym się z nią ożenić jak nic... Ale nie dokończyłem. Przychodzę tam i zastaję awanturę... Szwalbergowa aż kipi. Czerwona jak łośygnal, rozkrzyczała się całą parą! Pelcia piszczy, jak alarmowa gwizdawka!! Olipeia jęczy, a ten mydłek Klekotowicz ciągle dogaduje: zapozwać, zapozwać... Ledwie się dopytałem co się dzieje. Wykryło się, że to wszystko twoja sprawa ka, panie Stanisławie. Ładny z ciebie kwiatek!...
— Ależ przysięgam...
— Daj pokój, nie przysięgaj. Słuchaj dalej. Szwalbergowa płacze i zaklina ranie, żebym ci wszystkie kości połamał.
— I byłbyś pan to zrobił?...
— W pierwszej chwili może... ho jakoś kobiecie nie wypada takiej malej grzeczności odmówić, ale później myślę sobie: za co? alboż mało głupich na świecie, nie będzie ten, to będzie drugi. Zresztą miałem do pana słabość. Choćbyś nawet i zawrą

cał Pelci głowę, to przecież nie zbrodnia. Na całym świecie młodzi chłopcy to robią, a młode dziewczyny to lubią. Taki jest rozkład pociągów życia ludzkiego. Powiedziałem sobie tedy, że ani cię szukać nie będę, ani żeber łamać nie myślę, boś jest kolega i dzielny chłop, chociaż niepokazny... Klekotowicz dogadywał, alem mu powiedział, żeby Bię w uic swoje rzeczy nie wdawał, bo może wyjść na tom jak Zabłocki na mydle. Ucichł. No — wstąpmy tedy na buteleczkę. Mam czas i wypić i wyspać się. Jutro dopiero w południe jadę siedemnastym numerem, a przez ten czas można Bóg wie ta zjeść i wypić. Weszliśmy.

Kazałem dać butelkę, przy której panu Janowi język się jeszcze bardziej rozwiązał. Opowiada! o swoich kłopotach, przeklinał wydział ruchu oddzielnie i wydział mechaniczny oddzielnie, a cała zarząd kolei razem. Opowiadał jak mu milowe obcinają, jak trudno jest oszczędzić co na węglach, wynurzał się z żalami, że dziś tylko protekcja coś znaczy i że szczerą pracą nikt do niczego nie dojdzie... Zwyczajnie, jak kolejarz, mówił o tem, co mu najbardziej dolegało. Skierowałem rozmowę na dawne czasy i zapytałem o panią Szwałbergową i jej córki.

— Ona wygląda jak ćwik — rzeki — trochę jeszcze przytyła, ale to jej nie szkodzi. Trzyma zawsze

większe mieszkanie i miewa pokoje do wynajęcia. Pu tobie, panie Stanisławie, było już z piętnastu lokatorów.

— Klekotowicz zawsze asystuje? — A jakże... Ciągłe nibyto robi kroki rozwodowe dla OUmpci... a io zdaje mi się, że w rezultacie rozwiedzie ją z tą resztą pieniędzy, jaka jej pozostała, a potom puści ją kantem. Nie lubię tego obłudnika i jeżeli kiedy Szwałbergowa poprosi żebym go moresu nauczył, to zabiorę się do niego z gustem... Jak go trącę w tender, to wszystkie węgle pogubi, Iis jeden... Niech on mi się nie nastrocza...

— A Pelcia? — spytałem nieśmiało.

— Aha! — rozśmiał się mechanik — tegom czekał, wiedziałem, że się o nią zapytasz... Teraz się nie wyprzesz, że ci w oko wpadła...

— Ale zkąd!...

— Po co ta obłuda?... U mnie, widzisz, co w głowie to w mowie, co w myśli to na języku... Co matu gadać, to powiem i, żebym nawet siedmiu żydów zabił, tobym się nie wyparł. Nie masz się czego wstydzić, Pelcia nie była brzydka dziewczyna...

— Spodziewam się, że miewa się dobrze.

— Nie bardzo. Wyszła za męża.

— Dawno?

— Może wpół roku po awanturze z tobą, zrobiła się druga awantura.

— Jakto?

— A tak, sprowadził się młody człowiek, wziął po tobie i mieszkanie i sukcesję. Kochliwy mazgaj, odrazu zaczął się do Pelci umizgać. Oaa z początku nie chciała, udawała, jak sądzę... Potem, gdy miał się wyprowadzić, znowu był ambaras. Posyłałi po mnie — no i jakoś zrobiły się zaręczyny, a potem ślub... Już mają dwoje dzieci, ale że jego pensyjka nieduża, więc bieda aż piszczy. — Żyją też ze sobą jak pies z kotem. Ona jemu wymawia, że nie ma dużej pensyi — on jej, że nic dostał żadnego posagu... Czasem się kłóca i wtenczas ona zabiera dzieci i ucieka do matki... ale

to długo nie trwa. On przychodzi, przeprasza, zabiera swoje skarby i znów jest święta zgoda, na tydzień... Dobrze zrobiłeś, żeś się w Pelcie nie ubrał, bo między nami mówiąc, jest to nie osobliwe stworzenie. Złe jak osa, a skąpa, głodem by cię zamorzyła... A może ciebie nie — dodał po namyśle...

— A to dla czego?

— Ona cię kochała,

— Żarty!

— Naprawdę kochała cię...

— Zkąd pau możesz to wiedzieć?

— Sama mi powiedziała. Jeszcze na trzy dni przed ślubem mówiła do mnie, że ciebie jednego kocha.

— A jednak wyszła za tamtego.

— Cóż miała robić? Przecież nie mogła dla twoich pięknych oczu zostać starą panną... Zresztą, co ja tam wiem, powtarzam, com słyszał, a czy to prawda, nie ręcę i nie wiem. Kto z kobietami dojdzie do ładu? u nich inaczej się mówi, a inaczej pisze, a jeszcze inaczej myśli. W wilję ślubu jeszcze mówiła do mnie, że nie przeżyje swego smutku, że serce jej pęknie.

— No... ale dzięki Bogu, dotychczas nie pękło.

— Cóż chcesz!... Czy serce takiej Pelci jest kocioł parowy, żeby miało pęknąć. Zawsze znajdzie się w niem jakaś zapasowa klapka, która odwróci katastrofę...

KONIEC.

SUKCESYI PO GOZDAWACH.

Cóż robić, gdy ziemię, jak okiem daleko sięgnąć, ubieli śnieg, gdy grubą, łokciową warstwą ułoży się na polach, na łąkach, na zamrożonej powierzchni jeziora?... Wyjść z pieskiem do lasu, wziąwszy strzelbę na ramię, nie sposób, bo śnieg głęboki — i ochoty człek nie ma do łowów... Wiatr rozhulał się na dobre, a i mróz szczypie nie żartem,.. W stodółce roboty nie ma... wymłócono już wszystko, a koło dobytku stary Szymon z dwoma parobkami chodzi pocziwie i ani go doglądać, ani popędzać nie trzeba...

Magda naręcze drzew przyniosła, rzuciła je przed kominek aż szyby w oknach zadrżały... i po chwili już ogień błyska wesoło...

Płomyki czerwone uciekają w górę, za nimdrugie gonią, a za drugimi znów inue; czasem strzeli głośno drzewo gorejące, iskrami sypnie, węgiel rozżarzony aż na pokój odrzuci i znowu płócie

cicho, równo, póki nie zostanie z niego spalona głowienka... wpół spopieliała, wpół czarna.

Patrzy oto człowiek w ten ogień jasny i duma, a myślom się opędzić nie może... Zarzewie wspomnień tli się w duszy, w sercu, rozplomienia, wybiega uśmiechem na usta, rumieńcem na twarz, albo chmurką na czoło, łzą na oko... i tak całego człowieka ciepłem swoim obejmie, że ani mu się oprzeć, ani obronić nie sposób...

Ileż razy przed tym samym kominkiem siedziałem i rozpamiętywałem chwile ubiegłe, a zawsze te same obrazy snuły cię przed oczami mej duszy... Zawsze stare i zawsze mimo to świeże... A gdyby... gdyby też spisać owe krótkie dzieje długiego życia, gdyby je przenieść na papier, duszę w nie tchnąć i myśl, a uwięzione w martwych literach dołożyć do owej sukcesyi po niegdyś Janie Gozdawie, sukcesyi, którą tak niespodziewanie objąłem...

O sobie samym niewiele mam do powiedzenia. Przyszedłem na świat w jakimś białym domu nad Wisłą i pamiętam go jeszcze jak przez sen... Rodzice moi nie byli ani bardzo biedni, ani bardzo bogaci i oboje pomarli wcześniej... Dzieci, prócz mnie jednego, nie mieli. Po śmierci ojca i matki dostałem się wraz z białym dworkiem i kawałkiem ziemi, który do niego należał, pod władzę opiekuna... Był to jakiś daleki krewniak ojca, człowiek niezły, ale

podobno grosz go okrutnie w ręce parzył. Nie będę opisywał, jak co było i jak się stało, bo dzieje to przestarzałe i nikogo obchodzić nie mogą — dość, że dworek mój po ojcu i ziemia przeszły w inne ręce, a przedemną stanął otworem świat szeroki...

Idź gdzie chcesz i szukaj czego chcesz...

Przecież nie zginąłem.

Opiekun mająteczek mi stracił, ale naukę jaką taką dał; skończyło się szkoły u Pijarów, nawet nie źle się skończyło, a że w owych czasach kto chciał, to pracę bez trudności znajdował, więc dostałem się na aplikację do sądu, a po latach dwóch miałem już posadkę skromną, ale na opędzenie życia wystarczającą... I tak oto czas szedł przy pracy i przy skromnych rozrywkach; awansowałem, pensye mi zwiększano, a nawet ludzie zaczęli mnie namawiać, żebym się żenił...

Nie byłem ja ci od tego, ale że lubiłem wszystko z rozmysłem robić, więc nie spieszyłem się, chciałem przede wszystkim dojść do fundusiku jakiegoPisywało się wolnym czasem to u regentów, to w hipotece i nie moge się

skarżyć, żeby mi źle było. Owszem, miałem dobrą opinię u zwierzchników, zarobek i nadzieję przyszłości. Oto wszystko, co miałem do powiedzenia o sobie, teraz wypadnie mi mówić o innych...
Miałem około trzydziestu czterech, czy może trzydziestu pięciu lat życia, gdy zaszedł wypadek,

który pchnął mnie na zupełnie nowe drogi. Jacyś dalecy krewni legitymowali się do spadku po niegdy Janie Gozdawie. Gdy ogłoszenie wpadło mi w ręce, zastanowiłem się... Wiedziałem, że właśnie nieboszczka moja matka była Gozdawianka h domo i słusznie przyszło mi na myśl, azali i ja nie mam prawa do tej sukcesji... Udałem się po radę do doświadczonych jurystów, zaczęliśmy szperać, poszukiwać, zbierać dowody — i pokazało się, że owi dalecy krewni nie mają żadnego prawa do sukcesji i że jedynym spadkobiercą jestem ja, jako sukcesor praw matce mojej przysługujących.

Niegdy Jan Gozdawa był rodzonym stryjem mojej matki, a więc moim dziadkiem; że zaś zmarł bezpotomnie za granicą, we Francji, gdzie ostatnie lata życia swego przepędził — i rozporządzenia żadnego co do majątku nie uczynił, przeto takowy z prawa przechodzi na moją matkę, a ewentualnie na mnie, jako jedynego jej spadkobiercę.

Strutynowawszy to wszystko, zebrawszy dowody, wylegitymowałem się z praw swoich .. proces wygrałem we wszystkich instancjach, i ostatecznie spadek przy mnie pozostał. Nie wielka to była habenda, ale habenda, bądź co bądź nie do pogardzenia. F.dwarczek mały, w niezłej glebie, z łąką, wedą, z kawałkiem lasu, który do rozległych księżących borów przytyka!

Nie przechodziło mi nawet przez myśl, aby urzę

dowanie opuścić i gospodarstwo objąć, aio zobaczyć Pustelnię pragnąłem koniecznie. Palila mnie ciekawość jak też wygląda mój własny kawałek ziemi? Czy taki jest jak inne, czy może przyjemniejszy, piękniejszy?... Od ndodych lat chowałem się w mieście, wśród murów, tam spędziłem najpiękniejszy czat* życia — a przecie, gdy mi przyszło na myśl, że posiadam własny kawałek ziemi — to zapachniała mi ona osobliwie; poczułem, że innie do niej coś ciągnie, wabi, że woła prawie ludzkim głosem. Powiadają, że niektórzy ludzie we krwi już mają takie dla ziemi kochanie, widocznie w moich żyłach nie insza też krew płynęła.

Otrzymawszy urlop, udałem się do Pustelni.

Przez trzy, czy pięć dui jechałem po drogach najszkaradniejszych i wertepach, bo zjechawszy I głównego traktu, trzeba się było bocznymi drogami, przez wielkie lasy, przez bagna dostawać. Jechałem rzemiennym dyszlem, jak to mówią...

Z początku, na głównym trakcie z żydami, bo wówczas wielkie brodzkie bryki chodziły i można niemi było wygodnie, chociaż bez wielkiego pośpiechu, peregrynować, a później na bocznych szlakach chłopskimi furkami się włokłem, od wsi do wsi, nocując po karczemkach, alboli tóż, co przyjemniejsze było, pod gołem niebem, w lesie.

Ładny był czas wtedy, a już noc piękna szczególnie, bo w dzień gorąco dokuczało, nocą zaś wie

trzyk chłodził... Nad lasem niebo było czyste, bez chmur, zasiane złocistymi gwiazdami .. a w boru gałęzie szumiały, jakby gwarząc, jakby spowiadając się jedna przed drugą.

Na ostatnim noclegu, przed ostatecznym kresem mojej podróży, chłop, który mnie wiózł, rozmowC ze mną zaczął. Odzywał się bojaźliwie, nieśmiało... niby chciał mi coś powiedzieć, a nie śmiał.

— To już jutro — rzekł — zanim słońko ku południowi się podniesie, będą pan w onei Pustelni.

— Ja nie wiem — odpowiedziałem — bom w tych stronach pierwszy raz, ale skoro powiadacie, że przed południem staniemy, to zapewne tak będzie.

— A juści, że będzie, wielmożny panie — rzekł chłop, wpatrując się w gwiazdy. — Ono już kielc północka tera; niech ta szkapiny obroku dojedzą, a pan się krzynkę prześpią, to się powlecjemy pomaleńku. Tu nie pogoni, panie, bo piachy tęgie wskroś, het, pod samą Pustelnię.. Znam ja tu każdy krzaczek, panie, znam. Da Bóg miłosierny doczekać, jeuo gwiazdy pobieleją krzynkę, to pojedziem... O wschodzie staniem przy Michałowym młynie... tam znów szkapiny kłaczek siana zjedzą, napoję je i pojedziemy dalej, bez Lisi Majdan, bez Wisielcowy Grądzik, bez Wilczedoły, a potem wskroś lasem mała milka drogi... ta i Pustelnia!...

Wielmożny pan pewnie ze słodkością serca jedzie, jako do swojaczyny swojej, do dziadkowego gruntu; a ktoby ta do gruutu ze słodkością serca nie szedł?... Już taki chyba z nieba samego je przykaż, że człowiek, na to mówiący, do ziemi ciągnie. Choć ona nie zawdy przychylna, o nic zawdy panie! Człek upracuje, umolestuje, umęczy się do ostatniej kropli potu... a ona nie urodzi i głód wypadnie przymierać... i jnżby chciało się pomstować i przeklinać, ale gdzieby ta kto świętą ziemię przeklął!... Niechno jeno wiosna przyjdzie... już człowiek, jak ptak na skrzydłach na poleby leciał, już do niej, do onej ziemi z pługiem, już z broną, już z ziarnem... bo juści naród z tej ziemi świętej życie ma i nie jest żadna rzecz na świecie, coby z ziemi nie była... a przecie jenszy kawałek ziemi taki będzie, że zawdy...

— Co?

— Et, tak się rzekło... oto niechcący, jako zwyczajnie chłop głupi. Dobrze to powiadają, że podobniej chłopu cepem młócić, niżeli językiem obracać, bo młóci celne zboże, a co powie to i plewy nie warto...

— Dlaczego mój człowieku? owszem, podobno to chłopski rozum właśnie najlepszy...

— A juści, ale powiadają też i tak: Chwalił się chłop jeden, że u niego dziedzic bardzo dobry je. A gdzie ten dziedzic? pytają ludzie. Tedy chłop po

wiada: a właśnie, że go nie ma. Tak to panie i z onym chłopskim rozumem, musi on bez to dobry, że go nie ma, ale co ta bajdurzyć, niech się pan położy, ta i usną. Jeśli pan nie wzgardzą, toby można sukmaninę moją pod głowę...

— Bóg zapłać, człowieku — odrzekłem — do spania nie mam jakoś ochoty, woię oto raczój, na gwiazdy patrzając, pogwarzyć... Wy znacie Pustelnię, byliście tam kiedy?

— A juści znam, znam panie... Oj, oj, bywało się tam nieraz, bywało... nasza wieś do księżących dóbrów należąca, to czasem wypadnie do lasu, właśnie aż pod samą Pustelnię dojeżdżać.

— Powiedzcież mi tedy co o niej.

— Ta i co mam powiedzieć? Pustelnia i dość. Jać to i panowego dziadka znałem, eo w onej Pustelni siedział; kawalir to piękny był, a jak się w mundur ubrał, a kaśkiet na głowę włożył, to jakby go kto z malowanego obrazu wykroił...

Wojna była, dziadek poszedł i jak poszedł, tak i nie przyszedł już więcej. Takie to już suae w onej Pustelni założenie; jak ludzka pamięć sięga, żaden tu dziedzic jeszcze głowy swojej nie położył, jeno zmarniał wśród obcego narodu za morzamistarzy ludzie gadali, ale ja też! Po co ta wielmożnemu panu takie rzeczy powiadać."

Lekki dreszcz uczułem w sobie, ale to nie było z przerażenia, tylko od nocy chłodnej, a może od ro

sy, co się na mchach i na paprociach perliła... Sio wa chłopca jednak dożo do myślenia mi dały.

— Eh, mój człowieku — rzekłem — nie takim ja bojący jak się wam widzi, skoro człowiek sumienie czyste ma, to się lada czego nie lęka.

— Dyc prawda... i księża podobnie na kazaniach powiadają... a przecie, choć i na panowym dziadku i na tamtych, zuowuż niby ojcach dziadko wych, krzywdy ludzkiej ani przekleństwa nijakiego nie było... marnieli nieboraki jak na urząd, żaden tu swoich kości nic położył, żaden na cmentarzu, na poświęconej ziemi nie spoczywa, jeno Bóg wie nie gdzie...

— Dlaczego?

— Moc boska... kto je ta zgadnie?... Wieczne odpoczywanie daj im Boże, ale oni i po śmierci spokoju nie mają... Ja ta nie widziałem na swojo oczy, ale insze ludzie widzące są, to powiadali,..

Tu chłop urwał nagle i zamilkł.

— Cóż powiadali? co powiadali?— spytałem do najwyższego stopnia zaciekawiony — powiedzże mi człowieku, przecież to krewni moi, pradiadowie.., wiedzieć więc chcę...

— Eh! wielmożny panie, strach nocą takie rzeczy gadać... złe wszędzie jest na zgubę ludzką dybiące, a najbardziej ku półnackowi moc jego... ale skoro pan tak molestuje, to i powiem... Kole Pustel

ni podobno, w lesie, pokazują się nocami osoby..

a naród powiada, że to dawne dziedzice...

Więcej nad to nic z chłopca wydobyć nie mogłem,

uklął koło wozu i pacierz półgłosem zaczął mówić,

z umysłu zapewne, żebym przerywać nie śmiejąc,

o więcej nic dobadywał i nie pytał.

Położyłem się na ziemi i patrzyłem w gwiazdy,

W lesie panowała zupełna cisza, przerywana tylko szeptem chłopskiego pacierza; konie jeść przestały, lby zwiesiły ku ziemi, czasem sęba gałąź przez wiatr trącona skrzypnęła... Spać nic mogłem... myślałem o toni co mi chłop powiedział i sam nie wiedziałem czy wierzyć, czy wątpić; przeszło mi tak ze dwie godzin w rozmyślanu, w kontemplacji głębokiej... aż wreszcie gwiazdy bladły, bladły coraz bardziej, co drobniejsze znikwały i tylko największe walczyły z zaraniem jasności, co się niebawem miała na letnim wschodzie zapalić.

Chłop wstał, uprząż na koniach poprawił i pojechaliśmy.

O wschodzie, przy Michałowym młynie konie się wody napiły i kłaczek siana zjadły, a potem przez las ciągle, przez Lisi Majdan, przez Wisielcowy Grądzik i Wilczedoły powlekliśmy się ku Pustelni.

Ku południowi miało się już słońce, gdy wyjeżdżaliśmy z lasu i chłop biczyskiem mi sukcesyę moją pokazał.

Kilka budynków ujrzałem, otoczonych wysokim ostrokołem, poczerniałym ze starości, popsutym miejscami, wysoki żuraw studzienny, gołębnik — i uczulem, że mi jakoś dziwnie smutno na sercu...

Trzy osoby na moje powitanie wyszły i to nie od razu, lecz każda z nich z innej nadciągnęła strony... Naprzód szczekanie psów wywabiło na ganek kobietę jakąś niemłodą, wysoką, szczupłą, w wielkim białym czepcu na głowie, w czarnej chustce zawieszanej na wychudłych ramionach. Za cząłem jej tłómaczyć kto jestem i po co przyjeżdżam, a tymczasem od budynków chłop nadbiegł, stary, ale rzeźki jeszcze, przysadzisty, krępy, opalony jak cygan... Dobrze przyprószone siwizną długie włosy spadały mu aż na ramiona, rozsypywały się grubemi promieniami po wytartej szarej siermiędze. Z drugiej strony od wpół rozwalonego czworaka żyd się zbliżał, z brodą długą i białą, jedną ręką oczy od słońca zakrywał, drugą za pas włóczkowy zatknął i tak powoli szedł, przyglądając mi się bacznie.

Gdym ja z kobietą rozmawiał, chłop czapkę zdjął i głowę zwiesił ku ziemi, żyd zaś kłaniał się ciągle, ustami cmokał i czarnemi, bystremi oczami wpatrywał się we mnie.

— Oto, proszę pana — rzekła kobieta suchym, bezdźwięcznym głosem — oto cały dwór pański. Ja,

ten oto chłop Szymon i żyd Jojna... Wszyscy jak jesteśmy z czasów nieboszczyka dziadka... Ja już od para lat pana oczekuję...

— Pani?

— Tak, nieraz jeszcze, jak tylko Kymiszowie i Sokolscy proces zaczęli i Pustelnię chcieli objąć, ja mówiłam do Szymona i do Jojny: nie, nie wskórają nic, prawowity dziedzic jest, bo nieboszczyk Jan brata miał, a po tym bracie została córka Rozalia...

— Słója matka...

— Nie wiedziałam ja, że to pańska matka, ale słyszałam, że się wychowała, że za mąż poszła za Orzechowskiego, że mieszkają gdzieś nad Wisłą, że oboje z mężem zmarli i że pozostał po nich synek. Więcej nie wiedziałam nic, ale mówiłam do tych ludzi, mogą poświadczyć, prawy dziedzic jest, majątek po kądzieli przejdzie na niego... i tak się stało. Sokolscy i Rymiszowie przyjeżdżali tu, chcieli Pustelnię obejmować, ale nie dałam. Szymon z parobkami od

bramy zastąpił, Jojnę do urzędni popchnęłam po pomoc, nawymyślałam, nakrzyczałam... no i przecie zkad przyszli tam i poszli, proces się ciągnął... aż wreszcie pan oto przyjechałeś. Wejdźże w swoje własne progi i mieszkać w nich szczęśliwie... chociaż ty jeden przynajmniej —dodała już szeptem.

— A jakże mam panią tytułować? — zapytałem.

— Moje wcale tytułować nie trzeba; baba, stara baba, oto cały mój tytuł. Byłam tu niby Ulicznicą, niby zastępczynią, czemś takim sobie, oto, piątem kołem u wozu... Rządziłam, gdy dziedzica nie było... dziedzic przyszedł, rządy oddaje i po wszystkim...

— Ależ, moja pani, potrzebuję przecież wie dzieć kto pani jesteś i jak się nazywasz.

— Jestem pańska daleka krewna... Nie bój się pan, bardzo daleka, dziesiąta woda po kisielu... Na imię mi Barbara, z domu Sokolska, po mężu Wojtkiewiczowa. Oto wszystko... a teraz wejdź pan w swoje progi... posiłek jaki przyjmij, chleba własnego skosztuj... Czarny on, ale dobry.

— Oj, oj, żeby gorszy nie hul do samej śmierci — wtrącił nieśmiało żyd.

— Posiliwszy się, może pan zechce Pustelnię obejrzyć, grunta, łąki, las, to Szymon pokaże; może się pan zechce o okolice rozpytać, to znowuż Jojna wszystko powie, a ja sukcesyę panu oddam dopiero wieczorem.

— Jakąż sukcesyę, przecież Pustelnie już mam, jestem w niej.

— Pustelnia swoją drogą, a sukcesja swoją.

Pokrzepiłem siły i spojrzałem w około. Byłem w dużej izbie dość niskiej, ale szerokiej i długiej; w rogu stał piec ogromny, staroświecki, z kalli zielonych, po ścianach wisiały obrazy religijne, starodawne, w ramach poczerńiałych zupełnie, z za belek pułapu wychylały się pęki ziół poświęcanych. Umeblowanie tej izby pochodziło zapewne nie z czasów dziadka, ale chyba pradziadów dziadkowych; ławy pod ścianami, wielki stół dębowy pośrodku, tapczan łośiową skórą przykryty. Przy jednej ścianie znajdował się sprzęt dziwaczny, niby kantorek, niby szafa. Widocznie z późniejszych już czasów ów sprzęt pochodzi!, bu ozdoby jakieś miał na sobie i gęsto poczerńiałem! bronzami był okuty.

Gdym się po tej wielkiej izbie rozgląda!, wszedł Jojna i przy progu stanął.

— Może teraz wielmożny pan jedno słowo posłucha — rzekł.

— O wszem, słucham, co powiecie, siadźcie, proszę.

— Jest miejsce, gdzie pasuje siedzieć, jest miejsce, gdzie pasuje stoić — odrzekł żyd z powagą—w tem miejscu mnie pasuje stoić, to ja będę stojał.

— Jak wasza wola — ja proszę.

— Słucham wielmożnego pana... W tym ro

daie wszystkie panowie delikatne byli i złego słowa nikt od nich nie słyszał.

— Dawno tu mieszkacie w Pustelni?

— Kto to zrachuje? wielmożny panie, ja nie potrafię. Pyta pan jak dawno ja w Pustelni mieszkam? Ha, niech pan dobrodziej spojrzy na moją brodę... ona tu urosła i tu zrobiła się taka długa, i tu zrobiła się taka Mała... na taki iuterus potrzeba parę kilka lat, jak im,! wiadomo.

— Powiedzcież mi, proszę, czym wy tu jesteście?

— Czem ja iestem? Ja jestem proszę wielmożnego pana żydem.

— To przecież widzę, ale czym jesteście tu w folwarku?

— W folwarku? Ny, w folwarku? także jestem żydem... Pan się śmieje, a ja powiadam prawdę... Dawniej rachowało się na dwie włóki grantu trzy pary wołów, a na jeden folwark jeden żyd, na duży folwark dwa żydy. W Pustelni mój ojciec za żyda służył, dziadek służył, no i ja także służyć... Biorę mleko od krów, potrafię trochę smoły wypalić, a zresztą tak jestem przy folwarku; każą gdzie pojechać... to jadę, każą jaki interes zrobić... to zrobię, każą zboże sprzedać... sprzedam. Nawet, jak teraz proces był, co nikt nie wiedział jak się skończy, kto Pustelnię zabierze, to pani Wojtkiewiczowa powiedziała tylko jedno słowo: „jedź Jojna i wywą

chaj..." Ja zaprzęgałem moja szkapę do biedki, ja pojechałem, nie było mnie w domu ze dwa tygodnie, no,, i wszystko było wywachańe dobrze, po żydowsku.

— Ciekawym coście mogli wywachać?...

— Hal ha! wszystko... Wywachałem, że wielmożny pan żyje, że się o Pustelnię pra wuj c, że jest urzędnikiem przy sądzie, że pan kiedy jeszcze prezesem może być... że pan nie ma wielkiej ochoty na wsi siedzieć... No, to nie dziwota, albo to kiedy który dziedzic siedział?

— Dlaczego?

— Albo ja wiem... Oni coś gonili po świecie... ale co oni gonili to ja nie wiem. Może jaki słup ognisty przed nimi świecił... może im się zdawało, że szczęście złapią. Tym czem oni łapali kulę w głowę, albo kalectwo na nogi, albo śmierć na cudzych śmieciach. Za przeproszeniem wielmożnego pana, oni byli tak jak żydy. Oni szli po całym świecie szukać swego Mesyasza, oni szukali muru, żeby jego przebić swoją głową... ale tylko głowy sobie rozbijali, a murstojał... Pański dziadek nieboszczyk, po którym teraz Pustelnia wielmożnemu panu się dostała, siedział tu kawałek czas... Myślałem, że do śmierci posiedzi; on gospodarował pięknie, on chciał sobie ożenić, nawet zaręczony już był zjedna panienką... Nie wiele brakowało do wesela... Dość panu powiedzieć, że ja sam jeździłem do Kozienic

po wino... dwie beczki ztamtąd przywiozłem, sprawiedliwej miary po trzydzieści sześć garncy, od Wulfa, eo miał najgłówniczy skład na całe Kozienice, co sam dwa razy do roku jeździł na Węgry... On już dawno nie żyje ten WulfrY. Aj waj! Aj waj! czy ja spodziewałem się kto to wino wypije! No nie mam wielmożnemu panu dużo co powiadać i nie potrzebuję tego powiadać, dość że wesela nic było, tylko smutek był, a pański dziadek w świat poszedł i już go moje oczy nie widziały... Teraz pan nastaje, ale mnie się widzi na moje rozumienie, że wielmożny pan też nie posiedzi długo między nami, będzie pan wolał być przy urzędzie, w mieście, gdzie wesoło jest, gdzie można sobie zabawić...

— Nic wiem jeszcze co zrobię — odrzekłem, a potem zapytałem nagle — Powiedzcie mi Jojuo, czy to prawda, że tu w Pustelni coś straszy?!...

Żyd cofnął się ku drzwiom, splunął trzykrotnie i zawołał:

— Kto pauu takie chłopskie bajki opowiadał? Na co pan się mnie o taką rzecz pyta?

— Chce wiedzieć...

— Niech my o takim interesie nie wiemy, niech my nie słyszymy, niech nasze oczy tego nie zobaczą! kto straszy, niech nas omija. Pau Bóg jest nad nami!

— Słyszałem ja jednak coś...

— To nio żydowski interes, wielmożny panie, ja niewiem, ja nic nie wiem. Co ronie do tego? Ja nawet niemam chęci rozmawiać o takiej rzeczy. Nie moja głowa na to, chociaż, Bogu dzięki, uczony człowiek jestem... Póki miałem zdrowie, toni się ruszał po świecie, ale teraz na starość, kiedym już wszystkie dzieci w świat puścił i sam tu tylko z żoną i z jedną dziowczyną na Pustelni został, to eo mam robić? Chwałę Pana Boga i czytam nabożne książki. Czytam nabożne książki a modłę się, a wie pan, o co ja się modłę? O to, żeby Pan Bóg dał wielmożne mu panu dobre pomyślenie, żeby ja tu w Pustelni mógł zostać... Gdzie ja się teraz podzieję na starość? gdzie ja moje chore kości poniosę? Ja właśnie z tą prośbą naumyślnie przyszedłem... Tam w izbie moja zona płacze... ona także stara, także słaba, a gdzie ona pójdzie? Może ja się wielmożnemu panu i przydam, może odslużę; ja tn żadnej pensyi nie biorę, niech sama pani Wojtkiewiczowa poświadczy, tylko co izbę mam i trochę ziemi pod kartofle; to cała parada jest, a dla mnie starego to majątek...

Pomyślałem chwilę i rzekłem. — No, nie bójcie się, krzywdy wam nie zrobię. Nie wiem jeszcze jak się urządę, nie postanowiłem nic dotychczas, ale w każdym razie macie moje przyrzeczenie, że na dziady was nie puszcę. Tyczy się to wszystkich starych sług w Pustelni; a te

raz mój Jojno, chciałbym się was o niejedno jeszcze zapytać.

Żyd wahał się, pogładził długą brodę i rzekł:

— Wielmożny panie, może jutro...

— Dlaczego?

— Dobrą wiadomość trzeba prędko nosić.. Jaby teraz chciał polecieć do mojej żony i jeżeli pan pozwoli, to ja zaraz polecę... ja będę leciał i będę krzyczał: „Ryfka, słuchajuo Ryfka! ciesz się, ja tobie niosę perłę, ja tobie niosę brylant, ja tobie niosę pańskie słowo!”

Roześmiałem się.

— A skoro tak, to niechże Jojna leci.

Żyd uklonił się do samą ziemi, dziękował jeszcze i zniknął za drzwiami, Otworzyłem okno.

Do izby niskiej i dusznej wpadły czerwone płomienie zachodzącego słońca i wuiosły z sobą orzeźwiający tchnienie ogrodu... Zapach niewykwiśniętych, ale miłych kwiatów: rezedy, pachnącego groszku, lewkonii, orzeźwił mnie przyjemnie, Oparłem się o futrynę i wychyliłem głowę przez okno, wtem nagle doleciał mnie dźwięczny i rzewny śpiew: „Wszystkie nasze dzienne sprawy..”

Głos był silny, metaliczny, młody i pełnymi tonami rozbrzmiewał w powietrzu. Zkąd, pomyślałem sobie on się tutaj, w tej prawdziwej Pustelni, w tym schronisku ludzi starych, w tem jakimś miejscu zaklętym, nad którym jak chłop

powiadał, założenie jakieś ciąży? Zkąd tu, w tym przybytku starości i smutku, mogła zabrzmieć nuta tak dźwięczna i roją?

Wysilałem wzrok, ale oczy moje nie mogły przebić gęstej ściany zieleni, poza którą znajdowała się tajemnicza śpiewaczka.

Do zmroku chodziłem koło domu, sądząc że ją spotkam, ale na próżno... postauowiłem więc nazajtrz poszukiwania rozpocząć i prowadzić je dotąd, póki nie zostaną uwieńczone dobrym skutkiem.

Wrażenia, których w ciągu dnia doznałem, zineczyły mnie i wyczerpały z sił zupełnie; chciałem odpocząć, odpocząć, i odpocząć, zasnąć na Świeżem sianie, zapomnieć o wszystkim, dotąd przynajmniej, dopóki ten sam rzewny i dźwięczny głos, przodując chórom ptasząt leśnych, nie obudzi mnie pieśnią: „Kiedy ranne wstają zorze”.

Przeczenie mi mówiło, że pieśń usłyszę.

I tej nocy jeszcze i wielu następnych nic był mi przeznaczony odpoczynek. Z uderzeniem godziny dziesiątej weszła od stancyi Wojkiewiczowa, z dziwnie poważnym wyrazem twarzy, uroczyście jakaś, straszna prawie... Biały czepki żalobnie odbijał od chustki czarnej, narzuconej na kościste ramiona, a wysoki wzrost, ostre rysy twarzy, nadawały tój

kobiecie postać widma raczej, aniżeli żyjącej istoty. Wydobyła z pod chustki plik papierów i skrzyneczkę z pieniędzmi, położyła na stole i rzekła:

— Oto depozyt który zwracam. Tu sa pieniądze i rachunki, niech pan sprawdzi i przeliczy. Może panu trudno będzie dojść řadu z babskim rachunkiem, w takim razie proszę mnie zawołać, objaśnię ustnie.

— O, pani! — rzekłem — kuzynko, jestem dziś tak znużony, że doprawdy siły na to nie mam, a zresztą nic pilnego... uwolniłem się z biura na cały miesiąc, więc mam czas na rachunki i sprawdzania. Można będzie zrobić to jutro, pojutrze, za tydzień.

— Jak wola pańska. Niech pan liczy jutro, pojutrze, aleja całą sukcesyę dziś oddam... Alboż wiem czy jutra doczekam! stara jestem, a wiesz pan że życie ludzkie to nitka, którą woła Boża lada moment przerwać może.... Przyjechałeś pan do Pustelni, więc bierz eo swoje.

— Czyż jest jeszcze co oprócz tych pieniędzy?

— Chodź pan rzekła brzęknawszy kluczami. Podniosłem się niechętnie. Wysoka kobieta szła przedemną szybko, przyświecając sobie żółtą woskową świecą roboty domowej, wydającą szczególnie jakiś zapach.

Prześliśmy przez duże puste izby i zatrzymaliśmy się przed dębowymi drzwiami silnie okutymi zela.

zero. Otworzyła drzwi wielkim staroświeckim kluczem i zaprowadziła mnie do jakiegoś spichlerzyka przybudowanego do ściany domu. Spichlerzyk nie był widać nigdy otwierany, bo czuć w nim było stęchliznę i wilgoć.

— Oro jest pańska sukcesya — rzekła podnosząc światło do góry.

O mało nie krzyknąłem z przerażenia... Przedemną na dwóch ławeczkach stała wielka trumna dębowa, prawie czarna, z posrebrzonym krzyżem na wieku.

— Nie lękaj się pan — rzekła Wojtkiewiczowa — w tej trumnie umarli nie leży... Wieko zamyka się na klucz... proszę, oto jest... Chciej otworzyć, tam znajdziesz swoją sukcesyę.

— Pani — zawołałem — na miłość Boską, nie dziś! Nie jestem w stanie, nie mogę, zostawny to do jutra..

— Dobrze, niech i tak będzie — rzekła — ja zrobiłam co do mnie należało, oddałam depozyt a jutro z czystym sumieniem mogę ztąd odejść.

— Nie odejdiesz pani! — zawołałem — przynajmniej dopóki...

— Dopóki nie otworzysz pan trumny. Zgoda i na to, a teraz spocznij; w pierwszej izbie znajdziesz pan łóżko posłane... Światło się tam pali... Dobranoc.

Zamknęła lamus, wielki ciężki klucz oddała mi

do ręki i zanim zdążyłem się opamiętać, zniknęła jak cień z przed moich oczu.

Pierwsze dni pobytu w Pustelni będą mi na całe życie pamiętne. Owego wieczoru a raczej nocy owej gdy Wojtkiewiczowa w swoim czepcu wielkim zniknęła już za drzwiami, pozostawiwszy w niem rękę ciężki klucz od lamusa, przez długi czas nie mogłem myśli zebrać, ani się uspokoić. Przejmowały moje dreszcze, a jednocześnie żar szczególnie palii moje skronie, w których krew uderzała jak miotem. Ledwie dowlokłem się do izby gdzie przygotowane było dla mnie posłanie i, nie gasząc światła, rzuciłem się na łóżko. Na stoliku paliły się dwie świece woskowe żółte, takie same jak te, które w rękę Wojtkiewiczowej widziałem. Widocznie musieli tu mieć dużą pasiekę blisko domu. Obok świec dostrzegłem bukietik wdzięcznie ułożony z rezedy i lewkonij. Kto go tu przyniósł? kto miał tak dobre serce, że widokiem kwiatów pragnął rozweselić moje smutki?... Pytanie to zajmowało mnie bardzo, ale nie

mogło wypędzić z pamięci obrazu wielkiej tajemniczej trumny, którą wi działem przed chwilą. Co w niej jest? Komu przyszła myśl przekazywać spadkobiercom taki sprzęt żałobny? Może to przestroga, może głos wołający: „uciekaj ztąd, uciekaj!”

Chciałem usnąć, zapomnieć o wszystkim, dać

sobie wypoczynek po wrażeniach doznanych, lecz sen uciekał od mych powiek. Silny wiatr zerwał się i szamotał gałęziami w ogrodzie, czyniąc szum nieznośny, trącał skrzypiące okiennice, do komina z żalosnym wyciem się wdzierał... Nad płomykami świec unosił się dymek sznureczkiem wązkim, czarnym... wił się jak żmijka i ginął gdzieś aż pod pułapem, z poza bclek którego wychylały się pęki ziół poświęcanych. Przeleżałem do samego świtu bezsennie i dopiero gdy światło jutrzeńki zaczęło wpływać do izby, zgasilem wielkie świece i zasnąłem. Spałem suem przerywanym i nierównym, budziłem się niemal co chwila. W jednym z takich przebudzeń zdawało mi się, że słyszę śpiew „Kiedy ranne...” — Ten sam dźwięczny srebrzysty głos co wczoraj!... Ten śpiew uspokoił mnie i już słońce wysoko wzbilo się na niebie gdy wstałem, zmęczony wprawdzie fizycznie, ale za to spokojniejszy na duchu. Dostrzegłem przy łóżku na prostym stołku die wnianym ogromną misę pełną wody zimnej, zdrojowej i ręcznik domowej roboty. Woda orzeźwiła mnie. Wyszedłem na ganek i siadłszy na ławce zapaliłem fajeczkę. Po chwili powróciwszy do izby zastałem stół nakryty, na nim dzbanek mleka świeżego, szklanę, kawał czarnego chleba i sól. Niewidzialna ręka usługiwała mi ciągle. Wyrzalem przez okno ku zabudowauiom, ale

nie dostrzegłem nikogo. Była pora letnia, czas najpilniejszy do roboty; widocznie więc ludzie w pole wyszli. Myślałem, że Wojtkiewiczową dostrzegę, ale i ona gdzieś się schowała, czy wyszła... Postanowiłem pójść do owego lamusa i otworzyć trumnę, niech się raz już skończy ta niepewność, ten niepo kój — niech wiem nareszcie czego się trzymać. Wziąłem ów wielki klucz oddany mi przez W oj tkiewiczową, otworzyłem nim drzwi żelazne i znalazłem się w lamusie, półcieninym, pełnym stęchlizny. Przedewszystkiem postanowiłem wpuścić tu trochę światła i powietrza, pchnąłem więc okiennicę jedną i drugą. Otwarły się z łatwością. Szyb w oknach nie było, tylko kraty żelazne, grube, rdzą pokryte.

Cały lamus napełnił się dzienną jasnością.

Nie było w nim nic, prócz starego żelaztwa, łańcuchów, rzemieni... Na kolkach w ściany wbitych wisiało kiika staroświeckich siodeł, w kącie leżała baryłka grubemi żelaznymi obręczami okuta. Nie zwracałem uwagi na tę starzyznę, gdyż głównie zajmowała mnie trumna. Stała na samym środku lamusa, na dwóch stoikach drewnianych, długa, szeroka, widocznie na mężczyznę wysokiego wzrostu robiona. Przypatrzyłem się bliżej, na wieku oprócz krzyża były jakieś napisy, a właściwie jeden napis zmieniany i poprawiany kilkakrotnie. Poprawki dotyczyły tylko imienia właściciela trumny, nazwisko i wyrazy łacińskie „obiit A. D,..u pozostały bez

zmiany. Pierwiastkowy napis brzmiał: n Lanrentius Gozdawa obiit A. D... Widocznie więc trumna sporządzona była i przeznaczona dla niego. Następnie, inną już ręką wyraz LaatMntiut przekreślony był, a nad nim napisano Petrus, i znowu inna jakaś ręka przekreśliła Petrus, a natomiast napisała Joannes... To ostatnie imię pozostało nietknięte. Lawentius, Petrus, Joannes... Domyślałem się, że Joannes był to Jan po którym odziedziczyłem Pustelnię, ale co zaszli tamci, którzy się do owej trumny cisnęli i docisnąć się nie mogli?

— Może mi na to wewnątrz trumny odpowie. Z poszanowaniem, a nawet nie bez pewnej bojaźni, podniosłem wieko. Wewnątrz trumna była pusta, gładko wylieblowana, bez obicia i bez poduszek. Na samym środku na dnie leżała ogromna koperta z szarego grubego papieru, otwierana widać kilkakrotnie, gdyż nosiła na sobie ślady dawniejszych rozłamanych pieczęci. Ostatnia pieczęć była nienaruszona.

Wziąłem papiery do ręki zamknąłem wieko trumienne, drzwi od lamusa—i udałem się do izby wielkiej, w której poprzedniego dnia z Jojną rozmawiałem. Tam znalazłem pewne zmiany, niewiadomo kiedy i przez kogo zrobione. Przy samym oknie ustawiony był stół pokryty grubym sukniem zielonym, a na stole znajdował się staroświecki kałamarz drewniany z piaseczniczką, pęk piór, oraz zwój papierów i ta skrzyneczka z pięćdziesięciu, którą mi Wojtkiewiczowa

wczoraj doręczyła. Obok kałamarza znowuż bukietek lewkonij, tak jak w tamtej izbie przy łóżku...

Któż tutaj ciągle językiem kwiatów przemawia, kto daje poznać, że oprócz zbutwiałych szpargałów i trumny jest młodość i życie w tej Pustelni nieszczęsnej!?!...

Kto się w stare szpargały wczytuje, ten jakoby do krainy zmarłych zstępował i z duchami ojców rozmawia! ?le mówię rozmawiał... jakoby opowiadania ich słuchał. Silne ongi ramiona rozsypały się dawno w proch, duchy ofiarne i mężów rozplynęły się w nieskończoności niepojętej i tylko myśl zaklęta w marny wiotki papier, przeżyła o wiele głowę, z której wyszła i rękę co ją drobnymi wyraziła znaczkami.

Otworzyłem wielką kopertę i zdawało mi się, że do mogił katakumb zeszedł, że z wielkiego cmentarzyska wychodzą postacie krwiami i duchem pokrewne, że pousiadały na cmentarnych głazach, na zwaliskach i rozpoczęły spowiedź swego dawno zapomnianego życia...

Pierwszy zeszyt opowiada; „Dzieje zacnego rodu Gozdawów”. Opowiada je drobniaczko ze szczegółami i szczegółikami takimi, które ani z rodem, ani z domu zacnością żadnego związku nie mają. Bohaterskie czyny obok gospodarskich notatek, historia rządzących i koni obok historii tu

dzi... koligacje, małżeństwa, sprawy, procesa, zajazdy, wyprawy, sejmiki... Powtarzać tego ani przepisywać nic będę, boć foliant nic zawierał nic więcej, prócz historii rodu jakich było tysiące. Ród ten z prądem czasu szedł i prądowi temu łatwo unosić się dawał—zapalny, ofiarny aż do poświęceń, to znowu samolubny i drobiazgowy; ot ród zwyczajnie, z cnotami i wadami, z niepokalaną jasnością... ale nie bez plamek także.

Przeczytałem foliant cały, westchnąłem za spokój umarłych i wziąłem się do dalszego przeglądania papierów. Plik, który wpadł mi z kolei do ręki wyłącznie spraw majątkowych dotyczył. Przerzuciłem szybko różne akta, nadania, umowy, wyroki—nie wczytywałem się w szczegóły, bo i cóż mi z nich?... Prócz Pustelni, z majątku znacznie, większego niegdyś nic nie zostało, a do posiadania Pustelni tytuł mam jasny, niezaprzeczony i nie spodziewam się, żeby mi kiedy zakwestyonował go ktokolwiek. Pozostawiłem tedy wszelkie dowody majątkowe na czas dalszy, związałem je starannie; niech tamci, którzy po mnie do Pustelni przyjdą oglądają je jeżeli zechcą.

Oparłem głowę na dłoniach i zamysliłem się;—ani dzieje rodu zanego, ani dowody odnoszące się do spraw majątkowych nie nauczyły mnie nic o tajemniczej trumnie, nie powiedziały po co ona stoi w lamusie, dlaczego napisane było na niej pierwiast

kowo Laure. ntiutt później Pchna, wreszcie Munnes... Któż mi rozwikła tę zagadkę.i... Chyba Wojtkiewiczów zapytam, albo starego Szymona, albo wreszcie żyda Jojny... Przecież choć jedno z tych trojga ludzi — dziada mojego pamiętających— musi o tem coś wiedzieć...

Zebrałem owe szpargały i chciałem je włożyć w kopertę napowrót, gdy spostrzegłem, że w tejsze kopercie złożony we czworo znajduje się jeszcze arkusz żółtego papieru.

W nim znalazłem rozwiązanie zagadki.

TJ góry arkusza, dużymi bardzo kształtnymi literami napisane były te słowa: „Ja Wawrzyniec Gozdawa z Pustelni, na potrzebę pospolite wychodząc, zkađ moc Boska i wola może mnie zdrowym powrócić, albo i nie powrócić, to synowi memu przykazuję: że jeżeli wyroki Przedwiecznego dadzą mi kiedy żywym i zdrowym pod strzechę własną się dostać i pod nią żywota dokonać—izby tedy przerwany syn Piotr, grzeszne ciało moje w trumnie dębowej, w lamusie stojącej, pogrzebać kazał. Gdybym zaś gdzieindziej głowę złożył, niech syn mój Piotr trumnę takową dla siebie zachowai. Pod temi kilkoma wierszami był krótki dopisek Piotra, skreślony jakby w pośpiechu, literami dr.dmemi, nieczytelnie.

„P. S. Podobało się Najwyższemu, że rodzic mój Wawrzyniec chwalebłą śmiercią zginął. Opuszcza

jac progi domowe, a nie wiedząc azali je kiedykolwiek o baczę, synowi memu Janowi trumnę ojcowską przekazuję, i albo ja w niej legnę za powrotem, albo i gdy nie powrócę, syn mój Jan". Ostatni przypisek zrobił Jan. Ten z rezygnacją

jak widać, ale i z zalem opuszcza! domowe progi. Ciągnęła go do nich nadzieja szczęścia, które się nigdy ziścić nie miało.

Widocznie długo się nad zredagowaniem przypiska namyślał, bo kilka wierszy przekreślił i znów zaczyna!, i znów mazał, aż dał folgę uczuciom swoim w niezbyt zgrabnym, lecz rzewnym wierszyku:

Tui rią konie osiodłane, już pobudkę grają, Matki synów, a kochanki kochanków żegnają... Czy polegnę w tej wyprawie, czy mnie miną kule. Imię moje, Andziu droga, zawsze wspomnij czule! A gdy przyjdzie kto i powie: „zginął Jaś serdeczny”, Zmów za niego, Andziu droga: „odpoczynek wieczny”.

Pod tą strofką było zuowuż kilka wierszy przekreślonych, a po nich następowały te słowa:

„Kto weźmie po mnie ojcowskie dziedzictwo nie wiem—ale błogosławię mu i życzę niech będzie szczęśliwy i niech dożyje lat późnych, a po najdłuższem życiu niech zabierze ze sobą tę nieszczęsną trumnę na cmentarz”.

Oto i cały dokument.

Boże! toż przez trzy pokolenia trumna czekała

i czekała i doczekać się mieszkańca swego nie mogła... Nieszczęsna trumna!... biedne pokolenia!... Wstałem od stołu, przeszedłem się kilkakrotnie po wielkiej izbie, myśląc nad owem fatum szególnem, które nad rodem Gozdawów zawisło .. a czyż nad tym jednym tylko?!... Gdym tak dumał, drzwi otworzyły się cicho i stanęła przedemną Wojtkiewiczowa, ubrana jak wczoraj w białym czepcu i czarnej chustce na ramionach. Nie przywitała mnie ani słowem, nie rzekła „dzień dobry”, nie spytała jak pierwszą noc pod własnym przepędziłem dachem, tylko utkwiała we mnie wzrok pytający, badawczy, surowy i zapytała:

— No cóż?

Jednej chwili powziąłem postanowienie i, podniósłszy rękę do góry, rzekłem:

— Sukcesyę po Janie Gozdowie biorę dla siebie...

W oczach starej kobiety błysnęły łzy rozrzewnienia, objęła kościstymi rękami moją głowę, pe całowała w czoło i rzekła na wpół z płaczem.

— Nareszcie!!

Po południu wyszedłem w pole z Szymonem. Nie wiem z jakiej przyczyny ponury i mrukowaty ten chłop rozjaśniał czoło i stał się rozmownym... Szliśmy miedzami; żyto już żęli, pszenica złociła się, a jęczmieniowi, gdzie wcześniej siany, płowieć

zaczynały wąsiska. Chłup pukazywał mi pula do mnie nalożące i dogadywał wciąż:

— Tu panie grunt dobry, a tu krzynkę gorszy, tu woziliśmy gnój przed dwoma laty, tu zaś po pszeniczysku kartofle posadziłem.

— Więc to wy, mój Szymonie — spytałem — gospodarstwo tu prowadzicie?

— A dyć.

— Sami?

— Głowa moja jedna starczy, ale rąców dwie za mało; parobków nic ma... ani czeladzi... a choć Pustelnia sama w sobie Pustelnia...

— Jak to rozumieć, sama w sobie?

— Ano, tak rozumieć, jak się powiada: folwark jest sam w sobie, przeze wsi, chłopów nic ma, dla tego o ludzi bajki. Przyjdą z życzliwością, za niewielką zapłatę, a robią dobrze i przypędzać nie trzeba,.. Ja tu panie od maleńkości; chciałem było za panowym dziadkiem w świat iść, ale przykazał, żebym przy ojcu ostał, bo ojciec letni już był i na księżą oborę patrzył... Tedy panowy dziadek to słowo rzeki: „Szymonie, ty tu siedzieć masz, a jak ojciec twój oczy zamknie, to już cała Pustelnia na twojej głowie będzie"... Jako też z woli Boga miłosiernego do tej pory i była... Orało się, zbierało, młóciło, jak Bóg przykazał... Cztery lata siedziałem fu sam i żyd siedział w drugim czworaku... ni

by Jojna, setnie stare żydziskn, on i sam zrachować nie potrafi siła ma lat...

— A cóż sio po czterech latach stało?

— Po czterech latach przyjechała pani Wojtkie" wieżowa i zabrała wszystko w swoje ręce.

— A wy?

— Ja jaki byłem taki jestem. Miała pisanie od pana, żeby jej wszystko do reki oddawać, tom wzion każdą rzecz i oddał... I lepiej, ona kobieta mądra, piśmienna, a ja chłop, mnie do sochy podobniej, niż do tych ta rachunków, com zawdy po kilka kijów od końca do końca niemi nakarbował; i to przez Jójny pomocy nie mógłbym się dorachować... Podobuo pani dosyłała panu dziedzicowi za granicę pieniędzy, bo tam między obcym narodem o chleb trudno, a powiadaia, że jenszy miemiec to jeno same kartotiiska z osypką jada...

— Kto wam to powiedział?

— A juści, niby ja niewiem? Przyjeżdżały tu łońskiego roku dwa miemce, co chcieli młyn po Michale kupować, to właśnie takie były spaśne, rozbuchane, brzuchate, że inszy karmnik po grochu taki nie jest... Im kuźda rzecz podobna, bo nawet mowy ludzkiej nie znają, jeno tak rzechotali między sobą paskudnie, że i nie każdy żyd rozumiał... A może teraz łąkę pan obaczy, pastwisko..

Poszliśmy dalej.

Na łąkach kilka stogów siana stało, a dalej na

pastwisku bydelko utrzymane ładnie, skubało gęstą trawę.

— Oto dobytek pański — mówił Szymon — krowy niczego i jałowizną też. Woliska i konie w robocie, jako wielmożny pan widział, a żrebaków jest étyry całej obrady, to mają zagrodzony okólnik za stodołą, tam się pasą... Rozmawiając z .Szymonem doszliśmy do lasu.

— Może zechce pan obaczyć? — spytał chłop — niewiele lasu jest ale ładny, a jeżeli pan do strzelby nauczny, to tu zwierzyny jakiej chcąc zdybie. On nasz las do książęcych borów ma przytknięcie, zwierz przychodzi, a że tak tu jak i tu nie ma go komu straszyć, to się i chowa.

— Podobno tu sa jakieś straszne miejsca w lesię? — spytałem.

Chłop się rozśmiał.

— Et podobno są; ludzie coś plotą, ale ja nic widziałem na swoje oczy ni razu.. a zreść, choćby co i przeszkadzało, to już tera prawa nie ma.

— Dlaczego?

— Bo założenie takie podobnoć je, że dopóki w Pustelni gospodarza nie będzie, dopóty ono ma przeszkadzać.

— Któż wam to mówił?

— Ot kto mówił! Zaś gadali, powiadali i tyło... ale skoro Bogu dziękować gospodarz się zdybał, to nie będą mieli co powiadać i przestaną...

Szymon woale nie zapytywał mnie o swoje lata, nie ciekawy był wiedzieć, czy go zatrzymam, czy nie... Gdy wspomniałem mu, że go z chęcią wielką i nadal przy gospodarstwie widzieć będę, a pracę jego wynagrodzę odpowiednio, spojrział na mnie z podziwieniem najwyższym i rzekł:

— Nie była Pustelnia przez Szymona i Szymon przez Pustelni też nie będzie...

Głód mi dokuczał.

Powróciwszy z obchodu gospodarstwa, przedeptawszy co najmniej zc dwie mile drogi, po polach i łąkach, czułem, że mam wilczy apetyt. Na progu dworku spotkałem jakąś kręłą dziewczynę,

— Moje dziecko — rzekłem — czyś tutejsza? Rozśmiała się, wyszczerzywszy przytem dwa rzędy, dużych białych zębów. Wzruszyła ramiouami i rzekła:

— A dyć wielmożny pan tez... niby dziedzic, a Magdy nic zna...

— Teraz, gdy mi powiedziałaś kto jesteś, już cię znam i wiem żeś Magdusia.

— Juści, że nie pies...

— Co też mówisz!... mam do ciebie prośbę.

— Nie wójt ja, żeby do mnie z prośbami chodzili. Co pan chcą, to powiedzieć — i skutek.

— Pójdźżc do pani Wojtkiewiczowej i poproś jej grzecznie odemnie, żeby była łaskawa tu pofatygować się do iunie.

— Ii, ja ta nie potrafię tak gadać, powiem jeuo: nieeh pani leci duchem do dziedzica i ju!

Chciałem jej wytłómaczyć;, że ja pawi Wojtkiewiczowej rozkazywać nie śmiem i nie mam prawa, aJe zanim się zdobyłem na słowo, Magda była już w ogrodzie.

Po chwili do owej wielkiej izby, w której odczytywałem papiery po dziadku, weszła pani Barbara, ale ubrana jakoś inaczej, weselsza i uśmiechnięta. Miała znacznie mniejszy czepiec na głowie, zamiast czarnej chustki popielaty kaftanik. Spojrzałem na nią i spostrzegłem, że niejest tak stara, jak mi się na pierwszy rzut oka zdawało. Wprawdzie czoło jej było zmarszczkami pokryte, włosy popruszoue gesto szronem siwizny, ale w oczach było tyle życia, energii i siły, że trudno było przypuszczać, aby ta kobieta więcej nad jakie pięćdziesiąt lat życia liczyć mogła.

— Pani dobrodziejko — zawołałem bez żadnych wstępów — kuzynko, czy jak się pani nazwać rozkażesz, jestem tak głodny, że gotówbym gryźć kamienie.

Eozśmiała się.

— Znajdziemy coś lepszego i nie tak szkodliwego na zęby, bo ja przewidziałam pański apetyt,

widząc że wychodzisz w pole z Szymonem, Nie braknie w Pustelni kurcząt, ani śmietany, a do wypicia znajdzie się coś także... jest startka i miód do* bry ze swojej pasieczki. Nie gospodarowaliśmy tu źle... W ogrodzie jest altanka chmielowa, w niej stół nakryty oczekuje na pana.

— Biegnę tam natychmiast...

— Poczekaj pan, nie znudzę... jedno tylko słówko.

— Słucham pani.

— Uregulujmy nasz stosunek,iedzmy kim odtąd mamy być dla siebie.

— Ależ to moje pragnienie,

— Tem lepiej... Wczoraj, gdym panu oddała to czego przez długie lata strzegłam, powiedziałam, że od dziś Pustelnie opuszczę.

— Dla czego?

— Czekaj pan... Musiałam tak powiedzieć... Nie wiedziałam jak postąpisz... Gdybyś postanowił nie mieszkać tu, odjechać napowrót do Warszawy, nic zostałabym dłużej ani jednej godziny... teraz wszelako myślę inaczej, a kwestya wyjazdu mego, lub pozostania tutaj, wyłącznie już od pana zależy.

— Czyż może się pani o to pytać!

— A więc pozostaję... ale jeszcze słowo, a raczej dwa słowa: pierwsze, jestem pańską cioteczną ciotką, zechcesz mnie nazywać ciotką Barbarą.

— Z całą przyjemnością, droga ciciu.

— To dobrze... a ja będę ei mówiła odtąd: Leonardzie.

— Prześlicznie.

— Jeszcze jedno... Zatrzymując mnie, zatrzymujesz w Pustelni jeszcze jedną osobę, dla której opiekunką jestem. Nic jada ona wiele, a pracuje chętnie i dużo. Jest to moja kuzynka, młoda dziewczyna, sierota.

— Ach! ta co tak ślicznie śpiewa! — zawołałem.

— Jużś ją wypatrzył?!

— Wysłuchałem ją raczej. Usłyszawszy śpiew, pomyślałem, że taki głos piękny może mieć tylko młoda i bardzo ładna osoba.

— Młoda jest... a co do ładności... zobaczysz ją zaraz. Chodźmy, bo nie chcę cię morzyć dłużej głodem, mój kochany dziedzicu.

Altana była duża, niezdarnie sklecona z lat sosnowych, ukośnie między słupami przybitych. Arcydzieło to skleił własnoręcznie Szymon, dla uciechy panienki, a panienka znów dla uciechy całego domu obsadziła ją chmielem; że zaś grunt w tem miejscu był bardzo żyzny, a panienka miała do sadzenia szczęśliwą rękę, więc chmiel się przyjął doskonale

i porozkłada! się na łąkach, festonami zieleni przykrywając ich chropowatość i krzywość. Pod zieloncem chłodnym sklepieniem altany mogło się pomieścić wygodnie z piętnaście osób. Gdyśmy tam z ciotką Barbarą weszli, zastaliśmy tylko jedną... na widok której stanąłem jak wryty. Kieopisały wdzięk prostoty i urok młodości łączyły się w tej dziewczynie. Mogła mieć może szesnaście, może siedemnaście lat dopiero; średniego wzrostu, szczupła, kształtna, z oczami pełnymi blasków i życia, z brzoskwińowym puszkim młodości na rumianej twarzyczce, z grubymi warkoczami, czarnymi, które wolno puszczone spadały na jej ramiona, wydała mi się niezwykle piękną. Skłoniłem się jej z pewnego rodzaju zakłopotaniem, nie wiedząc jak ją przywitać, jak nazwać — a i jej twarzyczka, opalona trochę od słońca, pokryła się żywym rumieńcem. Ciotka Barbara pośpieszyła, aby nas wyprowadzić z kłopotu.

— Leonardzie — rzekła — przedstawiam ci wychowanicę moją i kuzynkę Helenę Zakrzewską, Jest to sierota; od dziecka chowa się przy mnie... Dużoby trzeba opowiadać o stosunku rodzinnym jaki mnie z nią łączy. Powiem ci to przy sposobności... a teraz proszę do stołu. Skarżyłeś się, że jesteś głodny... Helenko pamiętaj o swoim sąsiedzie.

— Skoro panna Helena — rzekłem — jest skuzynowana z ciotką, a zatem i ze mną.

— No, nie bardzo... Jest wprawdzie powinowactwo, ale dalekie.

— Szkoda — odezwał się — jako jednak nie miałem rodzeństwa, byłbym więc bardzo szczęśliwy, gdybym znalazł siostrzyczkę.

Dziewcze zarumieniło się jeszcze bardziej, a ja oczu od niej oderwać nie mogłem. Ow apetyt wilczy, który przed chwilą tak mi się dawał we znaki, zniknął; ledwie dotykałem potraw, które ciotka Barbara częstowała mnie ciągle. Byłem milczący i onieśmielony. Ciotka, jak się potniej dowiedziałem od niej samój, przypisywała to doznany w ciągu ubiegłej nocy i dnia dzisiejszego wrażeniom. Zdawało jej się, że żałować zacząłem powziętego postanowienia, że przerażała mnie myśl pozostania na zawsze w tej Pustelni, w sąsiedztwie owój smutnej sukcesji po Gozdawach, owój wielkiej trumny, co przez trzy pokolenia mieszkańca się nie mogła doczekać.

— Proszę cię Leonardzie, jedz — zachęcała ciotka — bądź łaskaw; jeszcze nie odpocząłeś dobrze po podróży, a dziś obszedłeś całe gospodarstwo, sfatygowaleś się, zmęczyłeś, więc potrzebujesz posiłku.

— Juzem głód zaspokoił — rzekłem.

— No, jeżeli zawsze tak jadasz, to dziw do

prawdy jakim sposobem wychowałeś się i wyrosłeś na takiego mężczyznę,... A może tak z tęsknoty za wielkim miastem straciłeś apetyt.

— Czy panu bardzo żal Warszawy?—spytała Helenka, zwracając na mnie swoje piękne oczy.

— Nie...

— Ale nieraz będzie pan o niej myślał.

— Myśleć, to nie znaczy żałować. Naturalnie, że wspomnę ją i często, pozostawiłem tam bowiem dużo znajomych, kolegów, przyjaciół. Spędziłem tyle lat...

— Czy szczęśliwych?

— To względne... ale w każdym razie spokojnych; dzień schodził zwykle szybko przy zajęciu, a wieczorem do teatru się szło, lub znajomych. W święto, jak latem, wyjeżdżało się czasem za miasto na spacer, w ogóle czas się nic dłużył, dnie za dniami mijały, że ani się obejrzeć jak rok przeszedł, a za nim drugi, trzeci, dziesiąty.

— Mówią, że Warszawa bardzo duże miasto?

— Pani nie zna?—spytałem,

— Nie, nic byłem tam nigdy, ale zdaje mi się, że zawsze na wsi chyba piękniej i lepiej.

— Dla czego?

— Nie wiem, ale tak przypuszczam... Na wsi wszyscy znajomi, wszyscy swoi, a tam obcy; na wsi przestrou i swobodnie, tam ciasuo; tu mamy las, łąkę, pola, ogród, rzekę, jezioro, a tam fylko zimne

mury. Jabym się bała tam mieszkać, woię w Pusteloi.

— Tu paui dobrze?

— Bardzo dobrze, nie umiem nawet opowiedzieć jak dobrze. Ciocia pocziwa kocka mnie, a choć się czasem rozniewa, to jednak nie jest zawzięta, da się przebłagać.

To mówiąc njęła pomarszczoną rękę ciotki Barbary i ucałowała ją serdecznie.

— Zapomniałam ci powiedzieć Leonardzie — rzekła pani Barbaraze Helenka jest tu ogrodnikiem.

— Nie mam się z czym pochwalić, ciociu...

— Jednak ogród utrzymany czyściutko, są w nim kwiaty, owoce, warzywa. Ja się w to nie wdaję, pomoc dam do roboty, a reszta na głowie Helenki. Może zechcesz zobaczyć ogród Leonardzie, pójdź z Helenką.

— Doprawdy, nie ma tam nic godnego widzenia—tłómaczyła się piękna ogrodniczka.

— Proszę pani—odezwałem się—odkąd mnie losy rzuciły do Pustelni, to wszystko co w niej jest musi być dla mnie godnym widzenia, jeżeli zatem zechce pani być moją przewodniczką...

— Służę panu — rzekła — ale uprzedzam, że się pan rozczaruje.

— To zobaczymy.

— Idźcie już idźcie—rzekła ciotka Barbara— głosem widocznie do rozkazywania przywykłym, bo

jak się zacznie ceremonio wać i certować, słońce tymczasem zajdzie i Leonard ogrodu nie zobaczy. Poszliśmy. Nie był to wcale osobliwy ogród, a i dziś nic szczególnego w nim nie ma, chociaż i ja dużo w niego pracy włożyłem,— ot, zwyczajny ogródek wioskowy. Drzew dużo, szkółka, gęste krzaki agresti!, porzeczek, malin mnóstwo pod parkanami, a dalej grządki warzywa. Kilkanaście krzaczków róż, rabatki rezedy i mnóstwo pospolitych kwiatów: lewkonij, goździków, żółtej i czerwonej nas turcyi, kilkanaście georgiń przy palikach, piwonij czerwonych, astrów moc — słowem najpospolitszy w świecie ogródek. Dla mnie wszelako wydał mi się wtedy niezwykle pięknym i uroczym... Słuchałem opowiadania Helenki o zającach, które w zimie w szkółce spustoszenia wielkie pomiędzy szczepami zrobiły, o chrabąszczach niezwykle licznych na wiosnę, o wilgach żółtych, ładnie śpiewających ptaszkach, które wciąż przylatują z lasu i objadają najpiękniejsze wiśnie... Biedna ogrodniczka tyle miała kłopotów, tylu nieprzyjaciół i szkodników! Dowiedziałem się przy tej sposobności, że w Pustelni są bezczelne wróble, które wcale nic sobie nie robią ze strachów; że w parkanie brakuje kilka desek, a Szymon, chociaż ciągle obiecuje temu zaradzić, jednak ani myśli słowa dotrzymać. Dowiedziałem się także, że kapuście grozi poważne niebezpieczeństwo,

gdyż z powodu suchego lata liszek jest bardzo dużo i trudno z nimi wojować. Dowiedziałem się wre szczie, że w nocy ogród jest strzeżony przez dwa bardzo porządne i mądre psiska, które przy tej sposobności zostały mi zaraz przedstawione. Wreszcie musiałem skosztować malin, które nie były zwyczajne, takie jak wszystkie maliny na świecie, ale nabyte od ogrodnika z dóbr książęcych i przyjęły się ślicznie.

słuchając szczebiotania mojej towarzyszki, doznawałem dziwnie przyjemnego wrażenia; zdawało mi się, że zostałem przeniesiony do świata innego, w jakieś czasy patryarchalne, pełne naiwnej prostoty. Gdyśmy powracali do domu, byliśmy już z sobą na stopie przyjaźni, tak jakbyśmy się znali od dzieciństwa. Powiedziałem jej, że ma głos prześliczny, że wczoraj słyszałem jej śpiew; powiedziałem, że bardzo lubię lewkonię i goździki—i wreszcie ułożyliśmy, że nazajutrz pójdziemy zwiedzić pasiekę, na co Helenka miała wyjednać dla siebie specjalne zezwolenie cioci... Gdy wieczorem znalazłem się w izbie, która odtąd miała sypialnię moją stanowić, pomimo znużenia, nie udałem się na spoczynek, lecz zasiadłem do pisania i do godziny bardzo późnej nie wypuszczałem pióra z ręki. O spaniu pomyślałem wówczas dopiero, gdy już na stole leżał gotowy i zapieczętowany pakiet, zawierający w sobie podanie do mojej władzy o uwolnię

nic mnie ze służby, z powodu interesów familijnych, oraz listy do kolegów i przyjaciół z którymi bliżej żyłem, donosząc im o mojem niezłoranem postanowieniu pozostania aż do śmierci w Pustelni. Pilno mi było zerwać wszystkie więzy łączące mnie z dotychczasowem otoczeniem i rozpocząć zupełnie nowe życie.

Nazajutrz, kolo południa, kazałem przywołać starego Jojnc. Przyszedł niebawem, stanął przy drzwiach i swoim zwyczajem, w milczeniu gładził siwą brodę, oczekując czego od niego zażądani.

— Pojedziecie Jojna—rzekłem—do miasteczka, w którym jest poczta.

— Wiera...

— I wyprawicie te papiery. Duży pakiet oddacie za kwitem, mniejsze listy bez.

Jojna wziął pakiet do reki, przytknął do samych oczu prawic, przeczytał adres i uśmiechnął się.

— Ja wiem co tu jest w środku—rzekł—miarkuję...

— Naprzykład?

— Tu jest pisanie do wysokiego urzędu... a w tem pisaniu stoi, jako wielmożny pan, przyjechawszy do swoich majątnościów, zobaczył, że tu Bogu dziękować, aby zdrowie było, chleb jest, że pan sobie upodobał Pustelnię i bez to dziękuje za swój urząd i tu I nami zostanie.

— Bardzo z was domyślny człowiek.

— Ja nic więcej nie robię, tylko myślę, a przez to, że ciągle myślę, to się czasem czego domyśle... Powinszować wielmożnemu panu...

— Czego?

— Szczęścia. Pan teraz jest na nowym miejscu, a u nas powiadają: że nowe miejsce, nowe szczęście. Tyle lat Pustelnia była bez dziedzica, teraz będzie z dziedzicem. Tu się wszystko robiło na wywrót. U nas stoi, że żydzi ezerdziesięci lat czekali na ziemię... tu się stało, że ziemia dłużej musiała czekać na dziedzica. Teraz gospodarz jest już, więc aby siedział i cierpliwy był, to się wszystko na lepsze obróci...

— Dla czego cierpliwy?

— Bo cierpliwość, to jest wielka rzecz... Nasze mądre rabiny oszacowali, że cierpliwość jest warta czterysta „zuzów”, czterysta pieniędzy... i oni powiedzieli prawdę, bo oni zawsze prawdę mówią... Cierpliwość jest warta dużą sumę... Przez co żydzi wyszli z Babilonu? przez to, że mieli cierpliwość. Mógłbym wielmożnemu panu dużo powiedzieć o takich interesach, ale nie powiem, bo naprzód pan sam dobrze rozumie o co chodzi, a powtóre u nas stoi w megile, że gadanie jest szacowane na jeden złoty, a niegadanie na dwa złote.

— Dla czegoż to tak?

— To jest bardzo prosty interes. Skoro kto

gada, to może powiedzieć albo co dobrego, albo co złego; a skoro kto nic nie gada, to wiadomo, że ani dobrze, ani źle nie powie, nie powie takie słowo co jest mądre, ani takie co jest w niem feler; a takie znowu słowo co ma feler to jest podobne do ptaka... Ono wyleci bardzo łatwo, ale złapać je i napowrót włożyć tam z kąd wyszło, wcale nie ma sposobu.

— Powiedzciez mi mój Jojno eo o tutejszej okolicy.

— Co pan chce wiedzieć o niej?

— Wszystko... Skoro postanowiłem tu zostać, chciałbym wiedzieć przedewszystkiem jakich mam sąsiadów?

— Gdzie pan dobrodziej widział, żeby Pustelnia miała sąsiadów?

— Przecież ktoś musi być.

— Proszę pana — rzekł Jojua brodę gładząc — ja tu siedzę tyle lat co sam zachować nie mogę i jeszcze nie widziałem, żeby kto z bliskości do Pustelni przyjechał. Kto ma przyjechać, kiedy nikogo nie ma... Pustelnia jest kawałek majątku sam w sobie, a dokoła jak pan spojrzy, wszystko wielkie dobra, pańskie dobra... Książęce majątki na parę mil się ciągną, hrabiowskie dobra też ogromne, a Pustelnia między niemi w środku... jak Pustelnia. Ja miarkuję, że ona się przez to tak nazywa... ale niech się wielmożny pan nie martwi...

— Czegóż mam się martwić?

— Niech wielmożny pan nie bierne sobie do serca tego, że tu może być smutno, bo tu wcale smutno nie będzie, aby zdrowie było... Ładny kawałek gruntu, ładne gospodarstwo, chleb, Bogu dziękować był, jest i będzie... Tu się zawsze śliczne zboże rodzi, jak złoto zboże, a po miasteczkach żydków nie braknie. Przyjdą sami, dobre pieniądze dadzą i jeszcze się nisko pokłonią. Jabym życzył, żeby wielmożny pan pojechał sam trochę do miasteczka.

— Po co?

— Naszych kupców poznać. Co to panu szkodzi?

— Na to mam przecię dość czasu.

— I to jest prawda. Jak kto ma majątek obdłużony, jak potrzebuje sprzedać co, albo pieniędzy pożyczyć, to musi zaraz kupców poznać. Pan dobrodziej, Bogu dziękować może czekać, aż oni sami przyjdą z pokłonem.

— Czy Jójna uważa, że Pustelnia tak dobrze stoi?...

— Żebym ja tak szczęśliwy był! Ja przecież najlepiej tutejsze interesa znam... Długu nie ma ani grosza, pewnie i gotówki trochę pani Wojtkiewiczowa zebrała, a w folwarku Bogu dzięki nie brak nic. I w spichrzu jeszcze zboże jest i na łąkach zeszłoroczne stogi. Czego tu brak? Dziedzica tylko było brak, ale teraz kiedy dziedzic jest, to

już nic nie brak. Pan nie pożałuje tego, że się między nami pozostał.

— Więc sąsiedztw żadnych nie ma?

— Nie ma, nie ma, wielmożny panie... Po prawdzie w tych wielkich dobrach, co i Pustelnią graniczą ludzi nie brak, są plenipotenty, rządcy, kasyery, ale oni swoim dworem żyją, między sobą kompanię trzymają.

— Dla czego?

— Jakto dla czego?... oni wszyscy Niemcy są. Poprzyjeżdżali z daleka, bardzo z daleka, z zagra niey, albo ja wiem z kąd?...

— To nie dobrze...

— Wiadomo że nie dobrze... Wielmożny pan lubiłby z kim kompanię trzymać, a tu nie ma z kim... ale co ja gadam! Jest, jest! no, że mi to od razu do głowy nic przyszło, ale ja myślałem, że pan pyta o obywateli, o szlachtę.

— Niekoniecznie.

— No, to tu w miasteczku, niedaleko, jest jeden człowiek co się wielmożnemu pana bardzo spodoba.

— Któż to?

— Nie duża osoba... całkiem doktor... ale jaki doktor! aj, waj! jaki on doktor! Nie potrzeba i w Warszawie lepszego szukać.

— Młody człowiek?

— Nie młody, wielmożny panie, i nie stary też. Tak sobie, trochę szpakowaty... nazywa się Kaliński, wielki doktor, uczony człowiek! Jak raz, w Ie

cie, był w swoim majątku sam księżę i zachorował, to chcieli aż do Warszawy rozstawne konie po doktorów posyłać, ale że tymczasem był wielki gwałt, więc poprosili Kalińskiego... Nu, co wielmożny pan powie? On przyszedł, tego księcia obejrzał i powiedział, że nic potrzeba rozstawnych koni posyłać, ani doktorów zwozić, że za trzy dui to księżę będzie całkiem zdrow... I tak się stało... On wtenczas duże pieniądze za to dostał... ale myśli pan, że o pieniądze dba! wcale nie dba! Taki dziwny człowiek jest.. On powiada, że człowiekowi pieniądze wcale niepotrzebne.

— A ma żonę? dzieci?

— Także nie ma. Powiada, że doktor z żoną nie wart pół tego co doktor bez żony. Ma taką swoją kombinację w głowie!

— Może to i racya.

— Hm, proszę pana, po doktorsku to jest trochę racya, bo doktor ma do czynienia z różnymi słabościami, może też sam zachorować, może broń Boże umrzeć... no i co wtenczas zjegożoną? co z dziećmi? ale po naszymu, według naszej kombinacji, wcale niejest racya. Naprzód, człowiek bez żony i bez dzieci to nic może być rachowany za całego człowieka... po drugie, takim ludziom Pan Bóg nie błogosławi, po trzecie, każdy człowiek ma swoje szczęście, a taki wcale nie ma szczęścia,.. Nie potrzebuję pauu dużo opowiadać, ale dość, że ten do

któr jest dziwny człowiek, a podobno i bardzo uczony człowiek... Pan dobrodziej może mieć z niego kompanię.

— Postaram się go poznać .. ale skoro w miasteczku doktor jest, to musi być i aptekarz i ksiądz.

— Księdzów jest dwa nawet. Jeden stary, drugi młody... ale ja tu bałamucę, a mnie czas jechać... Oj, oj, dawniej, dawniej, jeszcze jak pański dziadek żył, to on też lubił czasem ze mną gadać... On miał ode mnie każdą nowinę, ale wtenczas ja byłem młody, ciekawy, jeździłem dużo po miastach, po jarmarkach, kręciłem się pomiędzy ludźmi, zawsze miałem co do powiedzenia... Teraz zestarzałem się, siedzę na miejscu, a powtóre, przez te lata co dziedzica nie było, komu miałem nowiny przynosić? Pani Wojtkiewiczowa nie bardzo ciekawa co się na świecie dzieje, a Szymon... wiadomo, Szymon chłop jest, prosty człowiek, nie rozumię się na delikatniejszych interesach.. No, teraz Bogu dzięki, pau jest, to ja jeszcze puszcę swoje stare kości w ruch, jeszcze będę tu różne nowiny przynosi!.. Aj, aj, pan dobrodziej się śmieje! Ja wiem, u państwa to się nazywa pantoflowa poczta. No, ale co to szkodzi? Czy ona jest pantoflowa, czy wozowa, to wszystko jedno, aby pan tylko wiedział co się na świecie dzieje.

Podziękowałem staremu żydowi za obietnice i zapewniwszy go, że pantoflową pocztą nie pogar

dzam i wiadomości ze świata jestem bardzo ciekawy zaleciłem mu pośpiech.

Gdym wyrzawszy przez okno, zobaczył Jojnę wyjeżdżającego za bramę, dziwnie mi się jakoś na sercu zrobiło, ale stało się... zerwałem zupełnie i stanowczo z dotychczasowym moim światem, wyrzekłem się go dobrowolnie, bez przymusu — i miałem rozpocząć nowe życie.

Czy lepsze ono będzie, weselsze?...

Idziemy z Helenką do pasieki. Dzień prześliczny, jasny, na niebie ani jednej chmurki. Słońce obniża się już ku zachodowi, ale jeszcze dnia kawał przed nami. Wybraliśmy się wcześniej, bo do pasieki kawałek drogi i ciotka Wnjkiewiczowa prosiła, żebyśmy przed zachodem słońca wrócili, bo z kolacją oczekiwać nas będzie... A my słuchamy zawsze ciotki — my, to jest ja i Helenka, słuchamy jak dobre dzieci. Ciotka względem mnie przybrała ton macierzyński, daje mi różne rady i traktuje zupełnie jakby swego syna... Nie gniewam się o to, kobieta zacna, ze złotych sercem, otacza mnie taką troskliwością i opieką, jakiej nigdy w życiu nic zaznałem... Mówi mi po imieniu, jakby od dziecka nic nazywaią mnie inaczej. Idziemy do pasieki.

Dróżka, a raczej ścieżka do niej prowadzi, między dojrzewającymi ścianami żyta, potem ciągnie się, jak szare pasemko wśród iak, a wreszcie ginie nad rzeką, w gaju, wśród którego dostrzedz można jakiś budynek.

Dziwnie pachnie i zboże i łąka i ów gaj, co się zdaleka przed nami rysuje.

— Dalekoż to jeszcze? — pytam.

— Czy się pan już zmęczył?

— Nie, alem ciekawy.

— Gdyby można było pójść prosto, byłoby bardzo bliźutko, ale rzeka ma takie skręty szczególne, a po łące mnóstwo rowów, które nie wiem po co Szymon kazał pokopać, Niektóre z nich są tak szerokie, że ja nie mogę przeskoczyć.

Musimy trzymać się ścieżki, a na rowach znajdziemy kładki... Przejść można bardzo wygodnie, bez zamoczenia się... Ja tu w lecie jestem codzień.

— Codzień?!

— Czasami nawet bywam po dwa razy... bo w lecie największa robota przy pszczołach, trzeba ogromnie pilnować... chodzę więc, a wracam najczęściej inną drogą.

— Dlaczego? kiedy są takie duże rowy?

— Właśnie dla tych rowów... mają one jedną dużą zaletę.

— Rowy! jakąż zaletę mieć mogą?., chyba tę, że odprowadzą z łąk zbyteczną wodę.

— Podobno, tak przynajmniej dowodzi Szymon, aleja się w to nie mieszam, a nad rowy chodzę, po niezapominajki... Zna pan zapewne... takie kwiatki niebieskie...

— Znam doskonale.
— Tu są prześliczne, a rośnie ich tak dużo, że można rwać pełnymi garściami. Ciocia bardzo lubi te kwiaty, dla tego też pamiętam, aby przez całe lata miała je w swoim pokoju... Ach! otoż pierwsza kładka.
— Podam pani rękę...
— Nie, nic trzeba... raczej ja panu podam.
W jednej chwili była już na drugiej stronie rowu i wyciągnęła do mnie rączkę, trochę opaloną, ale małą i zgrabną. Później przepawiliśmy się przez drugą i trzecią kładkę i znaleźliśmy się w gaju.
— Któż budował te mosty?— spytałem, gdyśmy przez ostatnią kładkę przeszli.
— Któżby, jak nie Szymon... to jego wydział, a to mój— rzekła wskazując na dość wysoki parkan, z poza którego widzieć było można słomą pokrytą chatkę. Helenka otworzyła furtkę.
— Niech pan wejdzie, proszę...
— To więc jest pasieka?— spytałem.
— Tak... Szymon powiada, że istnieje tu ona od bardzo dawnych czasów i zapewne musi tak być, bo widzi pan jakie te kłody stare.

— Są i nowe jednak...
— Są; tego roku Szymon mi dwie dostarczył
— Widzę, że pani z tym Szymonem ciągle ma do czynienia.
— Bo muszę. Prawie ciągle potrzebuję jego grzeczności; palików do drzew w ogrodzie, tyczek do grochu, ulów... Ciocia mi tego nie da, więc muszę Szymona prosić.
Ale parkan w ogrodzie już naprawił.
— To nie jego zasługa, pan mu kazał, więc naprawił zaraz, a ja go prosiłam od dwóch tygodni napróżno. Chodźmy do pszczółek... Ale muszę pana przedtem zabezpieczyć, bo moje pszczółki nie są bardzo gościnne, nieznajomych kłują... Wejdźmy do tej chatki..
Weszliśmy; była to nieduża stancja z kominem. Na ścianach wisiały siatki i różne narzędzia pszczolarskie, w kącie zaś stał tapczan, na nim garść słomy zmiętej.
— Czy tu kto mieszka?— spytałem.
— Mieszka, ale tylko podczas zimy.
— Któż taki?
— Długa to historia,, może ją panu ciocia lepiej opowie...
— Ale paui zna tego mieszkańca?
— Miałabym nie zwać?!... Jest to Bartłomiej.
— To jeszcze nie wiele mnie nauczyło. Helenka rozśmiała się.

— Wszyscy go Bartłomiejem tylko nazywają... Na jesieni później przychodzi, mieszka w tej chacie i pasieki pilnuje, sieci nowe robi, albo stare naprawia, a na wiosnę bierze wielki kij w rękę, torbę płócienną na plecach i idzie znów w świat.

— Więc to żebrak?

— I tak, i nie. Tak, bo chodząc po świecie, żyje z jałmużny, a nie, bo nie chodzi umyślnie po to, żeby jałmużnę zbierać, tylko więcej z nabożności... Wędruję do Częstochowy co roku i przynosi z tamtąd mnóstwo krzyżyków, medalików, różańców, które po największej części darmo ludziom rozdaje. Chłopi go szanują, uważają go za pielgrzyma, pustelnika, prawie za świętego. Jak się tylko pokaże, wnet schodzą się do niego po radę, po różne pamiątki, które ze świętych miejsc przynosił... My mamy z niego wielką wygodę, szczególnie ja, gdyż trudnoby mi było zaglądać do pasieki w zimie, gdy duże śniegi spadną... a tak, poczciwy Bartłomiej mnie wyręczy. Ciocia mu daje zawsze trochę kartofli, kaszy i co tam potrzeba do jedzenia, a dziadowina sam sobie gotuje, tylko po chleb do dworu przychodzi... A prócz tego, żeby pan wiedział, jaki z niego rybak zawołany... Co on przed świętami ryb nałapie! Co roku żydzi przyjeżdżają i kupują. On wszystko umie ten Bartłomiej, potrafi łapać wilki i May. Niech pan zobaczy ile skórek wisi w lamusie!

— Bardzo jestem ciekawy poznać tego Bartłomeja.

— Cóż łatwiejszego... pozna go pan niezadługo... Jaskółki odlecą, bociany w świat powędrują, zórawic... a po ich odlocie przyjdzie stary Bartłomiej, przyjdzie, śpiewając jaką pieśń nabożną... Oto jest sitko, niech je pan włoży na twarz... Ach! jaki pan śmieszny w tem przebraniu! Trzeba jeszcze włożyć rękawiczki. Teraz możemy już iść śmiało między ule.

— A pani sitka nic bierze?

— Nic trzeba, pszczołki moje dobre znajome, nic ukąsi mnie żadna.

Poszliśmy, a Helenka szczebiotała ciągle. Lata od tej pory przeszły — a jeszcze każdy jej wyraz mam żywo w pamięci!

— To miejsce—mówiła—doskonale na pasiekę wybrane... Zaciszne, spokojne, tuż woda, łąki, las... a nad rzeką tyle malin, jeżyn, porzeczek, że pojmie przechodzi! Mnie się też zdaje, że Bartłomiej ma rację.

— W czym?

— Ach prawda! pan nie wie. Bartłomiej po wiedział, że chyba przy stworzeniu świata temu zakątek na pasiekę przeznaczony został, bo lepszego nigdzie nie znajdzie, a przecież Bartłomiej dużo ziemi widział.

Zwiedziliśmy szczegółowo pasiekę —zdjąłem sitko z twarzy i zabraliśmy się do powrotu.

— Pan nie zgani mnie przed ciocią za moje gospodarstwo?—spytała.

— Lęka się pani?

— Naturalnie. Ciocia mi zawsze powtarza, że trzeba pracować, że grzech być próżniakiem, że nikomu na świecie chleba darmo nie dają, więc i ja też robię co mogę i staram się, żeby było zrobione najlepiej, a jeżeli pomimo woli mojej jest co złego...

— To?

— To... proszę mi wybaczyć, panie—rzekła, podnosząc na mnie duże, prześliczne oczy. Uchwyciłem drobną jej rączkę i przycisnąłem do ust... Zażenowało ją to i onieśmieliło bardzo. Pokraśniała na twarzy jak róża i przez chwilę nie odzywała się do mnie wcale. Szliśmy tą samą ścieżką przez łąki —i droga, dość długa w rzeczywistości, wydała mi się bardzo krótką... Z prawdziwą przykrością zobaczyłem, że już jesteśmy przy życie, poza którym ogród i folwark się znajdował. Na szczęście spostrzegłem dąb powalony przez piorun. Odąłem zmęczonego, choć było to kłamstwo, bo wcale zmęczenia nie czułem.

— Panno Heleno—rzekłem—przyznam się, że już ledwie ide... zatrzymajmy się cokolwiek, spoczniemy...

— A dobrze — odpowiedziała — siądźmy na tem drzewie; nie wiedziałam, że pan taki niewytrzymały. Ja mogłabym jeszcze iść Bóg wie dokąd.

— Nieprzyzwyczajony jestem do chodzenia po polach, ale po jakimś czasie wprawię się i będę chodził tak jak pani.

— Czy w mieście ludzie mało chodzą? — spytała.

— Owszem, chodzą nawet bardzo dużo, ale tam, widzi pani, co innego, tam są wygodne, różne chodniki kamienne.

— O, dziękuję bardzo! Chyba żaden na świecie chodnik nie zastąpi zielonej murawy, która jest miękka jak dywan.

Usiedliśmy na zwałonym dębie.

Słońce nachyliło się ku zachodowi; przyjemny, orzeźwiający wietrzyk muskał skronie.

Rzecz dziwna, rozmowa, która nam tak łatwo szła z początku, rwała się co chwila jak nitka i nawiązać jej nie było można. Nie kusiliśmy się też o to.... Helenka patrzyła na łąkę, po której bocian przechadzał się poważnie —ja ściagałem wzrokiem byże jaskółki, uganiające się za muszkami w powietrzu. Drobne te szczegóły wyrzeźbiły się głęboko w mojej pamięci i nie zataryły się, pomimo lat, aż po dzień dzisiejszy.

Przyzwyczajony od wczesnej młodości do systematycznej pracy, nie mogłem siedzieć w Pustelni z założoneroirękami. Los niespodziewanie obdarzył mnie ziemią, a na gospodarstwie nie znalazłem się ani trochę. Postanowiłem więc praktykować przy Szymonie, a wiadomości teoretycznych szukać w książkach. Zaledwie dzień się zrobił, byłem już zwykle na nogach. Poczciwy Szymon budził mnie i chodziliśmy razem do zabudowań folwarcznych, do dobytku, a potem w pole, na łąki. Gdy robota odbywała się jednocześnie w dwóch punktach, Szymon dozorował na jednym, ja na drugim. Bardzo szybko przyzwyczałem się do tego zajęcia, polubiłem je nawet i dziś nie chciałbym go już na żadne inne zamienić. Szymon, małowówny z natury, o gospodarstwie jednak bardzo chętnie rozmawia! Opoowiadał mi, jak się tu od najdawniejszych czasów rolę uprawiało, według starego obyczaju, jak ongi jeszcze za dziadów — i wyszydział różne nowości, które w sąsiednich magnackich gospodarstwach zaprowadzono. Z ciekawością wielką słuchałem tego chłopskiego wykładu, a wieczorami czytywałem książki rolnicze, i tak po trosze praktyką dopełniałem teorię... teorię znów praktykę—i ostatecznie z czasem nauczyłem się chodzić koło roli, tej nigdy niewyczerpanej w swem bogactwie żywicieli naszej.

Dnie ubiegały szybko jeden za drugim i na myśl mi nawet nie przyszło, żeby szukać nowych znajomości, towarzystwa. Na cóż? Miałem zatrudnienie, które wypełniało mi dzień cały, a kiedy po pracy zasiadliśmy do posiłku, ciotka Wojtkiewiczowa opowiadała różne epizody z dziejów rodziny naszej, a Helenka szczebiotała jak ptaszek. Ze świata miałem także relacje, bo dwa razy na tydzień przywożono z poczty gazetę, którą moim paniom czytywałem głośno — z bliższych zaś okolic stary Jójna wieści przynosił.

Przeszło lato, pierwsze lato we własnym kącie, na własnym kawałku ziemi! Sprzątnęliśmy zboże, pozwolili do stodoł, ułożyli w sterty to, co się pod dachy zabudowań zmieścić nie mogło. Szymon dumny był ze zbiorów i chwalił się nimi, wymieniając z tryumfem, ile mamy kóp zboża i stogów siana na łąkach.

Po lecie przyszła pogodna, złota jesień. Załatwiliśmy się z siewem ozimin i z orką — a Helenka ogołociła swój ogród z dorodnych jabłek i gruszek. Nad polami unosiły się srebrne nici babiego lata, bociany powędrowały za morze, odleciały zwinne jaskółki, żorawie krzykiem donośnym pożegnały nasze strony... Już się też rankami i biały mroźnik pokazywał, a dni były coraz krótsze i krótsze. Helenka dziwiła się, że Bartłomiej z wędrówki nie wraca, wspominała o nim codzień prawie,

wyglądała przez okno, czy go na drodze nie dojrzy. Przywłókł się dziad przecież i

Przyszedł, jak co rok, z zapasem krzyżyków i obrazków, z pieśnią nabożną na ustach. Był to człowiek wysoki i przygarbiony nieco, z długą białą brodą i takimiż włosami, które mu na ramiona spadały. Ubrany ubogo ale schludnie, nie miał powierzchowności żebraka. Za pasem różaniec nosił, sakwę płócienną miał na sobie, a w ręku kosztur osobliwy, długi i sękaty. Gdy przyszedł, Helenka i ciotka Wojtkiewiczowa na spotkanie jego wybiegły, wprowadziły go do pokoju i dopytywały się gdzie bywał.

I ja zapragnąłem także owego gościa zobaczyć... Gdym wszedł, skłonił mi się nisko, życzył szczęścia, krzyżyk z Częstochowy mi ofiarował i prosił, abym mu pozwolił przezimować w owej budzie w pasiece. Proponowałem żeby na folwarku został, gdzieby miał większą wygodę — ale nie chciał.

— Wielmożny panie — odrzekł — mnie tam dobrze... a zrtszą staremu niewiele potrzeba, byle dach nad głową, siaki taki komin i garstka słomy na posłanie... Podziękuję pokornie i od służę jak mogąc. Troche to ja i rybak, troche myśliwy. Siatki ponaprawiam, zwierzyny dostarczę... kłodę na ul wyzłobię...

Popatrzył na moje uważnie — a potem dodał ciszej:

— Gdym się teraz po świecie włóczył, ku miejscom świętym ciągnąc, precz mi się zdawało, że za powrotem do Pustelni, odmiauję jakąś znajdę... Prosiłem też Boga, żeby choć dobrą i Bóg miłosierny wysłuchał. Zastałem panią oto i panienkę we zdrowiu... a Pustelnia doczekała się dziedzica...

Znowu przerwał, spojrział na Helenkę, potem na mnie, kiwnął głową, uśmiechnął się nieznacznie i rzekł:

— Niechże Bóg błogosławi, niech będzie w tym domu radość i wesele...

Ten ostatni wyraz wymówił z naciskiem. Helenka zarumieniła się jak wiśnia i tak pilnie patrzyła w podłogę, jakby na jej gładkich deskach coś bardzo ciekawego spostrzegła.

Polubiłem starego Bartłomieja. Namówił mnie, abym na polowanie z nim chodził, więc też bobrowaliśmy prawie codzień po lesie, i ja nowicyusz, nauczyłem się przy nim różnych sekretów myśliwskich. Zaopatrywaliśmy spizarkę ciotki Barbary w zwierzynę, a skór lisich i wilczych coraz więcej przybywało w lamusie. "Robiliśmy też wycieczki na jezioro, bo Bartłomiej był rybak zawołany i jak chłopci twierdzili, miał takie sieci osobliwsze, do których ryby same się cisnęły gromadą. Tak przechodziły dnie zimowe—a wieczory były jeszcze miłsze. Już ta smutna Pustelnia, to ustronie, o którym ludzie opowiadali straszne rzeczy, wydawała mi się istnym

rajem—i nieraz zadawałem sobie w duchu pytanie, czem zasłużyłem na takie szczęście? Bo istotnie byłem zupełnie szczęśliwy—szczęśliwy bez miary, bez końca, bez granic... Jednego wieczoru, O szarej godzinie, nim światło przynieśli, zacząłem rozmawiać z Heleuką, to o tem, to o owem, aż wreszcie wypowiedziałem jej to, co oddawna nosiłem już w sercu. W jakie wyrazy ubrałem to moje wyznanie, nie wiem, nie pamiętani — to mi jednak z pa* mięci nie wyjdzie, żem ją wziął za rączkę, że ona tej rączki z mojej dłoni nie starała się wyswobodzić, że słuchała wyznania, nic przerywając aui jednym słowem — i że przyrzekła mi być moją, moją na zawsze...

Gdy ciotka Barbara weszła do pokoju ze światłem, spójrzała na nas uważnie i badawczo .. Widocznie spostrzegła moje wzruszenie i prześliczne rumieńce Helenki. Zdaje rai się, że się chciała zapytać co się stało — ale nic dałem jej przyjść do słowa, powiedziałem wszystko i prosiłem o błogosławieństwo.

— Ona sierota, ja sierota, niech więc ciotka matką naszą będzie...

Nie zgodziła się odrazu. Oponowała.

— Zastanów się Leonardzie — mówiła — pomyśl... tyś bogaty, ona biedna, sierota, a przytem prawie jeszcze dziecko. Pomyśl, że możesz znaleźć parłyę lepszą.

— Nie!—zawołałem—nigdy nie znajdę, bu szukać nie beję, bo tylko tę jeduę kochani, w tej szczęście widzę...

Zacząłem całować ciotkę po rękach, prosić, błagać... aż rozplakała się i wyciągnęła nad nami ręce.

— Niechże was Bóg błogosławi — rzekła. .Szybko lzy otarła — i wnet na realniejsze sprawy myśl zwróciła.

— Narobiłeś mi kłopotn — rzekła z udanym gniewem — roboty na całą zimę...
— Roboty?!
— Naturalnie. Tobie się zdaje, że wziąć pannę z domu, to tak samo, jak zdjąć strzelbę z kołka...
— Ciociu, jestem w tem szczęśliwym położeniu, że panny z domu brać nic potrzebuję, przecież ona jest już w nim.
— To prawda, ale wyprawa! Nie wyobrażam sobie jak można wyjść za mąż bez wyprawy... Musicie poczekać z pół roku, zauim się wszystko przysposobi, uszyje...
— Na co?
— A nie, mój kochany, Trzeba ci wiedzieć, że ja mam także maleńki iuudusik, mój własny i ten oddawna na wyprawę dla Helenki przeznaczyłam.
— Ależ ciociu — przerwałem — cóż to jedno drugiemu przeszkadza? Przecież panna Helena nie

odjeżdżaj zostanie tu z nami na zawsze, więc wyprawę szyć można choćby przez lat dziesięć.

— Rozumiem. Niech i tak będzie. W tej k"chanj Pustelni wszystko na opak się dzieje. Bierzcie więc ślob, a wyprawę będę przygotowywała powoli. . Ktoby się spodziewał? ale eo ja się dziwię?... po co było wilka do owczarni wpuszczać? Powiedzie mi przynajmniej, ty mała psotnico, czy go bardzo kochasz?

— Bardzo — szepnęła, spuszcżając powieki.

— I zkađ się wzięło to kochanie? Zkađ?

— Nie wiem, ciociu..,

— Niewiniątko! No, no, moja droga, ja ci tego za złe nie mam. Człowiek na to ma serce, żeby kochał... a skoroś pokochała, to kochaj zawsze je dnakowo, szczerze, serdecznie, aż do śmierci. Ko chaj go w dobrej i w złej doli, w szczęściu i w nieszczęściu... w radości i w smutku... zawsze, zawsze, pamiętaj o tem Helenko.

— Pamiętaj Helenko — szepnąłem.

Podala mi obie rączki, które pochwyliłem i pocałunkami pokryłem.

Ciotka wyszła, ocierając łzy nieznacznie. Przy kolacyi zjawiła się butelka starego miodu; — zamieniliśmy z Helenką pierścionki. Takie były nasze zaręczyny.

Na drugi dzień pojechałem do naszego proboszcza. Prosiłem go, żeby zapowiedzi ogłosił, a zara

tem złożyłem na jego ręce spory fundusik na gvuntowne odrestaurowanie kaplicy na cmentarza.

— A cóż cię, mój dobrodzieju — rzekł ksiądz — obchodzi biedua cmeutarna kapliczka? Jeżeli uczyniłeś subie chwalebne Mfwn, aby ceś na chwale lin. żą ofiarować, to raczej kościół wesprzyj, bo oto sam widzisz, żn ubogi, stary, odnowienia potrzebuje .,

— Ina to chętnie ofiaruję, ale widzi ksiądz dobrodziej o kapliczkę osobliwie mi chodzi... O ile wiem, ma ona i podziemia.

— A tak, tak, ma sklepione, bardzo pnrządne nawet.

— I nie zajęte zapewne?

— Ot zachciałeś także, mój łasbawco! Ciekawym ktoby tu podziemia zajmował. Chłop każe się grzebać w ziemi, a nasi wielcy panowie, których tu kilku mam w paratii, mają swoje groby rodzinne w innych majątnościach... Ale na cóż się dobrodziej pytasz o te szczegóły?...

Opowiedziałem mu całą historię mej sukcesyi i dodałem:

— Rozumie ksiądz dobrodziej, że nio chciałbym takiego smutnego sprzętu w domu trzymać. Niechby tedy owa nieszczęsna trumna, pod kaplicą na poświęconem miejscu spoczywała, dopóki nie przyjdzie czas, w którym ją na wieki, jako sukcesye obejmę.

— Ksiądz zamyślił się.

— Ha — rzeki po chwili — dobrze... Juscic tak będzie lepiej, niech wam to nieustanne „memento mori”, nic psuje chwil szczęścia. Przyślijże jegomość tę nieszczęsną sukcesyę, niechże sobie stoi pod kaplicą.

W trzy dni później, wczesnym rankiem, wywieziono trumnę z lamusa. Eskortowałem ją z Szymuneiu —i po nabożeństwie za spokój duszy dziadka odprawionem, umieściliśmy smutny depozyt pod kaplicą.

Do ślubu pojechaliśmy sankami, a orszak był bardzo niewielki... Bartłomiej, Szymon i służba z Pustelni. Ciotka w domu została, aby uas powracających w progu chlebem i solą, obyczajem dawnym powitać. Nic miała Helenka družbów, ani mnie piękne druchny do ołtarza nie wiodły, nie było gości wystrojonych, tylko mała gromadka prostych ludzi w siermięgach słyszała jakeśmy sobie dozgonną miłość przysięgali. Poczciwy proboszcz serdecznie do nas przemówił, pobłogosławił, a po skończonym obrzędku, zabrał się z nami i do Pustelni pojechał. We drzwiach oczekiwała nas ciotka, wystrojona odświętnie i oliarowała nam chleb świeży i sól. Ucałowała nas z płaczem. Gdyśmy do pokoju weszli, wsunął się nieśmiało

Jojna, ubrauy był w atlasowy żupan, przepasany pasem jedwabnym, pod pachą trzymał czapkę z kuny z aksamitnym kołpakiem, a w prawej ręce tackę, na której leżał jakiś biały piernik... Prosił o przyjęcie, — do samej ziemi się klauiał, życzył nam obojgu lat setnych i szczęścia.

I Bartłomiej i Szymon i kilkunastu chłopów gospodarzy ze wsi i wszyscy parobcy, służba cała do pokoju wtargnęła z życzeniami, w których tyle było serca, tyle szczerości, że mógł od łez powstrzymać. Dla tych dobrych ludzi, ciotka w dużej izbie czeladnej ucztę wyprawiła. Sprowadzili sobie muzykanta ze wsi i po chwili do uszu naszych dolatywał gwar rozmowy, odgłos skrzypiec i głośne przytupywanie tańczących.

— Niech się bawią — rzekła ciotka — niech tańczą do samego rana. Pustelnia już dawno, dawno nio słyszała muzyki. Helenka w białej sukni, w mirtowym wianku na skroni, wyglądała jak urocz, nadziejskie zjawisko. Patrzyłem na nią w zachwyceniu, tak mi się piękną wydawała...

Czem zasłużyłem sobie na takie szczęście?

Wziąłem ją za rączkę, poszliśmy na chwilę do izby czeladnej, do tańczących. Za nami wsuwała się ciotka i ksiądz. Przywitano nas okrzykiem radości, a Bartłomiej miał do nas mówkę, za którą

ksiądz go pochwalił, a to uznanie nappełniło dziada szczególną dumą i radością.

Chłop jeden zbliżył się do Helenki i rzekł; — Panienczko kochano, już grzech byłby to wielki, żeby panienska na swoim weselu nie tańczyła... Jeśli paui nie wzgardzi, to proszę...

Tańczyła Helenka i ja tańczyłem także — a poteri] powróciliśmy do pokoju, poprosiwszy wpierw Szymona, aby ludzi do tańca, do wesołości zachęca! Do samego rana prawie hasali. Ciotce przykro było, że w tej uroczystej chwili nie przybył nikt z krewnych, ani że nie było gości z naszej sfery — ale ja nie brałem tego do serca. Co obchodził mnie cały świat? wówczas kiedy miałem woj własny, a taki piękny świątek szczęścia i miłości!..

Przeszły dwa lata, jak jedna godzina. Dwa lata niczem nie zamąconego spokoju i rozkoszy. Nie zazналиśmy przez ten czas ani niepowodzenia, ani klęski w gospodarstwie, ani żadnej choćby małej przykrości. Mijał nas grad, oszczędzał ogień, dobrze uprawiona ziemia rodziła na podziw, plony były bajeczne, dobytek się pomnażał — aż lękałem się czy to powodzenie nie było zapowiedzią jakiej wielkiej, niepraktykowanej klęski.

Helenka moja była gospodynią zawołaną, praco

wala od świtu do nocy, wyręczała ciotkę, a prócz tego nie opuściła i swneh dawnych zatrudnień. W ogrodzie i pasiece była panią wszechwładną. Zaczna, dobra, nieoceniona kobieta! Pomimo, że nie kończyła pensyi żadnych i nie bywając nigdy w wielkich miastach — nie ograniczała się jednak na zatrudnieniach pospolitych tylko — owczem pamiętała i o swoim umyśle, czytywała książki, umiała odczuwać piękności w pieśniach naszych poetów zakłete. Czytywała nam nieraz wieczorami te poezye, a słowa wieszczych, natchnionych pieśni, brzmiały w jej drobnych usteczkach jak najpiękniejsza melodya. Dziękowałem, całowałem po rączkach i prosiłem: „jeszcze czytaj, jeszcze" — ona odpowiadała skinieniem głowy, łagodnym uśmiechem i czytała dalej karta za kartą, a mv z ciotką słuchaliśmy, coraz to nowe piękności odkrywając w tem czytaniu.

Nie zawsze mogła dokończyć — bo czasem w najciek awszym miejscu przerywa! to czytanie despota nasz, tyran, a zarazem przedmiot miłości i uwielbienia całego domu naszego — Jaś...

Prawda, wy nie wiecie kto jest Jaś, co to za jeden. To nasza дума, nasza rozkosz, nadzieja, świat, szczęście, wszystko — nasz syn! J Rok już miał wtedy, był biały, rumiany, pulchniutki jak aniołek, co go na obrazach malują. .Ja mówiłem, że do Helenki podobny, Helenka wmawiała, że oczy

ma moje; ciotka śmiała się, dowodząc że w tukiem maleństwie nie sposób dopatrywać podobieństwa do kogokolwiek z dorosłych. Śmieliśmy się z tego, bo jakżeż?! Ciotce się zdawało, że Jaś to takie sobie, ot, zwyczajne dziecko, jak tysiące innych na świecie — ale my z Helenką wiedzieliśmy, że tak nie jest. Wiedzieliśmy, że w Jasiu zwyczajnego, ani pospolitego nic nie ma, że to sama dobroć, mądrość, inteligencja, dowcip... wszystko! wszystko!

Ciotka śmiała się z uśmiechem, a przecież my widzieliśmy to najwyraźniej, że Jaś każde nasze słówko rozumie, że kocha uas, że wie o tym że jesteśmy jego rodzice — że on jest jedynym celem naszego życia... Mądry był chłopak. Nie mówił, bo jeszcze nie umiał, ale jak się uśmiechnął, jak spojrział oczami ślepkami, jak pulchne rączki do klaskania złożył — my z Helenką wiedzieliśmy dobrze co to znaczy... A czy my tylko? Sam Szymon twierdził, że takiego „przyścipnego dzieciaka” nie widział jeszcze w swoim życiu; Bartłomiej mówił, że takiego samego na obrazie widział w jednym znacznym kościele.

— Pan Jezus — powiada — namalowany był we światłości i chwale, a do niego garnęła się gromada dzieci i pierwszy najmniejszy rączki do Zbawiciela wyciągając biegł; ten właśnie był akuratnie taki jako nasz Jaś... A nad obrazem, nad rama złocistą, była taka, jakoby wstęga bieluchna,

a na niej literami wielkimi napisano: „pozwólcie maluczki przyjsć do mnie”. I szły maluczki — mówił Bartłomiej — i chłopaczki i dziewczynki i większe i mniejsze i maluteczki, a przodem właśnie lakuteńki jako oasza Jaś... Nasz Jaś!

Wszyscy go tak nazywali w Pustelni, nawet stary Jojna; i on mówił że „nasz Jaś” jest taki delikatny, jak małe dzieci na świecie... Nie wiem z jakiej racji w nim żył tę delikatność dopatrywał, bo chłopak był tegi na podziw i ciotka nie bez racji małym niedźwiadkiem go zwała... Naturalnie przez żarty — bo chociaż gniewała się na uas, że zanadto dziecko pieścimy, jednak sama pieściła je więcej jeszcze niż my — a kiedy Jaś pierwszy raz wymówił „baba”, to się o mało nie rozplakała z radości... Ten Jaś odbierał mi ciągle Helenkę. Bywało w pole pójdziemy, lub do pasieki, a ja chciałbym z ukochaną moją zatrzymać się tam dłużej — nic można, bo może tam Jaś płacze, trzeba iść do niego. Zimą znowu porą, w trakcie naj bardziej zajmującej rozmowy, albo wśród czytania, Jaś przebudził się, krzyknął — i już rozmowa przerwana, czytanie skończone. Helenka zrywa się, biegnie do niego... tuli, całuje, kołysze, śpiewa mu, dopóki malec nie usnie. Nieraz zazdrościłem temu bębnowi... On właściwie był panem IV atelni, my wszyscy jego sługami... Ależ też i war

to byh takiemu panu służyć, bo uśmiechem, figlami, szczebiotaniem hojnie nas wynagradzał. Lubił się bawić ślicznymi warkoczami Helenki, mnie nieraz małe wąsów nie poobrywał, a jak tylko ciotkę zobaczył, to póty manewrował, póty ciągnął, aż jej musiał czepek zdjąć z głowy... I śmiał się z tych swoich figłów — mały psotnik!

Wiele dat z życia mojego zapomniałem — ale jedna nie wyjdzie nigdy z mojej pamięci. Wyrzyła się ona w sercu, wypaliła w mózgu, a chociaż lata przeszły, nic zdołały jednak jej zatrzeć, ani zagładzić... Głowa posiwiła, oczy blask straciły — a ta data zawsze, zawsze będzie pamiętna... grudnia i...

— Dwudziesty trzeci!... Tak, tak... to było w przeddzień wigilii Bożego Narodzenia... w przeddzień świąt tak radosnych i wesołych zazwyczaj...

grudnia...

Ledwie świtać zaczęło, Bartłomiej zapukał do mego okienka. Ubrałem się pospiesznie, otworzyłem drzwi i wpuściłem dziadka do sieni...

— A cóż tam? — spytałem.

— Jutro wigilia święta, wielmożny panie — rzekł — trzebaby rybek nałapać.

— A dobrze...

— Otoż, żeby wielmożny pan Szymonowi kazał, żeby zebrał kilku parobków z siekierami i furmanką pod sicci, toby się pojechało na jezioru. Łód tegi, a chuć na nim śniegu na jaki łokieć, ale tonie można poprzerąbywać, włok mam goto wy, zaciągnęłoby się ze dwa, ze trzy razy...

— To niechże Bartłomiej pójdzie do Szymona, weźcie pomoc jaką trzeba i jedźcie... porąbcie tonie, a przed południem ja nadjadę do was...

— Właśnie niech wielmożny pan nadjedzie, nawet popołudniu trochę, ale aby zaraz popołudniu, bo żydy i furami też przyjadą. Już oni zwyczajni u nas w „wilię" wigilii ryby kupować, to będą, bo i co rok bywają.

— Dobrze, przyjadę. Dziad czekał jeszcze.

— Co jeszcze chcecie powiedzieć? — spytałem.

— A to wielmożny panie, że jutro wigilia święta, to znów wedle myśliwskiego obyczaju, wartoby szczęścia spróbować w lesie.

— Mamy jeszcze czas, wybierzemy się, a teraz niech Bartłomiej idzie do Szymona... albo ja sam pójdę.

Włożyłem kożuszek na siebie i wyszedłem przed dom.

Niby to dzień się zrobił, ale gwiazdy poblądle jeszcze cokolwiek świeciły. Mróz był wielki, śnieg pod nogami skrzypiał.

Zaraz na dziedzińcu spotkałem Szymona.

— Dobry dzień będziemy mieli na ryby — rzekłem — pogoda zapowiada się ślicznie, choć mroźno.

Szymon na Diebo spojrział.

— Niby wielmożny pan tak według gwiazdów miarkuje?

— Zapewne, niebo jasne jak w lecie.

— Zwodzące ouo bywa, panie; podług mego pomiarkowania dzień jak dzień, ale od wieczoru pewnie się zmiana zrobi.

Nie zważałem na te słowa, bo i cóż mnie miała tak bardzo pogoda obchodzić?! Czy taka ona czy owaka, w starym domu w Pustelni przecież ciepło i wesoło. Koło południa kazałem zaprządz konia do sanek i wybierałem się na jezioro.

Już miałem siadać, gdy wybiegła do mnie Helenka w obcisłej salopce, w czapeczce futrzanej, zupełnie gotowa do drogi.

— Weź mnie z sobą — prosiła — Jaś zostanie przy ciotce.

Dlaczegoż miałbym jej odmówić?... Umieściliśmy się w maleńkich sankach, a chłopakowi; który ze mną miał jechać, kazałem zostać w domu. Po wybornej drodze koń pędził wyciągniętym klusem; pogoda była prześliczna, niebo jasne, droga iskrzyła się od śniegowych kryształków. Ostry wiatr zarumienił twarzyczkę mojej żoneczki, a na włosach wymykających się z pod czapeczki, na rzęsach, na

brwiach, pousauzał się drobniutki, biały szron. Prześlicznie wyglądała, a szczebiotała ciągle, śmiała się z moich wąsów, które posiwiała od mrozu i mówiła, że mi będzie z siwizną do twarzy. Przyjechaliśmy na jezioro właśnie wtedy, gdy wyciągano sieci. Ogromny był polów, moja najdroższa gosposia aż w rączki klaskała z radości, Zrzucili sieci drugi raz, jeszcze z lepszym skutkiem. Żydzi wazyli ryby i zabierali je na sanie... Niebo zaczęło się chmurzyć, mróz cokolwiek się zmniejszy}, zaczął padać śnieg drobny z początku, potem coraz gęstszy, od czasu do czasu czuliśmy silny powiew wiatru.

— Ku domowi trzeba — rzeki Szymon do ludzi — żwawo zwijajcie się chłopcy, sieć zbierać, a państwo — dodał — niech jadą. Już ściemni się zaraz, śnieg może drogę zawiąć.

Śmiałem się z ostrzeżeń poczciwego chłopca; przecież droga była mi znana doskonale; tyle razy przemierzyłem ją pieszo, a zresztą odległość nie wielka, trochę więcej niż pół mili, dom blisko. Ruszyliśmy. Mrok się zwiększał, robiło się coraz ciemniej i ciemniej, że tylko od śniegu cokolwiek można było widzieć... a i ten śnieg dziwny jakiś, zdawało się, że nie leży na ziemi, ale podnosi się w górę i wypełnia sobą całą przestrzeń,.. Nie mogłem jechać szybko, gdyż silny wiatr miotał śniegiem wprost w oczy, tak, że nie sposób było spojrzeć przed siebie. Koń stąpał ostrożnie, coraz to

schylał łeb ku ziemi, węszył i chrapał. Zdawało mi się, że zboczył z drogi na lewo, ściągnąłem go lejcami i naprowadziłem na drogę. . Tak myślałem przynajmniej... Helenka wstrząsnęła się nerwowo.

— Co ci jest? — spytałem.

— Nic... trochę zimno — odrzekła — ale nie lękaj się, przecież za chwilę będziemy w domu; szklanka herbaty mnie rozgrzeje... śliczny dzień dziś był, Leonardzie... prawda?

Nie mogłem odpowiedzieć, gdyż nagle koń szarpnął i sanki stoczyły się w jakiś dół.

Wpadliśmy w głęboki śnieg... Helenka śmiała się z tej przygody, ale ja uczułem dziwny niepokój... Podniosłem sanki i zacząłem rozglądać się dokoła... rozglądać! jak gdyby można było widzieć co w ciemnościach, podczas wichury miotającej śnieg w oczy... Zdołałem jednak dojrzeć jakieś drzewa i ogarnęło mnie jeszcze większe przerażenie... Przy drodze prowadzącej do domu drzew niema, — więc zblądziliśmy... Jesteśmy niewiadomo gdzie, wśród zamieci... Próbowałem szukać drogi. Zwróciłem konia na prawo, to na lewo; za pół godziny znowu znaleźliśmy się przy tych drzewach fatalnych.

— Dlaczego tak długo jedziemy? — pytała Helenka — pośpiesz, bo tam w domu Jaś płacze.

— Zkąd możesz wiedzieć, że płacze?

— Ja zawsze wiem — odpowiedziała. Pocieszałem ją, że już niedaleko. Znowu szuka

lem drogi i znów, po długim błądzeniu, znalazłem się przed temi samymi drzewami. Helenka drżała coraz bardziej — zdawało mi się, że płacze. Już nie mogłem dłużej ukrywać położenia, bo sama wiedziała, że błądzimy, że nas zaskoczyła śnieżycą... Zdałem się na instynkt konia... puściłem mu lejce swobodnie... Poszedł i zuowuż to samo... znowu te drzewa przekłete! Jakaż siła wpędza mnie w to błędne kolo? jakież zle duchy sprzysięgły się na naszą zgubę?! Czy to te postacie tajemnicze a straszne, te duchy pokutujące, o których mi podczas nocy letniej w lesie chłop opowiadał... Ogarnął mnie zabobonny przestach. Koń zatrzymał się... Wyszędłem z sanek, z załamanemi rękami, bezsilny, drżący z obawy o mój skarb, o moje szczęście cale... Żeby można przynajmniej ognisko rozniecić, ogrzać ją... Wyrzuciłem z sanek garść słomy — podpałiłem zapałką. Buchnęła jasnym płomieniem... Sadziłem, że przy tem świetle rozejrzę się w miejscowości, poznam gdzie jestem... ale gdzie tam! Widziałem tylko płatki śniegowe unoszące się w powietrzu... Garść słomy spłonęła w jednej chwili i ogarnęła nas zupełna ciemność... Rozpacz mnie porywała. Zacząłem bluźnić.

— Czyż niema Boga! — wołałem łamiąc ręce — czy on nas opuści?!

— Cicho, nic mów tak, nie grzesz — rzekła Helenka; a po chwili, chwytając mnie za rękę za

wolała z radością. — Słuchaj, Leonardzie, słuchaj... pomoc nadchodzi.

Istotnie, z oddalenia dolatywał dość wyraźnie odgłos myśliwskiego rogu.

— Szukają nas, szukają! To Bartłomiej... On nas znajdzie... Krzyczymy! krzyczymy ile mocy w piersiach, może usłyszą!...

Przypomniałem sobie, że mam strzelbę w sankach... Strzeliłem w powietrze... Na strzał odpowiedział jeszcze donioślejszy dźwięk rogu... Niebawem zamigotały światła jaskrawe, czerwone... to Szymon i parobcy z Pustelni szukali, przyświecając sobie pochodniami... Strzeliłem powtórnie; zapaliłem resztę słomy wyrzuconej z sanek... Ludzie przyszli i wyprowadzili nas na drogę.

Smutne były święta, bardzo smutne. Poznałem doktora Kalińskiego, owego dziwaka, o którym tyle opowiadał mi Jojna; przyjechał na pierwsze wezwanie. Wprowadziłem go do pokoju, w którym leżała ukochana moja chora... Krótko bardzo zabawił, zapisał lekarstwo, zalecił co było potrzeba i odjechał, tłómacząc się, że do chorych spieszy; ale wieczorem, nad wszelkie moje spodziewanie przyjechał najętymi końmi, przywiózł z sobą jeszcze jakieś lęki i całą noę wraz ze mną czuwał nad Helenką. Przewidywał zapewne, że obecność jego będzie potrzebna... że może pogorszenie nastąpi... Rano powrócił do

domu i znów przyjechał do was i bywał codzień po dwa, trzy razy — aż do dziewiątego dnia...

Czy mam opisywać tę walkę życia ze śmiercią, czy potrafię odmalować rozpacz moją, boleść poczciwej ciotki i smutek, jaki w całym domu panował? Nie potrafię.. nie mogę...

Najdroższa moja wydała ostatnie tchnienie, może nawet nie wiedząc o tym, że umiera. Była nieprzytomna, nie ucałowała Jasia, nie pożegnała mnie... nic usłyszałem jej głosu... Kiedy jaż zamknęła śliczne swoje oczy na zawsze, przypadłem ustami do jej ręki stygnącej, a potem, potem nie wiem co było... Mówił mi później Kaliński, że rwał odzież na sobie, rozbijał głowę o ściany, że nie płakał, lecz wył... Pobiegłem jak opętany do lasu, z gołą głową, w ubraniu poszarpanym, myślałem, że obłędu dostałem. Kaliński z Szymonem sprowadzili mnie przez siłę do domu... Co dalej było nie wiem, straciłem przytomność i trzy tygodnie przeleżałem w gorączce.

Nie widziałem... Nie byłem świadkiem jak moją ukochaną z domu wynieśli, jak ją złożyli na wieki w podziemiach kaplicy, obok tej trumny wielkiej, która na mnie czeka. Nie słyszałem żalobnego odgłosu dzwoniów, ani jęków ciotki, nic...

Gdy zaczął po trochu do przytomności przychodzić, gdy się myśli usnione, czy zamroczone przez tak długi czas, przebudziły, a pamięć była w stanie

tuinione obrazy odtwarzać, to rui się zdawało, że się ze snu długiego obudził, że jestem w dawnym moim mieszkaniu w Warszawie, że sukcesyja moja, Pustelnia, trumna po dziadkach, Szymon, stary żyd, Helenka i Jaś były tylko sennie widziadła, niepochwytne postacie długiego marzenia. Tak mi się zdawało... ale oto do pokoju weszła ciotka z Kalińskim... A więc to nie sen — to rzeczywistość... prawdziwa, faktyczna... Więc było szczęście w istocie... było i przeszło jak sen, jak marzenie, pozostawivszy po sobie smutek i żalobę... Wpadłem w stan apatii, nie chciałem odpowiadać na pytania ciotki, odsuwałem ze wstrętem pożywienie, które mi przynosiła, aż dopiero Kaliński, ten lekarz mój i przyjaciel, przyniósł małego Jasia... Obląłem gorącymi łzami główkę sieroty i zapragnąłem żyć dla niego...

Ostatnie to zapewne kartki mego pamiętnika... bo i cóż więcej mam pisać?... Życie płynie cicho jak strumyk po łące, jednakowo, bez zmian... Orka, siew, żniwo i znów orka, siew, żniwo; — zimową porą las, czytanie, rozpamiętywanie chwil minionego szczęścia... a ciągle zimą i latem, dniem i nocą myśl o nim, o Jasiu ..

Kaliński czasem przyjedzie i rozwesela moją samotność, bo samotny jestem zupełnie i opuszczony. Nie ma już dobrej ciotki Barbary, spoczęła obok Helenki pod kaplicą. Nie ma Bartłomieja, bo jak

się jednego roku powlókł na wędrówkę o wiosnie, tak nie powrócił już więcej. Pewnie się zmarło dziadowi. i starego Jojny także nic ma — także nie żyje. Zewsztych dawnych domowników Pustelni jeden tylko Szymon pozostał. Przygarbiony, ze zbielał emi zupełnie włosami; żali się, że go wszystkie kości bołą, ale pomimo tego chodzi kolo gospodarstwa jak dawniej.

Jaś na pięknego młodzieńca wyrasta, szkoły skończył, teraz za granicą się kształci na rolnika. Do domu rzadko przyjeżdża, ale skoro się pokaże w Pustelni, to mi jakoś różniej i weselej się robi. Cieszę się moim jedynakiem... kocham go. O! Helenko, czemuż cię tu niema!?!...

Jasiu, synu mój, dziecko moje! Niezadługo z zapasem sił młodzieńczych i wiedzy przyjdiesz do tego ustronia i zaczniesz pracować na tych zagonach szarych, po których ongi pradziadowie twoi stąpali. Nie wątpię, że znajdziesz dobrą towarzyszkę życia... Daj Hoże taką, jak była matka twoja. Bądź szczęśliwy!

Mój kres się zbliża, siły nikną — czas... czas! Gdy zamknę oczy na zawsze, włożysz ciało moje do wielkiej trumny dębowej, która czeka na moje od lat tylu i pochowasz pod kaplicą obok Helenki. Taka jest moja ostatnia wola. Sukcesę, którą

wziąłem po Gozdawach oddaję ci w całości, za wyłączeniem jedynie owej trumny, co tak długo na mieszkańca swojego czekała. Tę biorę dla siebie. Zostawiam ci nawet więcej niż wziąłem — w budowlach, w dobytku, w pieniądzech. Weź to wszystko synu mój i pracuj. Ukochaj te zagony szare, z umiejętnością i starannością chodź koło nich. Nie rozpraszaaj ich, z rąk nie puszczaj, a kiedy przyjdzie czas na ciebie, oddasz je w całości dzieciom twoim, wraz z tą miłością, którą zaszczepisz w ich sercach.

Czemuż cię nie ma, Helenko moja? wszak powiedziałaabyś to samo Jasiowi... koniec.

CUD NA KIRKUCIE.

Berek Guzik mówił, że uczoność to jest największy majątek, że jest skarb, w porównaniu z którym najwspanialsza fortuna znaczy tyle, co nic,

— Niech pan dobrodziej sam uważy, niech weźmie na delikatny rozum! Znasz pan zapewne naszych bogaczy? Kto ich nie zna? To są wielkie osoby! wielcy ludzie! Oto, na przykład taki Dawid Jojne, ma dom—i gdzie on ma dom? w samym rynku! ma karczmę! i gdzie ma karczmę? na samym rogu! Może pan miarkować, co to jest dom w rynku i karczma na rogu! To bogactwo! na moje su. mienie bogactwo — ale to jeszcze nie koniec. On się ożenił bogato, sześćset rubli za żoną wziął, on szczęście miał w handlu! on jedną dużą sprawę wygrał, on się dorobił na zbożu, dorobił się na drzewie— on dziś jest pan! Proszę pójść do domu i zobaczyć jego bogactwo! On samowar ma, on lichtarze ma, on ma najzylbrowe łyżki — a jego zona nosi kol

czyki z brylantami, aż oczy bolą patrzeć! I co mu z tego wszystkiego?

— Jakto co? bogaty jest.

— To prawda. On pierwszy bogacz na okolicę. Jcdż pan do Lubartowa, do Firleja, do Kocka, do Kamionki, za Kamionko, do samych Łysobyk — nie znajdziesz pan takiego bogacza — ale niechno pan zajrzy jemu w głowę! ha! ba! co tam jest w jego głowie! całkiem nio. Jedno z drugim nie!

— Musi jednak coś być — kiedy się dorobił i przyszedł do majątku.

Berek się rozśmiał.

— Nie, panie, ja widzę, że pan dobrodziej nie zna się na takich interesach...

— Być może.

— Przepraszam, bez urazy godnej osoby — ja panu to wytłómaczę. Do interesu głowa wcale nie potrzebna jest.

— Więc cóż?

— Szczęście! Kto ma szczęście, temu każdy interes pójdzie jak najlepiej — a kto nie ma szczęścia, temu i dziesięć głów nie pomoże. Takie było prawo od samego początku świata, takie teraz jest i takie będzie do samego końca.

— W takim razie, niechże mi Berek wytłómaczy, do czego służy głowa?

— Ha! ha! głowa! Głowa służy do uczoności. Głowa to jest kufer, to jest tlomok, to jest cała sza

farnia! A wiesz pan, dlaczego głowa twarda jest? Dla tego, że w niej chowają się drogie rzezy. Pomyśl pan: jeżeli człowiek na pieniądze, funduje sobie tęgi kufer albo żelazną skrzynię—więc na takie bogactwo, co w głowie może być, Pan Bóg dał takie dobry, mocny kuferek.

— Wytłóraczże mi jednak, mój Berku, czem się to dzieje, że są na świecie ludzie całkiem głupi — a przecież każdy człowiek ma głowę.

— Prawda. Prawda. Ale widzi pan, głowa a głowa to jest dyferencya. Ja nie chcę mówić o wszystkich głowach, ale powiem o żydowskich. Jak się panu zdaje, czy żydek, taki zwyczajny żydek, mały bachórek, przychodzi na świat mądry czy głupi?

— Cóż za pytanie!

— lia! pan myśli, że głupi! Ha! ba! Nie — proszę pana, on wcale nie jest głupi, bo on przed urodzeniem nic próżnował, on darmo czasu nie tracił...

— A cóż u licha robił?

— Uczył się; — przy nim był anioł i tłumaczył mu pismo — i tak go wyuczył wszystkiego, jak naj. lepszego rabina.

Cała mądrość mu dał, pełną głowę mu nakładł.

— A dlaczego posyłacie dzieci do szkoły?

— Ho tak trzeba, tak musi być. Ja panu wy tłumaczę. Człowiek jest człowiek, ma szczęście

i nieszczęście. Pan Bóg daje mu dolne rzeczy — dyabeł (wiesz pan, taki paskudnik!) chce te dobre rzeczy od człowieka odebrać, chce mu wydrzeć, chce go całkiem zniszczyć. W każdym interesie lubi brzydki figiel robić. On starym ludziom dokucza, a dzieci! Żeby mógł, toby wszystkie (nie w złą godzinę powiedziawszy) pozjadał. To cały gałgan jest i przez niego nasze dzieci muszą do szkoły chodzić...

— Przez niego?

— Właśnie tak. Widzisz pan: taki mały żydowski chłopaczek, zanim przyjdzie na świat, to już jest mądry, uczony w piśmie jak cały rabin. On Torę zna, on Geniozę zna, on całe pismo zna! — ale co z tego?! Zaledwie na świat przyjdzie, dyabeł czeka na niego i daje mu, na pierwsze przywitanie prztyczka w nos! Nie wierzysz pan?! to proszę zobaczyć, że każdy człowiek, w tem miejscu, gdzie mu djabeł prztyczka dał — ma dołek,

— Ale cóż ztąd?

— Jakto co? Nie wiesz pan co? Takie dziecko to przecież delikatne jest, ono się boi. Jak zobaczy tego paskudnika, to krzyknie, a jak dostanie od niego prztyczek, to się tak zestrąszy, tak przelęknie, że wszystko co tylko umiało, czego się od anioła nauczyło — odrazu zapomni! W tem cała sztuka jest! Żeby nie on, żeby nie ten gałgan, to nie trzeba było dzieci uczyć — wszystkie odrazu

byłyby bardzo mądre. Pan się śmieje, pan nie wierzy, że to prawda jest. Ja wiem... państwo macie swoje zabobony. Może pan powiesz, że dyabła nie ina? Oj! żebym ja tak nieszczęścia więcej nie widział— jak ja go sam widziałem na moje własne oczy! Niewiadomo zkad wlaź do izby.

— A jak wyglądał?

— Niech on zginie! niech jego moje oczy nie widzą! On wyglądał całkiem jak czarny kor! Tfy! tfy! Nie śmieję się pan, bo broń Boże, może się zrobić nieszczęście!

— Ja się też nie śmieję — ale odeszliśmy od przedmiotu. Nie wytłumaczyłeś mi Berku, dla czego chociaż każdy człowiek ma głowę — jednak głupich ludzi nio brak na świecie.

— Nie brak?! Ha! ha! żebym ja w swoim majątku tyle groszy miał, ile głupich ludzi się zdybie— to jabym się pytał ile cały Lublin kosztuje?

— Więc?

— Nu, więc ja byłbym bardzo bogaty. Co się tyczy mądrych i głupich, ja panu zaraz wytłumaczę. Żeby na świecie byli sami mądrzy, toby nic było głupich — a żeby byli sami głupi, toby nie było...

— Mądrych.

— Nie, toby także nie było głupich, bo każdemu głupiemu zdawałoby się że jest mądry. Weź pan na delikatny rozum, każdy towar potrzebuje mieć swoją miarę. Ocet mierzy się kwartą, cukier

ważą na fanty—sukno, albo biały towar, idzie na łokcie. No—jaki pan łokieć znajdzie do zmierzenia mądrości? Właśnie głupi człowiek to jest taki łokieć! Jak pan postawisz mądrego* przy głupim i każesz im żeby obydwu gadali, to będzie miara. Przepraszam pana, niechno pan słucha jeszcze. Na świecie wszystko potrzebne jest — i różne głowy są potrzebne. Zwyczajnych trzeba dużo, wielkich nie wiele, bo wielka głowa ma pomyślenie za małe głowy. Ja panu nie powiadam o pruskich głowach, ani o żadnych zagranicznych głowach — ja mówię tylko o żydowskich. Państwo się śmieją — ale żydowskie głowy, to wszystko fajny gatunek głowy jest! Na moje sumienie! Tylko nie do każdej głowy może wleźć wielka mądrość, są niektóre trochę niezdatne...

— Ciasne? Berek się skrzywił.

— Są i ciasne... ale od tego szkoła żeby próbować. Zaraz z maleńkości widać już czy głowa zdatna czy nie zdatna. Jak która zdatna, to szczęście, to takie szczęście, że dziesięć majątków mu nie wyrówna.

— Przepraszam za niedyskretne pytanie — ale powiedz mi Berku, co ty myślisz o twojej własnej głowie? Zawahał się żyd.

— Co ja myślę? — rzeki po chwili, — co ja myślę? Co mam myśleć? ja nic nie myślę.

— Ale przecież.

— Jeżeli mam prawdę powiedzieć... ja jestem z uiojej głowy kontent. (Niech ona zdrowa będzie!) Mnie ją Pan Bóg dał, a ja — dodał z dumą — nie żałowałem kosztu...

— Jakto?

— Ja pakowałem w tę głowę co tylko wlaźło, i jeszcze w nią kładę. Ja ciągle czytam, jak tylko czas mam to czytam, jak przyjdzie szabas czytam, jak pójde do szkoły to także czytam, albo słucham co mądre ludzie gadają.

— Może dla tego właśnie nic masz do interesów szczęścia?

— Prawdę pan powiedział — ja nie mam szczęścia! Nie jestem bogaty, trochę nawet biedny jestem — a nawet cały kapcan jestem — ale zato mam swój honor. Mnie ludzie znają.

— Być może, ale robota nie tęgo ci idzie.

— Co ja mam na to poradzić! Komu teraz idzie robota? kto ma kawałek chleba? Temu lat dziesięć, może piętnaście... tak! piętnaście lat temu, to ja powiedziałem, że nasze miasto całkiem zbiednieje, że wszystkie nasze żydy będą mieli gorzkie życie... Kto nie wiedział co w mojej głowie jest, ten się śmiał i nie chciał wiary dać — ale byli tacy co wierzyli, i niech się pan spyta, czy się wszystko

nie sprawdziło? Gaikiem się sprawdziło,, a kio powiedział, fże tak będzie? ja powiedziałem, bo dziękować Bogu głowę mam! Teraz wszyscy wiedzą, że nasze miasto upadło, że zarobku nie ma, że handlu nie ma! Teraz widzą, ale kto piętnaście lat temu widział? Jeden Berek!

— Zkądżeż mogłeś wiedzieć co się stanie w przyszłości.

— Zkąd? Były takie znaki. Chce pan posłuchać—to powiem. Temu będzie piętnaście lat, akurat w nasze święta jesienne, ja sobie szedłem ze szkoły. Ja się tam trochę zasiedziałem i już było późno jakem wracał. Było późno ale nie było ciemno; owszem widno było, bo miesiąc świecił. Ja sobie trochę śpiewałem. Dla czego ja nie miałem śpiewać? przecie święto? Tymczasem kolo mnie coś przeleciało! Ja się zląkłem. Ktoby się nie zląkł w nocy? miasto całkiem puste, na ulicy nikt nio idzie. Ja się zląkłem! Obejrzałem się — nie ma nic; spojrzełem do góry... Aj waj! myślałem, że już mój koniec przyszedł. Znasz pan dom Gdali furmana?

— Znam.

— No to ja zobaczyłem (niech moje wrogi to zobaczają, ja zobaczyłem, że on siedzi na Gdali domu, na dachu!

— Co za on?

— Nu — on! Nie potrzebuję dużo powiadać:

czarny kot! Cały czarny, a oczy to się jemu paliły jak świeczki. Ja chciałem krzyknąć gwałtu — ale nie mogłem. Mój język zrobił się jak drewniany kolek, moje gardło było ściśnięte, moje zęby tłukły się, jak grosze w puszcze. Ja nie miałem siły stać — ja siadłem; ja nio miałem siły siedzieć—ja przewróciłem się całkiem, ja leżałem!...

— A kot?

— On sobie poszedł! Gdzie ou poszedł, to ja nic chcę wiedzieć! Po co ja mam wiedzieć gdzie taki paskudnik chodzi? Ja zobaczyłem, że jego już niema i wstałem. Na drugi dzień poszedłem między naszą starszyzną, i powiedziałem, że będzie nieszczęście. Radziłem, żeby zobaczyć czy się gdzie przykazanie nic popsulo (wiész pan, takie przykazanie w blaszanej rurce, co musi być na każdej futrynie przybite); radziłem żeby pilnować czy która żydówka nie przyprawiła sobie fałszywych włosów? (myślisz pan, że między naszymi żydówkami nie znajdują się takie gałganice?); radziłem, żeby uważać czy Gdala furman robi wszystko co w piśmie przykazane? Bo dla czego kot nie siedział na innym dachu, tylko na jego dachu? Prosiłem, mówiłem, że będzie nieszczęście, że całe miasto zginie. Nie słuchali. Powiedzieli: co Berek znaczy! Berek nic nie znaczy!

— No?

— Nu, i tak przeszło. Tymczasem pokazał się drugi znak.

— Znowuż kot.

— Nie... dla czego kot? Kto jemu zabroni zrobić się kozłem?! Oj, nieszczęście moje! To także było wieczór, nawet późno już było, całkiem późno. Miesiąc także świecił. Wolałbym żeby nio świecił, bo możebym nie był widział, tego co widziałem. Ja szedłem od burmistrza. Zawołał mnie, jak zwyczajnie, kazał sobie zrobić piękną kamizelkę. Wziąłem miarę, pogadałem z burmistrzem i wracam. Musiałem wracać do domu. Tymczasem znowuż koło Gdali domu zobaczyłem! Niech on zginie! Stał z rogami, z brodą i całkiem czarny jak smoła...

— Kto stał?

— Pan się pytał Wiadomo kto stał. Czarny kozioł!

— Wielka rzecz!

— Właśnie że wielka rzecz. W całym mieście był tylko jeden kozioł i to całkiem biały—więc z kąd się czarny wziął? Nie, proszę pana, to nie był zwyczajny kozioł—ale był znak, drugi znak, że w mieście nieszczęście się stanie...

— Znak?

— Pewnie że znak. Ja znów narobiłem gwałtu. Znów chodziłem do naszej starszyny. Ale co ta nasza starszyna warta! Oni tak dbają o miasto, jak i o ten piasek co na gościńcu leży. Aby sa

tni mieli pieniądze, to dla nich dość. Ja mówiłem, prosiłem, płakałem nawet!

— A oni?

— Oni śmieli się! Oni powiedzieli, że ten kozioł to był kozioł; że spał w takim miejscu, na które sadze wysypują i przez to zrobił się czarny. Ja wiedziałem, że to nie prawda, ale co miałem robić? Czekałem trzeciego znaku.

— I był?

— A jakże. Nie wyszło dwa miesiące i już był.

— Jakież?

— Był całkiem pie! Ja panu nie powiem o tym dużo i nie powiem mało, powiem jedno słowo: Gdala furmana córka uciekła!

— To znak?

— To był bardzo brzydki znak... taka dziewczynka! zaręczona już była. Pfe! a z kim ona uciekła? Ze stolarza Dzieciołkowskiego synem... z katolikiem! i ożeniła się z nim. Pfe! Zrobił się wtedy gwałt. Starszyna się zawstydzila—a ja mówiłem: a co? Oni powiedzieli: — nieszczęście! Berek miał rację, już jest nieszczęście! Ja powiedziałem:—Nie! to jest tylko pfe! ale nie nieszczęście, to znak, to trzeci znak! Bo proszę pana, przed każdym nieszczęściem, to jak na licytacyi, do trzech razy jest krzyk, a potrzecim razie przybicie. Proszę pana, nie wyszło od tego czasu dwa miesiące—i zaraz się zaczęło...

— Co się zaczęło?

— Niestety! Przyjechali geometry, inżynierzy, zaczęli mierzyć... krótko mówiąc, za dwa lata już była kolej żelazna.
— Alboż to Niestety? Berek uśmiechnął się ironicznie.
— Proszę pana,—to właśnie jest cała zguba, od tego miasto upadło, a my wszyscy skapcanich. Teraz weź pau na delikatny rozum. Ja nie chcę sądzić Gdali furmana, ale mnie się zdaje, że on musiał dużo grzeszyć. Na jego domu pokazał się czarny kot, koło jego domu stał czarny kozioł, z jego domu uciekła dziewczyna—i patrz pan, kto najpierwszy skapcaniał? kogo najpierw kolej zgubiła?— Gdalem furmana! Kogo zaraz za nim zgubiła—drugich furmanów. Ja się też tak spodziewałem; ho proszę pana, furmany to grube ludzie są; oni ciągle w drodze—a gdzie najłatwiej można zgrzeszyć?—w drodze! Skapcanieli furmany, skapcanieli kupcy, krawcy i szewcy..., wszyscy skapcanieli. Jeden tylko DawidJojna bogacz jest, ale co nam z tego? ?le jest na świecie, bardzo jest źle, przez to, że ludzie bardzo dużo niedobrych rzeczy robią...a czarny kot ciągle pinuje żeby im zrobić zgubę.
To rzekłszy Berek, zwiesił głowę i zamyślił się.
Było to na gościńcu prowadzącym do Lublina. Berek przysiadł się na mój wózek, ponieważ Berek w ogóle miał taki system podróżowania. Jak mu

wypadło puścić się w drogę, to nie kłopotał się wcale o furmankę—wychodził pieszo za miasto i szedł, czekając czy nio będzie mógł przysiąść się do kogo. Jest to system taki dobry jak inne, a przytem niekosztowny. Zresztą, względnie do swojej sytuacji majątkowej, myślący ten człowiek nie mógł podróżować ani własnym ekwipażem, ani ekstrapocztą; furmanów żydowskich, jako ludzi grubych i nieuczonych, nie lubił i wszelkich z nimi stosunków unikał!. Wola! jeździć na przysiadanego. Przytem jadąc na cudzym wózku, czuł się w obowiązku uprzyjemniać właścicielowi konia podróż miła i pouczającą rozmową. Pod tym względem był! niezmordowany, mógł mówić kilka godzin z rzędu, bez wytchnienia...
Wybór przedmiotu do rozmowy także mu był obojętny. Chętnie mówi! o polityce, o handlu o różnych ploteczkach z okolicy, o panu burmistrzu i o sekretarzu, o czym kto chciał. Najbardziej wszakże przypadła mu do gustu rozmowa o takich przedmiotach, które nastroczały mu sposobność do popisania się głęboką uczonością. Wtedy olśniewał słuchacza głębią erudycji. A jaka to była erudycja! Istny groch z kapustą, prawdziwy bigos! Legendy, podania, przepisy wyznaniowe, imiona proroków dawnych, uczonych i rabinów współczesnych, przesady, zabobony, gusła najszczególniejsze — wszystko było w tej głowie.

Berek zaś nosił ją wysoko, z duma, że takie skarby w niej posiada. Nie miał szczęścia do handlu, nie miał majątku, ale uczoność miał i honory?
Pytałem go jakie mianowicie honory?
Uśmiechnął się i brodę pogładził.
— Pan się na tem nie zna, — mówił, — do tego trzeba mieć inszą głowę.
Wy tłumaczy leni mu, że nie mogąc swój głowy na inną zamienić, postaram się natężyć wszystkie siły umysłu, aby zrozumieć, chociaż w części, znaczenie tych splendorów jakie na Berka spływają.

— Niech pan nie myśli,—mówił,—że ja chodzę do tej wielkiej szkoły, gdzie dużo żydów się zbiera. Nie, na co mi to? Tam chodzą moremorejne i wszystkie z wielkiem fanaberyem — ja między nimi byłbym ostatni. A na co ja mam być ostatni? My mamy małą krawiecką bóżniczkę — tam jestem pierwszy! Do mnie schodzą się przyjaciele w szabas, albo w święto, my sobie śpiewamy. Ja jestem znawca na koszerne wino—ja byłem dwa razy w Biału u rabina — ja znam różne sposoby na dyabła... No, czy to jeszcze mało houoru! A prócz tego to ja ciągle czytam.

— I naturalnie, Berek rozumie wszystko co czyta?

— Ha! ha! co pan dobrodziej powiada! Kto może rozumieć wszystko co w książkach jest? Malo kto. Chyba wielkie rabiny, którzy mają taki spo

sób od Paaa Boga, ale prosty człowiek dobrze że choć czyta.

— Cóż za przyjemność w czytaniu, jeżeli się nie rozumie tego co napisane'?

— Aj, aj! Jakie to między państwem ea zabobony! Ja nie umiem panu opowiedzieć dobrze, jaki jest w tem czytaniu smak — ale to jest wielki smak! Wierz mi pan ja czytałem wczoraj i jeszcze mam pełną gębę tego smaku!

— A o czymże Berek czytał?

— Jakto o czym? O czym można czytać w nabożnej książce, o nabożnych rzeczach!

— Ale przecież. Czy Berek czytał o jakim proroku, czy o historyi dawnej?

— Na co mam panu to opowiadać? Ja czytałem — niech będzie dość na tem, że ja czytałem...

— Więc nie powiesz?

— Ny, co ja mam powiedzieć? Nie każda rzecz da się opowiedzieć, nie każda się da powtórzyć i nie z każdym człowiekiem pasuje o takim interesie mówić. Państwo trzymają się swojego zakonu, my żydy swojego. Na co jeden drugiemu ma zaglądać do głowy?

— No, mój Berku, bardzo się zapędziłeś. Przecież u nas nawet małe dzieci uczą się starego zakonu. O stworzeniu świata, o Locie, o Egipcie, o patriarchach, królach żydowskich i prorokach...

— Ja wiem, ja słucham o tem, ale z przcpro

szeniem pana to niejest żydowska nauka, i zawsze w niej jakiś feler musi być,

— Najmniejszego.

— Co o tem gadać... niech każdy swoje trzyma.

— Przecież u nas nie uczą, że Goliat zabił Dawida, ale na odwrót.

— Pan zna tę historię?

— Powiadam ci, że nawet małe dzieci ją znają.

— Aj, aj... to była kimedy! Powiadają że żydy nie sa odważne — no, a kto zabił tego grubiana? Kto jemu głowę urznął? Niechby się kto inny poszedł z nim próbować! Ja to wszystko wiem, dobrze wiem, tak jakbym sam przy tem był!

To rzekłszy Berek pogładził się po brodzie i oczy mu błysnęły radością, że mógł się z erudycya swoją popisać.

Koń zwolnił biegu, bo droga szła pod górę, turkot kół nie przeszkadzał rozmowie.

— A pan wie jak to naprawdę było? — zapytał Berek, — pan wie jak się ta cała historia zrobiła? Pewnie pan nie wie, ale ja panu opowiem. Ja wiem, że pan lubi słuchać o żydowskich interesach ja to wiem...

— Owszem, bardzo lubię.

— Pewnie pan wie i to, że żydy dawno nie byli takie biedne kapcany jak dzisiaj, ale mieli żydowskiego króla, mieli żydowskie urzędniki, żydowskie wojsko... a jakie wojsko! . ba! ba! Same gwardye,

z pikiem, z pałaszem, z bębniem, z armatem, jak potrzebuje być wielkie wojsko! Byli jednorały i zwyczajne proste soblaty, jak się należy. Oni wojowali. Oni ciągle wojowali, a najbardziej z Filistyanem. liardzo paskudny naród był te filistyany, a między nimi zdybał się jeden bardzo wielki, bardzo mocny, poprostu cham, parobek nieuczony, grubian!
— Goliat!

— To cały rozbójnik byt. On ciągle chodził kolo naszego wojska i szukał zaczepki, nawet pewnie trochę pijany był i lubił zrobić awanturę, ale nasz król nie kazał z nim robić żadnej awantury, bo król żałował wojska psuć — a taki eliam mógł któremu wojakowi rękę złamać. On wymyślał, on krzyczał, on zrobił zaczepkę — ale nasze siedzieli sobie cicho, nie zważali. Nareszcie zdybał się jeden młodziak — może miał całkiem szesnaście lat, nawet nic zaręczony jeszcze — i myśli pan że jaka osohar! Wcale nie osoba! Prosty pastuszek, taki co kozy paś. On powiedział: puście mnie do tego grubiana! ja jemu pokażę sztukę! Wojaki śmieli się — aj waj! powiadali, chyba ty śmierci szukasz, Dawidkul A on taki zawzięty był że zaraz chciał lecieć... ale bez pozwolenstwa od króla jemu nie dali. Trzeba było do króla iść.

— I poszedł?

— Co pan mówi? V nas jak się do burmistrza

idzie, to też zaraz nie wpuszczą, tylko trzeba czekać — a tu do króla! I kto chciał z królem gadać? prosty pastuch! To akuratnie osoba do gadania z kraiem! Ale ten mały Dawidck (kto wtenczas mógł wiedzieć, że to będzie kiedyś wielki Dawid?) prosił jednego żydka, takiego poprostu faktora, żeby on królowi powiedział o tym interesie. Faktor jak wiadomo faktor — to wszędzie wlezie. On nie szedł na pokoje, tylko wlaź tyłem, przez kuchnie — no, dość że zobaczył króla i powiedział. Król, jak to usłyszał, za głowę się złapał. — Ja nie chcę! powiedział, ja nie chcę oddać takie dziecko na śmierć, na zgubę — ja nie potrzebuję nawet o tem słuchać! Faktor przeczekał, aż się król wysapil od złości i zaczął znowu perswadować. Powiada tak i tak dzieciak miody jest, ale kiedy się podejmuje, to dla czego nie mam spróbować? Przecież nikt nic przymusza go, on idzie ze swojej własnej woli. A zresztą, co wielmożny król do tego interesu dołoży?

— Tak powiedział?

— O, oj — ja wiem, ja wiem. tak jakbym sam przytem był. Proszę pana, czego faktor nio przetłómaczy? on wszystko przetłómaczy, on od tego jest. Dość, ie król się zgodził. Ny—powiada, niech on idzie. Kazał jemu dać pałaszów, pików, wszystkiego co do wejowania trzeba, ale pastuszek nie chciał. Na co powiada ja mam dźwigać taki ciężar—ja mam na niego lepszy sposób. On wziął kamień, porządny kawa

lek. kamień, zaczął się na tego grubiaua i jak na niego rzucił! Aj waj! teu cały cham, ten ordynarny chłop, jak długi był, tak się przewrócił! Wtenczas ten mały Dawidek wyskoczył z za drzewa, siadł grubianowi na plecy i zaczął krzyczyć gwałt! Zaraz przylecieli wojaki, starszyzna, jeduorały żydowskie, urznąli Goliatowi wielki łeb i zanieśli do króla. Było krzyk, gwałt, muzykanty grali jak na wielkim weselu, a teu Dawidek, ten maleńki Dadek, ten pastuszek, później sam królem został. Tak jemu Pan Bóg dał. Aj było, było na świecie smak! honor był, wojsko było! Dziś co jest? dziś żydygrzeszne są przeciwko Pana Boga — to mają za to sam cymes. Oj mają! czarnego kota — i żelazną kolej. Niech moje wrogi to w sukcesyi dostaną! Źle teraz jest, całkiem źle jest i żeby nie to, że między wszystkimi żydami zdybuje się zawsze trzydzieści i sześć sprawiedliwych, co zakou trzymają i modlą się — to ja nie wiem coby z nami było.

— Dla czegoż tylko trzydziestu sześciu?

— Albo ja wiem, tak musi być — tak od Pana Boga jest.

— A gdzież oni są ci sprawiedliwi?

— Tego, proszę pana, nikt nie może wiedzieć — dość na tem że oni są..

— Eh, mój Berku pleciesz sam nie wiesz co.

" — Ja plotę! ha... niech tak będzie że ja plotę — a ja swoje wiem. Pan myśli że na świecie są tylko

te rabiny, co ich ladzie znają? Są i takie, których nikt nie zna, a które można powiedzieć, utrzymują świat. Czy ja wiem w jakich osobach ich dusze siedzą? Czy ja wiem? Czasem zdaje się, że to idzie biedny woziwoda i komu się może zdawać, że to jest naprawdę woziwoda, a to właśnie może być człowiek mądrzejszy niż rabin i nabożniejszy niż sam rabin! W Boskiem ręku wszystko jest i takie rzeczy — takie interesa, co człowiek nawet pomyśleć nie potrafi, także się dzieją na świecie. Pan myśli, że może Eljasz prorok nie był przeszłego roku na jarmarku w Lubartowie? Na moje sumienie był!

— Ale!

— Pan nie wierzy! Dalibóg mnie dziwno. Przecież i małe dzieci wiedzą, że Eljasz prorok ciągle chodzi po świecie.

— Po co?

— Już on wie po co on chodzi? Pan myśli, że mało biednych żydów on żywi. On wielki miłośnik jest, on sam wyszukuje różnych kapcanów, biedaków i on im pomaga. Wielki miłośnik jest. Pan nie wierzy?

— Skoro Berek powiada...

— Ja powiadam, ja wiem co ja powiadam.

— Berek wierzysz w cuda?

— Co nie mam wierzyć, albo mało cudów było

na świecie? Mojżesz, przecież pan wie co robił Mojżesz?

— Wiera... ale teraz?

— I teraz także się praktykuje. Mógłbym panu dużo powiedzieć, ale lepiej nie gadać—bo na co gadać, jak kto wiary nie daje.

— Przecież słucham.

— Aj panie dobrodziejku! Cudów jest moc, codzień to się może zrobić cud i dużo się robi, choć my o tem nie wiemy, bo Uto wszystko może wiedzieć? I to już jest cud, że Pan Bóg życie daje biednym ludziom, i to cud, że słońce koło ziemi chodzi... eo pan chcesz to wszystko jest cud!

Berek umilkł.

Byliśmy już blisko Lublina. Wieże kilkunastu kościołów rysowały się na niebie. Bramy Krakowską i Jezuicką można było wyraźnie rozróżnić. Miasto rozrzucone na wzgórzu, wygląda bardzo malowniczo, a dokoła krajobraz piękny, szeroki. Srebrna wstęga Bystrzycy wije się wśród łąk, a gdzie rzucić okiem widać wioseczki białe, czyste, tulące się pod wzgórzami, lub też rozsiane po wzgórzach.

Na drogach do miasta prowadzących ruch ciągly, turkoczą powozy, bryczki i wózki chłopskie. Lud dorodny, w burchach sukmanach z samodziału, suto wyszywanych czerwonymi lub niebieakiemi sznurkami, zdradza dobrobyt i względną zamożność nawet.

Wysokie wieże miasta rysują się zdaleka, imponująco wyglądają mury stare, stare bo już od wielu wieków stoją i dzielnie bronią się niszczącym zębom czasu.

Od tej strony zwłaszcza, z której przybywaliśmy z Berkiem, wjazd do Lublina bardzo jest ładny. Po prawej ręce, na wyniosłym wzgórzu wznosi się piękny kościół, niegdyś .Augnstyjanów, z zabudowaniami klasztorne— po lewej liczne domki, drewniane przeważnie, stare i zniszczone. Niektóre z nich niby jaskółcze gniazda poprzyczepiane na wzgórzach, inne rozrzucone dokoła wielkiego placu, przypominającego rynki takich sławnych miast jak Firlej, Łysobkij lub Kamionka.

Jest to przedmieście, Kalinowszczyzną zwane, zamieszkałe przeważnie przez najbiedniejszą ludność żydowską, a w części przez biedniejszych rzemieślników i wyrobników.

Dalej droga skręca w głęboki parów i oczom podróżnego odsłania nowe widoki.

Starożytny kirkut żydowski na wysokiej, stromo ściętej z jednego boku górze—pełen drzew starych i nagrobków kamiennych przeważnie, postawionych obyczajem wschodnim, prostopadło.

U stóp stromej góry, przy kirkucie samym, ruiny starożytnego kościoła Franciszkanów, dziś fabryka mydła; dalej kopuła dawnej cerkiewki Bazylińskiej, a dalej już zgiełkliwa, żydowska część miasta.

Ów kirkut starodawny, na górze Grodzisko zwanej, jak historia miasta świadczy, sięga roku i, ale to jest data aktu nadania. W rzeczywistości istnieć on już dawniej musiał, bo nie masz siada, żeby żydzi lubelscy gdzieindziej jeszcze cmentarz swój mieli, a przecież mieszkali w Lublinie od wieków.

Ruiny kościoła, w których teraz mydlarnia się mieści, nie mają tak dawnej historii. Wprawdzie Franciszkanie siedzieli na tem miejscu w r. ii, ale mieli tylko kapliczkę drewnianą, a gmach klasztorny dopiero w r. io!) został wzniesiony. W roku ib' Franciszkanie opuścili swoją siedzibę, a gmach przeszedł na własność prywatną.

Niejeden przejeżdżający tamtędy zastanawia się dla czego góra od strony kościoła tak stromo jest ścięta, czy do tego przyczyniła się ręka ludzka, czy też stało się to przez jakiś dziwny kaprys natury?

— Patrz Berku,—rzekłem jak to dziwnie wygląda...

— Co dziwne?—zapytał,—co tu jest dziwne?

— Naprzód to sąsiedztwo szczególne, kościół tuż przy żydowskim cmentarzu...

— No, to jest miasto, proszę pana,—odrzekł,— to i dawniej było miasto, a w mieście, jak zwyczajnie, gdzie kto ma piae to sobie buduje. Żydy mieli kawałek placu, zrobili sobie kirkut—księża mieli kawałek placu, zrobili sobie kościół! Co się dziwo

wać?—każdy potrzebuje podług swojego zakonu. Ten kirkut to już bardzo stary jest.

— Trzysta lat ma z górą.

— Kto to panu powiedział niech zwróci pieniądze! Kto te lata rachował, kto pamiętać może takie dawne rzeczy?

— W książkach jest.

— Aj, co to znaczy! niby to każda książka prawdę powiada? Książki też pewnie powiadają, że i ta góra dawno była i ten piae, na którym kościół stał, także dawno był!

— A tak.

— Ha! ba! to oni dużo powiadają! oni dnzo wiedzą! Oni wiedzą tyle co nic, albo i całkiem nic.

— Ale przecież, to co jest w książkach historycznych, opiera się na dokumentach.

— Niech moje wrogi takie oparcie w plecach mają, jak to prawda! Książki piszą, że była tu góra i był dół, a ja panu powiadam, że tu ani góra nie była, ani dół także nie był.

— Więc cóż było?

— Pytaj się pan książki,—rzekł ironicznie Berek,—kiedy książki takie mądre sa, to niech powiedzą co było?

Nie mogłem z niego więcej wydobyć, tem bardziej, że już wjeżdżaliśmy do miasta i towarzysz mojej podróży miał wielką ochotę zeskoczyć z wóz

ka i wpaść odrazu w miasto, do którego rózae iutereaa go sprowadzały.

— Kiedy pan dobrodziej wraca?—zapytał,

— Jutro, o samym zachodzie słońca.

— Ny—to ja jutro o samym zachodzie słońca będę sobie stał przy starym kirkucie. Pau omie znów podwiezie kawałek?

— Zobaczymy.

— Aj waj, pan podwiezie—ja jestem już podupadły całkiem na nogi, i, jak tylko prędko idę, to zaraz mnie kolo serca pika! Niech Bóg broui jak pika!

— Dobrze więc, podwiozę cię dokąd zechcesz, ale musisz mi powiedzieć o tej górze, o tem co było wtenczas kiedy jej nic było.

— Nu—dalibóg, pan zawsze ciekawy! dlaczego pan taki ciekawy jest?

— Chciałbym wiedzieć.

— Ny, ny, do widzeuia panu,—rzekł zeskakując z wózka i zniknął w bramie kamienicy, obok ktorej przejeżdżaliśmy. Nazajutrz opuszczałem Lublin, Zachodzące słońce złociło wysmukłe wieżycy, odbijało się w szybach, starym murom nadawało czerwonawą barwę.

Koło dawnego kirkuta oczekiwał Berek z tłomoczkiem pod pachą.

— Dobry wieczór, dobry wieczór pana dobrodzieja!—wołał,—Widzi pan jaki ja jestem słowny!

Ba! znajdź pan drugiego człowieka żeby był taki punktualny jak Berek! Powiedział pan zachód słońca! Patrz pan, teraz akuratnie jest zachód słońca, a Berek stoi pinkt! jak na zegarku. Ny—ja myślę, że mnie pan kawałek podwiezie. Dla czego pan by mnie nie podwiózł? Przecież nic złego nie zrobiłem.

— A jakże będzie z górą?

— Ja myślałem, że pan już zapomniał, na moje sumienie! Góra jest góra! niech ona sobie stoi, bo ona jest góra, a my jedźmy, bo na to jesteśmy ludzie. Góra nie może jechać, nam nie pasuje stoic. Patrz pan, nawet kuń to rozumie, on już rucha nogami, już pokazuje, że czas jechać. Mądry kuń, dalibóg!

Mówiąc to, Berek wgramolił się na wózek. Ruszyliśmy.

Na starym kirkucie szumiały drzewa, minęliśmy je niebawem, minęliśmy przedmieście i most na Bystrzycy i ogromne karczmiisko murowane przy drodze—a słońce zaszło już zupełnie, zaś z łąk podnosiły się fantastyczne tumany mgły i rozwiewały się w kształty dziwne, nieokreślone, zmieniające się ciągle.

Gwiazdy zaczęły się już nkazywać na niebie, złociste, mrugające figlarnie—wiatr przynosił z łąk zapach świeżo skoszonego siana.

— Jakże, Berku, — spytałem, — powiadasz że kirkutjna więcej niż trzysta lat?

— Ha! ha! i wiele więcej!

— Naprzykład?

— Ja nie wiem, ale on bardzo stary jest. Ob taki stary jak i sarn Lublin, może nawet jeszcze starszy. Czy pan tam kiedy był?

— Nie.

— To pan nie widział jakie tam stare kamienie są?

— A Berek widział?

— I ja nie widziałem—ale ludzie gadają. Ludzie gadają, że tam już wszystkie pismo, co było na kamieniach wykute, wiatr wydmuchał i woda wymyła! Pomyśl pan sam wiele to trzeba było wiatru i wiele wody, żeby wytrzeć z kamienia pismo—a jakie pismo? Co wykute jest! Każda literka przynajmniej na pół cala głęboko. Powiadają, że niektóre kamienie już tak w ziemię powłaziły, że mało ich co znać. Weź pan na delikatny rozum, wiele trzeba czasu żeby sam kamień w ziemię wlaź i żeby się w niej schował—to nie bagatela jest!

— Na tym kirkucie zapewne wielu sławnych i uczonych żydów spoczywa?

— Aj! sławnych, uczonych, nabożnych rabinów, wielkich bogaczów moc! Cały kahał ich tam jest. Aj, aj, żeby ja miał jeden procent od tysiącznej części tej zasługi co oni mają przed Panem Bogiem,

to jabym bardzo, bardzo szczęśliwy by.! Tam wielkie ładzie są pochowane, wielkie głowy! Tam nawet zdybuje się jeden kamień, na którym napisane jest nie dużo i nie mało, tylko jedno imię! A wiesz pan jakie imię? Ha! Ester! A wiesz pan czyje to imię? To była żydówka, z prostego stanu nawet, biednego krawca córka—ale później to ona została żydowską królową...

— Żydowską? Źle jesteś poinformowany mój Berku, gdyż ona wcale królową nie była.

— Tak?! Tan może powie, że i ten król wcale nie był król i ta żydówka nic była żydówka, że on koło niej nie siedział, a ona koło niego też nie była. U państwa to wszystko jest na wywrót!

— Ale owszem, przyznaję, że była i że koło króla siedziała.

— Nu — a kto może koło króla siedzieć?! To kimedya jest, dalibóg!—koło krawca siedzi krawcowa, a koło króla... królowa. Małe dziecko nawet zrozumie taki interes.

— Oua niedaleko Krakowa jest pochowana—to wiadomo.

— Niech będzie i tak! Ja na jej pogrzebie nie byłem. Dla mnie dość, że ludzie powiadają, że jest taki kamień i że na nim stoi napisane to imię Ester—i że ta Ester była żydowska królowa. Na co mnie wiedzieć więcej? Mnie to dość. Kto chce

niech daje wiarę, kto nie chce niech nie daje. Na to nie ma żadnego przymuszenia, żadnego gwałtu.

Widocznie Berek rozgniewał się. Jak można podawać w wątpliwość jego słowa? Przecież on nie jest prosty cham, on nie jest grubijaniu, ale nczony człowiek, który dużo czytał, a jeszcze więcej słyszał — i słyszał nietylko o zwyczajnych przygodach i wypadkach, ale i o cudownościach najrozmaitszych, o wydarzeniach takich, których głowa ludzka, choćby najtęższa, objąć ani wytłómaczyć nie może, słyszał jak wyglądają różni aniołowie i jakie zasady dyabeł urządza... tyle, tyle słyszał, a tu, znajduje się ktoś co wierzyć mu nie chce. I kto? pfe, dalibóg!

Trzeba było jakoś udobruchać uczonego męża.

— Zapatze Berku cygaro i dotrzyмай słowa.

— Cygaro? dla czego ja nio mam sobie zapalić cygaro? Ja zapalę—a co się tyczy słowa, to ja nie wiem o jakimś słowie pan mówi...

— Miałem coś usłyszyć o owej górze. Machnął ręką, jakby przez to chciał dać do zrozumienia, że szkoda tracić słów napróżno.

— Co to dużo gadać — rzekł — nie warto!.. Pan niewierzy, pan powiada, tL wszystko nieprawda...

— Jesteś niesprawiedliwy—o powiadałeś o królu Dawidzie — czy przeczyłem? O trzydziestu sześciu sprawiedliwych—czy powieóziałero, że to fałsz?

— Ny — prawda.

— Są takie rzeczy, o któryob wszyscy wiedzą i są takie książki, w których jest napisane to co byio — i nikt nie może powiedzieć, że tak nie było. Przecież musiał Berek słyszyć, że w Lublinie nauczali kiedyś wielcy rabini.

— Ha! ha! i jacy rabini, same nabożniki, uczone!

— Myślisz Berku, że o nich nie ma w książkach?

— Ja wiem, wiem — w różnych żydowskich książkach to jest.

— Nietylko w żydowskich, jest i w polskich...

— To nie może być!

— Jest, jest — bo dla czego nie miałoby być? O wielkich uczonych zawsze się świat dowie i szanuje ich.

— To prawda! ma pan recht! Ja sam byłem świadkiem jak raz do powiatu przyszedł rabin, nawet nie żaden wielki rabin, ale taki zwyczajny — to jemu postawili krzesło, żeby on sobie siadł! I urzędniki miarkowali, że dla duchownej osoby należy się krzesło...

— Czemuż się więe dziwisz, że o prawdziwie wielkich rabinach ludzie coś wiedzą. Słyszałeś coś pewnie o rabi Salomonie Loria? rabi Salomonie hen Jehuda.

— Aj waj! ktoby nie słyszał?

— Przecież to lubelski rabin, wielki uczony. Umarł tu w Lublinie, temu z górą lat trzysta. Za

łożyćby się można, że na starym kirkucie jego prochy leżą. A rabi Joel?

— Joel!... oj, oj, ja wiem, ja o nich wszystkich słuchałem — dla czego ja nie miałem słyszyć?

— Rabi Joel Sirkes, ben Salmon.

— Sirkes! Kto nic słuchał o Sirkes?! Wielka głowa! wielki nabożnik! — on tóż leży na starym Kirkucie.

— Nie, on leży w Krakowie.

— Może w Krakowie — nie będę się sprzeczał, ale mnie się zdaje, że nie. Jakby lubelskie żydy mogli od siebie puścić taką osobę?

— A jednak puścili, jest już temu więcej niż dwieście lat—on pojechał do Krakowa, tam był rabinem i tam umarł, a pochowali go obok sławnego rabina Mosze Inertes. Słyszałeś Berku, koło tego sławnego rabina, którego nazywają Ramo!

— Ramo! kto nie wie o Ramo! Wiary trudno dać, żeby takie rzeczy mogły stać w nieżydowskich książkach! Ny —ny... ale ja myślę, ie to musi być inny gatunek książek.

— Tak, tak! a rabi Jehuda Wiga, rabi Meier...

— Teraz to ja panu powiem!... ja panu wszystko powiem, a dlaczego powiem? Czy pan zna takich mechaników, co robią nie żydowskie książki?

— Znam.

— Ale nie te zwyczajne książki... tylko takie,

wiesz pan... ten najlepszy gatunek, co w nich o samych rabinach stoi? — Znam,

— To dobrze... bo to co ja panu powiem powinno być pisane w takich książkach. Ja panu powiem wszystko jak było— jak cała prawda jest... niech oni to napiszą! Stuchajno pan dobrodziej... Co się stało na starym kirkucie, a co ja panu chcę powiedzieć, to był wielki interes! to była taka rzecz, takie zdarzenie... no! — obaczysz pan. Przekonasz się pan co znaczy Rabin, jaka w nim jest moc, jaka siła jest!

— O którymże Rabinie Berek chce mówić.

— O którym? Janie wiem jak on się nazywał i nawet powiem prawdę, nie potrzebuję to wiedzieć. On był rabin—dość na tem, a czy on był mały rabin, czy wielki rabin, to pan zaraz zobaczy! U nas powiadają o tem i dużo powiadają—a co u nas powiadają, to najprawdziwsza prawda jest. Pan widziałeś tę górę?

— Widziałem.

— I kościół także pan widziałeś?

— Naturalnie.

— Kościół stoi całkiem w dole. Pan mówiłeś do mnie, że to się panu pokazuje dziwne, a to wcale nie dziwne. Dawniej na tem miejscu nie było ani góry, ani dołu.

— Cóż więc było?

— Zwyczajny mały pagórek, taki jak te, któ

rych pan widzi tyle dokoła Lublina. Ten pagórek cały, może prawie cały, zawsze należał do żydów. Tylko nie duży kawałek placu był w innych rękach. Żydzi na pagórku zrobili Bobie kirkut—a ten katolik, do którego drugi kawałek placu...

— Ksiądz Zuziewicz.

— Ksiądz Zuziewicz! Niech mu będzie Zuziewicz—dość, że postawił kościół. Na jeduym pagórku był kirkut i kościół. Co to szkodzi? Pan zapewne słyszał o tem, że Tan Bóg stworzy! siedmdziesiąt narodów i siedmdziesiąt wiar, i wszystkie te narody i wszystkie wiary od Pana Boga są. Każdy powinien swoją szanować. Ja panu nawet powiem jeszcze coś. Naprzykład, jak mi się przytrafi w drodze być, ja często w drodze bywam, czasem wieczór, czasem w nocy... trafi się przysiąść na wózek z chłopem!..

— Ale Berek miał mówić o górze.

— Czekaj panja próżno nie gadam, moje każde słowo właśnie idzie do góry, ono ma taki chód. Więc jak ja siadam na furę do chłopca, to ja się trochę boję. Boję się, bo teraz różny naród jest i trudno po chłopie zmiarkować, czy on człowiek spokojny, czy galgan. Więc ja uważam sobie na niego. Po drodze figury stoją, jeżeli chłop zdejmuje przed

figurą czapkę—to ja się nie boję, ja z nim jade. Jeżeli on nie zdejmuje—to ja boję się i uciekam, bo myślę, że taki chłop nie jest dobry człowiek, myślę

poproatn, że to gałgan—a może i zbójca! Teraz miarkuje pan do czego idzie moja mowa?

— Niebardzo.

— Ha! przecież idzie do góry! Dla czego nie miali kirkut być koło kościoła, albo kościół koło kirkuta? Były oba na tym wzgórkę; żydzi chowali awoich nieboszczyków, chodzili płakać na groby, chodzili modlić się, jak się godzi, jak trzeba podług starego zakonu. Po naszymu należy się modlić za umarłych, a zasługi, które umarli mają przed Panem Bogiem dużo znaczą dla tych żydów, co żyją na świecie. Żywe i umarłe żydy mają między sobą kompanię, i jedni drugim są pomocni. Więc ja powiadam, że było wszystko dobrze, git, całkiem git; żydy sobie, katoliki sobie, jedni drugim wcale nie przeszkadzali. Czasem tylko robiły się kwestye.

— Jakie kwestye?

— Może nie tak kwestye—jak poprostrn nieprzyjemność. Widzisz pan, w każdym kościele są dzwony. Rano dzwonią, wieczór dzwonią, a jak święto jest to nawet bardzo dzwonią... więc jak w kościele dzwonili, a na kirkucie akurat wtedy żyda chowali—to była nieprzyjemność dla żydów, nawet powiem prawdę—było cale zmartwienie...

— Dla czego?

— Byłoby o tem dużo gadać..., i nie wiem nawet ezyby pan to dobrze zrozumiał. Różnie jest. Pan myślisz, że umarły nie ma cierpienia? Umarły ma

cierpienie. Jego dusza także ma cierpienie. Oua się boi—na co ją jeszcze straszyć? na co jej dzwonić? Powiadam panu, że było zmartwienia dość. Nabożni i uczeni żydzi powiadali, że będzie z tego nieszczęście—ale nie było. Nie dziwuję się, że nie było, dopóki chowali prostych żydów, zwyczajnych krawców, szewców, handlarzy—ale raz zdarzyło się, że umarł jeden wielki, bardzo wielki rabin!

— Nie wie Berek jak on się nazywał?

— Nie wiem, na moje sumienie—dość że rabin, wielki rabin! Jak umarł, to żydzi musieli jego zaraz pochować, bo jak pan wiesz u nas nie godzi się umarłego trzymać—trzeba go prędko włożyć do ziemi. Akuratnie ten wypadek zdarzył się przed południem w niedzielę! Miarkuje pan sobie co to znaczy? ha!?

— O tej porze odbywa się u was nabożeństwo i w każdym kościele dzwonią.

— W tem właśnie było cale nieszczęście! Jak tylko wnieśli rabina na kirkut, w kościele zaczęli dzwonić. Rozumie pan! Wszyscy żydzi przelękli się—oni drżeli, oni sobie trzęśli ze strachu, bo miarkowali, że tu się coś zrobi. A wiesz pan, że co się tylko na świecie robi, to zawsze dla żydów będzie źle! Oni się bali! Rozumie pan dla czego się bali? Prosty interes. Rabin jest rabin. Jeżeli dzwony zrobią jemu przeszkodę, to dzwony mogą się popsuć, mogą się oberwać, mogą się zrobić niezdatne do

dzwonienia! a jak się dzwony zrobią niezdatne, to Indzie powiedzą, że żydy czarownicy są—no i wiesz pan, zaraz będzie krzyk, gwałt i gzojres.

— Cóż to jest gzojres?

— Nie wiesz pan?! Gzojres to jest takie prawe na żydów, żeby nie handlowali wódką, żeby trzymali umarłego przez trzy dni w izbie. Gzojres to jest całe paskudztwo, całe pfe! Żydy to miarkowali, bali się i sami niewiedzieli co robić, czy stać, czy iść, czy czekać... ale przysłała taka sita, co jej nic widać i taka moc, co jej nie widać i popchnęła żydów żeby oni szli — i oni szli. A tymczasem dzwony dzwoniły coraz lepiej, tak dzwoniły jak zawsze dzwonią przy niedzieli. Wszyscy spodziewali się, że coś będzie. Nie mogli zmiarkować co, ale wiedzieli, że coś się zrobi.

— No?

— I zrobiło się! Aj! co się zrobiło! słuchaj pan! Z wielkiego strachu żydzi nie szli, ale lecieli jak ptaki... Tymczasem naraz zrobiło się cicho... całkiem cicho. Kto to zrobił niewiadomo, dość, że nawet małe ptaszki, co na drzewach siedzą ucichły — a dzwony dzwoniły. Rabin podniósł się na marach, siadł i powiedział: stać! stać! Słyszałeś pan! wszyscy ludzie stanęli jak martwi, jakby ich kto w ziemię zakopał! Myślisz pan, że to bagatela jak umarły przemówił Wszyscy stali. Rabin popatrzył, popatrzył i nareszcie pokazał palcem na

jednego chłopaczka... na takiego małego, małego bacharka, co miał pięć, moie sześć lat — i powiedział do niego— chodź tu! Chłopak przyszedł; dla czego nie miał przyjść? Stary się boi, a to taki dzieciak, on się nic nie boi, bo nic nie zna. On przyszedł, stanął przy marach i czekał co jemu rabin powie...

— I co powiedział?

— Bardzo niewiele. Powiedział: mój kochanoczku, pójdz ty do mego domu, do mojej stancyi, tam jest szata. W szatic książki są. Uważaj tylko dobrze, przystaw sobie stołek, żebyś dostał do najwyższej półki. .Iak zobaczysz tam książki, to masz je rachować od prawej strony do lewej, tak jak się czyta Rachuj, raz, dwa, trzy, cztery, pięć i sześć — jak narachujesz sześć, to weź siódmą książkę i tu przynieś. Pamiętaj tylko nie omyl się, pamiętaj dobrze — idź. Ten bachur nie poszedł, ale poleciał, poleciał jak wiatr. A żydzi stali w wielkim strachu i słowa nikt nie mógł przemówić. Dzwony trochę ucichły, ale nie na długo, zaraz zaczęły dzwonić jeszcze z większym gwałtem. Oj! pan rozumię jak musiało żydom serce pikać... kiedy tak stali, jakby obróceni w kamień, bez ducha... Tymczasem dzieciak niedługo bawił — i przyniósł książkę. Rabin wziął ją do ręki, otworzył w samym środku i zaczął czytać. Wtenczas, wtenczas

panie, zrobiło się takie zdarzenie, co trudno sobie pomiarkować, trudno nawet pomyśleć...

— Cóż się stało?

— Cały pagórek zaczął się ruchać!...

— Niepodobna!

— ?le powiadam cały! pół pagórka, źle powiadam pół! ten kawałek placu, na którym kościół był. Pomaleńku, pomaleńku, jak rabin czytał, ten piał z kościołem, z dzwonami, z ludźmi, opuszcza! się coraz niżój, niżej, niżej... powoli, ale ciągle niżej — a żydzi stali na kirkucie i bali się ruszyć, bo wszystkich taki strach ogarnął, jakby już koniec świata przyszedł; jakby cała ziemia miała się, bron Boże, zapaść, zginąć, polecieć w głąbie, w przepaść, jakby już ze światem miał być koniec...

— A dalej? coż dalej się stało?

— Co się miało stać? Zrobił się krzyk, gwałt, lament! Ktoby nie robił lamentu, kto chce włązić w ziemię, jak na ziemi ma żonę, dzieci, interesa! Oni wszyscy tak myśleli no i wie pan co się stało?

— Co?

— Ny — najpierwsze panowie, szlachta, dziedzice, same hrabie, księża, poszli eo najprędzej na kirkut do rabina i powiedzieli tak i tak: Niech pan rabin nie robi komu taką przykrość, niech pan rabin sobie uspokoi! Za co ma być między nami sprzeczka? Jak wiadomo panu, w takim interesie to już się nie można kłócić... trzeba prosić.

— I coż rabin, dał się przebłagać?

— Ha? Rabin? Kabin nie potrzebował dać się przebłagać, bo un naprzód, jeszcze nim go mieli chować, nim umarł — to wiedział co będzie. On jeszcze za życia wiedział — on wszystko wiedział! A przez to, że wiedział, to nie trzeba go było dtugo prosić. Czy mało zrobił? on aważał, że dość! Jak go zaczęli prosić, nio powiedział ani słowa, tylko przestał czytać, a skoro tylko przestał — ziemia też przestała się ruszać — i plac z kościołem, z ludźmi, z całym zabudowaniem, pozostał w tem miejscu jak dzisiaj stoi. Ko, widział pan przecię.

— A rabin?

— Rabin zawołał tego samego bachurka, co książkę przyniósł. Kazał mu, żeby ją odniósł napowrót i postawił w tem samém miejscu gdzie stała—a potem... potem rabin położył się napowrót na mary i znów nieżywy był. Ta sama moc co zatrzymała żydów w miejscu, pchnęła ich znowu naprzód żeby szli i oni szli; pochowali rabina z wielkim żalem, płaczem, lamentem... I później poszli każdy do swojego domu i opowiadali dzieciom co było, a te dzieci znów, jak urosły, opowiadały swoim dzieciom, i tak to szło, szło i będzie szło, albo ja wiem dokąd będzie szło? zapewne póki się świat nie skończy.

Berek westchnął.

— Był panic czas, dalibóg ładny czas był, lu

dzie widzieli wiekie interesa —dziś, powiedz pan co dziś kto widzi? To co ja panu powiadam to prawda jest. Jeżeli książki pokazują inaczej — to pokazują nieprawdę. Powiadasz pan historia! powiadasz pan dokument! wielka mecyja dokument? a gdzie te świadki co byli przy podpisywaniu?

— A gdzie ci co widzieli cud na kirkucie?

— Ich nie ma, ale oni byli, na moje sumienie byli—tylko że już pomarli. Przecież człowiek nie może żyć pol tysiąca lat.

— Więc przed pięciuset laty to się stało?

— Aj, co pan tak się pyta o lata! Żyd tak nie rachuje pieniędzy, jak pan chce te lata rachować. Co z tego? Po co rachować to co było, to się już nie wróci—było, dawno było i dość na tem—a pan pyta kiedy? którego roku? którego dnia? jak się rabin nazywał? Tak czy siak, to wszystko jedno jest. Z jednego pagórka zrobiła się góra i dół. Aj panie, dziwne rzeczy bywają na świecie. Strach mówić. Pan myślisz na przykład, że pole to jest pole, a las to las...

— A cóż ma być?

— To jest las i pole, człowiek widzi tylko las i pole, ale i w polu i w lesie pełno jest takich, co niech zginą, co ja ich imienia nie chcę powiedzieć! Oni tylko patrzą żeby człowieka zgubić.

Zamyślił się Berek.

Była już noc, gwiazdzista, pogodna, piękna.

Z ponad rzeki dolatywał turkot udyna, z wioski dochodziło szczekanie psów. Zastanawiałem się nad genezą legendy opowiedanej i przez Berka,

— Panie, proszę pana,—odełwał się.

— Co takiego?

— Niech pan powie, co pan myśli, o tym interesie?

— O jakim?

— O tym, co ja go panu opowiedziałem.

— Śliczna bajka.

— Bajka! to jest bajka! Ha... ładna bajka! Nie, panie, prawda to nic jest bajka—ale nie każdy chce prawdzie wierzyć,,

— Trudno, widzisz.

— Trudno? dla czego trudno?—bo powiedział Berek, a jakby powiedziała książka, toby każdy wierzył — bo to książka. Berek nio ma wiary — a dlaczego Berek nie ma wiary?—bo jest Berek! Taki nasz los. My jesteśmy od całego świata pokrzywdzeni.

— W czym?

— We wszystkim. Naprzód w majątku.

— Jakim sposobem?

— Niby pan nie wie!

— Nie wiem...

— Powiedz pan, przecież u państwa czytają biblię.

— Czytają.

— To pan wie, że stary Icehok miał dwóch synów, jeden się nazywał Jankiel (Jakób)—a drugi Kjsaw. Jankiel starszy był, jemu się należało dwie części majątku, a tamtemu tylko jedna. Od Jankła pochodzą żydy, bo on jest Israel, od tamtego wszystkie inne ludzkie—a majątek był ładny... piękny majątek był.

— Jaki?

— Cały świat! Weź pan teraz na delikatny rozum i miarkuj, jaka nam krzywda jest, i nawet nie dadzą się upomnieć—powiadają, że my łapsrdaki jesteśmy. Sygit? to ładne procedura jest!., to pfejest!..

Tak gwarząc dojechaliśmy do miejsca, w którym się drogi rozchodzą. Berek zeskoczył z wózka i poszedł w swoją stronę ku rodzinnemu miasteczku, ja pojechałem dalej.

Legenda opowiedziana przez Berka stała mi ciągle na myśli. Zkąd się wzięła? Kto ją wytworzył? Oczywiście, jak wszystkie legendy, powstała w bujnej fantazyi, a przechodząc w ustnym podaniu z ojca na syna, z pokolenia w pokolenie, rosła i nabierała nowych kształtów.

Zkąd się wzięła, gdzie jej początek, kto pierwszy ją ułożył i kto kazał jej iść przez pokolenia?

Tego dojść trudno.

Wśród wiejskiego ludu, fantastyczne baśnie i podania wykwitają przeważnie na tle zjawisk natury, albo też na rumowiskach siedzib dawnych, na gru

zach zameczysk, których dzieje, upiękzone przez fantazyę, zmienione przez lata, a w jakiejś cząsteczce przechowane w pieśniach, przeżyły wieki.

Złamaue drzewo, głaz dziwacznej formy, przebiegający meteor, noc burzliwa, błędne ogniki na moczarach, stara baszta, zapomniany kurhan—oto muićj więcej źródeł, z których bogata fantazyja ludu czerpie dla siebie motywy.

Legendy ludowe są mniej więcej znane, skrzętni zbieracze notują ich treść i utrwalają ją w drukowanym słowie.

Ta sfera ludności z której Berek pochodzi, także ma swoje podania i legendy—ma ich moc niezliczoną, lecz i fantazyja jej i charakter jest inny. Przeważa w nich pierwiastek nadprzyrodzony i mistyczny.

Zbieracz takich właśnie legend, ma zadanie bardzo trudne, jeżeli nie z książek, lecz z żywego słowa czerpać je pragnie.

Nieufność, niechęć, a wreszcie i mowa do zrozumienia niełatwa, stają wciąż na przeszkodzie.

Duchowa ojczyzna takich właśnie Berków, niezmiernie interesująca i ciekawa, przed obcym obserwatorem ma szczególnie zamknięte granice.

Jeżeli się uda coś z tego wynieść, to tylko zręcznym manewrem, przez kontrabandę, ukradkiem.

A świat to istotnie ciekawy, pełen osobliwości nieznaucy nam zupełnie. Mieszkańcy jego obojętni

na piękności przyrody, nic znają szerokich przestrzeni, ani gór malowniczych, szmerów wód, ani tajemniczych szeptów lasu. Urodzeni w brudnych domostwach, tam przepędzają dzieciństwo, częstokroć nie wychodząc po za obręb mieściny. Brudna izba, brudna szkoła, brudna bóżniczka, oto cały ich świat, w tym świecie ściśle zamkniętym,

odgrodzonym, żyją i myślą. Niektórym zabiera trochę czasu liche rzemiosło—inni i tak, niewiadomo z czego żyją, w rozmyślaniach, w marzeniach...

Do tego ciasnego świata na skrzydłach fantazyi . zbiegają się duchy różne, tysiące aniołów i szatanów... Mieszkańcy jego opowiadają sobie legendy i podania, biegną myślą w przyszłość świetną, której nie znają dokłanie, powtarzają jedni drugim najdziwaczniejsze pojęcia o świecie, o krajach fantastycznych, rzekach osobliwych, o górach z czarnej mgły...

Lubią się z uczonością popisywać, szczycą się nią, choć gdzież im do uczoności poważnej, wymagającej całych lat pracy ciężkiej i stadyów!

Troche wiadomości z biblii, trochę z historii narodu — moc nieprzebrana formułek obrzędowych i nieprzebrana kopalnia legend i bajek, oto cały arsenał wielkich uczonych w rodzaju Berka.

A przecież ta „uczoność” to jego cały świat!

W nim przestaje najchętniej, w nim się zamyka

w uini zapomina o powszednich troskach życia— i tam jest niedostępny, niewidziany przez nikogo, prócz przez swoich.

Legendę o kościele pofranciszkańskim i starym kirkucie lubelskim usłyszałem wypadkiem i powtórzyłem ją, tak jak była opowiedziana, bez dodatków, bez zmian, lub autorskich upiększeń.

Berek zwierzył się później przedemną, że zna jeszcze dużo, bardzo dużo takich wielkich historii, takich wielkich wydarzeń, ale nie każdą historię można opowiadać...

Berek niedarmo jest człowiek uczony—on dużo zna, bardzo dużo zna!

Ludzie prości, grubi ludzie, nie wierzyliby jego opowiadaniom, woli też te cenne skarby przechować dla umysłów wyższych i głów delikatnych, rommiejących to, że największym skarbem na śniecie jest wielka uczoność—a największą uczonością, to raego nikt nie może zrozumieć...

„HIE ODCHOD?!...”

— Nie sadź mój kochany, że jestem bez praktyki, o nie! Wprawdzie tak utrzymują moi przyjaciele i współzawodnicy, ale to fałsz. Zaraz cię o tem przekonam. Mam pacjentkę jedną, jedyną, ale mam... Weź kapelusz, zaprowadzę cię do niej. Powiadasz, że nie wypada? Dzieciństwo! Moja pacjentka już na formy towarzyskie nie zważa. Odwiedzam ją regularnie dwa razy tygodniowo, co środa i sobota, a dziś właśnie sobota, więc chodźmy. Stary doktor przyglądał resztkę siwych włosów na głowie, przetarł okulary chustką czerwoną, a zarzuciwszy na ramiona „almawiwę odwiecznegokroju, wyszedł na ulicę. Nie znacie zapewne tego staruszka, bo i zkądby? Dziwak ten, oryginał i mizantrop, dziś już nie żyje; zakończył doczesną pielgrzymkę w małym miasteczku, gdzie się zagrzebał i od lat Bóg wie ilu wege

tował biedaczysko. Długie życie było dla niego nieszczęściem.

Przed wieloma laty bowiem doszedł on do pewnego punktu i stanął, a świat podążył naprzód, nie oglądając się na marudera, nie dbając wcale o niego.

Nauka, ciekawa, badająca wszystko, co na drodze swój napotyka, posuwała się olbrzymimi krokami; za nią, niby ptaków przelotnych stada, niby sznury żorawi na jesieni, ciągnęły pojęcia; niejednen przesąd padał przy drodze i konał zapomniany, wyśmiany, a nawet potrzeby i obyczaje zmieniały się potrosze!

Stary doktor pozostał samotny na tem samym miejscu, na którym się zatrzymał...

I ludzie odbiegali od niego stopniowo, coraz rzadziej po poradę ktoś przyszedł, aż wreszcie całkiem zapomniano o nim. Zapewne gorzko mu to być musiało, ale nie skarżył się nigdy. Jako człowiek względnie zamożny, troski o chleb powszedni nie zaznawał, a na nową generację ludzi, na tych, co daleko już odbiegli od niego, spoglądał z lekceważeniem, wynikającym z przeświadczenia o wyższości osobistej i wyższości tych czasów, w których jego młodość upłynęła.

Ubierał się zawsze, jak pierwszy elegant z roku... go, a co wieczór, na fortepianie antyku, wygrywa! te walce i polki, przy których dźwiękach

niegdyś poczciwe naaze babki puszczały się w płąsy... z dziadkami.

Biedny, samotny doktor... Świat przed nim uciekł i tylko wspomnienia, najwierniejsze druby niedoli — zostały.

.Szliliśmy przez miasteczko, ciebie i jakby uśpione.

Sklepy były pozamykane, ulice puste, tylko przed wielką bóżnicą stało kilku żydów w odświętnych racimorach i sajetach.

Minęliśmy kilka okazalszych kamieniczek, piękny kościół, otoczony lipami, i dostaliśmy się na uliczkę boczną, niebrukowaną wcale, gdzie domki kryły się wśród ogrodów, po za którymi rozciągała się szeroka płaszczyna pól i łąk, ujętych w czarną ramę lasów...

— Zdaje rai się, że ta droga prowadzi na ementarz? — rzekłem, ujrawszy las krzyżów w ogrodzeniu.

Stary uśmiechnął się.

— Mój kochany — rzekł — wszystkie drogi prowadzą na cmentarz, i dawna poważna nauka, i... szarlataneryi dzisiejsza, ostatecznie do tego powszechnego rezultatu dochodzą... ale oto jesteśmy u celu, wejdź, proszę. To rzekłszy, otworzył skrzypiącą furtkę w parkanie i weszliśmy na terytorium, które nie było ani ogródkiem, ani dziedzińcem, ani podwórkiem nawet,...

Badyle, osty i zielsko różno rozrastało się tam swobodnie. Kilka drzewek owocowych, opuszczonych i schorowanych, szemrało gałązkami, a krzaki dziczalego agrestu i malin przepychały się wzajem, walcząc o miejsce, niby chłopci o miedze.

Jedynie kilka zagonów warzywa świadczyło, że ludzie na tem pustkowiu mieszkają...

Domowstwo również było opuszczone, jak i ten dziedziniec, czy ogród niegdyś...

Ściany ongi malowane, deszcz powymywał a czas potężnymi pazurami i zębami obgryzł komin, pokąsał okiennice, podrapał filarki, na których ganek się wspierał.

— Więc to tu pańska pacjentka!—zapytałem— w tej ruderze?!

— Tak, w ruderze, mój kochany, bo też i ona sama istny obraz rudery... Ciało jeszcze jak ciało, rusza się niby wóz zdezelowany i skrzypiący... ale z duchem całkiem jest źle... Pierwsze podtrzymuję jako tako., drugi... ano zobaczysz. Wojciechowa! Wojciechowa! — zawołał, stukając laską w podłogę ganku.

Na to hasło z pomiędzy kopru i maków, wybujałych na grzędach, wychyliła się głowa starej kobiety w żółtej chustce.

— O la Boga! anim widziała, kiedy wielmożny konsyliarz przyszedł.

— Cóż, pani?

— Siedzi se chudziątko, jako i zawdy siaduej Panna Jautonioa poszła do miasta...

— Więc pani sama zostaią? — spytał tonem wymówki.

— Gdzie zaś wielmożny konsyliarzn, gdzieżjaby bez pomocy samą mogła zostawić niebogę?

— A któż tam jest?

— Je kot, panie...

— Kot?

— A dyć kot... Sama go zaniósłam do pokoju, wyszłam trochę pietruszki narwać do obiadu,

— Chodźmy—rzekł do mnie staruszek...

W pokoiku zastawionym staremi, odwiecznego fasonu meblami, siedziała kobieta, szczupła, blada, w czarnej sukni i w czepku, z pod którego wychylały się promienie białych włosów.

Spłoszony najściem naszem kot zerwał się z jej kolan i wyskoczył przez okno...

W tej chwili staruszka powstała, wyciągnęła ręce błagalnie, a w szeroko otwartych jej oczach malowały się naprzemian rozpacz, gniew, prośba, błaganie...

— Kie odchodź! — krzyknęła rozdzierającym głosem, wyciągając ręce w stronę okna — nie odchodź!

Tyle bólu, żału, tyle skarg i jęków mieściło się w tych wyrazach, że mimowoli cofnąłem się przerażony.

Doktor zbliżył się do niej, położył rękę na jej ramieniu i rzekł:

— Jestem, matko.

Ten jeden wyraz wywołał magiczny skutek. Odrazu uspokoiła się, uśmiechnęła i rzekła szeptem:

— Jesteś, Amelciu?! To ślicznie, to bardzo dobrze, że tu jesteś.

Twą jej przybrała wyraz obojętny, apatyczny prawie.

Doktor usiadł przy niej, wziął za rękę i zaczął zadawać pytania, jak spała i co jadła, czy jej coś nie dolega? czy nie życzy sobie świeżych owoców, albo kieliszka wina?

Odpowiadała krótko, jednym iak albo nie, patrząc w sufit, potem zaczęła głaskać rękę doktora i cichym, pieszczotliwym głosem szeptała:

— Bo ty nie myśl, że ja ciebie za mąż nie wydam... Nie myśl!... wyprawę już szyją, srebra dostaniesz i jedwabną suknię... Wyjdiesz, Amelciu moja, ale nie za niego, nie!... Bo jakże można? jak można?

Tak mówiła urywanymi wyrazami, bez związku, nie patrząc ani na doktora, ani na mnie.

Utkwiła wzrok w sufit, wzrok przygasły i bezmyślny, zdawało się, że w tych żrenicach ani jedna iskierka życia nie tleje, że to są oczy umarłego...

Mój towarzysz podniósł się z krzesła...

W tej chwili przygasłe oczy zapaliły się i mignęły straszną błyskawicą gniewu.

J znów ten przeraźliwy, rozdzierający serce krzyk:

— Nie odchódź!...

Wojciechowa nadbiegła i wzięła nieszczęśliwą za rękę, wyrzekła magiczne "jestem" i w tej chwili stau poprzedniej apaty powrócił.

Wyszliśmy...

Nieodzywałem się wcale. Widziałem wciąż przed sobą te niebieskie oczy przygasłe, w których jedna myśl jakaś pioruny umiała zapalać w uszach brzmiało mi ciągle przerażające:

— Nie odchódź!...

W milczeniu powróciliśmy do mieszkania doktora.

Stary zdjął płaszcz, złożył go bardzo starannie i schował do szafy; przetarł okulary chustką i zapaliwszy cygaro, zapytał:

— No, i cóż moja pacyeatka? Jakże ci się podoba?

— Nieszczęśliwa!

— Mój kochany, ściśle biorąc, to dyabli wiedzą co jest szczęście i kto jest szczęśliwy na świecie? Ona bo widzisz...

— Obląkana jest—przerwałem—i już przez to jedno pozbawioua warunków szczęścia na ziemi...

Doktor się nśmiechnął.

— Obląkana—powtórzył—zapewne... Tak się to nazywa... Myśmy wszyscy potrosze obląkami... A ostatecznie, gdzie masz taki „mózgometr”, któryby wskazał, że dane indywidualum ma tyle a tyle stopni wyżej, lub niżej normalnego poziomu zdrowego rozumu? Jakże tę linijkę nakreślisz?

— Czy znana jest panu historia tej biedaczki?— spytałem.

— Naturalnie, że znana... Zwyczajna to historia, i jeżeli sądzisz, że znajdziesz w niej coś bardzo szczególnego, to się grubo zawiedziesz... Tam szło wszystko w logicznym porządku, skutki wynikały z przyczyn tak samo, jak starość z młodości, śmierć z życia...

— Ależ przyczyna, jaka była przyczyna?— spytałem

— Naturalnie, że była przyczyna, bo cóż bez niej? Otoż ja tę moją pacjentkę znam oddawna, od bardzo dawna ją znam. Panną ją jeszcze pamiętam, bywałem w domu jej rodziców. Mieli oni mały folwarczek. Nie fortuna to była, nie majątek, ale żyli jakoś... W dworku u nich było czysto i powiem nawet, że dostatnio. Ojciec napoleończyk, kochał się w książkach historycznych i w sztynchach, któremi wszystkie ściany poobwieszał... Matka lubiła znów nadewszystko pieśni i te jedynacze swojej śpiewała... Cóż tak patrzysz na mnie? chcesz zapewne powiedzieć, że nudzę i od przedmiotu odbiegam?...

— Alei bynajmniej.

— Wiem ja co mówię i dlaczego mówię. Chciałeś poznać przyczynę, ile niej właśnie idziemy. Książkami, sztynchami, pieśnią i tem żywym słowem, co bywało wieczorami przy kominka ł ut ojca płynęło, karmiła się dnsza dziewczyny, a obeonk złamanój cierpieniem staruszki... Lata szły, dziewczyna rosła i wyrosła na pannę co się zowie. Diis już takich nic ma...

— Trochę to za śmiałe twierdzenie.

— Nie ma! powiadam, że nie ma i dosyć... Julcie są na świecie jakieś cudaki, ale ani się umywały do panien z przed lat piędziesięciu...

To rzekłszy zamyslił się stary.

— Wiec mówi pan, że ładna była?— odezwałem się, chcąc go do dalszego opowiadania zachęcić.

— O tak! Nic też dziwnego, że prędko za mąż poszła... Za naszych czasów panny nie starzały się mój dobrodzieju... i'oszła panna Franciszka za mąż i doskonale poszła, ale cóż, nie cieszyła się długo swoim szczęściem... straciła męża. Biedny człowiek zginął w pełni życia i sił—zmiotła go burza, jak liść z drzewa.. Już wtenczas obawiałem się o jej umysł, ale jakoś przeboleła ten cios, przeniosła. Zresztą i to ci trzeba wiedzieć, że człowiek to bardzo wytrwale zwierzę, nieraz więcej zniesie, więcej udźwignie, niż sobie wyobraża nawet... Moja pacjentka miała dla kogo żyć.

— Zostały dzieci?

— Jedna tylko córka... Ta była dla matki szczęściem, skarbem, celem życia, światem całym... Wszystko co miała w duszy matka kochająca, starała się w córkę przelać, chciała w niej widzieć wcieloną cnotę, pragnęła, aby jej własne wierzenia, przekonania, ideały, jak droga spuścizna rodzinna, przeszły na dziecko. Niezbadane jest serce ludzkie, niezbadane...

— Zamaż powtórnie nie wyszła?

— Ani słyszeć nie chciała, choć trafiali się ludzie dobrzy i zaci. Ona żyła dla córki. Kupiła oto ten dworek, któryś widział, kapitałek złożyła do banku i miała dość na życie i na kształcenie córki... Tak szło wszystko spokojnie, póki dziewczyna nie dorosła... Miasteczko nasze leży blisko granicy, trakt duży przez nie przechodzi, więc też mnóstwo obcych ludzi włóczy się tutaj; otoż przywłókł się za innymi jakiś Niemiec, wojskowy podobno, i tu się osiedlił czasowo... Zaczął bywać, panua mu się po dobała... i romans! Matka nie wiedziała o niczym, bywali młodzi ludzie, bywał i ten, trudno było drzwi przed nim zamykać... Zresztą tej nieszczęśliwej na myśl nawet nie przyszło, żeby jej córka chciała porzucić kraj, matkę, kąt rodzinny i pójść z obcym człowiekiem gdzieś nad Ren, czy nad Bałtyk, a jednak...

— Poszła?

— A poszła—rzeki, machnąwszy wszy ręką niechętnie. Obecnie, o ile mi wiadomo, mieszka ze swoim szwabem gdzieś na Pomorzu, robi ma haweluańszlafmyce i nie pamięta nawet, jak się jej rodzinna wioska nazywa... Mamże ci opowiadać co tam było naówczas pomiędzy matką i córką...? Dość, że w ostatniej chwili, w chwili rozstania, z piersi matki wyrwał się ten fatalny okrzyk: „nie odchodź!” i powtarza się ciągle, aż po dzień dzisiejszy... Wszystkie myśli w tej głowie umarły, zabite zostały nagle, w jednej chwili, jak od uderzenia piorunu... to tylko nieszczęsne: „nie odchodź” zostało. Tak mówi ona do sługi, do kuzynki, do kota, do mnie... i aby jej ktokolwiek powiedział tylko; „jestem”, wnet się uspokaja, i wpada w stan apatii... Próbowałem badać, czy rozumię swoje położenie i kiedyś spytałem czy ma córkę...?

— I cóż?

— Odpowiedziała, patrząc w sufit, że nic. Zamyślił się stary. Po chwili zerwał się nagle z krzesła, położył mi rękę na ramieniu i wybuchając śmiechem, rzeki:

— Słuchaj, czy ty wiesz, że oni ją leczyli!

— Któż to oni?

— Ago... ci., doktorzy tutejsi. Jeden mieszka w rynku, drugi w Lejzora domu — mądny ludzie!...

— Dlaczegoż? Próbowali..

— Ua! ha! a wiesz ty, że i serce, i mózg ludzki krajano na drobne kawałeczki po dziesięć tysięcy razy, że nie masz tam odrobiny najmniejszej, któraby nie była opisana, wystudyowana, nazwana, po sto razy odrysowana w książkach i atlasach; a pomimo tego, czyż poznał kto storę ducha i uczuć ludzkich, czy znalazł te struny tajemnicze z których życie czędokroć piekielne akordy dobywa? Delikatne struny, nawiązane w sercu tej biednej obłąkanej, brutalna ręka losu, szarpnęła tak silnie, że pękły wszystkie odrazu, wszystkie, prócz jednej, w której zaklęta jest nuta wiecznie drgająca żalem i boleścią niezmierną.. Ha! cóż na to poradzić... co zrobić?... Słuchaj! — rzekł po chwilowej przerwie—oni mi zabrali wszystkich chorych... lecz tej nie trzymali długo w opiece, oddali mi ją po kilku niefortunnych próbach. Zwątpili o swoich siłach widocznie — lecz w tym razie i ja w swoje siły nie wierzę.

— Psnie!—rzekłem—nauka idzie naprzód, może przyszłość...
Uśmiechnął się gorzko.

— Mój drogi—odrzekł zanim jaki mędrzec rozwiąże te niezbadane zagadki, moja pacjentka zmieni mieszkanie i przeniesie się o kilkaset kroków dalej... na cmentarz.

Miał rację dziwak. Jego jedyna pacjentka umarła, krzyknąwszy po raz ostatni: „nie odchodź!”
Nie długo poszedł za nią, także stary doktor. Wyprzedzony przez rówieśników w gonitwie do grobu, prześcignięty przez młodszych w wyścigu życia, a przez to właśnie smutny i osamotniony, przestał cierpieć i spoczął pod płaczącą brzozą cmentarną.
koniec.